



BJØRN ANDREAS
BULL-HANSEN

JOMSWIKING

WINLANDIA



BJØRN ANDREAS
BULL-HANSEN



JOMSWIKING

WINLANDIA

Przełożyły:
Maria Sibińska
Katarzyna Michniewicz-Weisland

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Nie służąc żadnemu panu](#)

[Klątwa](#)

[Ponownie wyjęty spod prawa](#)

[Kraina lodu](#)

[Brattli](#)

[Osiedle Zachodnie](#)

[Przez morze](#)

[Syn Eryka](#)

[Pierwszy śnieg](#)

[Wioska Skrælingów](#)

[Onejun](#)

[Ogień](#)

[Winabave](#)

[Potwór](#)

[Córka niewolnicy](#)

[Potyczka przy lesie modrzewiowym](#)

[Patuxet](#)

[Niedźwiedź ludojad](#)

[Wolni ludzie](#)

[Sebik](#)

[Matanuga](#)

[Wendigo](#)

[Nowy hovding](#)

[Zawłaszczenie statku](#)

[Naglfar](#)

[Jarl z Lade](#)

[Wyprawa szaleńców](#)

[Kobieta dla Bjørna Tormodsona](#)

[Wilki z morza](#)

[Rzeź](#)

[Prawo wolnego człowieka](#)

[Ziemia ojca](#)

[przypisy końcowe](#)

Tytuł oryginalny: *Jomsviking. Vinland*

Redakcja językowa: Beata Kołodziejska

Projekt okładki: Krzysztof Rychter

Ilustracja na okładce: © Tomasz Kobiela // Shutterstock.com

Korekta: Dorota Ring, Beata Wójcik

Copyright © 2017 by Nidhogg forlag. All rights reserved.

Published by the agreement with Northern Stories, Norway and Book/ lab Literary Agency, Poland.

Copyright © for the Polish translation Maria Sibińska, 2020

Copyright © for the Polish translation Katarzyna Michniewicz-Veisland, 2020

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2020



This translation has been published with the financial support of NORLA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

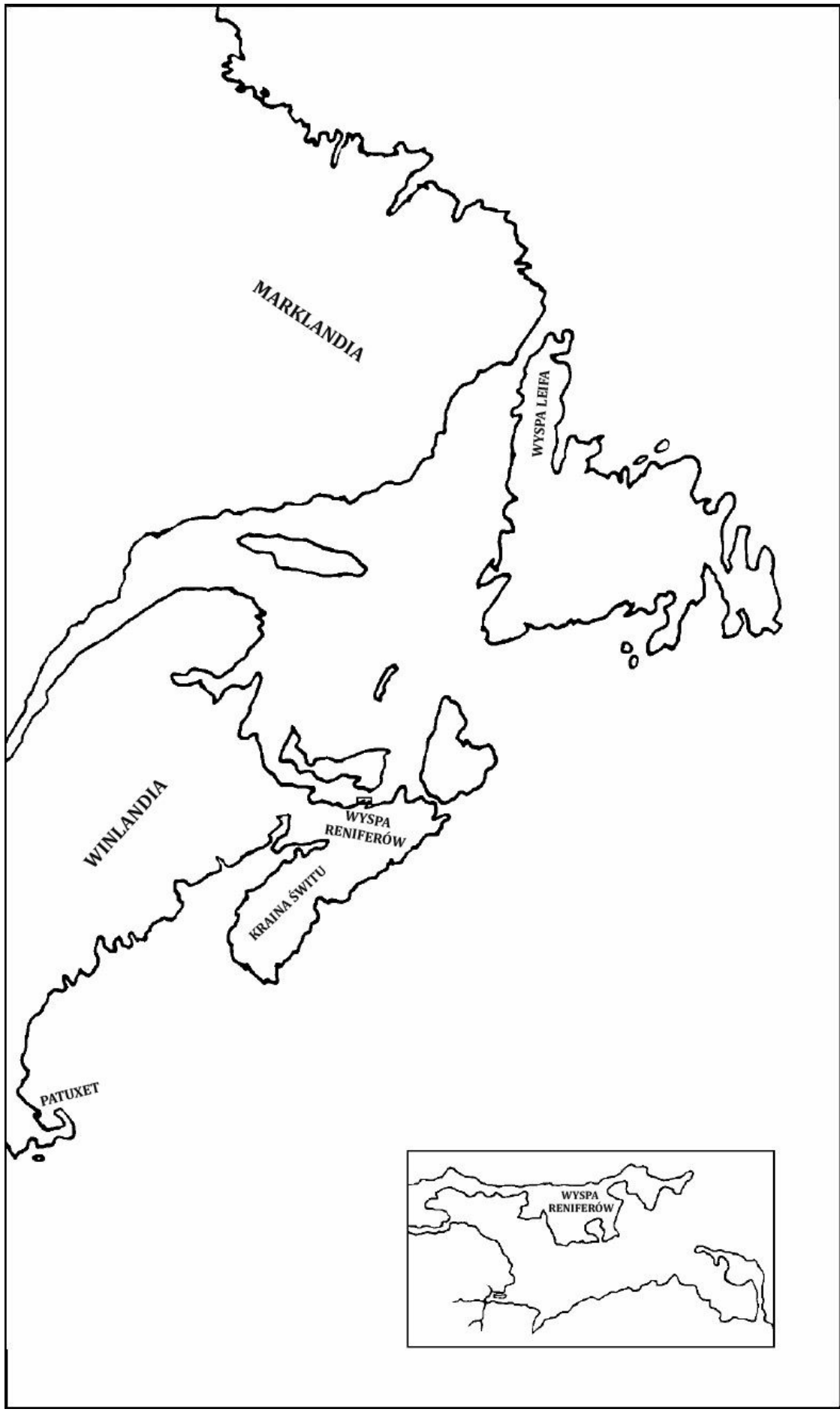
Wydanie I

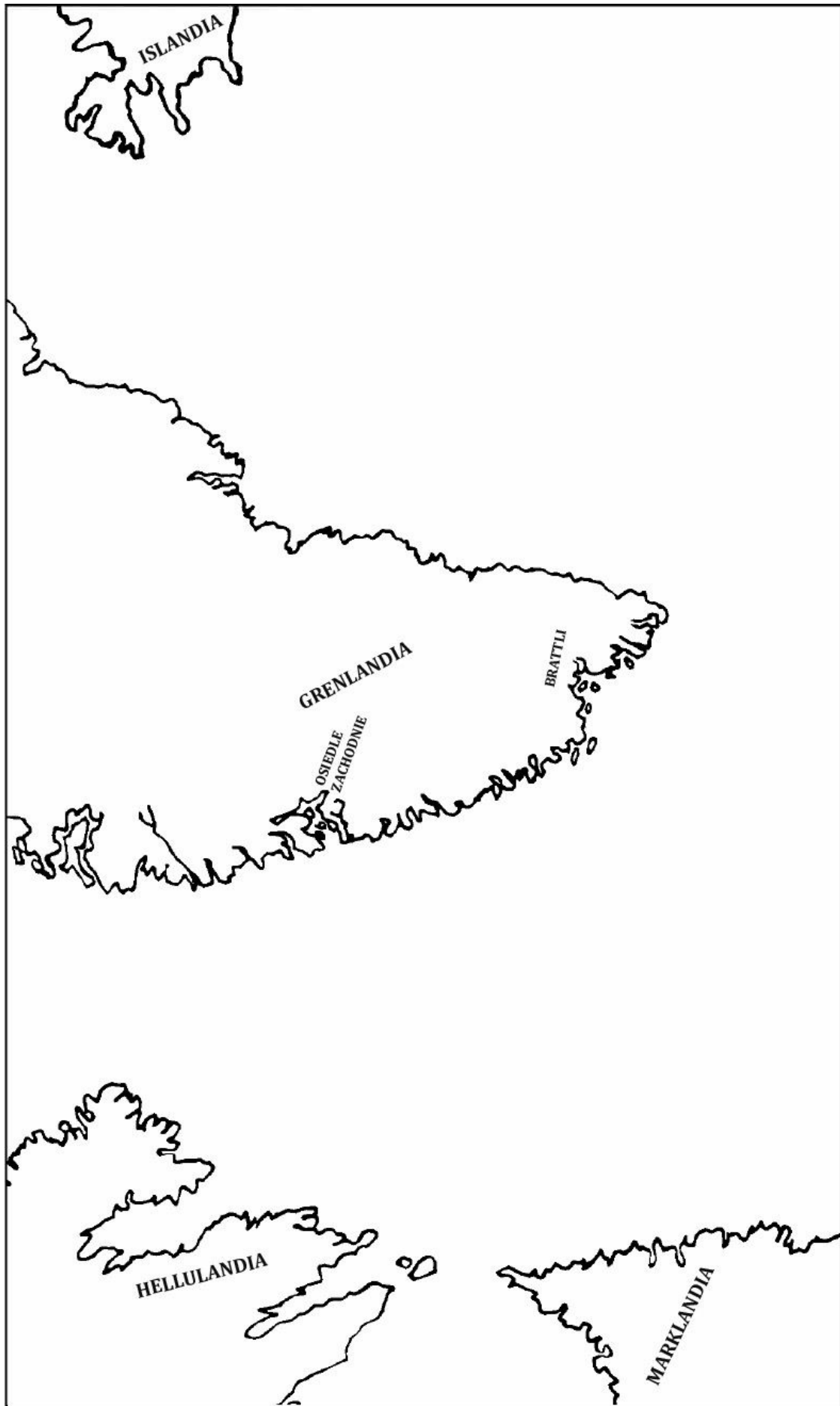
ISBN: 9788380159570

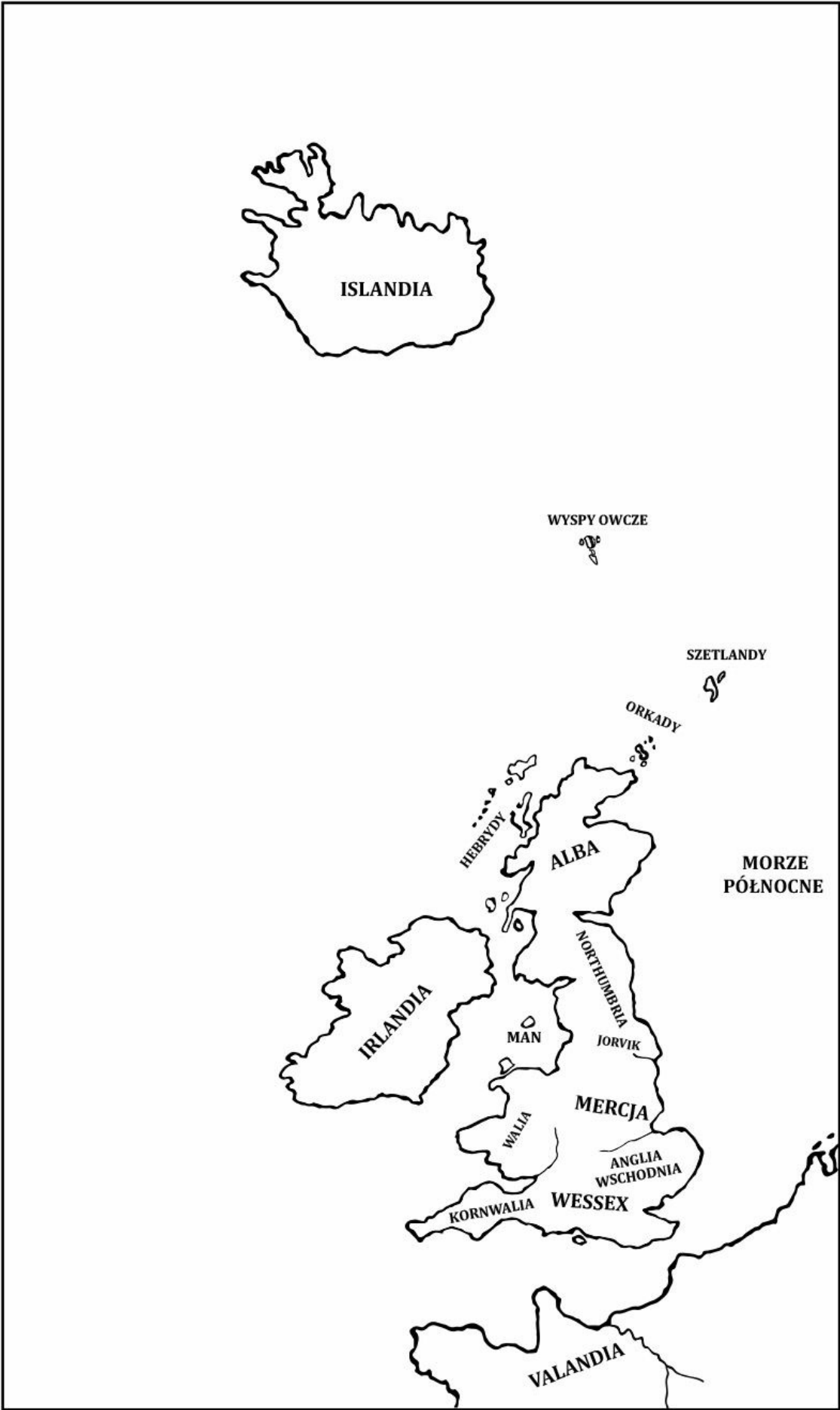
WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

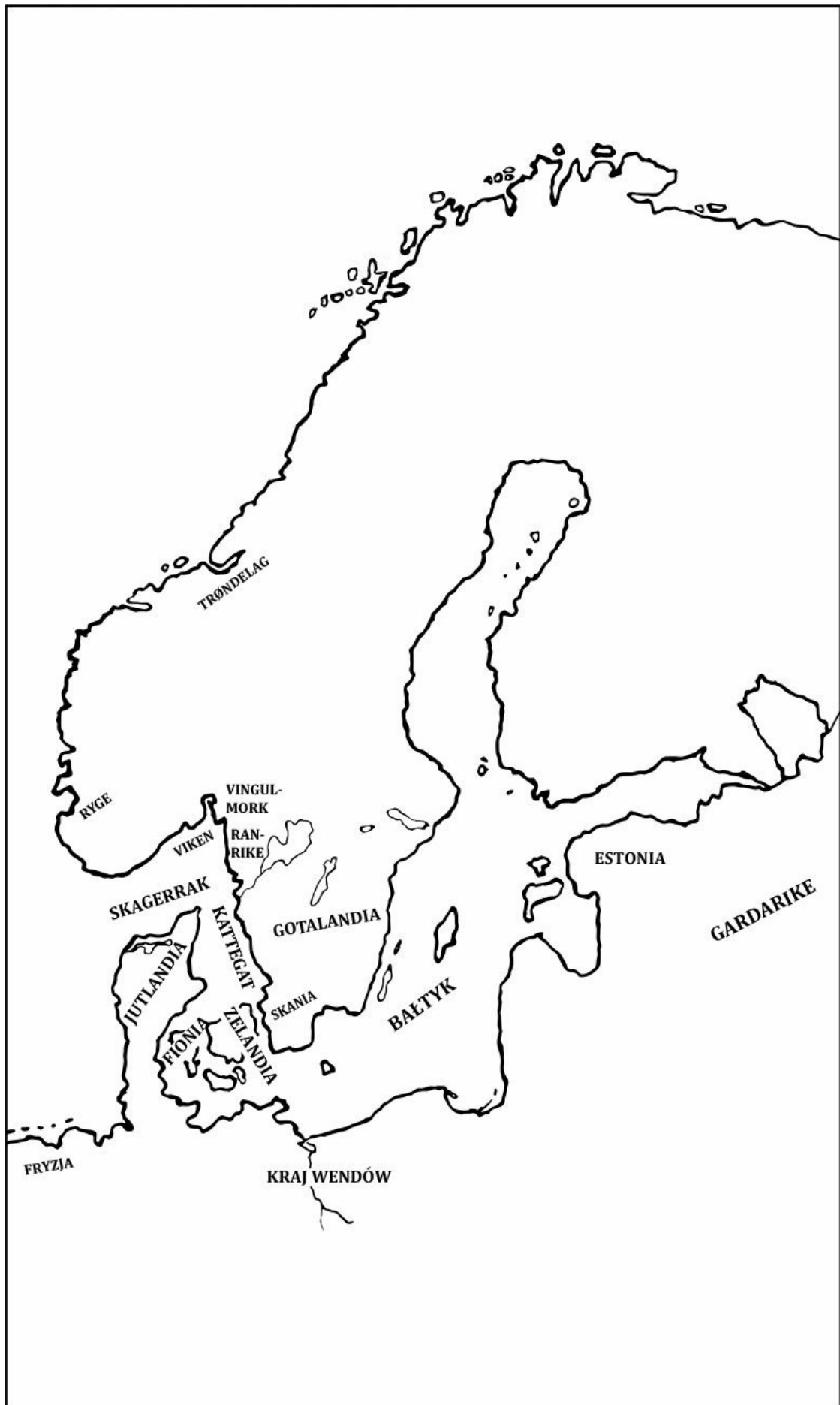
ul. Wspólna 35/5 | DZIAŁ HANDLOWY tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: handel@czarnaowca.pl
00-519 Warszawa | REDAKCJA tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: redakcja@czarnaowca.pl
www.czarnaowca.pl | SKLEP INTERNETOWY tel.: +48 22 77 55 705, www.inverso.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.









Złożyłem ofiary za pomyślność moich synów i ich potomstwa. Prosiłem bogów, aby świat, który wkrótce opuszczę, był łaskawszy dla nich, niż był dla mnie.

Bogowie jednak nie słuchają. Wokół mnie leżą odłogiem pola uprawne, które zrosiła krew młodych mężczyzn, a królowie-wojownicy sieją spustoszenie niczym dzikie zwierzęta.

Kiedyś byłem im podobny. Świadomość tego nie pozwala mi zasnąć wieczorami. Gdy pijani mężczyźni zasypiają przykryci skórą, a w halli dopala się ogień, wspomnienia o tym, co było, stają się bliskie. Gdy wyciągnę rękę, nieomal dotykam przyjaciół, którzy już dawno mnie opuścili, i kobiety, którą kochałem.

Starcze... Zaglądam w głąb kufła z piwem. Mój wewnętrzny głos brzmi obco, jakby ktoś inny krył się nieopodal w mroku i przemawiał do mnie. Prosi, bym przywołał pamięcią szczęśliwsze czasy; dni, gdy byłem młody, silny i nikt, nawet królowie, nie był mi przeszkodą. Nie pamiętasz? Patuxet... Matanuga... Wendigo... Tam, na zachodzie, wszystko się zmieniło...



1

Nie służąc żadnemu panu

Czuwałem całą noc. Początkowo słychać było tylko słaby jęk, chwilami wszystko cichło i nie dobiegał nas żaden dźwięk. Wtem, tuż przed wschodem słońca, usłyszałem krzyki. Przedarły się przez na wpół otwarte drzwi, sprawiając, że siedzący na ziemi mężczyźni zaczęli mamrotać i wiercić się niespokojnie, a Bjørn musiał mnie unieruchomić, obejmując silnie ramieniem. To może być długi poranek, stwierdził. Nie pozostało nam nic innego, jak tylko czekać.

Czekałem więc. Czuwający razem ze mną mężczyźni popijali w milczeniu z kufli. Ja jednak nie mogłem zbyt wiele w siebie wmusić. Każdy dobiegający z domu okrzyk, każdy jęk, każde pokrzepiające słowo z ust towarzyszących jej kobiet, działały na mnie jak smagnięcie bicia. Chciałem wbiec do izby i trzymać ją w ramionach, chciałem, by spojrzała mi w oczy i zapewniła, że wszystko w porządku, żebym się nie martwił. Ale za każdym razem, gdy już miałem rzucić się do środka, dłonie mojego brata przytrzymały mnie na miejscu. A Vidar co chwila szeptał, bym wypoczął,

póki mam ku temu sposobność. Nie było jednak sposobności do wypoczynku od chwili, gdy pojawili się ludzie Olafa. Od owej nocy, kiedy nastał czas vinterblot¹. Znowu zanurzyłem się we wspomnieniach, przypomniałem sobie, jak siedzę półnagi na nabrzeżu i tęgo popijam. Z dumą spoglądam na statek, dar króla Danów, za który wszyscy wznosimy toast; pijemy także za dobre połowy, za udane żniwa i za to, by z Sigrid poszło dobrze; pijemy za wszystko, co nam tylko przyjdzie do głowy. Potem, zataczając się, wracamy do gospodarstwa, a ja kładę się przy ciepłym ciele Sigrid, otaczam ją ramieniem, moja szorstka dłoń na jej brzuchu wyczuwa rosnące w środku dziecko.

Gdyby mały Fenre nie wszczął alarmu, byłaby to ostatnia rzecz, jaką bym poczuł. Psiak obudził kobiety, a te zbudziły nas. Razem z nami w budynku głównym spało dwunastu mężczyzn, a jeszcze większa grupa nocowała w oborze. Kobietom się to nie podobało, bo mężczyźni cuchnęli i rzadko udawali się na spoczynek przed późnym wieczorem, ale po tej nocy nie padło już ani jedno złe słowo pod ich adresem. Obudziło mnie szturchanie łokciem. Oprzytomniałem i usłyszałem Sigrid; szeptała, żebym wstał, bo na podwórzu są jacyś ludzie. Zerwałem się na równe nogi, podobnie jak pozostali, a Bjørn, uchylwszy drzwi, mruknął, że Sigrid ma rację, jacyś obcy są w obejściu. Trzeba chwycić za broń, dodał, bo tamci właśnie zapalają pochodnie.

Pijani i półprzytomni wypadliśmy na zewnątrz. Z podsyconą piwem odwagą, nadzy i rozgorączkowani rzuciliśmy się na nich z toporami i włóczniami, od ręki kładąc trupem sześciu napastników. Dwóch pozostałych przy życiu uciekało w dół porośniętego trawą zbocza, ku plaży, gdzie dostrzegliśmy skeid² zwrócony rufą do brzegu. Czekala przy nim gromada mężczyzn.

Szyliśmy z łuku za tamtą dwójką, lecz byliśmy zbyt pijani, a chociaż księżyc świecił nad zatoką, było za ciemno, by porządnie wycelować. Jednak najwyraźniej udało nam się trafić jednego z napastników, gdyż potknął się, po czym zrobił jeszcze kilka kroków i zwalił się na ziemię.

Skeid odepchnięto od brzegu. Wiosła gwałtownie zanurzały się w wodzie, kierując statek ku otwartemu morzu. Ranny leżał u naszych stóp, chwytając ustami powietrze, trzymał się za brzuch, gdzie widać było głęboką ranę. Przykucnęliśmy przy nim. Zapytał, czy któryś z nas to Torstein Tormodson, zwany Szkutnikiem. Skinąłem

głową, mówiąc, że to ja noszę takie imię. Słyszając to, chwycił mnie gwałtownie za rękę.

– Ty i cały twój ród... Twoje potomstwo... Nigdy nie zaznacie spokoju...

Upojenie piwem sprawiło, że wydarzenia tamtej nocy zdały nam się snem. Pod osłoną mroku zanieśliśmy trupy na brzeg, a potem powiosłowaliśmy z nimi w głąb zatoki i tam – obciążwszy je kamieniami – potopiliśmy. Gdy wytrzeźwieliśmy, tylko plamy krwi w obejściu świadczyły o tym, co zaszło. Lecz po tamtej nocy zrozumiałem, jak czcza była ta cała gadanina o osiedleniu się tutaj, o wypływaniu na połów i hodowaniu owiec na pastwiskach Grima, o poddaniu się jarłowi Orkadów i zrobieniu z siebie Orkadyjczyków. Musieliśmy wyruszyć w drogę, dotrzeć do wysp na zachodzie; do miejsc, gdzie nie znajdą nas żądni zemsty ludzie. Trzeba było jednak poczekać, Sigrid nie mogła rodzić na statku.

Pamiętam, że obserwowałem słońce wynurzające się z morskich głębin. Pamiętam, że stałem na trawiastym brzegu, a moi ludzie, rozsiadłszy się dookoła, popijali z kufli. Trwało lato i noce były krótkie. Kula ognia ledwo zdążyła zanurzyć się w falach na zachodzie, a już unosiła się nad łąkami na wschodzie. Nagle zorientowałem się, że zapanowała kompletna cisza. Jedyne, co słyszałem, to mamrotanie mężczyzn, a kiedy się obejrzałem, właśnie usiłowali stanąć na nogi, zeszywniali, ociążali od trunku. Oczy wszystkich skierowały się na langhus³, ku lekko uchylonym drzwiom, ku ciszy, która wszystkim zdała się zbyt długa. I wtedy rozległ się płacz. Płacz dziecka.

Czekaliśmy w milczeniu. W końcu drzwi się otworzyły i na dziedziniec wyszła Gerdrun, żona jarła. Wytarła w koszulę zakrwawione ręce i spojrzała na mnie.

– Teraz, Torsteinie, możesz wejść.

Zawahałem się. Lęk mnie nie opuszczał. Usłyszałem szept Vidara:

– Właśnie to poczułeś, hovdingu⁴. Niepokój. Przyzwyczaj się, bo zostanie z tobą do końca życia.

Bjørn podszedł gwałtownie do niego i założywszy mu ramię na kark, kazał mu być cicho; i tak stali, Vidar z karkiem oplecionym ramieniem Bjørna i mój brat niespuszczający ze mnie wzroku, posyłający mnie ruchem głowy w stronę drzwi.

Wszedłem na podwórze, czułem pod stopami twardo ubitą ziemię, a na twarzy

powiew letniego wiatru. Gerdrun weszła do domu. Z wnętrza dochodził szcęk przesuwanych mis i kubków.

W końcu doszedłem do drzwi i znalazłem się w panującym we wnętrzu złotawym cieple. Na środku izby stała prycza, zaledwie kilka kroków od paleniska. Po obu stronach leżały kobiety. Była tam Astrid, siostra Sigrid. Była Gerd, jej matka. Daghild, siostra Valpa, i Anbjørg Ivarsdatter, drobna siwowłosa kobieta, którą wyspiarze przywozili z Borgarøy, gdy spodziewano się porodu. A na pryczy leżała ona. Do obnażonej piersi przytulała nagiego noworodka. Delikatnie obejmowała plecki dziecka. Spojrzała na mnie z uśmiechem.

– Mamy syna, Torsteinie.

Wciąż stałem u stóp leża.

– Podejdź – rzekła, wyciągając do mnie rękę.

Gerdrun podprowadziła mnie do krawędzi pryczy. Przymusiła, bym usiadł, wzięła moją dłoń i położyła na plecach dziecka. Czułem ciepło bijące od skóry, czułem, jak ten mały człowieczek oddycha. Sigrid przesunęła swoją dłoń po mojej.

– Nie cieszysz się?

Chciałem znaleźć dla niej słowa o radości, którą czułem, radości tak innej od wszystkiego, czego wcześniej zaznałem. Chciałem podziękować Sigrid za dziecko, które mi dała, za to, że krew naszego rodu będzie nadal płynąć. Jednak nie znalazłem żadnych słów. Czułem, jak łzy napływają mi do oczu, ale szybko je otarłem. Nie chciałem, by kobiety je zobaczyły. Gerdrun poklepała mnie po ramieniu, mówiąc, że to żaden wstyd uronić kilka łez, w końcu niecodziennie mężczyzna zostaje ojcem.

– Teraz weź syna na ręce, Torsteinie. Pokaż go swoim ludziom.

Gerdrun odjęła dziecko od piersi Sigrid i włożyła je w moje ręce. I w tym momencie po raz pierwszy ujrzałem twarz mego syna. Trudno zaprzeczyć, że poczułem ukłucie w sercu. Dziecko było zdrowe, o brązowych włosach, podobnie jak ja, i jasnych, błękitnych oczach, ale prawą stronę szyi pokrywało znamię. Zaczynało się przy obojczyku i sięgało podbródka.

– Młot Thora – stwierdziła położna, podchodząc do nas.

Początkowo nie pojmowałem, o co jej chodzi, ale potem spostrzegłem, że znamię ma kształt młota o krótkim trzonku. Trzonek biegł wzdłuż szyi, a głownia skierowana

była ku podbródkowi i policzkowi.

– Twego syna chroni Thor z rodu Asów, Torsteinie. – Położna lekko docisnęła moją dłoń obejmującą tył dziecięcej główki.– Wyjdź i pokaż go ludziom. Ale się pospiesz, bo maluszek chce teraz przebywać z matką.

Przytuliłem do siebie ciepłe, nagie ciało, podtrzymywałem tył główki, tak jak mi pokazała, i przez chwilę stałem przy łóżku, patrząc synkowi w oczy, a malec zerknął na mnie i chwycił nagle za brodę, na co kobiety otaczające leże wybuchły śmiechem. Ostrożnie stawiając stopy, ruszyłem ku drzwiom i czekającemu za nimi porankowi. Mężczyźni, którzy czuwali ze mną, teraz gromadzili się na podwórzu. Uniosłem dziecko w ich kierunku.

– Mój syn – rzekłem.

Mężczyźni otoczyli mnie. Wysuwali swe sękaty palce ku malcowi, uśmiechali się pod wąsem, mówili nienaturalnie cienkimi głosami. Halvor zaczął recytować pijacki wiersz, którego nikt nie słuchał, a Eystein podniósł trójnogiego Fenrego, żeby ten obwąchał chłopca. Było tego za wiele jak na małego, bo twarzyczka skrzywiła się i z bezzębnej buzi wydobył się niespodziewanie głośny krzyk. Pośpiesznie wszedłem do domu, gdzie położna przystawiła dziecko z powrotem do piersi Sigrid.

Tego dnia świętowaliśmy w porcie. W gospodarstwie Grima nie pozwolono nam na to. Matka Sigrid wyszła przed dom i wygrażając pięścią, kazała nam zabierać nasze wrzeszczące pyski i się wynosić. Przenieśliśmy się na łagodny stok za zagrodą. Przez chwilę postaliśmy przy starym kamiennym kopczyku, a mężczyźni zachęcili mnie, bym się napił. Potem Valp i paru innych przeszli po okolicznych zagrodach, zwołując mężczyzn na świętowanie, a pozostali udali się do portu po drugiej stronie wzgórza. Wszedłem na pokład knary zacumowanej przy kamiennym nabrzeżu. Stałem na rufie przy wiośle sterowym, skąd miałem widok na wodny szlak między północnymi wyspami. Zwróciłem twarz ku brzegowi, w stronę ludzi gromadzących się wokół ogniska. Nieokrziesani, zahartowani w boju wojowie, większość z nich stanowili Danowie i Norwegowie służący ze mną w Jomsborgu. Teraz tworzyli załogę statku, który Svein Widłobrody podarował mi po bitwie pod Svolder i chociaż miałem zaledwie dwadzieścia lat i należałem do najmłodszych na pokładzie, to właśnie mnie

zwali hovdingiem. Od chwili, gdy postawiliśmy żagiel i przepłynęliśmy morze, minęły zima i wiosna. Czas ten upłynął nam tu, na Orkadach, w oczekiwaniu na narodziny dziecka. Podczas tingu zwołanego przy maszcie postanowiliśmy czekać i nie przeprować się do Islandii przed zimowymi sztormami. Wielu chciało pomścić norweskiego króla. Zimowanie na Rossøy, gdzie zawijały statki handlowe, by zaopatrzyć się w wodę przed podróżą ku norweskim brzegom, nie było wolne od ryzyka. Ktoś mógł się dowiedzieć o naszym pobycie. Tak też się stało. Ale nawet po napadzie, który wydarzył się tamtej nocy, pozostaliśmy. Byliśmy jomswikingami i tworzyliśmy niezłą bandę. Było nas ponad trzydziestu, mieliśmy broń i nie brakło nam strzał. Po pijanemu pokonaliśmy tamtej nocy ludzi Olafa. Moi towarzysze byli zdania, że następnym razem też nam się uda. Odparłem, że chociaż jesteśmy jomswikingami, to jednak stanowimy łatwy cel tu, na wyspie. A na zachodzie czeka bogactwo. Rosną tam strzeliste modrzewie, lepszego materiału na poszycie statków nigdzie się nie znajdzie. Do tamtych ziem nie zgłosił praw żaden hovding. Tam będziemy mogli się wzbogacić.

Usłyszałem, że Bjørn mnie woła. Czy nie usiądę z nimi? Rozsiadł się przy przygotowanym ognisku, które Hutten właśnie rozpałał, krzesząc iskry i podsycając płomienie wiechciem suchej trawy. Szkot był silnie zbudowanym, lecz niewysokim mężczyzną. Gdy miał narzuconą na siebie włochatą opończę i stał przygarbiony, odnosiło się wrażenie, że wynurzył się spod powierzchni ziemi i narzucił na ramiona kawał darni. W zatoce synowie Vidara chlapali się nawzajem wodą. Mieli szukać omułek i posuwając się wzdłuż kamieni, ostrożnie badać grunt palcami stóp, ale najwyraźniej nie traktowali zadania zbyt poważnie. Fenre kuśtykał razem z suką Skjalma i włókł za sobą kłęby wodorostów. Teraz i Eystein zaczął mnie przywoływać. Nie mam chyba zamiaru sterczeć tam w pojedynkę, napić się trzeba!

Jednak jeszcze chwilęostałem na rufie. Niepokoiło mnie znamię na szyi dziecka. A co, jeśli sprawa była poważna, jeśli to jakaś choroba? Strach zakorzenił się boleśnie w mojej piersi i miałem ochotę pobiec z powrotem do gospodarstwa w nadziei, że tamtejsze kobiety przekonają mnie, że to nic niezwykłego i że znamię zblednie, a w końcu zniknie, ale wówczas na trapie pojawił się Halvor. Niósł ze sobą dwa kubki.

– Twoje oczy są zazwyczaj pogodne, Torsteinie. – Podał mi kubek i stanął obok, kierując wzrok, podobnie jak ja, w stronę przystani. – Ale teraz mam wrażenie, że tam, w środku, zbiera się na burzę. Myślisz o tym znamieniu?

Milczałem.

– Nie dziwi mnie, że się martwisz. – Halvor wcisnął swój kubek do mojej wolnej ręki i rozluźnił pas. Myślałem, że chce się wysikać, ale spuścił spodnie i odwrócił się, pokazując mi swój nagi tyłek. – Patrz – powiedział, klepiąc się po zadku. – Patrz i mów, co widzisz.

Nie widziałem niczego oprócz gołego tyłka.

– Gdy się urodziłem, miałem tam znamię, wielkie jak męska dłoń. Ale z czasem zbladło. – Wyprostował się, wyjął z mojej dłoni kubek, wziął spory łyk i podciągnął spodnie. – Niewykluczone, że znamię twego syna też zblednie. A poza tym i tak zapuści brodę. Uciszyć więc tę nawałnicę w swoim spojrzeniu i przyjdź do nas się napić.

Nagle coś innego napełniło mnie lękiem. A co, jeśli chrześcijanie ujrzeliby ten znak Thora i pomyśleli, że chłopiec został naznaczony przez moce, które dla nich były fałszywymi pogańskimi bóstwami. Może spróbowaliby go zabić. Oni nienawidzili wszystkiego, co wiązało się ze starymi wierzeniami.

Kiedy wspomniałem o tym Halvorowi, pogładził się w zamyśleniu po brunatnej brodzie i pociągnął kolejny łyk. Przystojny Halvor nie był. Całe jego ciało, od stóp, gdzie brakło dwóch palców, do czubka głowy, nosiło ślady życia przeżytego jako jomswiking. Jedna blizna biegła w poprzek czoła, inna wzdłuż policzka. Kolejna zdawała się rozszczepiać dolną wargę tuż przy kąciku ust, co sprawiało, że miał dziwaczny, krzywy uśmiech. Jednak dobrze było mieć Halvora obok, gdy człowiek pogrążał się w czarnych myślach. Była w nim radość, którą zarażał innych.

– Kto by się przejmował chrześcijanami. Tam, dokąd płyniemy, takowych nie znajdziesz. Tam prawie w ogóle nikogo nie ma. Tak przynajmniej powiadają. – Halvor stuknął kubkiem w mój kubek. – Ale teraz powinieneś się napić. Masz syna, chłopcze. Pij.

– Tylko kilka łyków – mruknąłem, przystawiając kubek do ust. Napitek Huttana świetnie się nadawał do rozpędzania smutków, o tym od dawna wiedziałem. Mówił, że przywiózł go od krewnych. Tam, w ich ziemiance, gdzieś na stałym lądzie, trunek

fermentował przez całą zimę i powiadano, że nie było mocniejszego piwa na północ od Jorviku.

Staliśmy we dwójkę przy wiosle sterowym. Bawiłem się drążkiem, który miał to do siebie, że po jakimś czasie zaczynał odstawać od trzonu wiosła. Był wyprowadzony pod kątem prostym i sternik miał go przed sobą, ale rzemienie wiążące go z wiosłem szybko się obluzowywały. Obym tylko nie zapomniał nasmarować ich owczym tłuszczem przed podróżą. Zdaniem Halvora powinienem podziękować bogom za zdrowego i silnego syna, a i matce po powrocie do gospodarstwa powinienem podziękować. Jednak z tym ostatnim można było poczekać. Teraz należało wypić ku czci bogów.

Po tych słowach wypiliśmy kilka łyków. Staliśmy na rufie, patrząc w stronę portu, ku wyspom i ku otwartemu morzu, błyszczącemu we wschodzącym słońcu. Widziałem załogę, która zebrała się wokół ogniska i do której przyłączyli się Vidar i Gislaug z dwiema córkami, obie były już w takim wieku, że trudno było je nazywać dziećmi. Byli tam ich dwaj synowie, jeden miał zaledwie pięć zim, drugi dziesięć. Pojawił się też Skjaln z niewolnicą, którą uprowadził z Fionii, a nad brzegiem stała ich córka, rzucająca kamyczkami w taki sposób, że odbijały się od powierzchni wody. Przy ognisku toasty wznosili mój brat Bjørn i Eystein Pierdziuch, Hutten i Valp. Obserwując port, widziałem, że zbiera się tam coraz więcej mieszkańców wyspy, bo wcześniej wszyscy wiedzieli, że Sigrid ma rodzić, a teraz ludzie domyślili się, że nadszedł czas świętowania. Wciąż nie pojawiał się ojciec Valpa, Sigurd Lodveson, jarl Orkadów. Chociaż każdy, a zwłaszcza Valp, był zdania, że najlepiej byłoby, gdyby staruch trzymał się od nas z daleka. Halvor pociągał z kubka. Ja oszczędzałem piwa, nie śmiałem się upić i nie odrywałem wzroku od morza, na wypadek gdyby nadpływały jakieś obce statki. Te małe łyki, na które sobie pozwalałem, dawały jednak poczucie spokoju i tym spokojem dzieliłem się z Halvorem. Mruknąłem, że może ze mnie dureń, który przejmuje się znamieniem, a wtedy mój druh położył mi dłoń na ramieniu i rzekł, że skoro już miałbym o tym myśleć, to powinienem myśleć z radością, bo był to znak bogów. Na moment przystanąłem przy jednej z podpór, na których ułożyliśmy reję, i ogarnąłem wzrokiem statek. To była jedna z największych knar, jakie kiedykolwiek widziałem, i odczuwałem nieopisaną dumę z posiadania tak

imponującego statku⁵. Reję podnosiło się linami ukreconymi z rzemieni z foczych skór, a wyciosane z dębu wręgi były tak dopasowane do klepek poszycia, że można by pomyśleć, że są ulepione z gliny. Aby statek giętko poddawał się falom, wręgi przymocowano do stępki fiszbinami; z kosztami nikt się tu nie liczył. Położywszy dłoń na rei nade mną, wyczułem słoje w drewnie i wciągając w nozdrza zapach słonej wody i smoły, pomyślałem, że wkrótce ten statek zabierze nas w daleką podróż. Mieliśmy opuścić wyspy i wypłynąć na morza, których nie znaliśmy.

Dołączyliśmy do biesiadujących przy ognisku, a Eystein wyjął drumlę, którą swego czasu nabył od walijskich kupców. Grać to on nie potrafił, ale ludzi tyle się teraz naschodziło, że i tak nikt muzyki wyraźnie nie słyszał. Siedząc przy ognisku, poczułem nadchodzący sen, któremu nie stawiałem oporu. Byłem wyczerpany. Położyłem się na wznak i natychmiast usnąłem.

Spałem tak długo, aż dzień zaczął się chylić ku wieczorowi. Powiedzieli mi później, że Sigurd Lodveson przyjechał konno i rozmawiał na plaży z Valpem. Starzec był agresywny i chciał, by syn wrócił z nim do domu, lecz gdy chwycił go za ramię, Valp wyrwał mu się, krzycząc, że przysięgał wierność Torsteinowi Tormodsonowi i jego statkowi, po czym przyłączył się do świętujących przy ognisku. Ojciec został sam, a narośl na szyi, tuż nad wycięciem tuniki, przybrała czerwonawą barwę, co działo się zazwyczaj, kiedy był wzburzony.

Świętowano cały dzień, a mężczyźni przysypiali przy ognisku, potem ktoś nimi potrząsał, a oni sięgali po kolejny kubek. Podobnie jak ja, większość nie przespała poprzedniej nocy, ale chcieli pić, dopóki mieli ku temu sposobność. Teraz gdy Sigrid już urodziła, jasne było, że nie będę dłużej zwlekać z wypłynięciem. Nadszedł najkorzystniejszy czas na morską podróż. O tej porze roku wiatry były łagodne, a prądy morskie kierowały się na zachód.

Wieść niesie, że tamtego dnia jomswikingowie Torsteina Tormodsona osuszyli wszystkie beczki na głównej wyspie. Mogę tylko stwierdzić, że to kłamstwo, bo chociaż byliśmy jomswikingami, przynajmniej większość z nas, i chociaż nazywano

mnie hovdingiem, mężowie ci nie byli moimi. Jomswikingowie byli wolnymi ludźmi i jeśli za kimś szli, to tylko dlatego, że sami tego chcieli. Ale prawdą jest, że tamtego dnia wypito sporo, a gdy się ocknąłem pod wieczór, mój brat, a także Halvor, Valp i Hutten mieli nieźle w czubie, siedzieli przy ognisku, gadali od rzeczy i śmiali się do rozpuku. Pozbierałem się z ziemi i niespiesznie wróciłem do zagrody, z trójnogim Fenrem depczącym mi po piętach.

Kiedy wszedłem do domu, Sigrid spała z niemowlęciem przy piersi, a jej wąskie dłonie spoczywały na dziecięcych pleckach. Po chwili pogładziłem chłopczyka po puszystych, ciemnych włoskach, pogłaskałem po policzku, tuż nad znamieniem. Dotknąłem rączki. Była zaskakująco mała. I w tym momencie maluch chwycił mnie za palec, mocno ścisnął i tak trzymał przez dłuższą chwilę.

Sigrid nie była sama w długim domu. Jej matka, Gerd, spała na jednej z prycz, a Gerdrun, żona jarla, siedziała na ławie. Wyglądało na to, że również ona potrzebowała ciszy, bo tylko spojrzała z uśmiechem, nie próbując mnie zagadnąć. Można by sądzić, że ona też spała, gdyby nie jej palce, zajęte włóczką i igłą. Trzy pętelki wokół palca, a potem nieznaczące szarpnięcie igłą – coś dziergała. Używała szorstkiej, niebarwionej wełny, zgadywałem, że robi owijacze. Podobnego pasa użyto, gdy ja i Sigrid zostaliśmy sobie zaślubieni. Gerd wciąż miała wełniany pas, którym połączono dłonie jej i Grima. Dostała go kiedyś od swojej matki i od tamtej pory przechowywała. Przypuszczała, że to siostrę Sigrid najpierw wydadzą za mąż, lecz jej zalotnikowi wpadła w oko dziewczyna ze stałego lądu i rzadko bywał na wyspach. Kiedy się zjawiliśmy na Orkadach, a Sigrid oznajmiła matce, że jest moją kobietą, od razu przystąpiono do przygotowania zaślubin. Staliśmy na podwórku w otoczeniu wyspiarzy, ponieważ Grima wszyscy lubili, a przecież miano świętować zaślubiny jego córki. Domyślano się, że oczekiwała dziecka, bo zjawiała się tu ze mną, a ja byłem teraz hovdingiem i wielmożą w oczach mieszkańców wysp. Nasze dłonie owinięto wełnianym pasem, po czym jarl Orkadów położył na nich rękę i donośnym głosem obwieścił, zwracając się ku morzu i wzgórzom, że od tej chwili Sigrid i Torstein należą do siebie, że ich nici życia są ze sobą połączone.

Wciąż siedziałem przy Sigrid, malutka rączka syna obejmowała mi palec, gdy w izbie pojawił się Sigurd Lodveson. Kilku ludzi pełniących straż na podwórku weszło za nim najwyraźniej z zamiarem przytrzymania go. Pokręciłem krótko głową, na co się wycofali. Kiedy po raz pierwszy znalazłem się na Orkadach jako zbiegły niewolnik, jeszcze za życia Grima, ojca Sigrid, poczułem niechęć do miejscowego jarla. On i jego świta wciąż kręcili się po wyspach, żądając podatków, i z tego powodu nie był na Orkadach lubiany. Wówczas pojawił się Olaf ze swoją flotą, a jarl próbował i jego oskubać, podobnie jak to czynił z ojcem Sigrid i innymi wyspiarzami. Jednak Olaf go upokorzył. Potężnym ciosem pięści zrzucił jarla z kamiennego pomostu do morza i nieomal go utopił. Razem z Bjørnem przyłączyliśmy się do Olafa, walczyliśmy za niego, potem popadliśmy w niełaskę, skutkiem czego spędziliśmy kilka lat w krainie Wendów, gdzie wyszkolono nas na jomswikingów i gdzie chłopiec, którym wtedy byłem, stał się mężczyzną. Że to mój topór położył Olafa w bitwie pod Svolder, bardzo się jarlowi Orkadów podobało i nie minęło wiele dni od mego przybycia na wyspy, gdy przyjechał konno i wręczył mi srebrną zapinkę wielkości kobiecej dłoni. Zapinka leżała teraz w skrzyni pod pryczą, na której sypialiśmy razem z Sigrid. Rzadko jej używałem, nie chciałem, by mieszkańcy wysp czuli do mnie niechęć, podobną tej, jaką żywili do jarla.

Jarl, stanąwszy u stóp pryczy, przyglądał się matce i dziecku, przygryzając wąsa.

– Słyszę, że masz syna. Dobrze, kiedy pierworodne dziecko to syn. Może będzie miał siostry, których będzie musiał pilnować.

Nie odezwałem się. Chciałem, by się wyniósł. Podszedł do żony i zerknąwszy na jej robótkę, rozsiadł się obok na ławie. Sigurd Lodveson nie starzał się zbyt ładnie. Miał opadające ramiona, ale za to szeroki i wydatny brzuch. Siwa broda była przerzedzona, a czaszkę okalały zwisające kosmyki włosów. Tunikę miał jednak czystą, a spodnie i owijacze były z cienkiego lnu w kolorze ochry.

– Hund powiada, że popłynie z tobą. Ufam, że mu to wyperswadujesz, Torsteinie.

Tylko jarl używał tego imienia. My, pozostali, nazywaliśmy jego syna Valpem ⁶. Od tego dnia, gdy powiosłowaliśmy do domu po bitwie pod Svolder, Valp stał wiernie u mego boku. Trzymał, podobnie jak pozostali, swoją skrzynię wioślarską na pokładzie Dana i tam zamierzał ją pozostawić.

– Potrzebuję go w gospodarstwie – ciągnął jarl. – Gerdrun umrze z żalu, kiedy chłopak ponownie nas opuści.

Gerdrun wciąż milczała. Nawinęła igłą na palec trzy kolejne pętelki.

– Cieszysz się przyjaźnią Sigurda Lodvesona – dodał jarl, wbijając we mnie wzrok.
– Jeśli będziesz mi służył, to ani tobie, ani twemu rodowi niczego nie zabraknie.

Sigrid obudziła się, zamrugła i chciała obrócić się na bok, ale momentalnie uprzytomniła sobie, że ma dziecko przy piersi, więc pozostawszy w tej samej pozycji, zaczęła je gładzić po plecach.

– Przez całą zimę żywiliśmy cię i twoją załogę. Wiesz zatem, że szczodry ze mnie mąż.

– Racja – zgodziłem się. – I jesteśmy za to wdzięczni.

Sigurd podciągnął wycięcie tuniki, by zasłonić narośl, i odchrząknął.

– Tamtejsze wyspy nie są dobre dla kobiet i dzieci, Torsteinie. Niech Sigrid i wasz syn tutaj zostaną. Będę o nich dbał aż do twego powrotu. W zamian za to zajmiesz w moim imieniu każdy urodzajny łąd, który odkryjesz, jeśli w ogóle na coś takiego natkniesz się na zachodzie.

Wstałem z brzegu pryczy.

– Nie zostawię tu Sigrid samej. I to Svenovi Widłobrodemu przyrzekłem, że kraj, który odkryję, zajmę w jego imieniu.

– Już o tym rozmawialiśmy. – Sigurd, podniósłszy się z ławy, wepchnął dłonie za pas, jakby ponowienie żądania oznaczało, że powinienem mu ustąpić.

Odwróciłem się do niego tyłem.

– Nie odwracaj się do mnie plecami, Torsteinie. To niemądre z twojej strony.

Ani drgnąłem.

– Nie służę żadnemu panu.

– Co rzekłeś?

Jarl Orkadów był starzejącym się człowiekiem i być może nie słyszał już zbyt dobrze. Podeszedłem do drzwi i otworzyłem je na oścież.

– Będę szukać nowych ziem – powiedziałem. – I będę pamiętał, że pomogłeś nam przetrwać zimę.

Sigurd Lodveson zbliżył się i chwyciwszy mnie za ramię, wbił we mnie ostre

spojrzenie. Jak na swój wiek miał nieoczekiwanie białe i zdrowe zęby, co sprawiało, że stając tuż przy tobie, mógł nagle sprawiać wrażenie silnego i młodzieńczego.

– Czyniąc tak, mądrze uczynisz, skutniku.

Nie odezwałem się. Uwolniłem ramię, a Sigurd podrapał się nerwowo po narośli i wyszedł.

Jarl oddalił się w kierunku portu i pewnie zamierzał się napić, a może wracał tam, chcąc nakłonić syna, by zrezygnował z wyprawy. Zeszliśmy z Fenrem na podnóże trawiastego wzniesienia, gdzie czuwaliśmy, kiedy Sigrid leżała w bólach porodowych. Siedziałem, obserwując, jak słońce zanurza się w morzu, a wyspy i szkiery na krótką chwilę nabierają złocistej barwy. Skały były niczym wykute z brązu i złota, a łąki tkane z najdelikatniejszego zielonego jedwabiu. Fenre oparł łeb na moim udzie, a ja znowu zacząłem się zamartwiać znamieniem. Nagle uświadomiłem sobie, że nie ma człowieka bez wad. Nie ma człowieka bez blizn i obrażeń. Ja miałem tę swoją prawą nogę, która nie zawsze nadążała.

Wciąż tam siedziałem, gdy pojawił się Bjørn na chwiejnych nogach. Był porządnie podpity i mnie nie zauważył. Ledwo dostrzegał budynki. Najpierw wpadł na róg obory, po czym wtoczył się na podwórze, gdzie stanął, kołysząc się jak maszt na wysokich falach. Najwyraźniej zapomniał tuniki sprzed ogniska, bo stał półnagi i trzymał dłonie przed sobą, spoglądając na nie spod długich czarnych włosów. Brat był wówczas masywnej budowy. O szerokich plecach i opadających, ciężkich od mięśni ramionach. Na jednym przedramieniu miał zagłębienie, w którym można było ułożyć cały kciuk; to tam trafiła go strzała tego dnia, gdy Sigvalde ze swymi Gotalandczykami ⁷ zaatakował Jomsborg. W tej samej bitwie Bjørn został trafiony również w szczękę, strzała przeszła jamę ustną. Złamanie się zrosło, a bliznę pokrył gęsty zarost, ale stracił kilka zębów trzonowych.

Bjørn opadł na kolana. Dygotały mu ręce, chwycił się za twarz i rozplakał. Podeszliśmy do niego z Fenrem. Dźwignąłem brata na nogi, zaprowadziłem do domu, ułożyłem na skórach przy ognisku i w tym opłakanym stanie zostawiłem samemu sobie. Stałem przy Sigrid, ale kiedy wyciągnąłem rękę, by przesunąć palcami po włosach synka, mruknęła, bym jej dał spokój. Wpełzłem więc na jedną z pustych

prycz pod ścianą, a Fenre ułożył się tuż przy moim brzuchu. Opanowało mnie dziwne uczucie. Zamknąwszy oczy, miałem wrażenie, że łóżko kołysze się przede mną, jakbym już był na morzu.



2

Klątwa

Wyłynęliśmy z Rossøy dwa dni po sommerblot. Mieszkańcy okolicznych gospodarstw zebrali się, by nas odprowadzić, ale Sigurd Lodveson się nie pojawił. Płynęliśmy na północ z łagodnym południowo-zachodnim wiatrem i wkrótce wyspy za naszymi plecami zanurzyły się w morzu. To ja stałem u steru pierwszego dnia. Czasami załoga zerkała w moją stronę, jakby chciała sprawdzić, czy znajdzie u mnie ślady lęku lub zwątpienia, ale ja zawsze kierowałem wzrok na morze, ku linii horyzontu. Swego czasu dyskutowano, czy nie powinniśmy raczej pożegłować na wschód albo z powrotem do Svena Widłobrodego, gdzie jomswikingowie byli mile widziani jako członkowie hirdu, albo do Trøndelagu, rządzonego przez Eirika i Sveina Håkonsonów. Kupcy przyływający z Norwegii opowiadali, że obaj jarlowie z Lade zabili lub wypędzili wszystkich możliwych, którzy ich nie wspierali. Jeśli żylibyśmy w przyjaźni z Håkonsonami, cieszylibyśmy się ich opieką i niewykluczone, że daliby nam również ziemię.

Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Miałem taki okres w życiu, gdy kawałek ziemi

i własna zagroda były wszystkim, na co mogłem mieć nadzieję i o nic więcej nie prosiłbym bogów. Ale wtedy byłem tylko dzieciuchem z wciąż świeżymi bliznami po niewolniczej obręczy. Teraz byłem kimś więcej. Stałem się wojownikiem, jomswikingiem. Miałem załogę pod swoją komendą. Zostałem ojcem. Dlatego, ledwo spadł pierwszy śnieg, zabawiałem się myślą, która początkowo mnie przerażała. Gdybyśmy znaleźli ziemię na zachodzie, która okazałaby się tak żyzna i bogata w lasy, jak głosiły opowieści, tobyśmy się tam osiedlili. Zajęlibyśmy ową krainę w swoim imieniu. Nie jako wasale władcy Danów, ale jako wolni ludzie, którzy nie muszą zginać kolan przed żadnym królem czy jarlem. Jeśli znaleźlibyśmy tam dobre drewno, budowalibyśmy statki, które przewieźlibyśmy na pozbawioną lasów Grenlandię i na Islandię, gdzie nabywalibyśmy zboże i bydło. Kobiet też byśmy potrzebowali, jeśli z czasem nasze domy miałyby rozbrzmiewać dziecięcym śmiechem. Kupowalibyśmy niewolników na Islandii i zabralibyśmy ich ze sobą, oferując im wolność. To ostatnie było pomysłem Halvora. Słyszał, że na Islandii było więcej niewolników niż ludzi wolnych i że ich los był nie do pozazdroszczenia. Ledwie dostawali coś do jedzenia, byli bici i poniewierani od pierwszych lat życia, aż do momentu, gdy wyzionęli ducha.

Wszyscy mężczyźni na pokładzie byli jomswikingami, z wyjątkiem Valpa i Huttena. Jomswikingowie przyłączyli się do mnie i Bjørna po bitwie pod Svolder. Najwyraźniej doszli do wniosku, że okażą się sprawiedliwym hovdingiem, i mieli ku temu powody. Obiecałem, że wszystko, co zarobimy, podzielimy równo. Oprócz Bjørna i mnie był tam Halvor, poorany bliznami wojowniczy skald, którego wyciągnąłem z wody u brzegów Irlandii i który później z takim zapałem przemawiał na moją korzyść, że Vagn – jarl Jomsborga – pozwolił mi przejść próbę, dzięki której zostałem przyjęty do bractwa, chociaż byłem na to za młody. Do załogi należał także rudobrody Eystein Pierdziuch, który w Jomsborgu odpowiadał za konie. Byli tam także Harald Tora z Zelandii oraz Helge i Asmund, rozdzieleni w dzieciństwie bracia, którzy nie pamiętali miejsca swego urodzenia, ale mówili pewnego rodzaju norweszczyzną. Byli Jutlandczyk Eilef Sakwa, Gudve syn Holgego, a także Holge, ale nie ojciec Gudvego – był znacznie od niego młodszy. Ponadto Horn-Bor, Kar-Munn i Borleik, trzech Danów, którzy rzadko mieli coś do powiedzenia, ale których znałem

dobrze z Jomsborga. Na pokładzie znajdowali się również Eirik Tokeson, Frode Floke i Torvar Haraldson. Hauk Hu był kolejnym członkiem załogi rzadko zwracającym na siebie uwagę, chyba że dawali piwo. No i jeszcze Skjaln i Vidar, którzy zabrali ze sobą kobiety i dzieci, a także Kåra Skanijczyk, daleki krewny Eilefa Sakwy. Ponadto Orm Przynęta, Bork Kubeł i Torvar Bezbożnik, Torkel Arvson, Gudmund Wysepka, Ulf Łajba, Tore Ząb Torleifson, Borleik z Birki oraz Tor Kołtun. I jak wspomniałem, płynęli z nami także Valp i Hutten. Ten ostatni nauczył mnie kowalstwa, gdy jako młody chłopak służyłem u ojca Sigrid. W zasadzie miał na imię Hutt, ale wszyscy nazywali go Huttenem. Był już w podeszłym wieku, lecz przy pierwszej pełni księżyca, która nastąpiła tej wiosny, niespodziewanie pojawił się przy statku i poprosił o przyjęcie do załogi.

Załoga liczyła trzydziestu jeden mężczyzn, a z Sigrid i naszym dzieckiem, żonami Vidara i Skjalma, dwoma synami i dwiema córkami Vidara i jedną córką Skjalma, było nas w sumie czterdzieści osób. Statek był duży, jedna z największych knar, jakie spotykano w tych czasach. Używano jej jako statku dostawczego przy tworzeniu barykady pod Svolder i trudno było sobie wyobrazić jednostkę lepiej przystosowaną do czekającej nas wyprawy. Jeśli stawiałeś jedną stopę tuż za drugą i tak przeszedłeś od dziobu do rufy, naliczyłeś osiemdziesiąt dwa kroki. Knara była także dość szeroka i miała wysoką wolną burłę, co sprawiało, że pod pokładem znajdowało się sporo miejsca i było na tyle wysoko, że w zasadzie mogłem stać wyprostowany.

Ponieważ burta była wysoka, wiosła wychodziły z otworów w nadburciu. W tym czasie coś takiego widziało się jedynie na największych knarach. Wioślarze siedzieli na pokładzie na swoich skrzyniach. Aby dosięgnąć wody, wiosła musiały być długie. Trzeba przyznać, że Danem trudno się wiosłowało i dopóki kadłub sunął przed siebie, nie używaliśmy wiosła. Wcześniej wzdłuż burty biegło zagłębienie, w którym siedzieli wioślarze, co najprawdopodobniej chroniło ich lepiej przed strzałami i skracało odległość do tafla wody. Ale ową rynnę usunięto, a pokład sięgał od burty do burty, co dawało więcej miejsca ładunkowego, a takiego miejsca potrzebowaliśmy. Same beczki z wodą zajmowały dużą część ładowni. Ponieważ jednak byliśmy liczni, to i tak większość beczek musiała stać na pokładzie, gdzie istniało niebezpieczeństwo, że dostanie się do nich słona woda.

Jak wspomniałem, każdy mężczyzna miał wiosłarską skrzynię, w której trzymał swój dobytek: zimową tunikę, skórzane wierzchnie odzienie, a także porządne buty z krowiej skóry, węzłki z hubką i krzesiwem. Posiadacze złotych lub srebrnych monet również przechowywali je w skrzyniach razem z innymi cennymi drobiazgami, takimi jak szklane paciorki, posążki bogów, drumle, piszczałki, groty strzał. Skrzynie służyły za wygodne siedziska podczas wiosłowania, a przy postawionym żaglu mocowaliśmy je rzemieniami na śródokręciu.

Pokład Dana był jedyny w swoim rodzaju. Rzadko miałem okazję widzieć tak dobrze oheblowane klepki, na dodatek prawie bez sęków. Były mocowane na starannie wykute nity i łączone pod spodem z żelaznymi podkładkami, tak samo jak w przypadku poszycia. Pokład był przewiercony w trzech miejscach: tam gdzie osadzony był maszt oraz tam gdzie umieszczono podpory do rei, podobne do dwóch gigantycznych ramion ze zdeformowanymi dwupalczastymi dłońmi. Maszt nie był zbyt wysoki, ale dobrze zabezpieczony sztagami z rzemieni z foczej skóry, a ponieważ statek był długi i ciężki, jego reja należała do najdłuższych, jakie kiedykolwiek widziałem – była nawet dłuższa niż maszt. Gdy nie żeglowaliśmy, reja spoczywała na podporach, wzdłuż statku, ciasno owinięta żaglem.

Bjørn i ja zanurkowaliśmy pod kadłubem i zobaczyliśmy, że w połowie między stępką a powierzchnią wody linia statku załamuje się: burta ostro schodziła w dół, mniej więcej na długość dwóch dłoni, a potem znowu łukiem ku stępce. Domyśliliśmy się, że to miało przeciwdziałać dryfowaniu, a statek pokazał, że chociaż był szeroki, mógł iść niezwykle ostro pod wiatr. Niełatwo było znaleźć jednostkę lepiej radzącą sobie z trudnymi warunkami pogodowymi niż Dan, ale miał jedną słabość: w odległości na wysokość człowieka od masztu miał otwór w pokładzie. Stał tam Vingur, głową sięgając tuż nad krawędź. Końskie studzienki, jak w tym czasie nazywaliśmy takie otwarte ładownie, miały szerokość i długość, które odpowiadały długości dorosłego konia frankońskiego. Przy częstych falach zalewających pokład statek mógł pójść na dno, o ile załoga zaniedbała wylewanie wody. Ale bez takiej przestrzeni nie moglibyśmy przewozić koni, a ja nie chciałem wyruszyć w podróż bez Vingura. Był dobrym wierzchowcem, przynajmniej w moich oczach. Podobnie jak ja trochę kulał, ale bezpiecznie nosił mnie na grzbiecie i sprawdzał się jako zwierzę

pociągowe i juczne. Nieraz dreptał za mną jak pies, co bawiło moich towarzyszy.

Mieliśmy pomyslny wiatry w drodze z Orkadów. Pamiętam, jak Dan sunął po grzbietach fal pod napiętym żaglem. Pod wieczór pierwszego dnia Bjørn zastąpił mnie przy sterze i pamiętam, że następnego ranka obudziło mnie pianie koguta przewożonego w wiklinowej klatce. Pamiętam, że przejąłem ster i ledwo położyłem dłonie na drążku, gdy pojawiły się dwa wieloryby, wydmuchując powietrze tuż przy naszej sterburcie. Jeden z nich był potężny, o głowie obrośniętej pąklami, a drugi mały, być może była to matka z cielakiem. Skjalm natychmiast zaczął szykować swój harpun i już chciał spuszczać lekką łódkę na fale. Uwielbiał polowania jak rzadko kto. Ja jednak utrzymywałem stałą prędkość.

Wieczorem drugiego dnia zastąpił mnie Valp. Fenre, który przez większość czasu wylegiwał się między moimi stopami, pokuśtykał teraz do czarnej długonogiej charcicy, którą wziął ze sobą Skjalm. Suka obróciła się przodem w stronę małego trójnogiego Fenrego i wysunęła w jego stronę pysk. Chociaż zwaliśmy go trójnogim, nie była to do końca prawda. Miał cztery łapy, z tym że jedna tylna zwisała mu z biodra niczym narośl. To mu najwyraźniej nie przeszkadzało. Choć miał już swoje lata, wciąż żwawo się poruszał. Odważnym stworzeniem może i nie był, ale potrafił szybko zmykać, gdy rozdrażnił inne psy. Opiekowałem się Fenrem od lat chłopięcych, gdy jako niewolnik przybyłem do osady kupieckiej w Skiringssalen. Być może Fenre został mi zesłany jako swego rodzaju ostrzeżenie, bo właśnie w tamtej osadzie zadano mi cios, który mnie okaleczył. Byłem kulawym człowiekiem, który miał kulawego psa i kulawego konia, z czego moi kompani mieli mnóstwo uciechy, kiedy sobie popili. Teraz Fenre kuśtykał dzielnie wokół suki, na co ona najpierw reagowała cichym warczeniem, po czym unosiła wargi i odsłaniała długie białe kły, a Fenre brał nogi za pas. Psy odgrywały to przedstawienie przynajmniej raz dziennie. Fenre nie wydawał się przestraszony, gdy o wiele większa charcica skubała go zębami za sierść. Halvor nazywał go podrywaczem i nieraz nagradzał jego podchody kawałkiem suszonej ryby.

Poszedłem do Sigrid, siedziała przy nadburciu razem z Gislaug. Kobiety położyły na pokładzie kilka baranic. Towarzysząca im jedna z córek Gislaug trzymała na

kolanach nasze dziecko. Sigrid odchyliła głowę i oparła się o nadburcie. Przechodząc obok, stąpnałem mocniej, co ją obudziło.

– Nie powinniście siedzieć z nim tak blisko burty – powiedziałem, a Sigrid, przegnawszy sen z oczu ruchem dłoni, zabrała malca z kolan dziewczynki. Mówiąc szczerze, wygłupiłem się, bo podwyższyliśmy nadburcie na tyle, że teraz sięgało dorosłemu mężczyźnie do pępka. Kiedy się zawiesiło tarcze po zewnętrznej stronie, było się osłoniętym aż do szyi.

Nie była to jednak jedyna praca, którą wykonaliśmy na statku. Od chwili przybycia na Orkady cały czas dokonywaliśmy drobnych napraw. Uszkodzone klepki zastąpiliśmy nowymi. Klepki przewieźliśmy z Szetlandów, gdzie ścinałliśmy jesiony, dęby i wiązy. Wszystkie zardzewiałe nity wyciągnęliśmy, wykuliśmy nowe, a zanim je wbiliśmy, owinęliśmy je niepłukaną owczą wełną. Powiosłowaliśmy na płytką wodę i podczas odpływu pociągnęliśmy kadłub świeżą smołą, a wszystkie szwy w żaglu nasmarowaliśmy pszczelim woskiem i owczym tłuszczem. Nasz statek był tak bezpieczny, jak tylko statek może być bezpieczny i powinien stawić czoło silnym wiatrom i wysokiej fali. Ale gdyby jedna z dziewcząt trzymająca mego synka w ramionach wstała w momencie, kiedy dziób statku wbijał się w falę albo kiedy wiatr nagle zmieniłby kierunek i przerzucił reję na drugą stronę, mogłoby to się źle skończyć. Ujrzałem oczyma wyobraźni, jak dziecko wyślizguje się z wątych dziewczęcych ramion i wpada w ciemną głębinę. Statek sunie obok, a dziecko znika, zanim udaje mi się dopaść drążka steru i wrzasnąć, żeby opuścić reję, wysunąć wiosła, że mój syn wypadł za burtę. I mężczyźni rzucają się do lin, reja trzaska o pokład, długie, ciężkie wiosła wysuwają się, ale za późno, za późno. Mój syn jest już w królestwie bogini Ran.

– Siądźcie bliżej masztu – powiedziałem. – Albo zejździe pod pokład. – Miałem chrypliwy głos i zabrzmiałem opryskliwie. W oczach Sigrid pojawił się ostry błysk. Po wyjeździe niewiele się do mnie odzywała. Razem z matką stały długo na pomoście, obejmując się. Obie płakały. Jej rude kędziory powiewały na wietrze, a gdy matka ją w końcu wypuściła z objęć i Sigrid znalazła się na pokładzie, matczyne spojrzenie przeszło mnie na wylot niczym grot włóczni. Obok matki pojawił się jeden z jej domowników, Gard, i po raz pierwszy od chwili, gdy jako chłopak pojawiłem się na

Orkadach, był przeciwko mnie.

– Robisz błąd, Torsteinie Szkutniku! Robisz błąd! – Wskazał na okryte bielmem oko. – Widzę twoje nieszczęście na zachodzie! Nieszczęście i smutek!

Przysiadłem na brzegu końskiej studzienki, a Vingur zbliżył się do mnie. Nie był jeszcze uwiązany, bo morze w dalszym ciągu było dość spokojne. Położyłem dłoń na ciepłym pysku, pogłaskałem po grzywie. Kupcy, którzy przyплыли z Islandii, opowiadali, że na zachodnim morzu są cztery duże wyspy. Grenlandia jest najdalej wysunięta na północ, ale Grenlandczycy⁸ opowiadali, że jeśli pożeglowałeś dalej, docierałeś wkrótce do Hellulandii, Winlandii i Marklandii, a te wyspy rozciągały się dalej na południe. Na Winlandii znajdowały się już osady, ale Marklandii nikt jeszcze nie zajął. Powiadano, że na Marklandii rosły modrzewie bardziej wysokie i strzeliste niż gdziekolwiek indziej, można je było ścinać i ociosywać na miejscu, i lepszych klepek do budowy statków nigdzie nie znalazłeś.

Nad horyzontem wisały jeszcze ostatki dziennego światła, ale na nadejście ciemności nie musieliśmy długo czekać. Chociaż morze było spokojne, wiatr wiał na tyle silnie, że nie byłoby bezpiecznie rozpalić ogień w misie paleniskowej, a pochodnie mogły sypnąć iskrami na żagiel. W ciągu wieczora nadciągnęły chmury i wiatr się wzmógł. Nie spodziewaliśmy się zobaczyć ani gwiazd, ani księżyca tej nocy.

Jeszcze przez pewien czas pozostaliśmy na pokładzie. Valp i ja mieliśmy sterować knarą przez noc. Ustaliliśmy to już dzień po narodzinach dziecka, że Valp będzie jednym z ludzi, którzy staną za sterem. Ta ważna funkcja napawała Valpa dumą. Gdy jego ojciec pojawił się w porcie, podejmując ostatnią próbę powstrzymania nas, byliśmy świadkami, jak Valp zbuntował się przeciwko potężnemu jarłowi Orkadów. Sigurd Lodveson stał na kamiennym pomoście i wołał, że marny statek mamy, że fale wokół Islandii zgniotą go niczym skorupkę jajka. Valp podszedł wtedy do niego i rzekł, że Torstein Szkutnik przydzielił mu miejsce przy wiosle sterowym i on jomswikingowi nie odmówi. Słyszając to, Sigurd posłał mi wściekłe spojrzenie i uderzył syna otwartą dłonią. Był to silny cios, który powalił Valpa na kolana. Następnie jarl krzyknął, że jestem nikim, zbiegłym niewolnikiem, że wzbogaciłem się, mordując

i rabując. A jeśli jego syn chce pójść za takim człowiekiem, nie będzie się już nazywał Sigurdsonem i nawet garści ziemi z Orkadów nie dostanie w spadku.

O zajściu w porcie dużo się tamtego dnia mówiło i respekt dla Valpa wśród jomswikingów znacznie wzrósł. Nie traktowano Valpa wrogo, wręcz przeciwnie, ale było powszechnie wiadomo, że walczył u boku Olafa Tryggvasona w bitwie pod Svolder i był z nami tylko dlatego, że się nad nim zlitowałem. Ale prawdę mówiąc, rzeczy miały się inaczej. Olaf wziął Valpa na zakładnika wtedy, gdy zaprowiantował się na Rossøy przed wyprawą do Norwegii, by mieć pewność, że jarl Orkadów nie zwróci się przeciw niemu. Podczas bitwy pod Svolder Valp przedostał się na ląd, gdzie mnie zauważył, kiedy siedziałem przy bracie, sądząc, że poległ. Gdyby nie Valp, zabiliby mnie ograbiacze trupów. Tam, na plaży, Valp uratował mi życie. Bez niego nie miałbym siły, by się podnieść i popłynąć z powrotem na okręt. Bez niego nigdy nie pomściłbym ojca. Bez niego nigdy nie zadałbym Olafowi śmiertelnego ciosu.

Były chwile, gdy gorzko tego ciosu żałowałem. Dzięki niemu zdobyłem przychyłność władcy Danów, a statek, na którym znajdowaliśmy się teraz, dostałem od duńskiego króla w nagrodę. Żal jednak mnie nie opuszczał. Gdybym nie stał w pierwszym szeregu, gdybym pozwolił, by zamiast mego inne ostrze ukąsiło Tryggvasona, moglibyśmy pozostać na Jutlandii. Moglibyśmy teraz hodować zwierzęta, patrzeć, jak po raz pierwszy wschodzi zasiane przez nas zboże. Wszystko to musieliśmy porzucić w obawie przed żądnymi zemsty wojami Olafa, skazanymi po bitwie na wygnanie. Nie ominęli naszego gospodarstwa na Jutlandii, choć niektórzy z naszych mamrotali, że być może sam duński król ich nasłał. Niewykluczone, że to on stał za wszystkim, chcąc mnie odstraszyć od zamiaru osiedlenia się. Tym sposobem wygnał mnie na morze, na poszukiwanie zachodniej krainy, ziemi, którą zająłbym w jego imieniu, skoro stałem się w pewnym stopniu jednym z jego ludzi. Czy było w tym ziarno prawdy, nie miałem pojęcia. Czasami jednak ogarniało mnie bezbrzeżne poczucie żalu, ciążyło mi zwłaszcza w środku zimy, kiedy wieczory były długie, a przygnębienie nigdy mnie na dobre nie opuszczało. Lecz teraz, gdy stałem pogrążony w zapadającym zmroku, czując pod nogami falowanie morza, uświadomiłem sobie, że niczego nie żałuję. Przestałem się bać, że w zagrodzie

pojawiają się kolejni wojowie Olafa albo ludzie wynajęci przez hovdingów wciąż lojalnych wobec zabitego króla. Każda następna fala prowadziła ku wolności oczekującej na zachodzie. Ku ziemiom, które jak wieść niosła, były żyzne i bogate w drewno odpowiednie do budowy statków.

Poszedłem na rufę do Valpa.

– Noc będzie ciemna – odezwał się, wskazując wieczorne niebo. – Bez księżyca. Muszę sterować, kierując się morzem.

Mruknąłem, żeby robił to, co jego zdaniem najlepsze. Zdążył udowodnić, że jest dobrym sternikiem, i z pewnością przeprowadzi nas bezpiecznie przez noc. Sigrid, Gislaug i córki Vidara zeszły pod pokład. Sigrid mocno tuliła dziecko do piersi.

– Wybraliście już jakieś imię? – zaciekał się Valp.

– Nie – burknąłem.

Nie była to jednak prawda. Rozmawialiśmy o tym jeszcze przed porodem. Gdyby urodził się syn, Sigrid chciała, by nazywał się Grimer. Tak brzmiało w zasadzie imię jej ojca, chociaż wszyscy zwali go Grimem. Słyszałem, że Grim to imię, które przybierał Odyn, kiedy wędrował wśród ludzi pod postacią brudnego żebraka. Tak przynajmniej twierdził Halvor. Nie miałem ochoty nadawać synowi tego imienia, skoro urodził się z naznaczoną twarzą, bo byłoby jak z ojcem Sigrid – z Grimera zrobiłby się Grim, a tak nazywano przestępców, którzy nosili maski, i innych chcących ukryć swoje oblicze. Miałem zamiar porozmawiać z Sigrid o nazwaniu dziecka po moim ojcu, Tormodzie. Wówczas byłby znany jako Tormod Torsteinson, a to dobre imię dla mężczyzny.

Stałem z Valpem przy wiosle sterowym, a mrok ogarniał morze. Większość załogi zeszła pod pokład. Bjørn wziął Fenrego pod pachę i mruknął, bym go w razie potrzeby zbudził, po czym również zsunął się na dół. Wkrótce jedynie wiatr i rytmiczny ruch kadłuba na falach świadczyły o tym, że znajdowaliśmy się na statku, a nie unosiliśmy się w bezdennej nocy Ginnungagap ⁹. Wycofałem się na śródpokład, chcąc sprawdzić, czy mocowania przy pięcie masztu nie poluzowały się. Gdyby w panujących ciemnościach opadła reja, mielibyśmy poważne kłopoty. Po drodze potknąłem się o śpiącą na pokładzie postać, wylądowałem na czworakach i tak sunąłem dalej, aż poczułem zapach Vingura. Przemieszczałem się ostrożnie, wołałem nie spaść do

końskiej studzienki. Pomyśleć, że ten koń miał mi towarzyszyć w zamorskiej podróży, a tym samym doświadczyć więcej niż większość ludzi. Z tego, co mi wiadomo, Vingur byłby pierwszym koniem, który zszedł na ląd na wyspach zachodnich.

Oprócz Vingura, Fenrego i należącej do Skjalma charcicy na statku znajdowało się jeszcze kilka kóz i kur. Kozy stały pod pokładem w ciasnych boksach, a kury trzymaliśmy w wiklinowych klatkach; kogut był agresywny i musiał siedzieć osobno. W ładowni przebywał też kruk, którego zabraliśmy z Jutlandii. Mieliśmy go wypuścić, by znalazł ląd. Gdyby nie wrócił, oznaczałoby to, że w pobliżu jest ziemia. Tak w każdym razie zachowałyby się nieoswojony ptak. Wypuściłem go, kiedy dopłynęliśmy do Orkadów, bo to nie w porządku trzymać dzikiego ptaka w klatce. Kruk odleciał w jesienny mrok, trzepocząc skrzydłami, i przez dłuższy czas byłem przekonany, że pofrunął do Szkocji, jednak pewnego dnia załoga zauważyła, że siedział na czubku masztu. Jakby Odyn osobiście odesłał go, by miał na nas oko.

Razem z Valpem sterowaliśmy statkiem w ciągu nocy. Wiało nieustannie z południa, fale wydłużyły się, jak to często bywa na głębinach, a statek nabrał innego, bardziej powolnego tempa. Mieliśmy zapasy wody na wiele dni, ale i tak chcieliśmy natrafić na Wyspy Owcze. Było tam kilka spraw do załatwienia: powinniśmy kupić liny plecione z foczej skóry, o ile coś takiego w ogóle znajdziemy, moglibyśmy uzupełnić zapasy wody. Kilku mężczyzn miało ochotę popytać na wyspach, czy znalazłyby się jakieś kobiety, gotowe z nami popłynąć. Tego typu misja mogła szybko doprowadzić do katastrofy, ale wieść niosła, że tamtejsze kobiety są piękne i płodne, a takich potrzebowaliśmy na zachodzie. Jomswikingom nie poszczęściło się w tej kwestii na Orkadach, gdzie wyspiarskie rodziny od dawien dawna były spokrewnione ze sobą, a także z rodami w Szkocji i Irlandii i już małe dziewczynki były przyobiecane jako żony, co swego czasu przytrafiło się również mojej Sigrid.

W środku nocy Valp zasnął. Zostałem sam przy sterze i pograżyłem się w rozmyśleniach. Rozmowy załogi o tym, jak piękne, nieokiełznane i wolne są farerskie kobiety, sprawiły, że odezwała się we mnie dawna złość, która nigdy mnie tak do końca nie opuściła. W tym, że Sigrid została komuś innemu przyobiecana

i posłana do niego, była jakaś niesprawiedliwość, i to doprowadzało mnie do wściekłości. Sigrid, która pocałowała mnie nad brzegiem morza, koło zagrody Grima... Sigrid, dziewczyna z burzą rudych włosów powiewających na wietrze, która biegała po pastwiskach i nawoływała owce... Była najpiękniejszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek widziałem. Ale ja byłem wtedy tylko zbiegłym niewolnikiem i nikt nie sądził, że coś ze mnie będzie, jak sama powiedziała. Z taką nogą nie potrafiłbym prowadzić własnego gospodarstwa. Ze mną nie było przyszłości.

Może w tych słowach drzemała większa siła, niż sądziłem początkowo. Może to one popchnęły mnie do tego, bym się sprzeciwił władzy królewskiej i odwrócił tyłem do losu, który wydawał się mi przypisany. Zbiegły z niewoli chłopak stał się wojownikiem. Niewolniczą obręcz zastąpił duński topór. A Sigrid, którą mi zabrano, stanęła nagle przede mną, ale tym razem to ona była niewolnicą.

O świcie wpłynęliśmy w deszczową pogodę. Wciąż wiało z południowego kierunku, więc pozostałem przy sterze, nie widząc powodu, by tupać nogą w pokład i budzić załogę. Jednak w ciągu nocy wiatr osłabł i wiedziałem, że jeśli się nie polepszy, będę musiał wezwać ich do wiosła. Ponieważ statkiem ciężko się wiosłowało, zwlekaliśmy do ostatniej chwili z wyciąganiem skrzyń wiosłarskich. Chowaliśmy je na śródkręciu, a do nich linami przywiązaliśmy wiosła. Poustawialiśmy tam również tarcze i łuki, z których rzecz jasna zdejmowaliśmy cięciwy, ale statek w krótkim czasie mógł być gotowy do walki. Podczas przygotowań do starcia reja została opuszczona, a drogocenny żagiel odczepiony, zwinięty i schowany pod pokładem. Mężowie chwyciliby za tarcze, łuki i kołczany; woj z tarczą osłaniał siebie i stojącego za nim łucznika.

Wkrótce podszedł do mnie Bjørn. Zrobił się z niego kawał chłopca, a zima na Rossøy mu posłużyła. Wyspiarze wrócili z jesiennych połowów z pełnymi po brzegi byrdingami [10](#). Przywieźli tyle ryb, że mogli powiosłować na południe i część wymienić na worki zboża, cebulę i rzepę. Dlatego jomswikingów dobrze żywiono przez całą zimę, a Bjørn stał się szeroki w plecach i ramionach. Znany był z niesamowitej krzepy w rękach i właśnie zabrał się do naciągania szotów na prawej burcie. Co prawda wiatr zelżał, ale żagiel był duży i niewielu mężczyzn podołałoby

takiemu zadaniu w pojedynkę. Potem przeszedł na dziób, a jego wzrok ślizgał się po wylaniającym się z szarego poranka morzu. Wyjął kamień słoneczny, który kiedyś mi podarował, skierował go na wschód i zmrzywszy jedno oko, zaczął się w niego wpatrywać. Kamień słoneczny nie był wiele większy od kostki do gry, ale Bjørn uważał, że ów przedmiot potrafi w każdej chwili określić, gdzie się znajdujemy, o ile tylko ustalimy, jak się nim posługiwać. Halvor i pozostali jomswikingowie woleli używać zwykłego patyka, który umieszczali w szczelinie na rufie. Licząc długość i kąt padania cienia, biorąc pod uwagę, który to dzień roku, można było ustalić, jak daleko na północ się znajdujemy.

Płynąłem tak długo, aż wiatr osłabł na tyle, że mokry od deszczu żagiel zwiślał bezwładnie. Ponieważ kadłub nie miał już odpowiedniej prędkości, knara zaczęła się huścić na falach, co obudziło śpiących. Mężczyźni pojawili się na pokładzie zeszywniali, z zaspanymi oczami, rozczochrani, z potarganymi brodami. Kobiety przezornie zostały jeszcze jakiś czas na dole, podczas gdy mężczyźni podeszli do burty, robiąc to, co zwykle rano robili. Postawili kilka skrzyń, po czym ustawili się na nich, poluzowali spodnie i posłali strumienie do morza. Wzdłuż pokładu rozległy się grzmoty, towarzyszące wypuszczaniu powietrza, a niektórzy rozsiedli się na kubelkach, załatwiając swoje potrzeby. Potem podszedł do mnie Hutten. Mały przysadzisty Szkot owinął się w swój kosmaty płaszcz i chwycił za wiosło sterowe, a następnie mruknął, że czas najwyższy, bym się trochę przespał.

Śniąc tego poranka, znów widziałem langskipy zbliżające się od południa. Długi szereg statków. Żagle wybrzuszały się na wietrze. Widziałem możnowładców zgromadzonych na cyplu. Byli tam Sven Widłobrody i Olof Skötkonung i byli synowie jarla z Trøndelagu, Eirik i Svein. Eirik, ulfhednar [11](#), był odziany w wilczą skórę. W moim śnie tamtych czterech nie zamieniło ze sobą ani słowa. Po prostu stali, aż Eirik podniósł rękę i wskazał przed siebie. A tam, z kierunku południowego, nadpływał okręt większy niż wszystkie inne. To był Wąż, drakkar [12](#) Olafa Tryggvasona.

Z cypla sen zawsze przenosił mnie na okręt Eirika Håkonsona. Stałem u boku Bjørna, a wokół nas spadał deszcz strzał. Widzieliśmy mężów osuwających się na

ziemię, dłonie i stopy przyszpilane do pokładu i wijące się ciała, w które wciąż wbijały się strzały. Lecz ja i brat nie odnieśliśmy ran, Odyn trzymał nad nami niewidzialną tarczę.

Powiadają, że duchy zmarłych przemawiają do nas za pomocą snów. Być może tak się rzeczy mają. Sigrid zbyt wiele nie opowiadałem o bitwie pod Svolder. Już wcześniej dowiedziała się, że to ja wysunąłem się na czoło i zadałem Olafowi śmiertelny cios, ale okropności tamtego dnia zachowałem dla siebie. Domyślałem się jednak, że wiedziała więcej. Bywało, że stojąc rano przy kociołku, rzucała: „Mówisz przez sen”. Kiwałem na to głową, mrużąc, że mi przykro, i na tym sprawa się kończyła.

Sny mogły być krótkie, jak odpryski doświadczonych przeze mnie potworności. Albo mogły być tak rzeczywiste, jakbym raz jeszcze przeżywał to wszystko. Widziałem mistrza run na dziedzińcu Haralda Rudego, hersira ¹³ ze Skiringssalen. Wychudzona twarz, na której wyryto tajemne zaklęcia, wpatruje się we mnie, a głos brzmi niczym szept z zaświatów: „Krew dwóch królów... na twoich rękach”. Potem stoję przy potężnym kadłubie Węza, zahaczam głowicę topora o górną listwę burty, podciągam się na długim stylisku, a w moje ślady idą ludzie Eirika Håkonsona. Sieczemy, zadajemy pchnięcia, roztrzaskujemy i kładziemy wojów Olafa u naszych stóp. A tam na końcu, zwrócony plecami do stewy rufowej, czeka Olaf. Ochronia go Ros, człowiek, który uprowadził mnie w niewolę. Unosi miecz, w chwili gdy ruszam do przodu, ale uderzam głownią topora w twarz, zmuszam go do cofnięcia się. Tym sposobem wbijamy klin w ostatnią linię obrony. Trafiam Rosa w nogę, która łamie się pod ciężarem jego ciała, a on wypuszcza z rąk miecz i przechyla się przez krawędź nadburcia. Już tylko dwóch ludzi dzieli mnie od Olafa. Sigurd Bueson wysuwa się przede mnie i tnie w kolana jednego z nich. Drugiego oszczep kąsa w brzuch. I wtedy Olaf robi coś zadziwiającego. Zdejmuje hełm, a miecz kieruje ku niebu. Biorę zamach toporem z ogromną siłą i ostrze trafia króla w bok głowy, po czym wchodzi głęboko w bark. Lecz w Olafie wciąż tli się życie. Wspina się na burtę, przytrzymując się stewy, i patrzy na nas. Dookoła momentalnie zapada cisza. Potem Olaf Tryggvason bezwładnie spada do morza, fale się nad nim zamykają i nie ma po nim śladu.

Krew dwóch królów na moich rękach. Być może to przepowiednia mistrza run wygnała mnie na zachód. Bo nie chciałem już kolejnych zabójstw. Zostałem wyjęty spod prawa. Tym razem jednak nie byłem sam.

Po obudzeniu siedziałem przez jakiś czas, przyglądając się ludziom na pokładzie, i wypełniało mnie poczucie dobrostanu. Ale jego źródłem nie była myśl o tym wspaniałym statku podarowanym mi przez króla Danów. Niektórzy mężowie mierzą swe bogactwo w statkach, stadach hodowanych zwierząt, w posiadanej ziemi i srebrze, jednak żaden majątek nie jest więcej wart niż ród i klan. A ja miałem na pokładzie nie tylko nowo narodzonego syna, Sigrid i Bjørna, lecz również przyjaciół i towarzyszy broni z Jomsborga. Siedzieli teraz przy wiosłach, reję mieliśmy opuszczoną, a żagiel zwinięty. „Po skarby płyn, po srebro płyn... Po szczęście płyn i po sławę... Po ryby płyn, po runo płyn... Po złoto płyn i po zboże...” Już nieraz słyszałem, jak mężczyźni nucili tę pieśń wioślarską. Przy każdym wersie pióra zanurzały się w wodzie, a wiosłarze pochylali się do tyłu i pociągali wiosłami.

Sigrid zbliżyła się do mnie.

– Pottrzymałbyś syna – powiedziała, kładąc mi dziecko na kolanach. Zerknąłem na małą buzię, na czerwono-brunatne znamię na szyi i podbródku i znowu poczułem ukłucie niepokoju. Jeśli nie stanę za nim murem, ludzie będą go wytykać palcami, natrzęsać się z niego. Znamię, pomyślałem, było kolejnym powodem wyruszenia na zachód. Zajmiemy ziemię w swoim imieniu, a tam nikomu, kogo nie nazwę przyjacielem, nie będzie wolno się osiedlić. Jeśli się zdarzy, że ktoś będzie się naśmiewał z mojego syna z powodu tego znamienia, karą będzie wygnanie.

Sigrid odgarnęła z oczu kilka rudych kosmyków i spojrzała na mnie. Oczekując dziecka, przytyła, a jej pociągła twarz nie była już tak dziewczęca. Wciąż była szczupła, ale biodra zaokrągliły się, piersi zrobiły się większe, a oczy, błękitne i piękne jak zawsze, miały w sobie spokój, którego wcześniej u niej nie widziałem.

– Musimy nadać mu imię – rzekła. – Zastanów się nad tym, Torsteinie. Wiesz, że chciałam, żeby nosił imię po moim ojcu, ale... – Na jej twarzy pojawił się na chwilę wyraz cierpienia i szybko przesunęła dłonią po oczach – teraz nie może się tak nazywać.

Siedziałem, trzymając syna na kolanach. Nie przyszło mi do głowy, że powinienem

wiosłować na równi z pozostałymi, choć na co dzień nie unikałem tego typu obowiązków. Teraz po raz pierwszy doznawałem owego dziwnego uczucia, którego świeżo upieczeni ojcowie nie potrafią nazwać. Przypominało więc podobną do tej, jaka łączyła mnie z innymi jomswikingami, wspólnotę. Ale bliższą, silniejszą. Jeszcze było dla mnie za wcześnie, jeszcze nie rozumiałem, czym w zasadzie jest ojcostwo i jak mnie uformuje jako mężczyznę. Jeszcze nic nie wiedziałem o tym, jak uformuje mój los.

Później w ciągu dnia ponownie wpłynęliśmy w deszczową pogodę. Ale napotkaliśmy również wiatr i załoga mogła wreszcie wciągnąć wiosła na pokład. Pod wieczór stanąłem przy sterze, podobnie jak poprzedniej nocy, lecz tym razem u mego boku stał Eystein. Zamieniliśmy kilka słów na temat plotek, które doszły do naszych uszu: że odbudowano Jomsborg i że Sigvalde, który w tak haniebnym sposób go najechał z Gotlandczykami, został tamtejszym hovdingiem.

Tej nocy zapadły całkowite ciemności. Zazwyczaj widać na zachodzie jaśniejącą poświatę długo po tym, jak słońce zanurzy się na horyzoncie, a księżyc i gwiazdy świecą na tyle, że w mroku można dostrzec statek i żagiel. Tej nocy wszystko było całkowicie czarne. Ponieważ nie mogliśmy dostrzec żagla, musieliśmy go ustawiać, kierując się dźwiękiem. Gdy łopotał, należało skrócić szot po stronie, z której dochodził niepokojący odgłos. Gdy wydawał z siebie pomruki, był ustawiony pod złym kątem w stosunku do kierunku wiatru. Zajmowali się tym Halvor i Vidar, doświadczeni żeglarze. Halvor przechwalał się nawet, że mógłby sterować statkiem jedynie za pomocą żagla. Twierdził, że dokonał czegoś takiego, kiedy łódź, na której płynął, straciła wiosło sterowe. Sterował od Jutlandii aż do Anglii Wschodniej, regulując jedynie kąt ustawienia żagla.

Tuż przed świtem zostawiliśmy za sobą deszczowe chmury. Pod wpływem porannego słońca pokład i żagiel parowały, a Dan wyglądał teraz jak żywe stworzenie przecinające fale. Drżał i lekko dygotał pod naszymi stopami. Otrzepał się z deszczu jak mokry pies, wstrząsnął kilka razy żaglem, strząsając krople wody. Mężczyźni wygramolili się na pokład i rozszedł się znajomy smród, gdy zaczęli wypuszczać

z siebie to, co wstrzymywali przez całą noc. Kubelki opróżniono do morza, wciągnięto na pokład wodę w skórzanych cebrzykach i załoga wypłukała sobie z oczu sen. Szufłą pozbierano końskie odchody i wyrzucono za burtę, Vingur dostał siano, a jego koryto napełniono świeżą wodą. Sigrid pojawiła się z naszym chłopczykiem na rękach, rzuciła mi spojrzenie i uśmiechnęła się. Ten uśmiech rozgrzał mnie bardziej niż poranne słońce, bo nie zbliżyłem się do Sigrid od dnia przyjścia dziecka na świat. Prawie nie zwracała na mnie uwagi. Zdaniem Halvora to było normalne, ponieważ kobieta często wini mężczyznę za ból podczas porodu. Jakby tego było mało, matka Sigrid siedziała przy niej dzień i noc, więc nienawistnych spojrzeń nie brakowało. W jej oczach byłem pospolitym złoczyńcą, który pojawił się na czele swojej bandy, by wykraść Sigrid. I chociaż Bjørn próbował przemówić kobiecie do rozsądku, chociaż tłumaczył, że to ja wyrwałem dziewczynę z niewoli, wzrok jej nie łagodniał. Nie usłyszałem słowa podziękowania za to, co zrobiłem dla jej córki.

Wkrótce Vidar przejął drążek steru, a ja zostałem na dziobie. Powiadano, że Wyspy Owce to zbiorowisko skał na środku morza i można je dostrzec z daleka. Wciąż jednak niczego nie widzieliśmy.

Przestałem razem z Bjørnem na dziobie większość dnia i kiedy słońce zaczęło się chować, mój brat mruknął, że chyba popłynęliśmy za bardzo na wschód lub na zachód. Wyjął kamień słoneczny z mieszka przytroczonego u pasa, zajrzał w kamień, a potem tylko pokręcił głową. To bzdury, wymamrotał, nikt nie może sterować według jakiegoś głupiego kamienia. Ustawił go w kierunku słońca, rzucił coś na temat linii, które można tam wypatrzeć, splunął na pokład i chciał wyrzucić kamień za burtę, ale się rozmyślił i wsunął go z powrotem do mieszka. Pojawił się Skjalm z krukiem w klatce. To Skjalm zabrał ze sobą ptaka w podróż. Ptaszysko było pupilkiem dzieciarni w gospodarstwie, gdzie jego kobieta żyła jako niewolnica i przypuszczaliśmy, że Skjalm go po prostu ukradł, podobnie jak ukradł kobietę. Przebąkiwano przy tym, że to był rabunek w słusznej sprawie, bo teraz kobieta nie jest niewolnicą i to samo dotyczy ich córki. Skjalm miał nadzieję, że wybuduje własną zagrodę na zachodzie i będzie uprawiał jęczmień, bo twierdził, że ten typ zboża znosił zarówno ulewy, jak i susze. Przyszedł na świat w Valandii i był na wpół Frankiem ¹⁴,

a nazywano go Skjalmem, ponieważ to chyba przypominało jego frankijskie imię. Tam gdzie dorastał, pola jęczmienia ciągnęły się jak okiem sięgnąć, powiadał.

Skjalm był mężczyzną specyficznym zbudowanym. Zbliżył się do nas tym swoim dziwnym, kołyszącym się na boki krokiem, z rękami, które zdawały się zwisać bezwładnie z wąskich ukośnych ramion. Jomswikingiem niewątpliwie był, szramy na ciemnej, zarośniętej gębie świadczyły o wielu bitwach i zabójstwach i nie było takiego, kto by go nazwał słabeuszem, ale miał niespotykane wąski tors, który sprawiał wrażenie, jakby został umocowany na nogach znacznie silniejszego męża, bo uda miał Skjalm umięśnione, a łydki grube.

– Wypuśćmy kruka – powiedział. – Zobaczymy, czy wróci. Jeśli tak, to...

Na pokład wyszła córka Skjalma, dziewczynka z rudymi warkoczami. Pojawszy, że mała sprzeciwi się jego zamiarom, natychmiast otworzył klatkę i włożył rękę do środka, ale kruk dziobał go po palcach i nie dał się wyjąć. Dziewczynka rzuciła się na ojca i złapała go za rękę. Chciała, by zostawił ptaka w spokoju, co doprowadziło Skjalma do pasji. Gwałtownie chwycił ją za warkocz. Odstawiwszy klatkę, warknął coś po frankijsku i podniósł otwartą dłoń.

Trzeba tu zaznaczyć, że Bjørn i ja dorastaliśmy przy ojcu, który był niespotykane dobry i wyrozumiały. Być może nie chciał nas karać, bo miał tyle starych obrażeń, że codziennie zmagał się z bólem. Poza tym wzrastaliśmy w starej wierze. Nasi bogowie nie karzą ludzi w taki sposób, jak to czyni bóg chrześcijan. Dlatego ojciec także nie widział sensu w fizycznym dyscyplinowaniu nas. Ale Skjalm, pochodzący z ziem frankońskich, poznał Białego Chrysta i pewnie sam był tak karcony jak chrześcijańskie dzieci.

Otwarta dłoń Skjalma z całą siłą trafiła dziewczynkę w twarz, tak że mała, zataczając się do tyłu, padła na pokład. Morze poniosło wyraźny odgłos plaśnięcia i przebywający na pokładzie mężczyźni obejrzeli się. Skjalm pogładził się po brodzie, wytrząsnął kruka z klatki, odprowadził odlatującego ptaka wzrokiem, po czym zwrócił do mnie i Bjørna:

– Dzieciaki. Mogą człowieka zamęczyć...

Bjørn nie należał do tych, którzy od razu uciekają się do przemocy. To raczej mnie uważano za kogoś takiego. Ale tego wieczora od razu przyskoczył do Skjalma

i grzotnął go pięścią między oczy. Frankijczyk stał przez chwilę, chwiejąc się, a źrenice nieomal zniknęły mu w głębi czaszki. Jęknął i zataczając się, poczłapał na rufę, gdzie padł na deski i zawołał Yllę. Ylla wydrapała się spod pokładu. Była niską, chudą kobietą o ciemnych, prostych włosach i małym spiczastym nosie; przypominała mi wróbla. Nie przejęła się Skjalmem. Od razu podeszła do córki, otoczyła ją ramionami, co prawdopodobnie uświadomiło Skjalmowi, że nie ma co tak siedzieć, bo podźwignął się i zaczął zwijać linę przy nadburciu, jakby nic się nie stało.



Fryzyjscy żeglarze powiadają, że Wyspy Owcze nie są zakotwiczone w morskim dnie. Pływają swobodnie i dlatego bardzo trudno na nie trafić temu, kto chciałby się zaprowiantować przed dalszą podróżą na Islandię lub do grenlandzkich fiordów. Także do mnie i do Bjørna doszły te pogłoski, ale uważaliśmy, że tamtejsze wyspy niczym się nie różnią od wszystkich innych wysp i że o ich bliskości ostrzegą nas ptaki na niebie i zmiana morskich prądów. Wiatr zmienił kierunek na zachodni i powrócił deszcz. Po krótkim czasie wpłynęliśmy w kolejną, smoliście czarną noc. Z głębi mroku dobiegały osobliwe, długie nawoływania wielorybów, co nas zaniepokoiło, ale było to pewnie stado samic, bo żadne zwierzę nie szturchnęło statku, co czasami zdarza się bykom. Ogarniająca nas noc wkrótce ucichła, a deszcz spływał po żaglu i skórzanej derce okrywającej grzbiet Vingura.

Pozwoliłem statkowi dryfować przez całą noc. O świcie deszczowe chmury ustąpiły i powrócił południowy wiatr. Wreszcie dostrzegliśmy skaliste farerskie szczyty wyłaniające się z porannej mgły. Podczas gdy Orkady i Szkocja, a także norweskie wybrzeże, są ziemiami dość rozległymi i płaskimi, te wyspy bardziej przypominają olbrzymie kamienne bloki wrzucone do morza i uformowane grubym dłutem. Ta, która wyrastała tuż przed nami, miała z jednej strony spadzistą równinę sprawiającą wrażenie, że spływa do morza, a po drugiej stronie kończyła się gigantyczną przepaścią. Przy skalnej ścianie unosiły się ptaki, setki ptaków.

Załoga szykowała się do zejścia na ląd. Rozebrani do pasa mężczyźni wylewali na siebie nawzajem kubły morskiej wody. Wyczesywano potargane włosy i brody, ci,

którzy mieli w skrzyni czystą tunikę, nakładali ją na siebie. Halvor stał przy wiosle sterowym, ale teraz zawołał, bym przejął ster, bo wody mu nieznane i nie chciałby wprowadzić statku na mieliznę.

Poprowadziłem statek szerokim łukiem na wschód od najbardziej wysuniętej na południe wyspy. Tej, którą zwą Tvørøya. Potem pożeglowaliśmy prosto na północ, mijając od wschodu Dużą oraz Małą Dímun, a następnie Húsavík oraz Skálavík na wyspie Sandøy. Tutaj krajobraz przypominał bardziej to, co znaleźliśmy z Orkadów: długie, trawiaste równiny z białymi plamami – to pasły się owce. Wokół obu zatoczek stały domostwa i wyciągnięte na brzeg byrdingi. Żeglowaliśmy jednak dalej, bo słyszeliśmy, że gdzieś tam znajdziemy dobry port, który dałby Danowi schronienie przed niepogodą.

Od strony północnej mieliśmy wyspę, która zdawała się znacznie większa od pozostałych, a na wschód od niej leżała mniejsza, więc pomyślałem, że jeśli miałbym wybrać bezpieczny port, to musiałby on znajdować się między nimi, bo osłaniały przed otwartym morzem.

Dotarliśmy do wschodniego wybrzeża Streymøy. Razem z Eysturøy tworzy ona krainę najlepszych farerskich pastwisk. Ma tu swą siedzibę tamtejszy hovding. Mniejsza wyspa na wschód od Streymøy zwie się Nólsoy, czyli Igłowa Wyspa, bo jest długa, cienka i przedziurawiona.

Po przepłynięciu części cieśniny między Eysturøy a Nólsoy dostrzegliśmy długie domy wokół jednej z zatok. Widać też było wyciągnięte na brzeg byrdingi. Domyśliliśmy się, że to musi być Torshavn, o którym słyszeliśmy.

Zdjęliśmy reję i żagiel i wciągnęliśmy wiosła. Vingur stukał kopytami o pokład i parskał, widział ziemię i pewnie czuł świeżą trawę. Kierowałem się w stronę brzegu i po jakimś czasie mogliśmy już dostrzec dno. Płytko nie było, ale woda była tak przejrzysta, że widzieliśmy wodorosty i ryby na głębokość dwóch masztów. Na brzegu doliczyłem się ośmiu postaci, jedna z nich coś do nas krzyczała. Była to kobieta, wymachiwała rękami i wskazywała na północ.

Brat stał przy mnie, miał opinię człowieka o sokolim wzroku. Zauważył langskip za cyplem zwanym przez mieszkańców Tingnes, i uważał, że kobiecie pewnie chodzi

o to, byśmy tam kotwiczyli. Poprowadziłem statek w tamtym kierunku i po chwili znaleźliśmy się w małej zatoczce. Drugi statek już rzucił kotwicę. Sondowaliśmy głębokość, a kiedy zrobiło się już na tyle płytko, że dorosły mężczyzna mógł stanąć na piaszczystym dnie przy kadłubie, nie tonąc przy tym, rzuciliśmy kotwicę.

Wszyscy, którzy tego dnia byli na pokładzie Dana, twierdzą, że Farerczycy dobrze nas przyjęli. Czekali na brzegu, podczas gdy szykowaliśmy się do wyjścia na ląd, a kilkoro dzieciaków w bujających się na falach skórzanych łódkach przyglądało się nam. Mieszkańcy Wysp Owczych byli przyzwyczajeni do widoku obcych, często się tu odbywał handel.

Za pomocą rei dźwignęliśmy Vingura nad burtą. Stał w wodzie sięgającej mu do uszu, a Bjørn, Valp, Hutten i Vidar spuścili na fale lekką łódź. Ja wskoczyłem na konia, bo obawiałem się, że zwierzę pogalopuje na łąki i nam zniknie. Wciąż jeszcze krążyła historyjka o tym, jak się upiłem pospołu z przeznaczonym pod nóż kulawym źrebakiem Halvdana Halli, a potem zasnąłem na wydmach pod Jomsborgiem. Sporo lat minęło od chwili, gdy Vingur był źrebakiem, teraz stał się silnym, rosnącym ogierem. Łeb, pierś i nogi miały barwę białozłocistą, natomiast zad, który kiedyś miał kolor brunatnobłotnisty, teraz nabrał złocistego odcienia. Z wiekiem Vingur przestał kuleć i nikt by nie powiedział, że kiedykolwiek miał jakąś ułomność.

Siedziałem na koniu, gdy przed wyjściem na brzeg rozmawialiśmy z Farerczykami. Stali na nierównych, porośniętych glonami kamieniach – czterech mężczyzn w nasączonych olejem wadmalowych ¹⁵ ubraniach i wysokich butach z foczej skóry. Towarzyszyła im stara kobieta. Jeden z nich miał brzydką bliznę wzdłuż twarzy, przepoławiała wargę i tworzyła pokaźne zagłębienie pod okiem. Zbliżniona rana sprawiała, że mówiąc, mlaskał, ale jego dialekt brzmiał podobnie do dialektu z Ryge, więc nieźle go rozumiałem. Powiedział, że zwie się Godi ¹⁶ Szrama i że możemy tu zostać tak długo, jak chcemy, ale musimy zapłacić podatek, najlepiej zbożem, jeśli takowe mamy. To on pilnuje na wyspach przestrzegania prawa, dodał. Potem wskazał na zbocze, gdzie srebrzył się strumień. Wody było na wyspie pod dostatkiem, możemy brać tyle, ile chcemy.

Nigdy nie widziałem tak błękitnego nieba i tak zielonych pastwisk, jak tam na Eysturøy. Mężczyźni potoczyli beczki w górę zbocza, a ja w tym czasie spacerowałem dookoła z Vingurem, pozwalając mu skubać trawę. Sigrid i pozostałe kobiety również zeszyły na ląd i dłuższy czas siedziałem z synkiem na kolanach, spoglądając na morze. Przybyliśmy do miejsca, które było dobre, i Sigrid zastanawiała się pewnie, podobnie jak ja, czy musimy jechać dalej. Moglibyśmy wybudować dom z kamieni, dryfujących kłód i torfu, a na pastwisku trzymać owce. Moglibyśmy łowić ryby, być może udałoby się tu wyhodować rzepę i jarmuż, a także angelikę¹⁷ i inne jadalne rośliny, które radziły sobie z nieurodzajną glebą.

Gdyby tamten wieczór zakończył się inaczej, być może zostalibyśmy Farerczykami. Jednak nasze nici życia miały inny splot. Mieliśmy podążać przed siebie, mieliśmy płynąć daleko i zobaczyć morza i lądy, których nikt nie oglądał. Na Eysturøy po południu Godi Szrama i jego bracia rozpalili ognisko. Na kamienistym brzegu sprawiono ogromnego rekina polarnego, a wykrojone z niego porcje nabito na wiszące nad płomieniami żerdzie. Szrama ponownie zażądał zboża, ale stwierdził, że wystarczy pół worka, bo nie chciał, byśmy go uważali za chciwego i ominęli port, jak będziemy tędy żeglować następnym razem. Rozmawiałem z nim przy ognisku i gdy wspomniałem, że jesteśmy w drodze do Islandii, wskazał dłonią w kierunku drugiego statku: na pokładzie byli Islandczycy. Wracali do domu z południa, dokąd się udali z kłami morsów i foczymi skórąmi. Czekali tylko na pomyślny wiatr, mogliśmy zatem dołączyć do nich, kiedy wyruszą.

Jeszcze nie zamieniliśmy ani słowa z załogą na tamtym statku; pewnie wychodzili z założenia, że najlepiej pozostać na pokładzie. Na ich miejscu też bym tak uczynił. Większość moich ludzi to wojownicy, a to u mężczyzny łatwo zauważyć. Ma szczególny autorytet, na swój sposób bardziej zdecydowane i energiczne ruchy. Poza tym większość jomswikingów posługiwała się duńskim, a Danowie w tamtych czasach mieli opinię wojowniczych. Innymi słowy, najprawdopodobniej nie wdalibyśmy się w pogawędki z Islandczykami, gdyby nie kruk, którego wypuściliśmy z klatki. Bo kiedy słońce zawisło nisko nad horyzontem, ptak powrócił. Najpierw przysiadł na szczycie naszego masztu, a potem pofrunął do Islandczyków i rozgościł

się u nich na stewie rufowej.

Podczas gdy reszta z nas została przy ognisku, Halvorowi i Skjalmowi przypadło zadanie odzyskania kruka. Zostali tam przez jakiś czas, rozmawiając z dwoma jasnowłosymi brodacami, którzy oferowali kły morsów oraz jedwab, pokazując w kierunku swoich składzików pod pokładem. Halvor jednak pokręcił głową, a gdy kruk sfrunął ze stewy i skierował się w stronę lądu, zszedł razem ze Skjalmem do łódki.

Wróciwszy do nas, przycumowali łódkę do głazu, usiedli przy ognisku i po chwili ciszy Halvor rzekł:

– Zgadza się, kierują się do Islandii. Możemy ruszyć za nimi, jak wypłyną.

Siedziałem przy ogniu. Godi Szrama wytoczył beczkę z jednego z domostw i poczęstował nas piwem, podając pierwsze porcje Halvorowi i Skjalmowi. Skjalm wychylił piwo jednym haustem, po czym siedział, obejmując głowę dłońmi, i początkowo myślałem, że boczy się na mego brata za uderzenie. Halvor rzucał spojrzenia spod oka w stronę Islandczyków, mrużąc, że prawdą jest, co słyszał o tych wyspiarzach. Żaden lud nie miał wśród swoich więcej wölv¹⁸, czarowników i mistrzów run niż oni. Kiedy dociekaliśmy, co go skłoniło do takich słów, odparł jedynie, że sami możemy sobie do nich powiosłować i sprawdzić, o co mu chodzi.

Tak też się stało. Razem z Bjørnem popłynęliśmy łódką do Islandczyków, bo sprawę trzeba było wyjaśnić. Gdy tylko znaleźliśmy się na pokładzie, na spotkanie wyszły nam te same dwa typy, które rozmawiały z Halvorem i Skjalmem. Przywitali się i wskazując ruchem głowy Dana, stwierdzili, że pewnie jesteśmy z Jutlandii. Mówili, że poznają po linii kadłuba, takie potężne knary były zazwyczaj stamtąd. Mężczyźni mówili ze szczególnym akcentem, cechującym Islandczyków, ale nie było problemów ze zrozumieniem ich. Poczęstowali nas winem ze skórzanego bukłaka, chwalać się, że napitek pochodzi aż z Miklagardu, a potem poprowadzili nas w kierunku kilku skrzyń umocowanych linami do masztu. Ich statek był niższy i miał głębsze zanurzenie niż nasz, nie miał też stałego pokładu, tylko luźne klepki. Niektóre z nich już były odłożone na bok, a w dole, między wręgami, poupychano dziesiątki skrzyń.

Najpierw pokazali nam kilka kłów morsów. Były nieco mniejsze niż zazwyczaj

i trochę krzywe, pewnie dlatego nie udało im się ich sprzedać. Możemy je dostać w prezencie, powiedzieli, jeśli kupimy trochę jedwabiu, który drogą wymiany zdobyli na południu.

Widziałem bogaczy odzianych w jedwab i przeszło mi przez myśl, że wspaniale byłoby kupić coś takiego Sigrid. Mogłaby uszyć sobie szal, zrobić wstawki w rękawach lub oblamować brzeg sukni. Jednak Bjørn pokręcił głową.

– Nie mamy czym zapłacić – stwierdził.

Islandczykom nie w smak była taka odpowiedź. Z pochylonymi głowami mamrotali coś do siebie, po czym powiedli nas ku mniejszej, podłużnej skrzyni stojącej osobno w schowku na dziobie.

To, co nam pokazali, było czymś, czego ja i Bjørn mieliśmy nie zapomnieć do końca życia. Początkowo sądziliśmy, że to jakieś zwoje świńskiej skóry, ale mężczyźni poprosili, byśmy wyjęli te zwoje i rozłożyli je na pokładzie.

Mimo młodego wieku widzieliśmy już razem z bratem wiele okropności, byliśmy przecież jomswikingami. Gdy jednak dotarło do mnie, co trzymam w ręku, wypuściłem to natychmiast. Były to spodnie. Nie miały żadnego szwu, bo zdarto je w jednym kawałku. W kroku wciąż tkwiły włosy, a to, co kiedyś było kobiecym łonem, zafastrygowano nicią ze ścięgna [19](#). Spodnie nie były jednak czymś najgorszym na tamtym statku. Mieli też tam dziecko. Albo raczej nie powinienem myśleć o tym jak o dziecku, bo to znów była tylko skóra. Wyglądało jak lalka, jakie robi się dla dzieci, kawałek skóry wypchany słomą. Ale to kiedyś było niemowlęciem.

– Ten, kto włoży spodnie, zdobędzie bogactwo – powiedzieli Islandczycy. – A lalka... Jej możesz użyć do rzucania klątwy. Jeśli ją podarujesz wrogowi, umrze bezdzietnie.

Popłynęliśmy na brzeg, gdzie czekał na nas Halvor. Kręcił głową, mrużąc o magicznych mocach Islandczyków. Jego zdaniem zadawanie się z nimi jest niemądre, mogą rzucać czary na ludzi. Wcisnięto mi do ręki kufel piwa, który opróżniłem do dna. Sigrid spostrzegła, że coś jest nie w porządku, i pomyślała, że dobrze mi zrobi, jeśli potrzynam dziecko na rękach, ale uciekłem od niej. Islandczycy stali przy burcie, rzucając w naszym kierunku ponure spojrzenia, a mnie opanowała przerażająca myśl: A jeśli rzucono na mnie klątwę? Wciąż czułem na palcach

dziecięcą skórę.

Niezbyt długo siedziałem przy ognisku tamtego wieczora. Szeptano o tym, co zobaczyliśmy u Islandczyków, lecz Sigrid nikt nie chciał rzec ani słowa. W końcu przyciągnęła do siebie mego brata i kazała mu powiedzieć, co mnie tak wystraszyło. Wówczas Bjørn opowiedział jej, co zobaczyliśmy.

Ale o tym, że skóry dziecka używano do rzucania klątwy, nie powiedział.



3

Ponownie wyjęty spod prawa

Powiadają, że gdy Torstein Szkutnik wyruszał z Wysp Owczych, jego krew zatrulo szaleństwo. Na Islandczyków, którzy mogli go bezpiecznie poprowadzić do wyspy leżącej na północnym zachodzie, nie poczekał. Stał dwie doby przy drążku steru, prowadząc statek na otwarte morze, aż osunąwszy się z wyczerpania na pokład, pogrążył się w niespokojnym śnie.

Być może tak właśnie rzeczy się miały. Ale nie było we mnie szaleństwa. To był strach. Żaden ze mnie skald, ale zawsze miałem zdolności do tworzenia sobie w głowie obrazów, a być może los, którego doświadczyłem, będąc jeszcze dzieckiem, sprawił, że często potrafiłem odczuwać ból innych jako swój. Widziałem oczyma wyobraźni kobietę trzymającą na kolanach niemowlę i gromadzących się wokół niej Islandczyków. Potężne łapska pochwyciły ją, przekreśliły na bok głowę, słyszałem trzask skręcanego karku. Nos i usta dziecka zakryła czyjaś dłoń. Przez chwilę wierzgało, wymachiwało rączkami, po czym znieruchomiało; matka i dziecko byli już martwi, błysnął nóż do skórowania.

Gdy ruszaliśmy, nadleciał kruk. Fenre go obszczekał, więc ptaszysko na początku siedziało na rei, a potem na stewie dziobowej. Pomyślałem wtedy, że raczej nie da się już go zapędzić do klatki, lecz po zapadnięciu zmroku kruk nagle sfrunął na pokład. Skjalma próbował go schwytać, więc czmychnął z powrotem na dziób, ale wystarczyło, że córka Skjalma wyciągnęła rękę i ptak natychmiast do niej przyfrunął. Zaraz go zamknęto, a mnie się powiedziało kilka słów na temat trzymania dzikich zwierząt w klatkach i być może zabrzmiałem zbyt ostro, bo dziewczynka się rozplakała.

Mnie, starcowi, łatwo przychodzi przyglądanie się tamtemu młodzieńcowi na statku i kręcenie głową z dezaprobatą, bo zdarzało mu się nieraz zachowywać głupio i sprawiać, że Sigrid i pozostali czuli się niepewnie. Po dwóch dobach przy sterze i nocy niespokojnego snu ocknąłem się w poczuciu przygniatającej szarzyzny. Znowu opanowało mnie przygnębienie. Dokuczało mi często, zwłaszcza w czasach młodości. Przy wiosle sterowym stał teraz Halvor. Ja tkwiłem przy burcie, ogarniając wzrokiem horyzont, a gdy Sigrid zapytała, co mi jest, nie zareagowałem. Żałowałem, że opuściliśmy Orkady, żałowałem, że uczyniłem ją brzemienną. Nie miałem pojęcia, jak uda mi się poprowadzić płynących ze mną ludzi do nowej ziemi na zachodzie ani jak do tego doszło, że nazwali mnie hovdingiem.

Dobrze się stało, że Sigrid przemówiła mi do rozumu tamtego poranka. Znała mnie lepiej niż większość ludzi i wiedziała, że ani zwymyślanie mnie, ani groźby nie pomogą, kiedy zawisły nade mną czarne myśli. Zamiast tego siedziała przy mnie, gładząc po karku i włosach. Przechodzącym obok ludziom mówiła, że w głowie zagnieździł mi się ból i potrzebowałem wypoczynku. Może Sigrid była tylko drobną kobietą, ale dzięki poślubieniu mnie stała się właścicielką knary i całego majątku, który zdołałbym zgromadzić. Gdybym zginął, przejęłaby mój głos podczas tingu przy maszcie, a wszystko co moje, stałoby się jej własnością. Dlatego mężczyźni dawali posłuch jej słowom. Kiedy usnąłem, poprosiła Halvora, by przejął ster. Jomswiking od razu zmienił kurs okrętu. Później tego dnia zauważyliśmy inny statek na wschodzie. To byli Islandczycy.

Gdy nas mijali, Halvor krzyknął, że chcemy im towarzyszyć do Islandii. I tak też się stało.



Dopłynęliśmy do Islandii siedem dni po opuszczeniu Wysp Owczych. Prawie udało mi się otrząsnąć z przygnębienia i stałem na dziobie obok brata, kiedy kierowaliśmy się w stronę lądu. Trzeba wiedzieć, że na Islandii jest więcej czarów niż gdziekolwiek indziej. Wszędzie można spotkać szczeliny i rozpadliny prowadzące do podziemnych krain; nierzadko wydobywa się z nich para i nieprzyjemny zapach. Zatem jest duże prawdopodobieństwo, że pierwsze, co dostrzeżesz, zbliżając się do Islandii, to chmura oparów na horyzoncie. Islandii nie porastają lasy, bo jej wnętrze jest jałowe, a na rozległych równinach nawet trawa nie chce rosnąć.

Gdy zbliżyliśmy się do brzegu, przejąłem ster. Wciąż szliśmy śladem torowym Islandczyków. Płynęli teraz na zachód, mając wyspę od strony sterburty, a my podążaliśmy za nimi. Po krótkim czasie południowy wiatr rozwiął mgłę nad północną częścią wyspy. Mężczyźni powłazili na stewę dziobową i na składowane na śródkręciu beczki i wpatrywali się w ląd, o którym tyle słyszeli. Wiedzieliśmy, że Islandię zasiedliły rody wygnane z Norwegii w czasach, kiedy grasował w niej Harald Pięknowłosa, i dlatego przynajmniej ja i Bjørn przypuszczaliśmy, że mieszkańcy wyspy są poniekąd do nas podobni. Tu nie sięgała władza pazernych królów, tu mężczyźni i kobiety byli wolni. Te rozważania skierowały moje myśli na coś innego niż okropności, które zobaczyłem na kupieckim statku. Jeśli mieszkańcom nie zagrażała władza królewska, to nam nie zagrażaliby żądni zemsty ludzie Olafa.

Kupcy w gęstniejącej nocy poprowadzili nas wzdłuż całego południowego wybrzeża Islandii. O świcie już ich przy nas nie było, ale najstarszy syn Vidara, wdrapawszy się na maszt, lustrował morze i wkrótce zawołał, że widzi ich na północy. Dostrzegł też brzeg leżący na wschód od nas; musieliśmy się znaleźć po zachodniej stronie wyspy. Obraliśmy kurs na północ i po krótkim czasie byliśmy w pobliżu półwyspu zwanego przez Islandczyków Reikjanes, ale my, obecni na pokładzie Norwegowie i Danowie, zwaliśmy go Røyknes. Tu mgła snuje się bez przerwy nad górskimi grzbietami. Znad morza nadpływa słonawa mgławica, z głębi lądu płyną opary z ciepłych źródeł i szczelin w ziemi i ścierają się nad górskimi grzbietami, tworząc chmury, które

czasami sięgają nieba, a kiedy indziej podobne do cienkich ramion, schodzą ku równinom; islandzkie góry zawsze są mokre od deszczu. Roztaczał się przed nami ponury krajobraz, dziki i niegościnnie. Mężczyźni stali długo przy nadburciu, pomrukując do siebie nawzajem. Sigrid dopytywała, czy rzeczywiście mamy zamiar przybić do tamtego brzegu. Nie podobały jej się czarne, jałowe równiny i te nieustanne opary unoszące się nad ziemią. Bała się, że jeśli zejdziemy na ląd, podziemne stwory uprowadzą nam dziecko.

Jeszcze jeden dzień i jedną noc zajęło nam dopłynięcie do krańca Røyknes. Z tego miejsca statek islandzki skierował się na wschód. Podążyliśmy za nimi i wkrótce mieliśmy półwysep na południe od nas. Teraz wiatr wiał prosto od dziobu, zdjęliśmy więc żagiel i wysunęliśmy wiosła. Rzadko doświadczałem tak szczególnego wiatru od lądu jak ten, z którym właśnie się zmagaliśmy. Niósł ze sobą specyficzną dymną woń i jeśli przybywając do Islandii, poczujesz ten zapach, najpierw przypominać ci będzie dochodzącą z głębi lasu woń dymu z ogniska, ale potem, gdy będziesz bliżej lądu, zmieni się i stanie bardziej gorzki. Takiej woni nigdzie nie napotkałem. Był w niej też swąd przypominający o stosach pogrzebowych pod Svolder.

Przez cały tamten dzień płynęliśmy śladem Islandczyków. Wybrzeże przed nami przypominało to, które znałem z Norwegii. Były to szkiery, małe zatoczki i fiordy. W wielu miejscach wieczorne słońce połyskiwało w potokach i wodospadach, a Sigrid wskazała dłonią brzeg i powiedziała, że tu moglibyśmy rzucić kotwicę i zrobić zapasy wody przed wyruszeniem w dalszą drogę. Mocno przytulała naszego syna i nie odrywała wzroku od lądu, jakby się obawiała, że jakieś potwory wyskoczą nagle ze snujących się nad brzegiem oparów i pochwycą statek długimi ramionami.

Podążaliśmy jednak za islandzkimi kupcami. Wody mieliśmy pod dostatkiem. Nie po wodę zawijaliśmy tutaj, lecz po wiedzę. Bo słyszeliśmy o Eryku Rudym i jego synu, Leifie Erikssonie. Jeśli prawdą było to, co nam opowiadano, to Eryk zabił jakichś mężczyzn na Islandii i został wygnany; popłynął na zachód, zszedł na ląd na Grenlandii i zrobił się tam hovdingiem. Jego syn, Leif, ruszył stamtąd do Marklandii w poszukiwaniu drewna, więc mądrze byłoby rozpytać się najpierw tutaj, jeśli były

jakieś szanse na odnalezienie zachodnich wysp. Ktoś z tutejszych musiał znać choćby w przybliżeniu kierunek, jaki należało obrać, by dopłynąć do Grenlandii. Czy powinniśmy się kierować prosto na zachód, czy może należało płynąć kawałek na południe lub na północ, zanim się skręciło na zachód? Wiedziałem, że odległość między Islandią a Grenlandią była znacznie większa niż ta, którą do tej pory pokonaliśmy. Jeśli mieliśmy nadzieję, że gdzieś tam natkniemy się na Grenlandię, musieliśmy wiedzieć, którądy żeglować.

W ślad za islandzkim statkiem okrążyliśmy cypel, za którym leżała zatoczka, i kiedy Islandczycy rzucili kotwicę, my postąpiliśmy tak samo. Popłynęliśmy jednak dalej niż oni. Powiosłowaliśmy aż na drugi koniec zatoczki, bo nie chciałem kotwiczyć zbyt blisko statku z potwornościami na pokładzie.

Ściemniało się, więc poczekaliśmy z zejściem na ląd do następnego dnia. Psy czekały, piszczały i o mało nie wyskoczyły za burtę, jednak Halvor uważał, że nie byłoby mądre podpłynięcie łódką do brzegu przed nastaniem nowego dnia. Może i okolica wyglądała teraz na dość bezpieczną, ale wraz z zapadnięciem nocy powylażą różne stwory i paskudztwa. Przypominam sobie, jak tego wieczora zapalił pochodnię, a gdy jej poświata tworzyła cienie na jego poranej bliznami twarzy, opowiadał o draugurach, które, jak słyszał, tu się pojawiają. Co więcej, wieść niesie, że się stąd wywodzą. To umarlaki nasłane przez samą boginię Hel. Wypełzały ze szczelin i rozpadlin. Niektóre włóczyły się po równinach, inne wydobywały z morskich głębin porośnięte wodorostami wraki i na nich żeglowały po morzach, nawiedzając żeglarzy.

Tej nocy spaliśmy pod pokładem. Od dawna wiedziałem, że istoty podziemne mogą ukraść dziecko, opowiadał nam o tym ojciec, kiedy ja i brat byliśmy jeszcze mali. Opowieści o draugurach też znałem, ale sprawiały wrażenie zmyślonych. Słyszałem, co prawda, że istnieje świat podziemnych jaskiń i korytarzy, więc można sobie wyobrazić, że tam na dole żył jakiś lud. Ale w to, że żywe trupy miałyby wypełzać z głębin królestwa bogini Hel i żeglować po morzach na starych wrakach, trudno mi było uwierzyć.

Jednak tej nocy usłyszeliśmy skowyt, który przeraził wszystkich na statku. Nie brzmiało to ani jak zwierzę, ani jak człowiek. Czy dobiegało od strony lądu, czy

morza, trudno było stwierdzić. Chciałem wstać, bo Bjørn i Valp już byli na pokładzie, ale wtedy Sigrid chwyciła mnie mocno za ramię.

– Nie zostawiaj mnie – szepnęła. – Nie tutaj.

Spędziliśmy zatem całą noc pod pokładem. Nie była to dobra noc, bo bardziej lubiłem spać na zewnątrz przy nadburciu. Pod pokładem zawsze śmierdziało. Odchody zwierząt i kur, mocz, odór kóz i zjełczały zapach wszystkich naszych wierzchnich ubrań ze skóry, które przed podróżą natarliśmy olejem z wieloryba. Kadłub nigdy nie będzie całkowicie szczelny i chociaż mieliśmy najbardziej suchy statek, na jakim kiedykolwiek przyszło mi żeglować, na dole przy stępce zawsze nazbierało się trochę morskiej wody. To powodowało, że panowała tam wilgoć, a w wilgotnym powietrzu skórzane odzienie, liny z foczej skóry, baranice i inne tego typu rzeczy wydzielają paskudny zapach. Pamiętam, że tamtej nocy żal mi się zrobiło przewożonych przez nas zwierzaków, które dniem i nocą musiały stać w ciasnych klatkach i boksach.

Kiedy spałem, Sigrid ułożyła chłopca w moich ramionach. Pewnie przyśniło mi się, że zamiast swego synka trzymam tamtego odartego ze skóry niemowlaka. Nagle się ocknąłem i czując małe ciało na swojej piersi, wzdrygnąłem się i pewnie wydałem z siebie okrzyk, bo Sigrid natychmiast usiadła i zabrała dziecko. Mały się rozplakał, wystraszyłem go. Przypuszczam, że w ciemnościach Sigrid posłała mi ostre spojrzenie.

– Co z tobą? – burknęła. – Nie możesz przytulić własnego syna?

Wśród tych wszystkich koców i baranic zaczęła się kołysać w przód i w tył i dziecko wkrótce się uspokoiło. Zostawiłem ich i podszedłem do końskiej studzienki. Stałem przez chwilę, głaszcząc Vingura po karku, po czym wyszedłem na pokład. Nastawał świt, stanąłem więc przy nadburciu i ogarnąłem spojrzeniem zatokę. Lekki wiatr przegonił mgłę w głąb kamienistych równin. Bjørn i Valp siedzieli przy nadburciu i spali. Nagle ktoś się odezwał na islandzkim statku, załoga podniosła kotwicę i wysunęła wiosła. Mogą płynąć dalej bez nas, pomyślałem. Stąd już sami znajdziemy wodny trakt.

Nie wiem, jak do tego doszło, że tamtego poranka zszedłem samotnie na ląd. Widziałem przed sobą szczeliny i rozpadliny i powinienem mieć się na baczności

przed stworami, które stamtąd mogą wypełznąć, ale miałem uczucie, że ojciec był tu kiedyś. Bardzo niewiele opowiadał nam o życiu, które wiódł, zanim poznał matkę i się osiedlił, i nie przypominam sobie, by kiedykolwiek wspomniął o podróży do Islandii. Lecz teraz było tak, jakbym go tam zobaczył oczyma wyobraźni. Szedł spieszenie zboczem na szczyt wzniesienia. Był młody, miał proste plecy i wydawało się, że wie, dokąd idzie. Zatrzymał się i spojrzał wstecz, jakby chciał, bym poszedł za nim.

Że istnieją wetty [20](#) i ludzie cienia, którzy mogą zwabić człowieka do podziemnego świata, wie każdy mąż i każda niewiasta. Czy to takie istoty, ukazując się pod postacią mego ojca, próbowały mnie skusić do wędrówki w głąb lądu? Być może nigdy się nie dowiem. Widmo rzuciło na mnie czary; z Fenrem pod pachą przeszedłem przez burzę i ześliznąłem się do wody. Był odpływ, więc brodząc, wnet dotarłem na brzeg i wypuściłem psa, który pokuśtykał przed siebie na swoich trzech łapach i z nosem w kępkach trawy. Kuśtykałem podobnie jak on, ułomna noga bywała rano zeszywniała. Ojciec zniknął, ale przyjemnie było czuć torf pod gołymi stopami. Przeszedłszy między kępami trawy wygryzionej przez wypasane tam zwierzęta, wspiąłem się na jeden z głazów leżących nad zatoką i rozejrzałem dookoła. Wszędzie pomiędzy kępami trawy i brzozowymi krzewinkami wystawały plamy czarnych, guzełkowatych kamieni, tak jakby wyspa dopiero co wynurzyła się z morza, a gleba nie zdążyła się ułożyć na nagiej skale.

Od strony wąskiej, wcinającej się w ląd zatoczki, gdzie rzuciliśmy kotwicę, teren wznosił się ku stromym skałom, odległym od nas o kilka strzałów z łuku w kierunku południowo-wschodnim. To tam widziałem ducha mego ojca. Oczywiście było to bardziej przeczucie jego obecności niż widzenie; po chwili uwolniłem się od czarów. Wschodzące słońce przeganiało mgłę, która spływała w kierunku północnym, ku zatoce. Po drodze wypełniała każde zagłębienie i szczelinę w okolicy, jakby miała nadzieję znaleźć tam schronienie, ale większość mgły zatrzymała się w zatoczce, gdzie wydawało się, że może stawić słońcu czoło. Zaległa gęsto, skrywając statek. Pomyślałem, że trzeba zawracać, że nie mogę tak po prostu ruszyć przed siebie, nie mówiąc o tym nikomu. Jednak nie zatrzymałem się i po jakimś czasie znalazłem się z Fenrem przy stromym uskoku. Tu kamienie były barwy czerwonawej, przypominającej kolor bryłek otrzymanywanych podczas spalania torfu w dymarkach.

Rzadko widuje się takie kamienie, ale my mieliśmy je w Vingulmorku, niedaleko półwyspu, na którym dorastaliśmy z bratem. W odległości jednej czwartej dnia wiosłowania w stronę ujścia fiordu leżała wyspa, której część stanowiły takie właśnie skały. Ojciec powiedział, że to olbrzym Surt rzucił ognistą kulą w Thora, lecz chybił, kula spadła do fiordu i tak powstała tamta wyspa.

Wspinałem się na skały i przyszło mi na myśl, że jeśli znajdę się na odpowiedniej wysokości, to może dojrzę ludzkie domostwa. Wkrótce jednak doszedłem do wniosku, że to nie ma sensu. Nadciągnęły chmury, ponownie wypełzła mgła. Niebawem zasnuje otaczający mnie krajobraz i w takich warunkach niczego nie da się wypatrzeć. Stojąc nad uskokiem, znowu poczułem obecność ojca. Obejrzałem się i we mgle dostrzegłem jakąś postać znikającą za głazami.

Dobiegło mnie nawoływanie Bjørna. Odkrzyknąłem, że chcę się tylko rozejrzeć.

Gdy opowiadam o tym, jak ojciec ukazał mi się na Islandii, ludzie twierdzą, że nie ma wątpliwości – to podziemne istoty próbowały zwabić mnie do swego świata. Powiadają, że nie wolno robić tego, co ja uczyniłem tamtego dnia, mogło się to dla mnie źle skończyć. Ale ludzie goszczący w mojej halli widzą jedynie starca i trudno im pojąć, że byłem kiedyś młody i nieustraszony. Miałbym po prostu wrócić na statek, nie upewniwszy się, co się stało z ojcem? Może chciał mi przekazać jakieś słowa. Słowa o dniu, w którym pojawili się Ros i jego ludzie; o dniu, w którym go zawiodłem. Gdybym tylko wtedy nie zasnął na tamtej skale, gdybym czuwał i usłyszał, że nadchodzą...

Może miałem nadzieję, że duch mojego ojca mi wybaczy. Nie wiem. Pamiętam, że wszedłem między skałki, a tam przede mną we mgle stał jakiś mężczyzna.

– Ojcze? – odezwałem się, ale to nie był mój ojciec. Był to jednooki starzec. Widziałem tylko twarz, resztę ciała kryła mgła. To jedno oko wpatrywało się we mnie, sięgało aż do samego wnętrza. Być może trwało to chwilę, lecz wystarczyło, by Wszechojciec mi się przyjrzał i niemal słyszałem jego myśli: „Nowe ziemie na zachodzie? Co takiego odnajdziesz tam, czego już nie posiadasz?”. Usłyszałem szumiący dźwięk i spostrzegłem, że Fenre obsikiwał cokół drewnianego słupa z wyobrażeniem boga. Biedny psiak nie mógł unieść tylnej nogi, ale skierował brzuch w stronę słupa, tak jak potrafił, i sikał w najlepsze.

Na ścianie uskoku, między głazami krył się mały ołtarz. Fenre załatwił swoje potrzeby. Prawdopodobnie słupek skropiono moczem klaczy w rui, co często robiono, by uczynić kobiety z danego rodu bardziej płodnymi. Nie byłem szczególnie gorliwym ofiarnikiem, ale wiedziałem, że jednookim był Odyn, a dwa wywrócone obok słupy też były łatwe do rozpoznania: Freji wyrzeźbiono piersi, a Thor trzymał się za brodę uformowaną jak młot. Dlaczego Islandczycy zostawili Odyna w spokoju, podczas gdy Freję i Thora przewrócono, nie mam pojęcia.

Zszedłem ze stromizny i udałem się w drogę powrotną. Bjørn i Halvor czekali na mnie nad zatoczką. Byli uzbrojeni w topory i łuki. Mój brat chciał wiedzieć, co ja wyprawiam i dlaczego gdzieś polazłem, nie mówiąc nikomu ani słowa. Gdy odparłem, że chciałem się rozejrzeć za jakimiś domostwami, pokręcił tylko głową, a Halvor mruknął, że powinniśmy wracać na statek. Sigrid i Hutten chcieli ze mną o czymś porozmawiać.

Oczekiwali na mnie, gdy tylko wspiałem się na pokład. Ów niskiego wzrostu Szkot poprosił, bym zszedł na dół i przebrał się w coś suchego, a Sigrid stała z dzieckiem na ręku, zerkając z niepokojem w stronę lądu. Nie wiedziałem, co knuli, ale zaraz po tym, jak rozwiesiłem na sznurach pod pokładem wilgotne ubranie i wynurzyłem się z powrotem, Hutten podszedł do mnie i położył swe szorstkie łapsko kowala na moim ramieniu.

– Sigrid rozmawiała ze mną – rzekł. – Widzi ten kraj... – Skierował wolną rękę w stronę lądu. Tu są wetty, Torsteinie. Czujemy zapach ich i ich ognisk płonących w świetle cieni.

– Zszedłem na ląd tylko po to, by się trochę rozejrzeć – odparłem. – Płyniemy dalej.

Hutten objął mnie ramieniem i powiódł do Sigrid.

– Twoja żona poprosiła mnie, bym posadził sobie na kolanach wasze dziecko. To zadanie hovdinga, ale skoro w tym wypadku hovding jest ojcem, matka ma prawo wybrać kogoś innego.

Sigrid zbliżyła się. Gdy podała chłopczyka Huttenowi, ten chrząknął i przybrał poważny wyraz twarzy. Usiadł na najbliższej skrzyni wioślarskiej z dzieckiem na

kolanach.

– Bezimiennego dziecka nic nie chroni przed podziemnymi istotami – rzekła Sigrid, biorąc mnie za rękę. – On musi teraz dostać swoje imię.

Załoga zaczęła się gromadzić wokół nas. Hutten zaskakująco dobrze radził sobie z dziećmi, bo obyło się bez płaczu i grymaszenia. Maluch siedział spokojnie, mrugał i rozglądał się dookoła.

– Ten chłopiec został zrodzony z Sigrid, córki Grimera z Grimsgård – odezwał się Hutten.

– Zgadza się – potwierdziła Sigrid.

– Czy jest ktoś, kto uzna to dziecko? – Spojrzenia wszystkich spoczęły na mnie.

– Ja przecież uznaję – rzekłem. – Dlaczego pytasz...?

– Dlatego nie będziemy dłużej czekać! – przerwał Hutten. – Dziecko ma dostać imię, i to teraz.

– Ravntor ²¹ – padło z ust Sigrid. – Dziecko ma się zwać Ravntor, syn Torsteina.

Spojrzałem na nią. Uśmiechnęła się spod rudych kędziorów i mocniej ścisnęła mnie za rękę.

– Dziecko będzie się zatem zwało Ravntor Torsteinson. – Hutten wstał. – Niech wystąpi ojciec.

Zrobiłem, jak kazał. Hutten położył chłopca w moich ramionach, a ja miałem pokazać go wszystkim dookoła i wypowiedzieć jego imię.

– Ravntor Torsteinson – powiedziałem, obracając się dookoła. Nie śmiałem go podnieść, nie miałem wprawy i bałem się, że go upuszczę.

Chociaż ledwo co się obudziliśmy, Halvor był zdania, że trzeba za to wypić. Odbito pokrywę z ostatniej beczki z piwem, a załoga, tłocząc się, podsuwała kufle. Gdy wszyscy mężczyźni oraz kobiety napełnili kubki, Halvor wygłosił toast na cześć Ravntora, który ma już swoje imię. Sigrid i ja wycofaliśmy się na rufę, gdzie usiedliśmy, opierając się plecami o nadburcie. Sigrid przyłożyła dziecko do piersi i zanim zdążyłem zapytać, wyjaśniła:

– Ten znak przypomina kruka. Nie widzisz? – Odsunęła pledy i pogłaskała chłopca po znamieniu. – Jednego z kruków Odyna. Dziecko jest pod ochroną Wszechojca. Może również jego syna Thora, jeśli wciąż uważasz, że znak jest podobny do młota.

Tego poranka nikt nie opuścił statku. Po ceremonii posadzenia na kolanach Hutten opróżnił trzy kufle jednym ciągiem, a potem zaczął bełkotać o podziemnych stworach wykradających ludzkie dzieci z ramion matek i podrzucających w ich miejsce swoje. Nie był sobą, płakał, zaklinał się na boginię Hel. Kobiety zeszyły z dziećmi pod pokład, nieźle je wystraszył. I nie chodziło tylko o pijackie gadanie, on przecież przypominał wetta – niskiego wzrostu, szeroki w barach. We włochatej opończy na ramionach wyglądał, jakby wypełznął ze świata cieni, aby przestrzec przed tym, co nas czeka, jeśli damy się schwytać. Nie wszyscy jednak się przejmowali Huttenem i jego opowieściami. Po południu Valp, Halvor i Bjørn udali się po trawę dla przewożonych na statku zwierząt. Wybrali tę samą drogę, którą ja szedłem, i długo nie wracali. Gdy już się pojawili, ani słowem nie wspomnieli o ołtarzu.

Zaczęło padać i nie ruszyliśmy tego dnia w dalszą podróż. Było bezwietrznie, a deszcz padał tak gęsto, że na pokładzie woda zbierała się w kałużach, po czym ściekała przez otwory w dolnej części nadburcia. Rozpięliśmy skórzaną płachtę nad Vingurem, większość z nas schowała się pod pokładem, oczekując na polepszenie pogody. Trzymałem synka w ramionach, zastanawiając się nad jego imieniem. Wcześniej Sigrid nie wspomniała o nim ani słowem. Ale to było dobre imię, sam bym lepszego nie wybrał. Sigrid siedziała przytulona do mnie, co chwila wsuwając rękę pod moje ramię. Szeptala, że nie podoba się jej to miejsce, że musimy stąd odpłynąć, jak to tylko będzie możliwe. Może byłoby lepiej, gdybyśmy zawrócili na Wyspy Owcze, mówiła, albo aż na Orkady. Dobrze by nas tam przyjęto, a powrót nie byłby żadną hańbą.

Resztę dnia i noc spędziliśmy w zatoczce. Vigur tupał niecierpliwie, czuł trawę i chciał wyjść na brzeg. W ciągu nocy nadciągnął wiatr. Kotwica najwyraźniej odczepiła się od dna, ponieważ o świcie okazało się, że zdryfowaliśmy na mieliznę.

Mężczyźni zeskoczyli do wody. Naparliśmy barkami na rufę, wszyscy naraz, próbując rozhuścić kadłub. Krzyknąłem do załogi:

– Złap oddech... Pchaj! Złap oddech ... Pchaj!

Podczas gdy mozoliliśmy się, stojąc w wodzie, do zatoczki wpłynął karw. Takich

langskipów było wtedy na Islandii sporo. Niskie i lekkie, długość niektórych z nich nie przekraczała trzech wysokości chłopa, a Islandczycy używali ich, gdy chcieli szybko przemieścić się po płytkich wodach. Na pokładzie znajdowało się dwóch mężczyzn. Poprowadzili łódź w głąb zatoczki; jeden z nich, rudobrody, w skórzanym przyodziewku, przeszedł na dziób, po czym spuścili reję oraz żagiel i wysunęli wiosła.

Podpłynęli do Dana. Na pyzatej twarzy rudobrodego zagościł uśmiezek.

– Wpłynęliście na mieliznę?– Mówił z akcentem typowym dla mieszkańców Ryge.

– Czy po prostu bierzecie kąpiel?

Ta ostatnia odzywka była tak zabawna, że ten drugi, czarnobrody, o najpotężniejszych łapskach, jakie kiedykolwiek widziałem, zarechotał. Następnie podniósł z pokładu dorsza, wyciągnął tkwiący u pasa nóż i zabrał się do patroszenia ryby nad burtą. Krew i wnętrzności wpadały z chłupotem do wody w odległości ledwie jednego wiosła od nas.

– Doszły nas słuchy, że pojawili się jacyś obcy – odezwał się rudobrody. – Powiedziano nam, byśmy zwrócili się do człowieka, którego zwaą Torstein Tormodson.

– To ja – odrzekłem. – Jam jest Torstein, syn Tormoda.

– Na imię mi Torolf. Ale ludzie mówią na mnie Dorsz, jak ten tu... – Obrócił się i wskazał rybę. Czarnobrody właśnie włożył swoje grube paluchy do rybiego brzucha. – A to Branne Jęzor, mój niewolnik.

Rudobrody uśmiechnął się i postukał pięścią w kadłub.

– Potężny statek! To chyba jedna z największych knar, jakie kiedykolwiek widziałem! Wygląda na duński – dodał, nie czekając na moją odpowiedź. – Wysłano nas, byśmy pokazali wam drogę do zagrody godego. Jestem bratankiem Torgeira Mędrca Torkelсона. Jest godim w tym okręgu i mam wam przekazać, że możecie dziś u niego nocować.

Odpowiedzi nie oczekiwał. Dał głową znak niewolnikowi, który odłożył dorsza i wskoczył do wody. Poszedł do nas i oparł się barkiem o kadłub, a my zrobiliśmy to samo co on. Znowu krzyknąłem do ludzi, aby wstrzymali oddech i pchali. W końcu statek się uwolnił.



Torgeir Mędrzec Torkelson był w tamtych czasach najpotężniejszym mężem w południowo-zachodniej Islandii. Mieliśmy szczęście, że szliśmy za islandzkim statkiem kupieckim, bo na pokładzie byli ludzie z jego rodu. Gdybyśmy popłynęli za nimi dalej, doprowadziliby nas do Kollefjorden, będącego wówczas siedzibą godego. Torolf i jego sługa weszli do nas na pokład; ich karv wzięliśmy na hol, nasz przewodnik wskazywał mielizny, mówił, któredy płynąć, i po krótkim czasie naszym oczom ukazała się sadyba godego. Leżała w głębi fiordu, na lekko nachylonym zboczu, o dobry rzut kamieniem od brzegu. Z porośniętego trawą lądu wyrastał kamienisty cypel i pod jego osłoną mogły cumować statki, rzucając kotwicę od strony rufy, a liny na ląd. W tym miejscu znajdowała się głębia i można było podprowadzić statek tak blisko kamienistego przylądka, że stojąc na dziobie, bez trudu stawiało się stopę na lądzie. Statek kupców już tam cumował, w towarzystwie kilku innych jednostek – sześciu mniejszych karwów, a także trzech knar podobnych do naszej, z końską studzienką i wysoką wolną burtą. Torolf Dorsz poradził, byśmy dobili od wewnętrznej strony cumowiska, gdzie było na tyle płytko, że koń mógł stanąć na dnie. Nasz przewodnik wskazał też w kierunku zielonych równin na tyłach sadyby. Jeśli miałbym ochotę, mogę na pastwisko wyprowadzić kozy, które robią taki harmider pod pokładem.

– Nie ma lepszej paszy niż islandzka trawa – dodał.

To, że godi przyjmował u siebie przyjezdnych, wcale nie było czymś niezwykłym. W czasach, kiedy zjawiliśmy się na Islandii, tamtejszych rodów było niewiele i nie mieszkali tu wystarczająco długo, by rozproszyć swoje dzieci i wnuki po całej wyspie, jak to uczynili później. Dlatego na wszystkich przybywających do tego kraju mężczyzn i kobiety patrzono przyjaźnie, jak na świeżą krew. Torgeir Mędrzec Torkelson był, na co wskazywało jego imię, najmądrzejszym człowiekiem na Islandii. Gdy razem z Bjørnem i Halvorem wyskoczyłem na ląd, stał już od pewnego czasu przy swoich zabudowaniach, nie spuszczać z nas wzroku. Miał siwą brodę, zwisającą aż na pierś, a odziany był w sięgającą do ziemi niebieską tunikę i opończę. W dłoni trzymał długi kij.

Bjørn, Halvor i ja staliśmy najpierw na skalnej wypukłości na cyplu. Mrużąc oczy, przyglądaliśmy się gospodarstwu i ciągnącym się za nim pastwiskom, a brat był zdania, że rudobrody miał pewnie rację, bo ziemia rzeczywiście sprawiała wrażenie żyznej. Dotarł do końca kamienistego gruntu i wszedł bosymi stopami w zieloną trawę. Przykucnął, wbił palec w glebę i dokładnie go obwąchał.

– To dobra ziemia – zawyrokował, zupełnie jakby się znał na takich sprawach.

Teraz na ląd zeszli również islandzcy kupcy, Valp i Hutten, ten ostatni z Fenrem pod pachą, a Torolf Dorsz i jego niewolnik kiwnięciami dłoni zachęcali nas do kierowania się w górę, ku gospodarstwu.

O Torgeirze Mędrцу Torkelsonie nie mogę rzec złego słowa. Wiem, że niejedno opowiadano o tym, co się wydarzyło w jego posiadłości, ale prawda była taka, że godi okazał się dobrym gospodarzem i nie mam do niego pretensji o to, co tam zaszło. Gospodarstwo składało się z dwóch długich domów: domu niewolników po stronie północno-zachodniej i domu wolnych ludzi po stronie południowo-wschodniej. Stały ścianą szczytową skierowane w stronę fiordu, a rozdzielało je podwórze. Przy ścianach szczytowych skierowanych w głąb lądu stał jeszcze jeden budynek. W jednym końcu mieścił oborę, a w drugim stajnię z kojcem dla świń pośrodku. Zimą wszystkie zwierzęta z wyjątkiem świń przenoszono do długich domów, ale ponieważ trwało lato, miejsca nie brakowało, zarówno u niewolników, jak i u wolnych. Było to piękne gospodarstwo, z którego każdy wielmoża mógłby być dumny.

Gdy pojawiliśmy się na podwórze, Mędrzec, jak go przeważnie nazywano, siedział na ławie przy nasłonecznionej ścianie. Miał zamknięte oczy, a na jego kolanach spoczywał kij. Widniała na nim długa linia z nacięciami oznaczającymi dni i miesiące. Był to prawdopodobnie kij runiczny, z gatunku tych, które pozwalają na śledzenie upływu czasu przez cały rok. Trudno było określić wiek Mędrca, bo chociaż brodę i włosy miał siwe, twarz nie była zbyt pomarszczona. Mógł kończyć czwartą dziesiątkę albo mieć nawet sześćdziesiąt lat, a może coś pomiędzy.

– To mężowie, o których ci opowiadano – odezwał się Torolf. – Ci dwaj są Norwegami. Ale sądząc po języku, większość na pokładzie to Danowie.

Poza Torolfem, Mędrce i niewolnikiem na podwórzu nie było żadnych mężczyzn. Dwie kobiety wyszły z budynku gospodarczego, jedna z wiadrami w obu dłoniach, druga z kurą, którą położyła na pniaku. Wolną ręką uniosła toporek na krótkim stylisku. Ledwie obrzuciła spojrzeniem biedne ptaszysko, a już topór opadł. Swój wzrok skierowała ku nam i naszemu statkowi widocznemu zza cypla.

Mędrzec wskazał na nas swoim kijem runicznym.

– Macie hovdinga?

Bjørn położył mi dłoń na ramieniu.

– Płyniemy na knarze mojego brata i to jego nazywamy hovdingiem.

– A jak się nazywa twój brat? – dociekał Mędrzec.

– Torstein – wtrąciłem się. – Ja i mój brat, Bjørn, jesteśmy synami Tormoda.

Pochodzimy z Vingulmorku.

Mędrzec zerknął na naszą knarę.

– Wydaje się, że statek zbudowali Danowie.

– Dostaliśmy go od Svena Widłobrodego – rzekł Halvor. – W nagrodę za walkę w jego szeregach pod Svolder.

Halvor doskonale wiedział, że przodkowie Islandczyków zostali wygnani z Norwegii przez Haralda Pięknowłosego i raczej nie popierali nowej władzy królewskiej w ojczyźnie. Być może sądził, że każdy, kto walczył przeciwko Olafowi Tryggvasonowi, powinien zostać tu dobrze przyjęty. Mędrzec nie wydawał się jednak szczególnie zachwycony.

– Rolników i rybaków nam trzeba. Wojów nie potrzebujemy. – Splunął na ziemię między znoszone buty z wołowej skóry i się podniósł. – Ale jesteście mile widziani w tym okręgu. Wciąż jest tu ziemia, której jeszcze nikt nie zajął. Mogę więc nadać wam kawałek i go pobłogosławić, choć widzę, że macie niewiele kobiet na pokładzie. Kobiety w płodnym wieku, nie mężczyzn, pragniemy tu widzieć.

Torolf Dorsz podrapał się po brodzie w zamyśleniu, po czym wyjaśnił, że przybyszom przydzielano ziemię w zależności od liczby towarzyszących im kobiet w płodnym wieku, a godi pokiwał głową i ponownie usiadł. W tym momencie mój wzrok padł na mały srebrny krzyżyk, który krył się pod jego brodą i zrozumiałem, co ma na myśli, mówiąc o błogosławieniu ziemi. Torgeir Mędrzec Torkelson był

chrześcijaninem. Później tego wieczoru opowiedział nam o tym, jak stracił dziecko na górskich łąkach, jak przeklinał podziemne stwory i aby dziecko odzyskać, składał ofiary Odynowi, Frigg i Freji. Lecz żaden bóg go nie wysłuchał, więc gdy przyplłynął statek z Fryzji z winem i chrześcijańskimi uczonymi mężami na pokładzie, Mędrzec razem z żoną nawrócili się na wiarę Białego Chrysta. Udał się potem do potężnego wodospadu zwanego Gudfoss, gdzie wrzucił wszystkie podobizny bogów, a z rąk chrześcijańskich uczonych z fryzyjskiego statku otrzymał krzyż dający mu moc błogosławienia. Bo żadna podziemna istota nie mogła wyjść na powierzchnię ziemi, która została pobłogosławiona.

Po rozmowie z Mędrcem dźwignęliśmy Vingura i kozy nad burtą. Valp, Hutten i kilku innych doprowadzili zwierzęta na brzeg i powiedli je w górę, na pastwiska. Z mego miejsca przy wiosle sterowym widziałem, jak Vingur staje dęba i parska tak głośno, że słychać go było w całej zatoce. Długo stałem tego ranka przy sterze. Wędrowałem wzrokiem po okolicy i o ile pamiętam, moja pierwsza myśl była taka, że musimy uciekać z tej wyspy tak szybko, jak tylko nam się uda, bo tutejszy hovding jest chrześcijaninem. Wrzucił drewniane figurki bogów do wodospadu, a taki czyn z pewnością wielce rozgniewał Wszechojca i jego synów, a także Freja. Zapewne toczyłem dookoła ponurym wzrokiem, ponieważ podeszła do mnie Sigrid, dopytując, co się stało. Wymamrotałem, że znaleźliśmy się u chrześcijańskiego hovdinga, takiego co się wyparł wszystkiego, czym był. A to mi się bardzo nie podoba, bo od chrześcijan znałem tylko krzywdy. Sigrid zaoponowała, mówiąc, że zapomniałem o Burysławie. Król Wendów kazał zdjąć obręcz niewolniczą z jej karku i chociaż nie zwrócił jej wolności, żaden niewolnik nie był u niego źle traktowany. Gdy Vagn postanowił ją wykupić, tak by mogła udać się ze mną na północ, Burysław mógł się nie zgodzić. Ale pozwolił nam wyjechać. Być może powinienem wyrzucić z siebie tę starą nienawiść, którą żywiłem do chrześcijan, dodała.

Przez większość dnia pozostawałem na statku i samotnie spędziłem popołudnie pod masztem, natomiast załoga zeszła na brzeg. Wyjąłem swoją broń i zabrałem się do czyszczenia. W Jomsborgu nauczyłem się, że nie jesteś wiele wart jako mężczyzna,

jeśli nie potrafisz zadbać o swoją broń, a podróż morska szczególnie źle się odbija na żelazie. Najpierw naostrzyłem duński topór, mimo że już przedtem był wystarczająco ostry. Gdy stałem, sięgał mi do podbródka, potężny był to oręż. Naostrzyłem również saks i nóż. Jest coś wyjątkowego w takiej pracy osełką i wciąż jeszcze po nią sięgam, gdy chcę dać myślom odpocząć. Saks, który wówczas miałem, łatwo się ostrzyło, i nie chodziło tylko o to, że ostrą krawędź miał całkiem prostą, tak jak to bywa w przypadku saksów; można powiedzieć, że te długie noże mają ostrze na grzbiecie, a tępa krawędź schodzi łukiem ku czubkowi. Ten saks wykuto z wielu warstw żelaza, które były tak skuwane, że przypominały słoje w drewnie. Rdzeń tworzący ostrą krawędź był twardy, ale bardzo cienki, a otaczały go warstwy bardziej miękkie, które nadawały żelazcu elastyczność, tak by się nie złamało.

Po naostrzeniu saksy, topora i noża nasmarowałem stalowe części wielorybim olejem, który przechowywałem w glinianym dzbanku. Pomyślałem, że powinienem towarzyszyć Sigrid na łodzi, ale w słonecznym cieple ogarnęło mnie rozleniwienie i zasnąłem. Gdy ucinałem sobie drzemkę, Bjørn i Halvor odwiedzili mieszkańców gospodarstwa, gdzie usłyszeli o Eryku Rudym. Mówiono, że był synem człowieka z zachodniej Norwegii i tak jak ojca wygnano stamtąd za zabójstwo, z takiego samego powodu Eryka wygnano z Islandii. Jednak po trzech zimach spędzonych na wygnaniu powrócił i opowiedział o zielonym, żyznym kraju na zachodzie, gdzie były uprawne ziemie i fiordy bogate w ryby i gdzie każdy mąż mógł żyć niczym hovding. Ludzie za nim podążyli, cała flota. Niejeden był pewien, że powrócą, przeklinając Eryka Rudego za to, że ich namówił na wyprawę, ale ci, którzy powracali, robili to tylko, by pohandlować. Potrzebowali zboża i smoły, rzepy i piwa, a także grudek rudy żelaza, towarów, które Islandczycy musieli nabywać od kupców przyplływających z południa. Cena, którą płacili Islandczycy, była podwajana dla Grenlandczyków, którzy płacili kosztownościami takimi jak kły morsów, skóry białych niedźwiedzi i długimi wytrzymałymi linami splatanymi ze skór fok i morsów. Nie dziwota, że Islandczycy żądali tak wysokiej zapłaty. Wielu tutejszych mieszkańców miało tak zwany dług prawny i pragnęło zapłacić w imieniu rodu za popełnione zabójstwo. W tym czasie Islandią targwały krwawe zatargi między rodami, a zemsta rodowa wciąż wymagała nowych ofiar. Zabitego syna mściłeś, zabijając syna z rodu zabójcy, co pociągało za

sobą kolejną zemstę i w ten sposób klany wytrzebiały się nawzajem. Niewielu Islandczyków ośmielało się zajmować nowe kawałki ziemi, bo czegoś takiego nie można było zrobić, nie mając wokół siebie garści lojalnych wojów oraz niewolników. Dlatego Mędrzec pomyślał, że tacy jak my – przybysze niezamieszani w konflikty – byli ludźmi, których przydałoby się więcej na Islandii.

Po wieczornym posiłku zwołaliśmy ting przy maszcie. Halvor, będąc skaldem i tym spośród nas, który był najbardziej wygadany, zabrał głos pierwszy. Wyraźnie dało się zauważyć, że przemyślał wcześniej to, co chce powiedzieć, bo były to dobrze sformułowane słowa, które wciąż pamiętam.

– Rozmawialiśmy o Grenlandii na zachodzie – zaczął. – Wiemy, że rządzi tam mąż zwany Erykiem Rudym. Teraz słyszymy również, że są tam dobre pastwiska, na co wskazuje sama nazwa. – Te ostatnie słowa wypowiedział, odwracając z wolna wzrok od morza i kierując go w stronę lądu. – Lecz ktoś mógłby zapytać: Dlaczego przepływać morze, skoro już znaleźliśmy taką wyspę. Ziemię obiecał nam godi. Możemy popłynąć na wschód po zwierzęta domowe i po kobiety. Dobre życie możemy wieść na Islandii.

Hutten zrobił krok do przodu i splunął na deski.

– Nie wszedłem na ten pokład, na statek pełen Danów i Norwegów, aby żyć na takiej samej wyspie, jaką opuściłem! – Tupnął nogą, trafiając w płwocinę. – Myślałem, że płyniemy do Marklandii! Do modrzewiowych lasów! Statki mieliśmy budować!

Niektórzy z zebranych zaczęli szemrać. Skjalm stanął obok kudłatego, niskiego Szkota.

– Mieliśmy się wzbogacić, Halvorze. Zapomniałeś?

Halvor ponownie zwrócił spojrzenie ku morzu.

– Być może historie są prawdziwe. Być może rosną tam modrzewiowe lasy, na zachód od Grenlandii. Jeśli tak się rzeczy mają, możemy zbudować statki i pożeglować na nich na wschód, a statki wymienić na zboże i zwierzęta. Jeśli historie są prawdziwe.

Przez chwilę trwała kłótnia. Mężczyźni brzmiali coraz bardziej ponuro, nie

wrzeszczeli jak ludzie z południa. Zamiast tego ściszano głosy, marszczono czoła, zaciskano pięści. Najwyraźniej słychać było Yllę i Gislaug, które jasno dawały do zrozumienia wszystkim tu zebranym, że dalej nie płyną.

Halvor, Bjørn i ja obserwowaliśmy kłócących się, aż zawołałem, że wystarczy tego. Podeszedłem do masztu i położyłem na nim dłoń.

– Ten, kto chce płynąć dalej, przechodzi na dziób. Ten, kto chce zostać, idzie na rufę.

Gdy ludzie podzielili się, stając na dziobie i na rufie, policzyłem ich. Wszystkie kobiety, w tym Sigrid, chciały zostać, również ich mężczyźni i dzieci. Bjørn także stanął z tyłu, co mnie zaskoczyło.

– Kobiety i dzieci się nie liczą – dobiegło z przodu statku, a Eystein dodał, że nie powinno liczyć się każdej głowy jako jednego głosu, bo dzieciaki zagłosują przecież tak jak ojciec, a kobiety tak jak ich chłop.

– Zamknij gębę! – zawołał Skjaln. – Więcej rozsądku wychodzi z ciebie, jak pierdzisz, tak jak to się zdarzyło u Widłobrodego.

Zabrzmiało to na tyle zabawnie, że mężczyźni zgromadzeni wokół Skjalma wybuchli śmiechem. Eystein pogroził im pięścią. Szybko policzyłem i okazało się, że jeśli nie bierze się pod uwagę kobiet i dzieci, to większość chciała płynąć dalej. Halvor też to spostrzegł.

– Teraz hovding wie, czego chcecie – powiedział. – Przez noc sprawę przemyśli i rano poda wam kurs.

Nieraz dobrze było mieć przy sobie Halvora. Zawsze wiedział, co powiedzieć.

Następnego dnia nic wielkiego się nie wydarzyło oprócz tego, że Hutten wpadł na pomysł, by wszyscy mężczyźni poszli się wykąpać na skraj cypla. Nie przyłączyłem się. Najpierw stałem przy wiośle sterowym, skąd ogarniałem wzrokiem zatokę, ciągnące się w głąb lądu łąki i cumujące statki. Na jednej z knar stał jakiś człowiek i latał żagiel kościaną igłą, z tyłu przy sterze, podobnie jak ja, stał mąż o długich do ramion, starannie uczesanych włosach, w błękitnej opończy spiętej na ramieniu srebrną zapinką wielkości dłoni; błyszczała w słońcu. Usiadłem na jednej z wioślarskich skrzyń, bo w tamtym człowieku było coś wielkopańskiego i możnego,

co sprawiło, że poczułem się nieswojo. Sigrid czytała mnie równie biegle, jak żeglarz czyta z chmur i wiedziała, że jeśli posiedzę tak dłużej, to pograżę się w przygnębieniu. Podała naszego synka Gislaug i wzięła się do grzania wody.

Młode kobiety z sadyby godego zebrały się, by pooglądać kąpiących się mężczyzn. Ponieważ nasi poszli na skraj cypla, nie mogłem dostrzec, co się tam działo. Kobiety jednak widziałem, ponieważ ustawiły się na skalnej wyniosłości, skąd miały dobry widok na dół, na wodę. Pokazywały palcami i chichotały, a wieczorem brat mi opowiedział, że jomswikingowie popisywali się, pływając na wyścigi i nurkując aż do samego dna, gdzie zbierali muszle i kamyki. Potem stali na brzegu, goli jak ich matka na świat wydała, a Halvor podsumował, że chłop, który nie znalazł sobie baby po takich pokazach, nie zasługiwał na to.

W tym czasie Sigrid mnie myła. Z wiekiem odkryłem, że niektóre wspomnienia błędą. Są jak runy wyryte zbyt płytko w kamieniu, trudno mi je dostrzec. Ale dokładnie pamiętam ten moment, gdy myła mnie na pokładzie Dana, jaka czuła była dla mnie. Miała taką gąbkę, którą można znaleźć na targu w południowych krainach. Zanurzała ją w podgrzanej wodzie i przecierała moje ciało. Chciałem powiedzieć, że to ja powinienem tak ją umyć, po tych trudach związanych z porodem, karmieniem i w ogóle, ale Sigrid mnie uciszała, gdy tylko próbowałem otworzyć usta.

Była dobrą kobietą. Ci, co opowiadają, że została moją, bo wyrwałem ją z niewoli, niczego nie wiedzą. Stała przy mnie wiernie, kiedy wypłynęliśmy na nieznane wody, chociaż wiedziałem, że najchętniej pozostałaby na Orkadach.

Gdy skończyła mnie myć, wdziałem na siebie czyste spodnie i lnianą tunikę, którą przechowywała w skrzyni. To były moje najlepsze ubrania i jej zdaniem powinienem ich używać tylko przy okazji uczt i przyjęć. Podała mi srebrną broszę, dar jarla Orkadów, a ja przypiąłem ją do ubrania. Była to piękna, okrągła zapinka z ostrą szpilą. Sigrid chciała, bym też nałożył opończę, ale byłem zdania, że jest za ciepło. Poza tym Valp zwymiotował na moją opończę, kiedy piliśmy pod koniec vinterblot i wciąż miałem wrażenie, że ją czuć wymiocinami. Sigrid odszukała pierścień, który dostałem od króla Danów, włożyła mi go na palec i pogładziła mnie po brodzie.

– Proszę. – Uśmiechnęła się. – Jak na hovdinga przystało.

Zaczęła karmić dziecko. Stałem przy niej, bo to był piękny widok. Sigrid

z Orkadów stała z dzieckiem przy piersi, z wiatrem w rudych, kręconych włosach i wzrokiem skierowanym w stronę lądu.

Wieść, że jesteśmy jomswikingami, rozeszła się i Torgeir Mędrzec Torkelson sądził pewnie, że bylibyśmy pożytecznymi sojusznikami w konfliktach targających Islandią. Gdy tylko kupcy rzucili kotwicę i opowiedzieli mu o nas, zaczął snuć plany. Już wcześniej rozesłano wieści do okolicznych gospodarstw, że Mędrzec przygotowuje ucztę. Nie chodziło o uczczenie nas, ale męża o imieniu Torfinn Karlsevne. Ów Torfinn był kupcem i moi ludzie dowiedzieli się, że był bardzo zamożny. Powrócił właśnie z dalekiej wyprawy i jak wieść niosła, dokonał świetnej wymiany swoich towarów. To jego widziałem przy sterze wcześniej tego dnia, ale potem zszedł na ląd razem z potężnie zbudowanym mężem w skórzanym kubraku i szarawarach. Obaj stali długo na cyplu, patrząc na zachód, po czym skierowali się do gospodarstwa i zniknęli w domu dla ludzi wolnych. Nie mam pojęcia, o czym rozmawiali, wyszli jednak po jakimś czasie i wrócili na knarę, obrzucili mnie szybkim spojrzeniem, mijając nasz dziób, ale nie zatrzymali się, by się przywitać lub zamienić jakieś słowo. Na ławce stojącej przy langhusie dla ludzi wolnych rozsiadł się Mędrzec. Widziałem, że mnie obserwuje.

Dla takiego człowieka, jakim był, sprawą decydującą było pokazanie wszystkim, a szczególnie nowo przybyłym, że jest to wielmoża posiadający ziemię i bogactwa i osoba poważana przez Islandczyków. Miał teraz szczęście, bo zjawiliśmy się tego samego dnia, na który sprosił ludzi, by świętować powrót Karlsevneho przywożącego wieści z norweskiego wybrzeża. Karlsevne odwiedził samego jarla Eirika i słyszał, że Eirik i jego brat Svein rządzą teraz całą Norwegią, z wyjątkiem Viken i Vingulmork. Zajrzał również na Jutlandię, gdzie kupił bursztyn, który zabrał do Jorviku, a tam za bursztyn można było uzyskać dobrą cenę, co świetnie wykorzystał. Powrócił na Islandię z taką ilością żyta, że można było nim wykarmić cały okręg przez zimę, wiosnę i lato, mówiono. Była to pewnie przesada, jednak niewątpliwie prawdą było, że niewielu mężczyzn miało większy talent do gromadzenia bogactw niż Torfinn Karlsevne. O ile wiem, miał gospodarstwo o nazwie Reinistad, ale prowadzili je jego ludzie, a sam Torfinn przeważnie podróżował jako kupiec. Był młody, gdy po raz

pierwszy wyruszał w takim celu, tak młody, że otrzymał wówczas przydomek Karlsemne ²², co miało być aluzją do tego, że nie był jeszcze w pełni ukształtowanym karlem, mężczyzną. Lecz tak przedsiębiorczy i pełen uzdolnień, jakim się okazał, zasłynął wkrótce jako Karlsevne ²³ i dla ludzi pokroju Mędrca niewielu było mężów bardziej wyczekiwanych niż on. Może stary miał nadzieję, że i ja okażę się równie pełen przymiotów jak Torfinn, nosząc prawie takie samo imię jak on. Mędrzec porozmawiał wcześniej z moją załogą i wiedział, że potrafię budować statki i że jestem znany jako Szkutnik. Teraz więc mieliśmy wypić za przyjaźń, a wszystkie niezamężne kobiety, zarówno młode dziewczyny, jak i wdowy, zostały zaproszone na ucztę.

Już po południu zaczęli przybywać sąsiedzi. Na podwórzu u Mędrca ubito dwie świnie, kwiczenie niosło się po całym fiordzie. Potem rozpalono ogień, wyniesiono długie stoły z domu niewolników i z domu ludzi wolnych, a goście wbili w ziemię brzozowe pale i rozpięli stare żagle, tworząc ochronę przed deszczem i wiatrem. Pod zadaszeniem porozkładali skóry, ponieważ o tej porze roku lepiej było spać na zewnątrz niż pod dachem. Stałem z bratem przy burcie, obserwując przygotowania. Przyglądaliśmy się przybywającym kobietom. Były odziane w piękne sięgające ziemi koszule i wyszywane suknie wierzchnie. Część z nich miała naszyjniki i bransolety ze srebra i brązu, w których połyskiwały promienie słoneczne. Większość gości przybyła drogą morską, cumując za cyplem. Niektórzy gapili się na nasz statek, bo był największy w zatoce. Pokazywali palcem maszt i końską studzienkę, mrużąc: „pewnie przyплыnęli z daleka”, a potem szli dalej, do miejsca, gdzie kotwiczył statek Torfinna. Bjørn dowiedział się, że do Torfinna należały oba langskipy i dwie z kotwiczących tam knar. Był niczym jarl. Jego statki nie należały do największych, raczej nie miały zbyt dużo miejsca pod pokładem i może właśnie dlatego skrzynie poustawiano przy podporach dla rei. Były to okazałe kufry ozdobione żelaznymi okuciami i zamykane na klucz, co zdaniem Islandczyków oznaczało, że przechowuje się w nich złoto i srebro. Wkrótce Torfinn pojawił się na knarze, w miejscu, w którym go wcześniej widziałem, a jego ludzie wnieśli tam również kilka skrzyń. Postawiono je na pokładzie rufowym, skąd były dobrze widoczne, a on ustawił się przy wiosle

sterowym, ze srebrną zapinką, w niebieskiej opończy i z wiatrem we włosach, jakby był jakimś królem pozwalającym się podziwiać swoim poddanym. Ja też stałem, gapiąc się na niego. Gdy mnie spostrzegł i uniósł ramię w pozdrowieniu, odwróciłem się tyłem do niego. Nie chciałem, żeby sobie wyobrażał, że upajam się jego widokiem, jak ci durnie na cyplu. Wśród przybyłych do gospodarstwa byli nie tylko ludzie wolni, ale także mężczyźni i kobiety z niewolniczymi obręczami na karku. To oni zabrali się do budowy obozowiska i rozkładali skóry, na które później mieli lec ludzie wolni, pijani piwem Mędrca. Musiało być tam prawie tyle samo niewolników, co wolnych, a wśród nich wiele kobiet. Pomyślałem, że musieli tu zaglądać handlarze zapuszczający się w dalekie strony, bo wśród niewolnic jedna miała ciemną skórę i niespotykane małe oczy. Prawie dziecko, nie liczyła więcej niż dziewięć, dziesięć lat. Miała bose stopy, co samo w sobie nie było niczym złym, większość z nas nie nosiła butów o tej porze roku, ale jej tunika była brudna i obszarpana, a włosy kleiły się od brudu, jakby nigdy nie widziały wody. Miała pokaleczone łydki i kolana, wychudzoną twarz. Przykro było na nią patrzeć. Przypominała mnie z czasów, gdy nosiłem niewolniczą obręcz na szyi.

Wciąż stałem z bratem przy burcie. Ja przyglądałem się gościom i ich niewolnikom, natomiast Bjørna interesowało znacznie bardziej coś, co działo się nad samym brzegiem, poniżej gospodarstwa. Myła się tam grupka nowo przybyłych kobiet. Zsunęły koszule z górnej części ciała, opłukiwały się pod pachami, obmywały nagie piersi. Niektóre z nich ułamały kilka łądyżek wodorostów porastających wystające z wody kamienie, zanurzały owe łądyżki w przyniesionych ze sobą dzbanuszkach, po czym rysowały sobie nawzajem czarne obwódki wokół oczu. Większość kobiet była bardzo młoda, a niejedna była miła dla oka. Sigrid nie zachwyła ta sytuacja. Podeszła do mnie.

– Powiedz mężczyznom, by się mieli na bacności, Torsteinie. Te dziewczyny mogą rzucić na nich silniejsze czary niż podziemne stwory.

Musiałem przyznać jej rację. Bo nawet mój brat sprawiał wrażenie zaczarowanego, błyszcząły mu oczy i za nic nie potrafił oderwać wzroku od dziewczyn.

O tej porze roku nigdy nie jest zupełnie ciemno nocą, więc gdy nastał wieczór,

a Mędrzec zadał w róg kozła, było jeszcze widno. Na podwórzu ustawiono cztery długie stoły, ale przybyło tylu ludzi, że ławy szybko się zapełniły. Większość rozsiadła się zatem dookoła na ziemi, lecz ja i Sigrid oraz moja załoga dostaliśmy miejsce przy stole Mędrca. Tam u szczytu królował godi i pamiętam, że miał imponujące krzesło z oparciem i podłokietnikami z kości wieloryba, na których wyrzeźbiono smoki i węże; także jego róg pitny był tak ozdobiony.

Przy stole zasiadał również Torfinn Karlsevne i kilku jego ludzi. Jednego z nich rozpoznałem od razu. Był to ten wysoki, barczysty mąż, który mu towarzyszył w drodze do długiego domu. Teraz miał na sobie niebieską tunikę i gęsto tkaną wełnianą opończę, spiętą zapinką na ramieniu. Torfinnowi towarzyszył również starszy, chudy chłop, ślepy na jedno oko i z ręką, która pewnie po złamaniu krzywo się zrosła, przedramię było odgięte na bok i dziwacznie wyglądało, leżąc przed nim na grubo ciosanym blacie.

Torfinn siedział przy krótszym końcu, naprzeciwko godego. Gdy siadaliśmy, Mędrzec wyciągnął rękę w jego kierunku i oznajmił, że Karlsevne właśnie przybył z Norwegii z nowinami o rządach jarłów i dobrych czasach, które nastały, a także ze zbożem i innymi towarami. Jego towarzyszami byli Halvar Przyjazny i Brók Stary i zgadywałem, że to jednookiego nazywano Starym. Mędrzec wskazał na mnie i zwrócił się do Torfinna, oznajmiając, że jestem jomswikingiem. To dotyczyło także moich ludzi, byliśmy dzielnymi wojami, a na dodatek znano mnie jako Torsteina Szkutnika, a taki przydomek otrzymałem, bo byłem budowniczym łodzi. Słyszac to, Torfinn uniósł kufel i zaproponował toast na cześć jomswikingów walczących nieustraszenie pod Svolder.

Przez jakiś czas nie odzywałem się do Karlsevneho. Sigrid szepnęła mi, bym się wziął w garść, nie mogę przecież tak siedzieć w milczeniu. I cóż ja takiego miałem do tego obcego? Sigrid odgadła pewnie, że czuję zawiść. Zazdrościłem Torfinnowi bogactw i statków. Prawie zapomniałem, że to do mnie należał największy statek w zatoce. Bo chociaż maszt mój był najwyższy, miało się wrażenie, że to jego łodzie rzucały najdłuższe cienie.

Mędrcowi raczej nie przypadła do gustu moja mrukliwość. Miał jednak na to radę.

Nakazał napełnić rogi i kufle, a gdy służący, którzy dbali o napitek w czasie uczyty, obeszli już wszystkich, wzniosł swój róg i oznajmił, że jomswikingowie zasługują na więcej niż jeden toast. Po czym wzniosł ponownie róg, mówiąc, byśmy wypili, i żaden z nas się teraz nie ociągał. Moi ludzie pomyśleli pewnie to samo, co ja, że zwolennicy Olafa tu nas nie dosięgną. W końcu mogliśmy pić, nie obawiając się, że będziemy chrapać pijani, gdy nadejdą.

Siedziałem na krańcu ławy, po prawej stronie Mędrca, i pamiętam, że Fenre położył się pod stołem, tuż przy moich stopach, w nadziei że mu podsunę pod pysk coś do jedzenia. Mędrzec, nachylając się ku mnie, rzekł, że wie, iż jesteśmy dawnej wiary, jomswikingowie są z tego znani. Ale powinienem wiedzieć, że w minionym roku Allting postanowił, że czcić się będzie Białego Chrysta, a dawne świątynie należy zburzyć. Jeśli byśmy zostali, wszelkie składanie ofiar musi odbywać się w ciemności i nie należy o tym rozmawiać. Muszę zrozumieć, że on się nie wyparł starych bogów, mówił. Nie, nawet jeśli wrzucił figurki bóstw do Gudfoss, to się ich nie wyparł. Lecz mnisi Białego Chrysta przywieźli ze sobą wodę, świętą wodę, którą można było skropić ziemię. Na Islandii zagięło więcej dzieci, niż mógłby zliczyć na palcach obu rąk. Święta woda zmieniała jednak torf w nieprzebyty mur, przez który żadne wetty nie mogły się przedrzeć na powierzchnię.

Przytakiwałem i wkrótce odkryłem, że Mędrzec nie miał zbyt mocnej głowy. Bełkotał o plemienu wettów i o tym, jak by ich pozabijał, jednego po drugim, gdyby tylko mógł ich dostać w swoje ręce. Nagle twarz wykrzywiły mu bolesne grymasy i zaczął opłakiwać syna, który zagiął w górach.

Tego wieczoru w gospodarstwie godego znajdowała się pewnie ponad setka gości i nie mogę powiedzieć nic innego jak to, że była to jedna z najgorszych pijatyk, jakich kiedykolwiek doświadczyłem. Gdy Mędrzec, przechyliwszy się, zasnął z twarzą opartą o stół, mężczyźni zapomnieli o wszelkich ograniczeniach. Moi ludzie zapewne mieli nadzieję, że znajdą tu sobie kobiety, a widok myjących się na brzegu dziewcząt tego wieczora sprawił, że byli ochotni i roznamiętnieni. Teraz moje zuchy otoczyły dziewczęta i Sigrid prosiła, bym pilnował, by się nie pozabijali. Niejednemu z naszych robiło się, jak to mówią, twardo w spodniach. Toczyli dookoła szeroko otwartymi,

błyszczącymi oczami, sporo czasu minęło, odkąd widzieli tyle kobiet naraz. Prawdą jest to, co powiadają, że pożądanie zmienia najlepszych przyjaciół w zaciętych wrogów. Dwie przepychanki wybuchły jednocześnie, jedna między dwoma jomswikingami, druga między dwójką dziewczyn, ale tę ostatnią szybko udało się zażegnać, gdy wmieszał się w nią Halvor. Wziął obie panny pod rękę i poprowadził do beczek z piwem. Zawsze umiał postępować z kobietami, nasz Halvor.

Jeszcze przez jakiś czas siedziałem z Sigrid, Bjørnem, Huttenem i Valpem. Pociągaliśmy z kufli, choć akurat Sigrid wiele nie piła, siedziała z dzieckiem u piersi i uważała, że piwo może pomieszać się z mlekiem. Bjørn nie tracił czujności. Siedział z Fenrem na kolanach, głaskając go po skołtunionej sierści i w pewnej chwili mruknął, że powinniśmy już wracać na statek, wszyscy bez wyjątku, nierozsądnie upijać się u obcych. Ledwo to powiedział, gdy jego spojrzenie padło na rudowłosą dziewczynę tańczącą na dziedzińcu. Pijana zataczała się, kierując ładną, roześmianą twarz ku niebu. Kiedy się potknęła i upadła, mój brat rzucił się jej na pomoc. Zaprowadził ją ku jednej z baranic rozłożonych wzdłuż długiego domu, usiadł przy niej i wyglądało na to, że dziewczyna zasnęła, bo leżała z głową na jego kolanach. Bjørn nie ruszył się stamtąd, pewnie uważał, że dziewczyna, jeśli ją pozostawił samą sobie, mogła łatwo stać się ofiarą rozochoconych mężczyzn. A może miał jakieś własne plany wobec niej, ale czekał, aż się ocknie.

Zastanawiałem się później, dlaczego Islandczycy pozwolili mojej załodze poczynać sobie do woli z młodymi dziewczętami zaproszonymi na ucztę. Dopiero kiedy usłyszałem o potrzebie świeżej krwi, zrozumiałem. Islandzkie rody wciąż były zdrowe, ale rozumiały, że jest ich zbyt mało, by uniknąć związków wsobnych. Dlatego niejedna z dziewcząt wysłanych na przyjęcie usłyszała, że ma tam sobie znaleźć mężczyznę. Najlepiej by było, żeby się osiedlił i zrobił z siebie Islandczyka, ale gdyby nawet popłynął dalej, to zostawiłby jej swoje nasienie. Może i Allting postanowił, że Biały Chryst ma panować na Islandii, lecz miało minąć wiele lat, zanim mieszkańcy zaczęli żyć jak chrześcijanie.

Torfinn nie pił dużo i wciąż był trzeźwy, o przenikliwym spojrzeniu.

– Powiedziano, że jesteście Danami – zwrócił się do mnie. – Ale ty, jak słyszę, jesteś z Viken. Czyżby z Vingulmorku?

Przytaknąłem ruchem głowy, pociągając z kufla. Teraz zauważyłem, że Torfinnowi podano wspaniały róg pitny, podobny do tego, z którego pił Mędrzec. Picie z rogu uważano u nas za bardziej dostojne niż picie z kufla. Pewnie taka tradycja panowała również na Islandii.

– Jakie masz plany? – zapytał Torfinn.

– Chcemy płynąć na zachód – odpowiedziałem.

– Dużo się teraz mówi o wyprawach na zachód. Słyszałem, jak ludzie nawet w Jutlandii o tym rozprawiają. Krążą plotki o tamtejszych winoroślach i o tym, że ziemia jest sypka i dobra, bez korzeni, wystarczy tylko przejechać broną i siać. I drewno. Długie, proste pnie, powiadają. Modrzewie z twardzielą sięgającą prawie do kory.

– To pewnie tylko plotki – mruknąłem. – Mężczyzna nie powinien przykładać zbyt wielkiej wagi do plotek.

– Toteż ja nie przykładam – skwitował Karlsevne, unosząc róg. – Za Mędrca, naszego gospodarza. – Wypił resztę piwa jednym haustem, odstawił róg na stół i oddalił się. Stary oraz ten drugi, potężnie zbudowany człowiek poszli razem z nim w kierunku cypla, a po chwili przeleźli przez burtę knary, na której ich wcześniej widziałem.

Po odejściu Torfinna posiedziałem jeszcze przez jakiś czas przy stole. Valp zdążył się już zdrowo upić i postanowił opowiedzieć o tym, jak sprzeciwił się ojcu. Gdy Sigurd Lodveson przyszedł po niego na kamienny pomost i uderzył go otwartą dłonią, słysząc, że syn odmawia powrotu do domu, Valp rzekł ojcu coś, czego my na statku nie dosłyszeliśmy. Teraz jednak miałem się wszystkiego dowiedzieć. Otóż wygarnął ojcu, że już nie będzie pełzał u jego boku. Nie będzie już poborcą podatkowym i zausznikiem chciwego Lodvesona. Tym, że ojciec go wydziedziczy, nie przejmował się. Jeśli wróciłby kiedykolwiek na Orkady, to tylko po to, by nasikać na jego kurhan.

Chciałbym móc oznajmić, że po zaśnięciu Mędrca już niczego nie wypilem. Jednak piwo nieustannie lało się do kufla, a tenże kufel nieustannie znajdował drogę do moich ust. Może myślałem sobie wtedy, że mam co nadrabiać, skoro nie upilem się porządnie od tamtej nocy, gdy nadeszli ludzie Olafa. Poza Torfinnem, jego dwoma

kompanami i być może moim bratem jedynie Sigrid i dzieciaki były trzeźwe tej nocy w gospodarstwie godego. Za każdym razem, kiedy unosiłem wzrok i przesuwałem spojrzeniem po dziedzińcu, widziałem zataczających się mężczyzn. Niektórzy, siedząc półnaczy na ziemi, mocowali się na ręce, inni tańczyli albo obłapiali dziewczęta. Zauważyłem Eysteina na dachu domu niewolników, gdzie siedział i grał na drumli. Jeden z Islandczyków, łysy, siwobrody chłop, z nosem skrzywionym najwyraźniej na skutek otrzymanego kiedyś ciosu, snuł się dookoła, przygrywając na kościanej piszczałce, ale piski kobiet i pijackie wrzaski zagłuszały całkowicie i jego, i Eysteina. Pewien Dan z naszej załogi, rudzielec, którego zwano Eilef Sakwa, krążył po podwórzu z kurą pod pachą, zaśmiewając się do rozpuku, co przedstawiało dość szczególny widok.

Wciąż jeszcze nie zdecydowałem, czy zostajemy, czy płyniemy na zachód. Głosowanie pod masztem podsycało moje niezdecydowanie. Wiedziałem, że jeśli zostaniemy, Mędrzec będzie dla nas swego rodzaju jarlem lub hersirem, musieliśmy mieć go za sojusznika. Szczęśliwym trafem zasnął i nie widział, co wyprawia moja załoga. Bo jego dobrej woli potrzebowaliśmy. On decydował, czy będziemy mogli zabrać ze sobą mięso, ryby, może kilka świń lub inne zwierzęta.

Sigrid miała pewnie już dość tego pijaństwa i była zmęczona mną – siedziałem i tylko popijałem w milczeniu – bo wzięła dziecko i przysiadła się do siedzących przy sąsiednim stole Gislaug i dziewczynek z naszego statku. Fenre ułożył się u jej stóp, obgryzając kawałek suszonej ryby, który ktoś mu podsunął. Siedzieli tam także Vidar i Skjaln, przyglądając się badawczo mężczyznom na placu; pilnowali swoich córek. Nie ma na całym znanym nam świecie takiej ilości piwa, która skłoniłaby jomswikinga do napastowania córki swego towarzysza broni. To Islandczyków się obawiali. Wyspiarze byli nie mniej pijani i ogarnięci szaleństwem niż my.

Chciałem poprosić Sigrid, by wróciła ze mną na pokład, ponieważ uczta osiągnęła punkt, w którym bijatyka mogła wybuchnąć bez jakiegokolwiek ostrzeżenia. Opitemu piwem chłopu może nagle przyjść ochota, by dać sąsiadowi po łbie za urazę, o której nikt od lat już nie pamięta. Jednak w chwili, gdy podniosłem się z ławy i miałem zawołać do Sigrid, by poszła ze mną, poczułem, że muszę opróżnić pęcherz. Wstałem

i chwiejnym krokiem ruszyłem przez plac za stajnię. Rozluźniając pas, zauważyłem dwie postacie w odległości zaledwie kilku włóczni ode mnie. Była tam kobieta o lekko przegiętych plecach, z dłońmi wspartymi o ścianę. Podciągniętą koszulę przytrzymało na jej krzyżu spore łapsko. Łapsko należało do Halvora, który stał za kobietą ze spuszczonej do ziemi spodniami. Jego członek sterczał sztywno.

– Hovdingu, jeśli łaska – burknął – idź i lej gdzie indziej. – Nie odmówił sobie lekkiego skrzywienia ust w szelmowskim uśmieszku. – Później opowiem, jaka była.

Kiedy wróciłem do stołu, Hutten leżał z nogami na ławie, a plecami na ziemi. Tunikę miał całą w wymiocinach, jęczał niemiłosiernie, a z czeluści jego brody padały słowa, których nikt nie rozumiał, pewnie było to coś po szkocku. Usiłowałem postawić go na nogi, ale mimo niskiego wzrostu był szeroki i ciężki. Podszedł do nas Eilef Sakwa i wypuściwszy z rąk kurę, chwycił Huttena pod jedno ramię, ja złapałem za drugie. Tym sposobem wlekliśmy go w stronę statku, ale gdy zbliżaliśmy się do cypla, Hutten oprzytomniał i zaczął się stawiać. Na statek nie wraca, wykrzykiwał. Chciał wrócić do beczek z piwem i się napić. Potem, przytrzymując się Eilefa, stanął na nogi, wykrztusił kilka słów w ojczystym języku i zataczając się, powędrował z powrotem na dziedziniec. Eilef podążył za nim.

To, co miało się teraz wydarzyć, nie przebiegło tak, jak o tym opowiadają moi synowie. Nigdy się im jednak nie sprzeciwiałem, ponieważ oni słyszeli tę historię od innych, a lepiej, by synowie myśleli o swym ojcu jak o bohaterze, a nie jak o pijaczynie. Wciąż musiałem za potrzebą, więc poszedłem na cypel, bo wzięła mnie ochota, by puścić strumień prosto do morza. Pijani mężczyźni znajdują wiele radości w czymś takim, piwo zmienia ich tym sposobem w dzieci. Sikając, podziwiałem cumującego tam Dana. Wydawał mi się doprawdy piękny, mimo że miał dość szeroki kadłub. Przyglądałem się liniom tworzonym przez klepki pokładowe, jak zakrzywiają się w górę ku rufie i dziobowi, widziałem maszt wznoszący się niczym wieża na tle ciemnoniebieskiego letniego nieba i stewę dziobową, która nieustraszenie wskazywała na skalisty cypel.

Nagle zauważyłem zbliżającego się do cypla barczystego typu, który towarzyszył Torfinnowi Kalsevnemu. Prowadził ze sobą tę brudną dziewczynkę, którą widziałem wcześniej tamtego dnia. Trzymał ją za rękę.

Tkwiałem na brzegu jak jakiś głupek, zastanawiając się, co ta dwójka zamierza. Zeszli na koniec cypla od strony morza, tam gdzie kąpała się moja załoga, po czym zniknęli między kamieniami.

Ludzie na południu powiadają, że my, Norwegowie, źle traktowaliśmy nasze niewolnice. Byliśmy bestiami, używaliśmy ich jak zwierząt rozplodowych i zabawialiśmy się z nimi do woli. Byliśmy równie okrutni, jak nasi pogańscy bogowie i nie było Norwega, który by nie zgwałcił kobiety, jeśli tylko nadarzyła się okazja. Nie przepuszczaliśmy nawet małym dziewczynkom. Ale to kłamstwo. Nie byliśmy bez skazy, jednak wiem, że nikt z bliskich mi mężczyzn, takich jak mój brat, Halvor, Hutten i Eystein, nie wziąłby kobiety siłą. A jeśli chodzi o małe dziewczynki, to nie było niczego bardziej hańbiącego w naszych oczach. Ojciec powiadał, że mężczyzna, który przymusza dziewczynkę, zasługuje na to, by mu jego worek z klejnotami przygwoździć do drzewa, a Halvor twierdził, że kiedyś brał udział w wykonaniu takiej kary.

Być może rzeczy wyglądały inaczej u Islandczyków w tym czasie. Były to potężne norweskie rody, które w czasach bezpardonowych poczynań Haralda Pięknowłosego uciekły morzem i zaludniły wyspę. Być może czuli się jak jacyś arystokraci, którym wolno robić to, co im się żywnie podoba. Nie mieli pojęcia, że ja sam wiodłem kiedyś żywot niewolnika, a włosy i broda wciąż kryły bliznę po obręczy. Skradając się za dziewczynką i zwalistym mężczyzną, przypomniałem sobie, że nazywano go Halvarem Przyjaznym. Z dziedzińca dobiegały śmiechy, pijackie okrzyki, piskliwe głosy kobiet. Hałas sprawił, że Halvar nie usłyszał moich kroków, kiedy zszedłem na sam brzeg. Stał ze spuszczoneymi do kostek spodniami, ale okrywała go oponcza sięgająca do połowy uda. Pojękiwał koszmarnie, przytrzymując się jednego z głazów o chropowatej powierzchni, rozsianych na cyplu.

Sporo wypilem, więc nie od razu pojąłem, co się dzieje. Gdzie się podziała dziewczynka? Zacząłem szukać wzrokiem między głazami, bo przyszło mi do głowy, że się schowała, że odbywa się tu jakaś zabawa. W tym momencie Islandczyk rozpiął zapinkę, pewnie zrobiło mu się gorąco. Oponcza opadła, a ja zobaczyłem, że dziewczynka stoi przed nim w takiej samej pozycji, jak kobieta będąca z Halvorem za budynkiem dla zwierząt, ale o ile tamta była w pełni ukształtowana, gibka, chętna,

o tyle ten widok robił zupełnie inne wrażenie. Wychudzone plecy małej nieomal tworzyły mostek, a pchnięcia bioder Islandczyka wstrząsały jej drobnym ciałem. Głośno pojękiwała, ale nie w taki sposób, jak to robią kobiety, gdy są z mężczyzną. Brzmiało to raczej jak głos dziecka, które się uderzyło i próbuje powstrzymać się od płaczu.

Nie pamiętam, co powiedziałem. Coś jednak musiałem rzec, bo Islandczyk nagle się wyprostował. Obejrzał się przez ramię, zauważył mnie i zmierzył wzrokiem od stóp do głów.

– Ty? A ty tu czego?

Gdy nie odpowiedziałem, chwycił dziewczynkę za obręcz i przyciągnął przed siebie.

– Masz na nią ochotę? Możesz ją zatrzymać do jutra rana, jeśli zapłacisz.

Gdy wciąż milczałem, wskazał na jej bezwłose łono.

– Młoda jest, ale dobra.

Mała sprawiała wrażenie całkiem bezwolnej, spojrzenie miała puste, ręce zwisały bezwładnie wzdłuż ciała. Wciąż jeszcze mam przed oczyma jego palce na niewolniczej obręczy. Dostrzegłem nóż przy pasie Halvara, który również poluzował i opuścił na kostki.

– Będziesz tak stał? – zapytał. – Chcesz popatrzeć?

Przypominam sobie, że pochyliłem się i podniosłem kamień. Pamiętam, że przyglądałem się kamieniowi w dłoni, a palce ścisnęły go tak mocno, aż pobieleły paznokcie.

– Po co ci ten kamień? – dobiegły mnie słowa Halvara.

Rzuciłem się na niego i zaatakowałem kamieniem, ale przez piwo nie panowałem w pełni nad ciałem i go nie trafiłem. Momentalnie schylił się i wyszarpnął nóż z pochwy, klinga błysnęła, kiedy się zamachnął, ja jednak odchyliłem się w bok i wyprowadziłem cios. Tym razem trafiłem go w czoło. Było to silne uderzenie, zamachnąłem się po raz kolejny i trafiłem go prosto w skroń. Poczułem, jak czaszka przestaje stawiać opór, oczodół pękł, a gałka oczna wypłynęła i zawisała na jego policzku. Islandczyk wypuścił nóż i osunął się na kolana, złapał się za oko, jakby chciał je wcisnąć z powrotem na miejsce, ale przewrócił się na twarz i leżał z gołym

tyłkiem do góry. Czekałem przez chwilę, by się pozbierał. On jednak się nie ruszał. Pchnąłem go nogą, tak że obrócił się na bok. Krwawił z nosa i strzaskanego oczodołu. Zrozumiałem, że nie żyje.

Gdybym był trzeźwy, postąpiłbym pewnie mądrzej. Zostawiłbym ciało w tamtym miejscu, poszedłbym do godego i mając za plecami swoją załogę, oznajmiłbym, że wdałem się w bójkę i zabiłem człowieka. Godi zdążył już pewnie zauważyć, że nas, jomswikingów, trudno byłoby pokonać, więc nakazałby mi zapłacić karę za zabójstwo i na tym zakończyłby sprawę. Jednak zabójstwo musiało mnie przenieść do tego dnia, w którym byłem niewolnikiem w osadzie kupieckiej w Skiringssalen, kiedy po raz pierwszy zabiłem człowieka. Bo zacząłem bać się kary. Bałem się, że Islandczycy mnie zabiją, gdy sprawa się wyda. Dlatego zawlokłem ciało do wody i obciążyłem kilkoma kamieniami. Dziewczynka stała tam przez cały czas, całkiem naga, ze smugami krwi między nogami i ani jedno słowo nie padło z jej ust. Nałożyłem na nią koszulę, poprowadziłem za sobą i wsadziłem na nasz statek. Potem zszedłem z nią pod pokład i kazałem siedzieć cicho.

Po ukryciu małej przez jakiś czas przechadzałem się po pokładzie. Potem udałem się do gospodarstwa, bo zdałem sobie sprawę, że gdybym został na statku, wzbudziłoby to ciekawość. Siadłem za stołem, napełniono mi kufel, wypilem i dopiero gdy podszedł do mnie brat, pytając, co się stało, odkryłem krew na ramieniu i piersi.

– Upadłem – odparłem, ale dobrym kłamcą nigdy nie byłem.

Z Bjørna nie był żaden uczonec, ale mnie zawsze czytał jak otwartą księgę. Pomógł mi wstać i otoczył ramieniem.

– Hovding dużo wypił, zdaje się, że upadł i się poobijał – rzekł głośno, aby ci, którzy wciąż siedzieli na ławie, mogli go usłyszeć. – Zaprowadzę go na statek.

W drodze powrotnej na przystań opowiedziałem mu, co się stało, i jak tylko znaleźliśmy się na statku, zszedł pod pokład. Kiedy wrócił, między brwiami miał dobrze znaną mi bruzdę zatroskania.

Zostaliśmy na pokładzie. Wkrótce na statek wróciły również Sigrid i reszta kobiet, więc nie pozostało nam nic innego, jak opowiedzieć o dziewczynce; i tak by ją

znalazły. O zabójstwie nie wspomnieliśmy ani słowem. Bjørn oznajmił, że kupiliśmy małą, dodając, że zwracamy jej wolność, bo wszyscy na statku wiedzieli, że byłem kiedyś niewolnikiem i jest mało prawdopodobne, że chciałbym mieć u siebie niewolników. Mężczyźni informacji jakoś szczególnie nie komentowali, większość była tak pijana, że słowa Bjørna ledwo do nich dotarły.

Przez całą noc czuwaliśmy razem z bratem. Najchętniej wypłynęlibyśmy od razu, ale na lądzie pozostawały kozy i Vingur i trudno byłoby je odszukać przed świtem. Poza tym wyglądałoby to bardzo podejrzanie, gdybyśmy opuścili przystań w trakcie uczty. Ale należało ruszyć w drogę, jak tylko wstanie dzień, zanim Torfinn zacznie się rozpytywać o swego kompana.

O świcie nadciągnęła od strony morza deszczowa pogoda, jednak mężczyźni porozrzucani po pokładzie ledwie to zauważyli. Szturchańcami tchnęliśmy życie w Valpa i powiedzieliśmy, by poszedł z nami. Musieliśmy odnaleźć Vingura i kozy i zapędzić je z powrotem na knarę. Valp był wciąż pijany i zwymiotował, usiłując wstać, ale poszedł z nami bez słowa protestu.

Zauważyliśmy Vingura w odległości kilku strzałów z łuku od gospodarstwa. Stał smutny w deszczu. Zarzuciliśmy mu pętlę na szyję, a w tym czasie Valp padł na kolana i ponownie zwymiotował. Nie powinniśmy go zostawiać tam na łąkach, ale Valp uważał, że możemy już wracać i wciągać Vingura na pokład, on się weźmie do zaganiań kóz. Wypasał owce u ojca, wiedział więc, jak postępować w takich sytuacjach.

Ja i Bjørn powiedliśmy naszego konia w dół do przystani i wprowadziliśmy go do wody, a Halvor i Hutten pozbierali się na nogi i dobrali sobie do pomocy garść innych mężczyzn, którzy pochwycili fał i podnieśli reję. Szoty z jednego końca zostały następnie przesunięte pod piersią Vingura, z podłożonymi pod nie baranicami, po czym ludzie uwiesili się na szotach z drugiego końca. Tym sposobem podciągnęliśmy Vingura z wody, a następnie spuściliśmy do końskiej studzienki.

Zawsze było sporo zamieszania z podnoszeniem rei. Fały i szoty chrzęściły i nawet ci najbardziej pijani już nie spali, gdy Vingur znalazł się w studziencie. Załoga wiedziała,

co się święci. Wciąganie na pokład zwierząt mogło jedynie oznaczać, że hovding podjął decyzję. Płynęliśmy dalej.

Bjørn, Halvor, Eystein i ja zaczęliśmy klarować statek do wyjścia w morze. Sigrid chciała koniecznie wiedzieć, co ja wyprawiam i skąd taki pośpiech, bo czy nie mieliśmy tingu i czy nie wyszło na to, że zostajemy? Nie odpowiedziałem jej. Stałem u steru i stamtąd obserwowałem gospodarstwo. Wyglądało na to, że odkryto nasze przygotowania do wypłynięcia. Dzieciarnia przybiegła na cypel, by nas pożegnać, a ludzie Torfinna stanęli przy burcie, ledwo widząc na oczy. Bjørn wspiął się na stewę dziobową i patrzył w stronę łąk. Ale Valpa nigdzie nie było widać.

Gdy wypatrywaliśmy syna jarla z Orkadów, jakiś człowiek z gospodarstwa krzyknął:

– Ktoś tu się utopił!

W zagrodzie wybuchło zamieszanie. Mieszkańcy i goście wylegli sprawdzić, co się dzieje. Mędrzec wytoczył się z długiego domu, a ci z mężczyzn, którzy byli dostatecznie trzeźwi, ruszyli biegiem w dół zbocza i potem na schodzący w morze kraniec cypla.

Nie czuję dumy z tego, co zrobiłem tamtego poranka. Najchętniej opowiadałbym o tym, jak chwyciwszy za topory i łuki, szykowaliśmy się do stawiania oporu, tak długo, aż Valp nie znalazł się na statku, ale prawda wyglądała tak, że zdjął mnie strach. Na pokładzie miałem kobietę i dziecko. Byliśmy jomswikingami, zgadza się, ale nie byliśmy nieśmiertelni. Usłyszałem własny głos rozkazujący ludziom siadać do wiosła. Krzyknąłem, żeby ciąć cumę dziobową i ciągnąc za linę kotwiczną, wysuwać się z przystani.

Wyprowadziliśmy statek na środek zatoki i tak staliśmy. Wioślarze zanurzyli wiosła w wodzie i wpatrywali się we mnie. Co z Valpem? Islandczycy właśnie wydobyli zwłoki. Niesiono je do gospodarstwa. Torfinn, stając na dziobie swojej knary, zawołał:

– Czy to Halvar? Czy to Halvar Przyjazny?

Jeden z Islandczyków odkrzyknął:

– Tak! Ktoś go zabił!

Torfinn dostał się na ląd i pobiegł w kierunku krańca cypla. Wtedy pojawił się Valp. Pędził przed sobą kozy brzozową witką, minął stajnię i wszedł na dziedziniec. Tam spostrzegł zwłoki i zobaczył, że odbiliśmy od brzegu. Spróbował przeciąć podwórze, jakby nic się nie stało, lecz został zauważony przez Islandczyków. Ktoś złapał go za rękę, Valp mu się wyrwał. Ktoś inny stanął naprzeciwko niego, próbując odciąć mu drogę. Wówczas Valp wyprowadził cios i rzucił się do ucieczki.

Ze statku widzieliśmy, jak syn jarla toruje sobie drogę, biegnąc w kierunku wody. Islandczycy pewnie sądzili, że to on jest zabójcą, bo teraz wszyscy puścili się za nim w pogoń. Rzadko miałem okazję widzieć kogoś biegnącego szybciej i wnet znalazł się na brzegu, ale cała gromada deptała mu po piętach. Nagle się pośliznął i wylądował twarzą w wodzie. Ledwo udało mu się wstać, a już go dopadli.

– Każ wioślarzom ruszać – rzucił Bjørn. – Oglądanie tego nikomu nie wyjdzie na dobre.

Valpa przewrócono na plecy. Islandczycy unieruchomili mu ręce i nogi, błysnęła klinga noża, Valp krzyknął, po czym został wepchnięty pod wodę. Na pokładzie panowała kompletna cisza. Matki zasłoniły oczy najmłodszym dzieciom. Nagle Valp wydostał się na powierzchnię. W jakiś sposób udało mu się stanąć, ale zatoczył się do tyłu i ponownie zniknął pod wodą. Islandczycy nie ruszyli się z miejsca, niektórzy zanurzyli ręce, lecz Valp zniknął. Wtem przebił powierzchnię wody, teraz jednak był już daleko. I płynął tak szybko, jak tylko potrafił, pozostawiając za sobą prześladowców.

Wciągnęliśmy Valpa na pokład i opłynęliśmy cypel szerokim łukiem. Mędrzec i Torfinn stali w otoczeniu kilku swoich ludzi wśród głazów, w miejscu gdzie zabiłem Islandczyka. W chwili gdy podnieśliśmy reję, a wiatr wypełnił żagiel, Mędrzec zawołał w naszym kierunku:

– Wyjmuję was spod prawa na ziemi islandzkiej!

Odpowiedzi się nie doczekał. Położyłem ręce na drążku steru i poprowadziłem statek w kierunku otwartego morza.



4

Kraina lodu

Powiadają, że nikt przy zdrowych zmysłach nie pływa na zachód od Islandii. Te wody nie należą do ludzkiego świata, mówią. Mnisi, którzy przywieźli Islandczykom księgę chrześcijan, zwracają krucyfiks w stronę zachodzącego słońca i proszą swego boga, by ochronił rybaków, bo tam na morskim trakcie czyha Leviatan połykający statki w całości i wciągający załogi w głęboką toń.

Nigdy nie widziałem żadnego morskiego potwora. Jednakże tamtejsze trakty morskie nie przypominają takich, jakie zna większość ludzi. Dobę na zachód od Islandii poczujesz, jak prądy stają się silniejsze, jakby rzeczywiście w odmętach żyła istota o potężnych ramionach, wprawiająca morze w wirujący ruch. Fale piętrzą się wyżej, a woda zdaje się nabierać mroczniejszej barwy.

Nie zdążyliśmy poczuć strachu przed zachodnim morzem tego ranka, kiedy odpływaliśmy z Islandii. Valp silnie krwawił, dźgnięto go w pierś. Przytrzymywaliśmy go, podczas gdy Halvor zszywał i obwiązywał ranę, ale rozcięcie było głębokie. Valp leżał przez jakiś czas, chwytając powietrze, po czym źrenice

uciekły mu w głąb głowy i stracił przytomność. Ułożyliśmy go pod masztem w przekonaniu, że tam wypatrzą go walkirie, kiedy wyzionie ducha. O zmierzchu Valp wciąż żył; o poranku przewrócił się na bok, leżał z ręką bezwładnie wysuniętą, tak że twarz przylgnęła do desek pokładu. Halvor przystanął przy nim, kiwając ze smutkiem głową. Chciał pewnie powiedzieć, że nasz druh ruszył w drogę, by zasiąść na ławie w Valhalli pośród einherjerów ²⁴, ale wówczas Valp drgnął i przewróciwszy się na plecy, wycharczał, że chce mu się pić.

Björn, Eystein i ja zmienialiśmy się przy wiośle sterowym i przez cały pierwszy dzień i noc żeglowaliśmy stałym kursem na zachód. Najpierw wiało ze wschodu, potem wiatr zmienił kierunek i zmusił nas do zmiany kursu bardziej na północ. Wciąż jeszcze nie opowiedziałem Sigrid, co się wydarzyło. Nie było jednak nikogo na pokładzie, kto by nie pojmował, że to ja dokonałem zabójstwa. Nie chodziło tylko o to, że przyprowadziłem dziewczynkę na statek, ale kto inny niż człowiek, który zadał Olafowi Tryggvasonowi śmiertelną ranę, mógłby wpaść na taki pomysł tuż pod okiem islandzkiego godego? Mężczyźni pochylali ku sobie głowy i mamrotali, a ja wiedziałem, o czym szepczą. To nie było mądre z mojej strony. Gdybyśmy znaleźli dobre drewno i zaczęli na zachodzie budować statki, moglibyśmy sprzedawać je Islandczykom. Teraz mogło to okazać się trudne.

Sigrid i Gislaug wzięły dziewczynkę na pokład i ją umyły. Okazało się, że nie mówi w naszym języku. Niema jednak nie była, bo gdy Gislaug chciała umyć jej krocze, mała wykrzyknęła kilka słów i stawiała opór, a wyrwawszy się, zaczęła uciekać goła po pokładzie. Chciałem poprosić Huttena, by przyniósł młot i obcęgi kowalskie i wybił boleć z jej obręczy, ale najwyraźniej należało z tym poczekać. Wreszcie dziewczynka przycupnęła między beczkami pod masztem.

Minął pierwszy i cały drugi dzień, zanim Sigrid podeszła do mnie. Trzymałem dłonie na drążku steru i rzucałem na przemian spojrzenie na fale przed dziobem i Valpa leżącego pod pledami przy lewej burcie. Sigrid stanęła przy mnie, tak jakby razem ze mną chciała ogarnąć spojrzeniem horyzont. Naszego chłopczyka dała do potrzymania Gislaug. W tym miejscu kadłub mocniej pracował, było tak wąsko między burtami, że sternik mógł trzymać się prawej i lewej burty jednocześnie.

– To ty zabiłeś tamtego mężczyznę – odezwała się cicho. – Prawda?

Nie odpowiedziałem.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Torsteinie.

– Tego nie wiem.

– Ale ja wiem. – Sigrid położyła swoją dłoń na mojej. – Zajmiemy się dziewczynką, jakby była jedną z nas.

Przytaknąłem ruchem głowy.

Wody między Islandią a Grenlandią nie miały w tamtych czasach nazwy, ale my nazwaliśmy je Morzem Lodowatym. Jest to najbardziej na północ wysunięte morze, za którym rozciąga się już tylko Bjarmalandia, gdzie lód leży przez cały rok i gdzie nie przeżyje żaden człowiek. Drugiego wieczora, kiedy zaczynało się ściemniać, wpłynęliśmy w deszczową pogodę. Zapaliliśmy pochodnię na dziobie, lecz deszcz ją zgasił i znaleźliśmy się w całkowitych ciemnościach. Bjørn stanął przy sterze, a ja usiadłem obok Valpa. Wiatr zelżał, żagiel zwisał smętnie z rei. Później nieraz nachodziła mnie myśl, że to nas uratowało, bo nagle w coś uderzyliśmy. Trzasnęło, zachręściło i pierwsze, co pomyślałem, to to, że utknęliśmy na mieliźnie. Podczas gdy załoga tłoczyła się na dziobie, zsunąłem się pospiesznie pod pokład i po omacku dotykałem dłońmi znajomych klepek kadłuba. Na zewnątrz wciąż chrzęściło, bo statek ocierał się o to coś, na co wpłynęliśmy. Wtedy poczułem wodę pod palcami i wymacałem długą szczelinę między klepkami. Zostały rozszczelnione w miejscu łączenia.

Nie przypominam sobie, bym odczuwał strach. Być może zabrakło na to czasu. Naparłem dłońmi na szparę, uszczelniając ją tak, jak tylko potrafiłem, krzycząc do Huttena, że na coś weszliśmy i trzeba naprawić kadłub, ale Szkot już schodził na dół. Dołączył do nas Eystein, zapalił oliwną lampkę i przyświecał Huttenowi, kiedy ten przycinał jedną z klepek, które mieliśmy ze sobą. Wsadziliśmy kilka kłębków wełny do osełki masła, a następnie poupychaliśmy je w szczelinę i dookoła niej. Nitów nie ośmieliliśmy się użyć, bo baliśmy się, że pękną kolejne klepki. Docisnęliśmy klepkę kamieniami, które leżały obok stępki. To w dużej mierze powstrzymało przeciek.

Opuściliśmy na pokład reję i żagiel, pozwalając, by przez resztę nocy knara dryfowała. Od czasu do czasu schodziliśmy na dół, by wybierać wodę, ale za dużo jej nie nabieraliśmy, o ile nie było silnych prączyłów. Po nastaniu świtu zobaczyliśmy, że szczelina powstała na szerokość dłoni powyżej linii zanurzenia. Mieliśmy szczęście. Mężczyźni siedli do wiosł. Bjørn, zajmując miejsce na dziobie, rozglądał się, miał zawsze świetny wzrok; ja w tym czasie stałem przy sterze.

To był nasz trzeci dzień po opuszczeniu Islandii, a ponieważ nie zaopatrzyliśmy statku ani w wodę, ani w jedzenie, ani też nie wiedzieliśmy, jak długo będziemy na morzu, nikomu z nas nie było wolno brać więcej niż potrzeba do zaspokojenia najbardziej dotkliwego głodu i pragnienia. Mieliśmy mięso przechowywane w serwatce oraz mieszankę zboża i tłuszczu wciśniętą do świńskich jelit, ale tego drugiego nikt oprócz Huttena nie potrafił przełknąć bez skargi. Poza tym mieliśmy suszoną rybę, wędzonego rekina polarnego i wędzone śledzie. Teraz jednak zaczęliśmy wydzielać jedzenie, a suszonej ryby nie wolno było nikomu tknąć, bo niewiele jest rzeczy, które wzmagają pragnienie tak silnie jak suszona ryba. Jedynymi osobami, które mogły jeść i pić do woli, były dzieci oraz Sigrid, bo ona przecież musiała jeść za dwoje. Całej reszcie doskwierał głód.

Stopniowo przed naszymi oczami wyłaniały się pierwsze góry lodowe. Wszystkie dryfowały na południe, a z każdą znikającą na zamglonym horyzoncie od północy pojawiała się nowa. Nie sądzę, by któryś z jomswikingów na pokładzie widział wcześniej coś takiego, ale ja owszem, widziałem. Pewnego razu do zatoki przy gospodarstwie Grima wpłynęła góra lodowa, która przypominała mi jotuna, z ramieniem uparcie wyciągniętym ku niebu, aż w końcu się stopiła i rozpadła.

Niektóre z nadpływających gór lodowych wystawały niewiele ponad powierzchnię morza. Przypominały szkiery zalewane falami. Domyśliliśmy się, że właśnie jedna z takich zrobiła szczelinę w kadłubie.

Nastąpiła kolejna noc, jednak niebo było jasne, a mrok nie mógł w pełni zapanować. Poleciałem połowie załogi wiosłować, reszta mogła spać, o ile pozostawała na pokładzie. Góry lodowe sunęły szybko, jakby napędzane niewidzialnymi żaglami. Gdyby jedna z nich za bardzo się zbliżyła, potrzebowalibyśmy wszystkich wiosł

w wodzie, by ją ominąć.

O świcie ocknął się Valp. Usiadł na skrzyni wiosłarskiej i wpatrywał się w morze. Gislaug dotknęła jego czoła. Rana od noża wywołała gorączkę.

Początkowo próbowaliśmy go położyć, ale się opierał, mówiąc, że sama Freja przyjdzie po niego. Widział to we śnie, a teraz miał zamiar czuwać, aż bogini się ukaze.

Przez cały dzień padało rzęsiście. Nałapaliśmy w żagiel deszczówki, tyle ile zdołaliśmy, i przelaliśmy do beczek. Ci, którzy nie wiosłowali, zeszli pod pokład, ja jednak pozostałem na górze razem z Halvorem i Eysteinem, a mój brat czuwał na dziobie. Naciągnęliśmy na siebie wierzchnie okrycia ze skóry, okryliśmy Valpa derką, bo nie chciał się ruszyć z miejsca. Opierał się, gdyśmy go próbowali przenieść. Halvor zrobił rysunek węglem na świńskim pęcherzu wypełnionym olejem z foki. Chciał nam wytłumaczyć, dokąd, jego zdaniem, płyniemy. Widziałem już wcześniej, jak rysował taką mapę, ale sprawiało to nieodmiennie dziwne wrażenie. Bo inne mapy rysuje się na płaskim, natomiast tę należało nanieść na coś okrągłego. Na wschodzie leżały nasze krainy, a dalej na wschód od nich było Gardarike. Gdybyśmy pożeglowali w kierunku południowym, najpierw napotkalibyśmy królestwa niebieskich ludzi ²⁵ na wschodzie, po czym wybrzeże skręciłoby na zachód. Zdaniem Halvora Marklandia i Winlandia były częścią tego samego kontynentu co ziemie niebieskich ludzi. Ten kontynent łączył się z Gardarike, będąc jedynie przełamanym przez morze otoczone lądem ze wszystkich stron. Halvor trzymał świński pęcherz pod płaszczem, tak by deszcz nie zmył naniesionych przez niego linii, tłumacząc nam, że braliśmy zakręt i wpływaliśmy na tyły znanego nam świata. Winlandia i Marklandia nie były wyspami na bezkresnym oceanie, lecz wybrzeżem na wschód od Gardarike i ziem leżących w głębi tego kontynentu. Zgadzało się to z plotkami, które dochodziły do naszych uszu, że miały tam rosnąć rzędy wysokich, smukłych modrzewi, bo takie występowały też w Gardarike. Być może nie musielibyśmy żeglować na Islandię z naszymi statkami. Moglibyśmy popłynąć na południe wzdłuż linii brzegowej, wybrzeże doprowadziłoby nas w końcu do krain niebieskich ludzi. Brakowało im drewna, ale mieli srebro i złoto. Mnie się ten plan nie podobał, bo jeśli wymienić jedną rzecz,

z której błękitni ludzie są znani, to jest to handel niewolnikami. Halvor pewnie zauważył, że moje spojrzenie stało się mroczne, bo dodał, że moglibyśmy wziąć niewolników jako zapłatę; ci płynęliby z powrotem z nami, odzyskaliby wolność, a niewolnice byłyby dobrymi żonami dla naszych i rodziłyby dzieci. Rozprawiając o tym, Halvor, siedział i drapał się po kroczu.

– Bez dzieci wymrzemy. Bez dzieci jesteśmy tylko zwłokami gnijącymi w ziemi. Bez dzieci...

Raptem Valp zerwał się na nogi. Wpatrywał się przez moment w fale, rzucił z ramion derkę i wspiął się na burzę. Skoczyliśmy ku niemu, lecz było za późno. Wylądował z głośnym pluskiem w morzu. Wrzasnąłem, żeby wiosłarze wsunęli wiosła prostopadle do wody, statek zwolnił, ale gdy Valp się wynurzył, był już o dobry rzut kamieniem za nami. Eystein odczepił zwój liny i rzucił. Niestety była zbyt krótka. Krzyczeliśmy do Valpa, że musi utrzymać się na powierzchni, że zawrócimy statek i go wyłowimy, lecz on tylko wymachiwał bezładnie rękami.

To, co wydarzyło się potem, przysporzyło mojemu bratu sławy nieustraszonego. W chwili gdy statek uniósł się na fali, zauważyliśmy, że w wodzie pływa jakieś stworzenie podobne do niedźwiedzia, tylko że białe niczym śnieg.

Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, czy brat dostrzegł niedźwiedzia, zanim wyskoczył za burzę. Wszystko, co miał w tej sprawie do powiedzenia, to to, że „człowiek nie zginie w spotkaniu ze swoim imiennikiem”²⁶. W życiu takiego przysłowia nie słyszałem, jednak gdyby Bjørn wiedział wcześniej, że jest tam niedźwiedź, raczej nie wyskoczyłby bez noża.

Zwierzę odpląnęło od Valpa i przepadło między grzbietami fal, ale syn jarła też nam zniknął z oczu. Zacząłem się obawiać, że brat się utopi. W końcu udało nam się zawrócić knarę i sunęliśmy z powrotem naszym wodnym śladem. Wkrótce znaleźliśmy się przy Bjørnie, który zanurkował, gdy Eystein rzucił mu linę.

Nikt nie wie, jak głęboko tego ranka nurkował mój brat. Nagle rozerwała się powłoka chmur i włócznie światła sięgnęły tafli wody. Później brat opowiadał, że płynął wzdłuż nich, schodząc w dół i że w głębinach spostrzegł rękę. Płynął więc dalej, aż go zaczęło boleć w uszach. Wreszcie pochwycił ową rękę i wypłynął z Valpem na powierzchnię.

Sam wskoczyłem do wody z liną i pomogłem bratu obwiązać nią bezwładne ciało Valpa. Woda była lodowata. Gdy syna jarla wciągano na pokład, mnie i Bjørnowi podsunięto wiosła i po nich wdrapaliśmy się na statek.

Położyliśmy Valpa na pokładzie. Wszyscy tłoczyli się dookoła. Vidar oznajmił, że jeśli kiedykolwiek dotrzemy do Grenlandii, musimy posłać wiadomość do Sigurda Lodvesona, że jego syn się utopił. Być może imię znienawidzonego ojca podziało, bo Valp nagle drgnął, a z jego ust wydobył się bulgoczący dźwięk. Obróciliśmy go na bok, Halvor z całej siły grzmotnął go w plecy i Valp po wypluciu mnóstwa wody złapał oddech. Wyglądało na to, że ani żelazna klinga, ani morska toń nie mogą zakończyć życia jarlowego syna.

Białego niedźwiedzia więcej nie widzieliśmy, ale przemknęło nam przez myśl, że to był znak. Co mógł oznaczać, nie byliśmy zgodni. Niektórzy uważali, że to ukazała się Freja, tak jak mówił Valp, bo chciała ostrzec nas przed nadchodzącymi niebezpieczeństwami. Inni mówili, że to Wszechojciec przywdział postać niedźwiedzia i chciał nam wskazać drogę ku lądowi. Posłaliśmy Eysteina na maszt, by się rozejrzał, ale minęło już zbyt wiele czasu i niedźwiedź zdążył zniknąć jak kamień w wodę.

Czytając te słowa, pewnie kręcicie głową z politowaniem. Myślicie niewątpliwie, że byliśmy jak małe, głupiutkie dzieci, a gdy wspominam o tym, że na pokładzie było wielu, których zdaniem należało wrócić na Orkady, sądzicie ani chybi, że byliśmy tchórzami. Znacie mapy, które później rysowali mnisi, i wiecie, że wybrzeże Grenlandii ciągnie się daleko, że biegnie w kierunku południowo-zachodnim od lodowej pustyni na północy, a kiedy żeglujecie z Islandii, utrzymując poranne słońce za rufą, to naprawdę trzeba się natrudzić, by nie trafić na ląd. Niewykluczone, że słyszeliście o białych niedźwiedziach. Jeśli gościliście u przedstawicieli szlacheckich rodów, to być może widzieliście takie skóry, bo kilka lat później zaczęto polować na białe niedźwiedzie dla ich skór. Mówiono, że są równie cenne jak skrzynia pełna kłów morsów, a ja nawet słyszałem o takim niedźwiedziu, którego schwytano i posłano jarlowi Eirikowi.

Ale mapy, które wyście studiowali, nie istniały w tamtych czasach. I żaden człowiek, z wyjątkiem Grenlandczyków i może najbogatszych islandzkich hovdingów, nie widział niedźwiedzia o białym futrze. Nie dziwota więc, że wzięliśmy go za znak. Co on w ogóle robił na otwartym morzu? Bjørn ponownie zajął punkt obserwacyjny na dziobie, Eystein zaś siadł okrakiem na rei tuż u szczytu masztu, jednak nie było widać żadnego lądu.

Przebraliśmy Valpa w suche ubranie i owinęliśmy go kocem, a on ponownie zapadł w malignę. Tym razem przywiązaliśmy go do skrzyni wioślarskiej. Ledwo podciągnęliśmy rzemienie, Valp zmoczył się w spodnie. I miało się wrażenie, że wraz z moczem wyciekła z niego resztką woli życia, bo ciało zwiotczało, usta się otwarły, a głowa opadła na bok.

Po raz kolejny zapadał zmrok. Tuż przed wieczorem wpłynęliśmy w mgłę. Nie było najłżejszego podmuchu, za to prąd przybrał na sile i zaczęliśmy dryfować. W jakim kierunku nas zносиło, trudno było orzec, bo nie mogliśmy się odnieść ani do lądu, ani do słońca czy gwiazd. Za to pojawiało się coraz więcej gór lodowych. Wiedzieliśmy je we mgle wokół nas. Czasami słychać było, jak zgrzytały, ocierając się o siebie.

Przez całą noc dryfowaliśmy w morskich oparach. Również tej nocy zmienialiśmy się z bratem przy sterze, jednak choć byłem wykończony, prawie nie zmrużyłem oka. Na pokładzie panowała przytłaczająca cisza. Tylko na dole załoga ośmielała się szeptać: „Umarlaki Hel... Żywe trupy...”. Kobiety mocniej przytulały dzieci, lękały się mgły i czających się w niej zjaw. W poświacie rzucanej przez umieszczoną na dziobie pochodnię dostrzegłem zarysy kling i głowic toporów. Mężczyźni szykowali broń. Ale jeśli prawdą było to, czego się obawiali, broń na nic by się im zdała. Jeśli bogini Hel wysłałaby swoich umarłych, by nas wciągnęli w jej mroczne, zimne halle, nic nie moglibyśmy na to poradzić.

O świcie wciąż otaczała nas mgła. Stopniowo się ochładzało i sam zacząłem się lękać, że zagłębiamy się w halle skutego lodem Helheimu. Stojąc przy wiośle sterowym, nagle dostrzegłem fokę u lewej burty. Skjalm również ją zauważył, ale gdy wrócił biegiem z włócznie, prąd poniósł nas dalej. Nie uszło mojej uwagi, że lód zgęstniał

wokół knary. Przez noc wpłynęliśmy w zupę z dryfujących kawałków kry, które teraz otaczały kadłub, podczas gdy prąd z wolna pchał statek do przodu.

Małe kawałki lodu odparliśmy wiosłami, ale dziób zaklinował się między ogromnym blokiem lodowym i krą wielkości gospodarskiego podwórza, a kiedy uwolniliśmy się od mniejszych lodowych płyt, to większe ułożyły się wzdłuż kadłuba i tarły o klepki.

Po raz kolejny Bjørn dał dowód swej odwagi. Obwiązaliśmy go liną pod pachami i spuściliśmy na krę. Podaliśmy mu siekierę do rozłupywania pniaków i wziął się do rąbania lodu. Początkowo mężczyźni tylko stali i gapili się na niego, lecz wkrótce zdali sobie sprawę, że mój brat robi z nich nędzników. Zeszli pod pokład po topory i nagle wszyscy chcieli pomagać. Wskazałem Vidara, Halvora i jeszcze pięciu innych Jomsborgczyków. Więcej lin nie mieliśmy.

Podczas gdy ludzie rąbali lód, Skjaln wpatrywał się w otaczające nas opary. W końcu udało się wyrąbać szczelinę w lodzie, Bjørn i pozostali wrócili na statek, a Skjaln przyniósł spod pokładu klatkę z krukiem.

– Wypuszczę go – oznajmił, trzymając klatkę w wyprostowanej ręce. – Jeśli przyfrunie z powrotem, będzie to dla nas znak, że jesteśmy daleko od lądu. Wtedy zawrócimy! Pożeglujemy na Orkady, a stamtąd na Jutlandię i król Sven przyjmie nas...

– Tam! – rozległ się okrzyk. – Tam!

W pierwszej chwili nie pojęliśmy, kto tak nagle przerwał Skjalmowi. Potem nasze spojrzenia padły na Valpa, który obudził się i próbował uwolnić z więzów.

– Spójrzcie w górę! Patrzcie w niebo!

Wtedy je zobaczyłem. Mewy. Przebiły się przez mgłę, prześliznęły nisko nad masztem i zniknęły, ale wciąż nadlatywały nowe; całe stado. Wkrótce nie było po nich śladu, ale widzieliśmy, w jakim kierunku odlatywały, i pomyśleliśmy, że albo kierowały się w stronę lądu, albo ku ławicom ryb gdzieś na oceanie. Rozkazałem chwycić za wiosła wszystkim mężczyznom oprócz Bjørna i Eysteina, których posłałem na dziób, aby nas prowadzili między lodowymi płytami. Wiatr, który zaczął dąć z prawej burty, rozgonił mgłę.

Wciąż pamiętam dziwną atmosferę, która zapanowała na pokładzie, gdy w końcu

nasze spojrzenia padły na grenlandzki ląd. Oczami wyobraźni widzieliśmy wyspę podobną do tych na południu i na wschodzie, a nazwa wskazywała, że powinna być żyzna i porośnięta trawą ²⁷. Jednak to, co rozpościerało się przed naszymi oczyma, niczego znanego nie przypominało. Nie było tu żadnych trawiastych równin, żadnych drzew. Widzieliśmy jedynie lód i śnieg.

– Musiało nas zepchnąć na północ – usłyszałem własny głos, choć prąd wciąż mieliśmy od prawej burty i jasne dla mnie było, że raczej zepchnęło nas na południe. Mężczyźni wciągnęli wiosła i wstali.

– Ta cała Grenlandia nie jest jakoś szczególnie zielona – rzucił Halvor.

Skjalm pokręcił zrozpaczony głową.

– Musimy zawracać – powiedział. – Musimy pożeglować z powrotem na Orkady.

Nie odpowiedziałem im, ale obróciwszy statek, zacząłem płynąć wzdłuż brzegu. Prąd nam sprzyjał, a ja pomyślałem, że gdyby nas zniosło wystarczająco daleko na południe, to prędzej czy później musielibyśmy trafić na ziemie wolne od lodu.

Później dowiedziałem się, że najprawdopodobniej zdryfowaliśmy do zatoki na południe od wysp zwanych przez Islandczyków Gunnbjarnarsker, Szkierami Gunnbjærna, ale znanych również jako Kulusuk. Mieliśmy szczęście tamtej nocy, bo są to trudne wody i nigdzie nie ma tyle dryfującego lodu, co tam. Ponieważ obrałem kurs z prądem, nie wpływalismy tak często na krę jak wcześniej, ale mimo że wiało, nie ośmieliłem się podnieść żagla. Morze wokół nas był pełne lodowych płyt.

Stałem przy sterze tak długo, że już nie mogłem utrzymać się na nogach. Przypominam sobie, że ocknąłem się następnego ranka i leżałem obok Valpa, a ktoś przykrył nas kilkoma baranicami. Mały Fenre umościł mi się przy brzuchu.

Długo leżałem, gapiąc się w poszarzałe nad naszymi głowami niebo. Gdy wreszcie się pozbierałem, przy sterze czuwał Eystein. Wskazał ziemię ruchem głowy, gdzie teraz widać było pierścień kamieni i żwiru oddzielający wodę od pokrytych śniegiem wzgórz w głębi lądu. Eystein pokiwał głową i szczelniej otulił się płaszczem, bo panował ziąb. Jego brodę pokrył szron. Poza Eysteinem tylko Vidar i Hutten zostali na pokładzie. Stali na dziobie, obserwując morze wokół nas. Statek wciąż szedł z prądem.

Zszedłem na dół. Załoga musiała wiosłować w nocy, przemknęło mi przez myśl. Teraz wszyscy spali. Sprawdziłem, czy Vingur ma wodę w korycie, i pogłaskałem go po pysku, a potem przeszedłem na przód kadłuba i pomacałem klepkę, którą docisnęliśmy do szczeliny. Woda sączyła się po kropli do środka, co wydawało się bardzo dziwne, biorąc pod uwagę, że nieszczelność była ponad linią zanurzenia, a statek płynął spokojnie. Skoro szczelina była teraz poniżej linii wody, oznaczało to, że statek zanurza się głębiej. Cofnąłem się do części środkowej i włożyłem rękę między korzenie tworzące stopę masztu. Maszt był wykonany w całości z jednego drzewa z korzeniami, a korzenie zostały przycięte i poupychane między wręgami. Woda przy stępce sięgała mi do połowy ręki.

Kopniakami obudziwszy kilku naszych, kazałem im iść ze sobą, po czym wzięliśmy się do wybierania wody. Po tym jak posłaliśmy parę wiader na górę, przysiadłem się do Sigrid, która znalazła sobie miejsce z tyłu, za kojcem dla kóz. Ponieważ kóz już nie było, zniknął ów ostry zapach. Sigrid karmiła dziecko, więc przeniosłem się na drugą stronę, naprzeciwko niej, i ponownie zapadłem w sen.

Jak długo spałem, nie mam pojęcia. Ale przypominam sobie, że obudziło mnie dotknięcie czyjejs dłoni położonej na piersi. Usiadłem w półśnie i być może w pierwszej chwili wydawało mi się, że wciąż śnię, bo sporo czasu minęło, od kiedy Sigrid dotykała mnie w taki sposób. Poczulem jej rękę, ześliznęła się w dół brzucha, głaskała wewnętrzną stronę ud. Wówczas obudziłem się na dobre, otworzyłem oczy i zobaczyłem, że to wcale nie Sigrid mnie dotyka. To była ta ciemnoskóra dziewczynka. Gwałtownie wstałem. Dziewczynka podciągnęła koszulę i ułożyła się w miejscu, w którym przed chwilą leżałem.

Nie miałem pojęcia ani co powiedzieć, ani co zrobić. Że też dziecko chciało oddać swe ciało w taki sposób, jak dorosła kobieta; było w tym coś groteskowego. Szturchnąłem nogą Sigrid, budząc ją, a wtedy dziewczynka obciągnęła koszulę.

– Widziałaś? – zapytałem. – Widziałaś, co zrobiła?

Sigrid była wykończona tego poranka, w nocy wielokrotnie karmiła dziecko. Odwróciła się pod kocem na drugi bok, przygarnęła synka bliżej siebie i znowu zasnęła.

Później tego dnia zdjęliśmy dziewczynce niewolniczą obręcz. Wrzeszczała, widząc Huttena z młotem w dłoni, i wierzgała niczym prosię, gdy ją przytrzymywaliśmy. Hutten przyniósł także kamień służący mu za kowadło, przechowywał go przy stępcie razem z innymi kamieniami. Podczas gdy Bjørn, Skjalm i Vidar trzymali małą za ręce i nogi, przycisnąłem jej kark do kamienia. Wtedy Hutten wybił boleć z niewolniczej obręczy.

– Jesteś wolna – powiedziałem, zdejmując jej z karku obręcz. – Nie jesteś już niewolnicą.

Puściliśmy ją, a ona nie ruszała się z miejsca, zerkając na mężczyzn i masując sobie szyję i kark. Po chwili uciekła.



5

Brattli

Płynęliśmy wzdłuż grenlandzkiego wybrzeża, a ponieważ słońce wstawało teraz po stronie lewej burty, wiedzieliśmy, że kierujemy się na południe. Nigdy nie widziałem bardziej jałowego krajobrazu niż ten, który się przed nami otwierał. Istniejące skrawki suchej ziemi były wciśnięte między morze a okryte śniegiem wzgórza w głębi lądu. Z dolin wylewały się lodowce, kierując się ku morzu, podobne do potężnych ramion lodowych jotunów. Pewnego razu widzieliśmy, jak jeden się odłamał, a góra śniegu i lodu wpadła do morza, wzbijając falę na wysokość dwóch mężczyzn.

Osad nie spostrzegliśmy, bo niby z czego ludzie mieliby tu żyć. Nie było tu pastwisk. Możliwe, że człowiek mógłby wbić się pazurami między skały i przeżyć, polując na foki i łowiąc ryby, ale nie byłoby to dobre życie. Widziałem, że kobiety kręciły głowami, stając przy burcie i obserwując krajobraz. Nie przypominało to Grenlandii, jaką sobie wcześniej wyobrażały.

– Na południu będzie lepiej – pocieszał je Halvor, dodając, że z tego, co słyszał, Grenlandia jest dość dużą wyspą.

Linia brzegowa wciąż biegła na południe jak okiem sięgnąć.

Niecałą dobę po tym, jak dostrzegliśmy ląd, kazałem ludziom wciągnąć wiosła. W tym miejscu góry lodowe i pływające szkiery nie tworzyły takiego skupiska. Postawiliśmy żagiel, a ponieważ wiatr dmuchał teraz z kierunku południowo-zachodniego, musieliśmy ostro pracować lewym likiem i zboczyć lekko na wschód. W rezultacie oddaliliśmy się od brzegu, ale doszedłem do wniosku, że ludziom dobrze zrobi, gdy unikną gapienia się w lodową pustynię. Zakładałem, że dotarliśmy stosunkowo daleko na północ, więc gdybyśmy żeglowali przez kilka dni tym kursem, a następnie zrobili zwrot, dotarlibyśmy na tyle daleko na południe, że byłoby widać żyźniejsze ziemie.

Zawołałem Sigrid i opowiedziałem jej o małej. Nie mogłem pojąć, jak dziecku mogło wpaść do głowy, by dotykać dorosłego mężczyznę w taki sposób.

– Nie zna niczego innego – powiedziała Sigrid. – Musimy dać jej czas, by zrozumiała, jak powinno być.

Sigrid była mądra. Czasami myślę, że podejmowałbym lepsze decyzje, gdyby Norny uprzedły dłuższą nić jej życia.

Żeglowaliśmy na południe, ale grenlandzkie wybrzeże nie stawało się bardziej gościnne. Za każdym razem, kiedy dostrzegaliśmy w głębi lądu coś poza śniegiem i lodem, pływające szkiery i kry zalegały tak gęsto, że nie można się było tam dostać. Kurczyły nam się zapasy wody pitnej i widziałem, że załoga podupada na duchu. Siedzieli na pokładzie, patrząc ponuro, nachylali głowy ku sobie i pomrukiwali. Ponadto Valpowi się pogorszyło. Rana była zaogniona, trawiony gorączką mamrotał i łkał jak dziecko. Płakał, żeby go nie bito, że nic złego nie zrobił.

– Nie! – jęczał. – Ojczy, nie!

Czuwając przy nim, domyśliliśmy się, że jarl Orkadów był bardziej surowy niż większość ojców.

Wciąż nie mieliśmy pojęcia, jak duża jest Grenlandia. Nie wiedzieliśmy, że w dalszym ciągu znajdujemy się u niegościnnych wybrzeży wschodnich, gdzie człowiek nigdy nie powinien żeglować. Później dowiedziałem się, że kilku naszych

rozmawiało z Islandczykami w sadybie godego, gdzie usłyszeli historię Snøbjørna Wieprza, który popłynął tym szlakiem ponad dwadzieścia lat temu. Od tamtej pory nikt go nie widział, ale powiadano, że rybakom żeglującym dość daleko na zachód czasami zdarzało się zobaczyć jego statek – na pokładzie stał Snøbjørn z dłońmi zaciśniętymi na drążku steru, lecz jego skóra rozkładała się, a ciało odpadało od kości. Stał się żywym trupem, a ten, kto go ujrzał, musiał, jeśli mu życie było miłe, zawracać na wschód.

Halvorowi nie w smak były te historie i zaczął opowiadać o modrzewiach, które mieliśmy znaleźć, i statkach, które mieliśmy zbudować. Otworzył sakiewkę przytroczoną do pasa, wyjął z niej cztery sztuki srebra i uniósł je ku zamglonemu słońcu.

– Będę bogaty – zawyrokował tak, że wszyscy dokoła to słyszeli. – Tak, gdy sprzedamy statki Grenlandczykom, wszyscy staniemy się bogaci.

Skjaln mruknął skwaszony, że najpierw trzeba ich znaleźć, a Eilif Sakwa podrapał się po bujnej, rudej brodzie i się z nim zgodził.

– Powinniśmy wrócić na Islandię – dodał. – Zejść na ląd, gdzie nie ma ludzi, i napełnić wodą beczki! A potem najlepiej byśmy zrobili, wracając do Widłobrodego. Sypnie nam srebrem, prosto do ręki, jeśli tylko przysięgniemy mu wierność.

Wybuchła kłótnia między Halvorem, Eilefem, Skjalmem i jego kobietą Yllą. Halvor nazwał ich nikczemnymi nędznikami, a mojej uwadze nie uszło, że Skjaln kładzie rękę na nożu przytroczonym do pasa. Podszedł do mnie Bjørn, radząc, bym zagonił ludzi do wiosła, żeby się uspokoili. Wtedy poczułem podmuch wiatru. Uniosłem wzrok i zobaczyłem ciemne chmury nadciągające od strony otwartego morza. Załopotał lewy boczny lik, po czym wiatr nagle uchwycił część przednią żagla i obrócił reję, która ustawiła się wzdłuż osi kadłuba, a żagiel owinął się wokół masztu.

Opuściliśmy reję, zwinęliśmy żagiel i wysunęliśmy wiosła. Eystein przełożył linę przez pierś Vingura, unieruchamiając go w studziencie, a Fenrego i charcicę Skjalma zniesiono pod pokład. Jeszcze nigdy nie widziałem, by tak szybko nadciągnęła wichura, i jasne dla mnie było, że jeśli wiosłując, nie wyprowadzimy knary na pełne morze, zostanie wepchnięta w dryfujący przy brzegu lód i zmiądzzona.

Przez cały dzień wiosłowaliśmy, mając wiatr i fale przeciwko sobie. Gdy zapadł zmrok, wiatr osiągnął siłę sztormu. Nadbiegające ku nam fale wysokości chłopa przewyższały stewę dziobową, a ja wiedziałem, że musimy płynąć prosto na te potwory, bo gdybym nas ustawił bokiem, moglibyśmy wywrócić się do góry dnem. Sigrid już dawno zeszła z dzieckiem pod pokład, a kobiety wybierały wodę. Ciekło nie tylko przez uszkodzone poszycie, przetaczające się fale zalewały pokład i końską studzienkę. Przy wiosłach miałem wszystkich mężczyzn, z wyjątkiem Bjørna, który trwał ze mną przy sterze. Ciężko się nim teraz poruszało, stanęliśmy ramię przy ramieniu, obaj z dłońmi zaciśniętymi na drążku.

Nie było na statku człowieka, który by tej nocy nie czuł strachu. Mężczyźni wiosłowali i wiosłowali, z krwawiącymi pęcherzami, ramionami bolącymi z wyczerpania, świadomi tego, że nie będzie wypoczynku, dopóki wiatr nie osłabnie. Bjørn i ja zmagaliśmy się z wiosłem sterowym, wiedząc, że trzymamy w dłoniach życie wszystkich naszych ludzi. Gdyby się nie udało utrzymać knary prostopadle do fal albo gdyby o pokład uderzyła fala przybojowa, byłoby z nami krucho. Poza tym, gdybyśmy zaczęli nabierać więcej wody, niż byliśmy w stanie wylewać, statek przechyliłby się na burtę, zanurzając maszt. Wtedy byłoby po nas.

W ciągu nocy fale przybrały na sile. W zanikającym świetle dziennym widzieliśmy przesuwające się góry lodowe, po czym pochłonął je mrok. Pamiętam, że udawało nam się dostrzec ruch morza tuż przy statku i za każdym razem, kiedy Dan opadał w dolinę fali, widać było grzbiet kolejnej, a potem następowało jej uderzenie w stewę dziobową. Reagowaliśmy, ciągnąc lub pchając drążek, czyniąc co w naszej mocy, by trzymać dziób prosto na fale, ale czasami po prostu szczęśliwy traf decydował o tym, że się nie wywróciliśmy. Wciąż mijały nas pływające lodowe szkiery, niektóre tak blisko, że ocierały się z chrzęstem o klepki poszycia, lecz w pewnym momencie musieliśmy dotrzeć do pełnego morza i już ich nie słyszeliśmy. I nic innego nie wypada mi rzec, jak tylko to, że bogowie życzyli sobie innego losu dla załogi Dana niż utonięcie u wybrzeży Grenlandii, bo gdy w końcu wzeszło słońce, wciąż wszyscy byliśmy przy życiu, a wiatr zelżał równie gwałtownie, jak przedtem się rozszalał.

Mężczyźni wciągnęli wiosła i zalegli na pokładzie. Byli wyczerpani i przemoczeni do

suchej nitki. Tylko ja z bratem trzymaliśmy się jeszcze przez chwilę na nogach. Obawiałem się, że Vingur nie przeżył, bo zwierzę upadło i zawisło na oplatających mu pierś linach. Ale kiedy położyłem mu dłoń na karku, drgnął, podciągnął nogi pod siebie, parsknął i zastukał kopytami.

– Już niedługo – szepnąłem. – Niedługo zejdziemy na ląd.

Znajdowaliśmy się jednak na otwartym morzu i nigdzie nie było widać brzegu. Przedostałem się na tył kadłuba i przykucnąłem przy dziecku. Sigrid przekrzywiła lekko głowę i odgarnęła z twarzy rude pasmo kręconych włosów.

– Usta ci się uśmiechają – rzekła. – Ale oczy chcą spać.

Na te słowa podniosłem się i podszedłem do kur. Siedziały w swoich klatkach, pogdakując, jakby nawet nie zauważyły sztormu.

– Ktoś musi być u steru, Sigrid. Nie możemy po prostu dryfować.

To były wielkie słowa jak na tak wykończonego człowieka, jakim byłem tego ranka. Wróciłem na pokład, kopniakami obudziłem paru mężczyzn, podciągnęliśmy wspólnie reję i napięliśmy szoty. Mieliśmy pomyślny wiatr od rufy, a na lewo od nas wschodziło słońce. Znowu żeglowaliśmy na południe.

Zostałem sam przy wiośle sterowym. Bjørn położył się i zasnął. Kobiety z dziećmi wciąż przebywały pod pokładem, one też nie zmrużyły oka, dopóki wszystko się nie uspokoiło. W rezultacie prowadziłem statek sam. Morze rzadko bywa tak piękne jak tamtego dnia. Fale były długie i niskie, a wiatr stabilny i na tyle silny, by marszczyć tafłę wody. Zrzuciłem mokre ubranie i początkowo stałem nagi, ale przypomniałem sobie małą niewolnicę i naciągnąłem na siebie spodnie, aby wyschły na mnie.

Jak długo stałem przy sterze, zanim zasnąłem, nie mam pojęcia. Pamiętam olbrzymie błyszczące cielska, które wychynęły spod wody od strony sterburty, były tak blisko, że czułem parę wydmuchiwaną przez nozdrza. Przyszło mi wówczas na myśl, że ojciec byłby ze mnie dumny za to, czego udało mi się dokonać. Obrałem kurs tak bardzo na zachód, jak to było możliwe bez przesuwania żagla, bo wiedziałem, że wkrótce będziemy musieli zejść na ląd i napełnić beczki wodą. Zawierały pewnie teraz mieszankę wody słodkiej i słonej. Fale przelewały się nad nimi przez całą noc. Obwiązaliśmy je skórą, ale wiele z nich zdmuchnęła wichura, a kiedy już morska

woda zaległa na pokrywach, przeciekała potem do środka. Mieliśmy wciąż beczki pod pokładem, które nie wystarczyłyby na dłużej niż na parę dni żeglugi.

Musiałem przysnąć, bo następną rzeczą, jaką pamiętam, jest to, że leżę tuż przy burcie, a jakaś goła stopa we mnie kopie. Widzę nagiego Halvora, całego w szramach, z wiadrem w ręce.

– Dobrą łajbę sprawił nam Widłobrody, sama płynie w stronę lądu – powiedział, po czym zrobił krok do tyłu, uniósł kubek nad głowę i wylał wszystko na siebie.

Zerwałem się. Mieliśmy ziemię na sterburcie. Halvor włożył ubranie i obudził resztę kompanów. Kobiety, dzieci i psy wyszły spod pokładu. Zmieniłem kurs na prawą burtę i majaczący w oddali cypel. Wyglądało na to, że znaleźliśmy się tuż przy południowych krańcach wyspy.

Okazało się, że ziemia była bardziej oddalona, niż to się na początku zdawało, i minęło sporo dnia, zanim w końcu zbliżyliśmy się do brzegu. Pożeglowaliśmy wzdłuż niego na zachód i wkrótce dojrzeliliśmy fiordy. Południowe krańce Grenlandii nie są nagą skałą, po której hula wiatr, jak czasami sądzą ludzie. Wybrzeże ponacinane jest fiordami i łatwo można tu znaleźć schronienie. Ani ludzi, ani pasących się zwierząt domowych nie zauważyliśmy, ale też nie ośmieliliśmy się tego dnia wpłynąć głębiej do któregośkolwiek fiordu. Obawialiśmy się, że zostaniemy tu uwięzieni, gdyby wiatr zmienił kierunek i przywiał lód, który widzieliśmy dryfujący na północy. Wiedziałem jednak, że na ląd musimy zejść, i to wkrótce. Sigrid spróbowała wody i potwierdziła moje obawy, woda miała słony smak. Po zapadnięciu zmroku zwołaliśmy radę przy maszcie i zdaniem Halvora należało zejść na brzeg zaraz po nastaniu świtu. To była kraina, którą mogliśmy zrozumieć, przypominała w pewnym sensie norweskie fiordy.

Przez całą noc knara dryfowała, ale o świcie wysunęliśmy wiosła i wpłynęliśmy do najszerszej zatoczki, jaką udało nam się znaleźć. Leżała między dwoma szczytami niczym źle rozpięty namiot. Sigrid stała na rufie przy moim boku i gdy już wpłynęliśmy kawałek w głąb, wskazała zbocza, pytając, czy to są te zielone łąki, które dały wyspie nazwę. Tu, wewnątrz, za wznoszącymi się u ujścia zatoki kamienistymi

szczytami, ziemię porastała trawa i kępy karłowatej brzozy.

Fiord, do którego wpłynęliśmy, kawałek dalej rozdzielał się na cztery odnogi i tu na górskich zboczach spostrzegliśmy niejednego potok. Zostałem na statku, a Bjørn, Eystein, Eilef Sakwa i Vidar wzięli łódkę i powiosłowali na brzeg. W tym samym czasie zarzucono wędy za burtę i wkrótce Skjalmmowi udało się wyciągnąć rekina długości mniej więcej męskiego ramienia. Chwycił rybę za ogon i niczym pałąk uderzał nią w burtę, ale po kilku razach rekin wciąż się rzucał, a rozbawiony tym Skjalmm parsknął śmiechem. Podszedłem, wyszarpnąłem nóż i wbiłem go w rybią głowę. Człowiek nie powinien dręczyć zwierząt, tego ojciec uczył mnie i brata, kiedy byliśmy dziećmi. To było haniebne.

Napełniliśmy beczki wodą, a potem przez resztę dnia i do późnej nocy staliśmy na środku zatoczki, łowiąc ryby. Było bezwietrznie i panowały dobre warunki do połowu z pochodniami. Mężczyźni świecili pochodniami tuż nad wodą, a pod powierzchnię podpływały ryby tak wielkie, że mogliśmy na nie polować włóczniami. Po złowieniu były sprawiane na pokładzie, krojone i natychmiast wieszane do wędzenia nad misą paleniskową.

Następnego poranka nadszedł czas, by ruszyć dalej. Co nas czekało w dalszej żegludze wzdłuż wybrzeża, nie mieliśmy pojęcia, ale porozmawiałem z Bjørnem i ustaliliśmy, że wrócimy do tego fiordu, o ile w ciągu dziesięciu dni nie natkniemy się na osadę Eryka Rudego. Tu przynajmniej była woda pitna, dużo ryb i schronienie przed wiatrem.

O dalszej podróży nie można zbyt wiele powiedzieć oprócz tego, że fiordów na Grenlandii jest więcej niż w Norwegii, a tamtejsze góry wznoszą się wyżej niż u nas w domu. Wśród tych, którzy nigdy tu nie dotarli, szepce się, że w królestwie Eryka Rudego grasują jotuny. Ale „jotuny” to słowo często używane na określenie gór lodowych i jeśli Grenlandczyk opowiada o takowych, mówiąc, że mogą ci zgnieść statek, jeśli nie będziesz się pilnował, to nie ma na myśli odwiecznych wrogów boga Thora.

Przez dwie doby żeglowaliśmy w kierunku północno-zachodnim, wykorzystując pomyślny, stabilny wiatr od lądu. Nie napotkaliśmy tu zbyt wielu gór lodowych,

a pływających szkierów wcale już nie było widać. Trzeciego dnia pogoda załamała się gwałtownie, powiało z północy i zrobiło się zimniej. Ponownie poszukaliśmy schronienia w jednym z fiordów i ponownie wiatr wzmógł się tak szybko, że ledwo znaleźliśmy się w osłoniętym miejscu, gdy grzbiety fal zabieliły się pianą. Schroniliśmy się w głębi zatoczki, gdzie górskie ściany schodziły stromo wokół nas. Wyglądało tam prawie tak, jakby wyrąbali je z kamienia Odyn z synami. Wpłynęliśmy w boczne ramię fiordu; woda była tak przejrzysta, że kiedy spuściliśmy kotwicę, można było przesunąć wzrokiem po linii aż do samego dna.

Znowu zebraliśmy się pod masztem. Przyszło mi na myśl, że gdybym był tym całym Erykiem Rudym, trzymałbym się południowej części wyspy, penetrując tutejsze fiordy. Mogły tu zawijać statki handlowe podczas silnych sztormów i chociaż za wiele na ten temat nie wiedziałem, wydawało się, że na zboczach osłoniętych od wiatru jest uprawna ziemia. Bjørn przyznał mi rację. Im dalej na północ, tym będzie zimniej. I wkrótce skończą się nam siano i zboże, więc musieliśmy przetransportować Vingura na ląd i na dalszą podróż nazbierać trawy. Nikt nie zgłosił sprzeciwu.

Staliśmy na kotwicy przez noc i powiosłowaliśmy dalej następnego dnia. Reję i żagiel zdjęliśmy, bo wciąż silnie wiało. Podmuchy wiatru, które nas dosięgały między mijanymi wzniesieniami, były tak gwałtowne, że knara przechylała się na burzę. Odnoga fiordu wkrótce podzieliła się na tak wiele ramion, że znaleźliśmy się w pewnym sensie w krainie szkierów, wokół nas znajdowały się dziesiątki wysp i wysepek. Były nagie, wymiecione wiatrem, ale na wielu z nich dostrzegliśmy foki, a Vidar twierdził, że tuż przed stewą widział morsa z kłami długimi jak miecze. Chciał, żebym zatrzymał knarę i żebyśmy spuścili na wodę łódkę i ruszyli na polowanie. Ja jednak dalej utrzymywałem kurs na – jak mi się zdawało – wschód lub północny wschód, rzucając wciąż spojrzenia ku górskim zboczom. Gdybym tu mieszkał, wypasałbym swoje stado na tych zboczach, bo trawa rosła tu bujna i zielona.

Nie mieliśmy wcześniej pojęcia, że Grenlandia nie była jedną wyspą, lecz krainą wysp. Nigdy nie widzieliśmy większej liczby wysepek i szkierów niż tam, a za każdym wzniesieniem wyłaniały się miejsca osłonięte od wiatru i rozległe pastwiska.

Zastanawiałem się, czy ta jałowa, lodowa pustynia, na którą najpierw się natknęliśmy, nie była północnym krańcem lodów Bjarmalandii, niestykającą się nawet z wysepkami, wśród których teraz żeglowaliśmy.

Przybiliśmy do lądu następnego dnia, ale ponieważ nie udało nam się znaleźć miejsca z płycizną, Vingur musiał zostać w studziencie. Stawiając stopę na grenlandzkiej ziemi, poczułem ciepło w sercu, bo było tu pięknie, gdziekolwiek się zwróciłeś. Sądzę, że wszyscy na pokładzie tak czuli. Zeszliśmy na ląd, spuszczać się po linie umocowanej na stewie dziobowej, stanęliśmy po kostki w trawie, a Sigrid zdjęła buty i usiadła z maluszką na kolanach.

– To dobre miejsce – rzekła, zerkając na mnie.

Skinąłem głową. To było dobre miejsce, choć niezbyt żyzne, brakowało też drzew. A co, gdy nadejdzie zima i fiordy zamrzną? Czy zdołamy tu przetrwać?

O świcie oporzędziliśmy Valpa. Wciąż leżał w gorączce, ale rana była czysta, bez materii, więc kobiety umyły go w przegotowanej wodzie i ubrały w czystą odzież, po czym posadziły na ławie wioślarskiej. Zapragnął tak siedzieć i przyglądać się tej nowej ziemi, chciał na własne oczy sprawdzić, czy rzeczywiście jest tu tak zielono i bujnie, jak miał nadzieję. Bjørn i ja postaliśmy przez chwilę przy nim, Valp milczał, aż w końcu poprosił, by go położyć przy maszcie pod kilkoma kocami. Zrobiliśmy tak, jak chciał, a Fenre umościł się przy nim. Uderzyło mnie to, że człowiek, którym pogardzałem w czasach, gdy był poborcą podatków i pomocnikiem u swego ojca, stał się mi bliskim przyjacielem. Pomyślałem, że powinienem złożyć coś w ofierze Odynowi albo któremuś z innych bogów; nie bardzo wiedziałem któremu, bo ojciec zbyt wiele o nich nas nie nauczył. Najwięcej słyszeliśmy o Odynie i jego synach, a także o Njordzie, Freju i Freji z rodu Wanów, lecz żaden z nich nie był od uzdrowień. Wziąłem na bok Sigrid i zapytałem o radę. Szeptalem, bo byłem hovdingiem na statku i nie chciałem, by ludzie wiedzieli, że nie znam się na obyczajach i bogach. Zdaniem Sigrid powinienem złożyć ofiarę bogini Eir, jeśli chciałem pomóc Valpowi w ozdrowieniu. Była Asynią, a ponadto walkirią. W każdym razie matka Sigrid tak mówiła. Pewnego razu, gdy siostra Sigrid była mała, dostała gorączki i miała wysypkę, matka złożyła kurę w ofierze Eir, a następnego dnia

wysypka i gorączka zniknęły.

Nigdy nie byłem szczególnym zwolennikiem ofiar, a ponadto nie miałem ochoty zabijać żadnego ze zwierząt na statku. Kury były dla nas szczególnie ważne, bo planowaliśmy, że po dotarciu do Winlandii dopuścimy do nich koguta i zaczniemy hodować kurczaki. Być może mógłbym złożyć w ofierze trochę piwa, byłem pewien, że niektórzy z jomswikingów, a może również Hutten, schowali gdzieś odrobinę. Gdy tak rozmyślałem, kilku mężczyzn wpadło na pomysł, żeby się wykapać. Po sztormie unosił się nad nami odór potu i wymiocin, a tu woda była czysta i rozgrzewała nas słońce. Hutten i Vidar jako pierwsi chętni zrzucili tuniki i spodnie i stanęli nago na górnej listwie nadburcia. Dwóch przysadzistych, owłosionych chłopów z pluskiem wylądowało w wodzie na tyłkach. Pozostali nie chcieli być gorsi, pozrzucali z siebie ubrania i wyskoczyli za burtę. Sigrid uśmiechnęła się do mnie, bo wiedziała, że z chęcią zrobiłbym to samo co reszta.

– Wyskakuj – powiedziała. – Nie chcę mieć brudnego męża.

O wodzie w grenlandzkich fiordach mogę powiedzieć, że czystszej nigdzie nie znajdziecie. Zimna jest i nigdy nie będzie tak ciepła jak wzdłuż innych wybrzeży, bo nieustannie spływa do niej woda z topniejących lodowców. Wychyłałem spod wody, łapiąc powietrze, a przy burcie stanęła Gislaug w towarzystwie rozszczekanych psów i wysypała nam na głowy zawartość misy paleniskowej. Mamy się wyszorować do czysta, chichotała.

Zebraliśmy tyle popiołu, ile się dało i wtarliśmy go pod pachy, w brody, za uszami. Zanurkowaliśmy ponownie, a ponieważ woda była przezroczysta i zmieszana ze słodką, widoczność pod powierzchnią nie została zakłócona. Zauważyłem, że kadłub porządnie ucierpiał, odrapany przez dryfujący lód. Z poszycia wzdłuż linii zanurzenia zostały zdarte pasy glonów i pąkli. Ale klepki wyglądały na całe. Poza tym jednym uszkodzeniem nie zauważyłem żadnych pęknięć ani rozszczelnionych miejsc połączeń.

Zbyt długo nie pozostawaliśmy w morzu. Gdy tylko się wyszorowaliśmy, rzucono nam liny. Stanęliśmy na pokładzie, wycierając się do sucha kocami. Chociaż nie byliśmy bogaci, większość z nas miała dwa komplety ubrań. Przebraliśmy się i zasiedliśmy do garnka z kaszą jęczmienną, by się rozgrzać. Wspomniałem Bjørnowi,

że zapasy zboża są coraz chudsze i że to się dzieje szybciej, niż się spodziewałem. Mieliśmy kilka worków, których jeszcze nie ruszyliśmy, ale to było ziarno siewne. Tam, na zachodzie, ponoć wystarczyło wbić pług w ziemię, gleba była bez kamieni i korzeni, tak słyszeliśmy. Zapytałem brata, czy to rzeczywiście możliwe, że rosną tam winne grona, takie jakie rosły w krajach graniczących z ziemiami niebieskich ludzi.

– Tak słyszałem. – Pokiwał głową. – Winne grona, takie jakie mają w krajach południowych.

Płynęliśmy w górę fiordu. Był stosunkowo prosty i ciągnął się na północny wschód. Od strony północnej mieliśmy łagodny stok wznoszący się ku kamienistemu grzbietowi górskiemu, a ponieważ południowa część fiordu była usiana lodowymi blokami i szkierami, trzymaliśmy się przeciwległego brzegu. Wkrótce fiord podzielił się na dwie części. Jedno ramię okrężało kilka olbrzymich głazów i szkierów i biegło dalej na północ, natomiast drugie kierowało się na wschód.

Wtedy Bjørn podszedł do nadburcia i coś zauważył.

– Patrz, Torsteinie! – Wskazał ręką. – Widzisz je?

Zobaczyłem. Na zboczu pasły się owce. Doliczyłem się pięciu, dwie wyglądały na jagnięta. Hutten podszedł i stanął obok mnie z dłonią wspartą o górną listwę.

– Tam gdzie są owce, tam są i ludzie.

– Tak jest. – Przytaknąłem ruchem głowy.

Ludzie podnieśli się ze skrzyń i zaczęli się rozglądać. Statek tracił prędkość, więc kazałem im wracać do wiosła.

– Płyniemy dalej – powiedziałem i zmieniłem chwyt na drążku steru.

Poczułem powiew wiatru nad fiordem, uderzający prosto na nas. W wietrze był chłód, tak jakby ten kraj chciał mi przypomnieć, że nie będzie litości, tu wiatry są silniejsze, a zimy bardziej surowe. To nie jest kraina dla słabych. Krzyknąłem do wiosłarzy. Chciałem, by wiosłowali energiczniej. Chciałem rzucić kotwicę na długo przed zapadnięciem zmroku.

Utrzymywałem knarę na odległość strzału z łuku od zachodniego brzegu i po niedługim czasie odkryłem na zboczach pasące się krowy. Nagle spostrzegłem zabudowania; wyglądały na wykonane z torfu i kamienia i prawie wtapiały się

w podłoże.

Zakotwiczyliśmy przy zachodnim brzegu fiordu i przez jakiś czas staliśmy przy nadburciu, obserwując miejsce, do którego przybyliśmy. Przed nami rozciągało się porośnięte trawą, łagodnie wznoszące się zbocze. Była tam plaża, swego rodzaju wąska zatoczka, gdzie kilka mniejszych byrdingów i coś, co wyglądało na wąskie dłubanki, wyciągnięto na piasek. Zaczęli się tam gromadzić ludzie, zarówno mężczyźni, jak i kobiety oraz dzieci. Wnet paru z nich wspięło się do jednego z byrdingów i wiosłując, odpłynęło kawałek od lądu. Początkowo tylko siedzieli, jakby chcieli nas sobie obejrzyć, zanim nas zagadną. Cisza zapanowała nad fiordem, aż jeden z wioślarzy krzyknął do nas w typowym dla Ryge dialekcie:

– Przyplłynęliście po mnicha?

Ludzie zwrócili się w moją stronę; wciąż stałem na burcie z drążkiem sterowym w garści. Sigrid podeszła do mnie.

– Najpierw zapytaj, czy są chrześcijanami i czy mają jakieś wieści z Islandii od godego.

Sigrid lepiej ode mnie potrafiła się wysłowić i być może była też ode mnie mądrzejsza. Te kwestie musieliśmy wyjaśnić przed zejściem na ląd. Jeśli wysłano statek z wieścią o tym, co uczyniliśmy na Islandii, mógł już tu dotrzeć. Ludzie znający kurs i prądy morskie dopłynęliby tu szybciej od nas. Nie powinniśmy schodzić na ląd, jeżeli czekają tam na nas żądni zemsty mężowie.

Mężczyzna w byrdingu, wychudzony i ospowaty, w długiej do kolan skórzanej tunice, na pytanie, czy są chrześcijanami, pokręcił stanowczo głową.

– Ale żona Eryka i owszem – dodał, wskazując w głąb lądu. – Mieliśmy nadzieję, że ktoś wkrótce przyplynie po tego jej mnicha. Eryk powiada... Nie, nic więcej nie powiem. Najlepiej, jeśli zejdzicie na ląd.

– Macie jakieś wieści od Mędrca? – zapytałem.

– Znowu chcą podatków? Po to przyplłynęliście? Tu jest Fiord Eryka! Tu jest Grenlandia. Islandzcy naczelnicy nie mają tu żadnej władzy!

W tym momencie stanął przy mnie Halvor.

– Podpływaj do tamtej plaży, hovdingu. I mądrze zrobisz, jak najmniej się

odzywając. Mąż nie musi żałować słów, których nie wypowiedział.

Skinąłem głową ludziom na skrzyniach wiosłarskich. Pióra wiosła chwyciły wodę, a ja prowadziłem knarę w stronę plaży. Bjørn krzyknął z dziobu, że jest tam piaszczyste dno. Można bezpiecznie dopłynąć do samego brzegu. Gdy stępka zaszorowała o piasek, mężczyźni z byrdinga już zeszli na ląd, a ludzie zebrani na brzegu nieco się odsunęli. Dostrzegłem noże u pasów, niektórzy trzymali w garści harpuny, długie na wysokość mężczyzny. Na oko było ich około trzydziestu, czterdziestu. Większość miała na sobie skórzany wierzchni przyodziewek, również kobiety były tak ubrane. Wśród nich znajdowało się kilka dziwnych postaci, które początkowo wydały mi się dziećmi lub może bardzo młodymi ludźmi, były na ogół nagie, miały na sobie tylko przepaski biodrowe. Wkrótce zauważyłem, że niektóre z postaci mają piersi. To nie były dzieci, tylko dorośli mężczyźni i kobiety. Dziwne sprawiali wrażenie, nie mieli prawie oczu, jedynie wąskie szparki, a kobiety chodziły z obnażonymi piersiami, jak mężczyźni. Ci dziwni ludzie mieli też taką samą złocistą skórę jak dziewczynka uratowana od Islandczyka i takie same czarne włosy.

Stałem na dziobie razem z bratem i Halvorem.

– Mamy na pokładzie rannego! – zawołałem. – Potrzebna mu pomoc.

Ten, który wcześniej odezwał się do nas z łodzi, odparł:

– Mamy tu kogoś, kto się zna na seid ²⁸. Ale przenieście rannego od razu na ląd, zanim zjawi się Tjodhild.

– Tjodhild?

– Tjodhild Jørunsdatter jest żoną Eryka. A ona nie chce mieć do czynienia z seid.

Chwycił jednego z tych niskich, czarnowłosych za ramię i coś mu powiedział, po czym człowieczek podbiegł do jednej z dłubanek. Wtedy zobaczyliśmy, że to wcale nie są dłubanki – wąskie łódki w całości pokrywała skóra. Niski mężczyzna wyjął z otworu w wąziutkim pokładzie zwinięte w kłębek odzienie i je włożył; były to buty z cholewkami, spodnie i skórzany kaftan, wszystko wyglądało na szyte z foczej skóry. Odepchnął łódź na tyle, że woda sięgała mu do połowy łydki, a następnie wśliznął się do dziury, która ściśle przylegała do jego pasa. Odczepił deskę przywiązaną do wąskiego skózanego poszycia; było to wiosło z piórami po obu stronach. Wiosłował, pociągając na przemian, raz po prawej, raz po lewej burcie, opłynął nasz statek i po

chwili już był na środku fiordu.

Mężczyzna na plaży powiedział, że ma na imię Tjore i jest wolnym człowiekiem z własną zagrodą. Wskazał w górę zbocza, gdzie stało wiele długich domów i zabudowań gospodarczych, wszystkie o ścianach z kamieni i torfowych dachach. Eryk jest pogrążony w smutku i trudno się z nim dogadać, mówił Tjore. Ale jesteśmy mile widziani, a ranny będzie miał dach nad głową i piwo, jeśli mu tego potrzeba. Uyarak przywiezie seidkonę ²⁹, rzekł, pokazując ręką fiord, gdzie mały człowiek wiosłował z niesamowitą szybkością w stronę przeciwnego brzegu.

Wiem, co ludzie mówią o Grenlandczykach, że są głupi i nieokrzesani i że gościnność okazują jedynie, gdy masz towary, które są im potrzebne. Ja jednak powiem, że zrobili, co mogli, by pomóc mnie i moim ludziom. Gdy tylko przenieśliśmy Valpa na brzeg, mieszkańcy zanieśli go do jednego z domów, a ja z Bjørnem i Eysteinem towarzyszyliśmy im. Zaproszono nas do domu Tjorego, który przeproszał za to, że tak tam ciemno i ciasno i że nie ma u siebie żadnego stołu, za którym moglibyśmy się rozgościć. Ale byłoby najlepiej, gdybyśmy zostali u niego, bo Tjodhild nie toleruje seidkony, więc ulokowanie rannego w domu hovdinga nie wchodziło w rachubę.

Prawdę mówiąc, długi dom Tjorego nie był tak marny, jak to przedstawiał jego gospodarz. Chociaż nie miał długiego stołu, to jednak wzdłuż ścian stały ławy okryte baranicami, na których można było usiąść. Pod powalą wisały setki kawałków wędzonego i suszonego mięsa oraz ryb. Valpa ułożono przy palenisku. Jedna z kobiet podeszła, rozdmuchała żar, położyła kilka kostek torfu i cuchnący dym wkrótce wzbił się ku otworowi w dachu. Ogień nie wystrzelił w górę, tylko tlił się w palenisku. Mimo wszystko we wnętrzu domu było dość widno, bo drzwi otwarto na oścież, a w ścianach było wiele prześwitów; latem Grenlandczycy wyjmowali z nich po kilka kamieni, by wpuścić nieco światła.

Wkrótce przyłączyło się do nas trzech młodych ludzi, ponadto ciemnoskóry chłopczyk i dorastająca dziewczyna. Tjore powiedział, że to jego dzieci i wnuki, a jeśli ciekawi nas chłopiec, to sprawa ma się tak, że nasz gospodarz traktował go jak syna, chociaż nie było między nimi więzów krwi.

– Na imię mu Kutnak – dodał. – Ale my wołamy na niego Knut. Znaleźliśmy go na

Morzu Lodowatym, na północ od Osiedla Zachodniego. Niedźwiedź podciął mu nogi, łamiąc obydwie. Ojca chłopca zabił, a ciało powłókł ze sobą.

Nic na to nie rzekliśmy. Cóż można było powiedzieć? To była sroga kraina, tyle pojmovaliśmy. Pozostawała nadzieja, że wyspy zachodnie są ludziom bardziej przyjazne.

– Chłopiec jest Skrælingiem – wyjaśnił Tjore. – Tak ich nazywamy, ludzi, którzy tu mieszkają ³⁰. Jeśli o mnie chodzi, nie widzę nic złego w tym, że ktoś jest Skrælingiem. To dobry lud, nigdy nie wyrządzili mi żadnej krzywdy.

Wówczas do domu weszła kobieta. Była odziana w koszulę z delikatnej, niebieskiej tkaniny oraz pelerynę, miała łańcuch z kluczem na szyi, ogorzałą, zaciętą twarz i długie włosy zebrane w dwa warkocze. Stała po drugiej stronie paleniska i zmierzwiwszy ponurym spojrzeniem Valpa, Eysteina, Bjørna i mnie, zwróciła się ku naszemu gospodarzowi.

– Co to za ludzie?

Siedzący na ławie Tjore drgnął niespokojnie, chrząknął, wzruszył ramionami, a kobieta podrapała się szybko po wydatnym nosie przypominającym z wyglądu ptasi dziób, po czym wskazała na Valpa.

– To o nim mowa?

– To jest syn jarla Orkadów – odezwał się Bjørn. – Został ranny i potrzebuje pomocy.

Kobieta podeszła bliżej i mrużąc oczy, zerknęła na Valpa.

– Dochodzą mnie słuchy, że mieszkańcy Orkadów stali się dobrymi chrześcijanami. Pójdę po mnicha. Pomodli się za waszego przyjaciela.

– Potrzebna mu opieka – odezwał się Eystein. – A nie modlitwa.

– Tylko Bóg może uzdrowić człowieka – odparła kobieta. – Będziemy się zatem modlić.

Usiadła na ławie pod ścianą. Złożone dłonie trzymała pod podbródkiem. Tjore zbliżył się do nas i szepnął, że to Tjodhild, żona Eryka. Najlepiej byłoby, gdyby się tu nie zjawiała, ale teraz już za późno, by temu zaradzić. Ledwo zdążył wyrazić swoje ubolewanie, gdy w drzwiach znowu pociemniało i do domu wkroczył człowiek o pokaźnym kałdunie. Miał na sobie habit, a u pasa dyndały mu skórzane mieszki

i sakiewki. Mnie, Bjørnowi i Eysteinowi nie pozostało nic innego, jak przyglądać się mu w zdumieniu, bo jego pyzata gęba była bez zarostu, a czaszka zupełnie łysa. Stał i gapił się w dół, na leżącego Valpa, a my zerkaliśmy w górę, na jego fałdy na policzkach i podwójny podbródek. Doznałem dziwnego uczucia, że oto do długiego domu Grenlandczyków nie wszedł człowiek, tylko jakaś bezwłosa istota z głębin morskich. Nagle wypluł z siebie kilka fraz w nieznanym mi języku i opadł na najbliższą ławę. Odczepił od pasa bukłaczek i zdrowo z niego pociągnął, po czym złożył dłonie na podołku.

Bjørn i Eystein zostali przy Valpie. Ja wyszedłem. Nie śmiałem zostawić Sigrid samej z dzieckiem na statku, wśród obcych. Na pokładzie opowiedziałem Halvorowi o mnichu, a ten splunął za burtę i zaklął szpetnie. Tutaj Valpowi nie udzielił żadnej pomocy, stwierdził. Miewał już do czynienia z takimi ludźmi. Będą tylko siedzieć i modlić się do swego boga.

Nastało późne popołudnie, a dobra pogoda, z jaką tu przypłynęliśmy, ulotniła się. Znowu nadciągnęły deszczowe chmury, wraz z nimi pojawił się wiatr tak silny, że zrywał wierzchołki fal przy ujściu fiordu. Kotwica, którą rzuciliśmy za rufę, zerwała się z dna, a knara, odwróciwszy się, uderzyła w cumujący obok nas byrding. Posłałem załogę na ląd. Wszyscy, uchwyciwszy linę dziobową, ciągnęli z całej siły, ale statek ustawił się bokiem do fal i nie dał się ruszyć.

Udało nam się dźwignąć Vingura i przenieść go na plażę. Okryliśmy go derką, a Eilef Sakwa obiecał, że będzie pilnował, by koń zbyt nie oddalił. Wystawiliśmy na pokład kury i kruka, bo pomyśleliśmy, że widok nieba dobrze im zrobi. Zostałem na statku z Halvorem, Sigrid i dzieckiem. Reszta załogi zeszła na ląd. Widziałem ich wędrujących wzdłuż brzegu i po zboczu. Dzieci Vidara zbierały na plaży muszle. Niepokoiło mnie to, że Valp został w długim domu i że seidkona wciąż się nie zjawiała, więc poprosiłem Halvora, by przeniósł Valpa z powrotem na statek.

Wiatr utrzymywał się przez całe popołudnie. Grenlandczycy nie zaprosili nas do swych palenisk, krążyli po okolicy, nie przejmując się nami. Tylko ci dziwni ludzie o wąskich oczach zatrzymywali się od czasu do czasu, obserwując nas, i wtedy wydawało się, że małej niewolnicy ktoś nakładał niewidzialne jarzmo na ramiona.

Kuliła się w sobie i uciekała wzrokiem.

Powiedziano mi potem, że Tjodhild miała niespotykaną władzę nad ludźmi znad fiordu i że taka sytuacja trwała od momentu, gdy pojawił się mnich. W minionym roku wydała wyrok, do czego miała prawo pod nieobecność swego męża, skazujący czterech mężczyzn i jedną kobietę na odpłynięcie z osady bez prawa powrotu. Wydarzyło się to późną jesienią, gdy morze było silnie wzburzone. Teraz zarządziła, że ludzie mają się trzymać od nas z daleka, bo przeczuwa, że nie jesteśmy chrześcijanami, i najchętniej wolałaby, byśmy natychmiast odpłynęli. Jednak Tjore i jeden z jego synów zlekceważyli jej polecenie i odwiedzili nas wieczorem na pokładzie, a stary powiedział nam, że Tjodhild i Eryk nie żyją już razem. Eryk przeniósł się do Osiedla Zachodniego, a ona rządziła w Brattli, jak nazywano tutejszą osadę. Nieprzejednana była zawsze, ale po przybyciu mnicha zrobiła się tak niemożliwa, że Eryk wolał się wynieść.

– Zatem dlaczego jesteście jej posłuszni? – zapytał mój brat. – Skoro jest taka trudna i nieprzejednana, to nie możecie sobie wybrać innego hovdinga?

Tjore pokręcił głową, mrużąc, że to nie takie proste i że ludzie z Brattli nie są żadnymi wojownikami. Mnich nie przybył sam, przyjechał w towarzystwie ludzi, którzy służyli jako poborcy podatków u Olafa w Norwegii. Pierwsze, co zrobili, to ukradli kamienie z tutejszych domów i wykorzystali je do postawienia ścian kościoła. Tjore wskazał ręką w stronę lądu.

– Tam w górze – powiedział. – Widzicie krzyż? To kościół Tjodhild.

Z kalenicy na jednym z budynków wystawał nadwerężony wichurami drewniany krzyż. Wyglądał jak kij do suszenia ubrań.

– Nikczemnicy norweskiego króla grozili rozgrzanym żelazem i ścięciem – opowiadał dalej Tjore. – I wygnaniem.

Pokręcił głową, po czym dodał, że to Leif, jeden z synów Eryka, przywiózł ich z Norwegii. Był na wschodzie, odwiedził norweskiego króla i tam się ochrzcił, choć głównie po to, by się przypodobać matce. Ale nie musimy się obawiać, zapewnił nasz rozmówca, bo przybocznicy Tjodhild polowali teraz na morsy.

Tjore nie potrafił zbyt dobrze oceniać ludzi, pomyślałem. Raczej nie sprawialiśmy wrażenia szczególnie bojaźliwych, byliśmy przecież jomswikingami. Trzymałem

jednak język za zębami. Nie byłoby zbyt mądrze zdradzać Tjoremu, że rozmawia z wojami, którzy walczyli przeciwko Olafowi pod Svolder i że to ja zadałem królowi śmiertelny cios. Ale podszedł do niego mój brat i położył mu dłoń na ramieniu.

– Olaf Tryggvason padł. I nie mów o tym nikomu, ale my tutaj mamy co do tego pewność.

Tjore zrobił wielkie oczy.

– Olaf zginął? Nie żyje? – Skierował wzrok w stronę lądu. – Jeśli to prawda... Nie chciałbym być człowiekiem, który powiadomi o tym Tjodhild. Nie sądzę, że przyjmie lekko taką wiadomość.

Przelazł przez burtę i zszedł na brzeg. Więcej słów na ten temat nie padło. Bjørn i Halvor zeszli na dół, a gdy mrok rozpostarł się nad fiordem i górskimi zboczami, zostałem na pokładzie jedynie w towarzystwie Fenrego i charcicy. Stałem z tyłu, tam gdzie mogłem się oprzeć o stewę rufową. Górna część poszycia dawała pewną osłonę przed wiatrem, było to dobre miejsce obserwacyjne. Stąd widziałem smużki światła palenisk padające przez prześwity w ścianach długich domów i mogłem poczuć ostry swąd torfowego dymu. Widziałem sylwetkę Vingura na zboczu i Eilefa Sakwę kulącego się za jakimś głazem. Tutaj najwyraźniej nigdy nie było zupełnie ciemno, co wskazywało, że wciąż znajdowaliśmy się daleko na północy.

Musiałem przysnąć przytulony do stewy, bo kiedy się ocknąłem, księżyc rzucał srebrną poświatę na pokład. Nagle mój wzrok padł na jakąś postać, która przez nadburcie wdrapała się na pokład; kobieta w obszarpanej koszuli i opończy z foczej skóry. Posłała mi szybkie spojrzenie, a ja zauważyłem pasy namalowane na jej twarzy, niczym słoje na klocku wiązowego drewna. Pociągnęła za ramię i zza nadburcia wyłoniła się jedna z tych dziwnych skórzanych łódek. Wciągnęła ją na pokład. Teraz nad górną listwą pokazał się również jeden z tamtych ciemnoskórych. On także wciągnął swoją łódkę na pokład.

Domyśliłem się, że to jest seidkona. Ciemnoskóry człowiek podszedł do mnie i uderzył się w pierś.

– Uyarak – rzekł, po czym wyciągnął rękę w stronę kobiety. – Gourit.

Kobieta zatrzymała się na skraju końskiej studzienki, zerkała w dół, węszyła. Jej drobnym ciałem wstrząsały drgawki, jakby trawiło ją jakieś szaleństwo. Spod pokładu

wysunął się Eystein.

– Seidkona? – zapytał.

Potwierdziłem ruchem głowy.

Wynieśliśmy Valpa na pokład. Uyarak wyjaśnił tyle o ile, w jaki sposób musi się to odbyć. Wskazał na ląd, szepnął ostrzegawczym tonem: „Tjot-hil...” i położył palec na ustach, a my zrozumieliśmy, że musimy działać najciszej, jak to możliwe. Potem pokazał na sakiewkę przy moim pasie i wykonał ruch, jakby uderzał krzesiwem o krzemień, więc Eystein natychmiast zabrał się do rozpalania ognia w misie paleniskowej. Dołączyło do nas więcej osób. Bjørn, Halvor i Hutten usiedli przy Valpie, ale to nie spodobało się Uyarakowi, bo wskazywał na nich, kręcąc głową.

– Zróbcie jej miejsce – powiedziałem wówczas. – Idźcie przed maszt.

Tak też zrobili. Wkrótce wszyscy obecni na statku albo tłoczyli się na pokładzie przednim, albo na dole, w końskiej studziencie. Tylko Valp, kobieta i ja zostaliśmy na tylnym pokładzie. Kobieta stanęła przy stopach Valpa. Posłała mi spojrzenie, mamrocząc słowa, których nie pojmowałem, a następnie zrzuciła z siebie opończę i koszulę. Stała ubrana jedynie w gatki do kolan, a ja zdałem sobie sprawę, że była młodsza, niż początkowo sądziłem. Piersi miała sterczące i spiczaste, a między nimi na rzemyku wisiał mały skórzany woreczek. Była wąska w talii i wyglądała na silną i zdrową. Ale była naznaczona w sposób, który mógł wskazywać, że albo wiodła kiedyś żywot niewolnicy, albo została za coś ukarana, bo kiedy odwróciła się do mnie tyłem, ujrzałem blizny po bacie.

Kobieta najpierw uklękła. Podwinęła Valpowi tunikę, położyła dłoń na jego obnażonej piersi, na ranie. Tak siedziała w ciszy przez jakiś czas, lecz nagle znowu wstrząsnęły nią drgawki i padła na Valpa, wybuchając płaczem. Leżała w takim stanie na tyle długo, że już chciałem podejść, lecz w jednej chwili była na nogach. Obrzuciła mnie spojrzeniem, choć widać jej było tylko białka oczu, a drgawki ponownie ją opanowały, rzucały nią w dziwnych płasach, podczas których chwilami stała całkiem nieruchomo, chwytając powietrze ustami, a chwilami jęczała i tupała nogami w pokład.

Tańczyła długo tamtej nocy. Tańczyła w świetle księżyca, z nagimi piersiami i włosami opadającymi w nieładzie na twarz za każdym razem, gdy chwytaly ją

drgawki. W końcu osłabła i zamarła, wpół siedząc, a wpół leżąc, na torsie Valpa. Wydawało mi się, że straciła przytomność, ale wtedy zauważyłem, że pochylona do przodu, smarowała ranę Valpa jakąś maścią. Musiała ją trzymać w skórzanym woreczku. Zostawiłem ją w spokoju i razem ze wszystkimi trwaliliśmy w oczekiwaniu do chwili, gdy Uyarak podszedł do niej i szturchnął ją stopą, by się obudziła. Potem odezwał się do mnie w tym swoim dziwnym języku, spuścił łódkę na wodę i odpłynął.

Położyliśmy seidkonę pod pokładem. To jedyne, co mogliśmy zrobić. Trudno było stwierdzić, czy zasnęła, czy wpadła w jakiś rodzaj transu, ale podejrzewaliśmy, że najlepiej będzie, jeśli Tjodhild jej nie odkryje. Jej łódkę również schowaliśmy pod pokład, jednak zanim to zrobiliśmy, oświetliliśmy ją pochodnią. Chociaż skórzane łódki nie były nam całkiem obce, nigdy nie widzieliśmy czegoś takiego. Wykonano ją z foczej skóry, którą naciągnięto na ramę z drewna i kości, a szwy były na tyle gęste, że woda raczej nie mogła się dostać do środka. Poza tym była lekka, mogłeś ją podnieść jedną ręką.



Nie zostaliśmy dłużej w Brattli. Następnego dnia dźwignęliśmy Vingura na pokład i ruszyliśmy dalej. Wcześniej zajrzał do nas Tjore i ostrzegł, że plotka o wizycie seidkony już się rozeszła i wieści dotarły do Tjodhild, której się to bardzo nie spodobało. Porozmawiała z ludźmi i dopilnowała, byśmy nie dostali ani zboża, ani żadnych zwierząt na dalszą podróż. Najlepiej byłoby dla nas, gdybyśmy pożeglowali do Osiedla Zachodniego, bo tam Eryk przyjąłby nas jak się godzi. Zabralibyśmy ze sobą seidkonę, ponieważ już od dawna czekała na statek, który przewiozłby ją do sadyby Eryka. Tamtejsi ludzie posłali po nią, ale Tjodhild uważała, że nie może sobie pozwolić na odesłanie żadnej łodzi.

Tak więc wypłynęliśmy na wiosłach z fiordu i skierowaliśmy się na północny zachód. Tu napotkaliśmy wiatr wiejący od strony rufy pod kątem umożliwiającym podniesienie rei i żagla.



6

Osiedle Zachodnie

Kiedy ludzie pytali mnie o to, jak się żegluje wzdłuż grenlandzkiego wybrzeża, postanowiłem odpowiadać, że przerażająco. Są tam prądy, które mogą wciągać w głębiny ogromne knary, mówiłem. Na przybrzeżnych wysepkach czyhają Skrælingowie i ciskają w ciebie harpunami. Żyje tam też dziwaczne plemię ludzi o jednej nodze, ale za to o silnych ramionach; ich strzały sięgają daleko. Ci jednonodzy znają czary najgorszego gatunku, stoją na brzegu, sącząc śpiewem szaleństwo w umysły mężczyzn i kobiet.

Są to oczywiście kłamstwa. Rzadko doświadczaliśmy bardziej gościnnej linii brzegowej niż wówczas, gdy żeglowaliśmy wzdłuż zachodniej części Grenlandii. Znajdują się tu fiordy, w których statek może się schronić przed zawieruchą i rzadko natkniesz się na góry lodowe i dryfujące szkiery, jakie napotykałismy podczas żeglugi po wschodniej stronie. Po dniu żeglugi od Brattli ujrzysz morsy i foki, także wieloryby wypoczywają na powierzchni wody. Zrozumieliśmy, dlaczego Islandczycy przybyli tu i zostali. Człowiek mógł się wzbogacić na kłach morsów i skórkach fok.

Mieliśmy pomyślny wiatr od samego Brattli. Stabilny podmuch od lądu pozwolił, byśmy odłożyli wiosła i zawierzyli żaglowi. Fale łagodnie toczyły się z kierunku południowego, popychając nas wciąż do przodu i nieczęsto zdarzało mi się żeglować tak długo, nie obracając rei.

W tych dniach najwięcej czasu spędzałem z Sigrid i synkiem. Sigrid była dość nieprzystępna po porodzie i przebywała głównie w towarzystwie pozostałych kobiet, ale teraz powróciła owa dziewczęca, kochająca istota, jaką znałem wcześniej. Siedziała przytulona do mego boku, drzemiąc w słońcu, a ja układałem sobie chłopczyka za pazuchą lnianej koszuli, bo zdaniem Sigrid maluchowi najlepiej się spało, gdy czuł nagą skórę. Znamię zdążyło już nieco zblednąć, choć ciągle można było dostrzec w nim młot albo może kruka.

Valp ocknął się z maligny i zapytał, co się stało z walkirią. Wówczas seidkona usiadła przy nim. Valp leżał przez jakiś czas, gapiąc się w jej twarz, a potem potrząsnął głową, mamrocząc, że wszystko mu się pewnie przyśniło, bo sądząc po bolącej ranie, wciąż żył, czuł pokład pod plecami i zapach końskiego łajna. Kobieta poszła po swoje zawiniątko, z którego wyjęła węgiel i tłuszcz zwierzęcy, po czym namalowała sobie na twarzy takie same pasy, jakie miała w trakcie rytuału, i wtedy Valp ją rozpoznał. Wpatrując się w nią, uniósł się na posłaniu i westchnął tak cicho, że ledwo usłyszeliśmy.

– Walkiria.

Trzymaliśmy się grenlandzkiego wybrzeża i na początku sądziliśmy, że żeglujemy na zachód, skoro tamtą drugą osadę nazwano Osiedlem Zachodnim. Ale Halvor z paroma innymi ustawili drążek słoneczny na pokładzie i byli przekonani, że płyniemy na północ. Ja z bratem patrzyliśmy w kamień słoneczny, nie stając się od tego mądrzejsi. Svartur, chłop, który dał nam kawałek ziemi na Jutlandii, pokazał mi kiedyś, w jaki sposób należy patrzeć wzdłuż linii wewnątrz kamienia, używając wysokości słońca, by ustalić, jak daleko na północ lub na południe znajduje się statek, lecz ani ja, ani Bjørn nie potrafiliśmy tego rozgryźć. Mieliśmy wschód słońca z prawej, a zachód z lewej burty, więc wiedzieliśmy, że zmierzamy na północ. Zaczęliśmy obserwować odnogi fiordów, w nadziei że uda nam się wypatrzeć jakąś łódź albo owce na

zboczach. Ale krajobraz był pusty.

Żegluga z Brattli do Osiedla Zachodniego miała potrwać długo. Nie skłamię, mówiąc, że odległość między tymi osadami była równie duża jak z Vingulmorku do Trøndelagu, a może nawet dłuższa. Dwukrotnie schodziliśmy na brzeg, by napełnić beczki wodą, i za drugim razem Skjaln znalazł miejsce postoju, wygasłe palenisko, odłamki krzemienia. Potraktowaliśmy to jako pewny znak, że posuwamy się właściwą drogą. Ktoś tu nocował i to ktoś, kto potrafił rozpalać ognisko za pomocą krzesiwa i krzemienia. Zatem mogliśmy być pewni, że nie chodzi o owych wąskookich ludzi, bo Eystein usłyszał w Brattli, że tamci nie potrafią rozpałać ognia w taki sposób.

Mała niewolnica wciąż się nie odzywała, ale pewnego poranka, gdy miałem zmienić Bjørna przy sterze, zobaczyłem, że siedzi z Fenrem na kolanach. Dowiedziałem się od brata, że siedzi tak od dłuższego czasu. I był to dobry znak, bo głaszcząc psiaka, podśpiewywała. Czy śpiewała słowa, czy tylko wymyślone przez siebie dźwięki, nie mieliśmy pojęcia.

Później tego dnia seidkona przeszła na dziób i obserwowała horyzont. Nagle podeszła do mnie, chwyciła za rękaw i wyciągnęła rękę w stronę lądu.

– Eryk – rzekła, pokazując ujście fiordu przed nami. – Eryk tam.

Pchnąłem drążek i krzyknąłem do załogi, że trzeba przesunąć szoty. To tutaj mieliśmy wpłynąć.

Kiedy ludzie wypytyją o Grenlandczyków, czy byli szczególnie nieustraszeni, skoro zdecydowali się osiąść tuż przy lodowych pustkowiach Bjarmalandii, odpowiadam zazwyczaj, że lękali się tylko jednej rzeczy na tym świecie, a mianowicie zamarnięcia portu. Bez dostępu do niezamarzającego morza byli skazani na śmierć. Dlatego gospodarstwa wokół Osady Zachodniej leżały bliżej ujścia fiordu, niż to było w Brattli, tak aby mogli łatwiej przeciągnąć swoje byrdingi na skraj lodu skuwającego przybrzeżne wody. Kierowaliśmy naszą dziobnicę w głąb tego, co Grenlandczycy zwą Selfjorden, czyli Foczym Fiordem, przy którym łowcy zawsze się zatrzymują, zanim wyruszą na północ. W tym miejscu mój imiennik, Torstein, posiadał jedno ze swych

gospodarstw. Był synem Eryka, uważanym za ojcowskiego ulubieńca. Drugie z jego gospodarstw leżało o kilka rzutów kamieniem od Brattli, ale podobnie jak ojciec, nie potrafił dogadać się z Tjodhild, więc przebywał najczęściej w północnej zagrodzie. Mieszkał tu również Tore Bursztyn. To z nim należało rozmawiać, jeśli przybywało się na Grenlandię, by kupić skóry fok i kły morsów.

Dla łowcy te fiordy jawiły się jako znacznie zasobniejsze niż fiordy dalej na południe. Powiadają, że gdy Grenlandczycy wpłynęli do Selfjorden, wylegiwało się tam tak wiele fok, że schodząc na ląd, człowiek się o nie potykał.

Zobaczyliśmy pierwsze oznaki życia zaledwie w odległości kilku strzałów z łuku od ujścia fiordu. Tu i tam zauważyliśmy drewniane bale poukładane w poprzek stosów kamieni, niczym zręby małych domków. Początkowo nie rozumieliśmy, co to takiego, i pamiętam, że dziwiliśmy się z bratem, że pozwalają tu niszczyć takiemu dobremu drewnu. Potem dowiedzieliśmy się, że zimą Grenlandczycy kładą łodzie na tych balach, aby kadłuby nie przymarzły do ziemi.

Przedziwna cisza panowała nad wzgórzami, kiedy wpływaliśmy w głąb fiordu. Nie dostrzegliśmy żadnego morskiego ptactwa, wiatr ucichł, tafla wody znieruchomiała. Miałem krzyknąć rozkaz „do wiosł”, gdy nagle Halvor spostrzegł coś na brzegu.

– Tam! – zawołał. – Tam ktoś jest!

Postać, którą zauważył, stała tuż przy głazach nad wodą. Początkowo założyliśmy, że to mężczyzna, ale gdy zmieniwszy kurs, podszedłem bliżej lądu, okazało się, że to kobieta. Miała w ręku ościę i była kompletnie naga. Nie usłyszała nas, ponieważ bezgłośnie prześlizgiwaliśmy się po tafli fiordu. Wzrok miała wbity w wodę, rękę trzymającą ościę wzniesioną do rzutu. Grenlandczycy używają rybich dołów, kamiennych pierścieni, które układają w płytkiej wodzie i w których ryby zostają odcięte, kiedy morze cofa się podczas odpływu. Właśnie przy takim dole stała. Na pokładzie nie padło ani jedno słowo. Widzieliśmy, że to dziewczyna, ale na pierwszy rzut oka można było ją wziąć za młodego chłopaka. Miała wąskie biodra i małe piersi, częściowo ukryte pod długimi mokrymi włosami. Chociaż nogi i ręce miała szczupłe, widzieliśmy napinające się mięśnie, gdy nagle spostrzegłszy nas, wycofała się na suchy brzeg. Jej ubranie leżało na kamieniu, ale nie podniosła go, tylko ścisnęła w garści ościę, nie spuszczać z nas oczu.

Mężczyźni zdali sobie sprawę, że mają przed sobą kobietę, i zaczęło się w nich gotować. Nie uszło to uwadze Sigrid, która stała tuż przy mnie z dzieckiem na ręku.

– Nie spuszczaaj oczu z dziobnicy – powiedziała. – Nie chcemy chyba uderzyć w dno.

Opuściliśmy reję i żagiel i dalej płynęliśmy tylko na wiosłach. Wkrótce dostrzeegliśmy zabudowania na północnym brzegu fiordu, gromadzili się tam z wolna mieszkańcy. W głębi wznosiło się kamieniste, nieurodzajne zbocze. W wielu miejscach spod torfu wystawała naga skała. Naliczyliśmy cztery knary na brzegu, stały, cumując dziobnicami skierowanymi ku lądowi. Na zboczu dostrzeegliśmy dziewięć domów. Wyglądały na zbudowane z torfu, kamienia i dryfujących bali; były częściowo wpuszczone w ziemię.

Przez jakiś czas przyglądaliśmy się ludziom zebranym nad brzegiem. Nikt z nich nie wyglądał zbyt przyjaźnie. Trzymali w garści łuki i włócznie i z ich strony nie padło żadne pozdrowienie. Stali tam zarówno mali, wąskoocy ludzie, tacy sami, jakich widzieliśmy w Brattli, jak i tacy jak my. Wielu wąskookich było prawie nagich, jedna z kobiet karmiła piersią dziecko.

Zapytałem seidkonę, czy to Osiedle Zachodnie, a ona skinęła głową, ale nie miałem przecież pojęcia, czy zrozumiała, o co pytałem.

– Musimy zejść na ląd – rzekła Sigrid. – Ale nie idź pierwszy, Torsteinie. Poślij kogoś, kto nie ma dzieci.

Zdawaliśmy sobie wszyscy sprawę z tego, że prędzej czy później musimy dostać się na ląd. Trzeba było napełnić beczki wodą, przydałoby się też kilka kóz i świń, jeśli mieli tu takie zwierzęta. Przydałoby się też porozmawiać z kimś, kto popłynął do zachodnich wysp. Najchętniej zabrałbym na pokład kogoś, kto miał już za sobą taką żeglugę. Po drodze z Brattli wpadłem na pomysł, że gdyby znalazł się tu jakiś niewolnik, który był kiedyś na zachodzie, kupiłbym go. Na zachodzie dostałby wolność, a także kawałek ziemi.

Ze mną było tak, że często popadałem w zadumę, więc mężczyźni na statku sądzili zapewne, że nie do końca wiem, co robić. Taki hovding wystawia cierpliwość swoich ludzi na ciężką próbę. Nagle usłyszałem głośny plusk. To Halvor zrzucił z siebie

tunikę i wyskoczył.

Nie spuszczaaliśmy oczu z płynącego Halvora. Wkrótce wyszedł na brzeg, a Grenlandczycy otoczyli go ze wszystkich stron. Jeden z nich szturchnął Halvora włócznią, na co ten zareagował, wyszarpując mu broń z ręki. Już miałem wyskoczyć za burtę, by przyjść Halvorowi z odsieczą, gdy przy jednym z torfowych domów pojawiła się jakaś postać. Człowiek miał na sobie płaszcz z baraniej skóry, był stary i posiwiasty.

– Leif?! – zawołał. – Czy to ciebie tam widzę?

Wtedy ludzie na plaży odstępili od Halvora.

– Schodźcie na ląd. Nie stójcie tam! – zawołał starzec.

Bjørn, Valp, Hutten i ja opuściliśmy łódkę na wodę, a następnie przytroczyliśmy topory do pasa i powiosłowaliśmy w stronę lądu. Starzec zszedł na brzeg i czekał, opierając się na długim kijem, a kiedy wysiedliśmy z łódki, zapytał ponownie:

– Czy to ty, Leif? Powiedz coś, drogi chłopcze.

Pojęliśmy, że to Eryk Rudy. Kiedyś pewnie był dumny i silny, ale teraz stał przed nami znużony, nieszczęśliwy człowiek. Miał zmętniałe oczy i prawdopodobnie tracił wzrok.

– Nie... Ty nie jesteś moim synem. – Wskazał na mnie kijem. – Masz ciemniejsze włosy. Czy jesteś jednym z moich wrogów z Islandii? Przyłynąłeś dopełnić zemsty?

– Nie – zaprzeczyłem. – Nie przybyłem tu dla zemsty. Na imię mi Torstein.

– Mam syna o imieniu Torstein.

– Nie jestem twoim synem. Pochodzę z Vingulmorku, a mój ojciec nazywał się Tormod.

Eryk opuścił wzrok.

– Miałem nadzieję, że to Leif wrócił.

– Nie znamy twego syna – wtrącił się Halvor. – Jeśli jednak go spotkamy, poprosimy, by wrócił.

Eryk zacisnął obie dłonie na kijem. Zadrżały mu kąciki ust, odwrócił się i powędrował w stronę swego domu na wzgórzu.

Kolejne dni spędziliśmy w Selfjorden i nie mogę nic rzec ponad to, że tamtejsi

mieszkańcy okazali się gościnni i przyjaźni. Gdy przekonali się, że nie przypłynęliśmy, by pobrać podatki i że na pokładzie nie ma żadnych mnichów, odłożyli łuki i włócznie, a niejeden zajrzał do nas, pytając, czy mamy wieści z Norwegii. Pomogli nam przechylić statek silnie na bok, tak byśmy mogli wymienić klepkę, która pękła, gdy wpłynęliśmy w pas dryfującej kry przy wschodnim wybrzeżu. Dali nam też oleju z foki, byśmy nasmarowali nim żagiel. Dopilnował tego Eryk Rudy. Dowiedzieliśmy się, że nielojalność żony, jej nawrócenie się na wiarę Białego Chrysta pozbawiło go chęci do życia. Mówiono, że niemal w ciągu jednej nocy stał się starym zmęczonym człowiekiem. Chciał jednak dopilnować, byśmy bezpiecznie dotarli do wysp na zachodzie. Mieliśmy przywieźć przesłanie Leifowi i jego ludziom, którzy tam osiedli i od dłuższego czasu nie dawali znaku życia. Dostaliśmy okazałe wiązki suszonych ryb, trzy beczki małych cebulek, angelikę, rzepę oraz jakieś zioła, które mieszkańcy Osiedla Zachodniego hodowali w szczelinach i zagłębieniach i wszędzie tam, gdzie znaleźli trochę gleby. To nie były rośliny znane nam z Norwegii, ale zdaniem Grenlandczyków nadawały się zarówno dla zwierząt, jak i dla ludzi. Ponadto załadowaliśmy na statek pęczki jarmużu i rdestu, gwiazdnicy, wydmuchrzycy i porostów. Porosty należało zmieszać z suszonymi czerwonymi glonami i pomielić; zobaczymy, że owce będą się tym zajadać, jakby to była najzwyklejsza i najsoczystsza trawa. Jeśli się zastanawiacie, do czego nam była potrzebna pasza dla owiec, skoro żadnej nie wieźliśmy ze sobą, mogę wam powiedzieć, że ludzie Eryka dali nam piętnaście maciorek i jednego tryka. Pięć samic było dla Leifa, resztę mogliśmy zatrzymać. Dostaliśmy również dwanaście młodych kóz. Były zdrowe, o czystej sierści i nie śmierdziały zbyt mocno. Mogliśmy zatrzymać wszystkie, ale w zamian mieliśmy dać Leifowi kilka kozłaków z przyszłorocznego miotu.

Oznaczało to dużą ofiarę ze strony mieszkańców fiordu, ale dowiedzieliśmy się, że tak postanowił Eryk, głównie chcąc wesprzeć syna. Jeden z jego ludzi, który pomógł ze zwierzętami, wspominał, że Eryk nie całkiem polega na zdolnościach Leifa do hodowli zwierząt i uprawy ziemi; żaden z niego materiał na chłopca. Korzystnie byłoby zatem, żeby na tamtejszych wyspach powstała inna osada, która mogłaby mu pomóc, gdyby zbiory się nie udawały lub jagnięta nie przychodziły na świat.

Dostaliśmy także kilka cebryków z ziemią. Zasadzono w nich rzepę, jarmuż i podagrycznik. Gdybyśmy mieli szczęście i zanim nastaną mrozy, znaleźli miejsce, w którym moglibyśmy się osiedlić i zacząć uprawiać ziemię, moglibyśmy korzystać ze zbiorów jarmużu aż do Miesiąca Ssania Szpiku [31](#), a może nawet do vinterblot.

Woda w Osiedlu Zachodnim była chyba najlepsza, jaką kiedykolwiek piłem, i napełniliśmy nią beczki, dostaliśmy również kilka baryłek wina, czego nie spodziewałem się znaleźć na tak dalekiej północy.

Eryk podarował nam lampę glinianą, którą można było powiesić pod powałą, z trzema otworami na knoty. Bjørn orzekł, że przecież żaden człowiek nie zapaliłby naraz trzech knotów, i pokręcił głową z dezaprobatą. Jednak ja zrozumiałem, co starzec miał na myśli. Tylko zamożny człowiek pali więcej oleju, niż potrzeba. Eryk mógłby równie dobrze powiedzieć, że jego zdaniem wzbogacimy się na zachodzie. Wielu mieszkańców osady zaglądało do nas na statek i dowiedzieliśmy się od nich, że są trzy rodzaje towarów, na których możemy dobrze zarobić: drewno, żelazo i smoła. Nie znajdzie się ich na Grenlandii, a i na Islandii było tego niewiele. Jeślibyśmy rozpoczęli wycinkę drzew i wytop żelaza oraz pędzenie smoły, to Eryk, a także inni ojcowie okolicznych rodów, dopilnowaliby, abyśmy dostali godziwą zapłatę w kłach morsów, rzemieniach z foczej skóry, wielorybim oleju, fiszbinie. Żeglując z tym na wschód, moglibyśmy się bardzo wzbogacić. Sam Eryk stracił zainteresowanie bogactwem, a na Islandię wracać nie mógł. Poprzednim razem, gdy po trzech latach wygnania pojawił się, by wziąć ze sobą osadników, został niemal zabity.

Ja wolałem nie wypytywać o tę historię z wygnaniem Eryka, wychodząc z założenia, że co się stało, to się nie odstanie; na własnej skórze doznałem, czym jest ucieczka po zabiciu człowieka. Halvor jednak zszedł pewnego wieczoru na ląd i popijał piwo u osadnika o imieniu Torri, a gdy sporo wypiwszy, wrócił statek, powiedział, że Eryk Rudy miał opinię bardziej wybuchowego, okrutnego i mściwego, niż to przynosi chwałę mężowi. Co prawda, miał w młodości rude włosy i brodę, ale przydomek wziął się od tego, że wpadał w taką złość, że policzki nabierały krwawej barwy, a walcząc, czynił to z takim zapałem, że w jego oczach pojawiały się krwiste plamki. Zdarzyło się kiedyś na Islandii, że niewolnicy Eryka wywołali lawinę, która zeszła na łąkę sąsiada, co doprowadziło do kłótni między nim a Erykiem. Eryk zatłukł

go drągiem, co z kolei stało się przyczyną krwawego konfliktu między oboma rodami. Mąż, na którego wołano Hrafn Holmgange ³² najechał Eryka z zamiarem pozbawienia go życia, ale Eryk ubił i jego. Za to został skazany na wygnanie ze swej posiadłości. W kolejnym roku znów wdał się w sprzeczkę, opowiadał Halvor, tym razem z powodu słupków tronowych, które pożyczył niejakiemu Torgestowi, a których tamten mu nie oddał. Eryk upił się i pojechał do rzezonego Torgesta, gdzie – jak mówią – najpierw nasikał do paleniska, po czym zabrał się do związywania owych słupków, bo miał zamiar objuczyć nimi swojego konia. Wówczas domownicy Torgesta rzucili się na Rudego, co niezbyt się mu spodobało, więc chwycił topór i zarąbał dwóch synów gospodarza i paru innych mieszkańców gospodarstwa. Po tym wydarzeniu wyjęto go spod prawa i skazano na opuszczenie Islandii.

Nie mam pojęcia, czy to, co Halvor opowiadał, było prawdą. Wydawało się mało prawdopodobne, żeby Islandczycy pozwolili mu się wykroczyć wygnaniem po tylu zabójstwach. Jednak coś w opowieści Halvora mnie zastanowiło. Zanim Eryka przezwano Rudym, był znany jako Torvaldson. A to imię już wcześniej słyszałem. Svartur z Jutlandii wspomniał, dlaczego opuścił Islandię i osiadł w królestwie Svena Widłobrodego. Otóż wplątał się w konflikt z mężem zwanym Erykiem Torvaldsonem.

Gdy Halvor udał się na spoczynek tego wieczora, ja długo stałem, trawiąc jego opowieść. Historia Eryka, chociaż wydawała się szalona, nie była zbyt odmienna od mojej. Obaj zostawiliśmy po sobie krwawe ślady. A teraz i ja byłem wyjęty spod prawa na Islandii. Podobieństwa jednak się na tym kończyły. Stary może i był tutejszym hovdingiem, ale jakie szczęście mógł odnaleźć w wodzowskiej władzy, skoro nie miał przy sobie ani żony, ani synów?

Ludzie mówią o Grenlandii, że to bezbożna kraina. Leży na tak odległych morzach, że nawet Odyn nie jest w stanie jej dostrzec. Jeśli pozeglujesz na północ, mając grenlandzkie wybrzeże po prawej burcie, dotrzesz do fiordów, gdzie Grenlandczycy wyprawiają się na morsy. Kły tych zwierząt są warte wiele srebra, człowiek może się wzbogacić, kupić ziemię i stada za to, co zarobi na połowach jednego tylko lata. Z kłów morsa Skrælingowie wycinają małe figurki kobiet i mężczyzn i słyszałem, że mogą w nie złapać twoją duszę lub zadać ci ranę, która nigdy się nie zagoi, jeśli nazwą

figurkę twoim imieniem i wbiją w nią nóż.

Nie miałem nigdy skłonności do przesądów i jeśli chcesz znać moje zdanie, to takie plotki były pewnie rozsiewane przez otoczenie Eryka, by utrzymać łowców z Norwegii na dystans. Chcieli mieć tutejsze fiordy dla siebie, chyba że ustawiliś na tamtejszej ziemi zręby swego domostwa. A jeśli tak uczyniłeś i nazwałeś się Grenlandczykiem, trudno było o lepszego hovdinga niż Eryk Rudy; mówiono, że jest zarówno szczodry, jak i mądry.

W tamte dni głównie przebywałem na statku. Zwierzęta były na lądzie, a załoga poszła w góry i penetrowała głębię lądu, w każdym razie miejsca, do których mogli dotrzeć bez pozostawiania na nocleg. Osoby mi najbliższe trzymały się w pobliżu statku i pamiętam, że dużo wtedy rozmawiałem z Bjørnem. Nie lubił mówić o przeszłości, ale domyślałem się, że narodziny mego synka obudziły w nim złe wspomnienia. Gdy Sigrid siedziała z dzieckiem przy piersi, w jego oczach pojawiał się bolesny wyraz. Jego córka była daleko stąd, w kraju Wendów, u naszych dawnych towarzyszy broni.

Ból jest częścią każdego mężczyzny i każdej kobiety. Wszyscy mamy blizny. Ludzie mówili, że najchętniej przebywam na pokładzie, bo kuleję, i być może było w tym ziarno prawdy. Nie powłóczyłem nogą zbyt mocno, nikt nie nazwałby mnie kaleką, ale żaden ze mnie był biegacz.

Jak na hovdinga Eryk Rudy mało się pokazywał. Czasami pojawiał się między domami, a kilka razy widzieliśmy go przy wyciągniętych na brzeg byrdingach i skórzanych łódkach, ale potem człapał z powrotem w górę zbocza. Znikał zawsze w tym samym niskim torfowym domu. Wieczorami dobiegało stamtąd złociste światło, choć moi towarzysze twierdzili, że starzec pewnie siedzi w samotności. Skjalm zakradł się tam kiedyś i nasłuchiwał. Ze środka dochodził głos Eryka. Mamrotał niezrozumiale jak nierozgarnięty, w końcu zaczął jęczeć, przyzywać Odyna i Frigg, po czym zamilkł.

Postanowiliśmy z bratem pójść na zbocze i porozmawiać ze starym. Przed wyruszeniem musieliśmy wiedzieć wszystko, co człowiek powinien wiedzieć

o wyspach na zachodzie. Bjørn również słyszał o berserkowych szaleństwach popełnionych przez młodego Eryka na Islandii i podejrzewał, że stary nagle mógł wpaść we wściekłość i rzucić się człowiekowi do gardła, ale gdyby miało do tego dojść, dalibyśmy radę go powalić. Zbliżywszy się do domu, zatrzymaliśmy się przed wejściem, nasłuchując, lecz we wnętrzu panowała kompletna cisza, jedyne, co słyszeliśmy, to podmuchy wiatru nad fiordem i kilkoro dzieci bawiących się na brzegu. Weszliśmy w półmrok. Podobnie jak w innych grenlandzkich domach, w środku nie było stołu. Wzdłuż ścian stały ławy, zdaje się wykonane z uszkodzonych desek okrętowych. W klepisku wygrzebano zagłębienie, tak że mogłeś usiąść na wymoszczonym foczą skórą brzegu jak na ławie, a przy stopach znajdował się jeszcze jeden głębszy dołek, w którym tliło się torfowe ognisko. Wewnątrz czuć było wymiocinami i starym potem. Eryk siedział na foczych skórkach i nie zwracał na nas uwagi. Obok niego leżał jakiś człowiek z otwartą raną na piersi. Eryk położył dłoń na łydce rannego i chrząknął.

– Czekamy – rzekł. – Gudri tu była. Seid śpiewała i dała moc memu druhowi.

– Co mu jest? – zapytał Bjørn.

– Skrælingowie trafili go strzałą w pierś – wyjaśnił starzec. – Próbowaliśmy ją wyciąć. Grot jednak został w środku.

Bjørn pociągnął mnie za rękę i wyszliśmy.

Resztę dnia spędziłem na statku, staliśmy teraz na kotwicy, o rzut kamieniem od brzegu. Siedziałem obok Sigrid, która zaczęła swoją robótkę tabliczkową o górną listwę nadburcia i była zajęta tkaniem krajki, jaką miała być obszyta pierwsza tunika Ravntora. Wzór był prosty, ale piękny. Ponieważ nie mogliśmy znaleźć liści i kwiatów używanych przez kobiety do wytwarzania kolorów stosowanych w takich tasiemkach, Sigrid wplatała nić z ciemniejszej wełny w tło ze zwykłej białoszarej wełnianej włóczki, ciemna nić tworzyła rządki fal. Rozmyślałem o tym, że Sigrid ani się nie skarżyła, ani się ze mną nie kłóciła, co – jak słyszałem – kobiety nieraz robią. Obiecałem jej dom, który mogłaby nazywać swoim, a jedyne, co jej dałem, to miejsce na statku podarowanym mi przez króla, którego się bała i pewnie nienawidziła; króla, któremu przywieziono ją jako niewolnicę.

Wieczorem wybrałem się łódką na ląd i przeszedłem się po okolicy z Bjørnem i Eysteinem. Wzięliśmy ze sobą Vingura i Fenrego. Psisko bawił się wodorostami nad brzegiem, a koń skubał trawę. Eystein wskazał Fenrego i powiedział, że ten nicpoń jest już ze mną dość długo, czyż nie od czasów, gdy byłem niewolnikiem w Skiringssalen? Przytaknąłem ruchem głowy; właśnie tam go znalazłem. Minęło osiem lat i Fenre nie był już młody.

– Nieźle – dodał Eystein. – Dożyć takiego wieku, będąc psem o trzech łapach. Ale też i troszczył się o niego, Torsteinie. – Rudobrody wziął mnie za ramiona i lekko potrząsnął. – Troszczysz się o swoich, Torsteinie. Dlatego idziemy za tobą.

Dobrze było usłyszeć te słowa tamtego wieczora i na swój sposób trwały one przy mnie, gdy powróciliśmy nad brzeg i spotkaliśmy starego hovdinga. Eryk miał na sobie długi do kolan niebieski płaszcz obsyty białym futrem, chociaż wcale nie było zimno, na nogach miał buty z foczej skóry, włochate, wełniane owijacze wokół łydek, a na głowie białą, futrzaną czapkę. Słońce schowało się za zaokrąglony szczyt po zachodniej stronie fiordu. Na Eryka i jego ogorzałą twarz padła złocista poświata i nagle ujrzeliśmy go takim, jakim musiał być za młodu. Nieszczerólnie wysoki, ale miał w sobie coś, co widywałem tylko u królów i znamienitych wodzów – tę szczególną stanowczość; nigdy nie rzucał słów na wiatr.

– Wiosłujcie na statek – rzekłem. – Jeszcze chwilę tu zostanę.

Bjørn i Eystein nic nie odpowiedzieli. Eystein zdjął pętlę z karku Vingura i wszedł razem z moim bratem do łódki, a ja zostałem na brzegu, sam na sam ze starcem. Stał i zmrużonymi oczami obserwował fiord, potem zerknął na Fenrego, który przysiadł obok moich stóp. Wydawał się znacznie bardziej zainteresowany psem niż mną. Chyba dostrzegłem pod jego wąsem ślad uśmiechu, gdy tak stał, patrząc na Fenrego, ale pewności nie miałem, bo reszta twarzy starego wodza była poorana bruzdami i przygnębiona. Niektórzy mężczyźni tacy są, na swój sposób sztywniejają im czoła i okolice oczu. To jest coś, co my, Norwegowie, nazywamy bruzdami zimowych wieczorów. Zmarszczki, których dostajesz od siedzenia ze swymi zmartwieniami w długie zimowe wieczory, są jakby w ludziach wyryte. Eryk Rudy miał taką twarz.

– Torstein Tormodson? – odezwał się. – To ty tam stoisz?

– Tak – odparłem.

– Jesteś hovdingiem dla tych ludzi – rzekł cicho, a ja nie do końca wiedziałem, czy to było z jego strony pytanie, czy stwierdzenie.

– Tak mnie nazywają.

Eryk rzucił mi spojrzenie swoich szarych zmatowiałych oczu, po czym nagle wyprostował się i podszedł do mnie z wyciągniętą ręką.

– Dziękuję, że przywiozłeś tu Gudri. – Odnalazł moją dłoń i ją uchwycił. Drugą rękę położył mi na przedramieniu.

– Gudri ... To ta seidkona?

Eryk kiwał głową, wciąż ściskając moją dłoń. Słabeuszem nie byłem, ale ten starzec miał najsilniejszy uścisk, jaki kiedykolwiek czułem.

– Jeśli nie podała wam swego imienia, to oznacza, że na statku są ludzie, którym nie ufa. Zdradza swoje imię tylko wówczas, gdy ufa tym, którzy ją otaczają. Tak już z nią jest. Jest półkrwi. Jej matka była z ludu Skrælingów.

Nagle puścił moją rękę, zaczął ciężko oddychać, wbił spojrzenie w ziemię i wyglądało na to, że opuściły go siły.

– Moja żona... Spotkałeś ją?

– Tak – potwierdziłem.

– I mnicha?

– Jego też.

Eryk splunął na ziemię.

– Wąż wpełzł mojej żonie w mózg. Leży tu... – Dotknął ucha. – Tuż obok i szepce jej o Białym Chryście i grzechu. Mnie odtrąciła. Ale co gorsza, odtrąciła też wszystkie swoje dzieci, wszystkie z wyjątkiem Leifa. – Zaciśnął pięści i patrzył przed siebie. – Matka, która nie chce znać swoich dzieci, co to za matka?

– Nie wiem – odparłem.

– Nie wiesz?

– Może niedobra – dodałem.

Uśmiezek pojawił się na jego twarzy, jakby chciał wybuchnąć śmiechem, ale się powstrzymał. Stał tak przez chwilę, po czym wskazał na mnie zakrzywionym palcem.

– Gauk Hakason, jeden z tych, którzy byli ze mną od samego początku, zjawił się

u mnie. Rzekł, że masz to samo spojrzenie, które ja miałem wtedy, kiedy tu po raz pierwszy przybyliśmy. Sądzi, że jesteś ścigany. Uchodźca. Taki, jakim ja byłem.

– Może i tak się rzeczy mają. Byli ludzie, którzy nastawali na moje życie.

– Dlaczego? Co takiego zrobiłeś?

– Walczyłem pod Svolder.

– Słyszałem o tej bitwie – rzekł Eryk. – To tam zabito Olafa Tryggvasona?

– Tak.

– Tamten statek. Mówią, że dostałeś go od Svena Widłobrodego. Po jego stronie walczyłeś?

– Tak było. A statek dostałem... bo nie zawiodłem.

– Cieszę się, żeście uśmiercili norweskiego króla. Olaf Wronia Kość był rabusiem. Obawialiśmy się, że przyśle tu swoich ludzi. Ale jedno musisz wiedzieć: mój syn Leif popłynął do Norwegii i go spotkał. Olaf go ochrzcił. Nakłonił Leifa do obietnicy, że ten mu znajdzie kraj na zachodzie.

Stary stał przez chwilę ze wzrokiem wbitym w ziemię, widać było, że to go gnębi. Fenre nad wodą grzebał w wodorostach. Wieczne słońce nakreśliło świetlany pas sięgający aż do knary. Dostrzegłem tam Sigrid z dzieckiem przy piersi. Obserwowała mnie.

– Nie należy za wiele mówić o tym, co było – odezwałem się. – Na statku, gdy stoję u steru, trzymam wzrok na morzu, ponad dziobnicą, a nie z tyłu.

– Słyszę, że jesteś człowiekiem morza. To dobrze. Takich nam tutaj trzeba. Ale nie zapominaj o ziemi pod stopami, Torsteinie Tormodsonie.

Na rei zawieszono podarowaną przez Eryka lampę. Żagiel zdjęto, bo musieliśmy przejrzeć każdy szot i każdy pojedynczy szew, natomiast reję umieszczono na podporach na śródkręciu, wzdłuż osi kadłuba. Na niej rozwieszono koszule, tuniki i koce, by wyschły. Lampy jeszcze nie zapalano, wciąż było jasno. Wisiała jednak. Taka lampa bogacza dodawała nam splendoru, nawet jeśli nie zapaliliśmy knotów.

– Dowiedziałem się, że masz kobietę. I dziecko? Twój przyjaciel Halvor mi powiedział.

– Zgadza się – potwierdziłem, po czym ponownie obróciłem się ku starcowi. – Znasz zachodni kurs? Wiesz, którądy powinniśmy przepłynąć morze?

Eryk wyprostował się i mrużąc oczy, patrzył w stronę zanurzającego się w głębinę słońca.

– Tędy. W stronę zachodu słońca.

– To wszystko?

– To wszystko, co wiem. Jestem starym człowiekiem. Nie byłem tam, na zachodzie. Mój syn prosił, żebym mu towarzyszył. I pewnie bym wsiadł z nim na statek, gdybym się nie pośliznął i nie zranił nogi.

Starzec dotknął nogi, jakby go wciąż bolała. Skierowałem wzrok na morze.

– Potrzebny nam punkt orientacyjny. Odnoga fiordu, góra, coś takiego. Jakieś miejsce, skąd można by płynąć prosto na zachód i mieć pewność, że się trafi na dobry ląd.

– Nie znam żadnych punktów. Ale tam jest dobra ziemia, wierzę w to. Zdobądźcie dla mnie drewno i rudę, a ja wam zapłacę kłami morsów i skórami fok. Nie będę cię jednak okłamywał, Torsteinie Tormodsonie. Na zachodzie czyhają niebezpieczeństwa. Są tam Skrælingowie, którzy sączą śpiewem szaleństwo w ludzkie umysły, są draugury i haugfolk, lud z wnętrza wzgórz [33](#), a także ludzie polujący na innych ludzi, by ich pożreć.

Miało się wrażenie, że starzec popadł w swego rodzaju otępienie. Stał, trząsł głową, a usta nie przestawały wypowiadać słów, jakby nie śmiał mówić o wszystkich okropnościach czających się na zachodzie, ale jednak musiał pozwolić słowom w jakiś sposób wyśliznąć się z ust.

– Niebezpieczeństwa istnieją wszędzie – powiedziałem, lecz zacząłem się nad tym zastanawiać. Ogarnąłem wzrokiem otaczający mnie krajobraz. Był znacznie bardziej jałowy niż Brattli. Mimo wszystko żyli tu ludzie. Czy moglibyśmy się osiedlić nad tym fiordem? Czy mógłbym tu stworzyć Sigrid i synkowi dobre życie? Zresztą zastanawiałem się nad tym w każdym miejscu, w którym schodziliśmy na ląd. Oczywiście moglibyśmy osiąść nad tutejszym fiordem, ale sytuacja była podobna jak w pozostałych przypadkach: rządził tu inny hovding.

– Powiedziano mi, że na pokładzie masz wielu mężczyzn, lecz tylko kilka kobiet. Potrzeba ci kobiet, jeśli twój lud ma mieć jakąś przyszłość.

– Mieliśmy nadzieję, że znajdziemy kobiety po drodze – rzekłem i od razu zdałem

sobie sprawę, że to zabrzmiało bezczelnie. – Niewolnice – dodałem. – Mamy trochę srebra. Możemy zapłacić.

– I masz nadzieję, że urodzą twoim mężczyznom dzieci?

– Być może – powiedziałem.

Stary pokręcił głową.

– Nie mamy niewolnic, które moglibyśmy odsprzedać. Wszystkie te, które przybyły ze mną z Islandii, są teraz matkami, to samo dotyczy ich córek, które już nie są dziećmi. Ale pošlę z tobą kogoś, kto zna drogę. Kogoś, kto popłynął z Leifem.

– Kogoś, kto zna drogę? – Spojrzałem na niego. – Był tam? Na zachodnich wyspach?

– Popłynął z Leifem, ale wrócił z moim drugim synem, twoim imiennikiem. Leif został w Winlandii. Ten człowiek jest przybranym ojcem Leifa, Tyrke mu na imię. Był moim niewolnikiem, kiedyś, dawno temu. To dobry człowiek. Poprosi Leifa, by wrócił do nas do domu.

Zaskoczyło mnie to. O czymś podobnym nigdy nie słyszałem. Eryk Rudy zrobił niewolnika przybranym ojcem swego syna. Trudno było coś takiego pojąć. Musiało być coś szczególnego w tamtym człowieku.

– Posłałem po niego. Powinien przybyć tu jutro.

Ponownie odszukałem spojrzeniem Sigrid i synka. Wszystko będzie łatwiejsze, skoro dostaliśmy kogoś, kto zna drogę przez morze. Jeśli nieobce mu były brzegi tam, na zachodzie, i szlaki morskie wokół wysp, mógłby pomóc nam omijać mielizny i mówić, gdzie można znaleźć bezpieczne porty.

– Jak rozumiem, twoi ludzie to wojownicy – rzekł cicho Eryk. – To dobrze. Jeśli udałoby ci się oczyścić zachodnie wyspy ze Skrælingów... Przyniosłoby to pożytek.

Nie odezwałem się. Nie uśmiechało mi się zabijanie ludzi, którzy byliby wobec nas przyjaźnie usposobieni, a ludzie na statku dość się już nazabijali i napłądrowali, gdy służyli jako jomswikingowie. Tamten czas minął. Podniosłem rękę i pomachałem do brata, który natychmiast przelazł przez nadburcie i ześliznął się do łódki. Eryk ponownie zamilkł, ale teraz ze wzrokiem skierowanym ku torfowej chacie, gdzie leżał ranny mężczyzna. Kiedy łódź stuknęła o przybrzeżne kamienie, a ja podniosłem Fenrego, stary nagle złapał mnie z ramię.

– Przyjdź do mego domu, zanim odpłyniecie. Mam ci jeszcze wiele słów do powiedzenia.

Tamtego wieczoru stałem przy wiosle sterowym. Miałem poprowadzić statek na nieznane morza, z własnym synem na pokładzie... To mnie teraz przerażało. Czy dam radę poprowadzić tych ludzi, którzy za mną poszli, bezpiecznie do zachodnich wysp? A gdy już tam dotrzemy, czy uda mi się wybudować zagrodę i ofiarować Sigrid bezpieczeństwo i dobrobyt, tak jak jej obiecywałem? Być może zaślepiła mnie nadzieja wzbogacenia się na drewnie i budowaniu statków? Co nam po bogactwie, jeśli rozbijemy się o skały i pójdziemy na dno albo skończymy ze strzałą Skrælingów w piersi?

Zasnąłem na tylnym pokładzie. Siedziałem oparty plecami o nadburcie, z Fenrem między stopami, ale ocknąłem się gwałtownie, słysząc uderzenia wiosł o wodę. Nie byłem sam na pokładzie, Eilef Sakwa trzymał straż na dziobie. Wskazywał palcem w kierunku brzegu. Podniosłem się i dostrzegłem płynącego łódką człowieka. Miał ze sobą plecak wypleciony z wierzbowych korzeni. Był tak okazały, że zasłaniał całego mężczyznę, z wyjątkiem dwóch krótkich rąk, którymi ten wiosłował. Wkrótce znalazł się obok statku. Obrócił łódź i siedział, zerkając w górę na nas, a Eilef i ja spoglądaliśmy w dół na niego.

– Lina – rzekł głosem dziwnie grubym i głębokim, niepasującym do tak niewysokiego człowieka. Głupie języki nazwałyby go karłem, a złe języki kimś, kto właśnie wychynął z kurhanu. Miał krótkie nogi, wąskie ramiona, okrągły brzuch, który rozpychał lnianą tunikę w kolorze ochry, a także szpakowatą, starannie wyczesaną brodę, ozdobioną srebrnymi paciorkami. Nie pierwszy raz widziałem człowieka karłowatego wzrostu. Taki ktoś przyplłynął kiedyś do nas statkiem, a ojciec wskazał go nam, wyjaśniając, że to wcale nie jest żadna istota podziemna, niektórzy po prostu takimi się rodzą.

– Co z tą liną? – dopytywał się niewyrośnięty mężczyzna.

Pospieszyłem pod maszt, odczepiłem zwój liny z włosia końskiego i rzuciłem mu. Umocował końcówkę na dziobie, a następnie wspiął się na statek. Był niespodziewanie zwinny, jak na tak niskiego człowieka. Po wdrapaniu się na pokład

zerknął najpierw w górę, na maszt, a potem w dół, do końskiej studzienki. Zdjął plecak i postawił go na pokładzie.

– Jestem Tyrke – przedstawił się. – To ja mam płynąć z wami do Winlandii.

Być może Tyrke uważał, że najlepiej wsiąść na statek nocą, żebyśmy najpierw mogli zaznajomić się z nim za pomocą słów, zanim zobaczymy, jak wygląda. Lecz letnia noc w Selfjorden była jasna i obaj z Eilefem staliśmy i gapiliśmy się jak dwa głupki, podczas gdy Fenre podszedł do przybysza i go obwąchał. Gdyby tylko stał tam w portkach i tunice, pewnie udałoby nam się zachować po ludzku, ale Tyrke odzepił jedną z dwóch skórzanych butelek, które miał przytroczone do szerokiego pasa, i pociągnął spory łyk, po czym rozpiął pas i ściągnął przez głowę tunikę. Stał półnagi z tuniką w jednej ręce, a butelką w drugiej, dając nam sposobność do napatrzenia się.

– No – rzekł w końcu. – Najlepiej napatrzcie się teraz do syta, zanim wypłyniemy. Tam, na wodnym trakcie, mężczyźni powinni trzymać wzrok na morzu i niebie, a nie na starym Tyrkem.

Teraz dotarło do mnie, że nie mówił z takim samym akcentu jak Eryk i pozostali Grenlandczycy, jego słowa miały nieco inną melodię. Ale było w nim coś jeszcze. Całe ciało pokrywały niebieskawe linie. Przypominały korzenie lub gałęzie. Wyłaniały się spod spodni i wiły do karku oraz dłoni. Sprawiał wrażenie silnego i żyłastego, chociaż był niski, a gdy podszedł i poprosił, bym mu podałem rękę, uczyniłem to i poczułem, że mała dłoń mocno ściska moje palce.

– To ty jesteś hovdingiem? Eryk wspomniał, że statkiem dowodzi młody mężczyzna kulejący na jedną nogę.

– To o mnie mowa – rzekłem.

– W porządku. – Tyrke puścił moją rękę. – Eryk poprosił, bym was bezpiecznie przeprowadził do Winlandii. Wspomniał o tym, prawda?

– Tak.

– Mówił coś jeszcze? Opowiadał o wyspach na zachodzie?

– Niewiele.

– Innymi słowy, dobrze, że z wami płynę.

Podszedł do nas Eilef.

– Ten ranny człowiek... Mówią, że zranili go Skrælingowie. Wielu ich tam, na

zachodzie?

Tyrke spojrział na niego.

– Trochę ich jest. Chociaż rzadko ich widać. Nie wiem do końca, co się przytrafiło temu, co tu leży, ale ja bardziej bym się obawiał, że mi znowu brodę wszy obleżą niż Skrælingów. Poza tym są mali. Nie tak jak ja, ale... W pewnym sensie jak dzieci. My jesteśmy dla nich olbrzymami. W każdym razie wy.

Zająłem miejsce przy wiosle sterowym. Tyrke włożył tunikę i pas, po czym zaniósł wiklinowy toból na przedni pokład, gdzie się rozsiadł, owijając kocem.

O świcie Gudri wycięła grot z piersi rannego. Obudziły nas krzyki. W pierwszej chwili chwyciliśmy za broń, bo wydawało się, że kogoś na łądzie mordują. Wtedy to do nas dotarło.

Po krótkim czasie z torfowego domu na zboczu wyszedł Eryk Rudy i stanął, wpatrując się w szary poranek.

Tego dnia przygniatająca cisza panowała w Selfjorden. Żadna łódź nie odbiła od brzegu. Dzieciaki, które przedtem boso biegały dookoła, były teraz uciszane, a młode dziewczęta zagoniono do przędzenia wełny w cieniu pod okapami domów. Eystein przebywał na łądzie i pokazywał Vingurowi najsmakowitsze kępkę trawy, bo przypuszczałem, że wkrótce wypłyniemy. Ja stałem przy nadburciu, obserwując domostwo Eryka, a gdy słońce osiągnęło najwyższy punkt na niebie, rannego wyniesiono, położono w trawie przed domem, dookoła zgromadzili się ludzie.

Przez dłuższy czas byłem przekonany, że ranny zmarł, ale Eystein poszedł na zbocze. Nie śmiał podchodzić za blisko, jednak widzieliśmy, że zamienił kilka słów z seidkoną, po czym zszedł pospiesznie na brzeg i pomachał do nas ręką. Bjørn i Halvor podpłynęli do niego łódką, lecz ich odesłał. To ze mną Eryk chciał rozmawiać.

Stary siedział na kamieniu, nieopodal rannego, i gdy nadszedłem, przesuwając zmatowiałe spojrzenie po fiordzie. Trzymał coś w dłoni. Palce były lepkie od krwi.

– Nieznajomy się zbliża? – zapytał.

– To ja. Torstein ze statku.

– Dobrze – rzekł. Mam coś dla ciebie. – Otworzył dłoń. Leżał tam grot strzały.

– Weź – rzekł.

Zrobiłem, co nakazał. Grot wyglądał na wykonany z kości. Sam takie robiłem, kiedy razem z bratem biegaliśmy po lesie wokół domu i dla zabawy strzelaliśmy z łuku. Ten jednak był starannie oszlifowany i ostry, miał zadziory.

– Jest z kości? – upewniłem się.

– Foczej kości – mruknął Eryk.

Podąłem mu grot, ale stary splunął z pogardą w trawę.

– Nie chcę go. Weź go ze sobą, hovdingu, gdy pozełgujesz na zachód.

Po tych słowach zamilkł. Zerknąłem na Eysteina, który stał na brzegu, obserwując nas. Zbierałem się do odejścia, kiedy Eryk chrząknął i raz jeszcze przemówił:

– Weź go ze sobą, nieznajomy. Jeśli spotkasz tego, kto go wystrzelił, zabij go dla nas.

Podniósł się z kamienia. Mrużąc oczy, popatrzył na rannego i na klęczącą przy nim półnagą seidkonę, po czym złapał mnie gwałtownie za ramię. Miał silny uścisk i nietrudno było zrozumieć, że za młodu musiał być z niego prawdziwy zabijaka.

– Posłuchaj mnie, Torsteinie Tormodsonie. Bądź szczodry dla swych ludzi i łagodny dla swej kobiety, a cię nie opuszczą. A gdy dotrzesz do wysp, tam, na zachodzie, nie daj się zwieść tropom jeleni i łagodnym wiatrom. Ścinaj drzewa i buduj schronienie dla ludzi i zwierząt. Wypalaj torf i rudę żelaza. Drewno i żelazo sprzedawaj nam, tu, na Grenlandii. A także na Islandii. Jeśli będziecie pracowici, możecie się zjawić z pierwszymi towarami już następnego lata. Obiecuję, że my, mieszkańcy Osiedla Zachodniego, dobrze zapłacimy.

Spod oka zerknąłem na zatokę. Knara obracała się, przytrzymywana liną kotwiczną, i po chwili skierowała dziobnicę prosto ku ujściu fiordu, jakby nie mogła się doczekać wyjścia w morze.

– Tyrke was poprowadzi do Zagrody Leifa i poprosi mojego chłopca, by wrócił do domu. Ty popłyniesz dalej. Płynięcie na południe, znajdźcie sobie fiord, który będziecie mogli nazwać swoim domem.

Ponownie przysiadł na kamieniu i nie wyglądało na to, że ma jeszcze coś do powiedzenia. Zszedłem na brzeg i powiosłowałem z Eysteinem.

W nocy pozwoliliśmy Vingurowi jeszcze pochodzić swobodnie, kolejny dzień zszedł nam na przygotowaniach do dalszej podróży. Ani Eryka, ani rannego nie było widać. Rozmawiałem o tym z Bjørnem, którego zdaniem ranny albo zmarł w nocy, albo mu się polepszyło i dlatego wniesiono go z powrotem do domu. Jak go ułożyli na zboczu, byli pewnie przekonani, że umiera, i mieli nadzieję, że walkirie tam go dostrzegą.

Następnego dnia wypłynęliśmy. Wiatr był pomyślny i zaraz po opuszczeniu Selfjorden mogliśmy podnieść reję i żagiel. Stałem przy wiosle sterowym przez cały dzień i tylko raz obejrzałem się za siebie. Było to w chwili, gdy podszedł do mnie brat i wskazał do tyłu.

– Tam znika znajomy świat – odezwał się cicho. Wszystko, czym byliśmy, wszystko, co znamy... zostawiamy za sobą.

Nie odpowiedziałem. Z dłońmi na drążku, ze wzrokiem utkwionym w fale przed dziobem knary – i z chęcią bym dodał, że nie czując strachu – wprowadziłem statek na nieznane morza. Ale prawdę mówiąc, tego ranka odczuwałem silniejsze zwątpienie niż kiedykolwiek wcześniej. Żądni zemsty poplecznicy Olafa zmusili nas do ucieczki z Danii, a potem z Orkadów. Jednak nadzieja na bogactwa, które czekają na tego, kto będzie dzielny na tyle, by pożegłować na zachód od Grenlandii, popychała nas dalej. Teraz przed nami rozciągało się szaroniebieskie morze i czy przypadkiem w podmuchach wiatru nie poczułem nadchodzącej jesieni? Tyrke oznajmił, że będziemy żegłować przez kilka dni w górę grenlandzkiego wybrzeża, a następnie on wskaże miejsce, gdzie bezpiecznie będzie przeprowić się do Hellulandii, najbardziej na północ wysuniętej zachodniej wyspy. Potem czeka nas długa żegluga w kierunku północnym wzdłuż poszarpanej linii brzegowej, aż dotrzemy do ziem Leifa.



7

Przez morze

Nie byłem znany jako człowiek skłonny do przesądów. Przez całe życie wierzyłem w dawnych bogów i historiach o Białym Chrystie, który zmieniał wodę w wino, i jego ojcu w niebie, pomagającym chrześcijanom w wygrywaniu wojen, nigdy nie dawałem wiary. Swoje bogactwo zawdzięczałem rozsądkowi, szczęśliwemu trafowi oraz wiernym mi ludziom, a o nieszczęściach, które na mnie spadły, nic innego nie potrafię powiedzieć, jak tylko to, że ludzki świat nie jest miejscem łaskawym. Jednak morze tam, na zachodzie, jest w stanie sprawić, że nawet najbardziej zrównoważony człowiek zapomni o wszystkim, czego się nauczył i co mu się wydaje, że wie.

Może dlatego tak często stałem przy sterze podczas żeglugi z Grenlandii, ponieważ dobrze było chwycić za coś konkretnego i rzeczywistego. Niedaleko od Osiedla Zachodniego Tyrke poprosiłem, bym płynął nieco dalej od lądu. Poczułem lęk i zauważyłem, że inni też to odczuwali. Wpatrywali się w fale, a panująca cisza mówiła więcej niż słowa. Kobiety zabrały dzieci pod pokład i tam pozostały.

Przez dwa dni żeglowaliśmy na północ wzdłuż grenlandzkiego wybrzeża, po czym Tyrke oznajmił, że czas obrać kurs na zachód. Radził jednak, by poczekać, aż się ściemni, a ludzie udadzą się na spoczynek. Gdy się obudzą, będziemy już na otwartym morzu. Widok znikającego lądu mógł przerazić najdzielniejszego człowieka, zwłaszcza gdy statek wchodził na nieznane wody.

Czekałem więc. Kiedy nastał wieczór, wezwałem Halvora, Eysteina i mego brata i nikt inny nie dowiedział się, że nadszedł czas, by skrócić na zachód i opuścić znany nam świat. W taki sposób rozmawialiśmy w tamtych dniach. O Islandii i Grenlandii słyszeliśmy, odkąd byliśmy małymi chłopcami, i nigdy nie mieliśmy wątpliwości, że istnieją. Jednak z Marklandią i Winlandią było inaczej. Te nazwy wciąż jeszcze w naszych uszach brzmiały, jakby wyjęte z dawnych podań, a gdy nad grenlandzkim wybrzeżem zapanowała noc, statek pod moimi stopami zdawał się zbyt wielki, a wiosło sterowe zbyt ciężkie. Moje plany o bogactwach, które miałem zdobyć na zachodzie dzięki drewnu, wydawały się teraz niemądre. Mieliśmy się tam uwolnić od sporów między władcami, mieliśmy znaleźć ziemię, którą można orać, i torf, który można wypalać, by uzyskać rudę żelaza. Teraz wszystko wydawało się snem i niczym więcej.

W końcu jednak przesunąłem drążek steru i skierowałem statek na zachód.

Dobrze się żeglowało tamtej nocy i być może ruch statku sunącego po łagodnych falach w końcu mnie uspokoił. Wiatr i morze zachowywały się w taki sposób, że mógłbym pozwolić knarze płynąć samej, mimo to stałem z dłońmi na drążku, choćby dlatego, by czuć, jak się porusza pod moimi palcami. Miałem wrażenie, że statek jest żywą istotą, która obiecała przewieźć nas bezpiecznie przez to obce czarne morze. Nikt do mnie nie podszedł tamtej nocy oprócz Huttana owiniętego w tę swoją kosmatą oponkę. Stał przy nadburciu, w odległości kilku wysokości człowieka ode mnie i wpatrywał się w mrok.

Gdy ludzie się obudzili i wyszli na pokład, szybko zorientowali się, że zmieniliśmy kurs. Najpierw stali, przesuając wzrokiem po oceanie, i ktoś mruknął, że pozostała już tylko nadzieja, że Odyn nas widzi, bo nieznane to jest morze i nieznany los czeka

nas po drugiej stronie.

Sigrid trwała przy mnie tego poranka, kiedy trzymałem ster. Stała za mną i objąwszy moje plecy, przyłożyła mi policzek do ramienia. Długo tak stała i żadne z nas się nie odzywało. W końcu powiedziała:

– Nigdy nie zapytałeś, dlaczego wydano mnie za męża.

Nie znosiłem myśli, że Sigrid była kobietą innego mężczyzny. To było coś, o czym nie rozmawialiśmy.

– Nigdy nie pytałeś sam siebie, dlaczego matka tak zarządziła?

– Nie – rzuciłem.

– Gdy umarł ojciec...

– Nie musisz nic mówić, Sigrid. Musiała znaleźć ci dobrego męża. A tamten mężczyzna z Irlandii... Pewnie uważała, że będzie właśnie takim mężem.

– I ja tak sądziłam – powiedziała. – Ale teraz zaczęłam się zastanawiać. Ostrzegła mnie przed tobą, Torsteinie. Powiedziała, że jesteś mężczyzną, który mnie zabierze i wywiezie w odległe strony. Powiedziała, że jeśli zostanę z tobą, spotka mnie nieszczęście.

Milczałem. Morze wzburzało się coraz silniej, wiatr się wzmacniał. Bywa to trudne do zauważenia, gdy wieje od rufy, bo im gwałtowniej dmucha, tym statek szybciej się ślizga, a sternik nie czuje pędu wiatru na twarzy. Sigrid wróciła do synka, który leżał na kolanach Gislaug, przy maszcie. Czułem, jak morze kipiało pod stępką. Nadciągał sztorm.

Rozkazałem kobietom i dzieciom zejść pod pokład. My, mężczyźni, wciągnęliśmy na siebie skórzane okrycia. Potem próbowałem jeszcze przez jakiś czas sterować pod pełnym żaglem, ponieważ ciągle żywiłem nadzieję, że uda nam się uciec nawałnicy. Rzadko doświadczałem tak gwałtownego załamania pogody. Zaczęło trzeszczeć w olinowaniu i stało się jasne, że jeśli prędzej żagiel nie podrze się na strzępy, to wiatr pozrywa szoty i przewróci maszt.

Obniżyliśmy reję o kilka wysokości człowieka i umocowaliśmy szoty w paru oczkach w środkowej części prawej i lewej krawędzi żagla. Tego wolałbym uniknąć, bo żagiel utkany był tak, że niezbyt się nadawał do refowania, ale bez żagla stracilibyśmy prędkość i zaczęłoby nami rzucać na falach. Dolny lik podwinęliśmy

najlepiej jak potrafiliśmy i pędziliśmy dalej, z wiatrem prosto od rufy i falami od strony dziobnicy.

Przez cały dzień Bjørn mnie nie odstępował i we dwójkę sterowaliśmy Danem. Przyszedł też Valp, stał przez jakiś czas, trzymając się górnej listwy nadburcia i żuł kawałek suszonej ryby. Jedyne, co miał do powiedzenia na temat wiatru, to to, że szybko dotrzemy do wysp i tamtejszego drewna. Już nieraz mówił, że zrobi wszystko, byśmy stali się sławni i znani ze zdobytych bogactw, my wszyscy na statku. Pewnego dnia popłynię do domu na Rossøy, ubrany w przepyszne szaty, ze srebrną broszą wpiętą w płaszcz i opowie o nas tamtejszym mieszkańcom. Jeśli ojciec wciąż będzie wśród żywych, Valp mu rzeknie, że niczego od niego nie chce. Ani ziemi, ani kosztowności nie chce po śmierci starego.

W ciągu dnia wody robiły się coraz bardziej wzburzone. Pod wieczór fale stały się tak wysokie i ostre, że za każdym razem, gdy knara stawała na grzbiecie fal, przednia część statku zawisała w powietrzu, reszta kadłuba przechylała się, a my ześlizgiwaliśmy się w dolinę fali. Wówczas cały statek się trząsł, każdą klepką z osobna, natomiast za burtą morze sięgało tak wysoko, że niemal wystarczyło wyciągnąć ramię, by dotknąć ściany wody. Ale wtedy znowu wyносиło statek w górę, wiatr odnajdywał żagiel i pchał nas na następny grzbiet; tak trwała podróż.

Bałem się tamtej nocy. Mężczyzna żeglujący w samotności może stracić tylko swoje życie. Ja miałem znacznie więcej do stracenia. Gdyby knara zderzyła się z górą lodową lub nabrała wody i przewróciła się do góry dnem, nie zaznałbym spokoju, nawet gdybym się obudził w Helheimie lub Asgardzie. Czułbym tylko smutek i żal, bo wiedziałbym, że zawiodłem moją kobietę i dziecko, a także brata i przyjaciół.

Ci, którzy żeglowali ze mną tamtej nocy, opowiadali później, że nieustannie musieli wybierać wodę z końskiej studzienki, bo fale wciąż zalewały pokład. Vingura obwiązano linami, by nim nie rzucało.

O świcie byliśmy z bratem tak przemarznięci, że dygotaliśmy. Skórzane ubrania nie poradziły sobie z zalewającą nas nieustannie wodą i byliśmy przemoczeni do suchej nitki. Jednak gdy Hutten i Halvor wychynęli z końskiej studzienki i chcieli nas

zastąpić, odmówiłem. Jeszcze przez jakiś czas stałem z dłońmi kurczowo zaciśniętymi na drążku. Wokół nas szalała wichura, ciągle tak samo gwałtowna; nie miała zamiaru dać nam wytchnienia.

Może właśnie taka nawałnica zdmuchnęła Bjarnego Herjolfsona na zachód i uczyniła z niego pierwszego człowieka, który dotarł do zachodnich wysp. Przebyliśmy już kawał drogi i Tyrke był zdania, że wkrótce przed dziobem zamajaczy ląd. Nikt jednak nie dostrzegał niczego oprócz morza, wszechogarniającego morza.

Próbowałem odpocząć w ciągu dnia, lecz nie udało mi się zasnąć. Położyłem się pod pokładem obok Sigrid i Ravntora, przebrałem się w suche ubranie, ale nie zaznałem spokoju, więc przestałem u steru również przez większość tamtego dnia. Dopiero gdy zaczęło się ściemniać, poczułem wyczerpanie, opanowało mnie nagle. Przekazałem drążek Bjørnowi, a sam zwinąłem się w kłębek przy nadburciu. Musiałem pogрузić się w głębokim śnie, bo następnym, co pamiętam, jest statek ślizgający się po łagodnych falach. Wstaję i wszystko dzieje się jak we śnie: podchodzę do dziobu, Tyrke już tam czeka. Nie odzywa się ani słowem. Unosi jedynie rękę i wskazuje przed siebie, ale ja już to widzę: ciemna nierówna linia na horyzoncie. Ziemia.

Być może padło zbyt wiele słów o modrzewiowych lasach i polach czekających na siewne ziarno. I raczej nie byłem jedynym, który wyobrażał sobie, jak to wszystko powinno wyglądać, gdy w końcu znajdziemy się na tamtej ziemi. Mieliśmy sobie wybudować długi dom z paleniskiem i ławami dookoła, a z kuźni miały dobiegać odgłosy miecha i młota. Gospodarstwo miało leżeć nad wodą, w głębi zatoki, gdzie zarówno Dan, jak i inne statki, które mieliśmy stopniowo budować, znalazłyby osłonę przed wiatrem i falami. Przyjaznym miał być ten kraj, lato miało być długie, fiordy pełne ryb, a lasy zwierzyny.

Taka nie była ziemia, którą ujrzeliśmy, płynąc ku tamtemu wybrzeżu. Nie było żadnych drzew. Jedyne, co widzieliśmy, to sterczące kamienne grzebienie i strome uskoki. Nie było tu żadnych szkierów, żadnego miejsca, do którego moglibyśmy się zbliżyć i zejść na ląd. Wiatr zmienił kierunek, wiał prosto od dziobu, jakby sama ziemia próbowała zdmuchnąć nas z powrotem na morze.

Tyrke stanął przy mnie na tylnym pokładzie i wskazał w kierunku lewej burty.

– Trzymaj kurs na południe, hovdingu. To są góry leżące na północ od Hellulandii. Zły to jest kraj.

Przy żaglu mocno napiętym wzdłuż linii kadłuba sterowałem w kierunku, jak mi się zdawało, południowym; teraz mieliśmy wybrzeże po prawej burcie, a otwarte morze po lewej. Zapytałem Tyrkego, jak daleko trzeba żeglować, zanim będziemy mogli zejść na ląd, ale on tylko wzruszył ramionami.

Są chwile, gdy mężczyzna pyta sam siebie, czy wybory, których dokonał, były słuszne. Wielu z przebywających wówczas na Danie, kiedy wyszło na pokład i zobaczyło krajobraz przed nami, pomyślało zapewne, że lepiej było pozostać na służbie u Svena Widłobrodego albo popłynąć na południe i wrócić do Burysława. Stali, rzucając spod oka spojrzenia ku niegościnnemu wybrzeżu, a niektórzy pochylili ku sobie głowy, coś mamrocąc. Trwało to dobrą chwilę, a potem Skjalm poszedł na dziób, na miejsce, gdzie pokład był lekko podwyższony, zaczerpnął głęboko powietrza, ale zanim udało mu się cokolwiek powiedzieć, zawołałem, że zniosło nas na północ, i dodałem:

– Lepsza ziemia jest na południu!

Tego ostatniego nie mogłem wiedzieć, jednak coś powiedzieć musiałem. Załoga się uspokoiła, Bjørn przyszedł z informacją, że znów mamy słoną wodę w beczkach.

Przez całą noc i kolejny dzień posuwaliśmy się na południe wzdłuż wybrzeża, po czym wypłynęliśmy na pełne morze. Nastąpiła kolejna doba żeglugi, nim ponownie ujrzeliśmy ląd i tym razem Tyrke był zdania, że dotarliśmy do Hellulandii, a gdyby mi się udało podejść bliżej, na pewno wypatrzyłby miejsca, do których przybijał Leif. Były tu potoki i niecki z wytopioną z lodu wodą, gdzie mogliśmy napełnić beczki.

Późnym wieczorem znaleźliśmy zatoczkę i zakotwiczyliśmy w zapadającym zmroku, a o poranku mój brat był pierwszym z nas, który postawił nogę na suchym lądzie na zachodniej ziemi. Połowa mężczyzn, wszystkie kobiety i dzieci, w tym mała niewolnica, zostali na Danie, a reszta poszła za Tyrkem w głąb lądu między płaskimi

głazami i kamienistymi wzniesieniami. Drzew tu nie było, tylko rzadko rosnące krzaki wczepione w rozpadliny i szczeliny. W odległości kilku strzałów z łuku od morza Tyrke poprowadził nas na wzgórze, na którym ktoś usypał kopiec z kamyków. Nasz niewyrośnięty przewodnik podniósł kamyk i położył go na kopcu. Następnie rozluźnił pas i nasikał na stos. Mrużył przy tym oczy, wpatrując się w pokryte śniegiem szczyty w oddali.

W zatoczce spędziliśmy dwa dni. W odległości zaledwie kilku strzałów z łuku od miejsca, w którym po raz pierwszy zeszliśmy na ląd, znaleźliśmy potok, gdzie napełniliśmy beczki. Wynurzające się z nurtu okrągłe kamienie były oślizłe od glonów, a beczki ciężkie. Cud, że nikt nie upadł i nie połamał nóg. Vingur stał w końskiej studzience i tupał kopytami, ale ponieważ w miejscu, w którym cumowaliśmy, była głębia, nie mogliśmy go przeprowadzić na ląd. Udało mi się jednak przejrzeć statek. Zbadałem każdą klepkę i łączenia między nimi, sprawdziłem każdą linę i szew na żaglu. W tym czasie mężczyźni stali na wynurzających się z morza gładkich skałkach i łowili ryby, a kobiety i dzieci zbierały wodorosty, które można było domieszać do paszy. Sigrid naszyła mi nowe podeszwy na buty, użyła kawałków baraniej skóry, obracając je wełną do środka, tak że stopy miały ciepło i wygodnie.

Śladów ludzi nie spotkaliśmy, ani Skrælingów, ani nikogo innego. Na zwierzęta, oprócz ryb i morskiego ptactwa, też się nie natknęliśmy. Była to bezludna, opustoszała kraina.



Z Hellulandii żeglujesz prosto na południe, a latem masz często sprzyjające ci prądy. Gdy już tracisz z oczu pokryte śniegiem szczyty Hellulandii, powinieneś lekko odbić na południowy wschód, bo jeśli wiatr pchnie cię w kierunku zachodnim, znajdziesz się w ogromnej zatoce. My mieliśmy szczęście i przeważnie pomyślne wiatry na tym odcinku i kiedy nasz wzrok napotkał ląd, był on wciąż po naszej zachodniej stronie. Dotarliśmy do Marklandii, oznajmił Tyrke, lecz zbliżywszy się do brzegów, nie zobaczyliśmy żadnych lasów, tylko takie same kamieniste wzgórza i wcinające się w nie fiordy. Jeszcze kilka dni powinniśmy żeglować w kierunku

południowym, oznajmił Tyrke. Wtedy przekonamy się, że są tu lasy.

Słyszałem, jak ludzie źle się wyrażali o Tyrkem, i przykro mi, że będą go pamiętać jako człeka ze skłonnościami do butelki. Kogoś, kto nadaje się jedynie do tego, by siedzieć przy ognisku i bajdurzyć. Tyrke pokazał nam ląd na zachodzie i za to jestem mu wdzięczny. Mądrzy ludzie wiedzą, że nikt, nawet bogowie, nie jest bez wad. A Tyrke, karłowaty i dziwaczny, miał pewnie większe powody do picia niż większość z nas. To, że spił się natychmiast, jak tylko wdrapał się na pokład i że żaden był z niego pożytek w czasie żeglugi do zachodnich wysp, jest kłamstwem. Lecz lasy, które obiecywał, wciąż kazały na siebie czekać i wkrótce Skjaln i paru innych zaczęło pomrukiwać, że nie powinno się ufać temu „wymalowanemu karłowi”, jak go nazywali. Ale kiedy już mieliśmy za sobą cztery doby żeglugi wzdłuż Marklandii, zauważyliśmy pierwsze drzewa. Skierowałem knarę bliżej brzegu, bo Tyrke uważał, że tu są bezpieczne wody. Krajobraz był silniej spłaszczony niż na północy i nie rosły tu jedynie pokrzywione wiatrem krzaki, ale także sosny i brzozy. Zamiast wypłukanych deszczem skalnych płyt i kamienistych kopulastych szczytów mijaliśmy porośnięte lasami równiny i łagodne zbocza pokryte świerkami. Żaden człowiek, jeśli tylko może tego uniknąć, nie buduje statku ze świerku, ale przynajmniej wiedzieliśmy, że wzniesiemy schronienie na zimę. To była pierwsza rzecz, do której powinniśmy się wziąć, uważał Bjørn. Obce to były ziemie, nie wiedzieliśmy, czy zima nastaje wcześniej czy późno.

Wpłynęliśmy do jednego z licznych tam fiordów. Są one tak proste, że zdają się wykrojone przez olbrzymich siłaczy i ciągną się tak daleko, że jeśli wpłyniesz weń o zamglonym poranku, dotrzesz do końca dopiero pod wieczór. W fiordzie napotkaliśmy foki i stado małych wielorybów. Wznoszące się zbocza były zielone i urodzajne, więc mężczyźni podeszli i zapytali, czy nie moglibyśmy wziąć łuków i poszukać jakiejś łownej zwierzyny. Żywiliśmy się rybami od chwili opuszczenia Orkadów. Ba, nawet tam rzadko udawało się wbić zęby w kawałek mięsa. Zdaniem Halvora dobrze by nam zrobiło, gdybyśmy zeszli na ląd i zapolowali.

Wiosłując, doprowadziliśmy knarę na jedną z piaszczystych łach we fiordzie. Zrobiło się późno. Przenocowaliśmy na statku, nie wyprawiając się na ląd przed

nadejściem kolejnego dnia. Rano opuściliśmy się po linie, brodząc, dobrnęliśmy do brzegu i po krótkim czasie wszyscy byliśmy na plaży, zarówno mężczyźni, kobiety, jak i dzieci. Siedziałem przez jakiś czas z Fenrem, podczas gdy Bjørn i Halvor szykowali się na polowanie. Chcieli wziąć ze sobą dziesięciu mężczyzn, reszta miała pozostać przy statku; zabrali ze sobą skóry, wodę, suszoną rybę, na wypadek gdyby wrócili dopiero następnego dnia.

Fenre nie czuł się dobrze tego poranka. Położył się, jak tylko przeniosłem go na suchy ląd. Usiadłem przy nim, wziąłem go na kolana, ale właśnie przechodził obok Vidar, który mruknął, że pies jest stary, muszę zrozumieć, że wkrótce dopełni się jego czas. Nie spodobały mi się te słowa i kiedy Vidar wyruszał wraz ze swą grupką myśliwych, nie pożegnałem się z nimi.

Fenre przeleżał na moich kolanach większość dnia. Siedziałem na piasku i przez moment bałem się, że umiera, ale gdy słońce zawisło nisko nad wzgórzami, nabrał nagle energii i strząsnął z siebie starość. Pokuśtykał nad wodę, pogrzebał w wodorostach, załatwił się. Potem głośno szczerknął jeden raz i spojrzał na mnie.

Być może był po prostu smutny, bo Bjørn i jego towarzysze zabrali ze sobą sukę. Być może dostał choroby morskiej. W każdym razie wyglądało na to, że ozdrowiał. Chciałem go zabrać ze sobą na statek, ale wysliznął mi się. Zostawiłem psa w spokoju i pokuśtykałem na statek, gdzie czekała na mnie Sigrid z dzieckiem przy piersi i długim łukiem w wolnej dłoni.

– Z mężczyznami jak z psami – stwierdziła. – Chorują, jeśli im się nie da pobiegać od czasu do czasu. – Następnie podała mi łuk i głową wskazała w kierunku lasu. – Idź, mężu, poczuj grunt pod nogami.

Więcej było miłości w tych słowach, niż mogłem wówczas pojąć. Wziąłem trzy strzały, lekki toporek i jeden z tych wiklinowych koszy, które wieźliśmy ze sobą. Kobiety przymocowały do nich skórzane szelki, tak by można je było nosić na plecach. Używały ich, zbierając trawę i wodorosty dla zwierząt.

Powiadają, że dobra kobieta zna swego mężczyznę lepiej niż on sam. I tak pewnie rzeczy miały się z Sigrid, bo gdy znalazłem się w cieniu świerków nad fiordem, poczułem spokój, którego od dawna nie zaznałem. Prawie zapomniałem, że

mężczyzna może się tak czuć, mając pod stopami stały ład. Moje życie potoczyło się w ten sposób, że jedynie z wodą pod stępką czułem się bezpieczny. Ale las nad fiordem miał w sobie szczególny spokój. I był bujniejszy, niż się spodziewałem. W odległości kilku strzałów z łuku od piaszczystego brzegu biegły ślady myśliwych, kierując się w górę zbocza, ja jednak skręciłem w lewą stronę. Wkrótce znalazłem się wśród narecznic tak wysokich, że w niektórych miejscach łatwiej było przechodzić, schylając głowę, niż odsuwając liście na bok. Podłoże porastał miękki i wilgotny mech, a żyłeczki zwisały z gałęzi w kępkach dużych niczym broda starego mężczyzny. Tutejsze świerki miały igły nieco jaśniejsze niż te w domu. Z koron drzew dobiegał świergot ptaków, gdzieś pod drzewami leżały oskubane szyszki, co świadczyło o tym, że są tu wiewiórki. Śladów większych zwierząt nie zauważyłem, a tropy bez trudu można było dostrzec, bo mech rósł luźno i łatwo się odrywał pod moimi bosymi stopami. Znowu uświadomiłem sobie, że moja prawa noga nie nadąża. Słabiej reagowała, gdy miałem się odpychać, i niezbyt dobrze mi służyła w tym gęstym podszyciu. Na pokładzie rzadko mi to przeszkadzało, ale teraz dokuczało i już miałem zamiar zawrócić, gdy nagle usłyszałem cichy odgłos. Zabrzmiało jak wycie, jednak nie było podobne do niczego, co słyszałem kiedykolwiek u ludzi lub zwierząt. Fenre i ja całkowicie znieruchomieliśmy, lecz odgłos nie był już słyszalny. Fenre usiadł i podrapał się swoją zdrową, tylną łapą.

Łuk, który miałem ze sobą, zrobiłem ze szkockiego jesionu, który nabyłem na Rossøy. Niestety szkocka odmiana nie jest tak dobra jak norweska i łuk był wedle mojego gustu zbyt słaby. Rozejrzałem się za odpowiednim materiałem, bo pomyślałem, że tam, gdzie rośnie świerk, znajdą się też inne, znane mi gatunki drzew. Może udałoby mi się ściąć gałąź klonu albo wiązu. A może nawet cis udałoby się znaleźć w tym lesie, bo cisy lubią takie wilgotne, gęste od paproci ostępy.

Stojąc nieruchomo i rozglądając się, ponownie usłyszałem ten dźwięk. Już wiedziałem, że to nie zwierzę, bo ton niósł się, jakby ktoś dmuchał we flet lub róg. Wetknąłem dwie strzały między palce trzymające łuk, a trzecią nałożyłem na cięciwę. Ale nie usłyszałem ponownie tego dźwięku. Nie słyszałem też żadnych kroków, potrząsanych w kołczanie strzał czy też ciał ocierających się o paprocie i pnie drzew. Fenre grzebał w mchu i zdawał się nie zwracać na nic uwagi. Gdyby poczuł jakichś

obcych w pobliżu, stałby z ogonem na sztorc i nadstawionymi uszami.

W tamtych czasach wszystko mnie ciekawiło, jak to często bywa z młodymi ludźmi, zdjąłem więc koszyk z ramion i zacząłem przedzierać się przez gąszcz paproci ze strzałą na cięciwie i Fenrem kuśtykającym przede mną. Dźwięk wywiódł mnie ze świerkowego lasu i po chwili znalazłem się na wzniesieniu. Widziałem stamtąd tylną część knary i dwie kąpiące się dziewczynki, pewnie córki Vidara. Podczas gdy w lesie było bezwietrznie, tu czuło się podmuchy wiatru znad morza. Dźwięk fletu dochodził z terenu leżącego powyżej. Razem z Fenrem wdrapaliśmy się na grzbiet wzgórza, gdzie zauważyłem, że coś, co z daleka przypominało olbrzymi kamień, było ustawione z kilku głazów. Cztery grubo ciosane kamienne bloki, każdy wielkości mniej więcej beczki na piwo, były ustawione tak, że przestrzeń między nimi tworzyła krzyż, a górę przykrywała skalna płyta. Kolejne uderzenie wiatru sprawiło, że skalna konstrukcja rozbrzmiała jak róg sygnałowy.

Stałem przy głazach. Dźwięk rozlegał się jedynie, kiedy wiatr wiał z jednego określonego kierunku. Gdy stanąłem między linią podmuchu a głazami, niczego nie było słychać. Zajrzałem w szczeliny między skalnymi blokami i dostrzegłem jakieś kości. Wyglądały, jakby się zaklinowały między blokami. Wyciągnąłem rękę i wyjąwszy jedną z nich, od razu zobaczyłem, co to jest. Żebro. Przyłożyłem je do brzucha i wsunąłem pod ramię. Było mniejsze niż moje żebro, ale należało kiedyś do człowieka, co do tego nie miałem wątpliwości.

Gdy Fenre i ja powróciliśmy, Tyrke wałęsał się po piaszczystym brzegu, pociągając wino z baryłki, którą podarował nam Eryk Rudy. Włożyłem Fenrego do koszyka i pokuśtykałem na statek.

Tego wieczora nie wspomniałem nikomu o skalnych blokach. Było nas wówczas mniej na statku, więc zdarzyło się tak, że ja i Sigrid leżeliśmy pod pokładem sami, zasłonięci dużą skrzynią. Ponieważ od dawna nie byłem z Sigrid tak, jak mężczyzna chciałby być ze swą kobietą, wsunąłem jej dłoń pod koszulę i przyciągnąłem ją gwałtownie do siebie. Synek spał obok, na wyciągnięcie ręki, opatulony w koce, i nie widziałem niczego poza czubkiem jego nosa i malutką rączką z drgającymi we śnie paluszkami.

Sigrid nie protestowała, kiedy ją pochwyciłem, chociaż taka natarczywość nie do końca była do mnie podobna. Ale wreszcie było tego za wiele jak na nią, bo usłyszałem jej szept:

– Nie. Nie tutaj.

Już miałem wziąć ją za rękę i zabrać na brzeg, wyobraziłem sobie, że położymy się na mchu, po którym wcześniej tamtego dnia chodziłem, ukryci pod paprociami. Wtedy dziecko się obudziło, Sigrid przystawiła je do piersi i było po wszystkim.

Skończyło się na tym, że tamtej nocy czuwałem na pokładzie. Nie cała załoga wyprawiała się na polowanie, było nas wciąż wystarczająco wielu do obrony statku, gdyby zaszła taka potrzeba. Zajrzał do mnie Hutten i oznajmił, że krajobraz jest obiecujący, ale potrzeba lepszej gleby, by móc uprawiać zboża, a najchętniej widziałby czerwonawą ziemię, bo z niej można wytapiać żelazo w piecach dymarskich. Niewiele miałem na ten temat do powiedzenia oprócz tego, że musimy płynąć dalej i być może syn Eryka wskaże nam właśnie taką krainę.

Wkrótce Hutten zszedł pod pokład i położył się spać, a ja pograżyłem się w myślach. Ponieważ zostaliśmy wyjęci spod prawa na Islandii, nie mogliśmy tam sprzedawać ani drewna, ani statków, ani rudy żelaza. Żaden ze mnie kupiec, ale rozumiałem, że cena wzrośnie, jeśli będzie więcej zainteresowanych tym, co sprzedajesz. Jeśli mieliśmy się wzbogacić, musieliśmy płynąć dalej niż na Grenlandię. Zastanowiły mnie też słowa Eryka o tym, dlaczego seidkona nie podała nam swego imienia, że na pokładzie jest ktoś, komu nie ufa. Byli wśród załogi ludzie, których lubiłem mniej niż innych, mężczyźni, którzy nie zamieniali ze mną więcej słów ponad to, co konieczne. Skjaln był jednym z nich, a także Vidar. Lecz byłem hovdingiem, a hovding nie może przyjaźnić się ze wszystkimi. A co, jeśli któryś z nich próbowałby zająć moje miejsce? Przyłapałem się na tym, że rzucam spojrzenia spod oka w stronę brzegu. Zapaliliśmy lampę oliwną, stała na beczce na śródkręciu i rzucała migotliwą poświatę na pokład. Dobry strzelec mógł posłać mi strzałę z panujących tam na lądzie ciemności.

Myśliwi powrócili tuż po wschodzie słońca. Minionego wieczora ustrzelili jelenia na pobliskich wzgórzach. Nie ośmielili się jednak schodzić w ciemnościach, dlatego

czekali na światło dnia. Teraz jelenia poporcjowano, Bjørn nadszedł z okrwawionymi rękami, niosąc na ramionach skórę, którą rozwinął na pokładzie, demonstrując mi, jak duże było zwierzę. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety tłoczyli się dookoła, podziwiając skórę i mięso przyniesione przez myśliwych, a Halvor uważał, że to dobry znak dla nas. Nie groził nam głód, skoro zwierzyna była tak okazała tu, na zachodzie. Ale ja byłem milczący i ponury, bo zmartwienia wciąż mnie nie opuszczały i podczas gdy mięso krojono i nadziewano na żerdki nad paleniskiem, ja tkwiłem przy wiosle sterowym, rzucając spojrzenia w ujście fiordu lub na wzniesienie, gdzie między koronami świerków można było wypatrzeć konstrukcję ze skalnych bloków.



8

Syn Eryka

Czy to za przyczyną jeleniego mięsa, czy łagodnego wiatru nad wybrzeżem Marklandii, nie mam pojęcia, ale kiedy wypłynęliśmy z fiordu i obraliśmy kurs na południe, dawno na statku nie panowała tak dobra atmosfera. Również teraz stałem przy sterze i widziałem drzemiących mężczyzn opartych plecami o nadburcie i kobiety wystawiające twarze ku słońcu. Morze było spokojne, lecz wiatr o wystarczającej sile, by nas pchać do przodu.

Tyrke nie pamiętał dokładnie, jak daleko było stąd do gospodarstwa Leifa. Wskazywał na południe, wciąż na południe. Mieliśmy po prostu płynąć, a on miał dać znać, gdy będziemy się zbliżali.

Zatem płynęliśmy. Rzadko miałem okazję do tak dobrego, stabilnego żeglowania. Dmuchało lekko, ale prąd i wiatr były po naszej myśli. Panowała taka pogoda, podczas której żeglarze niechętnie schodzą na brzeg i my też byśmy nie zeszli, gdyby nie skończyła się nam woda. A poza tym mężczyźni, posmakowawszy mięsa, wyjęli łuki i mieli ochotę zapolować.

Mój brat był lepszym ode mnie myśliwym, więc kiedy dobiliśmy do brzegu, to on poprowadził ludzi na polowanie. I tak jak poprzednim razem, zostali na noc i wrócili z dziczyzną. Upolowali pięć dużych ptaków nieznanego nam gatunku, były grube i dziwaczne, o pomarszczonej szyi i zwisającym z dzioba fałdzie skóry. Bjørn wyjaśnił, że natknęli się na nie na niewielkiej leśnej łączce, a ptaki nawet nie próbowały odfrunąć. Wieczorem długo gotowaliśmy mięso w kotle. Gdy w końcu ośmieliliśmy się je spróbować, nie żalowaliśmy. Smakowało jak mięso kury. Co więcej, pióra tych ptaków były długie i sztywne i już na pierwszy rzut oka było widać, że nadają się na lotki do strzał.

Im dalej na południe, tym las gęstniał, a drzewa stawały się wyższe. Ziemię, które mijaliśmy, były dobre i żyzne i gdybyśmy nie obiecali dowieźć Tyrkego do jego przybranego syna, być może poszukalibyśmy zacisznej przystani i się osiedlili. Musieliśmy jednak płynąć dalej. Nie tylko po to, by wysadzić Tyrkego u Leifa, ale również po to, by się z nim naradzić. Halvor podszedł do mnie, aby porozmawiać w tej sprawie. Pomyślał, że skoro ten cały Leif osiedlił się tutaj, to musiał znać tutejsze morskie trakty oraz ziemię i mógłby nam powiedzieć, gdzie znajdziemy dobre drewno i żyzną glebę. Nie wyglądał na zmartwionego tym, że syn Eryka odwiedził Norwegię i dał się ochrzcić Olafowi Tryggvasonowi.

Sigrid zaczęła okazywać mi czułość. Niewiele wiedziałem o kobietach i nie rozumiałem, dlaczego od porodu odsuwała mnie od siebie, teraz jednak stała ze mną przy sterze, obejmowała mnie w pasie jedną ręką, miękko i czule do mnie przytulona. Dobiełem do brzegu w jednej z zatoczek i ponownie wysłałem ludzi na polowanie. Sigrid powiodłem między drzewa, ale nie dalej niż do miejsca, skąd oboje mogliśmy widzieć pokład i żonę Vidara, która stała pod masztem z naszym chłopczykiem na ręku. Sigrid nie odrywała od niej oczu, zanim, nie tracąc czasu, położyliśmy się; udało mi się jeszcze w pośpiechu zabrać ze statku baranicę, na której teraz mogła legnąć, i kochaliśmy się tam, między świerkowymi pniami. Po wszystkim Sigrid wspomniała, że dokuczały jej krwawienia. Powiedziałyby mi, gdybym nie miał innych spraw na głowie. W każdym razie krwawienia ustały, więc nie muszę się martwić.

Sigrid wróciła na statek, a ja wciąż leżałem na baranicy. Miałem wrażenie, że

otaczające mnie świerki sięgają nieba. Ramię przy ramieniu stały w doskonałej ciszy, jakby rzucały mi spod oka spojrzenia, gdy leżałem tam nagi i spocony. Najpierw pomyślałem o słowach Sigrid i zrobiło mi się przykro, bo powinienem był się domyślić, że coś jej dolegało. Ale wkrótce wiatr poruszył koronami drzew i wydawało się, że porwał ze sobą te myśli. Zamiast tego skupiłem się na tym, co wydawało się wręcz nierealne: to, że przepłynęliśmy przez morze, a teraz zesliśmy na obcy ląd. I jak właściwie do tego doszło, że ja, chłopak z Vingulmorku, zbiegły niewolnik, zostałem hovdingiem dla grupy jomswikingów? Leżałem pod potężnymi drzewami w krainie, która zdaniem wielu istniała jedynie w bajdurzeniach żeglarzy. Jak do tego doszło? Czasami wydawało się, że nie dalej niż wczoraj siedziałem przykuty do wioślarskiej ławy. I żałowałem, tylu rzeczy żałowałem. Nie powinienem zasnąć tamtego dnia na nadmorskiej skałce, tego dnia, kiedy pojawił się Ros ze swymi ludźmi. Gdybym czuwał, mógłbym ich usłyszeć. Chciałem wierzyć, że ucieklibyśmy, jeślibym zdążył ostrzec ojca. A może nie sprawiłoby to żadnej różnicy. Żałowałem też wielu innych rzeczy. Powinienem był okazać się bardziej pracowity w czasie pobytu u Grima na Rossøy. Może powinienem dźwigać kamienie, postawić zręby domu i udowadniać, że jestem w stanie poprowadzić gospodarstwo, nawet z chromą nogą. Może wtedy nie wydaliby Sigrid za męża. Tego, że jej teraz obiecałem ziemię i dobrobyt na zachodzie, również żałowałem. Będziemy bogaci niczym jarl Orkadów, mówiłem. Ba, może nawet bogatsi. Miała dostać piękne suknie, łańcuchy zdobione szklanymi paciorkami i bursztynem, a jedzenia nigdy miało nie braknąć. Nie będzie chodzić boso po gliniastych polach i harować od świtu do nocy jak większość chłopskich żon. Nie. Razem z bratem i pozostałymi towarzyszami będziemy budować tak wspaniałe statki, że jeżeli popłyniemy nimi na wschód i pokażemy je tamtejszym mieszkańcom, bogacze będą się bić, żeby je kupić. To wszystko jej obiecywałem. Co by zatem o mnie pomyślała, gdybym nie znalazł tu żyznej ziemi? Co jeśli modrzewie, o których słyszeliśmy, nie istnieją? A jeśli natkniemy się na Skrælingów, których strzała utkwiała w piersi tamtego człowieka u Eryka Rudego? Byliśmy wojownikami, ale te lasy mogły kryć liczne zastępy. Co jeśli Skrælingowie mają swoje armie jak królowie na wschodzie?

Czarne myśli leżały w moim charakterze, ojciec nieraz mi to powtarzał. Odkąd

nauczyłem się chodzić, często zdarzało mi się pogrążyć w zadumie i gdy wiosłując, opuszczaliśmy zatoczkę, właśnie byłem w takim nastroju. Powodem tego, że wyruszyliśmy wieczorem, było moje przekonanie, że mogą na nas napaść Skrælingowie, że mogą się podkraść pod osłoną nocy nad samą linię wody i zasypać nas strzałami. A ponieważ na morzu zawsze czułem się pewniej, wypłynęliśmy.



Od wielu dni kierowaliśmy się na południe, ale trzymając się blisko brzegu. To zapewniało nam bryzę lądową nocą i bryzę morską po południu. Tyrke był z takiej sytuacji bardzo zadowolony i utrzymywał, że wkrótce znajdziemy się u jego wychowanka. Każdego dnia stał na dziobie i zmrużonymi oczami wpatrywał się w ląd, jakby trwał w gotowości, by w każdej chwili móc zawołać, że to tutaj, tu musimy kierować się na brzeg, bo tu mieszka syn Eryka. Jednak mijały dni, a my wciąż płynęliśmy na południe, bez ustanku na południe.

O wodach, po których wówczas płynęliśmy, można rzec, że bardzo przypominały te, które znaleźliśmy z naszych krajów. Prądy i wiatry były bardziej zrozumiałe, bardziej dla nas przewidywalne. Krajobraz również był bardziej swojski. Nagie wzgórza definitywnie się skończyły, tu wszędzie rósł świerkowy las. Mężczyźni dużo rozmawiali o tym, jak piękne są te ziemie, a jeśli są tak bogate w zwierzynę jak wcześniej na północy, to nie powinniśmy głodować. Napotykalismy też wieloryby, zarówno wielkie, samotne olbrzymy, które widzieliśmy wydmuchujące powietrze w oddali na otwartym morzu, jak i stada mniejszych. Morskich ptaków także było dużo. Większość rozpoznawaliśmy, ale trafiały się wśród nich ptaki o upierzeniu, jakiego wcześniej nigdy nie widzieliśmy. Skjaln próbował je zwabić, nadziewając kawałek suszonego mięsa jelenia na haczyk do połowu dorsza, który ciągnął za statkiem, ale wtedy zagotowało się we mnie i Skjaln z pewnością przypomniał sobie, co myślę o takich zabawach, bo zwinął wędę i więcej nie próbował.

Wkrótce stało się jasne, że Tyrke nie pamięta zbyt wiele ze swojej żeglugi wzdłuż tego wybrzeża. Zarówno wtedy, gdy tu po raz pierwszy przyплыли, a on należał do załogi Leifa, jak i potem, gdy wracał na Grenlandię, wiozł ze sobą wino i przez

większość czasu nie trzeźwiał. Wzniósł ręce, głośno jęcząc, że do niczego się nie nadaje, a potem siadł w zamyśleniu na skraju końskiej studzienki. Halvor podszedł do niego – zawsze potrafił rozmawiać z ludźmi – a Tyrke zwierzył mu się, że za jego młodości wiele spraw toczyło się inaczej. Miał wtedy kobietę, biedną kobiecinę, która miała rozszczep podniebienia i była zadowolona, że ktokolwiek ją zechciał. Ale Tyrke ją pokochał, bo chociaż nie można było nazwać jej ładną, a i dziecka mu nie dała, to serce miała dobre. Złamała nogę, pośliznąwszy się na nadbrzeżnym kamieniu, i po paru dniach zmarła na gorączkę. Jego życie potem już nigdy nie było takie samo. Młody Leif stał się dla niego pociechą i sprawił, że Tyrke przeważnie nie pił, w każdym razie, dopóki chłopiec był mały.

Halvor wspomniał mi później tamtego wieczoru, że Eryk oddał Tyrkemu syna na wychowanie, aby trzymać małego z dala od Tjodhild, jego matki. Ta szalona baba chętnie brała się do bicia, a podła była jak mało kto. Tyrke słyszał, że opłacała kilku Skrælingów winem i szklanymi paciorkami, aby zgładzili córkę, którą Eryk miał z niewolnicą. Skrælingowie wino wypili, paciorkami się przystroili, i mówiono, że łazili wszędzie, z dumą je pokazując. Do żadnego zabójstwa jednak nie doszło. Skrælingom najwyraźniej nie można ufać, jeśli chodzi o umowy.

Po jakimś czasie linia brzegowa zaczęła skręcać na zachód. Wtedy Tyrke nabrał energii. Stał obok mnie przy wiosle sterowym. Na południu leżała wyspa, którą mijaliśmy po wewnętrznej stronie, z lewej burty. Wcinał się tutaj szeroki fiord wiodący na zachód. Ale to nie żaden fiord, twierdził Tyrke. To cieśnina. Wyciągnął niewyrośnięte ramię w stronę lądu w południowej części cieśniny. Mieliśmy przed sobą Wyspę Leifa. To tam osiadł syn Eryka i jego ludzie. Tyrke nie mógł sobie znaleźć miejsca. Spuścił cebrzyk za burzę, wciągnął go i ochlapał sobie twarz morską wodą. Potem z mieszka przy pasie wysupłał grzebień i rozczesał skołtunione włosy i brodę.

Na długo zanim zobaczyliśmy Zagrodę Leifa, dostrzegliśmy statki w zatoczce. Stały cztery na kotwicy; knary, bardzo podobne do naszej. Na brzeg wyciągnięto jeszcze dwie.

Okoliczne wody były gościnne, w tym znaczeniu, że znajdowało się tu mnóstwo

zatoczek i zakątków dających statkom schronienie. My zawinęliśmy do tej zatoki, w której kotwiczyły knary. Budynki stały jak zwykle w pobliżu brzegu, wybudowano je z torfu i prawie wtapiały się w krajobraz. Zatoka otwierała się ku zachodowi i z tamtego kierunku wpłynęliśmy; w pobliżu zabudowań i otaczającego je karczowiska wyrastał rzadki las iglasty. Między drzewami pasły się krowy i owce. Mieszkańcy już nas spostrzegli, oczekiwali nas na brzegu, wielu mężczyzn z łukiem w ręku. Dwa psy stały w wodzie i czekały w naszym kierunku.

Zdjęliśmy reję i żagiel. Tyrke stanął na dziobie, machał rękami, pokrzykiwał i chciał, byśmy wiosłowali na sam brzeg. Ale to, co na początku zdawało się plażą, okazało się litą skałą wynurzającą się spod torfu przy linii wody. Wyglądało tak, jakby fale same wyżłobiły zatoczkę w skale. Było tu jednak płytko, widzieliśmy dno pod nami. Gdy rzuciliśmy kotwicę, wiedzieliśmy, że dobrze chwyciła, bo zobaczyliśmy, jak zahacza o kamień.

Oprócz mnie jako pierwsi łódką przeprawili się Halvor, Tyrke i Bjørn. Tyrke był niespokojny, przeczesywał brodę palcami i nie mógł usiedzieć na miejscu. Ale kiedy łódka przybiła do brzegu, wziął się w garść i wkroczył na ląd z pewną godnością. Oba psy wzięto na smycz i nakazano im spokój. Ludzi, którzy przyszli nas przywitać, Tyrke pozdrowił krótkim skinieniem głowy i zapytał o Leifa; nigdzie nie mógł go dostrzec. Wśród zebranych na brzegu zauważyliśmy mężczyznę bez dłoni. Był barczystym, wysokim człowiekiem o siwej brodzie i łysej, usianej piegami czaszce.

– Leif pojechał sprawdzić sidła – rzekł, podnosząc wzrok na niewyrośniętego człowieczka. – Jestem Gunnar Duży. A wy to kto?

Wymieniliśmy z bratem nasze imiona. Dodałem, zgodnie z obyczajem, że jesteśmy synami Tormoda z Vingulmorku. Halvor zadowolił się podaniem swego imienia, bo słyszałem, że nie wiedział, kto jest jego ojcem.

– Skąd płyniecie? Z Grenlandii czy z Islandii? – dopytywał Gunnar.

– Żeglujemy aż z Orkadów – odparłem.

– To mieliście długą podróż – mruknął Gunnar, a kilku towarzyszących mu ludzi pokiwało głowami, powtarzając, że z Orkadów jest daleko.

– Jaką macie tu sprawę? – zapytał Gunnar, a mieszkańcy osady umilkli, bo to ich zainteresowało.

- Chcemy znaleźć dobre drewno i budować statki – odezwałem się.
- I żelazo – dodał mój brat. – Jeśli w tutejszej ziemi jest żelazo.
- Jest – potwierdził Gunnar Duży i wyciągnął rękę, tę bez dłoni, w kierunku południowego krańca zatoki. – Tam wypalamy dobre żelazo.

Wpływając do zatoczki, zauważyliśmy, że wyspa jest podzielona mniej więcej na pół ujściem rzeki. Znajdowaliśmy się teraz na północ od ujścia; ziemia dokoła była oczyszczona z krzaków i drzew, a trawa wyjedzona przez pasące się zwierzęta. Nad brzegiem zgromadziło się mniej więcej trzydzieści, czterdzieści osób, większość stanowili mężczyźni i kobiety w młodym wieku. Zauważyłem, że starszych dzieci jest niewiele i nie ma żadnych maluchów. Nie było też starców.

- Macie kogoś, kto stoi nad wami? – chciał wiedzieć Gunnar Duży.

Halvor położył rękę na moim ramieniu.

- Ten oto Torstein jest naszym hovdingiem.

– Powiedz więc swoim ludziom, by zeszli na ląd – rzekł Gunnar. – Bo nikt nie może zarzucić Leifowi braku gościnności. Ale choć jesteś hovdingiem na statku, musisz pamiętać, że Leif jest hovdingiem na całej tej wyspie. Wszystko, co tu się znajduje, jest jego i nasze, każde drzewo i każdy najmniejszy kamyczek.

Skinąłem głową, bo przez moment nie pomyślałem, że będę chciał cokolwiek tu zagarnąć. Chcieliśmy zająć ziemię, ale nie tę, którą syn Eryka już zasiedlił.

Wskazano nam wynurzającą się z morza płaską skałę, do której można było bezpiecznie dobić dziobem, ale Gunnar nie pozwolił nam na wyprowadzenie zwierząt na ląd, dopóki Leif ich nie obejrzy i nie przekona się, że są zdrowe. Potem oprowadził mnie i Bjørna po Zagrodzie Leifa i nie uszło naszej uwagi, że osadnicy byli bardzo pracowici. Od przyjazdu w zeszłym roku postawili długie domy, warsztat szkutniczy, kuźnię i potężny piec dymarski, który miał szerokość co najmniej równą wysokości mężczyzny. Budynek stały rozrzucone na otwartej przestrzeni nad zatoką, o rzut kamieniem od brzegu, a jeśli podążało się od rzeki w kierunku północnym, najpierw napotykałeś dom Leifa, następnie kilka mniejszych torfowych chat prowadziło do kolejnego langhusa, a dalej do warsztatu szkutników. Wewnątrz właśnie budowano knarę podobną do mojej, chociaż znacznie mniejszą. Poczulem jednak ukłucie

zazdrości, gdy Gunnar mi ją pokazał, i nie zrobiło mi się lepiej, gdy zaczął wychwalać wielkie plany Leifa. Chciał przywozić drewniane kłody z południa i budować statki, które mogły żeglować na Islandię. Ale nie miał zamiaru statków sprzedawać, planował zabierać na pokład biednych ludzi, którzy nie mieli własnej ziemi, i ich tu przywozić. Chciał tutaj zbudować swoje królestwo, gdzie ludzie mogliby zrzucić jarzmo biedy i stać się wolnymi.

– Pewnie im się to spodoba – rzekłem tylko.

– W starym świecie nawet wolni ludzie żyją jak niewolnicy – dodał Gunnar Duży i chwycił się za kikut w miejscu, w którym kiedyś była lewa dłoń.

Ani ja, ani Bjørn nie zauważyliśmy żadnego kościoła w Zagrodzie Leifa, a pamiętaliśmy, co nam opowiadano; że Leif był u Olafa Tryggvasona w Norwegii i został chrześcijaninem. Rozmawiałem o tym z załogą i prosiłem, by nie puszczali pary z ust na temat bitwy pod Svolder, a gdyby nas pytano, skąd jesteśmy, mieliśmy odpowiadać, że jesteśmy rolnikami i rzemieślnikami, zwykłymi ludźmi, którzy się wyprawili na zachód, by sobie znaleźć ziemię. Leif i jego ludzie za nic nie mogli się dowiedzieć, że walczyliśmy pod Svolder po stronie króla Danów i synów jarla i że to ja zadałem Olafowi śmiertelny cios.

Gunnar powiedział, że możemy rozbić obóz przy dymarce, bo plac wokół został starannie wykarczowany, poza tym mogliśmy korzystać z pryzm drewna ustawionych przy dołach do wypalania węgla. Vidar i Skjalm rozpięli tam kilka płacht i wkrótce dołączyło do nich jeszcze kilku z załogi, ja jednak zostałem na statku, razem z Sigrid i malcem, bratem i tymi, którzy byli mi bliscy.

Pod wieczór Leif i jego towarzysze wrócili do domu. Tyrke wyszedł im wcześniej na spotkanie, ale nie było go z Leifem. Zupełnie zniknął nam z oczu. Leif podszedł najpierw do swego domu w towarzystwie Gunnara Dużego, który wskazywał kikutem w naszym kierunku. Syn Eryka był odziany podobnie jak inni, w spodnie i tunikę, a na ramiona narzucił baranią skórę. Stał przez dłuższą chwilę, gładząc się po rudej brodzie i kiwając głową, słuchał swego rozmówcy, po czym rzekł coś do owej trójki, która przyjechała razem z nim; wyglądali na młodzików. Na jego słowa młodzieńcy odpięli pasy, do których mieli przytroczone po dwa zające, i pomknęli w stronę lasu.

Następnie Leif zszedł do nas. Razem z bratem przeszliśmy na dziób, pozdrowiliśmy go otwartą dłonią, a on odpowiedział takim samym gestem i zatrzymał się na nabrzeżnej skale, przyglądając się uważnie naszej knarze, po czym chrząknął i ponownie poglądził się po brodzie. W końcu, mrużąc oczy w wieczornym słońcu, uniósł wzrok i spojrzał na nas.

– Jestem Leif, syn Eryka z Grenlandii – rzekł, choć tego ostatniego nie musiał dodawać, bo był bardzo podobny do ojca. Nie był zbyt wysoki, o głowę niższy od rosnącego Gunnara. Barania skóra poszerzała jego ramiona, ale do potężnie zbudowanych nie należał.

– Przyjechał z wami mój przybrany ojciec – powiedział. – Słyszę, że poszedł mnie szukać.

Zerknął w kierunku lasu. Miał stanowcze spojrzenie, a oczy tak intensywnie niebieskie, jakie spotyka się tylko u mężczyzn, którzy spędzili sporo czasu na morzu. Trochę starszy ode mnie pewnie był, ale raczej niewiele, nie miał okazji oglądać trzydziestu zim. W garści trzymał łuk, inny od tych, które znałem. Wyglądał na zrobiony z jałowca, natomiast grzbiet miał pokryty biegnącymi podłużnie zwierzęcymi ścięgnami. Zainteresował mnie jako łucznika, co nie uszło uwagi Leifa. Zerknął na łuk, postawił go przed sobą i przyznał, że ze zdobyczą w sidłach jest marnie, prawdę mówiąc, niczego w nich nie znalazł, ale przynajmniej ustrzelił zająca.

– Podajcie mi wasze imiona – dodał.

Gunnar Duży już mu je pewnie podał, mimo to powtórzyliśmy, że nazywamy się Torstein i Bjørn z Vingulmorku i jesteśmy synami Tormoda.

– Zgaduję, że przyplłynęliście po drewno do budowy statków – stwierdził.

Skinąłem głową.

– O ile takowe znajdziemy.

– Drewno znajdziecie. Tego tu nie brakuje. Widzieliście statek, który budujemy?

Potwierdziliśmy ruchem głowy, a Leif się uśmiechnął serdecznym uśmiechem, jaki gości na twarzach ludzi, którzy nie życzą ci źle.

– Wieziemy dla ciebie pięć maciorek od twego ojca – powiedziałem.

– Z mego ojca jest szczodry mąż. Przyślę ludzi, którzy przeniosą je na ląd. – Leif skierował spojrzenie ku słońcu wiszącemu za naszymi plecami nisko nad horyzontem.

– Teraz jednak chciałbym poszukać mego przybranego ojca. Jeśli wrócę przed nocą, to zajdźcie do mego langhusa, zapraszam na posiłek i coś do picia.

Odprawiliśmy wzrokiem Leifa i Gunnara, którzy spieszenie ruszyli w drogę. Gunnar wszedł na chwilę do długiego domu, skąd zabrał włócznię i obaj zniknęli między drzewami.

Okazało się, że Tyrke nie poszedł daleko. Znalaziono go za niewielkim wzgórkim tuż za skrajem lasu. Przysiadł, żeby nazrywać winnych jagód, z gatunku, jaki występuje tylko tu, na zachodzie, i jaki można przerobić na smaczny trunek, ale zmógł go sen, bo jak później tłumaczył, podłoże było mięciutkie, a łagodny wiatr przypominał mu o miejscu, w którym dorastał. To Leif go znalazł. Wracając we dwójkę, stanowili niecodzienny widok, trzymali się za ręce, jakby Leif prowadził dziecko. Tyrke siedział u boku Leifa, gdy weszliśmy do długiego domu i czy był pijany, czy może wzruszony spotkaniem z przybranym synem, czy jedno i drugie, nie mam pojęcia. W każdym razie siedział, pochlipując i bełkocąc w niezrozumiałym języku.

Długi dom Leifa nie był ani obszerny, ani okazały, ale w środku panowało ciepło, a szczelne ściany nie przepuszczały wiatru. Towarzyszyli mi Bjørn, Halvor, Eystein i Hutten; wskazano nam miejsca na jednej z ław pod ścianą. Nie byliśmy tam sami z Leifem i Tyrkiem. Naliczyłem jeszcze dwunastu mężczyzn i cztery kobiety, więcej osób w zasadzie już by się tu nie zmieściło. Wyposażenie domu stanowiły długie ławy stojące wzdłuż ścian, na prawo i na lewo od wejścia. Pośrodku znajdowało się palenisko, przy którym siedzieli na kilku drewnianych klocach Leif, Tyrke i Gunnar Duży. Za plecami mieli ławę roboczą, gdzie leżały przeróżne narzędzia, jakieś kości, zwoje częściowo skręconych lin i parę zajęczych skórek.

– Słyszę, że ojciec chce, bym wrócił do domu – odezwał się Leif. – Ale nie musiał przysyłać po mnie ludzi. I tak miałem zamiar popłynąć w tym roku do domu, zanim fiordy zamarzną. A co z wami, przezimujecie tutaj?

– Tak – odparłem.

– Jesteśmy tu, by szukać ziemi – dodał Bjørn.

Leif pochylił się nieco do przodu i przyglądał się nam zmrużonymi oczami.

– Ziemi tu dużo, nie brakuje jej. Ale są też Skrælingowie. Będą z wami handlować

i żyć w pokoju, większość z nich. Jeśli jednak nie będziecie mieli szczęścia do tych, których napotkacie...

– Skrælingom nie można ufać – powiedział Gunnar Duży. – Nigdy nie obracajcie się do nich tyłem.

Mężczyźni zasiadający na ławach kiwali twierdząco głowami. Jedna z kobiet mruknęła, że są niczym bestie, i najlepiej dla wszystkich byłoby ich wyciąć w pień, co do jednego.

– Nie zostaniemy długo – rzekłem. – Jeśli możesz nam powiedzieć, dokąd płynąć, by znaleźć dobre kłody, będę ci wdzięczny.

– W tym roku nie myśl o kłodach – odparł Leif. – Przynajmniej o innych niż te, które będą potrzebne do stawiania domów dla ciebie i twoich ludzi. Zima przychodzi tu nagle i jest długa.

– Chcemy płynąć na południe – wtrącił się Bjørn.

Leif i Gunnar przyjrzeni nam się wzrokiem tak ponurym, jakby mój brat oznajmił właśnie nadejście Ragnaroku. Zebrani w izbie znowu zamruczeli, ale Bjørn dodał:

– Nie chcemy dopłynąć aż do niebieskich ludzi. Jedyne tak daleko na południe, by zimy nie były zbyt srogie.

– Nie o zimy się martwcie – rzekł Leif. – Im dalej na południe pozełgujecie, tym więcej tam Skrælingów. Dotarliśmy na odległość osiemnastu dni stąd na południe, ale nie mogliśmy zejść na ląd.

– Jest ich tam bez liku – dorzucił Gunnar Duży. – Jak mrówek.

– Nie mówmy już tego wieczoru o Skrælingach – zdecydował Leif. – Opowiedzcie mi, przyjaciele, co się dzieje na wschodzie. Ostatnio, gdy tam byłem, przyjął mnie król norweski. Dobry to człowiek. Dał mi srebro, a w zamian miałem zabrać ze sobą do domu na Grenlandię mnicha.

Głos zabrał Halvor. Wszedł pewnie z założenia, że odpowiedzieć powinien ktoś, kto potrafi lepiej kłamać niż ja.

– Płyniemy z Orkadów, hovdingu. Nic nie wiemy o norweskim królu. Jednakowoż, jak słyszeliśmy, odbyła się bitwa pod Svolder.

– Bitwa? – Leif przesunął się do przodu, na sam brzeg ławy. – Olaf tam walczył? Przeciwno komu?

– Przeciwno Svenowi Widłobrodemu i Olofowi Skötkonungowi – odparł Halvor. –
Oraz synom jarla z Trøndelagu.

– Zawarli sojusz przeciwko niemu?

– Tak.

Leif zadumał się, a jego wzrok spoczął na płomieniach.

– A bitwa... Kto zwyciężył?

– Prości z nas ludzie – odrzekł Halvor. – Mało wiemy o takich sprawach. Ale plotka głosi, że norweski król stracił wszystkie swoje okręty i poległ pod Svolder. –
Halvor zwrócił się do mnie. – Tak mówiono, prawda? Że został zabity w tamtej bitwie?

Chrząknąłem.

– Tak... Tak właśnie mówiono.

Leif ponownie usadowił się głębiej, ze zrezygnowaniem kręcąc głową.

– Popłyniemy trochę dalej na południe – odezwał się nagle Halvor. – Tylko tyle, by opuścić tereny należące do ciebie i twoich ludzi.

Leif znowu się nam przyjrzał, podniósł kufel i pociągnął kolejny łyk. Wtedy Tyrke szarpnął go za rękaw tuniki i coś mu szepnął do ucha. Leif skinął głową.

– Tyrke prosi, bym powiedział, że jeśli są z wami ludzie, którzy woleliby tu zostać, nie będę miał nic przeciwko temu.

To mi się nie spodobało. Załoga miałaby zejść na ląd i wejść w szeregi tego hovdinga? Będą mi potrzebni, gdy zaczniemy wznosić domy i budować statki.

– Musimy płynąć dalej – rzekł Halvor. – Pragniemy znaleźć dobre miejsce, osłonięte od zimowych zawieruch. Miejsce bogate w ryby, z pobliskim lasem, gdzie będziemy mogli polować.

– Tutejsze fiordy są pełne ryb – powiedział Leif. – Szybko jednak kładzie się na nich lód.

Niewiele na to mogliśmy odpowiedzieć. W kubkach podano gotowane kozie mleko, którego smak pamiętałem jeszcze z dzieciństwa. Ten smak mnie uspokoił i nagle ciało zaczęło mi ciążyć, najchętniej wyciągnąłbym się na ławie, bo w domu Leifa było ciepło i miło. Mimo to w dalszym ciągu byłem czujny. Ten człowiek zachowywał się lojalnie wobec Olafa, króla, którego zabiliśmy. Gdyby ktoś na statku

wspomniał o tym Tyrkemu... Prześliznąłem się spojrzeniem po zebranych. Wojownikami nie byli, ale byli zahartowanymi, ogorzałymi od wiatru i słońca mężami, którzy mogliby stawić nam niemały opór.

Leif i Tyrke zaczęli opowiadać o zwierzętach, jakie można łowić w tutejszym morzu, w okolicznych fiordach i na pobliskich morskich szlakach, wspomnieli o wielorybach i rekinach polarnych, a także rekinach olbrzymich. Łososi było tu w bród, zatrzymywały się w rzekach w stałych miejscach, można je było chwycić rękami. Ale powinniśmy się wystrzegać niedźwiedzi, zwłaszcza jeśli przybijemy do stałego lądu, mogą się pojawić niespodziewanie i w mgnieniu oka rozerwać nas na strzępy. Skrælingowie tu, na północy, byli zazwyczaj łagodni, a tak długo, jak będziemy mieli przewagę liczebną, na nic się nie poważą. Mogli się nawet okazać przyjaźni, choć mieli wiele dziwactw. Bardzo dobrze przyjęli Tyrkego, jednak nikt nie rozumiał dlaczego. To Skrælingowie zrobili mu te malunki na skórze. Wielu z nich też było takimi pokrytych.

Siedzieliśmy długo u Leifa tamtego wieczora, ale chociaż częstował nas jedzeniem i piciem i dużo miał do powiedzenia na temat krainy, do której przybyliśmy, nie czułem się dobrze pod jego dachem. Być może właśnie to, że pokazał się jako mąż mądry i przyjazny, sprawiło, że w końcu podziękowałem za miły wieczór, mówiąc na usprawiedliwienie, że długo stałem u steru i jestem zmęczony. Gdyby postawiono syna Eryka obok mnie i porównano nas jako hovdingów, niewiele miałem do zaprezentowania, i dokuczala mi tego świadomość. Jemu już udało się wykarczować ziemię, wznieść domy, a i statki zaczął budować. Przybył tu przede mną i gdy w mroku zapadającej nocy wsłuchiwałem się w jego głos, byłem przekonany, że jest ode mnie lepszy we wszystkim. Był tu hovdingiem, władał tą wyspą i jej mieszkańcami. Ja byłem tylko kulawym młokosem, banitą, który nigdy do końca nie będzie z siebie mógł zmyć smrodu niewolnika.

Długo stałem na pokładzie. Noc była piękna i rozgwieżdżona. Księżyc znajdował się w ostatniej kwadrze. Sigrid podała mi dziecko, pytając, czy mogę się nim przez chwilę zająć, więc je trzymałem. Wzrok mój jednak błędził przez cały czas po kryjącym się w ciemnościach morzu, a kiedy chłopiec zaczął płakać, nie usłyszałem go; słyszałem

tylko wiatr szepcący w masztach i fałach. Sigrid zabrała dziecko pod pokład, a ja zostałem na górze. Nie byłem sam, miałem przy sobie Fenrego. Poza tym, jak zwykle, gdy staliśmy na przystani, mieliśmy wachtę kotwiczną. Tym razem służbę pełnił Vidar. Stał w milczeniu na dziobie, owinięty w oponczę.

Śniłem tej nocy czy też miałem widzenie zesłane mi przez duchy żyjące na zachodzie? Pamiętam panujący dookoła mrok, szum iglastych drzew w gospodarstwie Leifa, zapach wodorostów w czasie odpływu. Sigrid chyba zjrzała do mnie z pledem, bo noc była zimna. Siedziałem na pokładzie, oparty o nadburcie, z Fenrem między stopami, a nocny chłód stopniowo mnie przenikał. Nie mam pojęcia, ile czasu minęło, ale nagle dostrzegłem kruka na brzegu końskiej studzienki. Najwyraźniej wydostał się z klatki. Czarny ptak rozłożył niepewnie skrzydła, po czym pofrunął w stronę Zagrody Leifa. Dobiegł stamtąd jakiś ryk, a kiedy zerwałem się na nogi, zobaczyłem płomienie wydostające się spod dachów. Osada płonęła, wszystkie zabudowania. Gdzie się podział Leif i jego ludzie? Czy ogień powstał tak niespodziewanie, że nie udało im się wyjść na zewnątrz? Nie widziałem nikogo między drzewami. Nikogo z wyjątkiem jednego mężczyzny. Był nagi, mokra od potu skóra połyskiwała w poświacie rzucanej przez płomienie. Nie podejmował najmniejszej próby gaszenia pożaru. Stał tylko, wpatrując się w ogień.

Gdy obudziłem się następnego poranka, kruka nie było. Leżałem zwinięty w kłębek pod pledem razem z Fenrem, a lekka bryza od strony lądu niosła zapach lasów i mokradeł. Zagroda Leifa stała na swoim miejscu, pożar okazał się niczym innym jak tylko snem. Ktoś jednak wyniósł klatkę na pokład i otworzył drzwiczki; ptak odleciał.

Leif zjawił się na knarze, by zbadać zwierzęta. Towarzyszył mu jeden z jego ludzi, który zbadał owcom oczy, pomacał im brzuchy i przejrzał sierść, po czym skinął głową, mruczając, że jest tak, jak powinno być. Wówczas Leif zawołał mężczyzn czekających na brzegu, którzy pomogli przenieść zwierzęta na ląd. Owe pięć owiec dla Leifa jego ojciec naznaczył nacięciem na uchu, a były to te najtłustsze w stadzie, ale nikt nie może mieć za złe ojcu, że chce podarować najlepsze zwierzęta swemu synowi. Gunnar Duży pomrukiwał i uważał za co najmniej dziwne, że mamy

zatrzymać aż tyle zwierząt, lecz Leif nie chciał tego słuchać.

– Nie podajemy w wątpliwość słów gości z naszego ludu – rzekł, dodając, że mądrze zrobimy, jeśli pozwolimy zwierzętom powypasać się trochę, zanim ruszymy w dalszą drogę. Vingura przenieśliśmy nad nadburciem swoim starym sposobem. Gdy tylko zdjęliśmy z niego liny, pognał do lasu; jego parskanie dobiegało spomiędzy drzew. Tamtego dnia ja i brat siedzieliśmy razem z Leifem i Gunnarem, a Leif, rysując w pokrywającym palenisko popiele, opowiadał o linii brzegowej i o wyspach, na które natrafimy, żeglując na południe. Opowiadał, gdzie znajdziemy dobre drewno, ale kiedy zapytałem, czy widział modrzewie, tylko pokręcił głową. Rozumiał, że szukam takiego drewna na statki, które chciałbym budować, jednak żadnych nie zauważył, nie wzdłuż tego wybrzeża. Ich statki były dębowe. Jeśli pragniemy modrzewia, będziemy musieli płynąć dalej na południe.

Leif radził nam znaleźć wyspę, bo Skrælingowie trzymali się stałego lądu, a gdy spadł śnieg i lód skuwał wodę, to jego zdaniem wycofywali się w głąb lądu. Niektórzy z osadników zrobili sobie narty i poszli śladami Skrælingów, dwa dni w kierunku wnętrza terenu. Tubylcy, by nie grzęznąć w śniegu, człapali na plecionkach, więc dobry biegacz na nartach mógł ich z łatwością dogonić, a potem bez problemu im uciec. Plecionki na stopach sprawiały, że Skrælingowie stawali się powolni i niezgrabni. Polowali na łosie i jelenie, byli też niezrównani w polowaniu na ptactwo, to im trzeba przyznać. Ale zdaniem Leifa rybacy z nich byli marni, co miało prawdopodobnie związek z tym, że nie mieli statków, w każdym razie nie udało się ich wypatrzeć Leifowi czy jego ludziom. Wiosłowali w tych swoich skórzanych łódkach, niektóre przypominały takie, jakie widzieliśmy u ojca Leifa na Grenlandii. Choć mieli też znacznie większe. Leif sam widział łódkę, którą płynęło ośmiu mężczyzn.

Podobnie jak poprzedniego wieczora, poczęstowano mnie i brata smażoną rybą i gotowanym kozim mlekiem, opuściliśmy więc długi dom Leifa najedzeni do syta. Zanim wyszliśmy, nasz gospodarz powtórzył, że możemy zostać, jeśli tylko mamy na to ochotę. Miejsca na jego wyspie jest dosyć, a on nie będzie pobierał od nikogo podatków. Jedyne, czego oczekuje od nas, to żebyśmy nazywali go hovdingiem i pomagali w pracach, które trzeba wykonać wspólnie, na przykład wycinka drzew na

stałym łądzie, karczowanie ziemi, a także jesienne połowy ryb, które wkrótce miały się zacząć. Leif, jak już wspomniano, planował podróż do domu, zgodnie z życzeniem swego ojca, by spędzić z nim zimę, ale gospodarstwem w jego imieniu zarządzałby Gunnar Duży, doglądając, by wszystko było gotowe na zimę.

Po rozmowie poszedłem z bratem do lasu na tyłach gospodarstwa. Fenre truchtał za nami na swoich trzech łapach i sprawiał niemal wrażenie młodzika. W odległości zaledwie jednego strzału z łuku od Zagrody Leifa znaleźliśmy w trawie zajęcze odchody, a gdy weszliśmy głębiej między drzewa, doznaliśmy uczucia, jakbyśmy wędrowali po odwiecznej puszczy. Sosny wokół nas były poskręcane, nosiły blizny i ślady po złamanych gałęziach i wielu śnieżnych zimach.

– Moglibyśmy tu zostać – odezwał się Bjørn. – Nie musimy płynąć dalej niż do tego miejsca.

Zaskoczył mnie, mówiąc coś takiego. Nie chciał posiadać własnej ziemi, budować statków, bogacić się? Pokręciłem głową z rezygnacją i mruknąłem, że bogactwo oznacza wolność; powiedział mi to kiedyś Halvor. Bjørn odparł, że obaj widzieliśmy bogaczy, zarówno królów, jak i hovdingów i żaden z nich nie wyglądał na szczególnie wolnego.

– Leif i jego ludzie – dodał – znają ten kraj. Jeśli zostaniemy, chociaż przez zimę, będziemy mogli poobserwować, jak sobie dają tu radę. Tu jest bezpiecznie, a jeśli popłyniemy dalej... Nie mamy pojęcia, jakie krainy czekają nas na południu. I niepokoją mnie ci Skrælingowie.

Nic mu nie odpowiedziałem. Być może miał rację. Nieraz myślałem o nim jako o tym bardziej rozsądnym z nas dwóch. Był w końcu starszym bratem. Jednak z Bjørnem było tak jak z większością mężczyzn, nie zawsze potrafił myśleć jasno, zwłaszcza jeśli chodziło o kobiety. Dowiedział tego, gdy służyliśmy w Jomsborgu, a on sypiał z córką Vagna i zrobił jej dziecko. Możliwe, myślałem sobie, wędrując razem z nim między pniami sosen, że teraz też nie myśli klarownie. Gdybyśmy popłynęli tylko kilka dni, tylko kawałek dalej na południe. Gdybyśmy znaleźli wyspę, tak jak to uczynił Leif, bylibyśmy panami siebie, nikt by już o nas nie stanowił. Skrælingów nie musieliśmy się obawiać. W przeciwieństwie do Leifa i jego ludzi byliśmy wojownikami i mieliśmy dużo broni.

Niestety, okazało się, że Bjørn nie był jedynym, który wziął sobie do serca słowa Leifa. Kiedy wróciliśmy do gospodarstwa, Skjalm i Vidar rozmawiali na placu z Gunnarem Dużym. Gunnar wskazywał okaleczoną ręką w kierunku południowej części zagrody, gdzie Skjalm, Vidar i wielu innych spędzili noc. Teraz z dymarki wydobywał się dym i słyszeliśmy śpiew mężczyzn. Bjørn zatrzymał się i w zamyśleniu podrapał po brodzie. Nie tyle dymarce się przyglądał, ile naszej załodze. Mój brat miał bardzo wyostrzone zmysły. Nikt na pokładzie nie był lepszy w obserwowaniu horyzontu niż on. Nie wszyscy jednak wiedzieli, że miał również świetny słuch. Niewykluczone więc, że z naszego miejsca słyszał toczącą się w oddali rozmowę. Chwycił mnie za ramię.

– Chodź – zakomenderował. – Sprawdźmy, co się dzieje.

W tym czasie znajdował się tam most nad potokiem, zrobiony z grubych kłód o ociosanych na płasko końcach. Woda w potoku była tak przejrzysta, że mogłeś policzyć kamyki na dnie. Po drugiej stronie wzniesiono torfowy dach, a pod nim ustawiono imponującej wielkości kamienne kowadło o beczkowatym kształcie. O kilka długości włóczni od torfowego dachu stał piec dymarski. Sięgał człowiekowi do pasa i był prawdopodobnie zrobiony z masy powstałej z końskich odchodów, gliny i kamieni. Miech był skierowany ku niewielkiemu otworowi tuż nad ziemią, a z komina dymarki wydobywały się płomienie i iskry. Znajdowało się tu także kilka dołów, w których wypalano węgiel drzewny. Przystanąłem przy jednym z nich i zajrzałem do środka. Leżały tam resztki z klepek, porąbane sosnowe i brzozowe gałęzie, pod drewnem zaś widać było dno dołu wyżłobione w skale. Wkrótce mieli to zapalić, przykryć deskami, ziemią i mchem, tak by drewno wypaliło się na węgiel. Węgiel trafiał prosto do dymarki, bo używając węgla, znacznie łatwiej dawało się utrzymać odpowiednio wysoką temperaturę. Hutten pokazał mi kiedyś, jak kroić torf, a potem wyprażać nad ogniskiem, by zostawała tylko rudobrazowa masa. Tę właśnie masę należało wrzucić do piecowego komina, razem z węglem. Następnie tłoczono miechem powietrze, a niesamowite ciepło wypalało wszystko oprócz żelaza, które zostawało w postaci gruzy.

Skjalm, Vidar i wielu innych członków załogi rozbiło obóz w odległości dwóch, trzech długości masztu od miejsca wypalania żelaza. Rosły tam kępy karłowatych

brzóz, między którymi rozpięli namiotowe płachty. Skjalm i Vidar zakończyli rozmowę prowadzoną na placu i schodzili w kierunku mostu. Nie zwalniając kroku, Skjalm rozłożył szeroko ramiona.

– To jest dopiero wspaniała ziemia! – wykrzyknął. – Widzicie bracia, jaka wspaniała?

Kobiety i dzieci wyszły spod prowizorycznego zadaszenia. Kilku mężczyzn stojących przy potoku z wędami wyciągnęło je z wody i skierowało się ku nam.

Wielkim mówcą nigdy nie byłem i w tym momencie nie wiedziałem, co odpowiedzieć, ale uprzedził mnie Bjørn.

– Wszyscy widzą, że to wspaniała ziemia, Skjalmie! Lecz jakoś nie słyszałem, byś podziękował mojemu bratu za to, że nas tu przywiódł!

– Więc dziękuję mu teraz! Ale ten jeden raz wystarczy! Bo wiem, że to on wypuścił mojego kruka!

Przeszli we dwójkę przez most i zatrzymali się tuż przed nami.

– Torsteinie Tormodsonie – rzekł Skjalm. – Torsteinie Szkutniku, Torsteinie Kulawy... – Przekrzywił głowę i zarechotał, świetnie sobie zdając sprawę, co myślę o tym nowym przydomku. – Wiem, że nie podobało ci się, że trzymałem kruka w klatce. Ale był moją własnością, nie twoją.

– Nie wypuściłem twojego kruka – rzuciłem. – I nie będziesz mnie nazywał Torsteinem Kulawym.

Skjalm zaśmiał się, lecz odwrócił wzrok. Dobrze wiedział, jak gwałtownie mogłem wpaść we wściekłość.

– Porozmawialiśmy z niektórymi. – Skjalm skinął głową w kierunku Vidara. – Pomówiliśmy też z Leifem i Gunnarem Dużym.

– To hovding powinien rozmawiać z nimi – odparł Bjørn. – Nie załoga.

– Będziemy rozmawiać, z kim nam się spodoba – rzucił Vidar z irytacją w głosie.

– Racja – dodał Skjalm. – Jesteśmy wolnymi mężczyznami i rozmawiamy, z kim chcemy i o czym chcemy. I jako wolny człowiek oznajmiam, że ja i wielu innych zostajemy tutaj.

– Ale przecież mamy płynąć dalej – zaprotestowałem. – Dalej na południe rosną lasy. Modrzewie...

– I co zrobisz z tymi drzewami? Statki zbudujesz?

– Tak. I ty o tym dobrze wiesz, Skjalmie.

Vidar splunął na ziemię.

– I sądzisz, że komu te statki sprzedasz, Torsteinie? Na Islandii nie możesz się przecież pokazać.

– Sprzedam je Erykowi na Grenlandii. On być może sprzeda je dalej, na Islandii. Albo poześlujemy z nimi na Wyspy Owcze i...

– Słyszałeś? – Vidar zwrócił się do Skjalma. – Tak, jak powiedziałem.

Bjørn zrobił krok do przodu.

– Co masz na myśli?

Skjalm spojrział na niego.

– Rozumiesz, co mam na myśli. Po tym, co się wydarzyło na Islandii, twój brat stracił głowę. Nie ma już żadnego planu na tę wyprawę. Opowiada o budowaniu i sprzedawaniu statków, ale czy to nie Islandczykom mieliśmy je sprzedawać? Na Grenlandii ludzi mieszka niewiele i jeśli się nie mylę, mają już tyle statków, ile potrzebują.

– Może tak, może nie. Kłód drewnianych jednak nie mają. A tego, czego człowiek nie ma, zechce kupić. Możemy ścinać drzewa i sprzedawać im gotowe drewno.

– Możecie – odparł Skjalm. – Ale beze mnie, bo ja tu zostaję. Vidar także.

Vidar odchrząknął.

– Zgadza się, zostaję.

– Jesteście załogą statku – powiedziałem. – Przyrzekaliście mi wierność.

Skjalm podparł się w pasie dłońmi zaciśniętymi w pięści i zmierzył mnie pogardliwym wzrokiem.

– Jak myślisz, właściwie to dlaczego popłynęliśmy z tobą? Nie z twojego powodu, Torsteinie. W starym świecie nie ma już dla nas, jomswikingów, miejsca, ale tu możemy być wolni. Tu możemy zdobyć bogactwa. Wydaje nam się, że ten Leif jest lepszym hovdingiem niż ty i jeśli człowiek chce się wzbogacić, powinien raczej postawić zręby swego domu na tej wyspie, a nie płynąć dalej z tobą.

Zrobiłem krok w jego stronę, zacisnąłem pięści. Skjalm jednak nie ustąpił, napotkał moje spojrzenie i wytrzymał je. Wówczas wszedł między nas Bjørn.

– Nie będziemy więcej o tym mówić. Ale wiedz, Skjalmie, że ani mój brat, ani ja nie wybaczymy tej zdrady, ani tobie, ani twoim towarzyszom. – Po czym chwycił mnie za ramię i pociągnął za sobą.

Już poprzedniego wieczora mniej więcej połowa załogi udała się ze Skjalmem i Vidarem na miejsce sąsiadujące z dymarką, a teraz wyglądało na to, że mają zamiar pozostać na wyspie. Halvor poszedł porozmawiać z nimi, rozmowy lepiej mu wychodziły niż mnie i bratu. Wspólnie z Bjørnem postanowiliśmy wypłynąć następnego dnia rano, gdy tylko przerzucimy zwierzęta na pokład i zanim stracimy kolejnych członków załogi. Zrobiło się późne popołudnie i stojąc z Sigrid przy nadburciu, obserwowaliśmy obozowisko przy dymarce. Halvor wciąż tam przebywał, żywił jeszcze nadzieję, że uda mu się ich przekonać do dalszej żeglugi. Chwilami siedział pod zadaszeniem, żartując z ludźmi, chwilami rozmawiał z Vidarem i Skjalmem. Teraz położył po przyjacielsku dłoń na ramieniu Vidara, ale ten miał go najwyraźniej dość, bo się usunął. Halvor podszedł do Skjalma i próbował tego samego, lecz Skjaln gwałtownie odtrącił jego dłoń.

Wciąż stałem przy nadburciu z Sigrid, gdy podszedł do mnie Hutten. Stary Szkot nie był zbyt widoczny podczas podróży, milczał, przesiadywał przeważnie w samotności.

– Dymarkę mają tu dobrą – odezwał się cicho i uśmiechnął do dziecka w ramionach Sigrid. – Jeśli ziemia jest bogata w żelazo, dużo go wytopią.

Nie odpowiedziałem. Fenre siadł przy nadburciu i zaczął wylizywać kaleką nogę.

– Pamiętasz, czego cię uczyłem o rudzie żelaza?

Pokiwałem głową. Sigrid pogładziła mnie po ręce i usiadła z maluszką na skrzyni wioślarskiej na śródkręciu. Woląca zostawiać mnie w spokoju, kiedy wdawałem się w takie rozmowy.

– Gdy dymarka ostygnie, a ty wygrzebujesz bryłę żelaza, musisz być surowy wobec siebie. Niektóre bryły mają zbyt wiele zanieczyszczeń. Zacziesz ją kuć, ale okaże się, że to, co z niej uformujesz, topór, nity, klingę noża, będzie kruche. Zatem bryłek o złej jakości nie wykorzystujemy. Przyjmujemy do wiadomości, że nie są wystarczająco dobre.

– Nie mam dziś ochoty na lekcję dymarstwa – mruknąłem.

– Z ludźmi jest tak jak z bryłami żelaza. Bez niektórych lepiej sobie poradzimy.

Popatrzyłem na niego. Krępy, posiwiały Szkot zrzucił z siebie wełnianą opończę, w której zazwyczaj chodził, i stał odziany w tunikę do kolan, bosy, z gołymi nogami. Uśmiechnął się do mnie, kiwnął głową i ponownie zwrócił wzrok w stronę miejsca, gdzie stała dymarka.

– Ci, którzy chcą zostać, niech zostaną. Powinniśmy się cieszyć, że się ich pozbywamy. Ale jako ktoś, kto był twoim nauczycielem, a teraz jest twoim przyjacielem, chciałbym ci dać jeszcze jedną radę.

Nie był najwyraźniej pewien, jak się powinien wysłowić, bo gdy zapytałem, co to za rada, pomruczał najpierw sam do siebie w ojczystym języku, wzruszył mięsistymi ramionami, a w końcu oparł dłonie o kant nadburcia.

– Chodzi o Sigrid – rzekł przytłumionym głosem.

– Co się jej stało?

– Nic złego jej się nie stało, chodzi o... – Hutten rzucił mi szybkie spojrzenie. – Nie stoję tu i nie twierdzę, że jej nie kochasz, Torsteinie. Wiem, że ci zależy i na niej, i na twoim synu.

– No więc, cóż to za rada, której chcesz mi udzielić?

Hutten wbił we mnie spojrzenie swoich brunatnych oczu.

– Musisz ją widzieć, chłopcze. Widzieć ją tak, jak mężczyzna widzi kobietę, którą kocha. Bo ją kochasz, prawda?

Nie były to słowa, których spodziewałem się usłyszeć od Huttena lub od kogoś innego na statku. Szkot jednak nie spuszczał ze mnie wzroku, oczekiwał odpowiedzi.

– No, tak... Pewnie, że ją kocham – powiedziałem.

– Więc na nią patrz. Przytul ją od czasu do czasu. Porozmawiaj z nią. Wyruszyła z tobą jako twoja żona. Tak też ją traktuj. Pokaż, że ci zależy na twoim synku. Nie popełniaj błędów, który ja popełniłem, Torsteinie. Nie wiemy, jak długo będziemy mieli tych, których kochamy. Więc trzymaj ich przy sobie, gdy masz ku temu sposobność. Pewnego dnia będzie za późno.

Mówiąc to, odszedł, a ja stałem przy nadburciu jak dureń. A durniem rzeczywiście byłem, bo musiałem przyznać Szkotowi rację. Tak wiele spraw wypełniało moje

myśli. Statek, załoga, zwierzęta na pokładzie. Fale i wiatr, i wszystko, co nas otaczało. Nowy nieznany krajobraz. Jednak musiałem przyznać, że dla Sigrid okazałem się złym mężem i ojcem też nieszczególnym. Nie myślałem o swoim synu inaczej niż „chłopczyk”, a przecież on miał imię i czas najwyższy, bym go tym imieniem zaczął nazywać.



9

Pierwszy śnieg

Odpływając z Wyspy Leifa w kierunku południowym, mieliśmy na szczęście pomyślny wiatr. Było nas teraz mniej na pokładzie, nie mogliśmy zatem wiosłować knarą. Lecz mówiąc szczerze, nie sądzę, by komuś z nas brakowało tych, którzy zostali u Leifa. Pod pokładem zrobiło się dużo miejsca, wody pitnej mieliśmy w bród i wciąż było nas wystarczająco wielu, by móc wybudować domy, a w razie potrzeby ich bronić. Oprócz Sigrid, Ravntora i małej niewolnicy z Islandii na pokładzie nie było teraz kobiet i dzieci. Z tych mężczyzn, którzy wyruszyli ze mną z Orkadów, została ledwie połowa. Wymieniłem ich już z imienia, ale skoro zdecydowali się towarzyszyć mnie i mojemu bratu, zasługują na więcej słów. Oprócz mego brata, Halvora, Huttena, Eysteina i Valpa pozostał z nami Eilef Sakwa. Był, jak wspomniałem, dalekim krewnym innego jomswikinga, mężczyzny w słuźnym wieku, grubo ciosanego, którego zwano Kåra Skanijczyk. Jego przydomek był dość specyficzny, bo pochodził z Jutlandii, a nie ze Skanii. Wyspę Leifa opuścili też razem z nami bracia Helge i Asmund, Norwegowie, tak jak ja i Bjørn, których rozdzielono w dzieciństwie

i którzy odnaleźli później drogę do Jomsborga. Orm Przynęta też płynął z nami. Był to barczysty, rosły mąż o wspaniałej brodzie koloru zboża. Orm urodził się gdzieś na południu Vingulmorku, a przydomek otrzymał jeszcze w dzieciństwie, gdy pewnego razu zanurkował po małże, a zębacz odgryzł mu palec wskazujący; nazywali go też „Orm z palcem na ryby”. Orm Przynęta był bratankiem Borka, czarnobrodego syna niewolnicy, w Jomsborgu nazywano go często „Bork łeb w kubie”, ponieważ po każdej uczcie klęczał cały dzień z głową w kubie i wymiotował. Ostatnim z pozostałych na pokładzie był mąż zwany Torvarem Bezbożnikiem. Torvar często mnie obserwował, kiedy trenowałem pod okiem Ulfara Oracza, bo i jego tak szkolono w młodości. Teraz miał posiwiałą brodę, przerzedzone włosy i był najstarszy z tych, którzy przyłączyli się do nas po bitwie pod Svolder. To byli porządni ludzie, przeciwko którym nigdy nic nie miałem.

Nie zapomniałem nauk Huttena i już pierwszego dnia na morzu porozmawiałem z Sigrid. W słowach mocny nie byłem, zwłaszcza gdy musiałem je powiedzieć kobiecie; nawet z Sigrid nie zawsze było mi łatwo rozmawiać. Zapytałem najpierw, czy z Ravntorem wszystko dobrze, ona potwierdziła skinieniem głowy i przez jakiś czas staliśmy na dziobie, obserwując horyzont. Świeciło słońce i wciąż wiał północny wiatr, ale ponieważ żeglowaliśmy z kierunkiem wiatru, miało się wrażenie, że jest niemal bezwietrznie.

– Może wolałabyś zostać – zagadnąłem po chwili. – Na wyspie.

Sigrid milczała. Swoją opończę szczelniej otuliła dziecko.

– Reszta kobiet została – dodałem. – Również dzieci.

Wciąż milczała.

– Boisz się Skrælingów? – zapytałem i natychmiast pożałowałem swoich słów, bo teraz Sigrid wbiła we mnie wzrok, a spojrzenie jej błękitnych oczu było tak nieprzejednane jak nigdy.

– Nie obawiaj się – rzekłem. – Jesteśmy wojownikami. Jesteśmy jomswikingami.

Wtedy w końcu otworzyła usta.

– Jomswikingami jesteście. Ale ty jesteś również ojcem. Czasami sprawiasz wrażenie, jakbyś o tym zapomniał, Torsteinie. Nawet ze mną nie rozmawiasz. Jak się

do mnie zbliżasz, to tylko po to, żeby mnie osiąść. Przedtem taki nie byłeś.

Teraz to mnie odjęło mowę. Przecież właśnie o tym mówił Hutten.

– Jeśli mnie pytasz, Torsteinie, to odpowiem, że owszem, wolałabym zostać w Zagrodzie Leifa. Przynajmniej przez zimę.

– To dlaczego nic nie mówiłaś?

– Jestem twoją kobietą. Jak by to wyglądało, gdybym ci się sprzeciwiała? I rozumiem, że nie chcesz żyć na łasce innego człowieka. – Przytuliła Ravntora do siebie. Pogłaskała go po policzku i po znamieniu, pocałowała w główkę. – Gdy zjedziemy na ląd, gdziekolwiek to będzie, musisz zrobić wszystko, by nasz syn nie wpadł w ręce Skrælingów. Musisz mi to obiecać, Torsteinie.

– Obiecuję – odparłem.

Przez resztę dnia, aż do późnego wieczora, płynęliśmy wzdłuż wybrzeży Wyspy Leifa. Wiatr zmienił kierunek, po tym jak słońce zanurzyło się w morzu, ale po obróceniu rei i naciągnięciu szotów odbiliśmy nieco na zachód. I tak byśmy obrali ten kierunek, gdyż pora jasnych nocy letnich już minęła, trudno było rozróżnić, co jest lądem, a co morzem. Żeglowaliśmy w nieprzerwanym, falującym mroku.

Tej nocy statkiem sterowali Bjørn i Eystein, ja leżałem pod pokładem razem z Sigrid i dzieckiem. W ciemnościach, pod pęczkami suszonej ryby chybotającymi się pod deskami pokładu, z zapachem zwierzęcego łajna w nozdrzach, przyrzekłem jej, że stanę się lepszym mężem. I ojcem lepszym też się stanę. Dodałem, że żałuję, że się od niej oddaliłem, że nie rozmawiałem z nią częściej po opuszczeniu Islandii. Wtedy odwróciła do mnie twarz, ułożyła się z głową na moim ramieniu i Ravntorem między nami. Pogłaskała mnie po policzku, po brodzie i położywszy mi dłoń na szyi, leżała z palcami wplecionymi w moje włosy.

Jeśli ci, którzy to czytają, mają łódź, zrozumieją, co mam na myśli, mówiąc, że kiedy dowodzisz statkiem, rzadko się wysypiasz. Nawet mając brata przy wiośle sterowym, nie dasz rady całkowicie pograć się we śnie. Dlatego momentalnie byłem na nogach, gdy tamtej nocy Torvar Bezbożnik wpadł do końskiej studzienki. W pierwszej chwili pomyślałem, że zderzyliśmy się ze szkierem, i pospieszyłem na górę do Bjørna

i Eysteina. Przy okazji niemal zdeptałem Torvara, bo leżał, nie wydając z siebie najmniejszego dźwięku. Bjørn i Eystein nie mieli pojęcia, co się stało, ale ich zdaniem hałas dobiegł ze statku i pewnie na nic nie wpłynęliśmy. Wtedy Torvar doszedł do siebie. Jęczał i leżąc twarzą w końskich „jabłkach”, narzekał na swój los, a Eystein i ja, zszedłszy do niego, zapaliliśmy pochodnię.

Okazało się, że Torvar właśnie wychodził na górę, by się wysikać, ale statkiem zakołysało, stracił równowagę, wpadł do studzienki i uderzył się w głowę. Był kompletnie pijany i nie mogliśmy pojąć, jak zdobył trunek, ponieważ piwo już dawno nam się skończyło. Wtedy wymamrotał, że ukradł wino w Zagrodzie Leifa. Przełał je ze znalezionego przypadkiem bukłaka, zastępując je wodą, tak by ludzie z osady niczego nie zauważyli. Zdrowo się własną historijką bawił, ale gdy dotknęliśmy jego rąk i nóg, zaczął wrzeszczeć. Okazało się, że spadając do studzienki, spłoszył Vingura i kiedy stary jomswiking leżał nieprzytomny z twarzą w końskich „jabłkach”, zwierzę nastąpiło mu na przedramię. Kości sterczały tuż pod skórą, były połamane.

Poczekaliśmy do świtu z unieruchomieniem ręki Torvarowi, ponieważ potrzebowaliśmy do tego dziennego światła. Wypił resztę skradzionego wina, jęczał jednak, kiedy ciągnęliśmy go za łokieć i dłoń, próbując nastawić kości. Gdy skończyliśmy, legł wykończony na pokładzie, mamrocąc, że to zły znak, że najlepiej byłoby wyrzucić go za burtę, żeby go sobie Ran zabrała, bo teraz nieszczęście będzie już szło za nim, obojętnie gdzie by się udał.

Gadaniem Torvara niezbyt się przejmowaliśmy, ale my, mężczyźni, zebraliśmy się pod masztem na naradę tego ranka i wszyscy byliśmy zdania, że najlepiej będzie zawrócić i zostawić Torvara w Zagrodzie Leifa. Lecz kiedy poluźniliśmy szoty i szykowaliśmy się do zwrotu, Torvar podniósł bunt. Stał na nogi i groził wyskoczeniem za burtę, jeśli chcemy go zostawić u Leifa.

– Raczej się utopię, niż zamieszkam u chrześcijańskiego hovdinga!

Skończyło się na tym, że popłynął dalej z nami.

Po dotarciu do końca Wyspy Leifa skierowaliśmy się na zachód. Każdego dnia od chwili opuszczenia Orkadów Hutten robił nacięcie na desce i jego zdaniem teraz był

początek miesiąca, który my, Norwegowie, zwaliśmy Miesiącem Żęcia Zboża³⁴. Wkroczyliśmy w ostatnie dni lata i wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że jeśli mamy zdążyć z budową domów przed zimą, musimy jak najszybciej znaleźć dogodne miejsce. Żeglłowaliśmy przez dwie doby, zanim zauważyliśmy jakąś wyspę; leżała na północ od nas, wciąż jednak znajdowaliśmy się na otwartym morzu. Szliśmy zatem dalej w kierunku zachodnim, bo północny wiatr był sprzyjający i stabilny. Przeszła kolejna doba, nim wraz z nadejściem świtu mogliśmy śledzić wzrokiem linię brzegową. Podążyliśmy wzdłuż niej kursem południowym, ale utrzymując spory dystans, gdyż Gunnar Duży przestrzegał przed tutejszymi mieliznami i szkierami. Już z daleka mogliśmy stwierdzić, że nie brakowało tam lasu, a drzewa były wyższe niż na północy. Rosły tu olbrzymie, strzeliste świerki, a między nimi połyskiwały złociste liście klonów. Z tych drzew można budować i domy, i statki, i chociaż wciąż nie udało nam się wypatrzeć modrzewia, wszyscy uważali, że to ziemia dla nas. Zrobiliśmy naradę pod masztem i nie było nikogo, kto uważałby, że należy płynąć dalej. Postanowiliśmy zejść na ląd, jak tylko znajdziemy przytulną zatoczkę. Po krótkim czasie znaleźliśmy się na południe od podłużnej wyspy, która osłaniała nas przed falami i wichrami znad otwartego morza; rozciągała się na odległość dnia żeglugi w kierunku południowo-wschodnim. Wybrzeże na południe od nas było urodzajne, a wokół zatoczek i ujść rzek rosły gęsto dęby i klony oraz wiele nieznanych nam gatunków drzew. Gdybyśmy mieli więcej ludzi na pokładzie, popłynęlibyśmy w górę jednej z rzek, lecz bez wystarczającej liczby wioślarzy wiosłowanie Danem pod prąd było niemożliwe. Wpływaliśmy zatem do kolejnych zatoczek i wypatrywaliśmy miejsc, gdzie dno było płaskie i niezbyt zarośnięte. Najchętniej osiedlilibyśmy się na południowym zboczu, tak by śnieg wiosną topił się tam jak najszybciej.

Nie zapomnieliśmy o przestroгах, których udzielili nam Leif i jego ludzie, ale nigdzie nie widzieliśmy śladów Skrælingów. Rada, żebyśmy się osiedlali na wyspie, wydawała się mało rozsądna w tutejszych warunkach. Wyspa na północ od nas sprawiała wrażenie jałowej i niegościnniej, byliśmy z bratem zgodni co do tego, że zima na niej nie należałaby do dobrych. Posuwaliśmy się na wschód, a południowe wybrzeże stawało się coraz piękniejsze, o bujniejszej roślinności. Krajobraz nie nosił śladów dzikości, do której przyzwyczały nas wyspy na wschodzie, nie było gór

i nadmorskich klifów. Wybrzeże najbardziej przypominało Vingulmork. Znajdowały się tu okrągłe nadmorskie skałki i zaciszne zatoki, gdzie klony dosięgały gałęziami wody. Gdyby korony drzew nie połyskiwały złociście, moglibyśmy łatwo uwierzyć, że dotarliśmy tak daleko na południe, że tej zimy śniegu nie ujrzymy. Ale podobnie bywało w rodzinnym Vingulmorku. Tam lata mogły być tak upalne, że wystarczyło skąpe ubranie, i czasem takie ciepło mogło się utrzymać do późnej jesieni, aż pewnego dnia budziłeś się zaskoczony widokiem oszronionej ziemi.

Wszyscy na pokładzie mieli ochotę zejść na brzeg. Sigrid stała przy mnie z Ravntorem na rękach, równie niecierpliwa, jak reszta. Jeszcze jedna wysepka wyrosła na horyzoncie, leżała kawałek przed nami, ale i ona robiła wrażenie jałowej i narażonej na wiatr, a poza tym była mała, w zasadzie szkier. W tym momencie Bjørn uniósł dłoń i pokazał wybrzeże na południe od nas.

– Ten cypel, tam! – zawołał. – Podpłynmy i zobaczymy, czy można przybić z drugiej strony.

Wkrótce okazało się, że cypel jest półwyspem połączonym z lądem wąskim pasem piasku i kamieni. Musieliśmy opłynąć go od strony wschodniej. Gdy tylko znaleźliśmy się po południowej, zawietrznej stronie wyspy, otworzyło się przed nami pięć dających schronienie zatoczek. Tę najbardziej wysuniętą na wschód nazwaliśmy później Rybią Zatoczką, bo nie brakowało w niej ryb. Na zachód od zatoczki leżała przystań, osłonięta ze wszystkich stron przed wiatrami. Stąd jedynie wąski przesmyk prowadził na południe do zatoki okrągłej niczym koło. Tę zatoczkę nazwaliśmy po prostu Przystanią. Przylegający do niej półwysep otrzymał nazwę Wyspy Reniferów, ponieważ od czasu do czasu zwierzęta te przekraczały piaszczysty pas łączący półwysep z lądem. Wyspa Reniferów wraz z naturalnym piaszczystym łącznikiem tworzyła północną część większej zatoki nazwanej przez nas Zatoką Wielką, a mnóstwo maleńkich zatoczek i wąskich wcięć urozmaicało jej południowe i zachodnie brzegi. Tu napotkaliśmy też ujście rzeki i jeszcze jeden półwysep. Biegł on w kierunku wschodnim i podobnie jak Wyspa Reniferów, łączył się wąskim pasem ziemi z czymś, co na początku wzięliśmy za stały ląd. Ten skrawek lądu nazwaliśmy po jakimś czasie Wyspą Niedźwiedzia, bo właśnie takiego zwierza ujrzał tam

pewnego dnia Eystein.

Przez dłuższą chwilę napawaliśmy się widokiem ziemi. Ponieważ stanowiliśmy tak nieliczną grupę, wiosłowanie knarą było w zasadzie niemożliwe. Opuściwszy reję i żagiel, nie ruszylibyśmy z miejsca przed ponownym wciągnięciem żagla. Ta myśl mnie przerażała, bo jeśli mieszkali tu Skrælingowie, bez trudu mogli się do nas dostać na swoich skórzanych łódkach, zanim nam udałoby się ponownie ruszyć statkiem. Nie byłem nieostrożnym durniem, jak twierdziło wielu rozprawiających o naszej wyprawie osadniczej. Trwałem przy wiosle sterowym, podczas gdy Sigrid z małym Ravntorem oraz Bjørnem stali na dziobie, obserwując ląd przed nami. Zrobiliśmy dwie rundy po Zatoce Wielkiej, zanim powolutku wpłynęliśmy do Przystani. Tu w końcu opuściliśmy reję i rzuciliśmy kotwicę. Kompletna cisza zapanowała na knarze, Bjørn i Eystein spuścili łódkę za burtę, a ja wszedłem do niej w towarzystwie brata, Halvora i Huttena.

Są chwile, gdy myślę, że nawet Asgard nie jest piękniejszy od lasu, w który wkroczyliśmy tamtego dnia. Drzewa nie rosły zbyt gęsto, jak to bywa ze świerkowymi lasami w rodzinnym Vingulmorku. Mogłeś wędrować z rozłożonymi ramionami i w każdym miejscu, podnosząc oczy, widziałeś niebo nad sobą. Nie było tu żadnych wzniesień, wyspa była płaska niczym kraj Danów. Przeszliśmy najpierw na północ, odległość na drugą stronę wyspy nie wynosiła więcej niż jakieś cztery, pięć strzałów z łuku, a potem piaszczystą plażą podążyliśmy na zachód, aż napotkaliśmy tę wąziutką nitkę ziemi łączącą nas z lądem. Tworzyły ją wystające z wody skałki i głazy otoczone piaszczystymi łachami. Przyływ nadchodził tu gwałtownie i w tym czasie, kiedy tam staliśmy, łachy zniknęły nam z oczu. Zdaniem Huttena nie można było sobie wymarzyć nic lepszego. Znajdowaliśmy się w pewnym sensie na wyspie, ale podczas odpływu mogliśmy przez łachy przedostać się suchą nogą na ląd. Przy niskim stanie wody wystawialibyśmy strażę, ale gdy morze zatopi łachy, raczej nikt nie będzie próbował przedostać się na nasz brzeg. Gołym okiem dało się dostrzec, jak silny jest tu prąd płynący od strony otwartego morza.

Od północno-zachodniego rogu Wyspy Reniferów, skąd wychodziła owa piaszczysta nitka lądu, wróciliśmy lasem do zatoczki, gdzie zakotwiczyliśmy. Po

drodze widzieliśmy sporo drzew liściastych, zarówno klonów, jak i brzoź, ale nie chcieliśmy tu wycinać drzew, z wyjątkiem tego, co będzie konieczne przy karczowaniu miejsca pod zabudowania. Rozmawialiśmy o tym w czasie wędrówki. Wiatr hulałby bezkarnie po pozbawionej drzew wyspie, a zimowe sztormy usuwałyby nam grunt spod nóg.

Sądzę, że wszyscy byli świadomi tego, że oto dotarliśmy do miejsca, w którym spędzimy zimę. Najpierw chciałem zwołać naradę pod masztem, ale Halvor pokręcił głową i stwierdził, że nie ma nikogo na pokładzie, kto mógłby sobie wyobrazić lepszą przystań niż ta.

Noc spędziliśmy na Danie, a następnego dnia już o poranku zauważyliśmy cztery renifery przy brzegu, które przeszły pomostem z piachu podczas odpływu. Bork, Asmund i Helge powiosłowali, by upolować jedno ze zwierząt, lecz nim dopłynęli, renifery wycofały się do lasu. Trójka myśliwych puściła się za nimi w pogoń i zobaczyła, że zwierzęta uciekają przez piaszczysty pomost, ale nie podążyła ich śladem. Byliśmy zgodni co do tego, że trzymamy się wyspy, dopóki nie rozpoznamy najbliższego terenu i porastającego go lasu. Leif i Gunnar Duży radzili nam spędzić co najmniej dwie doby w miejscu, gdzie rzucimy kotwicę, zanim zaczniemy badać dalszą okolicę. Jeśli okazałoby się, że w pobliżu są Skrælingowie, nie trzymaliby się długo z daleka, byli najwyraźniej bardzo ciekawscy. Razem z bratem pogrzebaliśmy trochę w ziemi i chociaż nie bardzo się na tym znaliśmy, przypominała ona ziemię uprawną, jakie widzieliśmy na duńskich wyspach. Już na głębokości jednej stopy znajdował się piach, ale powyżej leżała warstwa gleby i Hutten uważał, że jeśli będziemy nawozić ziemię wodorostami, możemy zebrać dobre plony.

Przy piaszczystym pomoście Halvor, Borg i Kåra Skanijczyk postawili palisadę, tak by dało się wypuścić zwierzęta na ląd. Owce natychmiast czmychnęły do lasu, natomiast kozy, ku naszemu zdziwieniu, trzymały się plaży przez cały pierwszy dzień, ale gdy wyszliśmy na pokład następnego poranka, po nich też nie było śladu. Kury, trzepocząc skrzydłami, usadowiły się na gałęziach jak na grzędzie, a Hutten mruczał, że to nie najlepszy pomysł wypuszczać je na swobodę, bo przecież są tu pewnie lisy i drapieżne ptaki, tak jak w innych krajach. I chyba zapeszył, bo pierwszej nocy dwie

kury zniknęły.

Sigrid była szczęśliwa, że wreszcie nadszedł kres podróży, i przez pierwsze dni spacerowała z dzieckiem na ręku, rozglądając się dookoła. Myślała sobie pewnie, że to teraz jest jej wyspa, i w zasadzie miała rację. Byłem hovdingiem dla pozostałej przy mnie załogi, ona zaś była żoną hovdinga. Może oczyma wyobraźni widziała okazały długi dom, z drzwiami zamykanymi na zamek, a przed drzwiami siebie z kluczem u pasa, czekającą na przybyszów, którzy właśnie wpływają do zatoki. Bo ludzie się zjawiają, byliśmy przecież oddaleni o zaledwie kilka dni żeglugi od Wyspy Leifa. A może odnaleźliby tu drogę żeglarze z samej Grenlandii. Wówczas powitałaby ich Sigrid.

Postanowiliśmy postawić nasze domy przy Przystani. Była to, jak wspomniałem, najbardziej osłonięta od wiatru zatoczka. Nigdy przedtem nie widziałem lepszego portu, którego nie zrobiła ludzka ręka. W dodatku nie musieliśmy rzucać kotwicy, bo Przystań otaczały miękkie wydmy i nawet kompletnie pijany sternik mógł bezpiecznie przybić do brzegu.

Ponieważ liście klonów już pożółkły, zdawaliśmy sobie sprawę, że trzeba budować domy, nie tracąc ani chwili. Nie wiedzieliśmy, jak będzie wyglądać noc polarna w tym obcym miejscu, więc postanowiliśmy trzymać zwierzęta pod jednym dachem z ludźmi, przynajmniej tej pierwszej zimy.

Hutten i Borg wyłapali owce i zabrali się do strzyżenia, a pozostali zajęli się wycinką drzew. Chcieliśmy oszczędzić las na wyspie, choć trochę jednak należało wykarczować, by mieć miejsce pod zabudowania. Chcieliśmy także mieć oczyszczony pas wokół zagrody, by Skrælingowie lub inni obcy nie mogli się do nas podkraść. Zbyt wiele prostych drzew na wyspie nie rosło, bo dmuchało tu silnie i wichury ponaginały pnie. Potrzebowaliśmy jednak prostych pni, żeby wznieść ściany domów. Dlatego wkrótce przeszliśmy piaszczystym pomostem na drugą stronę, jednak tu także drzewa były pokrzywione i powyginane przez wiatry. Wobec tego pożeglowaliśmy do Zatoki Wielkiej, rzuciliśmy cumę na przybrzeżną płaską skałę, spuściliśmy kotwicę za rufę i ruszyliśmy w tamtejszy las.

Rzadko miałem okazję wędrować w tak bujnym i wysokim lesie, jaki rósł na południu przy Zatoce Wielkiej. Wystarczyło oddalić się na rzut kamieniem od brzegu,

a las zamykał się za tobą. Tu wszystko wypełniało się woniami mchu i mokrych liści, słony zapach wodorostów i morza ustępował, wiatr cichł. Piękny był to las i stojąc tam między pniami świerków i wysokich klonów, nie zdołaliśmy wyrzec ani jednego słowa. Wycinanie tutaj drzew wydawało się czymś niewłaściwym, więc weszliśmy głębiej, na jeszcze kilka strzałów z łuku. Las stawał się w naszych oczach coraz piękniejszy. Dla chrześcijanina może byłoby dziwaczne, że nie ruszyliśmy z siekierami na te drzewa. Sądzi taki, że wszystkie zwierzęta i rośliny zostały stworzone dla człowieka, ale my czuliśmy inaczej. Tu las stał nietknięty być może od samego początku czasu. Coś szczególnego jest w takim lesie.

Przypominam sobie, że nagle Hutten coś zauważył. Jego kudłata postać prześliznęła się między paprociami i porośniętymi mchem wzgórkami, po czym usłyszeliśmy jego wołanie, że musimy przyjść i coś zobaczyć. Gdy tam dotarliśmy, stał uśmiechnięty, z dłonią opartą o pień drzewa.

– Masz swój modrzew – powiedział. – A tam gdzie jest jeden, będzie ich więcej.

Tym sposobem znaleźliśmy modrzewie, o których dotąd tylko słyszeliśmy, owe przedziwne drzewa gubiące jesienią igły; drzewa, których twardziel nie gnije. Wyszarpnąłem siekiere z troku u pasa i uniosłem do ciosu, ale zawahałem się. Na to Halvor odsunął mnie na bok i mruknął poirytowany, że wystarczy tego. Potem chwycił toporek i zaczął rąbać.

Siedem dni nam zeszło na zdobycie wystarczającej ilości budulca na wzniesienie długiego domu, w którym znajdzie się miejsca dla ludzi i zwierząt. Nie mając pojęcia, ile będzie trwała zima i ile śniegu możemy się spodziewać, postanowiliśmy zbudować budynek długi, wąski i ze skośnym dachem, tak by śnieg mógł się ześlizgiwać. Wielu członków załogi już wcześniej stawiało domy. Ja z bratem budowaliśmy dom, gdy miałem zostać rolnikiem na Jutlandii, więc szybko mieliśmy gotowe słupy narożne, słupy ścian szczytowych, a na końcu belkę dachową, pod którą biegły słupy ponacinane na szczycie. Belka opierała się na nacięciach, leżąc tym samym stabilnie. W lesie wybieraliśmy do wycinki drzewa o prostych pniach, z których nie wyrastały gałęzie, i na początku rozszczepialiśmy je na dwie części za pomocą siekier i klinów. Następnie każdą z dwóch części dzieliliśmy na dwie połowy, a jeśli drzewo było

wystarczająco grube, rozszczepialiśmy każdą z owych ćwiartek na kolejne dwie części. Dawało to osiem kłoców drewna, które opieraliśmy na kilku okrągłakach i ociosywaliśmy na płasko. Na deski do budowy ścian najlepiej nadawał się świerk; miękki i łatwy w obróbce, a nasączony smołą długo ją utrzymuje. Drewno modrzewiowe postanowiliśmy przechować do wiosny, gdy ruszymy z budową statków. Plan był wciąż aktualny, nie zarzuciłem myśli, że moje skutnicze umiejętności zrobią ze mnie bogacza. Mając statek lub drewniany budulec na wymianę, moglibyśmy zapewnić sobie więcej zwierząt domowych. Niewykluczone, że udałoby nam się zdobyć owce i mleczne krowy.

Sigrid bardziej się do mnie zbliżyła. Przynosiła wodę, gdy ociosywałem deski, uśmiechała się, gdy siadywaliśmy przy palenisku na statku. Być może częściej jej teraz szukałem wzrokiem niż podczas podróży. Nocami leżeliśmy blisko siebie, a ona wspomniała, że zasypiam teraz głęboko, co nie zdarzyło się od bitwy pod Svolder. Nie budziłem się nawet wtedy, gdy mały Ravntor płakał i Sigrid musiała go przystawiać do piersi.

Dziewiętnastego dnia pobytu na Wyspie Reniferów Asmund, Helge i Orm Przynęta nadbiegli od strony piaszczystego pomostu. Poszli wcześniej śladami renifera, ale żadnej zdobyczy ze sobą nie nieśli. Zamiast tego zepchnęli łódkę na wodę i poprosili, bym z nimi popłynął. Powiosłowaliśmy do ujścia Dużej Rzeki, jak ją nazywaliśmy. Duża Rzeka wpadała do Zatoki Wielkiej jedynie kilka strzałów z łuku od piaszczystego łącznika i tu właśnie przyплыwaliśmy łódką, by napełnić wodą beczki. Nieco głębiej, na brzegu rzeki, trójka mężczyzn pokazała mi wygaszone ognisko. Wokół niego znajdowały się trzy zagłębienia w piasku; ktoś tu spędził noc.

Tego wieczora zebrałem wszystkich pod masztem i powiedziałem, co zobaczyliśmy.

– Skrælingowie – zaburczał Hutten i nikt nie miał odmiennego zdania. Żeglarzami, takimi jak my, obcy nie byli, bo przybywając tu drogą morską, pewnie by się nam pokazali. Raczej nie obozowaliby przy ujściu rzeki, mogąc dostać u nas posiłek i schronienie.

Już od wielu dni wystawialiśmy strażę przy piaszczystym pomoście, ale od tej

chwili pełniący straż miał ze sobą róg Eilefa Sakwy, żeby weń zadać, gdyby Skrælingowie próbowali się przedostać. Z tamtego punktu obserwacyjnego strażnik widział również morze od północnej strony. Jednocześnie wszyscy pracujący przy budowie długiego domu nieustannie obserwowali Zatokę Wielką. Nikt nie mógł przedostać się na wyspę niezauważony. Kilka dni później Torvar Bezbożnik przeszedł piaszczystym pomostem, dźwigając ze sobą topór. Valpowi, który pełnił wówczas straż, odmówił wyjaśnień, dokąd zmierza. Torvar miał pomóc Sigrid i małej niewolnicy w wybudowaniu kurnika z deseczek i gałązek, jakie nam zostawały. Do niczego więcej się nie nadawał. Teraz zniknął z toporem w zdrowej ręce i gdy zaczynało się ściemniać, wciąż jeszcze nie wracał. Wcale nam się to nie podobało, Bork obawiał się, że złapali go Skrælingowie, i uważał, że powinniśmy go poszukać zaraz po nastaniu świtu. Ale wraz z nastaniem świtu Torvar zjawiał się przy budowanej zagrodzie, dźwigając sękaty sosnowy pniak. Na pytanie, gdzie się podziewał, mruknął tylko, że głupio brać się do budowy domu, nie złożony wcześniej ofiary. Potem wziął się do ociosywania pniaka.

Zajęci belkami, jednocześnie przyglądaliśmy się jego poczynaniom. Sosnowy klocek otrzymał wkrótce nos i długą brodę, którą Torvar wyciął nożem, i jedno oko. Potem stary zaostrzył dół klocka siekierą.

Halvor pomógł mu osadzić pieńka w ziemi.

– Oto Odyn! – krzyknął Torvar, ale już wcześniej to zrozumieliśmy.

Pniak dostał swoje miejsce przy linii drzew, skąd Odyn mógł spoglądać na gospodarstwo i zatokę. Nagle wzrok Torvara zatrzymał się na kozach, które przeżuwały wodorosty nad brzegiem, po czym stary zapytał, czy wiem, gdzie się podziały kury.

– Nawet nie myśl o pochłapaniu krwią tego pieńka – powiedziałem, wychodząc z założenia, że i tak mamy mało zwierząt. – Możesz zużyć jedno jajko, jeśli kurom wpadnie do łba, by jakieś znieść.

Taka odpowiedź bardzo się Torvarowi nie spodobała, bo wiedział równie dobrze jak my wszyscy, że kury w czasie podróży nie zniosły ani jednego jajka i teraz też nie były do tego skore. Zdaniem Halvora to podróż morska sprawiła, że przestały się nieść, jakby miał jakieś pojęcie na ten temat.

Zaskoczyło nas to, że Torvar wyciosał Odyna. Mówiąc wprost, było to dość dziwne, biorąc pod uwagę jego przydomek. Halvor szepnął, że coś się wydarzyło, gdy Torvar był młodzieńcem; coś, co sprawiło, że rzucał obelgi na bogów, a także norny, ale najwyraźniej sprawy przybrały z czasem inny obrót. Może to miało coś wspólnego ze złamaną ręką.



Księżyc dwukrotnie był w pełni, a klony miały już prawie nagie gałęzie, podczas gdy my mozoliliśmy się z belkami. Mała niewolnica biegła dookoła, kopiąc liście i w tych krótkich chwilach zachowywała się jak dziecko. Poza tym najczęściej trzymała się na uboczu; wieczorami wolała przesiadywać sama. Nie można było z niej wydobyć żadnego słowa. Albo nie chciała rozmawiać, albo nie rozumiała, co do niej mówimy. Na szczęście przestała już oferować swe ciało, ale pewnego wieczora niespodziewanie wybuchła płaczem. Żal nam się jej zrobiło, a Eilef stwierdził, że dość tego, była tylko dzieckiem, on natomiast nieraz miewał już okazję pocieszać dzieci. Wtedy dziewczynka wzięła jego dłoń i położyła na swojej płaskiej piersi. Trudno orzec, czy była w tym jakaś zmysłowość, czy mała tylko próbowała powiedzieć mu, że czuje żal, tam w środku.

Sigrid zajęła się nią najlepiej jak mogła. To ona nadała dziewczynce imię; nazwała ją Hilda. Ale teraz, kiedy reszta kobiet została na Wyspie Leifa, Sigrid od rana do wieczora nosiła na rękach Ravntora i dziewczynka musiała radzić sobie sama. Sigrid nauczyła ją pleść wianki z klonowych liści i zabierała ze sobą do dojenia kóz, lecz wieczorami, gdy Sigrid zasypiała z dzieckiem przy piersi, zmożona ciepłem bijącym z paleniska na statku, mała Hilda siedziała sama, nie spuszczać z nas oka.

Pierwszego mroźnego dnia wyruszyłem z Bjørnem na polowanie. Przeszliśmy piaszczysty pomost i dalej do ujścia rzeki, do miejsca, gdzie znaleźliśmy ognisko Skrælingów, a stamtąd podążyliśmy w górę rzeki. Mieliśmy nadzieję upolować parę zajęcy, choć zbyt wiele zwierzyny nie widzieliśmy. Dostrzeżliśmy kilka wiewiórek i gołębi, ale gołębie były chude, a z wiewiórki to marna zdobycz dla mężczyzny. Skończyło się na tym, że wędrowaliśmy po lesie wśród nagich drzew. Jesień to dobry

czas dla kogoś, kto potrafi ją docenić, tak mawiał ojciec. Jest coś szczególnego w takiej wędrówce po lesie, gdy czujesz zmrożony mech pod na nowo połatanyymi zimowymi butami. Zapach zmarzniętej gleby, drzewa pogrążone w ciszy... Być może bogowie nigdy nie są bliżej ciebie niż właśnie jesienią. Razem z Bjørnem czuliśmy taką bliskość tamtego dnia i dlatego nie rozmawialiśmy zbyt wiele podczas wędrówki, a po pewnym czasie przestaliśmy się rozglądać za zwierzyną. Przelewanie krwi w taki poranek wydało nam się czymś niewłaściwym.

Księżyc po raz kolejny urósł duży i osiągnął pełnię. Ociosywaliśmy teraz deski do późnego wieczora, bo wiedzieliśmy, że trzeba się spieszyć z położeniem dachu. W końcu położyliśmy ostatnie deski, a był to najwyższy czas. Następnego ranka przywitał nas śnieg.

Tego dnia wprowadziliśmy się do langhusa. Potem złożyliśmy ofiarę przy pniu z wizerunkiem boga. Torvar Bezbożnik zdjął bandażę i okazało się, że ramię jest zrosnięte trochę krzywo, ale mogło dalej mu służyć prawie tak dobrze jak przedtem. Wzięliśmy zboża tyle, ile mieści się w kobiecej garści i położyliśmy przy pieńku razem z kawałkiem dorsza złowionego przez Valpa. Doskonale wiedzieliśmy, że Fenre połknie rybę, gdy tylko się odwrócimy, ale liczyła się ofiara. Zostały jeszcze ze dwa miesiące do przesilenia zimowego i do Jul ³⁵ oraz do następującej po nich zimowej uczty ofiarnej, vinterblot, ale ludzie byli zdania, że należy podziękować bogom za to, że udało nam się pokryć dom dachem, zanim spadł śnieg. Bjørn i ja nigdy nie byliśmy zbyt gorliwymi ofiarnikami, a ojciec zawsze mawiał, że każdy człowiek jest kowalem swego losu. Najchętniej nie zmarnowałbym ani jednego siewnego ziarenka, ale Halvor poradził, żebym nie rezygnował z ofiary. Mądry hovding nie powinien sprzeciwiać się bogom, stwierdził.

Później tego dnia Kåra i Eystein upolowali jelenia, rosłego byka. Przepłynęli łódką Zatokę Wielką, a na wschód od niej było mnóstwo zatoczek; niedaleko brzegu jednej z nich udało im się ustrzelić tego samca. Wiosłując pod wieczór do domu, krzyknęli do nas:

– Dobrze, że złożyliśmy ofiarę, bogowie dali nam w zamian pomyślne łowy!

Zwierzę oskórowano na podwórzu i poporcjowano. Mięso upiekliśmy, a to, co nie

zostało tego dnia zjedzone, powiesiliśmy do wędzenia. Czaszkę ze wspaniałym porożem umieściliśmy nad drzwiami długiego domu.

Gdy otworzyliśmy drzwi następnego dnia, śniegu na podwórzu było po kolana. Brat mruknął, że powinniśmy zabrać na statek narty, głupio, że nie pomyśleliśmy o tym. W każdym razie zrobiliśmy łopaty, które wystrugaliśmy z kawałków klocków pozostałych z budowy. Śnieg wciąż padał, ale był sypki i łatwo się go odgarniało. Kiedy byliśmy zajęci odśnieżaniem obejścia, zaczęło wiać znad zatoki i w mgnieniu oka wzbiły się tumany śniegu, uniemożliwiając uprzątnięcie placu. Wycofaliśmy się do domu i zabraliśmy się do oczyszczania jelenich ścięgien oraz oskrobywania kości z tłuszczu i błonek. Zwierzę miało długie, silne ścięgna, które z bratem rozwiesiliśmy do suszenia, by je potem rozbić, podzielić na włókna i starym sposobem skręcić z nich cięciwy. Kości chcieliśmy powiesić pod powalą przy ścianie szczytowej, gdzie było najzimniej. Szpik z nich będzie można wysysać w najmroczniejszym okresie zimy.

W chwili gdy byliśmy zaabsorbowani tymi robotami, do środka wpadł Eystein. Wyszedł za potrzebą, tam gdzie mieliśmy poukładane deski wokół dołu, zwanego przez naszych gnojownikiem, kawałek od domu, na skraju lasu. Teraz wbiegł do domu, potykając się o spuszczone do kolan spodnie.

– Skrælingowie! Skrælingowie!

Wyskoczyliśmy na plac. Stali nad brzegiem, sześć sztuk. Na nasz widok wskoczyli do swoich skórzanych łódeczek i odpłynęli, ale tylko o rzut kamieniem. Obróciwszy swoje łódeczki, ustawili się przodem do nas i bujając się na fali, nie spuszczaali z nas oka. Mieli trzy łódki, dwie z nich były wąskie i długie, takie, jakie widzieliśmy na Grenlandii, a jedna większa, otwarta.

Bjørn i Eystein zostali w domu z Sigrid, Ravntorem i Hildą, podczas gdy reszta, zabrawszy ze sobą łuki, zeszła na brzeg. Wtedy jeden ze Skrælingów siedzących w otwartej łodzi krzyknął coś do nas. Podniósł oścień, trzymając go nad głową, pokazał go nam, a potem go odłożył. Następnie wziął do ręki zwiniętą skórę i pokazał w taki sam sposób.

– Nie sądzę, by mieli złe zamiary – stwierdził Halvor.

Skrælingowie zaczęli powolutku wiosłować w naszym kierunku, aż ten, który

pokazał nam zawiniątko ze skórą, wskoczył do wody i podszedł do brzegu. Wysokim osobnikiem to on nie był, ledwo nam sięgał do podbródka, jednak stał niewzruszenie, wpatrując się w nas wąskimi szparkami. Był ubrany w skórzaną tunikę sięgającą mu do gołych kolan. Miał czarne, proste włosy i twarz jakby z wyprawionej skóry, bez zarostu. Nie widzieliśmy u Skrælingów żadnej broni oprócz ościeni i harpunów, które spoczywały na dnie łódek. Teraz wszyscy wyszli na ląd, zabierając ze sobą skórzane zawiniątko oraz kilka wiązek świeżo złowionych troci. Ten, który pierwszy ośmielił się wyjść na brzeg, wskazał ręką na knarę, a potem na nas i wykrztusił kilka słów, zupełnie dla nas niezrozumiałych.

Wpuściliśmy ich do domu. Nie mogą zrobić zbyt wielkiej szkody, pomyśleliśmy. Byli mali, nas było więcej. Gdacząc do siebie w tym dziwacznym narzeczu, rozpakowali na stole futra. Przeważnie były to cętkowane futra fok. Paru z nich demonstrowało je z wielkim zapalem, podczas gdy pozostali rozeszli się chyłkiem po domu. Jeden zebrał się na odwagę i dotknął brody Valpa, na co ten nie mógł się powstrzymać od chichotu. Podeszli do przegrody z bali, która oddzielała naszą część domu od części dla zwierząt, i widok Vingura wprowadził ich w zachwyt. Pokazywali go palcami, pokrzykując jak dzieci.

Sigrid przyniosła dzbanek zsiadłego koziego mleka i naląa je do kubków, które ustawiliśmy przed Skrælingami, bo przypuszczaliśmy, że czegoś takiego jeszcze w życiu nie kosztowali. Skrælingowie najpierw obwąchali naczynia. Dopiero gdy Bjørn wziął jeden z kubków i pociągnął z niego łyk, zrozumieli. Łapczywie zaczęli pić kwaśne mleko i choć Kåra mruknął, że pewnie zaraz wszystko wyplują, Skrælingowie wypili do dna, ocierając na koniec usta grzbietem dłoni.

– Możecie dostać więcej – rzekłem.

– Niech to będzie na wymianę za futra – dodał Halvor. Pochylił się nad stołem i przyciągnął skóry do siebie. Ten, który pierwszy zszedł na brzeg, skinął głową na znak zgody i przesunął w stronę Halvora pozostałe futra, po czym obrócił się w stronę dziewczynki z Grenlandii.

Powinniśmy się zorientować wcześniej. Halvor miał rację, przyszli pohandlować, ale interesowało ich coś innego niż zsiadłe mleko. Dwóch Skrælingów nagle chwyciło dziewczynkę za ramiona i pociągnęło ku wyjściu. Daleko jednak nie zaszli, bo

w mgnieniu oka rzuciliśmy się na nich. Bjørn zdzielił jednego z nich pięścią. Porzuciwszy ryby i skóry, skoczyli ku drzwiom, zbiegli na brzeg do swoich łódeczek i powiosłowali ile sił ku ujściu zatoki. Fenre, stojąc w śniegu po brzuch, ujadał za nimi. Wkrótce łódeczki znikły nam z oczu w śnieżnej zawiei.



10

Wioska Skrælingów

Pierwszy zimowy miesiąc przyniósł trzaskające mrozy. Zatoka zamarzła, ale udało nam się utrzymać kilka przerębli i z powodzeniem łowiliśmy ryby. Obawialiśmy się, że Skrælingowie przejdą po lodzie i napadną na nas z nienacką pod osłoną nocy, lecz czas mijał, a my nie zauważyliśmy żadnych śladów ich obecności.

Tej zimy nikt się nie skarżył, z wyjątkiem dnia, w którym Hutten odczytał na swoim kiju runicznym, że nadszedł czas na vinterblot. Wielu mężczyzn było zdania, że powinniśmy udać się do posążka na placu, tego grubo ciosanego wizerunku boga, skropić go piwem i krwią ofiarną, przynajmniej jakiejś ryby. Piwa jednak nie mieliśmy, a ryby, które tego dnia złowiliśmy, zostały już dawno usmażone i zjedzone. Poza tym hulała koszmarna wichura i nikomu się nie chciało wystawiać nosa za próg. Dobrze pamiętam, że tego dnia ja z bratem zajęliśmy się wystrugiwaniem nart. Kilkoma kamieniami docisnęliśmy bloki świerkowego drewna do paru krzyżujących się gałęzi i zaczęliśmy skrawać. Brak ofiary nie spodobał się Torvarowi, wygrażał pięścią, pluł w stronę cieni kładących się wzdłuż ściany. Przystanie nam się szczęścić,

twierdził. Jak możemy oczekiwać, że Odyn będzie po naszej stronie albo że jego spojrzenie w ogóle spocznie na nas na tym bezludziu, skoro nie składamy ofiar? W tym momencie Bjørn zaciął się w kciuk. Zapomniał, że trzeba być skupionym na robocie. Z palca obficie krwawiło, a Bjørn zerknął tylko na mnie znad świerkowych klocków i uśmiechając się, ssał skaleczone miejsce.

My Norwegowie, ale także mieszkańcy Skanii, nazwaliśmy pierwszy miesiąc po zimowym przesileniu Miesiącem Ssania Szpiku. W tym czasie łamaliśmy kości z upolowanej jesienią zwierzyny i wylizywaliśmy szpik. Potem nadszedł Miesiąc Śniegu, dwa razy po dziesięć i raz osiem dni, gdy nowa ziemia pokazała, że w niczym nie ustępuje naszym ojczyznom, jeśli chodzi o zasypywanie nas śniegiem. Przekopaliśmy korytarz nad zatokę, aż do knary, i staraliśmy się, jak tylko można, utrzymać pokład statku oraz dach na długim domu wolne od lodu. Bywały jednak dni, że sypało tak gęsto, że gdy przekopałeś się nad brzeg i dalej na skutą lodem zatokę, to za plecami już miałeś warstwę śniegu głęboką na stopę. Wówczas lepiej było siedzieć w domu, w ciepłe paleniska. Dużo czasu spędzaliśmy tamtej zimy na grze w hnefatafl, czyli Królewski Stół. Halvor wyciął szachownicę na blacie stołu, a my wystrugaliśmy pionki: dąb to napastnicy, brzoza to król i jego drużyna. Tę grę widziałem już wcześniej, również mój ojciec miał taką. Torvar przechwalał się, że w Królewski Stół jeszcze nikt go nie pokonał i rzeczywiście był niezły, ale gdy pewnego wieczora przegrał z Huttenem, niewiele brakowało, by się rzucił z pięściami na starego Szkota.

Małego Ravntora wszędzie było pełno. Nie leżał już tylko przy piersi Sigrid. Niewiele wiedziałem o dzieciach, lecz Hutten i paru innych twierdziło, że bardziej ciekawskiego malucha w życiu nie widzieli. Kiedy sadzaliśmy go na klepisku, natychmiast ruszał na czworakach przed siebie i w jednej chwili był przy zwierzętach lub w drodze do drzwi wyjściowych. Uwielbiał też wspinaczkę. Jeszcze nie miał na tyle siły, by wdrapać się na ławę lub stół, ale gdy któryś z mężczyzn sadowił go sobie na kolanach, chłopiec od razu się brał się do wspinania. Podciągał się na twojej brodzie i wąsach i nim się obejrzałeś, był już na twoim ramieniu. Stary Fenre okazał się jedyną istotą, na którą Ravntor się nie wdrapywał. Ta dwójka zawarła jakieś szczególne porozumienie w tej kwestii. Kiedy pies układał się przy palenisku, dziecko

przytulało się pleckami do jego boku i leżało z paluszkami wplątanymi w skołtunioną psią sierść.

Pod koniec Miesiąca Śniegu ruszyliśmy we trzech, z Eysteinem i Halvorem, na polowanie. Przeszliśmy piaszczysty pomost, bo mieliśmy właśnie kilka cieplejszych dni i nie byliśmy pewni lodu na zatoce. Przy piaszczystych łachach wody przypiływu kruszyły olbrzymie lodowe płyty i osadzały je niczym klingi noży na mieliznach; jakbyśmy wędrowali wzdłuż murów grodu należącego do króla olbrzymów. Skierowaliśmy się na zachód, w głąb stałego lądu, często przez nas nazywanego Wielkim Lasem. Na plecach nieśliśmy wiklinowe kosze, zabraliśmy też ze sobą ciepłe koce i skóry, a na nogach mieliśmy buty z cholewami, uszyte z foczych skór porzuconych przez Skrælingów. Zaplanowaliśmy powrót po sześciu dniach, tak zapowiedzieliśmy przed wyruszeniem w drogę. Trzy dni mieliśmy wędrować w głąb lądu, po czym wrócić do domu. Dzisiaj trudno orzec, co mi strzeliło do głowy, żeby w środku zimy ruszyć na tak długą wyprawę, ale przypuszczam, że wszyscy byliśmy zmęczeni siedzeniem w długim domu, w smrodzie ludzkiego potu i zwierzęcych odchodów. Posuwając się na nartach zamaszystymi krokami, przeszliśmy piaszczystym pomostem i wniknęliśmy między nagie klony, a gdy pod wieczór rozbiliśmy obóz, zostawiliśmy za sobą spory kawałek drogi.

Kosze z wikliny były nam potrzebne nie na zwierzynę, którą mieliśmy nadzieję ustrzelić, lecz na trawę i paprocie. Gdyby nam się udało znaleźć zaciszny zagajnik, gdzie trawa utrzymała się świeża i zielona aż do momentu, kiedy ściął ją mróz, odkopalibyśmy ją spod śniegu i nazbierali. Owce źle się czuły, a my musieliśmy utrzymać przy życiu tyle zwierząt, ile to możliwe, dopóki nie wzejdzie trawa.

Narty, które wystrugaliśmy, dobrze nas niosły. Śnieg nie przyklejał się do spodów, bo nasmarowaliśmy je najpierw smołą, a potem zwierzęcym tłuszczem. Halvor i Eystein nie mieli nart na nogach od wielu lat. Po raz pierwszy to ja byłem najszybszy w grupie i muszę przyznać, że cieszyło mnie zatrzymywanie się i czekanie na tamtych dwóch.

Dobrze wspominam wędrowkę przez zimowy las. Dookoła było dużo suchego

drewna, więc podsycaliśmy ognisko nocami i nie marzliśmy. Trzymaliśmy straż przy ogniu na zmianę, ale ani razu się nie zdarzyło, by ten, który pełnił wartę ostatni, nie przysnął.

Trzeciej nocy usłyszeliśmy wycie wilków i ryk łosia. O świcie rozdzieliliśmy się i po niedługim czasie Eystein zawołał, że znalazł trop. Ślady na śniegu świadczyły o ucieczce kłepy z cielakiem. Łosie zbiegły zboczem i wpadły w gęstą kępę karłowatych brzoź. Wilki wychynęły spośród świerkowych pni i zaatakowały jednocześnie oba zwierzęta. Na śniegu widać było szarą sierść i ślady wilczego ciała, które zostało odrzucone na bok, ale w końcu kłepa się poddała i odbiegła, a cielę padło ofiarą watahy. Leżało teraz na śniegu, na wpół zamarzłe. Wilki rozpruły mu brzuch i wyżarły wnętrzności. Odgryzły przednią nogę.

– Dobrze wiedzieć, że bogowie nie opuścili nas w tym obcym kraju – rzekł Eystein i zsunął z dłoni rękawice z foczej skóry. Przyklękaliśmy we trzech i zaczęliśmy wykrawać mięso i skórę z cielaka.

Tego dnia znaleźliśmy również świeżą trawę, tak jak się spodziewaliśmy. Był tam wąski parów, zaledwie o kilka strzałów z łuku od cielęcia, a my wiedzieliśmy, że w takich miejscach ciepło utrzymuje się dłużej. Odgarnęliśmy śnieg i znaleźliśmy paprocie i trawę o źdźbłach takich, że możesz przytknąć ją sobie do ust i zagwizdać. Ścinałiśmy to zielsko przy samej ziemi i upychaliśmy w koszach razem z mięsem.

Znowu skręciliśmy na wschód, bo zdawaliśmy sobie sprawę, że nasi ludzie wyszliby na poszukiwanie, jeśli nie zjawimy się w umówionym czasie. Wędrowaliśmy do zapadnięcia zmroku, bo już wcześniej upatrzyliśmy sobie dobre miejsce na nocleg w drodze powrotnej. Był nim olbrzymi świerk, który przewrócił się, ciągnąc za sobą cały płat torfu i tworząc pochyłe zadaszanie, pod którym mogliśmy się schronić. Wykrzesaliśmy iskry i dmuchając w hubkę, roznieciliśmy płomień w suchych korzeniach jałowca, które udało nam się znaleźć. Jako ostatni trzymałem wartę tej nocy, więc się od razu położyłem, a Eystein i Halvor siedzieli przy ognisku, objadając się mięsem łosia.

Musiałem zasnąć, bo gdy Eystein mnie obudził i usiadłem, by przejąć wartę, miałem trudności z utrzymaniem otwartych powiek. Najpierw wstałem, bo chodzenie

pomaga, jeśli przysypiasz na warcie. Najwyraźniej jednak znowu padłem, ponieważ następne, co pamiętam, to światło poranka. Słyszę świegot ptaków w koronach drzew, dźwigam się na nogi i wtedy mój wzrok pada na tamtą postać. Skræling. Stoi zaledwie o kilka długości włóczni od naszego obozowiska i się gapi. Jest niskiego wzrostu, a jego okrągła twarz jest tak poryta zmarszczkami i bruzdami, że wygląda, jakby miał skórę z kory. Jest ubrany w skórzaną, sięgającą do kolan, tunikę ze skóry renifera i stoi na ramach z wikliny i ścięgien. Futrzane rękawice zwisają na sznurkach wystających z rękawów. W jednej garści trzyma łuk, w drugiej trzy strzały z kościanymi grotami.

Kopnąłem chrapiących towarzyszy. Eystein wzdrygnął się na widok Skrælinga i sięgnął po łuk, ale Halvor chwycił go szybko za ramię. Nie było wątpliwości, że we trzech dalibyśmy radę zabić Skrælinga, ale gdybyśmy unieśli broń, zdążyłby najpierw trafić jednego z nas strzałą.

– Odłóż łuk, Skrælingu – rzekł Eystein, Skræling jednak ani drgnął. Pewnie ani nie rozumiał, co do niego mówimy, ani nie miał najmniejszego zamiaru odkładać łuku. Nie chciał nas jednak skrzywdzić, tyle byłem w stanie zrozumieć. Jakby miał taki zamiar, mógł nas podziurawić strzałami, gdyśmy spali.

Między drzewami pojawił się jego pies – przypominające wilka olbrzymie bydlę z częściowo odgryzionym uchem. Skræling powiedział coś do psa, który położył się u jego stóp, nie spuszczać nas z oczu. Potem obcy wskazał na nas łukiem.

– *We'due!* – powiedział, dotykając podbródka. – *We'due chinum!*

Co miał na myśli, trudno orzec, ale wybuchnął śmiechem. Miał dźwięczny, prawie kobiecy śmiech, mało pasujący do jego ogorzałej twarzy. Chrząknął i wbił łuk w śnieg.

– *Epegoitag* – oznajmił, uderzając się w pierś. – *Epegoitag!*

– To chyba jego imię – powiedział Halvor. – Epe... Epe coś tam.

– *Epegoitag* – powtórzył Skræling, po czym wkroczył do naszego obozowiska. Pokazał łukiem na kosze i wyrzucił z siebie mnóstwo niezrozumiałych słów, a wskazując na Eysteina, zsunął kaptur z siwych włosów i się roześmiał.

Być może tyle czasu upłynęło, odkąd służyliśmy jako wojowie w Jomsborgu, że otępieliśmy. Bo gdy Epe stał i rechotał, nagle zza świerkowych pni wyszło kolejnych

sześciu. Trzymali napięte łuki i wcale nie rechotali. Halvor mruknął, że większe z nas durnie od pijanych Franków, i byliśmy prawie pewni, że z nami koniec, lecz Epe rzucił kilka słów do jednego ze Skrælingów, na co tamten mu odpowiedział kątem ust. Toporek Eysteina stał wbity w pniak, który ustawiliśmy przy ognisku, jeden z chłopaków podszedł, wyrwał go i podał Epemu. Ten pogładził żeleźce toporka grzbietem dłoni, ostrożnie nacisnął palcem ostrą krawędź, po czym nałożył owe wiklinowe ramy na nogi i skinął na nas dłonią.

Przez cały tamten ranek, aż do późnego popołudnia szliśmy przez las za Skrælingami. Gdyśmy się w końcu zatrzymali, Skrælingowie wyjęli suszone mięso foki, poczęstowali nas kilkoma kawałeczkami, a kiedy przeżuwaliliśmy je z mozołem, Epe pokazywał palcem Eysteina, opowiadając coś pozostałym. W grupie było dwóch młodych chłopaków. Jeden z nich podszedł do Eysteina i dotknął jego brody. Miało się wrażenie, że rudy zarost naszego kompana niesamowicie fascynuje Skrælingów. Chłopak, przesunąwszy palcami po brodzie, spojrzął na pozostałych i wybuchnął dziecięcym śmiechem. Moim synom powiedziałem, że dobrowolnie zdecydowaliśmy się towarzyszyć Skrælingom, przeczuwając, że nas nie skrzywdzą. Jednak mimo że byliśmy ciekawi, dokąd nas prowadzą, nie szliśmy z nimi z własnej woli. Zabrali nam łuki i strzały. Halvor mruknął, że teraz to już na pewno spóźnimy się do domu. Pozostali ruszą na poszukiwania, a Sigrid będzie się zamartwiać z mego powodu. Jednak na razie rozsądniejszym rozwiązaniem wydawało się pójść z nimi, niż ich zabić i rzucić się do ucieczki na nartach. Pamiętaliśmy rannego mężczyznę u Eryka Rudego i zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że łatwo możemy skończyć jak on.

Prawie całe popołudnie wędrowaliśmy w górę zbocza. Dawno nie było tak ciepłego dnia, a z ciężkich od śniegu świerków zaczęło kapać. Epe i jego towarzysze uśmiechali się do słońca i gadali ze sobą. Domyśliliśmy się, że natknęła się na nas grupa myśliwych, choć nie dźwigali żadnej upolowanej zwierzyny. Być może wyprawa trwała zbyt krótko.

Wkrótce poczuliśmy zapach dymu. Właśnie schodziliśmy ze wzniesienia, gdy zauważyliśmy wiele śladów pozostawionych przez ramy na butach. Psy się rozszczękały. Powrót zauważono.

Jak tylko wyszliśmy z lasu i naszym oczom ukazały się chaty, Skrælingowie gromadnie wylegli nam na spotkanie. Było ich co najmniej dwie setki. Epe wyszczał do nich kilka słów, ale niewiele to pomogło. Wkrótce otoczyli nas tak szczelnie, że staliśmy z Halvorem i Eysteinem przyciśnięci do siebie, nie mogąc zrobić kroku. Oczywiście mogło być jeszcze gorzej, bo jako wyżsi od nich mieliśmy świetny widok na całą wioskę. Leżała nad brzegiem rzeki. Pozostał na niej wolny od lodu kanał, nad którym unosiły się opary. Nie skłamię, jeśli powiem, że znajdowała się tam ponad setka chat. Wyglądały na zrobione z drewnianych pali opierających się o siebie, tak by tworzyły stożkowatą formę, i były pokryte korą.

Pamiętam, że rozglądaliśmy się ponad głowami Skrælingów, a Halvor i Eystein myśleli pewnie to samo co ja, że ci ludzie muszą mieć jakiegoś hovdinga, tak jak inne ludy. Ów hovding powinien zaraz się zjawić, przyjrzeć się nam, być może zapytać, skąd jesteście i co tu robimy, choć oczywiście nie zrozumielibyśmy za wiele.

Nasze łuki i strzały przechodziły z rąk do rąk, a Skrælingowie dotykali grotów i byli mocno podekscytowani, unosili strzały nad głową, pokazywali je sobie nawzajem.

W końcu nadszedł ktoś, komu udało się uspokoić Skrælingów. Nie był to mężczyzna, tylko jakaś starucha. Tłum się rozstał, a ona stanęła obok Epego, mierzając nas wzrokiem. Była niewielkiego wzrostu, trochę większa od dziecka. Twarz miała pomarszczoną i pobrużdżoną niczym stary pniak, bezzębne usta, długie siwe włosy sięgające pasa. Tak jak wielu innych Skrælingów była ubrana w skórzaną tunikę do kolan. Szyję ozdobił sznur z wplecionymi weń zwierzęcymi zębami i kośćmi, podobne zwisały z sękatego kostura, na którym się wspierała.

Ona i Epe zamienili ze sobą kilka słów. Następnie poprowadzono nas w głąb wioski, obok brzozywych ram, na których rozpięto kilka łosiowych skór czekających na oskrobanie, a w końcu do jednej z chat. Usadzono nas na skórach. Epe i starucha usiedli naprzeciwko. Zasiadł tam także jeden z mężczyzn towarzyszących wcześniej Epemu oraz trzech starców.

Gdy moi synowie dopytywali, czy wtedy się bałem, odpowiadałem, że może bym się bał, jakbym był sam. Miałem jednak przy sobie Halvora i Eysteina, jomswikingów takich jak ja. Skrælingowie, nawet jeśli było ich wielu, byli mali i bez zarostu. Prawdę

mówiąc, przypominali nam dzieci. Więc się nie baliśmy. Raczej czuliśmy się jak Thor z opowieści, w których odwiedza świat ludzi i wędruje pośród nas; myśleliśmy, że udałoby się nam skosić tych pokurczów jak kłosa zboża.

Wewnątrz chaty było dużo miejsca, a chociaż ognisko nie należało do największych, panowało tu przyjemne ciepło. Nasza trójka niosła przez cały czas kosze, które wyładowane mięsem łosia i zielskiem stanowiły spory ciężar. Wreszcie zdjęliśmy je z siebie i jeden z nich przesunęliśmy do kręgu światła rzucanego przez płomienie. Epe wyciągnął z niego trawę, paprocie i kawałek mięsa. Toporek i jedna z naszych strzał przechodziły z rąk do rąk wokół ogniska. Skrælingowie przyciskali koniec grota do palca, gładzili główne topora i sprawiali wrażenie zaskoczonych tym widokiem.

– Zatrzymajcie strzałę – odezwał się Halvor. – Toporek także. A wszystko w tym jednym koszu jest wasze. To podarunek od nas.

Eysteinn mruknął, że równie dobrze mógłby nie otwierać gęby, bo tamci przecież nie rozumieją ani słowa z tego, co mówimy. Halvor odparł, że lepiej coś powiedzieć, niż siedzieć jak trzy niemoty, po czym ponownie zwrócił się do Skrælingów.

– Jesteśmy wdzięczni za ogień i schronienie przed wiatrem. Długo jednak tu nie zabawimy. Mamy coś innego do roboty.

Niewiele przyjaznych słów powiedziano o Skrælingach i nieraz słyszałem, że mówi się o nich jak o zwierzętach. Może to i racja, że Skrælingowie na zachodzie nie wyglądali zbyt imponująco, niscy, bez śladu zarostu na twarzy. Może i są najmniej okazałym ludem na ziemi, ale są mądrzy i wciąż uważam, nawet po tym wszystkim, co się wydarzyło, że wielu z nich ma w sobie więcej dobroci niż sam Balder [36](#). W pewien sposób przypominają te swoje chatki z kory. Z zewnątrz to nic szczególnego, ale jak tylko weszliśmy do środka, naszym oczom ukazały się ściany pokryte wizerunkami bóstw i pomalowanymi skórami łosi. Tak piękne były, że mogły śmiało równać się z tkaninami pokrywającymi ściany w domostwie jarla. Były tam namalowane jelenie z potężnymi porożami, olbrzymie niedźwiedzie, wieloryby i myśliwi z psami. Byli rybacy w wysmukłych łodziach, wschód słońca z żółtymi i czerwonymi promieniami i rozgwieżdżone niebo wokół księżycowego sierpa. Po gruntownych oględzinach topór i strzala zostały nam zwrócone. Starucha uśmiechnęła

się do nas bezzębnymi ustami i położyła dłoń na brzuchu. Wtedy jedna z młodych kobiet przebywających w chacie podeszła do ogniska z wiązką ryb; w półmroku nie rozpoznaliśmy gatunku. Kobieta patroszyła ryby na kamiennej płycie przy palenisku. Używany przez nią nóż wyglądał na zrobiony z jakiegoś czarnego kamienia. Przypominam sobie teraz, że Bjørn opowiadał mi o toporze, który widział we Fryzji, toporze wykonanym z czarnego kamienia. Miał go mężczyzna powracający z wyprawy na zachodnie morze. Nóż był ostry, z łatwością dało się nim wykroić kręgosłup. Po chwili podeszła dziewczynka i pomogła nadziewać połówki ryb na żerdki. Gdy weszliśmy do chaty, ledwo rzuciłem na dziewczynkę okiem, siedziała w półmroku pod ścianą. Wpatrywała się we mnie, co nie dziwiło, bo przecież oczy wszystkich były utkwione w Halvorze, Eysteinie i we mnie. Teraz jednak zacząłem się jej przyglądać. Dziewczynka miała zniekształconą twarz. Wargi i podniebienie były rozszczepione, jedno oko osadzone niżej, skrzywiony nos. Halvor szturchnął mnie łokciem, mówiąc, żebym się przestał gapić. Spuściłem wzrok, ale kobieta wytarła palce w podolek tuniki, pogłaskała małą po policzku grzbietem dłoni i wyszła z nią z chaty. Pamiętam, że poczułem się okropnie. Nie dlatego, że przez moje natarczywe gapienie się Skrælingowie wyprowadzili dziewczynkę. Ogarnął mnie wstyd z powodu tego, że zadręczałem się znamieniem Ravntora. Raczej powinienem dziękować bogom i złożyć im ofiarę za to, że dali mi zdrowego i pięknego chłopca.

Czekaliśmy, aż ryba się upiecze. Czułem się nieszczególnie i miałem nadzieję, że kobieta wróci z dziewczynką, ale w końcu Halvor zamruczał, że czas podnieść wzrok i otrząsnąć się z tego, co mnie dręczy, bo jesteśmy gośćmi Skrælingów i mądrze zrobimy, zachowując się po ludzku. Teraz wokół ogniska krążyła jedna z naszych nart, którą na końcu położono na kolanach staruchy. Słuchając słów Epego, dotknęła gładkiego spodu, podziobała palcem w rzemienie mocujące but. W końcu skinęła głową, potarła palcem pod nosem i podała nartę Epemu.

Ryba była wreszcie gotowa, a Skrælingowie pokazali się jako dobrzy gospodarze. Kiedy nasza trójka się posilała, reszta przyglądała się nam w całkowitym milczeniu. Dopiero gdy Eystein podniósł kawałek ryby, który zatrzymał mu się na brodzie, Skrælingowie wydali z siebie dźwięk; wybuchnęli śmiechem.

Posilaliśmy się, a zebrani w chacie ciągle nas obserwowali. Nagle Eystein pochylił się i pochwycił kamienny nóż, który wciąż leżał na płycie przy żarzącym się palenisku. Eystein nie był wielkoludem, ale gdy trzymał nóż, skórzana rękojeść zniknęła w jego dłoni. Pomacał ostrą krawędź i pokiwał głową. Potem spod zimowego okrycia wydobył własny nóż i pokazał go zebrany w blasku ognia.

Eystein już taki był, że nie zawsze rozważał szczegółowo to, co zamierzał zrobić. Przydomek Pierdziuch otrzymał po tym, jak pewnego razu wypuścił z siebie powietrze w obecności Svena Widłobrodego, tak że wszyscy dookoła usłyszeli, a kiedy zapytałem, dlaczego się nie opanował, stwierdził tylko, że „pierd chciał wyjść”. Taki brak rozwagi w niewytłumaczalny sposób nie wpędził go w jakieś większe kłopoty, ale gdy tam, w chacie, wyciągnął nóż, Skrælingowie zerwali się na równe nogi. W pierwszej chwili sądziłem, że się na nas rzucą, myśląc, że Eystein wyciąga broń przeciwko nim, lecz szybko zrozumieliśmy, że to ostrze noża naszego towarzysza sprawiło, że ponownie zaczęli się tłoczyć wokół nas. Skrælingowie mianowicie nie mają pojęcia, jak wytopić żelazo z rudy. Groty strzał i głównię toporka mogli wziąć za jakiś czerwonobrunatny kamień, ale nóż Eysteina był niezwykle piękny, żelazo gładko wypolerowane, a nasmarowane foczym olejem błyszczało w świetle ogniska. Dla Skrælingów musiało być równie niespotykane, jak nasze brody. Eystein pewnie nie zamierzał oddać noża, jednak nagle wyciągnęło się tyle rąk, które chciały go dotknąć, że w zasadzie nie miał wyjścia. Tym sposobem nóż powędrował z rąk do rąk wokół paleniska, aż dotarł do staruchy. Obawialiśmy się, że na dobre zostanie w rękach Skrælingów i dla Eysteina byłaby to wielka strata. To był dobry nóż. Ale Skrælingowie nie mają złodziejskiej natury, jak niektórzy twierdzą. Jeśli kogoś należałoby nazwać złodziejami, to raczej ludzi z mojego ludu. Po tym jak starucha przyjrzała się klindze przez przymrużone powieki, nóż wrócił do Eysteina. Stara kobieta powiedziała coś do Epego, pokazując na ścianę. Epe zdjął z niej kawał skóry i podał Halvorowi. Ten przyjrzał się skórze i figurom namalowanym na niej, a potem podniósł ją do góry, pokazując nam.

– Patrzcie – rzekł. – To my.

Na skórze namalowano coś, co nie mogło być niczym innym jak langskipem. Nie miał podniesionego żagla, ale wystawały wiosła, a w łodzi siedziało wielu mężczyzn

z długimi brodami. Rysunki wcale nie były wykonane niestarannie i prostą kreską, tak jak ryty naszych praojców na skałach i skalnych płytach w rodzinnym Vingulmorku. Kadłub statku był czarny, ludzie na pokładzie mieli białą skórę i żółte brody.

Przesiedzieliśmy w chacie większość dnia. Ani mnie, ani moim towarzyszom nie było łatwo stamtąd wyjść, bo przez cały czas częstowano nas jedzeniem; pieczonymi rybami, zupą o smaku cebuli i mięsa jakiegoś łownego ptaka i wciąż posyłano po różne przedmioty; oglądaliśmy koce, naczynia i przynajmniej z tuzin pomalowanych skór, łuk i kilka czarnych kamiennych noży, które każdy Skræling nosił u pasa; pokazali nam także naszyjniki, na których wisały muszle i swego rodzaju płytki przypominające miedź. Nie było dla nas jasne, dlaczego mamy to wszystko oglądać, dopóki Epe nie przeniósł się i nie usiadł obok Halvora, przyciskając taki naszyjnik do jego piersi.

– *Igun magve kava* – powiedział. – *Kava*.

Nagle zrozumiałem.

– To podarek – wyszeptalem. – Najwyraźniej chcą nam coś podarować.

Halvor spojrzał na naszyjnik, dotknął kawałeczków miedzi.

– A, podarek – mruknął. – No to dziękuję.

Gdy Halvor przełożył rzemyk przez głowę, stara coś krzyknęła i w chacie zrobiło się zamieszanie. Wysłano gdzieś jedną z dziewczyn, a nam podano kolejną misę parującej zupy. Siorbaliśmy ją zawzięcie do chwili, kiedy dziewczyna wróciła z dwoma naszyjnikami – również te miały wplecione kawałki miedzi. Ja i Eystein też dostaliśmy po naszyjniku. Eystein, zerknąwszy na swój, zachichotał, mamrocąc, że teraz jest wystrojony jak sam jarl. Stara uderzyła w bęben, zamknęła oczy i zaczęła zawodzić jakąś pieśń. Długo to trwało. Kobieta wprawiła się śpiewem w trans niczym seidkona, kiwała się w przód i w tył i tylko białka jej oczu połyskiwały. Nie opadła z sił, jak to się często dzieje z seidkonami, cały czas bębniła i zawodziła, czasami tylko głos jej cichł, a głowa opadała do przodu, jakby miała zamilknąć, ale wówczas zaczynała od nowa. Ja, Halvor i Eystein nie ruszaliśmy się z miejsca. Miało się wrażenie, że gdy starucha zawodziła, Skrælingowie nabierali odwagi, wciąż pochylali się i dotykali naszych zimowych okryć oraz bród. Kobieta w końcu ucichła i siedziała

wciąż z głową opuszczoną na piersi i bębniem na kolanach, tylko z jej na wpół otwartych ust dochodziło jakieś bulgotanie. Nagle Epe klepnął mnie po ramieniu.

– *Majul kva* – powiedział i kiwnął na nas ręką.

Kiedy wyszliśmy, klony rzucały długie cienie na śnieg. Zrozumieliśmy, że nie ruszymy stąd przed kolejnym porankiem, i martwiłem się, co Sigrid sobie pomyśli. Sześć dni, powiedzieliśmy. Jeśli nie wrócimy po sześciu dniach, ruszą na poszukiwania. Halvor i Eystein dali się poprowadzić Skrælingom na wzniesienie; leżały tam narty, które moi towarzysze przymocowali do butów i zrobili kilka posuwistych kroków po udeptanym śniegu. Skrælingowie śmiali się do rozpuku, jakby w życiu nie widzieli czegoś tak dziwnego. Teraz i ja zostałem w to wciągnięty. Dwie ramy, których Skrælingowie używają, wędrując po śniegu, podstawiono mi pod stopy i przymocowano. Z czymś takim na nogach zrobiłem kilka niepewnych kroków. Na tych ramach trzeba się posuwać w specyficzny sposób, szeroko rozstawiając stopy, co nie spodobało się mojej chromej prawej nodze. Nagle poczułem kłujący ból w biodrze i przewróciłem się na bok. Ogarnęła mnie wściekłość, walnąłem pięścią w śnieg, a Skrælingowie odskoczyli ode mnie.

– Nie bierz sobie wszystkiego aż tak do serca – rzucił Eystein. – Przecież to tylko żarty.

Dziwnie zabrzmiały te słowa. Nie po to płynąłem przez morza do nieznanych lądów, by sobie teraz żarty urządzać. Klęczałem otoczony przez Skrælingów, z tymi durnymi ramami na stopach, nad nami kłębiły się chmury i wcale mnie nie zdziwi, że jeśli wreszcie wyrwiemy się stąd w drogę powrotną, to wpadniemy w śnieżycę. I gdzie się podziejemy, gdy zapadnie noc. Skrælingowie gdakali i rechotali, nieustannie podchodzili, by dotykać naszych bród, najwyraźniej ich ekscytacja zarostem nie znała granic. W końcu doszli do wniosku, że powinni mi przypiąć narty, bo zdjęli z moich stóp ramy, położyli przede mną narty i podali kijek.

Razem z Halvorem i Eysteinem zrobiliśmy dwie rundy po wiosce i nie skłamię, mówiąc, że setka Skrælingów deptała nam po piętach. Nie uszło mojej uwagi, że ruda broda Eysteina wzbudzała zainteresowanie tutejszych dziewcząt, co Eysteinowi bardzo się podobało. Kiedy sięgały jego brody, wcale się nie odsuwał. Może i prawda, że dziewczyny Skrælingów nie były zbyt atrakcyjne, przynajmniej dla nas,

mieszkańców Północy, bo twarze miały okrągłe, a zimą ledwo je było widać spod koszul i futer. Ale wyglądało na to, że są bardziej skore do uśmiechu niż nasze dziewczęta, do czego nie przywykliśmy. U nas dziewczyny z byle powodu patrzą na ciebie spode łba, jakby brały cię za jakiegoś rozbójnika.

Obawiałem się, rzecz jasna, że tutejsi mężczyźni będą zazdrośni. Gdy już zrobiliśmy drugą rundę wśród korowych chat, a Epe i jego świta dobrnęli do nas, miałem nadzieję, że mają dosyć, lecz oni dali znak rękami, żebyśmy poszli za nimi. Wkrótce miałem się wiele nauczyć o Skrælingach, ich obyczajach, licznych plemionach, które zaludniały zachodni łąd. Miałem się dowiedzieć, że skoro Epe znalazł nas pierwszy, to on się ma nami zająć. Skrælingowie śledzili na odległość nasze poczynania i pod osłoną nocy podpływali do naszej knary, dotykali nasączonych smołą klepek kadłuba. Już za pierwszym razem, gdy nas zobaczyli, domyślili się, że przybywamy ze wschodu, bo słyszeli historie o wysokich ludziach z Wyspy Leifa, o mężczyznach z włosami na twarzy, o szerokich ramionach i nosach, które Skrælingom wydawały się zadziwiająco duże. Więc kiedy Epe uchylił skórzane drzwi swojej chaty i zaprosił nas do środka, powiedział pewnie kobietom, które gotowały dla nas zupę, że to są właśnie ci ludzie, których powierzono jego opiece. Potem podprowadził nas do kilku skór leżących przy ognisku, gdzie się rozsiedliśmy. Narty, strzały i toporek Eysteina ponownie krążyły wokół ogniska, a zgromadzeni ludzie dokładnie oglądali każdy przedmiot. W chacie u Epego było ciasniej niż w poprzednim domostwie. Skrælingowie wolą budować małe schronienia, niż palić duże ogniska. Ściany wewnątrz zdobiły skóry reniferów i łośi, a klepisko przykrywał kobierzec z trzech warstw – najpierw warstwa drobnych gałązek, następnie świerkowe igły, a na wierzchu paprocie. Skrælingowie nie mieli ław do spania, spali bezpośrednio na skórach, mając stopy skierowane ku palenisku, co przypominało rysunek na wendyjskiej tarczy.

Znowu siedzieliśmy w milczeniu, a Skrælingowie przygotowali dla nas stawę. Zupę gotowali w kociołku z kory. Wrzucali do niego kamienie nagrzane przy ognisku i wkrótce w kociołku zaczęło bulgotać. Taki sposób gotowania nie był mi nieznanym, bo tak właśnie postępowano podczas mojego dzieciństwa. To był rok, w którym nasz żelazny garnek przerdzewiał, a ponieważ ojca nie było stać na nowy, musieliśmy

gotować wodę w zagłębieniu w nadmorskiej skale i wtedy właśnie używaliśmy kamieni rozgrzanych w ognisku.

Pamiętam, że zerknąłem w górę na szczelinę między żerdziami podtrzymującymi chatę i zauważyłem, że niebo pociemniało. Naszła mnie nagła chęć, by ruszyć w drogę z pochodniami, bo nie mogłem znieść myśli, że Sigrid będzie stała przed domem z Ravntorem na rękach, patrząc, jak słońce zachodzi po raz szósty. Siedząc tam, widziałem płatki śniegu wirujące w górze i zrozumiałem, że nie uszlibyśmy daleko, zanim ślady po nartach zostałyby zasypane.

Oprócz Epego w chacie przebywało trzech mężczyzn. To byli jego synowie, z których dwóch znajdowało się w grupie myśliwych. Była tam też jego żona, siwowłosa, uśmiechnięta kobieta, która chichotała bardziej niż małe dziewczynki. To wprawiało Epego w zakłopotanie, szeptał do niej kątem ust, jakby chciał, żeby się wzięła w garść, co ją jeszcze bardziej rozweselało. W chacie, oprócz żony, siedziały jeszcze cztery kobiety. Dwie z nich były żonami najstarszych synów Epego. Kręciło się też dwóch brzdąców w wieku pięciu i siedmiu zim oraz młoda dziewczyna licząca około piętnastu, szesnastu zim – wnuki Epego. Poza tym leżały dwa psy zajęte ogryzaniem kości łośia. Chata nie należała do największych, więc było tam tak gęsto od ludzi i zwierząt, że siedzieliśmy niemal ramię przy ramieniu.

Piliśmy zupę i zajadaliśmy się mięsem z łośia, nieczęsto bywałem bardziej objedzony. Halvor mruknął, że przydałoby się piwo, ale sfermentowanych napojów Skrælingowie nie mieli. Ludziom trudno w to uwierzyć, bo wielu słyszało plotki o tym, że w Winlandii rosną winogrona nadające się na wino albo winne jagody, które można poddać fermentacji. Skrælingowie jednak nie znali ani piwa, ani wina.

Epe zwracał się do nas, wskazując na niektóre figury namalowane na obitych skórami ścianach: myśliwych z łukami i psami, łośia i jelenia z wielkim porożem, a także langskip, taki jak w chacie starej kobiety. Epe wstał i wskazał palcem na statek.

– Tak – potwierdziłem. – Przepłynęliśmy przez morze.

Wówczas jeden z synów Epego zaczął grać na kościanej piszczałce. Muzyka nie różniła się zbyt od tej, jaką często słyszeliśmy w rodzinnych stronach. Cicha melodia, dobrze pasująca do opowieści, którą snuł Epe. Mówił do nas, rysował

w popiele przy ognisku, kładł jedną dłoń na piersi, a drugą wskazywał niebo. Nie rozumieliśmy, o czym opowiada, ale kiwaliśmy głowami i uśmiechaliśmy się najlepiej, jak potrafiliśmy.

Epe długo jeszcze ciągnął swoją historię, zanim w końcu ułożyliśmy się do snu. Najwyraźniej istniało wiele słów, które trzeba było nam przekazać, i wiele dźwięków, które należało zagrać. Wyjął skórzane zawiniątko i pokazał nam troje wysuszonych ludzkich uszu, które u większości wywołałyby strach. Ja jednak doszedłem do wniosku, że są to trofea zdobyte na zabitych wrogach i nie mnie, jomswikingowi, osądzać go za to. Ten widok nie wywołał też u mnie niepokoju, wręcz przeciwnie. Tylko mężczyźni, którzy ci ufają i traktują jak przyjaciela, opowiedzą w taki sposób o popełnionych przez siebie zbrodniach. Pewnie byłem pierwszym z naszej trójki, który pograżył się we śnie, i ktoś okrył mnie skórą. Gdy się obudziłem, ognisko było wypalone, a szare światło poranka wpadało przez otwór w dachu.

Przygotowaliśmy się do wymarszu. Stara kobieta podeszła do nas, kiedy przypinaliśmy narty. Towarzyszyła jej spora gromada. Nikt nie może twierdzić, że Skrælingowie ustępują w szczodrości jakiemukolwiek jarlowi, bo teraz wręczono nam jeszcze trzy przedmioty. Halvor otrzymał bęben, podobny do tego, jakiego używała owa kobieta. Na skórze bębna był namalowany langskip. Eysteinowi wręczono coś, co na początku wyglądało jak zwykły kij, ale okazało się łukiem wystruganym z drzewa, jakiego przedtem nigdy nie widziałem, miał głęboką, złocistą barwę. Ja dostałem muszlę z gatunku tych, jakie można znaleźć nad brzegiem morza, ale ta była większa od mojej pięści. Na końcu miała wycięty otwór i Epe pokazał mi, w jaki sposób przyłożyć muszlę do ust i zadąć w nią. Brzmiała prawie jak róg wojenny.

Potem opuściliśmy obóz Skrælingów. Towarzyszyli nam Epe i jego synowie i dobrze się stało, bo nasze ślady zasypał śnieg i na własną rękę pewnie nie odnaleźlibyśmy drogi powrotnej.



Epe i jego synowie szli z nami przez dwa dni. Gdy drugiego dnia zniknęło słońce, znaleźliśmy się w znanej nam okolicy. Skrælingowie znali skrót przez las i wkrótce stanęliśmy nad skutą lodem zatoczką, zaledwie o rzut kamieniem od piaszczystego

łącznika. Poczuliśmy zapach dymu, usłyszeliśmy ujadanie Fenrego. Kiedy się obejrzelśmy, Epe z synami zdążyli już zawrócić.

Na placu Sigrid objęła mnie i przytuliwszy głowę do mojej piersi, rozplakała się. Nie potrafiłem wykrztusić słowa. Tuliłem ją i Ravntora. Całowałem ją. Wciągałem w nozdrza zapach włosów synka. Bjørn chwycił mnie za ramiona i potrząsnął.

– Dobrze cię widzieć – powiedział. – Ale nie rób tego więcej. Powiedziałaś sześć dni. Już mieliśmy ruszać na poszukiwania.

Więcej słów na ten temat nie padło. Weszliśmy do domu, zrzuciliśmy z siebie buty z foczej skóry i wierzchnie okrycia ze skóry renifera, a w tym czasie do paleniska dorzucono polan. Potem dostaliśmy świeżo ugotowanego dorsza. Eystein i Halvor, połykając łapczywie jedzenie, nieustannie zerkali na mnie, więc zrozumiałem, że trzeba teraz to powiedzieć.

Gdybym im powiedział, że w lesie natknęliśmy się na Thora we własnej osobie w towarzystwie jego kozłów, nie wywołałoby to większego zaskoczenia. W pierwszej chwili siedzieli z szeroko otwartymi oczami, potem zerwali się z ław i zaczęli gadać jeden przez drugiego. Wielu ich było? Daleko od nas? Sigrid chwyciła mnie za rękę, ale nie udało się jej powiedzieć ani słowa, bo Torvar złapał mnie za drugą i chciał wiedzieć, czy nas wzięli do niewoli i dlatego tak długo nas nie było. Wtedy wstałem i chociaż jak na hovdinga nie miałem jakiegoś szczególnego daru słowa, musiałem to powiedzieć.

– Skrælingowie nie chcieli nas skrzywdzić – rzekłem. – Dali nam jedzenie i schronienie. I dary.

Halvor wyjął bęben ze swego kosza, a Eystein pokazał złocisty łuk. Moja muszla była owinięta w skóry, wyjąłem ją i zatrąbiłem. Vingur parsknął zza przegrody, dźwięk mu się nie spodobał.

– Uważam, że to dobrzy ludzie – mówiłem dalej. – Mogli nas zabić, gdyby chcieli. Ale oto jesteśmy.

Eystein chrząknął w tym momencie. Dotknął brody i najpierw tylko stał z głupawym uśmiechem na ustach, po czym powiedział to, co mężczyźni interesowało bardziej niż cokolwiek innego.

– I są tam kobiety. – Uniósł dłoń na wysokość podbródka. – Takiego wzrostu. Włosy mają czarne jak pióra kruka. Podarowały nam... – Wysupłał naszyjnik. – Dały nam coś takiego.

Po tych słowach w langhusie powstało spore zamieszanie. Siedziałem z Sigrid i Ravntorem, podczas gdy reszta mężczyzn tłoczyła się wokół Eysteina i Halvora. Sigrid rzucała mi ostre spojrzenia i wiedziałem, co jej chodzi po głowie. Wyciągnąłem naszyjnik zza pazuchy.

– Nie dostałem tego od żadnej kobiety – szepnąłem, podając jej naszyjnik.

Sigrid nawet nie chciała go dotknąć, więc odłożyłem naszyjnik na stół, po czym zagarnął go Torvar Bezbożnik.

Mężczyźni nie byli w pobliżu kobiety od dawna, stąd zrobił się taki raban, bo świadomość, że w odległości zaledwie kilku dni wędrówki przez las jest cała gromada dziewczyn, wyzwoliła w nich niespotykany zapał. Tylko Bjørn siedział w samotności, wzrok mu pociemniał i przeczuwałem, że myślami jest u kobiety i córki w kraju Wendów.

Tamtego wieczora usłyszałem, że Eystein długo nie mógł zasnąć po tym, jak Skrælingowie pokładli się do snu, i według jego własnych słów młoda dziewczyna, ta, która była wnuczką Epego, przez cały czas zerkąła na niego spomiędzy nakrywających ją skór. Gdy miała już pewność, że wszyscy inni posnęli, wymknęła się z chaty, a Eystein za nią. Kompani klepali go po plecach i ujadali niczym psy, kiedy opowiadał, jak to ją brał opartą o drzewo, pięć razy to zrobił i nigdy żadna kobieta nie była tak chętna jak ona. Dostała pukiel z jego brody, który obiecała przechować, aż on się znowu pojawi, bo Eystein chce jej jako swojej kobiety i wróci do wioski, gdy tylko nazbiera na wiano.

Nigdy się nie dowiedziałem, czy Eystein mówił prawdę. Pewnie ze trzy, cztery z tych rund przy drzewie sobie wymyślił, o ile w ogóle do czegoś doszło. Łatwiej bym uwierzył, gdyby chodziło o Halvora, bo Eystein nie należał do odważnych, jeśli chodzi o kobiety.

Pamiętam, że tamtego wieczoru żałowałem, że nie mamy piwa. Nie tylko dlatego, że wróciliśmy do domu po długiej wędrówce przez zimowy las, ale żal ścisnął mi

serce, bo widziałem smucącego się brata, podczas gdy wszyscy inni bawili się opowieściami Eysteina o jego miłosnych podbojach. Bjørn poszedł do części dla zwierząt, wyciągnął rękę do Vingura i pogładził go po pysku, a potem stał tak z dłonią na przegrodzie, zerkając od czasu do czasu na rozbawionych mężczyzn. Przemknęło mi przez myśl, że gdybyśmy mieli piwo, to moglibyśmy się napić. Utopilibyśmy w trunku jego tęsknotę, wspominalibyśmy pojedynek z Rosem i ucieczkę w Trøndelagu przed ludźmi Olafa. Rozmawialibyśmy o tym dniu, gdy przebił mi ramię strzałą z łuku, i o tym, jak nas szkolono wśród wydm pod Jomsborgiem. Przypominalibyśmy sobie bitwę pod Svolder, która zrobiła z nas banitów. Pilibyśmy za ojca, za matkę, za tych, którzy żyli przed nimi. Pilibyśmy za wszystkich tych, z którymi ramię w ramię walczyliśmy i przelewaliśmy krew, stukalibyśmy się kubkami i wznosilibyśmy toasty za czyny swego brata. Potem leglibyśmy na ławach pod ścianą, okryci skórą, i zasnęlibyśmy przy trzaskającym ogniu.



11

Onejun

Pierwsza zima na Wyspie Reniferów bardzo nam się dłużyła. Lód leżał na zatoce aż do momentu pojawienia się pąków na brzożach i obawialiśmy się, że nie zdążymy wykarczować ziemi i obsiać pola, gdyż wierzchnia warstwa gleby długo pozostawała zamarznięta. Kiedy wreszcie lody puściły, zaczął się miesiąc, który w domu zwaliśmy Miesiącem Kukułki [37](#). Nazwa była trafna, bo kiedyśmy zażywali pierwszej wiosennej kąpeli w zatoczce, z lasu za placem dobiegało ptasie nawoływanie i przy odrobinie dobrej woli mogło przypominać kukułkę z rodzinnych stron.

W ciągu zimy Eystein w towarzystwie kilku innych mężczyzn trzykrotnie odwiedził Skrælingów. Nazywaliśmy ich Rzecznym Ludem, mimo że od Eysteina dowiedzieliśmy się, że oni nazywają siebie inaczej, ale nie był w stanie tego wymówić. Był to dobry lud, przyjazny i szczodry, Eystein i jego towarzysze otrzymywali podarki za każdym razem, gdy ich odwiedzali. Eystein dostał dwa łuki z owego złocistego drewna i swego rodzaju mapę rysowaną węglem na skórze. Znajdowały się na niej faliste linie mające prawdopodobnie przedstawiać linię

brzegową; trudno było pojąć, co mówią, ale według Eysteina Epe próbował wyjaśnić, że takich jak oni jest więcej na południu i że te złociste łuki pochodzą stamtąd. Z czasem Eystein nauczył się kilku słów w języku Skrælingów, nauczył się także rozpalać ogień, przystawiając świder łukowy do drewnianka. Takie świdry nie były dla nas czymś nieznanym, bo używaliśmy ich, gdy trzeba było wywiercić dziurę w desce. Eystein pokazał nam, że posługując się pewnymi gatunkami drewna, można w ten sposób rozpalić ognisko, podsycając ogień wiechciem wysuszonej trawy. Dostał też nowe, kunsztownie uszyte buty z foczej skóry, sięgające mu do połowy łydki. Powiedział, że uszyła mu je jego dziewczyna. Miała zamieszkać u nas, jak tylko Eystein wykupi ją u ojca.

Cieszył nas widok topniejącego śniegu. Nigdzie las wiosenną porą nie wyglądał tak pięknie, jak na Wyspie Reniferów i sąsiadującym z nią lądzie. Wyprowadziłem statek z zatoki z zamiarem zbadania dalszego brzegu. Towarzyszyli mi Sigrid i mały Ravntor, a także Hutten, Eystein, Kåra Skanijczyk i Bork. Wystarczyło przepłynąć kawałek w kierunku wschodnim, by się przekonać, że to, co dotąd uważaliśmy za stały ląd, w rzeczywistości okazało się gigantycznym półwyspem, z którego wyrastała Wyspa Reniferów. Linia brzegowa głównego półwyspu wiodła nas w kierunku północno-wschodnim, przez cieśninę oddzielającą go od widocznej w oddali wyspy. Po przepłynięciu cieśniny okrążyliśmy główny półwysep od strony południowej i zobaczyliśmy, że jest zrosnięty z czymś, co prawdopodobnie było już rzeczywistym lądem stałym. Tym, który swoim dolnym krańcem łączył się z krainą niebieskich ludzi.

Gdy powróciliśmy z tej wyprawy, nadszedł czas, by wykarczować ziemię pod pola uprawne. Mówiąc szczerze, sprawa była pilna. Torvar i Eilef pochodzili z chłopskich rodzin i jeszcze zanim spadł śnieg, zrobili obchód, szukając ziemi zdatnej pod uprawę. Nie znaleźli takiej na naszej wyspie, gleba była tu zbyt uboga. Jednak na południe od Zatoki Wielkiej, poniżej ujścia rzeki, znajdował się płaski zalesiony obszar o glebie czarnej i żyznej i tam zaczęliśmy wycinkę. W większości rosły w tym miejscu brzozy i klony, a nie było to drewno nadające się do budowy statków. Rozszczepiliśmy kilka

prostych kłód, wyciosaliśmy deski i postawiliśmy szopę nad brzegiem morza. Resztę drewna spławiliśmy na Wyspę Reniferów. Odsłoniliśmy korzenie, udało nam się je powyrywać, zaprzęgając do pracy Vingura. Podszyt podpaliliśmy, czemu początkowo byłem przeciwny, ale zdawałem sobie sprawę, że nikomu nie uda się oczyścić pola, nie podpalając go wcześniej. Popiół sprawi, że zboże będzie szybciej rosło, twierdził Eilef. Karczowanie i oczyszczenie ziemi zajęło nam cały Miesiąc Kukułki, ale w końcu przygotowaliśmy teren szeroki na rzut oszczepem i długości równej dziesięciu langskipom ustawionym jeden za drugim, co dało więcej miejsca, niż potrzebowaliśmy dla naszego siewnego ziarna. Sialiśmy przy pełni księżyca, a na słupie ofiarnym, stojącym na placu, złożyliśmy ofiarę z krwi jelenia ustrzelonego przez Asmunda i Helgego. Hutten radził, byśmy zagrzebywali na polu rybie wnętrzości. Tak czyniono na Orkadach. Ja jednak pokręciłem głową. Gdybyśmy zakopali rybie trzewia, cała okoliczna zwierzyna wyczułaby ten zapach i zryła nam pole. Poza tym ta gleba nie potrzebowała nawożenia, bo wcale nie była tak uboga jak na Orkadach. Eilef wciąż wachał ziemię, z dużą przyjemnością rozgniatając ją w rękach. Lepszej ziemi uprawnej nigdzie nie widział.

Zaczynała się pora roku, kiedy drzewa pełne są soków. W Norwegii był to zawsze wspaniały czas, wspaniałym czasem okazał się też w Winlandii. Sigrid i Hilda zbierały brzoźowe liście, rozgniatały je w misie z wodą, farbując w nich włóczkę, którą przędły przez ciemne zimowe wieczory. Gdy ponownie nastanie zima i włożymy wydziergane igłą rękawice i skarpety, zielony kolor przypomni nam, że w końcu zawsze nadchodzi lato.

Hutten zabrał się do wytapiania żelaza. Od dawna na to czekał, a w odległości zaledwie krótkiej wyprawy łodzią wiosłową w górę rzeki, gdzie po raz pierwszy znaleźliśmy ognisko Skrælingów, był uskoczek z czerwonawą ziemią zawierającą rudę. Wypalaliśmy ją w ognisku, nad brzegiem rzeki, aż ruda nabierała czerwonego koloru i była „dobrze wyprażona”, jak mawiał Hutten. Na skraju placu wybudowaliśmy piec, rozpaliliśmy węgiel w piecowej kotlinie i wypaliliśmy w niej uprażoną rudę; tym sposobem już pierwszego dnia uzyskaliśmy bryłę żelaza wielkości pięści. Ułożono ją z namaszczeniem na stole w domu, gdzie każdy mógł ją podziwiać. Siedziałem

z Ravntorem na kolanach, a mężczyźni z uroczystą miną przekazywali ją sobie z rąk do rąk, niemal jak bryłę złota. Niewtajemniczonym dymarstwo jawi się jako coś równie mistycznego jak seid.

Wzięliśmy się do wytwarzania smoły, czym każdy z nas już się kiedyś trochę parał, bo ojcowie często zabierali synów do lasu, gdy trzeba było wykopać jamę do pędzenia smoły. Wykopaliśmy dół o kilka rzutów kamieniem od pola i wstawiliśmy na dno sfatygowany kocioł, który Hutten przywiózł ze sobą, przykrywając ów kocioł sitem wykutym przez naszego Szkota z właśnie uzyskanej bryły żelaza. Potem wypełniliśmy dół karpiną i brzozową korą, układając na to wszystko potężną stertę drewna i po podpaleniu przysypując torfem. Lepsze drewno do pędzenia smoły niż tam, na zachodzie, rzadko udawało mi się znaleźć.

Wszystkie korzenie, które wyrwaliśmy z pola, zostały spalone w jamie. Otrzymałą w ten sposób smołą nasmarowaliśmy ściany domostwa. Następnie Orm Przynęta zajął się przycinaniem klepek na beczki. Był synem bednarza i twierdził, że pamięta, jak to się robi. Jego beczki były rzeczywiście szczelne, złego słowa nie można o nich powiedzieć. Po odparowaniu niewykorzystanej smoły otrzymaliśmy pak, który przechowywaliśmy w beczkach. Gdy już wybudujemy nasze statki, natrzemy je właśnie tym pakiem.

Wkrótce po raz kolejny wypłynęliśmy knarą. Zostali jedynie Hutten i Valp, który miał pobierać nauki u starego Szkota, podobnie jak ja kiedyś. Huttenowi było pewnie miło mieć samego syna jarla jako ucznia, ale nigdy się z tego powodu nie pysznił, przynajmniej w mojej obecności.

Pożeglowaliśmy na stały ląd i tam ścinałliśmy modrzewie. Pnie były proste i solidne, dawały się łatwo rozłupywać za pomocą sosnowych klinów. Załadowaliśmy je na statek i wróciliśmy do domu, mając w nozdrzach woń kory i soku z drzew. Tamten zapach najczęściej przywołuję w pamięci, gdy wspominam nasz pierwszy okres w Winlandii. Nie ciepło słońca, śpiew ptaków na czubkach drzew czy szum wiatru w koronach klonów przypominam sobie, lecz zapach wyrębu. Wnika w palce i nie możesz go zmyć, ale jeśli kochasz pracę w drewnie, nie przeszkadza ci to. Wkrótce wszyscy mężczyźni, z wyjątkiem Huttena i Valpa, pracowali na placu,

i podczas gdy ja byłem zajęty stępką i stewami, reszta ustawiła słupy narożne i położyła dach. Nie użyliśmy modrzewia do pokrycia dachu, do tego wystarczył świerk. Byłem jednak świadomy tego, że nie uda nam się ukończyć statku przed pierwszym śniegiem, więc dach był nam potrzebny.

Wiosna przeszła w lato. Łowiliśmy ryby w zatoce i polowaliśmy na zachód od piaszczystego pomostu. Dobre to były dni dla nas wszystkich. Eystein jednak chodził z głową zwieszoną, bo zastał obóz Skrælingów opuszczony i chociaż idąc po śladach, mógłby ich odnaleźć, męczyła go myśl, że nie chcą już mieć z nim nic do czynienia.

Owce okociły się, kurom wykluły się pisklaki, a Ravntor był coraz większy. W dzień letniego przesilenia, gdy wynieśliśmy na zewnątrz stół, ucztowaliśmy, śpiewaliśmy i składaliśmy ofiary za szczęście i długie życie ludzi i zwierząt, mój chłopczyk wstał i postawił pierwsze kroki. Widząc to, Hutten zaśmiał się i powiedział, że jeśli do tej pory wydawało mi się, że niełatwo go upilnować, to teraz rzeczywiście robi się trudno.

Stary Szkot najwyraźniej wiedział, co mówi. Gdy Ravntor raczkował, mogliśmy go spuszczać z oka przynajmniej na chwilę, ale teraz dreptał przed siebie i mógł w okamgnieniu gdzieś przepaść. Bardzo lubił schodzić na brzeg morza, na widok czego Sigrid za każdym razem z krzykiem puszczała się za nim w pogoń. Czasami znikał w zagajniku albo wpełzał między kłody drewna i chował się tam. To była jego zabawa. Wielu naszych miało z tego niezłą uciechę. Gdy Sigrid chodziła dookoła i nawoływała, oni, udając mocno zajętych obrabianiem desek ciesielskimi toporami, uśmiechali się tylko pod wąsem.

W jeden z najcieplejszych dni tego lata nasz baran zwałił się na ziemię. Leżał na boku, ciężko dysząc, i sądziliśmy, że jest mu gorąco, więc wylaliśmy na niego wiadro morskiej wody, ale wówczas wierzgnął dwa razy tylnymi nogami i zdechł. Zdaniem Eilefa oszukano nas, dostaliśmy starego tryka. Stwierdził, że Grenladczycy podarowali nam właśnie takiego, byśmy musieli do nich wrócić. Bo barana potrzebowaliśmy, jeśli chcieliśmy wiosną doczekać się jagniąt. Być może mieli nadzieję, że przywieziemy ze sobą drewniane kłody, rudę żelaza, smołę i że

z korzyścią wymienią się z nami na nowego tryka.

Nic innego nam nie pozostało, jak szykować się do drogi. Może wystarczy, że dotrzemy do Wyspy Leifa? Przy odrobinie szczęścia mogłoby się okazać, że mają barana, którego zechcą nam sprzedać.

Nie popłynąłem z nimi, bo Sigrid wołała, bym z nią został, poza tym nadszedł już czas na oklepkowanie kadłuba, jak nazywaliśmy tę czynność. Wyciosaliśmy stępkę i stewy, ustalając tym samym kształt przyszłego statku. Nie miał być tak ogromny jak Dan, jedna z największych jednostek we flocie Svena Widłobordego. Miał zaledwie połowę jego długości, ale miał być szeroki. Ponadto zaplanowałem wysoką wolną burłę, by mieścił zwierzęta, ludzi i sporo towaru. Pamiętam, że na takich knarach kupcy przyplądali do mojego rodzinnego Viken.

Ponieważ nie mieliśmy dość wełny, postanowiłem zrobić żagiel ze skóry. Hutten stwierdził, że to obniży cenę statku o połowę, ale nie było wyboru. Tkaninę mogliśmy oczywiście utkać, jednak brakowało runa. Gdy statek będzie gotowy, pożeglujemy nim i wymienimy go na owce i być może na parę krów i kilka koni, które pomagałyby Vingurowi w lesie.

Jedna z klepek, którą ociosaliśmy, miała na końcu szczególny kształt. Wyrastała stąd kiedyś gałąź, ale została ułamana i pień drzewa zamknął się wokół tego miejsca. Hutten przez długą chwilę przyglądał się klepce, po czym odrąbał końcówkę i zaczął obrabiać ją nożem. Chciałem go zapytać, co robi, ale działo się to tego dnia, kiedy Bjørn klarował Dana do wyjścia w morze i w chwili, gdy Hutten rozsiadł się z klockiem w ręku, brat zawołał do mnie z przystani, że potrzebują pomocy przy załadunku.

Wyplądaliśmy tamtego popołudnia, zaledwie dwa dni po tym, jak zdechł nam baran. Razem z Sigrid udaliśmy się na północną stronę Wyspy Reniferów i pomachaliśmy im na pożegnanie. Mieli sprzyjający kierunek pływów i pomyślny wschodni wiatr w żaglu.



Trzy dni po wypłynięciu Bjørna nagle nad brzegiem morza pojawił się Epe w towarzystwie kilkorga innych Skrælingów. Było późne popołudnie i od strony otwartego morza napłynęła mgła, ale Fenre czekał i słyszeliśmy uderzenia wiosł

o wodę, więc chwyciliśmy za broń. Kiedy okazało się, że na brzeg wpłynął Epe z synami, zdjęliśmy strzały z cięciw. Epe miał poważny wyraz twarzy, synowie też nie promienieli radością. Dziewczyna, o której opowiadał Eystein, wyszła z łódki i stanęła między śliskimi przybrzeżnymi kamieniami. Ja i pozostali mężczyźni zeszliśmy do nich gromadą. Epe przywitał się, skinąwszy krótko głową i kładąc dłoń na piersi, po czym wypowiedział kilka słów, których nie zrozumieliśmy, z wyjątkiem jednego. Powiedział „Aystain” i rozejrzał się po obejściu, mrużąc swe wąskie Skrælingowe oczy.

– Nie – rzekłem. – Eysteina tu nie ma.

Epe na wpeł odwrócił się w kierunku zatoki, pokazując ją palcem.

– *Volsak tao? Aystain?*

– Eysteina nie ma – powtórzyłem. – On i jeszcze paru innych popłynęli na Wyspę Leifa, aby kupić barana.

Sigrid z Ravntorem i Hilda do tej pory trzymały się domu, stały w drzwiach gotowe, żeby zamknąć się w środku, w razie gdyby doszło do starcia; wciąż jeszcze nie ufaliśmy w pełni Epemu i jego plemieniu. Teraz kiedy można było założyć, że Skrælingowie nie są wrogo usposobieni, cała trójka wyszła na plac, a Hutten chrząknął i mruknął, że powinniśmy zaprosić przybyszów do środka, by nikt nie mógł nam zarzucić braku gościnności.

Zrobiliśmy tak, jak mówił. Ja i reszta naszych mężczyzn weszliśmy do długiego domu, za nami podążyli Skrælingowie, z wyjątkiem dziewczyny. Została na zewnątrz razem z Sigrid, Hildą i Ravntorem. Wszedłszy do środka, zajęliśmy miejsce po jednej stronie stołu. Skrælingowie stanęli po drugiej. Jeden z synów Epego od razu zaczął układać przed sobą różne przedmioty. Kilka dużych muszli, cztery złociste łuki, dwa rulony wymizdrowanej skóry z łosia i skórzany worek pełen czarnych kamyczków. Przez chwilę przyglądaliśmy się temu w milczeniu, a mnie przeszło przez myśl, że oprócz łuków niczego nam z tych przedmiotów, które oferują Skrælingowie, nie trzeba i że w zasadzie nie mamy zbyt wielu rzeczy, które moglibyśmy dać na wymianę. Zrobiliśmy kilka kościanych piszczałek przez zimę, a Valp wyciął nożem z klocka posązek bóstwa z olbrzymimi piersiami, ponoć miało to przypominać Freję. Szepnąłem Valpowi, żeby przyniósł posązek i – jeśli znajdzie – to również piszczałki,

ale kiedy położyliśmy te rzeczy na stole, zirytowany Epe odsunął je od siebie. Hutten pochylił się do mnie i szepnął:

– Moim zdaniem to, co przed sobą widzisz, hovdingu, to posag. Powinieneś go przyjąć i przekazać Eysteinowi, gdy wróci. W przeciwnym wypadku następnym razem chyba nie przybędą w pokojowych zamiarach.

Nieraz uświadamiałem sobie, jak dobrze, że mieliśmy Huttena tam, na zachodzie. Stary Szkot był mądrym mężem.

Siedzieliśmy przy stole ze Skrælingami. Większość czasu przyglądaliśmy się sobie nawzajem i nikt zbyt wiele nie mówił. Epe pokazał na drzwi i wiele razy powiedział „Onejun”, więc zgadliśmy, że to musiało być imię dziewczyny, którą przyprowadzili. Gdy słońce stało już nisko, a kobiety w końcu weszły do izby, sądziliśmy, że Epe i jego towarzysze mają ochotę zostać, ale oni wstali, rzucili kilka słów, a ojciec dziewczyny przytulił ją, wydając z siebie kilka dźwięków. Trudno było orzec, czy coś do niej mówi, czy tylko pojękuje. Potem Epe, chwyciwszy syna za ramię, pociągnął go za sobą. Skrælingowie zeszli do swoich łódek i odpłynęli. Dziewczyna została na placu sama, zapłakana.

Minęło jeszcze kilka dni, zanim Bjørn z załogą wrócili do domu. Pracowaliśmy przy klepkach kadłuba, pozostawiając Skrælingową dziewczynę samą sobie. Siedziała w rogu domu, nie śmiejąc nam spojrzeć w oczy, ale Sigrid się nią zajęła, zadbała, by nie brakło jej wody i jedzenia. Jednego dnia powiosłowaliśmy razem z Valpem, by sprawdzić, co się dzieje ze zbożem na polu, a po powrocie okazało się, że kobiety wróciły z lasu z podołkami pełnymi listków i korzeni. O tej porze roku w leśnym runie można było znaleźć mnóstwo jadalnych roślin i Skrælinka właśnie gotowała z nich pyszną, gęstą zupę. Jeśli kiedyś zastanawialiście się, czy lato, promienie słońca, świergot ptaków mają smak, mogę wam rzec, że tym właśnie smakowała owa zupa.

Gdy Dan w końcu wsunął się do zatoki, zawołałem, że mamy jeszcze jedną kobietę, i natychmiast przy stewie dziobowej pokazała się ruda czupryna Eysteina. Nie tracąc ani chwili, wskoczył do wody, dopłynął do brzegu i przemoczony do suchej nitki pędem przybiegł do domu. Onejun stała obok Sigrid ze wzrokiem wbitym

w ziemię. Eystein przytulił ją do siebie. Z tą dwójką nie było tak, jak głośzą złe języki, że Eystein został zmuszony do ożenku ze Skrælingową kobietą, nie mając na to najmniejszej ochoty. Onejun i Eystein kochali się. Później tego wieczoru zdradził nam, że dziewczyna nosi jego dziecko.

Bjørnowi udało się kupić barana, tak jak miałem nadzieję. Było to młode zwierzę, które głośno beczało i zostawiło po sobie górę łajna w łódce wiosłowej. Gdy tylko wypuściliśmy zwierzaka na brzeg, pognał do lasu i nie wydawał się zainteresowanym owcami. Pozwoliliśmy mu się wyhasać, bo Bjørn i pozostali mieli mnóstwo do opowiadania. Na wyspie nie zastali Leifa, w jego imieniu rządził Gunnar Duży. Pojął, że mój brat wolałby nie żeglować na Grenlandię po barana i ustalił wysoką cenę. Zachowywał się bezczelnie, wskazał kikutem na Dana, twierdząc, że Bjørn powinien oddać mu knarę. Jeśli Bjørn się zgodzi, będzie mógł w zamian wziąć statek, który właśnie ukończyli. Ten, który swego czasu stał do połowy zbudowany w warsztacie skutniczym. Dostanie też barana i ładunek świeżo przyciętych klepek do budowy statku, a dodatkowo trzy beczki piwa, które właśnie przyplłynęły aż z Norwegii. Historia z beczkami niezwykle zainteresowała mego brata. Przebywali w długim domu należącym do Leifa, więc odciągnął na bok Gunnara, który tego wieczora był pijany i bardzo rozmowny. Z towarami przyplłynęli ludzie Torfinna Karlsevnego. Sam Torfinn został na Grenlandii, ale powiadano, że skierował swój wzrok na zachód, uważając, że można tam zdobyć bogactwa. Bogactwa raczej mu nie brakowało i o ile Gunnar dobrze rozumiał, na Grenlandię przyplłynął czterema knarami, wioząc ze sobą zwierzęta, niewolników i krewniaków. Ale tacy ludzie nigdy nie nasycą się dobrami.

Ci, których wysłał na Wyspę Leifa jedną z knar, mieli ze sobą nie tylko towary, lecz także wieści od syna Eryka. Nieszczęście dotknęło hovdinga w Brattli i jego rodzinę, gdyż brat Leifa, Torstein, zachorował tamtej zimy i zmarł, a ojciec Eryk pogrążył się w rozpacz i słabował. Nie wyglądało na to, żeby Tjodhild przejmował się czymkolwiek innym poza Białym Chrystem, więc Leif postanowił zostać i zaopiekować się starym ojcem. Torfinn Karlsevne ożenił się z Gudrid, wdową po Torsteinie, opowiadał Bjørn. Ziemie należące do mego imiennika stały się teraz jego własnością. Krążą plotki, że zamierza wysłać swoich ludzi do wycinania drzew modrzewiowych, które będzie przewoził na handel do Islandii. Ta ostatnia wieść mnie

rozwścieczyła i chwyciwszy gwałtownie kubek, cisnąłem nim przez izbę. Ravntor rozplakał się, więc wyszedłem.

Kolejne dni ciężko pracowałem razem z Bjørnem przy klepkach poszycia. Sądziłem, że uda nam się je zamocować i położyć pokład, zanim spadnie śnieg, ale Hutten kręcił tylko głową, słysząc o naszych planach. Jako szkutnik powinienem przecież wiedzieć, że to nie od klepek zależy. Potrzebujemy żelaza, setki nitów będą nam potrzebne. Hutten wziął ze sobą Helgego i Asmunda i popłynęli łodzią wiosłową w stronę uskoku przy ujściu rzeki. Wygrzebali tam sporą ilość czerwonej ziemi, którą wyprażyli i wytopili z niej żelazo. Hutten najpierw wykuł świder, a następnie mnóstwo nitów. Świder miał zostać przytwierdzony do kijka, by można nim było dziurawić klepki w miejscach, gdzie miały wchodzić kołki. Takie narzędzie nazywaliśmy świdrem łukowym, bo ostrze obracało się za pomocą krótkiego łuku. Pętlę na cięciwie zakładałeś wokół uchwytu świdra i pociągając łukiem tam i z powrotem, mogłeś bez trudu wywiercić dziurę w desce. Halfdan Szkutnik w Skiringssalen, który nauczył mnie budować łodzie, miał coś takiego.

Stary baran został dobrze spożytkowany po śmierci. Mięsa nie śmieliśmy jeść, bo w zdechłych zwierzętach mogą być robaki i inne paskudztwa. Jednak wszystko inne zostało wykorzystane. Z kości zrobiliśmy haczyki na ryby, igły, groty do strzał i puszczalki. Rogi po wygotowaniu i usunięciu szpiku wydrążyliśmy. Tak powstały dwa dobre instrumenty, w które myśliwy mógł zadać, w przypadku gdyby oddalił się od grupy. Ze ściętej i wymytej wełny została uprzedzona włóczka, a ze skóry Sigrid uszyła kamizelę dla Torvara. Był wśród nas najstarszy i zimą potrzebował ciepłych ubrań, bo okrutnie łamało go w kościach. Hutten wycisnął całą zawartość jelit i rozciągnął je tak, że tworzyły długie sznury, które następnie zaniósł do kąta izby, gdzie spędzał kolejne wieczory. Stary Szkot coś tam skrawał i dłubał w kawałkach drewna, ale nie chciał zdradzić, co robi. To oczywiście podsycalo tylko naszą ciekawość. Kiedy stary tak się zachowywał przez kolejnych dwanaście wieczorów, Halvor nie wytrzymał i podszedł do niego. Był przecież skaldem z Jomsborga i rozpoznał kształty drewnianych części.

– Dość się już tam nasiedziałeś – stwierdził. – Zagraj kilka tonów, posłucham, czy

brzmi słodko, czy kaleczy uszy.

Na to Hutten wstał i obrócił się ku nam. Pod oboma ramionami trzymał coś, co przypominało gładko wyheblowane deseczki. Obie były długości ramienia, a połowa każdej z nich miała wydrążony otwór szeroki na dłoń. Hutten rozpiął baranie jelita od końca deseczki nad otworem aż do drewnianych kołeczków na drugim końcu instrumentu. Widziałem takie instrumenty wcześniej u hovdinga w Skiringssalen i u Halfdana Halli pod Jomsborgiem. To były liry.

Hutten odłożył jeden instrument na stół, po czym przyjął pozycję do gry. Postawił stopę na brzegu ławy, tak by mógł oprzeć lirę o kolano. Przyłożył swoje krótkie paluchy cieśli do spodniej części strun, a kciukiem przesunął w poprzek, nieco poniżej. Słodko to nie zabrzmiało, ale nie było w domu takiego, kto tego wieczoru nie stałby obok Szkota. Hutten pokręcił stroikami, przeprosił, że nie potrafi grać lepiej. Nie grał od śmierci żony, mruknął. Halvor chciał wiedzieć, dla kogo jest druga lira, przekonany zapewne, że dla niego, ale Hutten wskazał ruchem głowy mnie.

– Hovding nauczy się ode mnie grać – oznajmił. – Dobrze mu to zrobi, bo jest taki jak ja. Łatwo poddaje się mrocznym myślom.

Tego wieczoru zagrałem swe pierwsze tony na lirze, którą zrobił dla mnie Hutten. Stary Szkot pokazał mi dwa chwyt, tylko tyle było potrzeba, by dźwięki rozbrzmiały w długim domu. Po niedługim czasie potrafiłem zagrać z zamkniętymi oczami i wtedy wszystko wokół mnie zniknęło. Byłem z powrotem na półwyspie w rodzinnym Vingulmorku, szedłem boso między wiekowymi cisami, a przy mnie biegł Ulfham. Zapytałem go, czy wie, kiedy Bjørn wróci z wyprawy na wiking, czy wróci jesienią? Ulfham spojrzał na mnie brunatnymi oczami, miał uszy postawione na sztorc, merdał ogonem. Poszliśmy dalej, w głąb paproci przy mokradłach, gdzie mogłem usiąść i obserwować wiewiórki śmigające wokół nas w gałęziach świerków.

Tego wieczoru z oczu ciekły mi łzy. Sigrid podeszła i mnie objęła, ale nie zwracałem na nią uwagi. Dźwięki liry przeniosły mnie do dnia, kiedy zostałem pojmany. Dnia, kiedy nadeszli Ros i jego ludzie, kiedy ojcu rozpruto brzuch i wyrwano wnętrzności. Przeniosły mnie do dnia, kiedy siedziałem przykuty do ławy wioślarza, do osady kupieckiej, gdzie jako niewolnik uczyłem się u Halfdana Szkutnika. Dźwięki liry zabrały mnie w środek mojej pierwszej bitwy morskiej, do

tego dnia, kiedy Bjørn i ja walczyliśmy za Olafa i do owego paraliżującego strachu, który ogarnął mnie, kiedy nie było już niczego słyszeć oprócz jęku rannych. Zabraly mnie do halli króla Wendów, na statek jarlowych synów podczas bitwy pod Svolder.



Mam dobre wspomnienia z pierwszego lata na Winlandii. To wspomnienia pokrytych bujnym listowiem klonów, w których szmerze wiatr, gdy przedzieras się przez leśny podszyt z łukiem w rękę. To wspomnienia rytmicznych uderzeń topora o modrzewiowe pnie na placu przed długim domem; zapachów drewna, wodorostów wyrzuconych na brzeg i zupy, którą gotowała dla nas dziewczyna Eysteina. Pamiętam szczupłe ciało Sigrid, które przyłgnęło do mojego, i uśmiechy, które mi często posyłała, gdy pracowałem. Pamiętam mięciutką dłoń Ravntora w mojej dłoni, jego policzek oparty o mój, gdy go biorę na ręce i stoję z nim przed domem.

Mam też bolesne wspomnienie z tego lata. Stary Torvar zmarł pewnej nocy, przed zbliżającym się Miesiącem Żęcia Zboża. Kiedy się obudziliśmy, leżał zimny, z szeroko otwartymi oczami. Przenieśliśmy go na piaszczysty pomost i spaliliśmy na olbrzymim stosie, w miejscu gdzie był blisko nieba, morza i wyspy, która stała się naszym domem. Potem wyryliśmy jego imię na ścianie przy jego miejscu na ławie i obiecaliśmy o nim nie zapomnieć.

Być może to śmierć Torvara skłoniła mnie w końcu do przyznania przed samym sobą, że memu małemu, trójnogiemu pieskowi nie pozostało już zbyt wiele życia. Każdy z nas błędził myślami gdzie indziej – budowa łodzi, pole uprawne. Miałem też Ravntora, który dreptał wszędzie i wypowiadał pierwsze słowa, więc Fenre był najczęściej sam. Niczego mu nie brakowało. Dostawał jedzenie i wodę i spał przeważnie z nami w domu, ale nie miałem go tak blisko siebie jak wcześniej. A teraz nagle zobaczyłem, jak posiwiał wokół pyska i jak mu zeszywniały łapy. Przyszło mi na myśl, że starość ciążyła mu bardziej niż innym psom, skoro miał tylko trzy zdrowe kończyny. Wkrótce nadejdzie zima i ciężkie czasy dla jego starych stawów.

Zżęliśmy kłosa i oddzieliliśmy od nich każde najmniejsze nawet ziarnko. Przeważał jęczmień, ale było także nieco owsa i orkisz. Wysialiśmy owe zboża na trzech

osobnych częściach pola. Zdaniem Eilefa zmienianie miejsca, w którym sialiśmy dany gatunek, było niezwykle ważne, bo w ten sposób nie wyjaławialiśmy gleby. Wypełniliśmy zbożem worki uszyte ze skóry łosia, które niezawiązane zawiesiliśmy pod pułapem, tak by ziarno utrzymywało się suche i nie pleśniało. Tego wieczora, gdy łódką przewieźliśmy z pola ostatni worek, ugotowaliśmy kociołek gęstej zupy zbożowej, ale ten jeden raz musiał nam wystarczyć. Resztę zboża trzeba było przechować; miało zostać wysiane wiosną.

Dni były coraz krótsze. Liście na klonach zrobiły się czerwonożłote, a pewnego ranka podwórze pokryła warstewka szronu. Przez całe lato gromadziliśmy trawę dla zwierząt, ale wydawało nam się, że wciąż mamy jej zbyt mało, więc wyposażeni w wiklinowe kosze przeszliśmy przez piaszczysty pomost i uzupełniliśmy zapasy. Wybudowaliśmy również oborę dla owiec i kóz. W końcu udało nam się ukończyć dach nad warsztatem skutniczym i przeciągnęliśmy Dana na płyciznę, po czym podparliśmy go okrągłakami. Gdy morze cofnęło się w czasie odpływu, oczyściliśmy kadłub z pąkli i wodorostów. Potem nasyciliśmy poszycie pakiem, starając się dotrzeć jak najbliżej stępki. Żagiel zabraliśmy do domu i nie było to ani o chwilę za wcześnie. Tego wieczora Wyspę Reniferów pokrył śnieg.



12

Ogień

Nasza druga zima w Winlandii była łagodna i śnieżna. Tuż po vinterblot nadeszła wichura znad otwartego morza, na co wielu zaczęło szeptać, że powinniśmy złożyć lepszą ofiarę, może nawet z owcy. Porządna ofiara powinna skąpać posąg boga we krwi, a my ofiarowaliśmy tylko dorsza, co musiało rozgniewać samego Thora z rodu Asów, bo tej nocy, gdy uderzyła w nas wichura, wiatr był tak silny, że zerwał dach obory. Następnego ranka po dachu nie było ani śladu, musiało go zdmuchnąć na morze i odepchnąć od brzegu.

Powiadają, że dobry hovding to hovding oszczędny w słowach. Niech durnie i stare baby siedzą na ławach pod ścianą i plotkują. Hovding u szczytu stołu nie rzuca słów na wiatr, a słów, które wypowiada, mężowie uważnie słuchają. Młody jeszcze byłem, zaledwie dwudziestodwuletni i wciąż nieprzywykły do roli hovdinga. Pojąłem już jednak, że nie wolno mi angażować się w kłótnie – zasada, której przestrzegałem przez całe życie. Dlatego nie odzywałem się, kiedy mężczyźni pomrukiwali na temat ubożuchnej ofiary; wierzyłem, że Wszechojciec widzi nas na wyspie i zrozumie. Sam

był przecież hovdingiem tam, wysoko w Asgardzie, i zapewne podobnie jak ja sądził, że głupotą byłoby złożyć w ofierze jedną z owiec, czego domagali się moi ludzie. Jeśli młody tryk zrobił to, co leży w naturze młodego tryka, maciorki okocą się wiosną. Wtedy znowu wyprawimy się statkiem i być może na Wyspie Leifa uda nam się wymienić tryka na innego. Jak słyszałem, tak postępują mądrzy gospodarze, unikając tym sposobem chowu wsobnego.

Przyznaję, były chwile, gdy wątpiłem, czy wzrok Odyna spoczywa na mnie. Widziałem szerzącą się wiarę w Białego Chrysta i wojów zrywających z szyi łańcuchy z młotem Thora i zamieniających go na krucyfiks. Nieraz przechodziło mi przez myśl, że być może Odyn zapadł już w długi sen, z którego ocknie się dopiero wraz z Ragnarokiem. Już wkrótce miałem doświadczyć rozpacz tak ogromnej, że cała wiara i nadzieja mieszkające we mnie zostały wyszarpane, jednak na razie bogowie okazywali się łaskawi dla nas, mieszkańców wyspy. Dzień po ustaniu wichury na ląd od północnej strony wyrzuciło wieloryba. Razem z Bjørnem widzieliśmy taki przypadek wcześniej, kiedy uciekając Olafowi i jego ludziom, zesłiśmy na ląd w Jutlandii. Jednak ten wieloryb był znacznie mniejszy, mierzył około pięciu wysokości człowieka, patrząc od pyska do płetwy ogonowej. Musiał zginąć całkiem niedawno, bo nie wydzieliał przykrego zapachu, a gdyśmy go rozkroili, pociekła zeń świeża krew.

Mimo że wieloryb nie należał do największych, dał nam pożywienie aż do Miesiąca Córki Torrego ³⁸, który następuje po Miesiącu Torrego, dzięki czemu uniknęliśmy głodu tej zimy. A było to ważne, bo wśród nas znajdowały się teraz dwie kobiety, które jadły za siebie i za dziecko. Sigrid wciąż jeszcze karmiła Ravntora piersią, a Onejun była już na ostatnich nogach. Urodziła podczas topnienia śniegu pięknego chłopca. Otrzymał imię Sigvar i wszyscy mężczyźni świętowali narodziny w warsztacie skutniczym, podczas gdy kobiety zostały w długim domu. Eystein wyjaśnił nam, że „sigv” znaczy „wiosna” w Skrælingowym języku, więc imię brzmiało dobrze i nam, i Skrælingom. Piliśmy kwaśne wino, które Torvar nastawił poprzedniej jesieni, wznosząc kubki ku niebu i dziękując zmarłemu. Wkrótce przekonaliśmy się, że choć wino, podobnie jak Torvar, było gorzko-kwaśne, miało w sobie dość mocy, by zwalić z nóg nawet najbardziej zaprawionego w bojach

berserka.

Jak wspomniałem, wieloryb pomógł nam przetrwać zimę, choć i tak dalibyśmy radę, bo wiosna przyszła wcześniej tego roku. Choć jeszcze nie doszliśmy do Miesiąca Kukułki, lody puszczały. Epe i jego synowie przyłynęli, manewrując między kawałkami kry, i usiedli przy długim stole. Ojciec Onejun stał przy córce, przyglądając się ponuro niemowlakowi u jej piersi. Ani jedno słowo nie padło z jego strony.

Sądzę, że w tym czasie wszyscy zdawali sobie sprawę, że noszę się z zamiarem zerwania umowy, jaką miałem z władcą Danów i że Wyspa Reniferów, pola uprawne, las, z którego wyrąbywaliśmy modrzewie, nigdy nie miały zostać poddane władzy jakiegokolwiek króla. Nie rozmawialiśmy na ten temat, ale tuż po odpłynięciu Epego i jego synów Eystein wspomniał, że Skrælingowie nazywali wyspy i pobliskie tereny nadbrzeżne Krainą Świtu.

Zgromadziłem wszystkich wokół siebie tego wieczora i oznajmiłem im, że tak właśnie nazwiemy las, pola i otaczające nas łąki. I od tej pory Krainę Świtu będziemy traktować jako naszą ziemię. Może to i prawda, że Sven Widłobrody dał nam statek, lecz walczyliśmy i przelewaliśmy za niego krew pod Svolder; niczego nie jesteśmy mu winni. Dodałem, że wszyscy mężczyźni i kobiety, którzy postawią stopę w Krainie Świtu, będą wolni, nie będzie tu niewolników. Mężczyźni kiwali głowami, byli jomswikingami, a w Jomsborgu żadnemu mężczyźnie nie wolno było mieć więcej niż to, co mógł nosić przytroczone do pasa, a tym bardziej być właścicielem niewolników. Poza tym wiedzieli, że swego czasu dźwigałem niewolnicze żelazo.

Sigrid również zabrała głos tego wieczora. Wypchnęła Eysteina przed siebie i stwierdziła, że wszyscy powinni zrobić tak jak on.

– Znajdźcie sobie kobiety i spłodźcie synów i córki – powiedziała. – I myjcie się. Wystarczy mi, że siedząc przy stole, puszczaacie wiatry i jakby było mało, to jeszcze z tego rechoczenie. Przynajmniej splukujcie z siebie smród. Poszukajcie sobie kobiet, żebyście wyszli na ludzi.

Pamiętam, że Hutten ryknął śmiechem. Potem ten krępy, kudłaty Szkot objął i uściskał Sigrid, tak jak ojciec ściska córkę, i skinąwszy mi głową, stwierdził, że

dobłą hovdingową sobie znalazłem. Miał rację. Sigrid była dobrą żoną hovdinga. Po prostu była dobrą żoną. Wierną i mądrą. Często mi jej brak.

Pracowaliśmy dzielnie przy nowej knarze od świtu do nocy, jednak dopiero w końcówce lata wbiliśmy ostatnie nity. Potem trzeba było cały kadłub pociągnąć pakiem. Ktoś mógłby rzec, że statek budowano po łebkach, że nie miałem materiałów potrzebnych do tego, by budowana konstrukcja była solidna i zdatna do żeglugi po burzliwych morzach. Wręgi – czyli bandy, jak mówimy na nie w Norwegii – nie były mocowane nitami i fiszbinami, jak na Danie lub innych statkach budowanych w mojej ojczyźnie. Ponieważ nie mieliśmy dostępu do wystarczającej liczby zwierząt, by skręcać liny z sierści i skór, wykorzystaliśmy łyko, a takie liny, jeśli się przesuszą, to twardnieją i łatwo pękają. Mieliśmy dobry maszt wyciosany z twardego strzelistego modrzewia, podobnie było z reją, jednak żagla nie mieliśmy, a knara była szeroka i ciężka i tym samym trudna do wiosłowania. Postanowiliśmy zatem wyruszyć na polowanie. Jeśli udałoby nam się ustrzelić dziesięć, dwanaście jeleni lub łosi, może zdobylibyśmy dość materiału, by uszyć żagiel rejoy.

Jednak tamtego poranka, gdy byliśmy już gotowi do drogi, zauważyliśmy dwie skórzane łodzie wpływające do Zatoki Wielkiej. Początkowo sądziliśmy, że to Epe z synami, ale wkrótce zdaliśmy sobie sprawę, że to inne plemię Skrælingów. Jeśli przysłuchiwaliście się historiom Islandczyków o ludach zachodnich, o tych plemionach, które nazywają siebie Ludźmi Świtu, wiecie, jaki rodzaj Skrælingów wiosłował tamtego dnia po naszej zatoce. Mieli ledwo jakiś przyodziewek na sobie, a każdy kawałeczek skóry pokrywały rysunki kół i wybruszonych linii, nawet na twarzach mieli takie rysunki. Było ich sześciu w każdej łodzi wielkości byrdinga, z ekwipunkiem umocowanym rzemieniami na śródokręciu. Wśród sprzętów zauważyliśmy łuki. Wyglądały na wykonane z takiego samego złocistego drewna jak łuki, które Onejun wniosła w posagu.

Czekaliśmy na nich przy linii wody. Żaden topór ani włócznia nie zostały uniesione, ale mieliśmy cięciwy na łukach, strzały luzem w kołczanach. Dwunastka wiosłarzy pozwoliła, by zniosło ich w stronę Dana; prześliznęli się blisko, rękami dotykając kadłuba. Potem, wiosłując, zbliżyli się do brzegu i mogliśmy stwierdzić, że

są niewyrośnięci, tak jak Epe i inni z Rzecznego Ludu. Sprawiali dziwne wrażenie, mieli twarze dorosłych mężczyzn, ale wąskie ramiona jak u chłopców, i jakby tego było mało, każdy z nich miał usunięte włosy z prawej skroni. Kåra Skanijczyk nie potrafił się powstrzymać, pokazał ich palcem i wybuchnął śmiechem.

Pamiętam, że trzymałem na rękach Fenrego. Ostatnio zaczął sikać w domu, był coraz słabszy, a rano łapy miał zeszywniałe, więc wynosiłem go na podwórze. Teraz mały łobuz się ożywił, wyszczerzył zęby i warczał na obcych. Onejun i Hilda ukryły się w długim domu. Skrælingowie podprowadzili swoje skórzane łodzie pod samą plażę i wyskoczyli do wody. Stali tam półnaczy i wymalowani, o wąskich oczach i ogorziałych twarzach i przyglądali się nam, aż któryś z nich coś do nas krzyknął. Ten Skræling miał najokropniejsze blizny, jakie kiedykolwiek widziałem. Biegły od nasady włosów, przez pokryte bielmem, martwe oko, do podbródka.

Skrælingowie przenieśli swój ekwipunek z łodzi na ląd. Ten z bliznami zrobił kilka kroków w naszym kierunku i głośno poklepał się po nagim brzuchu, wyrzucając z siebie jakieś słowa. Nie odpowiadaliśmy. Bo co właściwie mieliśmy powiedzieć? Halvor mruknął, że jeśli staną się bardziej agresywni, trzeba ich będzie pogonić. Asmund i Helge już przenieśli ciężar ciała z jednej na drugą nogę, gotowi rzucić się na obcych. W tym momencie Hutten niespodziewanie poszedł do kuźni i wziął się do rozpalania ognia w palenisku. Skrælingowie wpatrywali się w nas, rzucając ukradkowe spojrzenia w stronę kuźni i nie padło już żadne słowo z ich strony, a Hutten, rozpaliwszy w palenisku, wrócił do nas.

– Sądzę, że ci ludzie są tu, by pohandlować – rzekł. – Nie wiem, jak wy, ale ja w każdym razie widzę coś, co nam się przyda. Te łodzie możemy pociąć i uszyć z nich żagiel.

Rozsupłał skórzany worek i wyjął garść nitów. Mieliśmy je zabrać na pokład po zwodowaniu knary, na wypadek gdyby trzeba było coś naprawić po drodze.

– Żelazo – powiedział, rzucając nit Skrælingowi z blizną. Tamten powoli się schylił, postukał palcem wskazującym w nit i go podniósł. Przyglądał mu się zdrowym okiem, po czym wsadził go między zęby, jakby chciał posmakować.

– Chodź – rzucił Hutten, ciągnąc mnie za sobą. – Pomóż mi z miechem, tak jak to robiłeś, gdy byłeś chłopcem.

Podeszliśmy do kuźni i zacząłem pociągać za uchwyt miecha, nie spuszczać obcych z oka.

Podczas gdy razem z Huttenem pracowaliśmy w kuźni, Skrælingowie stali nad wodą, a i nasi mężczyźni nie ruszali się z miejsca. Coś było w tych półnagich, pomalowanych Skrælingach, co sprawiało, że nie ośmieliliśmy się odwrócić do nich plecami. W przypadku Epego i jego synów było zupełnie inaczej, ale oni nie patrzyli na nas spode łba, a poza tym byli prawie rodziną.

Hutten rozgrzał nit do czerwoności i przekuł tak, że kształtem przypominał mały nożyk, po czym zanurzył go w stojącym obok wiadrze z wodą. Ponownie podszedł do Skrælingów. Trzymał nożyk przy zawieszonym u pasa nożu, by zademonstrować, co ma na myśli, i wydawało się, że Skrælingowie zrozumieli, bo jednooki pochwycił nożyk i śmiejąc się, dźgał nim powietrze. Hutten pokiwał głową i oznajmił:

– Jeśli dacie nam swoje skórzane łodzie, wykujemy wam wszystkim noże i jeszcze je naostrzymy.

Nie mam pojęcia, czy Skræling zrozumiał, ale trzymając nad głową nowo wykuty nóż, wrzasnął kilka słów do pozostałych, a potem uśmiechnął się do nas tak szeroko, że było mu widać wszystkie spróchniałe zęby.

Zaczęliśmy kuć. Tego dnia Hutten i ja przekuliśmy dwanaście nitów na małe nożyki. Być może nie zrobiliśmy szczególnie dobrych kling i nie zadaliśmy sobie trudu, by je zahartować, ale doszliśmy do wniosku, że Skrælingowie nie są na tyle mądrzy, żeby dostrzec różnicę między dobrymi a marnymi nożami. Wszyscy nasi mężczyźni mieli oselkę u pasa, więc kolejno ostrzyliśmy każdy nowo wykuty nóż. W końcu Halvor zszedł na sam brzeg, do łodzi, a Skrælingowie zaczęli rozpakowywać swoje zawiniątka i rozkładać towary na ziemi. Były tam kawałki białej niedźwiedziej skóry, złociste łuki, czarne kamienie, z których Skrælingowie robili noże i groty strzał, osiem skórek bobrowych i pięć skór wilczych. Te towary chcieli dać na wymianę, nie łodzie.

Wiele czasu zeszło na przekonywaniu Skrælingów tego poranka. Szybko zrozumieli, że chcemy łodzi, ale nie mieli ochoty się z nimi rozstawać. Przeszło mi przez myśl, że może powinniśmy im dorzucić naszą łódkę wiosłową, lecz nagle

jednooki warknął coś do pozostałych. Towary zostały szybko spakowane w dwanaście tobołków, jednooki pokazał na skórzane łodzie, po czym na Huttena, który skinął głową i podał im dwanaście noży. Po chwili Skrælingowie ze swymi zawiniątkami zagłębili się w las i zniknęli. Musieli przejść przez piaszczysty pomost, bo zobaczyliśmy ich dopiero po sześciu dniach. Dostrzegliśmy ich na Zatoce Wielkiej, którą przecinali, wiosłując w wąskich łódkach z kory brzozonej.

Zdjęliśmy skórę z łodzi Skrælingów i uszyliśmy z niej żagiel. Skórzany żagiel obniżał wartość statku, mieliśmy jednak nadzieję na korzystną wymianę – może kilka owiec i kolejny baran. Potrzebowaliśmy też cebul, angeliki i przeróżnych jadalnych korzeni, a także siewnego ziarna. Ale przede wszystkim potrzebne nam były owce. Jeśli marzyliśmy o dobrej cenie za statki, musieliśmy uszyć kilka gęsto tkanych wełnianych żagli.

Tego dnia, gdy podwiązywaliśmy żagiel do rei, podeszła do mnie Sigrid. Poprosiła, bym się z nią przeszedł, miała mi coś ważnego do powiedzenia. Poszliśmy do lasu. Nad naszymi głowami wiatr poruszał klonami, a Sigrid wsunęła mi rękę pod ramię i oparła głowę na mojej piersi.

– Nie chcę, żebyś płynął – powiedziała.

Pamiętam, że przesunąłem dłonią ku jej kibici. Była teraz tak blisko mnie, a ja byłem młody i głupi, i przekonany o tym, że mogę ją mieć, tam pod tymi drzewami. Wiele razy przychodziliśmy tu, kiedy Onejun pilnowała Ravntora, a mężczyźni byli zajęci innymi sprawami.

– Musisz teraz być ze mną, Torsteinie.

Prawdę mówiąc, jeszcze nie zdecydowałem, czy mam pożeglować, czy zostać w gospodarstwie. Najchętniej popłynąłbym z nimi, by dopilnować, żebyśmy dostali dobrą cenę za statek. W tej sytuacji Sigrid i Ravntor mogliby mi towarzyszyć, ale mały był w takim wieku, w którym statek nie jest dla dziecka najlepszym miejscem. Jak tylko spuszczało się go z oczu, od razu znikał i mogłoby mu przyjść do głowy, by przeleźć przez burtę.

Podniosła na mnie wzrok. Pogłaskała mnie po policzku i przekrzywiła głowę. Na jej ustach pojawił się uśmiech.

– Oj, Torsteinie, głupi Torsteinie. Nie rozumiesz?

Chyba po prostu stałem jak nierozgarnięty.

– Oczekuję dziecka, Torsteinie.

Pamiętam, że ją objąłem. Pocałowała mnie, narzekając, że broda zrobiła mi się krzaczasta, i śmialiśmy się, zanim dopadły mnie troski. Znowu jest ciężarna, a najtrudniejsze czasy nadejdą zimą. Szkoda, że o tym nie pomyśleliśmy, mruknąłem. Wtedy położyła mi palec na ustach. Nie powinienem tak mówić. Mamy dach nad głową, ryby w morzu i kłosa zboża na polu. Dopóki będę przy niej i Ravntorze, wszystko będzie dobrze.

Kilka dni później zwodowaliśmy knarę. Owinęliśmy liny wokół masztu i dziobnicy, zaprzęgliśmy Vingura i wszystkich mężczyzn i tym sposobem, używając kilku okrągłaków, przetoczyliśmy statek do zatoki. Następnie czekaliśmy, podczas gdy woda sączyła się wolniutko do środka, a statek w końcu się ustabilizował, zanurzony dobrze powyżej stępki. Przez kilka dni poszycie miało napęcznieć, zanim wejdziemy i wybierzemy wodę. Najchętniej użyłbym szczeliwa wełnianego w łączeniach między klepkami, ale nie mieliśmy ani tłuszczu, ani zbyt wiele wełny, więc zamiast tego w miejscach łączenia poupychaliśmy łyko, smarując grubo pakiem.

Mimo wszystko okazało się, że knara pływa dobrze i że nie przecieka zbyt mocno. Po wybraniu wody przenieśliśmy na nią beczki z Dana. Na czele wyprawy miał stanąć Bjørn, a towarzyszyć mu mieli Valp, Hutten i Halvor. Najpierw planowali pożegłować na Wyspę Leifa i spróbować tam dobić targu. Kupujący knarę musiałby ich odwieźć z powrotem, co dodatkowo obniżyłoby cenę, ale gdybyśmy zapewnili mojemu bratu i jego towarzyszom asystę Dana, musielibyśmy opuścić zagrodę i zwierzęta.

Długo rozmawiałem z Bjørnem wieczorem poprzedzającym wypłynięcie. Poszliśmy do warsztatu skutniczego, gdzie można było posiedzieć w spokoju, i zwierzyłem mu się, że Sigrid znowu oczekuje dziecka. Brat pokiwał głową i rzekł, że domyślał się takiej przyczyny, gdy oznajmiłem, że nie mogę popłynąć. Ale to szczęście dla mnie i dla niego, bo po raz drugi zostanie stryjem.

Następnego poranka knara wypływała z zatoki z lekkim zachodnim wiatrem

w skórzanym żaglu. Brat stał u steru, dlatego nie obejrzał się na pożegnanie, gdy statek, opuściwszy Zatokę Wielką, skierował się na wschód. Przeszliśmy całą gromadką na północną stronę wyspy, czekając na nich na piaszczystym poletku wśród posadzonego przez nas podagrycznika. Pomachaliśmy im, kiedy nas mijali.

Nazajutrz, aby zająć czymś myśli, wsiadłem z Eysteinem do łodzi wiosłowej i przecięliśmy w poprzek Zatokę Wielką, ruszając na poszukiwania materiału na nową stępkę. Weszliśmy głęboko w las, przyglądając się drzewom. Belka na stępkę powinna pochodzić z drzewa, które wzrastało powoli, o gęsto leżących słojach.

Nie znaleźliśmy niczego, co by się nadawało. Zamiast tego natknęliśmy się na ślady obozowiska, gdzie Skrælingowie rozpalili ogień i piekli ryby. Wokół ogniska naliczyliśmy sześć zagłębień po legowiskach, a popiół wciąż był ciepły. Opuściliśmy tamto miejsce i wróciliśmy do domu.

Tego wieczora w długim domu panowała dziwna atmosfera. Wnętrze bez Bjørna i pozostałych wydawało się zbyt duże. Siedziałem przy stole, obserwując Ravntora, który turlał szyszkę dookoła Fenrego, lecz pies powarkiwał i nie chciał się bawić. Pomyślałem, że malec wkrótce będzie miał braciszka lub siostrzyczkę, i to mnie teraz przeraziło. A jeśli Sigrid zachoruje? A jeśli stanie się jej coś podczas porodu? Tutaj nie było żadnej seidkony.

Po chwili podszedł do mnie Ravntor.

– Todde – powiedział, wyciągając do mnie krótkie rączki. – Bawi syską Fenne!

Todde to było imię, które mi nadał. Nie wołał na mnie „tata”, „papa” albo w inny sposób, w jaki maluchy zwracają się do swoich ojców. Ja byłem Todde. Tak wyszło, bo wciąż otaczali mnie mężczyźni, którzy nazywali mnie Torsteinem. Najzabawniejsze było to, że nauczył się imienia psa, zanim nauczył się mojego.

– Nie – odparłem. – Todde nie chce się bawić szyszką z Fenrem. Fenre jest zmęczony. Fenre jest stary.

Ravntor odszedł. Dreptał, rozglądając się dookoła, jak to robią dzieci, kiedy próbują znaleźć sobie coś do roboty, aż w końcu Sigrid wzięła go na ręce.

Później dosiadł się do mnie Eystein. Uważał, że nie powinienem tak siedzieć ze zwieszoną głową. Gdy brat wróci, knara będzie pełna owiec i worków zboża. Ludzie, którym sprzeda knarę, pewnie zechcą zobaczyć nasze gospodarstwo, zanim odpłyną.

Zrobi się o nas głośno, zarówno w Zagrodzie Leifa, jak i na Grenlandii, bo zagroda była okazała. Nie minie więc wiele czasu, a zawitają do nas kupcy. Jeśli będziemy pracowici, sprzedamy budowane przez nas statki ludziom z Wyspy Leifa. W ten sposób się wzbogacimy.

Pamiętam tamtą noc. Leżałem obok Sigrid, przytulony do jej ciepłych pleców, obejmując ramieniem ją i leżącego u jej piersi Ravntora. Rzadko sypiałem lepiej niż na Wyspie Reniferów, u boku pięknej, rudowłosej kobiety z Orkadów, i są chwile, kiedy oddałbym wszystko, co mam, za jeszcze jedną noc spędzoną z nią. Usłyszałem nagle wiatr uderzający o narożne słupy domu. Jego podmuch wpadł do wnętrza przez dymnik, a Fenre uniósł się i pokuśtykał na środek klepiska. Opuściłem wygrzane miejsce obok Sigrid, co nie było do mnie podobne, ale ten wiatr budził niepokój. Stałem przy palenisku, nasłuchując. Moich uszu dobiegł huk fal uderzających o brzeg i szum drzew. Nadchodził sztorm.

Przeszedłem z Fenrem przez las. O tej porze roku nie panowały całkowite ciemności, ale mimo wszystko potknąłem się o korzeń, a upadając, przekręciłem tułów tak, że wylądowałem na biodrze. Zapięło mnie w prawej nodze, która zdrętwiała i nie mogła mnie unieść, więc zakląłem, wzywając wetty i trolle. W końcu powróciło czucie w nodze i poczłapałem dalej, aż dotarliśmy z Fenrem na północny kraniec wyspy. Stąd obserwowałem przez jakiś czas spienione morze, po czym usiadłem na skraju lasu. Fenre zbiegł nad samą wodę, gdzie znalazł spory kłęb wodorostów, ale przywołałem go, bo fale z łatwością mogły go porwać. Wichura stawała się coraz bardziej nieokiełznana; skądś dobiegł odgłos łamanej gałęzi trzaskającej o ziemię, a może to było całe drzewo? Miało się wrażenie, że wiatr usiłuje rozerwać wyspę na strzępy.

Siedziałem, zastanawiając się, jak knara poradzi sobie na morzu. Oczyma wyobraźni widziałem każde połączenie między klepkami, ukrecone przez nas liny z łyka, żagiel ze skóry, zastanawiając się, jak wysoko nad wodę sięgnie nadburcie przy takiej pogodzie. A jeśli kadłub zacznie nabierać wody? A jeśli żagiel się rozerwie? I gdy tak rozmyślałem, zdało mi się, że fale piętrzą się coraz wyżej, a siła wiatru rośnie.

Tak przesiedziałem przez najmroczniejszą chwilę nocy. Mrok wypełniał również moje myśli. Gdyby statek zatonął, odpowiedzialność spadłaby na mnie. To tak, jakbym zabił własnego brata i wszystkich mu towarzyszących.

Tej nocy całe zło stanęło mi przed oczyma. Widziałem morderstwo popełnione na moim ojcu. Czułem żelazną obręcz zamykającą się na moim karku. Widziałem Haralda Rudego, który siedzi w długim domu, w otoczeniu synów i krewniaków i opowiada sen o smoku, który zjawia się w osadzie kupieckiej i pozbawia go życia. A mistrz run, o twarzy pokrytej rysunkami, szepce do mnie w zimową noc: „Krew dwóch królów... na twoich rękach”.

Nieraz zastanawiałem się, czy w tych słowach tkwi ziarno prawdy, dręczyło mnie to zwłaszcza po bitwie pod Svolder. To ja zadałem śmiertelny cios Olafowi Tryggvasonowi. Ale kto był tym drugim królem, którego miałbym zabić? W Winlandii nie było królów. A nawet gdyby byli, z chęcią zabiłbym ich wszystkich i został ponownie wyjęty spod prawa, byleby tylko mój brat wrócił cało z morskiej wyprawy.

Siedzieliśmy z Fenrem na skraju lasu, aż nadszedł świt. Wichura nie zelżała, wręcz przeciwnie. Fale teraz niemal sięgały miejsca, w którym siedziałem, a wiatr zmienił kierunek. Wiał z północy, lodowaty i bezlitosny.

Nie pracowaliśmy na zewnątrz tego dnia. Mimo że las dawał pewne schronienie, wiało tak silnie, że łzawiły oczy. Eystein i Bork chcieli przejść piaszczystym pomostem i zapolować, lecz zaraz zawrócili; wysokie fale zalewały piaszczysty łącznik. Siedzieliśmy w domu, robiliśmy strzały i cięciwy, a Sigrid wzięła wrzeciono i uczyła Onejun prząść przędzę. Zajrzeliśmy do kur, które siedziały wystraszone na grzędach w kurniku, a w lesie znaleźliśmy owce i kozy. Zwierzęta zbiły się w stadko za świeżo powstałym wykrotem. Najchętniej zapędzilibyśmy je do obory, bo na zewnątrz mogłoby przygnieść je padające drzewo, ale były tak przerażone, że nie dały się ruszyć z miejsca. Z Vingurem sprawa wyglądała prościej, już stał pod dachem za przegrodą.

Wichura szalała przez cały dzień i kolejną noc. W końcu wiatr się uspokoił i o świcie wróciłem na północną stronę wyspy. Miałem nadzieję, że Bjørn zawrócił knarę, ale nie było widać niczego oprócz długich, ciemnoniebieskich fal, mieniących się w słońcu. Pamiętam, że wyspa leżąca na północ od nas pełna była zatok i zatoczek. Być może tam Bjørn schronił się przed północnym wiatrem. Przy tak silnym wietrze od morza nie ośmieliliby się podpłynąć do Wyspy Reniferów.

Gdy wracałem do domu, dostrzegłem Sigrid biegnącą przez plac. Od razu domyśliłem się, że coś się stało, i najpierw pomyślałem, że to dotyczy dziecka. Kobiety często tracą dzieci w pierwszym okresie, tak mi powiedziała Sigrid. Ale wyglądało na to, że czuje się dobrze. Chwyciła mnie za rękę i wciągnęła do długiego domu.

Od razu zauważyłem Onejun, która leżała przy palenisku. Siedział przy niej Eystein, próbując ją przytrzymać, ale ona rzucała się i wyglądało na to, że lada moment wpadnie w rozżarzone węgle. Eilef, Kåra, Helge, Asmund, Orm i Bork stali dokoła z zatroskanymi minami.

Sigrid wyszła z Hildą i Ravntorem, ja jednak zostałem przy stole i nie miałem pojęcia, co mam powiedzieć lub zrobić. Nagle Eystein spojrzał na mnie.

– Chciałem ci to powiedzieć – rzekł.

Spojrzałem na niego.

– Powiedz mi co?

– Już to kiedyś widziałem. Miewa to od dziecka. Ale teraz... Nie było tak groźnie poprzednim razem. – Eystein zwrócił się w jej kierunku. Wyglądało na to, że drgawki ustępują, leżała spokojnie. Z nosa pociekła jej krew, którą Eystein otarł rękawem. – Jej ojciec powiedział, że jeśli stan się pogorszy, muszę ją do nich zaprowadzić. Wiedzą, jak jej pomóc.

Pokiwałem głową, kładąc dłoń na jego ramieniu.

– Ruszaj – usłyszałem swój głos. – Damy sobie radę.

Eystein i Onejun wyruszyli w drogę, gdy słońce stało w najwyższym punkcie na niebie. Onejun była osłabiona po ataku i ledwo trzymała się na nogach, więc pozwoliłem im wziąć Vingura. Sigvar miał zostać z nami, ale płakał tak bardzo,

zarówno w ramionach Sigrid, jak i Hildy, że Eystein zabrał dziecko ze sobą.

Odprowadziłem ich do piaszczystego pomostu. Tam wręczyłem Eysteinowi uzdę i życzyłem im dobrej podróży przez las. Eystein zapewnił, że nie muszę się o nich obawiać, to on z nas najczęściej odwiedzał Skrælingów i świetnie znał drogę do ich letniego obozu. W tym momencie Onejun zaczęła dygotać, więc Eystein poprosił, bymtrzymał Sigvara. Okręcił kobietę w pasie rzemieniem, który następnie przeciągnął pod brzuchem konia, żeby nie spadła. Potem wziął dziecko i uściskał mi dłoń, obiecując, że wróci, jak tylko Skrælingowie ją ulecą.

Resztę dnia obrabiałem klonowy blok. Niejedno z naszych wiosł na Danie zaatakowała zgnilizna. Nie wiedziałem, dlaczego końcówki piór przegniły, musieliśmy je wymienić. Do piór nie są potrzebne jakieś szczególnie grube pniaki i trochę takich bloków zostało nam po zimie. Końce bloków zabezpieczyliśmy zawczasu klejem zwierzęcym, więc nie popękały. Wyciosałem cztery pióra tego dnia i kiedy nadszedł wieczór, byłem zmęczony i senny.

Kolejnego dnia obudziliśmy się przy ożywczych podmuchach wiatru; szeleściło w koronach klonów. Znowu przespacerowałem się na północną stronę wyspy, ale ponieważ wciąż nie było ani śladu statku, udałem się do warsztatu, by dalej pracować nad wiosłami. Zdatność do żeglugi nowej knary nie dawała mi spokoju, ale uspokajająco mamrotałem sam do siebie, że była wystarczająco solidna, by sobie poradzić z nawałnicą, a z Bjørna i jego towarzyszy to doświadczeni żeglarze, którzy sprostaliby niejednemu. Pewnie im się nie powiodło na Wyspie Leifa i obrali kurs na Grenlandię. Nie ma co się martwić, cierpliwości, powtarzałem sobie.

Pamiętam, że w wiosle, nad którym pracowałem tego ranka, był sęk i dlatego odłożyłem topór do drewna i poszedłem po mniejszą siekierkę, lepiej nadającą się do precyzyjnej roboty. Takie sęki mogą sprawić, że deska pęknie, tego nauczyłem się już jako młody niewolnik w osadzie kupieckiej. Odszukałem siekierkę. Hutten odłożył ją na stertę zakrzywionych konarów, z których chcieliśmy wystrugać wręgi i nagle sztagowe.

Warsztat skutniczy był długi, miał się tam przecież zmieścić cały kadłub. Ponieważ wiało tego poranka, do moich uszu nie dochodziło w zasadzie nic poza

szelestem liści w koronach klonów i szumem fal nieustannie uderzających o północną stronę wyspy. Przesuwałem osełką po krawędzi siekierki, której głownię Hutten wykuł z żelaza wytopionego z rudy znalezionej u ujścia rzeki. Uzyskany przez nas metal był miękki, szybko się tępił. Ponownie zacząłem rozmyślać nad tym, czy Bjørnowi i reszcie załogi udało się przetrwać zawieruchę. Pozostało mi wierzyć, że pokonali sztorm. Miałem kobietę, a zimą stanę się ojcem dwójki dzieci, nie wolno mi ulegać czarnym myślom i zwątpieniu.

Ruch osełki jest czymś niezwykłym, może zawładnąć umysłem mężczyzny i wciągnąć go w swoisty trans. Czy to właśnie przytrafiło mi się tamtego poranka, czy też szum wiatru sprawił, że niczego nie usłyszałem, trudno powiedzieć. Kiedy w końcu zza pleców dobiegł mnie chrzęst wiórów, w pierwszej chwili byłem pewien, że to któryś z mężczyzn przyszedł mi pomóc.

– Zaczę tylko wiosło – powiedziałem. – Zaraz pewnie i tak będzie jedzenie.

Żadnej odpowiedzi. Pomyślałem, że przysłano Hildę, by mnie przyprowadziła na śniadanie, więc się obejrzałem. Zaledwie w odległości pięciu, sześciu wysokości chłopca ode mnie stało dwóch Skrælingów. Byli prawie nadzy; jedyne, co mieli na sobie, to pas, z przytroczonymi do niego nożem i maczugą. Jednego z nich od razu poznałem. Był w tamtej grupie, której przewodził jednooki.

Gdy podnieśli łuki, skoczyłem do przodu. Poczułem ból w boku i zrozumiałem, że zostałem trafiony strzałą. Rzuciłem się na nich, jednemu roztrzaskałem toporem czoło, ale drugi odskoczył do tyłu, odrzucił łuk i wyszarpnął maczugę. Miała krótki trzonek, mógł ją trzymać w jednej ręce, w drugą chwycił kamienny nóż.

Walczyłem ze Skrælingiem w warsztacie i choć był niewysoki i miał gorszą ode mnie broń, okazał się groźniejszy, niż mi się na początku wydawało. Dźgnął mnie nożem i rozorał mi udo. Wtedy zadałem mu cios toporem, trafiając w pierś. Kolejny mój cios trafił w bok szyi, ale on zdążył jeszcze uderzyć mnie maczugą w głowę. Zamroczony, padłem na ziemię.

Pamiętam, że stanąłem na czworakach, usiłując zachować przytomność. Słyszałem krzyki na zewnątrz, które przebiły się przez wypełniające mnie odrętwienie, i w końcu udało mi się stanąć na nogi, chwyciłem topór i wypadłem na plac. Pierwsze, co ujrzałem, to martwy Eilef przed długim domem. Helge i Asmund stali przy nim,

szyjąc z łuków, a Orm Przynęta i Bork kryli ich tak jak tylko potrafili dwoma tarczami. Przy brzegu widać było przynajmniej dwadzieścia skórzanych łódek, leżał tam również Kåra Skanijczyk, a właściwie to, co z niego zostało. Skrælingowie rozpruli mu brzuch i odrąbali ręce. Rozpoznałem jednookiego, który wygrażał nam toporkiem na długim stylisku. Skrælingowie byli na knarze i na dachu długiego domu. Mieli przy sobie pochodnie, zamierzając najwyraźniej puścić z dymem statek i dom.

Biegiem przeciąłem plac, ale utkwiała we mnie kolejna strzała, tym razem w łydce. Asmund podbiegł i pomógł mi dostać się do środka langhusa.

– Daj jej broń – rzucił, wskazując ruchem głowy Sigrid, która stała z Ravntorem i Hildą przy palenisku. Po czym wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Sigrid płakała, płakała również Hilda. Spojrzałem w stronę ciemnego pomieszczenia dla zwierząt, za przegrodą. Zwierzęta miały osobne wyjście na drugim końcu domu. Do zaryglowania obojga drzwi używaliśmy belek.

– Tamte drzwi są zaryglowane? – zapytałem.

– Tak – wykrztusiła Sigrid, ponownie wybuchając płaczem.

Pokuśtykałem do ławy będącej naszym legowiskiem. Na ścianie nad nią wisiał mój saks. Wyciągnąłem długi nóż z pochwy i wręczyłem go Sigrid. Mały nóż dałem Hildzie.

– Gdy nadejdą, musisz walczyć. Rozumiesz?

Pamiętam, jak podszedłem do kąta, gdzie przechowywałem swój duński topór. Trzymając go w garści, stanąłem przed Sigrid, Ravntorem i Hildą. W tym momencie podszedł do mnie Fenre, nie położył się jednak, jak to miał w zwyczaju. Stanął po mojej prawej stronie, warcząc w kierunku głównych drzwi. Belka nie była na nich założona i zarówno synowie, jak i przyjaciele pytali mnie potem, dlaczego ich nie zarygłowałem. Jednak każdy wojownik wie, w jaki sposób wówczas rozumowałem. Nie chodziło o to, by dać czterem towarzyszom broni możliwość odwrotu. Byli jomswikingami, tak jak ja, i zamierzali walczyć do ostatniej kropli krwi. Ale z dachu dochodził zapach dymu i tylko kwestią czasu było, kiedy dom stanie w płomieniach, a my będziemy musieli wyjść na plac.

Moi synowie często pytają mnie o strach. Rozumiałem przecież, że tamtych czterech nie da rady stawiać zbyt długo oporu. Byliśmy bitnymi wojami, ale atakujący

byli zbyt liczni. Usłyszałem ryk „Za Joms!” i zrozumiałem, że właśnie odrzucili łuki i ruszyli na wroga z toporami. Skrælingowie wydawali okrzyki, skowycieli. Zawahałem się. Czy powinienem chwycić Sigrid, Ravntora i Hildę i pójść w stronę lasu?

Na zewnątrz ucichło. Uniosłem topór, szykując się do ataku i wtedy otworzyły się drzwi. Dwóch Skrælingów wskoczyło do środka. Rzuciłem się na nich, rąbiąc pierwszego w klatkę piersiową, a potem z rozmachem uderzyłem drugiego w kolano i odciąłem mu goleń. Trzeci Skræling wpadł do domu, ale na mój widok zawył i cofnął się, zatrząskując za sobą drzwi.

Stałem na klepisku. Ten, któremu odrąbałem nogę, straszliwie wrzeszczał. Wpatrywałem się w drzwi i nie mogę sobie przypomnieć, jak długo to trwało. Ale pamiętam, że Skræling po pewnym czasie zamilkł, a mnie zaczął gryźć w oczy dym.

Widok tego, co Sigrid uczyniła w tym momencie, miał mnie w przyszłości nawiedzać. Zaprowadziła Ravntora i Hildę do naszego legowiska na ławie. Położyła się, obejmując ramionami oboje dzieci. Okryła je kocem, jakby kładły się spać, i widziałem, że coś do nich szeptają.

Fenre przysiadł u moich stóp i zerkał na mnie, jak to robił, gdy był młodym psem i chciał, bym z nim wyszedł na spacer. Pokuśtykałem do Sigrid i przez krótką chwilę nie odczuwałem najmniejszego strachu, jedynie pewność, że to się wkrótce skończy. Pogłaskałem syna po głowie i chciałem mu powiedzieć, że musi opiekować się mamą i Hildą, zanim znowu się spotkamy. Zamiast tego załamałem się i rozplakałem, wypuściłem z ręki topór i objąłem ich.

– Idź – powiedziała wtedy Sigrid. – Niech płacz nie będzie ostatnią rzeczą, którą twój syn od ciebie usłyszy. Zamkniemy teraz oczy. Otworzymy je dopiero, gdy stanimy w halli Odyna.

Chwyciłem za duński topór i wyprostowałem się. Obrzuciłem spojrzeniem syna, Hildę i małego Fenrego, po czym otworzyłem drzwi i wyszedłem.

To, co się wydarzyło, nie przebiegło tak, jak to przedstawiają moi synowie i inni bliscy. Nie wyszedłem na plac, tam, na Wyspie Reniferów w nadziei, że wytnę w pień Skrælingów i odniosę zwycięstwo. Nawet jomswiking nie mógł podołać takiemu zadaniu. Pamiętam jednak, że żywiłem swego rodzaju nadzieję, że jeśli będę walczył

zaciekle i położyę trupem tyłu Skrælingów, że resztę zdejmie strach, to może nas poniechają i odpłyną. W kilku szybkich krokach oddaliłem się od drzwi i ustawiłem tuż przed martwymi ciałami. Skrælingowie nie rzucili się na mnie. Zamiast tego od razu trafiły mnie dwie strzały. Jedna dosięgła mnie w ramię, druga w udo. Nie zostały wystrzelone z całą siłą, ledwo mnie drasnęły. Miałem wrażenie, że się ze mną zabawiają. Wzbudziło to we mnie wściekłość, ruszyłem na nich z toporem, ale uskoczyli w bok, a mnie dosięgła kolejna strzała, tym razem rozcinając mi czoło. Krew zalała mi oczy, a krwawienie z ran mnie osłabiało. Traciłem równowagę i zadawałem ciosy na oślep. Poczułem, że topór w końcu trafia, zachręściła czyjaś kość, ale gdy uniosłem topór do kolejnego uderzenia, zadano mi cios w tył głowy. Zawirowało mi przed oczami i przykląknęm. Nadszedł kolejny cios, również w tył głowy. Poczułem trawę w ustach i czyjeś kolano na plecach. Nie pamiętam, co się później działo.



13

Winabave

Odwiedzający moją halle mnisi powiadają, że moja dusza umarła tamtego dnia. Bo chociaż ciało żyje, rozpacz może duszę uśmiercić. Tym sposobem ludzie Białego Chrysta usiłują wyjaśnić zło, którego w późniejszych czasach dopuścił się Torstein Szkutnik, i dlaczego pozostał poganinem, chociaż najpotężniejsi wodzowie i jego sojusznicy odwrócili się plecami do starych bogów.

Jednak moja dusza nie umarła. Pozbawiony jej mąż nie byłby w stanie odczuwać takiego bólu jak ja, kiedy już doszedłem do siebie. Leżałem nagi na klepisku. Nie mam pojęcia, dlaczego Skrælingowie wrzucili mnie do wnętrza długiego domu. Być może sądzili, że jestem martwy albo zbyt ciężko ranny, by się wydostać, gdybym się ocknął, zanim uśmiercą mnie dym i płomienie. Czując narastający żar, uniosłem się, wsparty się na rękach i kolanach. Próbowałem wstać. Nade mną unosiła się gruba warstwa dymu; jedynie przy samym klepisku mogłem oddychać. Dopełzłem do ławy, ale nie znalazłem tam ani Sigrid, ani Ravntora, ani Hildy. Powlokłem za sobą koce i baranice, doczołgałem się do drzwi i uniosłem je do światła. Nie były splamione

krwią.

Podniosłem się i wyszedłem na plac, a za mną płomienie ogarniały długi dom. Eilef, Helge, Asmund, Orm Przynęta i Bork leżeli martwi, naszpikowani strzałami. Skrælingowie zniknęli, zarówno żywi, jak i zabici. Statek stał w ogniu. Płonął też warsztat oraz obora, pokuśtykałem więc w tym kierunku, ale zwierząt nie było. Z langhusa dobiegł grzmot, a chmura iskier wystrzeliła nad placem w chwili, gdy zawalił się dach.

Szedłem między klonami, wołając Sigrid. Nawoływałem też Fenrego i poszedłem na brzeg, by się za nim rozejrzeć. Pomyślałem, że go zabili i cisnęli do morza, ale tam też go nie było. Znalazłem za to lirę, którą zrobił dla mnie Hutten. Była strzaskana, ale napięte struny sprawiły, że się nie rozpadła, tylko unosiła na wodzie wśród wodorostów.

Straszną rzeczą dla mężczyzny jest utrata kobiety i dziecka. Lepiej byłoby, gdyby najpierw zabili mnie, pomyślałem. Nie musiałbym czuć tego bólu, który teraz mnie przenikał. Być może dotarło to do mnie dopiero w chwili, gdy znalazłem strzaskaną lirę. Jeśli ci Skrælingowie byli jak inni, których napotkałem w swoim życiu, to wzięli w niewolę Sigrid, Ravntora i Hildę.

Popłynąłem wpław na statek. Żar buchnął mi w twarz, kiedy wdrapałem się przez burtę. Z końskiej studzienki wydobywały się płomienie, a dym szedł spomiędzy pokładowych klepek. Gdy stałem jak wryty, chłonąc ten obraz, pokład załamał się i ledwo udało mi się uchwycić górnej listwy nadburcia, nim płomienie liznęły mnie po stopach. Przelazłem przez burtę i opuściłem się do wody.

Z warsztatu udało mi się ocalić kilka desek, parę wiosł, toporek do drewna. Deski chciałem użyć do budowy karvu. Miałem zamiar je wyciosać i połączyć nitami, które udało mi się wypatrzeć w popiele. Zamierzałem też skrócić wiosła, a kiedy tylko łódź znalazłaby się na wodzie, powiosłowałbym wzdłuż brzegu. Założyłem, że Skrælingowie zeszli nocą na ląd; skórzane łódki raczej nie nadawały się do spania. Gdybym wiosłował bez odpoczynku, prędzej czy później zauważyłbym dym z ich ognisk.

Jakbym mógł cofnąć się do tamtego dnia i dobrze potrząsnąć tamtym młodym człowiekiem z toporkiem w ręku, tak by nabrał rozumu, zapłaciłbym za taką możliwość skrzynię srebra. Byłem ranny i krwawiłem z wielu ran, nie zwracałem jednak na to najmniejszej uwagi. Myślałem, że całe moje życie doprowadziło mnie do tego momentu, że cała moja wiedza o budowaniu łodzi miała być wystawiona na próbę. Tak jak moje umiejętności obróbki drewna pomogły mi zdobyć szacunek ojca Sigrid, tak teraz miałem dzięki nim uratować ją i nasze dziecko. Pracowałem przez całą noc i poranek. Pamiętam, że zaczęło padać, a deszcz zgasił płomienie i tłęczy się żar. Wziąłem to jako znak od samego Thora, że życzy sobie, bym pozbił razem te klepki i ruszył w drogę.

Ale w jakimś momencie tamtego dnia musiałem stracić przytomność. To we śnie chodziłem między spalonymi szczątkami domu, wyciągając nity, i mocowałem klepki poszycia, wciskając je na miejsce kamieniami. Torstein Tormodson, hovding Wyspy Reniferów, leżał zakrwawiony na placu pośrodku swego gospodarstwa, bo pod wpływem wysiłku pootwierały mu się rany. Widzę siebie, leżącego tam w otoczeniu drzew uginających się w podmuchach wiatru i w strugach deszczu, który nadciągnął nad wyspę.

Potem pamiętam już tylko otaczający wszystko mrok, odgłos fal i szum wiatru w koronach klonów.



Wśród Skrælingów krążą opowieści o tym, że my, ludzie Północy, zostaliśmy stworzeni znacznie później niż oni. Zanim mój lud pojawił się na świecie, Skrælingowie widzieli, jak odchodzi niejedno ich pokolenie. W ich oczach Ziemia jest dużą płaską płytą, którą dźwiga na swojej skorupie żółw; przedziwny zwierz, jakiego możesz spotkać w krainie niebieskich ludzi. Mój lud, twierdzą Skrælingowie, nie pochodzi z Ziemi. Wynurzyliśmy się z olbrzymiego wiecznego oceanu i toporami oraz ogniem uszkodziliśmy skorupę żółwia. Eystein opowiedział nam tę historię przy długim stole, a my uśmieśliśmy się zdrowo ze Skrælingów i ich dziwacznych wyobrażeń. Ale skąd mogliśmy wiedzieć, co sprawia, że kontynenty nie toną w morzu? Niemal słyszałem owo gigantyczne zwierzę, odgłos przypominał wieloryba,

choć wydawał się zdławiony i przytłumiony, jakby głowa zwierzęcia była zanurzona w morskiej głębinie. Czułem poruszające się płetwy, przechyłanie z boku na bok, po czym znieruchomiałem. Otworzywszy oczy, ujrzałem pochylające się nade mną korony klonów. Leżałem na plecach, unosiłem się, widząc przez listowie niebo, najpierw jasnoblękitne, później upstrzone białymi chmurami. Po jakimś czasie liśćmi zaczął poruszać wiatr.

Mówią, że byłem prawie martwy, gdy mnie znaleźli. Nie widzieli, żebym oddychał. Wciąż jednak krwawiłem z rany na biodrze, a krew była ciepła. Przeciągnęli mnie do lasu, z kilku gałęzi sklecili nosze i ponieśli ze sobą.

Pierwszego dnia nie wydałem z siebie ani jednego dźwięku. Napoili mnie, opatrzyli rany mchem i suchą trawą. Pierwszej nocy nie rozpalono ognia i prawie się nie odzywano. O świcie ruszyli dalej, ale dopiero pod wieczór otworzyłem oczy. Położono mnie na ziemi, naprędce wzniesiono nade mną zadaszanie z gałęzi, a Skrælingowie przykucnęli przy noszach, wciąż bez słowa.

Nie jestem dumny z tego, co zrobiłem tamtego wieczora. Czy to dlatego, że było ciemno i sądziłem, że powrócili ci nadzy wymalowani wojownicy, czy to wina maligny, trudno orzec. Lecz gdy przeleżałem przez jakiś czas obok Skrælingów, a oni się posilali, przewróciłem się na bok i po omacku sięgnąłem do jednego z siedzących tam mężczyzn. Jedną ręką chwyciłem go za włosy, drugą zaś wymierzyłem cios. Byłem jednak tak osłabiony, że Skræling się oswobodził i odskoczył ode mnie, a pozostali w pośpiechu przygotowali się do wymarszu. Słyszałem, jak przez chwilę szeptali ze sobą, po czym ich kroki ucichły między drzewami.

Nadeszła noc, nad lasem rozpętała się wichura, deszcz zacinał pod mający mnie chronić dach, ale nie przejmowałem się tym. Odwiedziła mnie śmierć; słyszałem, jak bogini Hel szepce moje imię, jakby stała tuż pod warstwą torfu i była gotowa do wciągnięcia mnie w głąb lodowatych halli. A ja nie stawiałem oporu. Wiedziałem, że Asgard nie był dla takiego nikczemnika jak ja. Torstein Tormodson nie dał rady obronić swojej kobiety i swego dziecka. Dla takiego strażnicy nie otworzą bram Gladsheimu ³⁹.

Chyba w ciągu nocy zapadłem w sen, długo jednak nie spałem. Kiedy się

obudziłem, wciąż było ciemno. Przez krótką chwilę myślałem, że umarłem i znalazłem się w świecie podziemnym, gdzie króluje córka Lokego, ale nagle poczułem pod sobą nosze, a na twarzy deszcz, i zobaczyłem, że niebo między kołyszącymi się koronami drzew nie było całkiem czarne, raczej szare jak gład.

Nie wiem, jak znalazłem siły, by się podnieść. Jednak później tamtego dnia, z trudem stawiając kroki, opuściłem obozowisko, odczuwając ból w poranionych miejscach. Skóra na skroniach popękała i wciąż krwawiła, miałem też rozoraną prawą nogę, tę, którą powłóczyłem. To były rany, które prawdopodobnie dałoby się zaszyć lub przypalić, gorzej miała się sprawa ze strzałą, która przeszła mnie na wylot. Weszła tuż nad miednicą i wyszła z drugiej strony, a Skrælingowie pewnie doszli do wniosku, że łatwiej będzie ją usunąć, gdy już się znajdą w wiosce, o ile tam chcieli mnie zanieść. Ułamali promień strzały z obu stron, owijając go sznurkiem, by się nie przemieszczał.

Wkrótce opadłem na kolana, byłem zbyt osłabiony, żeby trzymać się na nogach. Posuwałem się przed siebie na czworakach, a kiedy już nie byłem w stanie iść na czworakach, pełzłem. Promień strzały skrobał o ziemię i po chwili poczułem ciepłą krew na skórze. Ale nie ustawałem, a nade mną opadł młot Thora i niebo zahuczało, jakby miało się rozpaść.

Później pamiętam już tylko ciemność. Wpływam do Ginnungagap. Wtem czuję ciepło na mojej skórze. Czuję baranicę pod plecami, słyszę przytłumione głosy. Szorstka dłoń dotyka mojego czoła, przylega do mnie psie ciało pokryte skołtunioną sierścią, a w nozdrza uderza zapach mięsnej zupy. Gdybym nie słyszał przyciszonych rozmów Skrælingów, pomyślałbym, że leżę na ławie w samej Valhalli, że jednak nie ugrzęzłem w krainie Hel, tylko przyszły po mnie walkirie. Znowu jednak usłyszałem Skrælingów i dotknąłem dłonią psa, który ogrzewał moje udo.

– Fenre – wyszeptalem, lecz od razu wyczułem, że pies jest znacznie większy. Dłoń znowu tam była.

– Obudziłeś się.

Otworzyłem oczy. Tuż nade mną unosiła się twarz Eysteina, okolona rudą brodą.

– Nie ruszaj się. Jesteś ranny.

Dostrzegłem Skrælingów siedzących wokół ogniska, widziałem płomienie migocące między brzozowymi szczapami i zobaczyłem Onejun z dzieckiem na kolanach, przy której siedział Epe. Zwlokłem się z posłania. Odsunąłem skórę zasłaniającą wejście do namiotu i wypęzłem na zewnątrz. Stałem na czworakach przed namiotem, nie miałem siły się podnieść. Zmierzchało. Lało jak z cebra, a drzewa wokół wioski kołysały się na wietrze. Znowu próbowałem wstać, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Eystein stanął przy mnie.

– Musisz wypocząć – powiedział. – Straciłeś dużo krwi.

Eystein przesiedział przy mnie cały tamten wieczór. Powiedział, że gdy byłem nieprzytomny, strzałę usunięto, a potem rany okładano papką z kory i korzeni. Starucha, która nas przyjęła, kiedy po raz pierwszy zawitaliśmy do wioski, siedziała u Epego i śpiewała przodkom i wielkiemu duchowi, który zdaniem Skrælingów mieszkał we wszystkim żywym i nieożywionym, nawet w glebie pod naszymi stopami. Eystein wyjaśnił, że znajdowaliśmy się w letnim obozie Rzecznego Ludu, leżącym na wybrzeżu, kawałek dalej w kierunku wschodnim od poprzedniego miejsca. Powiedział, że zauważyli gromadę ludzi przepływającą w pobliżu łodziami i Epe miał złe przeczucia, bo tamci wyglądali na Patuxetów, a z nimi lud Epego miewał wcześniej konflikty.

– Ruszyliśmy za nimi, Torsteinie, powiosłowaliśmy aż do Wyspy Reniferów. Ale kiedy dopłynęliśmy na miejsce... Oni dotarli tam przed nami. Budynki zawały się. Znaleźliśmy Eilefa, Asmunda, Orma Przynętę, Borka i Skanijczyka. Pomyślałem, że bronieś domu, że twoje szczątki leżą gdzieś pod belkami. Nie wiedziałem... Powinienem być cię poszukać.

Leżałem w milczeniu. Eystein powiedział, że wrócili do wioski. Prosił, bym mu wybaczył. W pobliżu Wyspy Reniferów polowała grupa myśliwych. Było to plemię, które zamieszkiwało tereny leżące w odległości paru dni marszu stąd. Początkowo próbowali mi pomóc i ponieśli mnie spory kawałek, ale – jak powiedzieli – ogarnęło mnie szaleństwo i wściekłość. Nie pozostało im nic innego, jak mnie zostawić. Udali się do Rzecznego Ludu i powiedzieli, co zaszło, bo wiedzieli, że byliśmy z nimi w przyjaznych stosunkach. Epe i jeszcze paru innych ruszyli po mnie, lecz deszcz

zmył ślady, a ja przemieściłem się prawie o dzień drogi od obozowiska, gdzie mnie zostawiono.

Zapytałem, czy widzieli Sigrid i Ravntora. Eystein pokręcił głową.

– Nie widziałem nikogo. Lecz Patuxetowie mogą podróżować nocą, a w dzień trzymać się w ukryciu. Epe twierdzi, że zawsze w ten sposób wymykają się z terenów, na które napadli.

Podszedł do mnie Epe. Wyjął z woreczka przy pasie coś, co przypominało kawałki suszonego mięsa. To były uszy, które mi wcześniej pokazywał.

– *Msutoukun* – rzekł.

– Epe walczył przeciwko nim, gdy był młody – wyjaśnił Eystein. – Zabił trzech wojowników.

Epe schował uszy do skórzanego woreczka i usiadł ponownie przy ognisku. Eystein położył mi dłoń na ramieniu.

– Musisz wypocząć. Spróbuj się przespać.

Nie mogłem zasnąć przez całą noc. Eystein czuwał przy mnie, ale przed świtem przewrócił się na bok, zasnął i chrapał, przytulony do wielkiego skołtunionego psa. Wyczołgałem się na zewnątrz. Przywitał mnie mglisty poranek i dopiero wtedy zdałem sobie sprawę z tego, że jestem odziany tylko w podtrzymywany rzemieniem kawałek tkaniny okrywający krocze i tyłek. Byłem nagi i bosy, a gdy dotknąłem twarzy, przekonałem się, że po prawej stronie nie mam zarostu. Zamiast tego policzek przecinała rana biegnąca od koniuszka ucha do podbródka.

Wioskę Skrælingów tworzyły głównie chaty z kory, podobne do domostwa Epego, choć zauważyłem również porozpinane na żerdziach skóry, pod którymi spali ludzie. Było jeszcze wcześnie, a między drzewami wciąż panował mrok. Ta wioska sprawiała wrażenie większej od sadyby zimowej. Nie tylko stało tu więcej chat, ale też były one bardziej porozrzucane. Teren wydawał się naturalną polaną w klonowym lesie, bo nie widziałem żadnych pniaków, a obrzeża wioski wnikały między otaczające ją drzewa. Włóczyłem się między chatami bez większego celu. Być może udało mi się zapomnieć na moment bolesne wydarzenia. W tej chwili zarówno ciało, jak i umysł miałem oziębiałe i ledwo wyczuwałem ziemię pod stopami. Doszedłem do ogniska

osłoniętego od deszczu zadaszeniem z gałęzi i splecionych paproci, gdzie spał jakiś mężczyzna.

W końcu znalazłem się na krańcu wioski. Otrząsnąłem się z otępienia, lecz wciąż to, co się wydarzyło, zdawało się nierzeczywiste. Moja ścieżka życia nie mogła przecież się okazać aż tak okrutna, żebym stracił brata, kobietę, przyjaciół, a nawet psa? I własnego syna? Wszedłem głębiej między drzewa. Przeszyło mnie poczucie wstydu. Gdybym lepiej walczył! Gdyby mi się udało zabić tych Skrælingów, to Sigrid i Ravntor wciąż byliby przy mnie.

Żadnej pociechy nie ześlą bogowie temu, kto zawiódł najbliższych. Dopóki żyje, stopa jego tkwić będzie w dłoni Hel. Czułem jej zimne palce, a chroma noga straciła całą moc i bezsilnie zwisała. Jak mi się udało przejść przez las, nie mam pojęcia, wkrótce jednak stanąłem na plaży pokrytej pokruszonymi muszlami. Przedemną rozciągało się morze.

Trudno powiedzieć, na jak długo tam się zatrzymałem. Na wschód od plaży wyłaniał się cypel, na którym zauważyłem kilku podrostków; wskakiwali do wody, wrzeszcząc i śmiejąc się. Szarpnęło mną, jakby jakaś częśćka mnie nie chciała zrozumieć, że tamci chłopcy nie mają nic wspólnego z atakiem. Znowu osunąłem się na kolana. Wodząc wzrokiem po niezmarszczonej wiatrem tafli morza, odszukałem horyzont, i tak znieruchomiłego odnalazł mnie Eystein.

– Znowu krwawisz – rzekł tylko, po czym pomógł mi wstać i zaprowadził mnie do wioski.

W chacie Epego rozdmuchano żar, wniesiono kamienny kociołek, który ustawiono na palenisku. Zagotowano wodę, umyto mnie, a rany posmarowano maścią o zapachu cebuli. Otępienie wróciło; leżałem na plecach przy ogniu, w przedziwny sposób odczuwając swe ciało. Miałem wrażenie, że unoszę się nad ziemią na wysokość równą szerokości dłoni, nie mając czucia w stopach. Eystein powiedział, że wśród Rzecznego Ludu jest człowiek znający się na chorobach i właśnie na niego czekano. W ranę po strzale wdało się zakażenie, być może tkwił w niej jakiś odłamek.

Po krótkim czasie obok twarzy Eysteina pojawiła się inna twarz.

– To jest Winabave – powiedział Eystein, a Skræling kiwnął potakująco głową.

Był prawie nagi, podobnie jak ja, miał jedynie przepaskę biodrową. Jego ciało pokrywały linie i koła, a w niektórych miejscach można było dostrzec dziwne stwory. Niezdarnie usiłowałem się podnieść, bo Skrælingowie, którzy na nas napadli, też mieli na skórze takie rysunki. Jednak Eystein poprosił, bym leżał spokojnie.

– Winabawe pochodzi z południa – wyjaśnił. – Wydaje mi się, że przybył tu swego czasu jako niewolnik. Nauczył się paru słów w naszym języku.

Skræling pochylił się. Był w trudnym do określenia wieku, głównie z powodu tego, że prawą część twarzy miał pokrytą bliznami i wklęśniętą – musiał go dosięgnąć potężny cios.

– Winabave – powiedział, pokazując na siebie. – Ja... nauczyć się... słowa.

Zamknął oczy i wydał z siebie jęk, który stopniowo zmienił się w cichą pieśń. Z rzemienia u pasa odczepił muszlę wielkości dłoni, podobną do tej, którą dostałem, i zadał w nią; zabrzmiało jak nawoływanie rogowca sarny. Włożono mi do ust skórzany pas, Eystein poprosił, bym zacisnął zęby, a ja się domyśliłem, co się za chwilę stanie. Skrælingowie przytrzymali mi ręce i nogi, przekonani pewnie, że będę się rzucał, ale ja ani drgnąłem, gdy krojono mnie nożem. Jeśli nie udałoby im się otworzyć i oczyścić rany, chorowałbym i w końcu bym umarł. Kto wówczas wyruszyłby na poszukiwania Sigrid i Ravntora?

– Wciąż jesteś jomswikingiem – mruknął Eystein, nie spuszczając ze mnie wzroku, w chwili gdy nóż ciął i kasał. – Zawsze o tym pamiętaj.



14

Potwór

Leżałem w gorączce przez trzy dni i trzy noce. Winabave i Eystein czuwali przy mnie na zmianę, pilnując, bym jadł tłustą zupę, którą Onejun gotowała na jelenich chrząstkach. W tym czasie Epe z synami powiosłowali na zwiad. Wróciwszy, powiedzieli, że natrafili na coś, co prawdopodobnie było ostatnim miejscem postoju wojowników przed atakiem i pierwszym po ataku. Rozgrzebali wypalone ogniska i policzyli zagłębienia w trawie po legowiskach oraz odchody. Epe rysował na skórze jelenia, wyjaśniając, co widział, a Eystein z pomocą Onejun tłumaczył to mnie. Co najmniej setka ludzi popłynęła w kierunku Wyspy Reniferów. Wracało mniej, ale z sześćdziesięciu ich było.

Gdy leżałem ranny, Eystein porozmawiał z tamtą starą kobietą. Długo siedzieli w jej namiocie razem z Winabavem. Ludziom odwiedzającym moją hallę trudno w to uwierzyć, ale starucha była hovdingiem Rzecznego Ludu. Z tym plemieniem było podobnie jak z innymi ludami w Winlandii oraz na ziemiach na południe od niej – zawsze wybierali kobiety do pełnienia takiej funkcji. Popadła w zadumę, kiedy

Eystein oznajmił, że potrzeba mu ludzi na wyprawę, po czym długo rozmawiała z Winabavem. W końcu wysypała przy ognisku ze skórzanego woreczka ptasie kości i drobne kamyki. Grzebała w nich palcem wskazującym, pomrukując pod nosem, a Winabave jej odmrukiwał. Nagle jej palec zmienił się w szpon, opowiadał Eystein. Spojrzała w stronę otworu wejściowego, w panujący na zewnątrz mrok.

– Wendigo – rzekła. – Wendigo.

Słyszając to, Winabave zaciągnął skórę, zasłaniając wejście. Stara siedziała przez dłuższy czas nieruchomo ze wzrokiem wbitym w kostki i kamyki. Z jej dolnej wargi ściekała ślina. Nagle uniosła wzrok, wymamrotała kilka słów i wskazała na wejście do namiotu. Winabave wyprowadził Eysteina i powiedział, że kobieta pozwoliła im wziąć ze sobą mężczyzn i ruszyć w drogę.

O Winabavem pragnę rzec, że był z niego niezwykle mądry człowiek. Wykazywał duże zainteresowanie nauką naszego języka i rzadko miałem okazję spotkać bardziej pojętnego ucznia. Kiedyś, dawno temu, podarowano go pobratymcom Epego jako niewolnika. Słyszałem, że dostali go na wymianę za jeńców wojennych podczas wielkiej wojny, w którą za młodości Epego wciągnięto Rzeczny Lud i inne okoliczne plemiona. Winabave pochodził z ludu, który na nas napadł. Był Patuxetem, jednym z Ludzi Świtu, i pochodził z Patuxetu, potężnego miasta Skrælingów na południu. Opowiedział o tym Eysteinowi, a ten słuchał uważnie, prosząc, by Onejun tłumaczyła to, czego nie potrafił zrozumieć. Winabave dobrze znał miasto i jego okolice, bo urodził się w jednej z wiosek przylegających do miasta od północy, pracował na polach, polował w lasach. Jego własny lud skazał go na los niewolnika, ale nie chciał powiedzieć, z jakiego powodu. Pamiętał targ i handlarzy niewolników. Wielu takich kupców pojawiała się wzdłuż wybrzeża, krążyli między targiem a swoimi łodziami, wymieniając się na towary tam, gdzie to przynosiło zysk. Gdyby wypatrzyli na targu w Patuxecie taką kobietę jak Sigrid, rudowłosą i błękitnooką, kobietę z morskiego ludu, zaoferowaliby wysoką cenę.

Te słowa sprawiły mi ból. Eystein wiedział, że jako młody chłopiec pędziłem żywot niewolnika; wiedział też, że Sigrid została uprowadzona przez Sigvaldego i podarowana Svenowi Widłobrodemu, który z kolei uczynił z niej podarek dla Burysława z krainy Wendów, gdzie służyliśmy jako najemnicy. A teraz oczekiwała

dziecka. Co zrobiliby Patuxetowie, gdyby to odkryli? A jaki los spotkałby Ravntora? Też zostałby sprzedany na targu? W Jorvik widziałem niewolnicę, którą rozdzielono z dzieckiem, nigdy tego nie zapomnę. Czy to samo miało stać się udziałem Sigrid i Ravntora? Wiedziałem, że nie zaznałbym spokoju w życiu, jeśli nie ruszyłbym w pościg za Patuxetami i nie odzyskał swoich bliskich. Jak miałbym tego dokonać, jeszcze nie wiedziałem, ale wolałem umrzeć, próbując, niż żyć bez nich.

Wciąż jednak byłem zbyt słaby. Czy to wina Hel, która cały czas trzymała mnie za nogę, próbując wciągnąć w głębiny swoich hall, nie wiem. Wysłuchawszy tego, co z opowieści Winabavego przekazał mi Eystein, ponownie pogrążyłem się w malignie, jęczałem i rzucałem się, a potem pobladły znieruchomiałem. Eystein powiedział mi później, że leżałem bez życia, ze wzrokiem wbitym w szczyt namiotu. Żadne zioła Skrælingów, żadne pieśni magiczne nie pomagały, więc wynieśli mnie na zewnątrz. Nasze obyczaje nakazywały wojowi umierać pod gołym niebem. Eystein postanowił, żeby mnie położyć przy zagrodzie zbudowanej przez niego na skraju wioski. Trzymano tam Vingura, który przyniósł na grzbiecie Onejun po ataku choroby i być może to zapach wiernego konia sprawił, że ożyłem, bo leżąc tam w trawie, przy kopcu końskich „jabłek”, wróciłem do siebie.

Eystein i Winabave krążyli między namiotami i chatami z kory, werbując ludzi. Najpierw poprosili Epego, by przemówił w mojej sprawie, on jednak nie chciał zarzewia nowego konfliktu. Patuxetowie urosli w siłę, mówił. Nie zabroni mężczyznom wyruszyć z nami, bo każdy mąż przychodzi na świat z wolną wolą i ma podążać własną ścieżką. Ale porozmawia ze swymi synami i poprosi, by zostali.

Skrælingowie bali się, że stary konflikt rozgorzeje na nowo, tłumaczył mi Eystein. Wyprawa odwetowa mogłaby szybko przynieść zagładę plemieniu takiemu jak Rzeczny Lud. Cała starszyzna, z którą Eystein i Winabave rozmawiali, odpowiadała w podobnym duchu jak Epe. Nikomu nie zabronią przyłączyć się do nas, ale swoim synom poradzą, by zostali w domu. Dlatego nie udało się zwerbować więcej niż szesnastu mężczyzn, a po latach mogę stwierdzić, że nie byli to ci najlepsi. Winabave skusił ich wizją łupów i sławy wynikającej z zabicia wroga, co było rzadką szansą w czasie pokoju.

Eystein i ja wezwaliśmy owych szesnastu na polanę w pobliżu wioski. Niektórzy

z nich liczyli zaledwie trzynaście, czternaście zim. Mieli jednak łuki i kołczany pełne strzał oraz kamienne toporki u pasa. Powiedziałem im o Sigrid i Ravntorze, a także o Hildzie, którą pewnie też pojmano i powiedziano na południe, obiecałem nagradzać każde zabójstwo. W jaki sposób miałbym to zrobić, nie wspomniałem, ale Winabave przetłumaczył i chyba podobało im się to, co słyszą, bo krzyczeli i wyli, potrząsając wzniesionymi łukami.

Razem z Eysteinem popłynęliśmy na Wyspę Reniferów. Skrælingowi zajęłoby to trzy dni wiosłowania, ale my potrzebowaliśmy czterech, bo ani ja, ani mój towarzysz nie mieliśmy wprawy w wiosłowaniu wąskimi łódkami ze skóry. Wykorzystywaliśmy światło dnia i płynęliśmy od świtu do zmierzchu, nie zamieniając ze sobą zbyt wielu słów. Eystein zapytał, czy zabili Fenrego, ale mogłem jedynie stwierdzić, że nie mam pojęcia, co się z nim stało.

Wpłynięcie do naszej zatoki było bolesnym przeżyciem. Stado mew, podfruwając, przemieszczało się po placu. Skrzeczały, uderzając w coś dziobami. Statek spłonął aż do linii wody, tylko stępka i klepki spodniej części kadłuba ocalały. Z długiego domu, obory i warsztatu zostały sterty spalonych desek. Jednak najgorszy był widok spuchniętych ciał naszych towarzyszy broni. W nozdrza uderzył nas trupi smród. Do zwłok dobrały się morskie ptaki i kruki; dziobały je od wielu dni. Złożyliśmy ciała na stosie nad brzegiem morza, a gdy stos pogrzebowy płonął, przeszukiwaliśmy zgliszcza zabudowań. Wygrzebaliśmy sześć żeleźców: cztery zwykłe siekiery i dwa toporki do pracy w drewnie. Miałem nadzieję, że uda mi się znaleźć mój duński topór, ale nigdzie nie zauważyłem owej charakterystycznej głowicy. Ponadto wygrzebaliśmy trzy klingi noży. Szukaliśmy też grotów strzał, ale wypatrzyliśmy tylko pięć sztuk, a na placu nie było ani jednego. Pewnie Skrælingowie pozbierali je, zanim odeszli. Zwierząt nie widzieliśmy. Eystein był zdania, że Skrælingowie je wybili, a tusze zabrali ze sobą.

Gdy powróciliśmy do wioski Epego, zabraliśmy się niezwłocznie do roboty. Razem z Eysteinem poszliśmy do lasu i ścięliśmy kilka prostych młodych brzoź, a następnie połączyliśmy je w ramę szeroką na dwóch mężczyzn i równie długą. Pomyślałem, że skórzane łodzie Skrælingów są mało przydatne na wzburzonym morzu, więc jeśli

wiatr by się wzmógł, zmusiłby Patuxetów do zejścia na ląd i wyczekiwania na pomyślniejszą pogodę. Mieli wielodniową przewagę, ale gdybyśmy żeglowali bez względu na warunki i spali na pokładzie, to istniała szansa, że ich dogonimy. Chciałem użyć skórzanych łódek jako wsporników pokładu i wznieść maszt, żagiel uszyć z kilku jelenich skór, a z tyłu przytwierdzić wiosło sterowe.

Wyliczyłem, że z nadbudowanym pokładem i masztem dwie łódki byłyby w stanie unieść trzech lub czterech mężczyzn. Musieliśmy zatem zbudować pięć jednostek. Rozszczepiliśmy z Eysteinem kilka prostych pni klonowych i zrobiliśmy z nich ściankę, którą można było ustawić jak ochronę dla załogi. Tym sposobem moglibyśmy popłynąć prosto na Patuxetów i ostrzeliwać ich z łuków, nie będąc samemu trafianym. Otwory w łódkach zamknęliśmy foczymi skórami, tak aby fale mogły się nad nimi przetaczać, nie napełniając ich wodą. Epe przywołał kilka kobiet do pomocy, a sam uważnie śledził prace. Wyciosaliśmy trzonki do żeleźców, solidne styliska, które zahartowałem nad płomieniem, osadziliśmy na strzałach znalezione groty. Mający nam towarzyszyć Skrælingowie pomagali przy ścinaniu drzew, ale budową statków zająłem się ja z Eysteinem. Nie wierzyłem, że poradzą sobie z tym zajęciem. Eystein sugerował, że szybciej byśmy skończyli, gdyby Skrælingowie pomagali nam budować, ale nie chciałem o tym słyszeć. Myślałem jedynie, by jak najszybciej wyruszyć. Morze uratowało mnie przed losem niewolnika wtedy, gdy uciekałem z osady kupieckiej w Norwegii. Uratowało nas wtedy, gdy razem z Bjørnem zostaliśmy wyjęci spod prawa przez Olafa. A teraz miało nas doprowadzić do Sigrid, Ravntora i Hildy i miało przynieść nam zemstę.

Ktoś musiał czuwać na Wyspie Reniferów, na wypadek gdyby powrócił mój brat. To zadanie powierzono Onejun. Eystein wolał, co prawda, żeby popłynął tam ktoś inny, ale ona sama tego chciała i nie przejęła się tym, co on mówi. Nauczyła się wystarczającej liczby słów w naszym języku, by mi oświadczyć, że Sigrid jest jej przyjaciółką, a jeśli powróci mój brat, przekaże mu, co się stało, i poprosi, aby podążył za nami. Wzięła ze sobą runy, które wyryłem na brzozowym kiju. W tamtym czasie pisanie nie było moją mocną stroną, ale pomógł mi Eystein i napisaliśmy, że wyruszamy na poszukiwania Sigrid, Ravntora i Hildy i że podążając na południe

wzdłuż wybrzeża, znaleźć można miasto pełne wielkich bogactw. Jeśli Bjørnowi i pozostałym udało się sprzedać knarę, to nowi właściciele znajdowali się zapewne z nimi na pokładzie, ktoś przecież musiał odwieźć naszych do domu. Chciałem wierzyć, że te informacje zachęcą właścicieli knary do obrania tego samego kursu co my, w nadziei na łupy.

Staliśmy nad brzegiem, odprowadzając wzrokiem Onejun. Towarzyszyli jej Epe, a także ojciec dziewczyny i jeden z wujów. Pamiętam widok skórzanych łódek oddalających się gładką powierzchnią morza. Było tak ciemne i błyszczące, jakby Skrælingowie unosili się na wszechogarniającym mroku. Eystein otarł ukradkiem kilka łez, po czym nagle obrócił się ku mnie, mówiąc, że jeśli wzięlibyśmy się ostro do pracy, to już jutro możemy być gotowi do drogi.

Wczesnym rankiem ścięliśmy sobie nawzajem brody. Nie udało nam sięciąć tak krótko, by było widać skórę, do tego potrzebowalibyśmy ostrzejszych noży, ale na tyle krótko, by z daleka wzięto nas za Skrælingów. Włożyliśmy również Skrælingowe ubrania – spodnie i tuniki ze skóry, wzięliśmy kołczany z brzozonej kory.

Wyruszyliśmy następnego dnia wraz z postępującym odpływem. Winabave był na pokładzie ze mną i Eysteinem. Kiedy podniosłem żagiel, wykrzyknął z przerażeniem kilka słów w języku Skrælingów i zasłonił twarz dłońmi. Łódź pomknęła przed siebie i stało się jasne, że nie potrzebowała szczególnie silnego wiatru, by rozwinąć prędkość. Wioseł nie musieliśmy nawet dotykać, ale steru nie można było wypuścić z dłoni, bo skórzane kadłuby niezbyt dobrze utrzymywały kurs.

Skrælingowie nie podnieśli żagla, nie wyglądało też na to, że wiedzą, jak się posługiwać wiosłem sterowym. W odległości zaledwie kilku strzałów z łuku od wioski wyprzedzaliśmy ich już o spory kawałek, byliśmy zatem zmuszeni opuścić żagiel i na nich poczekać. Eystein przemówił do nich, usiłując im wyjaśnić, jak to działa, ale skończyło się na tym, że najpierw przeszedł na jedną łódź, żeglując na niej przez jakiś czas, po czym przeszedł na kolejną, i tak przez resztę pierwszego dnia.

Zeszliśmy na ląd w zatoce, w której Skrælingowie często stawali na nocleg, przemieszczając się tym morskim traktem. Jest tam płaska skała, dająca schronienie

przed wiatrem i deszczem, i szkier, wyłaniający się z morza w czasie odpływu, zawsze gęsto pokryty omułkami. W pierwszej chwili Skrælingowie chcieli przybić do tego szkieru, by zebrać trochę małży, ale krzyknąłem, żeby się nie ważyli odrapać skórzanych kadłubów. Zeszliśmy zatem na ląd, wciągnęliśmy łodzie na wąski pas piachu i uwiązaliśmy cumy do pni drzew. Gdy tylko to zostało zrobione, Skrælingowie zrzucili z siebie odzienie i popłynęli wpływ do szkieru. Razem z Eysteinem przyglądaliśmy się im. Rozsiedli się na szkierze, roztrzaskiwali muszle i połykali ich zawartość.

Miejsca pod płaską skałą wystarczyło zaledwie dla pięciu osób, ale wydawało się, że dla Skrælingów spanie tutaj to przywilej. Zostawiwszy ich kłócących się o legowiska, położyliśmy się z Eysteinem na plaży, pod jedną z łodzi. Ze skórzanymi kadłubami po obu stronach i pokładem nad głowami mieliśmy schronienie od wiatru i deszczu. Nie mogłem się jednak uspokoić. Wielokrotnie sprawdzałem plażę dookoła, szukając śladu Patuxetów, wszedłem do lasu, rozglądając się za odchodami lub śladami stóp, i z przyzwyczajenia zawołałem Fenrego. Zdążyłem poczuć irytację z powodu jego marnych zdolności tropicielskich, gdy nagle uświadomiłem sobie, że nie ma go ze mną. Być może tak przywykłem do jego obecności, że wyparłem ze świadomości fakt, że jego też zabrakło. Naraz zrobiło się tego za wiele jak na mnie. Opuściło mnie odrętwienie, w którym byłem pogrążony przez ostatnie dni; pozostał tylko ból. Opadłem na kolana za pniem sosny, nie mogąc początkowo złapać tchu. Jakby ktoś rozerwał ranę, która teraz krwawiła, pozbawiona skóry. W niewytłumaczalny sposób pamiętam, że stoję obok i przyglądam się sobie niczym rozumny ojciec spoglądający z troską na swego płaczącego syna.

Pożeglowaliśmy dalej o świcie. Skrælingowie mieli ochotę zebrać więcej omułek na szkierze, jednak Eystein powiedział, że ruszamy natychmiast i nie mamy zamiaru na nikogo czekać. Winabave, Eystein i ja zajęliśmy miejsca w tej samej łodzi, a ja pomyślałem, że Skrælingowie, którzy nie mają dość oleju w głowie, by podnieść żagiel i utrzymać tempo, niech lepiej zostaną. Najwyraźniej jednak pojęli, o co chodzi, i po chwili pozostawiliśmy zatokę za sobą.

Ponieważ nasze łodzie były lekkie, były również chyże. Dopóki morze nie było

zbyt wzburzone, a wiatr wiał od rufy, sunęły tak szybko, że nawet wąskie skeidy nie zdołałyby im umknąć. Chociaż wiedziałem, że Patuxetowie mieli nad nami wiele dni przewagi, zacząłem przeczesywać wzrokiem horyzont. Jeśli dogonilibyśmy ich, zanim dotrą do Patuxetu, nie zdradzilibyśmy swojej obecności. Wypatrzywszy ich, zeszlibyśmy na ląd. Poczekalibyśmy, aż zapadnie zmrok. Podążając za zapachem ognisk, podeszlibyśmy ich pod osłoną nocy. Najpierw wszedłbym między nich razem z Eysteinem, by poszukać Sigrid, Ravntora i Hildy. Odprowadzilibyśmy ich do łodzi, polecając im, by odpłynęli od brzegu. Następnie Eystein i ja razem z towarzyszącymi nam Skrælingami wrócilibyśmy do Patuxetów. Żadnemu nie darowalibyśmy życia.

W ciągu dnia wiatr przybrał na sile. Zmienialiśmy się przy sterze z Eysteinem, bo fale groziły zepchnięciem łodzi z kursu. Pomyślałem, że nic lepszego nie mogłoby się wydarzyć, ponieważ teraz Patuxetowie będą zmuszeni zejść na ląd. Niestety po krótkim czasie Skrælingowie opuścili żagle, wypuścili z rąk stery i wzięli się do wiosł. Wiatr ich przestraszył i nie minęło wiele czasu, nim skierowali się w stronę brzegu, po czym wyciągnęli łodzie na wynurzające się z morza skały.

– Dalej dziś nie popłyniemy – stwierdził Eystein, więc również opuściliśmy żagiel i przybiliśmy do brzegu.

Zwymyślałem Skrælingów. Ogarnęła mnie furia i choć zdawałem sobie sprawę, że mnie nie rozumieją, darłem się na nich. Co z nich za tchórzliwi nikczemnicy, których byle podmuch przeraża? Byłem wściekły i nie zwracałem uwagi ani na wiatr, ani na fale uderzające o skały za moimi plecami. W tym czasie Eystein obłożył łodzie kamieniami, zabezpieczając je przed uderzeniem wiatru od spodu i przewróceniem. Uporawszy się z tym, chwycił mnie za ramię, prosząc, bym z nim poszedł; musieliśmy poszukać schronienia.

Nienawiść rodzi się z cierpienia. Nawet najokrutniejsi ludzie byli kiedyś dobrzy. Jeśli świat raz potraktuje cię niesprawiedliwie, pewnie jesteś w stanie to znieść. Podźwigniesz się i pozwolisz ranom się zagoić. Ale jeśli rany są rozdrapywane raz po raz, zmieniasz się. Być może to właśnie działo się z Torsteinem Szkutnikiem. Przebył morze, żeby uniknąć żadnych zemsty ludzi Olafa. Odwrócił się od konfliktów na rodzinnej ziemi i obiecał swej kobiecie życie w pokoju i – jeśli mu się powiedzie –

w dobrobycie. Teraz wszystko zostało obrócone w perzynę. Znowu odebrano mu Sigrid i nie miał pojęcia, czy jego syn żyje.

Skrælingowie powiadali, że przybyłem na ich wybrzeże jako mąż, a opuszczałem je jako potwór. O ile pamiętam, zaszła we mnie zmiana wtedy, gdy zostaliśmy zmuszeni do zejścia na ląd. Prawdopodobnie cała ta niesprawiedliwość, która mnie spotkała, okazała się zbyt trudna do udźwignięcia, a kiedy człowiek raz osunie się na kolana pod takim ciężarem, coś w nim pęka. Razem z Eysteinem znaleźliśmy schronienie za kilkoma głazami. Siedziałem, kiwając się, i choć mój towarzysz mówił do mnie uspokajająco, koszmarne obrazy kotłowały się w mojej głowie. Widziałem, jak nadzy, wymalowani Patuxetowie przewracają Sigrid na ziemię, zrywają z niej koszulę, siłą rozsuwają jej nogi. Małego Ravntora trzymają za kark, wpychają mu głowę pod wodę, głośno się śmieją. A potem Sigrid leży naga na ziemi, a Patuxetowie przytrzymują ją, rozpruwają jej brzuch i wyjmują płód.

Przypominam sobie, że Skrælingowie, budując schronienie na noc, robili mnóstwo zamieszania; nagieśli kilka brzozowych konarów, rozpięli na nich skórzaną płachtę. Jednak zaraz po tym, jak powiązali gałęzie, węzeł puścił, co ich zdenerwowało; krzyczeli i narzekali. W końcu udało im się zrobić węzeł, który wytrzymał, na gałęzie narzucili płachtę i schronili się pod nią. Dla Winabavego najwyraźniej zabrakło miejsca, bo siedział na zewnątrz owinięty w skórę.

Synom i gościom odwiedzającym moją hallę i chcącym posłuchać o Winlandii więcej na temat tamtego dnia nie opowiadam oprócz tego, że gdy wiatr osłabł, poszedłem sprawdzić łodzie. Nie opowiadam o wybuchach śmiechu dochodzących z namiotu Skrælingów. Nie miałem pojęcia, co ich rozbawiło, ale to, że mogli się śmiać i cieszyć, było nie do zniesienia.

– Macie się zamknąć! – zawołałem.

Skrælingowie odkrzyknęli kilka słów w tym swoim narzeczu, po czym rozległ się śmiech.

– Zamknąć się!

Wówczas jeden ze Skrælingów wychynął z namiotu. Wskazał na mnie palcem i coś powiedział. Potem trzykrotnie wyrzucił w moim kierunku zaciśniętą pięść. Nie wiedziałem, co ma na myśli, ale byłem pewien, że to obelga. Choć oczywiście nie

pamiętam, żebym jakoś szczególnie się nad tym zastanawiał. Z tego, co sobie przypominam, rzuciłem się od razu na niego, chwytając za ramię i włosy. Uderzyłem go wielokrotnie. W końcu leżał u moich stóp, krwawiąc z nosa i kącików ust.

– Nie będziecie mi się tu śmiać! – warknąłem. – Nikomu nie wolno się śmiać.

Po tym zapadła cisza. Gdy ruszaliśmy nazajutrz, Skraelingowie nie śmieli spojrzeć mi w oczy. Spuścili łodzie na wodę i zaczęli wiosłować. Tego ranka było bezwietrznie. Fale nadpływające od strony otwartego morza były długie i płaskie. Eystein wiosłował z lewej strony, a Winabave z prawej, podczas gdy ja pilnowałem steru.

– Musimy od tej pory czuwać – rzekł Eystein. – Może im nagle wpaść do głowy, by wrócić do domu.

Nic na to nie odpowiedziałem. Przesunąłem wzrokiem w kierunku wschodnim wzdłuż linii brzegowej. Tam dalej wiało, widziałem marszczącą się powierzchnię morza. Wkrótce będzie można postawić żagle. Pożeglujemy z tym wiatrem tak długo, jak to tylko możliwe.



15

Córka niewolnicy

Przed moim tronem hovdinga nieraz zjawiali się ludzie, rozprawiając o zachodnim morzu, jakby była to sama otchłań Ginnungagap. Posłańcy od wielmożów i królów, władający pismem mądrale w jedwabnych tunikach i z wyczesanymi włosami stawali przede mną, mówiąc, że słyszeli pogłoski o mojej wyprawie, o jednonogich, których napotkaliśmy, i białych wielorybach, tak ogromnych, że mogły połykać statki. Widzieliśmy krainy na zachodzie, głosiły plotki. I widzieliśmy miasto, gdzie iglice wież pokryte były złotem.

Takim ludziom niewiele miałem do powiedzenia. Dla nich świat jest tarczą z ziemi i słonej wody, gdzie wszyscy ludzie są zależni od łaski Białego Chrysta. Gdybym opowiedział o tym, co widziałem, nie pojęliby. Nauczony doświadczeniem, odprawiałem ich, mówiąc, że na zachodzie nie ma niczego oprócz parszywych Skrælingów, którzy strzelają do ludzi z łuku, oraz morskich szlaków, gdzie olbrzymie bloki lodu grożą roztrzaskaniem kadłuba na drzazgi. Owszem, można tam znaleźć drewno, o ile się podejmie ryzyko wyprawy, ale płyńcie raczej przez Bałtyk

i wycinajcie drzewa wzdłuż wybrzeży Gardarike lub w Estonii. Takie słowa słyszeli ode mnie. O Torsteinie Szkutniku powiadają również, że lubi swoje piwo, a w przeciwieństwie do plotek o białych wielorybach i jednonogich ludziach, to jest prawda. Dlatego mogło się zdarzyć, że gdy po opróżnieniu kilku kufli czuł się stary i niezrozumiany, posyłał kogoś po ową skrzynię okutą żelazem. Skrzynię stawiano u jego stóp, on pochylał się i wyciągał z niej coś, co błyskało w poświacie bijącej od paleniska. Owalna płytką długości mniej więcej dwóch dłoni, lecz nie grubsza niż podeszwa. To część ozdoby głowy Patuxeta.

Jednak o naszej żegludze wzdłuż brzegów Winlandii opowiadam niewiele. Na temat smutku, który mnie przytłaczał, tęsknoty za Sigrid i Ravntorem, przekonania, że ich zawiodłem – milczę. Po tym dniu, kiedy pobitem Skrælinga, tak mi to wszystko ciążyło, że rzuciłbym się do morza, gdybym nie miał resztek nadziei, że dogonimy Patuxetów.

Żeglowaliśmy dalej. Wiedziałem, że wkrótce dopłyniemy do cieśniny oddzielającej półwysep od dużej wyspy na wschodzie, i miałem zamiar ją przebyć ze sprzyjającym nam właśnie wiatrem północnym. Zmusiłem Skrælingów do płynięcia pod żaglem przez całą noc, ale następnego poranka okazało się, że część z nich zniosło tak daleko na pełne morze, że ledwo mogliśmy ich dostrzec. Winabave miał przy sobie muszlę, podobną do tej, którą ja kiedyś dostałem, przytknął ją do ust i zadał. Morze poniosło głęboki, donośny dźwięk i wkrótce Skrælingowie, których zniosło, zmienili kurs, kierując się w stronę lądu. Eystein pokręcił głową z dezaprobatą. Nie powinniśmy żeglować nocą, stwierdził. Skończy się na tym, że się pogubimy.

Wpłynęliśmy do cieśniny, która poprowadziła nas wzdłuż wschodnich wybrzeży Krainy Świtu. Ziemię porastał brzozowy gąszcz, a po wyjściu na ląd opadły nas chmary komarów. Szukałem śladów, ale nie znalazłem żadnych zagłębień po legowiskach, odchodów, pozostałości po ogniskach, co mnie martwiło. A jeśli nie tędy się udali? Jednak Winabave był pewny swego. Pokiwał głową i wskazał na południe, kierując na mnie swą zniekształconą twarz.

– Patuxet – rzekł. – Patuxet.

Już wcześniej poprosiłem Eysteina, by wypytał Skrælinga o to miasto na południu

– jakie miało umocnienia, jak daleko było do niego – ale Eystein nie dowiedział się niczego poza tym, że miasto otaczała palisada, a dookoła leżały pola, na których uprawiano różne rośliny. O obronie i umocnieniach nic nie potrafił powiedzieć. Nigdy nie udało mi się ustalić, czy to dlatego, że Eystein nie był zbyt mocny w języku Skrælingów, czy dlatego, że Winabave nie chciał mu więcej zdradzić. Poprosiłem, by go zapytał, jak to się stało, że skończył jako niewolnik, i kto zniekształcił mu twarz, lecz Eystein przyznał, że trudno mu zrozumieć Winabavego, a ten znał tylko pojedyncze słowa w naszym języku. Od czasu do czasu wskazywał na południe i mówił: „Południe, Patuxet. Kobieta... Dziecko, w Patuxet”. Ale o tym, że wkrótce mieliśmy wpłynąć na wody podległe potężnym sojuszom i że na południu istnieli hovdingowie z całymi armiami wojowników, a w miastach pobierano podatki, jak na naszych ziemiach na wschodzie, Winabave nie powiedział. Przypuszczam, że nie znalazł odpowiednich słów, a Eystein nie potrafił dobrze zrozumieć tego, co tamten opowiadał w języku Skrælingów. To, że konflikty trwające od wielu pokoleń targały tym wybrzeżem i że krwawa zemsta ścierała całe klany z powierzchni ziemi, też było dla nas niewiadome. Ale towarzyszący nam Skrælingowie wiedzieli. Być może dlatego zaczęli nocami wystawiać wartowników, a ich pogdakiwania i śmiechy wokół ogniska zamarły i zastąpiła je przytłaczająca cisza. Zapytałem o to Eysteina, a ten zapytał Winabavego, który tylko wzruszył ramionami i wskazał na południe.

– Patuxet. Patuxet.

Rany, których doznałem podczas napaści, zasklepiły się i Eystein mógł zdjąć szwy. Albo miałem szczęście, stwierdził, albo rany goją się na mnie jak na psie. Przyznałem, że raczej to drugie, i opowiedziałem mu o pojedynku między Bjørnem a Rosem, zabójcą mojego ojca. Skoro Bjørn przeżył mimo ran, maligny i drgawek, to ja miałbym sobie nie poradzić z takimi draśnięciami? Chociaż nie były to draśnięcia, a Eystein prychnął, słysząc te słowa, i stwierdził, że to sami bogowie, być może Frigg, mnie uzdrowili. W takim wypadku bogowie oczekiwali ode mnie wielkich czynów na południu, co dla Eysteina oznaczało, że tam, dokąd żeglowaliśmy, czekały nas, jak to ujął, „szczęk toporów i pieśń miecza”. Nie było to dobre sformułowanie, bo nikt z nas nie miał miecza. Podobnie jak i teraz, miecz to broń dla bogaczy, a bogatym nikt z nas

nie był. Jednak obaj mieliśmy topory, a niewielu było ludzi lepiej wytrenowanych do walki na topory niż jomswikingowie. Eystein znalazł nad brzegiem kilka płaskich kamieni o piaszczystej powierzchni. Już przedtem naostrzyłem topór na Wyspie Reniferów, ale te kamienie były szczególne. Przeszlifowaliśmy nimi topory i groty strzał i nieczęsto mi się udawało uzyskać tak ostre krawędzie. Praca z osełką budzi dobre uczucia, daje mężczyźnie spokój, obojętnie, czy jest wojem, czy oraczem. Zrobiliśmy jeszcze kilka strzał z gałęzi, które naprostowaliśmy nad płomieniem, osadziliśmy na nich groty z rybich ości i lotki z piór mewy, którą znaleźliśmy martwą. Gdy byliśmy tym zajęci, Skrælingowie rzucali ku nam spojrzenia, pochyłili głowy ku sobie i coś szeptali. Co wieczór łączyli kilka konarów, narzucali na nie skóry i pod takim dachem spędzali noce, stłoczeni niczym sfora psów.

Jak daleko było do Patuxetu, nie wiedziałem. Znajdowaliśmy się na południowo-wschodnim wybrzeżu Krainy Świtu, ale Winabave nie mówił, ile dni zajmie nam dotarcie do miasta, albo po prostu Eystein go nie rozumiał, bo jeszcze nie nauczył się wszystkich liczb w języku Rzecznego Ludu. Mimo że Winabave mówił w tym języku, jego wymowa – nawet po tylu latach – była nieco zniekształcona i pewnie dlatego Eystein miał trudności ze zrozumieniem go. Ale prawdę mówiąc, wolałem nie wiedzieć. Miałem nadzieję, że było daleko. Gdybyśmy doścignęli wojowników, zanim dotarliby do miasta, łatwiej moglibyśmy odbić Sigrid, Ravntora i Hildę.

Wiatr w tamte dni mieliśmy stabilny i pomyślny i nasze łodzie mknęły chyżo po falach. Nie było sensu zanurzać wiosł w wodzie, żagle niosły nas szybciej. Siedziałem przy sterze, zmagając się z ogromem czarnych myśli, dręczył mnie strach przed tym, co Patuxetowie mogą zrobić Sigrid. Nie wiedziałem, czy ją zgwałcą, czy też potraktują jak towar, który należy dostarczyć nietknięty na targ. Założyłem, że zechcą ją sprzedać jako niewolnicę, bo taki był los wszystkich jeńców wojennych, o ile ich nie zgładzono. Jeśli miałoby to się stać, zanim dotrzemy na miejsce, miałem nadzieję, że Ravntora sprzedadzą razem z nią. Jaki los może spotkać Hildę, nie wiedziałem. Skoro pochodziła z plemienia Skrælingów, mogła zostać potraktowana jak zdrajczyni i zabita. Może nawet już to zrobili.

Podczas żeglugi przez cały czas rozglądałem się, obserwując morze i rzucając spojrzenia w stronę lądu. Nie tylko miałem nadzieję, że brat z towarzyszami przeżyli

sztorm i teraz obrali kurs w naszym kierunku, lecz także chwyciłem się myśli, że Sigrid udało się uciec z Ravntorem i Hildą. Ciało miała może szczupłe i dziewczęce, ale Patuxetowie nie byli od niej wyżsi. Gdyby nie więcej niż jeden stanął między nią a wolnością, nie powstrzymałby jej.

– Oczy ci pociemniały – zauważył Eystein pewnego wieczora. Ułożyliśmy się pod pokładem, bo ponownie się rozpadało. – Nigdy nie widziałem u ciebie tak mrocznych oczu. Spróbuj odłożyć na bok myśli o tym, co mogło się zdarzyć. Umysł ci się od tego rozchoruje.

Nie odpowiedziałem mu. Odwróciłem się do niego plecami i próbowałem zasnąć, choć dobrze wiedziałem, że również tę noc prawie całą przeleżę bezsennie. Najbardziej bolało nocami i nawet gdy udawało mi się zasnąć, nie znajdowałem wytchnienia. Tęsknota i obawa przed tym, co im mogli zrobić Patuxetowie, tkwiła we mnie, obojętnie czy śniłem, czy czuwałem.

Tego wieczora również Eysteinowi nie udało się zasnąć. Wiercił się, narzekał na igły świerkowe, które kłuły go w plecy; wcześniej ściął kilka gałęzi i zrobił sobie z nich poślanie. W końcu się uspokoił i pomyślałem, że zasnął, ale nagle zapytał:

– Nie śpisz, Torsteinie?

– Nie.

– Jak myślisz, co się stało z Fenrem?

Nie od razu odpowiedziałem, no bo cóż miałem powiedzieć. Nigdy się przecież nie dowiem, czy Patuxetowie zabili go i wrzucili do morza, czy uciekł przez piaszczysty pomost i zniknął w tamtejszym lesie. Jednocześnie wiedziałem, że ucieczka nie leżała w jego naturze. Psem obronnym nigdy nie był, ale był wierny.

– Może wróci – powiedział Eystein. – Jeśli wróci... Onejun ma dobrą rękę do zwierząt. Zaopiekuje się nim.

Nie mogę sobie przypomnieć, czy coś jeszcze potem rzekłem, ale pamiętam wiatr, który zaczął szumieć w koronach drzew.

Rozpętała się wichura. Skórzany namiot Skrælingów porwało na strzępy, a oni uciekli do pobliskiego świerkowego lasu, pozostał tylko Winabave. Wciągnęliśmy łodzie głębiej na ląd i obciążyliśmy je kamieniami. Potem wszedłszy w las na odległość rzutu

kamieniem, wpełzliśmy we trójkę pod zwisające ze świerka żyłeczники, podczas gdy wiatr ciskał na ląd kłęby morskiej piany; tak trwaliśmy aż do świtu.

Skrælingów nie było nigdzie widać. Nawoływaliśmy ich, lecz nikt nie odpowiadał. Zniknął też ich ekwipunek. Eystein zamienił kilka słów z Winabavem, który rzucał spojrzenia w głąb lasu i kręcił głową.

– Odeszli – rzekł Eystein. – On chyba mówi, że gdzieś tam w głębi jest wioska. Myśli, że mogli tam pójść.

– Tchórzliwi nędznicy – skwitowałem, choć po części poczułem ulgę, bo byli jedynie ciężarem. Tylko w jaki sposób mielibyśmy pokonać Patuxetów, nie miałem pojęcia.

– Musimy pójść do wioski – stwierdził Eystein. – Sami nie damy rady.

– Nie idziemy do żadnej wioski – wymamrotałem.

W podmuchach wiatru Eystein pewnie mnie nie usłyszał, bo zagadał do Winabavego, który uniósł trzy palce.

– Trzy dni – powiedział. – Trzy dni drogi do wioski.

– Nie idziemy do żadnej wioski – powtórzyłem.

Eystein zerknął na mnie.

– A co zrobimy, jeśli uda się tamtych dogonić? Zapytamy, czy nie zechcieliby nam oddać Sigrid i Ravntora?

– I Hildę – dodałem.

Eystein wepchnął dłonie za pas i wpatrywał się w ziemię.

– Nie możemy dłużej czekać – rzekłem. – Musimy płynąć dalej, gdy tylko wichura trochę zelżeje.

Wichura jednak nie odpuściła tego dnia. Winabave, Eystein i ja schroniliśmy się w wykrocie, podczas gdy wiatr siał spustoszenie wśród drzew. Odłamywane gałęzie z hukiem spadały na ziemię, a kłęby morskiej piany fruwały w powietrzu. Doglądnęliśmy łodzi i dociążyliśmy je dodatkowymi kamieniami. Najpierw raz, na początku, a potem ponownie, gdy podnosił się stan wody i była obawa, że cofające się morze zabierze je ze sobą. Nie ośmieliliśmy się odrzucić kamieni i wciągnąć łodzi głębiej na ląd, bo obawialiśmy się, że uderzenie wiatru obróci i rozerwie je na strzępy. Zamiast tego dociążyliśmy je na tyle, na ile to było możliwe, i wycofaliśmy się do

lasu, do schronienia w wykrocie. Dokuczała mi myśl, że nie możemy płynąć dalej, ale pociechą było to, że również Patuxetowie nigdzie się nie ruszą w taką pogodę. Nawałnica, w której utknęliśmy, raczej nie zaskoczyła Skrælingów. Przepłynąwszy cieśninę, znaleźliśmy się w pobliżu narażonego na kaprysy pogody wschodniego wybrzeża Krainy Świtu, graniczącego z otwartym morzem, gdzie prawie w ogóle nie było wysepek. Stąd mieliśmy żeglować wzdłuż wybrzeża na południowy zachód, bo miała się na nas otworzyć duża zatoka. Od tego miejsca, zdaniem Winabavego, powinniśmy się trzymać linii brzegowej skręcającej ponownie na północ, na tyły Krainy Świtu, gdyż otwarte morze byłoby zbyt niespokojne. Nawet nie powinniśmy próbować żeglugi na skróty. Ja natomiast chciałem, żebyśmy tak właśnie postąpili: pożeglowali otwartym morzem, podczas gdy Patuxetowie płynęliby dłuższym traktem, wzdłuż lądu. Tym sposobem zostawilibyśmy ich z tyłu. Moglibyśmy urządzić zasadzkę i czekać, aż się zjawią. Ale bez wojowników nie mieliśmy szansy na powodzenie. Gdyby tylko mój brat mógł powrócić! Gdyby Odyn i jego synowie dostrzegli mnie, gdyby pojęli, że nie dam rady sam, mogliby chyba sprawić, żeby Bjørn i pozostali mężczyźni wrócili do mnie? Nie prosiłem bogów nigdy o wiele, ojciec mnie nauczył, że nikczemne jest błaganie i modlenie się do nich o różne rzeczy. Ale gdyby tylko przywiedli z powrotem Bjørna, już nigdy nie prosiłbym ich o nic. Wówczas byśmy pożeglowali i wytropili Patuxetów. Zmusilibyśmy ich do oddania nam Sigrid, Ravntora i Hildy. Potem wybilibyśmy ich w pień, chcąc mieć pewność, że już nas nigdy nie zaatakują. W końcu pożeglowalibyśmy na Wyspę Reniferów. Odbudowalibyśmy to, co spalili.

Przez dwa dni szalał sztorm nad Krainą Świtu. Dwa dni przesiedzieliśmy z Eysteinem i Winabavem w wykrocie. Drugiego dnia powiązaliśmy konary i gałęzie świerkowe w swego rodzaju dach, bo teraz wiatr przyniósł potworną ulewę znad morza, ale zadaszanie nie było szczelne, więc wkrótce przemokliśmy do suchej nitki.

Skrælingowie nie powrócili i musiałem przyjąć do wiadomości, że pewnie mieli wszystkiego dość i poszedłszy do wioski, wyblągali trochę prowiantu, po czym powędrowali do domu. Winabave mógłby ruszyć za nimi, twierdził Eystein. Mógłby ich poprosić, by wrócili, choć uważał, że raczej nie uda mu się ich namówić. Bali się

Patuxetów i pewnie żalowali, że się do nas przyłączyli. Również mnie się obawiali; słyszał, jak o tym rozmawiali.

Nie pamiętam, by szczególnie mnie zmartwiło, że Skrælingowie odeszli. Być może powinno mnie to martwić, ale z czasem zacząłem sobie wyobrażać, że razem z Eysteinem i Winabavem, o ile był dobrym łucznikiem, pokonamy Patuxetów na własną rękę. W skórzanych łódkach brakowało schronienia, Skrælingowie byli łatwym celem. Oczywiście przeliczyłem posiadane przez nas strzały, większość stanowiły strzały robione na sposób Skrælingów, z ościanymi grotami, ale mieliśmy dobre łuki z cięciwami ze ścięgien podkolanowych łosia. Ścięgna zostały wcześniej wysuszone, rozbite na włókna i skręcone, by się nie rozciągały, a ja własnoręcznie nasmarowałem je żywicą. Gdybyśmy tylko znaleźli miejsce nadające się na zasadzkę, powinniśmy dać sobie radę.

Drugiej nocy spędzonej w wykrocie miałem sen, który dał do myślenia nie tylko mnie, ale także Eysteinowi. Sen pamiętam doskonale i zarówno mistrzowie run, jak i wróżbici odwiedzający moją hallę tłumaczyli mi, że to było ostrzeżenie. We śnie stałem na podwórzu przed domem, a przede mną na belce leżał kamień żarnowy. Jako dzieciak widywałem kobiety używające takich kamieni w naszym gospodarstwie w Vingulmorku. Składał się w zasadzie z dwóch kamieni, dwóch okrągłych kamieni ułożonych jeden na drugim. Ten górny miał w środku otwór, do którego wsypywało się ziarno. Następnie należało obracać nim dokoła za pomocą drążka, a starte i zmielone zboże przesypywało się na dolny kamień. Będąc małym chłopcem, przyglądałem się temu jak zaczarowany. Pewnego dnia żona gospodarza splunęła w mąkę, zagniotła ją w mały placuszek i dała mi do spróbowania. We śnie to ja splunąłem w mąkę, a przy mnie stał Ravntor, który posmakował ciasta. Mąka była jednak zanieczyszczona. Miała czerwone plamki; kamień został zbrukany krwią. Mimo to dosypałem zboża do otworu, ponownie splunąłem w mąkę, zagniotłem placuszek i podałem synowi. Zerknął na mnie, jakby zdziwiony sytuacją, a ja rzekłem tylko:

– Oto nasza mąka.

Gdy się obudziłem, Eystein zapytał mnie, czy śniłem o gospodarstwie na Wyspie Reniferów i czy miałem plany odbudowania go. Mówiłeś o mące, powiedział,

uśmiechając się do mnie pod mokrymi od deszczu świerkowymi gałęziami. Jak tylko to się skończy, jak tylko odzyskamy Sigrid, Ravntora i Hildę, pożeglujemy na wyspę. Bjørn i reszta wrócą, bo nie miałyby najmniejszego sensu, gdyby stracili życie na morzu. Wölwy nigdy nie pozwoliłyby na to, żeby załoga złożona z jomswikingów zakończyła życie w taki sposób. Oni powrócą, weźmiemy się do odbudowy zagrody i warsztatu skutniczego, będziemy karczować ziemię i wkrótce żąć zboże, które przemielimy na mąkę, tak w jak moim śnie.

Wiatr w końcu zelżał i zeszliśmy do naszych łodzi. Przejrzeliśmy kadłuby i maszty, usunęliśmy kłęby wyrzuconych przez sztorm wodorostów i ustaliliśmy, że łodzie nieźle sobie poradziły, nie zauważyliśmy żadnych uszkodzeń.

Pamiętam, że tego poranka nastąpił przyptyw i musiała panować bezwietrzna pogoda, ponieważ tafla wody była tak gładka i przezroczysta, że bez trudu widziałem pąkle i inne skorupiaki poruszające odnóżami. Gdybym tylko miał przy sobie brata! Gdyby jego statek mógł ukazać się teraz na horyzoncie!

W tym momencie podszedł do mnie Eystein. Być może wzrok miał nieco lepszy niż ja, bo nagle uniósł rękę i wskazał przed siebie.

– Tam!

W pierwszej chwili niczego nie zauważyłem. Tamtejszy horyzont bywa zamglony, podobnie jak na Bałtyku. W końcu jednak ujrzałem coś w oddali. Statek. Początkowo była to tylko ciemna plama, która wkrótce przybrała kształt kadłuba. Wtedy zobaczyłem również maszt górujący nad kadłubem oraz wiosła. Zatrzeszczało w pobliskich zaroślach, Eystein pokrzykiwał do mnie ze skraju lasu, że musimy zapalić ognisko! Wówczas nad brzegiem stanął Winabave i zadał w muszlę.

Na ten dźwięk statek zawrócił, dziób wskazywał w kierunku lądu. W tym momencie zauważyliśmy kolejną jednostkę z podniesioną reją i zwisającym żaglem. Wydawało się, że mieli nadzieję dogonić pierwszy statek, ale wiatr nie był w stanie wypełnić żagla, który zwisiał bezwładnie z rei, i wtedy pojawił się trzeci. Winabave zadał w muszlę, a Eystein wskazywał przed siebie.

– Statki – powiedział. – Trzy statki.

Wieść niesie, że Torstein Skutnik rzucił się tego dnia wplaw do morza, tak mu było spieszno spotkać brata. Jednak budowniczy rozpozna łodzie, które budował,

nawet z dużej odległości. I naszej knary tam nie było. Eystein wymachiwał rękami nad głową, jakby się obawiał, że nas nie zauważyli, ale w tym momencie na dziobie stanął łucznik, a strzała uderzyła w wodę tuż przed nami. Dobrze, że Eystein wykazał się tego ranka większym refleksem niż ja, bo nie szukał schronienia między drzewami, tylko zaczął wołać, że jesteśmy ze wschodu, że nie jesteśmy Skrælingami. Wtedy więcej postaci pojawiło się na dziobie. Jedna z nich była bezbroda, ale ubrana w męską tunikę i dopiero gdy krzyknęła do sternika, pojęliśmy, że to kobieta.

– Skręcaj pod wiatr! – huknęła. – Szykuj kotwicę!

Miała ostry, donośny, nieco schrypnięty głos, a Eystein zerknął na mnie, jakby oczekiwał, że mu wyjaśnię ów niezwykle widok. Nigdy przecież nie widzieliśmy kobiety wydającej na statku rozkazy.

Po niedługim czasie wszystkie trzy jednostki rzuciły kotwice w odległości pół strzału z łuku od nas. Kobieta i dwaj mężczyźni przeleźli przez burtę i zsunęli się do lekkiej łódki. Winabave wyraźnie się zaniepokoił, zaczął mamrotać i ciągnąć Eysteina za rękę, ale ten nie ruszył się z miejsca. Kobieta stanęła blisko dziobu łódki wiosłowej.

– Kto wy?! – krzyknęła.

– Przyplłynęliśmy z północy! Mamy gospodarstwo! Napadli na nas Skrælingowie! – Wskazałem na południe. – Moją kobietę, Sigrid, i naszego syna... I małą Skrælinkę także... Uprawdzili ich!

Człowiek, który wiosłował, powiedział coś do mężczyzny na rufie, a ten uniósł łuk i nałożył strzałę na cięciwę.

– Sami wyglądacie jak Skrælingowie! – zawołała kobieta. – Dlaczego jesteście tak ubrani?!

Całkiem zapomniałem, że przed wyprawą obcięliśmy brody przy skórze i włożyliśmy ubrania Skrælingów. Pewnie dlatego do nas strzelali.

– Płyniemy w stronę Patuxetu – wtrącił Eystein. – Napastnicy są stamtąd. Mamy nadzieję...

– Gdzie reszta waszej załogi?

– Nie wiem – odparłem. – Nie widzieliśmy ich od... trzech dni, jak sędzę. Rozpętał się sztorm, musieliśmy zejść na ląd i...

– Jest tu wioska – dodał Eystein. – Kawalek drogi w głąb lądu. Mieliśmy

Skrælingów jako załogę. Przypuszczamy, że udali się do wioski.

Kobieta skinęła głową wiosłarzowi, który ponownie zaczął wiosłować. Łódka stuknęła o szkiery tuż przed nami, a kobieta rzuciła mi linę i przekroczywszy burzę, weszła na ląd. Jak na kobietę miała szerokie ramiona, płaskie piersi i niespotykane wąskie biodra, a gdyby ktoś chciał ją obmówić, mógłby rzec, że ma ciało młodego chłopaka. Jej twarz była wąska i kanciasta, oczy były duże i intensywnie błękitne, a jasne włosy splecione w dwa grube warkocze. Miała na sobie wełniane spodnie i tunikę z koziej skóry. Odzienie uszyto najprawdopodobniej specjalnie dla niej, bo na nią pasowało, nie było też podarte czy brudne. Nosiła pas z foczej skóry, szeroki na dwa palce, wisiał u niego saks w skórzanej pochwie. Wiem, że wiele złego mówi się o kobiecie, która właśnie tego ranka zeszła na wynurzające się z morza przybrzeżne skały; słyszałem, że spała z każdym mężczyzną, który się nawinął; słyszałem, że była z tych kobiet, które uwodzą inne kobiety, ale żadna z tych plotek nie jest prawdziwa. Kobieta, która właśnie przed nami stanęła, odznaczała się stanowczością, jaką widziałem tylko u wojowników i hovdingów. Przez chwilę przyglądałem się jej, a ona nam, tak jakbyśmy wszyscy musieli ustalić, z jakimi ludźmi mamy do czynienia, po czym dotarło do mnie, że jest w niej coś znajomego. Czyżby to była ta sama kobieta, która stała naga z ościeniem w ręku, gdy zbliżaliśmy się do Osiedla Zachodniego?

Jeden z mężczyzn zrobił krok do przodu i ruchem głowy wskazał Winabavego.

– Ten tutaj Skræling jest wasz?

– On jest z nami – odparł Eystein.

Mężczyzna zwrócił się w moim kierunku. Był niewysoki, prawie o głowę niższy od kobiety. Oczy miał wąskie, blisko osadzone, czoło wypukłe, co tworzyło nieco zdeformowaną twarz. Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów i cofnął się do tego drugiego mężczyzny, chudego jak tyczka. Pochylili ku sobie głowy, co zmusiło tyczkę do przygarbienia się, i wtedy zadźwięczało w jego sakiewce. Kobieta nie spuszczała wzroku ze mnie, Eysteina i Winabavego, podczas gdy tamta dwójka szeptała i patrzyła na nas spode łba, po czym konus wskazał na mnie palcem.

– Hej, ty – powiedział. – Zrób parę kroków.

– Że co?

– Zrób parę kroków – powtórzył. – Musimy zobaczyć, jak chodzisz. Idź w kierunku

tamtych drzew, a potem wróć.

Pojałem, o co im chodzi, ale wydało mi się to niesłychane, że ja, który zostałem obwołany hovdingiem dla swoich ludzi, teraz miałem tym obcym udowodniać, kim jestem.

– Możemy się tam przejść, wszyscy razem. – Eystein chwycił moje ramię, chcąc mnie pociągnąć za sobą.

– Ty nie – powiedziała kobieta. – Ten, którego szukamy, nie jest rudobrody. Lecz jeśli jesteś tym, za kogo cię uważamy, mamy również wieści dla ciebie.

Oddaliłem się od nich na kilka kroków, ale tym razem – inaczej niż zazwyczaj przy spotkaniu z obcymi – nie starałem się ukryć, że kuleję.

– Powiedz nam swoje imię! – zażądała kobieta.

– Torstein – odparłem. – Torstein, syn Tormoda. Jestem hovdingiem...

– Wiemy, kim jesteś! – Kobieta uniosła rękę i przywołała mnie ruchem dłoni. Wówczas rękaw jej tuniki się obsunął i dostrzegłem znak na jej przedramieniu. Przypominał wypalone piętno.

Wróciłem, a kobieta, wepchnąwszy dłonie za skórzany pas, przyglądała mi się.

– Więc byłeś hovdingiem Danów. Ale jesteś Norwegiem?

– Jestem z Vingulmorku. – Przytaknąłem ruchem głowy. – Urodziliśmy się tam, ja i mój brat. Jeśli mówiąc Danowie, masz na myśli moją załogę...

– Powiedziano nam, że są Danami. Wojami, jak twierdził ojciec. Jomswikingami, jego zdaniem.

Na te słowa nic nie odpowiedzieliśmy. Nie wszyscy przyjmowali jomswikingów z otwartymi ramionami, a wciąż nie wiedzieliśmy, skąd przyplynęły te statki. Choć nabierałem coraz większej pewności, że stała przed nami rzeczywiście kobieta z Osiedla Zachodniego.

– Mówiłaś, że masz mi przekazać wiadomość – zagadnął Eystein.

Kobieta oderwała wzrok ode mnie i zaczęła przypatrywać się Eysteinowi, podobnie jak przedtem mnie. Przekrzywiła głowę i mierzyła go spojrzeniem. Uderzyło mnie, że patrzy na nas tak, jak mężczyźni przyglądają się zwierzętom, które chcą kupić. Dokładnie oglądała zwierzę, starając się ocenić, czy jest zdrowe i czy nadaje się do pracy, czy raczej do rozplodu lub może do obu tych rzeczy.

– Masz kobietę? – zapytała.

– Tak. – Eystein skinął głową. – Dlaczego pytasz?

– Skrælinkę?

– Tak. Onejun. Dlaczego... Co z nią?

– Twój syn jest chory. Gorączka, jeśli się nie mylę.

– Gorączka?

– Tak. Tak słyszeliśmy.

Eystein zrobił krok w jej stronę.

– Ale... Jaka gorączka? Czy on... Czy to groźne?

– Nie wiemy – odparła kobieta. – Zatrzymaliśmy się na krótko. Przeczytaliśmy runy, które jej daliście. Powiedziała, że pożeglowaliście na południe, by zabić tych, którzy wam spalili gospodarstwo. Prosiła, by ci przekazać, że twój syn choruje.

Eystein chwycił się dłońmi za twarz, ciężko oddychał, potrząsał głową, mamrotał sam do siebie. Kobieta dodała, że to wszystko, co miała przekazać, nic więcej nie wie, a i Onejun nie była w stanie nic więcej powiedzieć. Eystein podszedł do łodzi, chwycił jedną z nich za pokład, mając zamiar zepchnąć ją na wodę, ale nagle siły z niego uszły i zamiast tego znieruchomiał wpatrzony w morze. Nie zwracałem na niego uwagi. Mój wzrok powędrował ku okrętom. Były to knary, mniej więcej takie duże jak ta, którą zbudowaliśmy; ta, którą wypłynął Bjørn. Te miały bardziej zaokrąglone kadłuby, nadburcie było nieco niższe, a wzdłuż linii wody połyskiwały śluzowate wodorosty, które obrastają statek, gdy zapominasz go oskrobywać.

– Pozwólcie mi popłynąć z wami – powiedziałem. – Pomóżcie mi odnaleźć moją kobietę i syna.

– Przyplłynęliśmy po drewno. – Kobieta zahaczyła kciuk o pas z foczej skóry. – Nie chcemy kłopotów ze Skrælingami.

Fakt, że przyplłynęli po drewno, normalnie by mi się nie spodobał, jednak tego ranka nie to zaprzętało moje myśli. W Jomsborgu nauczyłem się myśleć jak wojownik i w tym momencie to wojownik we mnie widział statki na zatoce i ułożył plan, który miał wszystko zmienić dla każdego mieszkańca Północy, który po nas przybędzie do zachodniej krainy.

– Napisałem na runicznym kiju o mieście – powiedziałem. – Patuxet. Oni mają...

srebro. I złoto.

Kobieta spojrzała na mnie.

– Jest tam złoto? Wiesz na pewno?

Uciekłem wzrokiem.

– Pełne skrzynie. Dość, by nappełnić statek. Albo trzy.

Niski człeczyna stanął obok niej.

– Wiatr wrócił. Bierzmy ich na pokład.

Najpierw obaj mężczyźni przewieźli na statek kobietę, a potem wrócili po mnie i Winabavego. Pomyślny wschodni wiatr wiał teraz znad otwartego morza. Eystein został sam na przybrzeżnej skale i podczas gdy załoga tłoczyła się wokół mnie i Skrælinga, zszedł między nasze łodzie. Początkowo sądziłem, że zechce zepchnąć jedną z nich na fale i pożegłować do domu, ale on położył tylko więcej kamieni na pokładach, dociążając je.

– Jestem Frøydis – rzekła kobieta, gdy cała nasza trójka znalazła się na pokładzie. –

Jestem córką Eryka, hovdinga Osiedla Zachodniego. – Potem pewnym krokiem minęła końską studzienkę, stanęła na rufie i z dłońmi na drążku krzyknęła w naszym kierunku:

– Ludzie mego brata mówią, że jesteś skutnikiem! Mógłbyś zatem obejrzyć statki w czasie żeglugi!

Wielu nie może uwierzyć, że Frøydis rzeczywiście stała u steru i prowadziła ludzi niczym hovding. Mówiąc szczerze, nam też trudno było uwierzyć. Eystein początkowo myślał, że sobie z nas żarty stroją, że to jakaś sztuczka, która ma nas wytrącić z równowagi. Rzucił ukradkowe spojrzenia na chłopów u wiosł; żyłaści i grubo ciosani, większość z nagimi torsami, w spodniach z szorstkiej wełnianej tkaniny, bosi. Również Frøydis była bosa. Rozdzielała nas teraz końska studzienka i z pewnej odległości kobieta nie wyglądała aż tak chłopięco. Stała przy stewie rufowej na lekko rozstawionych nogach i wołała głośnym, stanowczym głosem, żeby podnosić kotwicę. Potem podciągnięto reję, naprężono szoty i trzy knary obrały kurs na południe.



16

Potyczka przy lesie modrzewiowym

Wiele złego powiedziano o córce Eryka Rudego, Frøydis Eriksdatter. Ludzie twierdzą, że była chciwa i że zależało jej tylko na wzbogaceniu się. Mówią też, że z nią spałem, hańbiąc w ten sposób własnego brata. Nikt nie miał odwagi drwić ze mnie z tego powodu, nikt nie miał też odwagi zapytać, czy to prawda. Zaufani przyjaciele opowiadali mi o tych pogłoskach, pytając, czy zażądam grzywny za ich rozpowszechnianie. Odpowiadałem tak roztropnie, jak potrafię, że mądrzy ludzie pozwalają plotkom pozostać plotkami.

Już wcześniej słyszałem, że Tjodhild próbowała zlecić zabicie córki, którą Erykowi urodziła niewolnica. Teraz zrozumiałem, że to właśnie ta kobieta. Frøydis podeszła do mnie wieczorem. Wybrzeże zaczęło odchyłać się na zachód. Przed nami było otwarte morze, zatoka, którą planowałem przeciąć naszymi statkami. Patuxetowie zmuszeni byli trzymać się brzegu, ponieważ ich obciążone skórą łodzie nie nadawały się do żeglugi po otwartym morzu. Utrzymując taki kurs, moglibyśmy ich wyprzedzić i zastawić na nich pułapkę.

Nasze trzy knary schroniły się w niewielkiej zatoczce tego wieczora, rzucając tam kotwice. Zatoczka była dobrze osłonięta, a teraz wiatr znowu zelżał. Po kilku mężczyzn z każdego statku zeszło do lekkiej łodzi i powiosłowało z beczkami do brzegu, żeby napełnić je wodą.

Frøydis i ja stanęliśmy przy nadburciu. Ja rozglądałem się po morzu, a Frøydis opowiadała o chorym ojcu w Osiedlu Zachodnim i o Tjodhild, która szczerze jej nienawidzi. Podciągnęła rękaw, pokazała mi piętno, które Tjodhild wypaliła jej rozżarzoną żelazem, i powiedziała, że to runa Eryka. Jednak to, że przez całe życie była własnością ojca, stanowiło też ochronę. Niestety teraz, kiedy ojciec leżał chory i bez sił, stała się na Grenlandii osobą wyjętą spod prawa. Miała dużo szczęścia, że pewien możnowładca przepływał obok, szukając ludzi na wyprawę do Winlandii.

Gdy zapytałem, czy ma na myśli Torfinna Karlsevnego, początkowo nie odpowiedziała. Stała tylko, patrząc na północ, na osłaniający nas od morza kamienisty cypel i na wieczorne niebo. Potem rozpuściła warkocze, pozwalając długim jasnym włosom opaść na plecy, co uczyniło ją o wiele bardziej kobiecą.

– Tak, to Karlsevne. Będziemy ścinać drzewa i budować statki. Torfinn będzie sprzedawać je na Islandii, może też gdzieś dalej na wschodzie. Mówi, że staniemy się bogatsi od królów.

Bardzo mi się nie spodobało to, co usłyszałem. Nie tylko dlatego, że sam miałem takie plany; to przecież jednego z ludzi Torfinna Karlsevnego zabiłem na Islandii.

– Te knary dostałam od ojca – powiedziała. – Prosił mnie, żebym zajmowała ziemię w jego imieniu. Podobno rosną tu modrzewie. Strzeliste modrzewie. Można z nich budować wytrzymałe statki. Ale sam chyba o tym wiesz, skoro jesteś skutnikiem.

Nic nie odpowiedziałem. Najchętniej zapytałbym ją, co słyszała o zabójstwie na Islandii i czy mówiono, kto go dokonał. Ale wtedy podszedł do nas Eystein.

– Wracają – powiedział, wskazując na mężczyzn płynących z powrotem z beczkami. – Jeśli pozwolisz, chciałbym pożyczyć łódkę i pochodnię. Jest bezwietrzny wieczór. Podpłynąłbym do szkierów, poświecił tam i poszukał krabów.

Frøydis spojrzała na niego i skinęła głową.

Eystein opływał szkiery, świecąc pochodnią, a ja i Frøydis staliśmy przy nadburciu.

Frøydis nadal mówiła o Torfinnie Karlsevne, jaki jest utalentowany i wspaniały pod każdym względem. Pochodził z Islandii, ze wsi zwanej Reinistad. Tam zaczynał w skromnych warunkach, a wzbogacił się na handlu i na czymś, co Frøydis określała mianem „sztuczki”. Wykupywał niewolników z okolicznych gospodarstw oraz ze statków handlowych, jeśli jakichś znalazł. Tym wyzwoleńcom dawał kawał ugoru i konia, żeby tę ziemię oczyścili, zaorali i obsiali. Potem wyzwoleńcy oddawali mu część swoich plonów, aż dług, czyli suma, za którą ich wykupił, został spłacony. Nadal jednak musieli płacić daninę od podarowanej ziemi i nie mogli się już od tego nigdy wymigać.

Frøydis była trudną do rozgryzienia kobietą. W tym, co mówiła, często wyczuwałem coś dwuznacznego. Raczej nie mogła być zachwycona faktem, że Torfinn zadłużał wyzwolonych niewolników, sama była przecież córką niewolnicy, jednak nie mogłem odgadnąć, co właściwie sądzi na ten temat. Powiedziała, że wydano ją za mężczyznę imieniem Torvar, jak ten, który nas odumarł. Torvar był synem dobrego przyjaciela ojca, Einara znad Einarsfiordu, ale o swoim mężu mówiła tylko, że jest „zbyt słaby”, a ja nie za bardzo rozumiałem, co ma na myśli. Zapytałem, czy widziała gdzieś Bjørna i innych mężczyzn, którzy popłynęli razem z nim, albo może knarę bardzo podobną do jej własnej, lecz Frøydis nigdzie nie widziała takiej knary, a na morzu żadnego żagla.

Ktoś, kto posiada własny statek, źle znosi bycie członkiem załogi na statku kogoś innego. Ludzie pytali mnie, czy nie było dziwnie płynąć statkiem prowadzonym przez kobietę, ale nie przypominam sobie, żeby to mnie szczególnie dręczyło. O wiele bardziej dręczył mnie widok kotwicznej liny w świetle umieszczonej na rufie pochodni i świadomość, że gdybym to ja wydawał rozkazy na knarze, płynęlibyśmy nocą, jeszcze bardziej zmniejszając dystans dzielący nas od Patuxetów. Poprosiłem Frøydis o podniesienie kotwicy, poszedłem nawet na rufę i położyłem rękę na drążku steru, ale ona tylko pokręciła głową, mówiąc, że nie będzie prowadzić statku nocą wzdłuż nieznanego wybrzeża. Od dziecka każdego lata pływała z ojcem na północ na połów morsów, a ten nauczył ją, że niecierpliwy żeglarz z reguły kończy jako martwy żeglarz.

Dużo się dowiedziałem o Frøydis tego wieczora. Opowiadała o matce, niewolnicy, którą Eryk przywiózł z Islandii. Eryk wyzwolił ją i z opowieści Frøydis zrozumiałem, że stary wódz próbował mieć ją za żonę w Osiedlu Zachodnim, a Tjodhild miała rządzić w Brattli. Jednak krótko po tym, jak wprowadziła się do domu Eryka, znalezioną ją utopioną na brzegu; Frøydis nie miała najmniejszych wątpliwości, że to była sprawka Tjodhild.

– Złożyłam ofiary Tyrowi – powiedziała. – Poprosiłam go o sprawiedliwość. Chcę się zemścić i ją zabić.

Później tego wieczora Frøydis zapytała, czy mógłbym zejść pod pokład i obejrzeć poszycie, co uczyniłem. Szczerom lądowym może być trudno zrozumieć, dlaczego zawsze uważaliśmy, że dobrze jest mieć duży statek, ale gdybyście zeszli ze mną pod pokład tego wieczora, zrozumielibyście. Ponieważ knary Eryka były mniejsze od knary podarowanej mi przez Widłobrodego, pod pokładem było o wiele ciasniej. Odległość od dziobu do rufy była mniejsza, łódź o wiele węższa i nie mogłem się tam wyprostować. Chodziłem przygarbiony między beczkami, wiązkami suszonych ryb, śpiącymi mężczyznami i zjełczałymi baranicami. Wisiały tu klatki z kurami, a w końskiej studziencie w pokładzie stały przywiązane sznurami trzy kozy. Stare knary Eryka były dobrze zakonserwowane, ale trzeba powiedzieć, że strasznie cuchnęły. Wyjaśnienie jest takie, że Grenlandczycy mieli tylko tyle paku, ile mogli uzyskać w drodze handlu wymiennego, a kupcy kazali sobie za niego słono płacić. Statki konserwowano mieszanką oleju z tłuszczu wielorybiego i foczego gotowanego i mieszanego z popiołem, więc smród pod pokładem był straszny, miało się niemal wrażenie przebywania w brzuchu olbrzymiego wieloryba.

Przesunąłem ręką po klepkach poszycia i miejscach połączeń między nimi. Na dole przy stępce było dużo wody, co mnie nie zaskoczyło, bo słyszałem, że olej używany przez Grenlandczyków nie uszczelnia tak dobrze jak pak. Wręgi w zwyczajowy sposób przymocowano do stępki fiszbinami wieloryba, a spodnią stronę pokładu pokryto foczymi skórąmi. Końska studzienka była wąska i krótka, koń nie mógł chyba się w niej obrócić. Wokół leżeli śpiący mężczyźni, kilku głośno chrapało. Nagle uświadomiłem sobie, że na pokładzie są ludzie, którzy znali człowieka zabitego przeze mnie na Islandii. Niemal poczułem, jak ktoś tam w półmroku wyciąga z pochwy nóż.

Obróciłem się, gotowy do obrony, ale nikogo nie zauważyłem.

Tej nocy spałem na pokładzie. Najpierw siedziałem, mając nadzieję, że Eystein wróci z połowu krabów; nie mogłem zrozumieć, dlaczego nagle przyszła mu ochota na takie zajęcie, ale wreszcie zmorzył mnie sen. Przespałem twardo całą noc, a kiedy się ocknąłem, zobaczyłem, że ktoś okrył mnie kocem. Szarzało. Winabave stał koło nadburcia tuż przy moich stopach, rozglądając się.

– Eystein – powiedział. – *Kaska desin...* Nie ma go.

Stałem na nogi. Na pokładzie nie było Eysteina. Nie dostrzegłem go też na lądzie ani na morzu. Podszedłem do końskiej studzienki.

– Eystein, jesteś tam?

– Twój przyjaciel nas opuścił – usłyszałem głos Frøydis. Już nie spała, stała na rufie przy wiosle sterowym. – Zabrał łódkę.

Zakląłem na Hel. Potrzebowałem Eysteina przy sobie.

– Nie przyzywaj córki Lokego – powiedziała Frøydis. – Jesteś przecież ojcem. Co byś zrobił, usłyszawszy, że twój syn jest chory?

Jeden z członków załogi wyszedł na pokład z głębi statku, zsunął spodnie i usiadł, wystawiając tyłek za burtę. Frøydis odwróciła się, zatrzymując wzrok na łagodnych falach napływających z otwartego morza.

Znaki, które moja ręka zapisuje na cielej skórce, głoszą, że poprzedniego wieczora kupiłem łódkę ze statku Frøydis i poprosiłem Eysteina, żeby popłynął do Onejun i chorego dziecka. Każdego, kto stał tutaj w halli, pytając, czy on opuścił mnie tam w południowej Winlandii, nazywałem kłamcą. Nie chciałem, żeby przyszłe pokolenia zapamiętały Eysteina jako nikczemnika. Ale tamtego ranka byłem zrozpaczony, a świadomość, że straciłem wszystkich, którzy przepłynęli ze mną morze, mocno mnie przytłaczała.

Popłynęliśmy dalej tego ranka i wkrótce mieliśmy południowy kraniec Krainy Świtu po prawej stronie. Gdybyśmy teraz popłynęli prosto przez zatokę koło Krainy Świtu i dalej w stronę stałego lądu, znaleźlibyśmy się na obszarze granicznym między dwoma potężnymi plemionami, o czym Winabave jeszcze nic nie wspominał. Może

myślał, że jakbyśmy wiedzieli, co nas czeka na południu, Frøydis i jej ludzie zawróciłiby. Winabave mnóstwa rzeczy jeszcze nie wiedział o moim ludzie, a ja mu później wyjaśniłem to następująco: My, mieszkańcy Północy, jesteśmy jak kamień w strumieniu. Sami jesteśmy nieporuszeni, choć wokół nas powstają prądy i zawirowania. Ustaw nas wystarczająco wielu obok siebie, a zmusimy strumień do zmiany biegu. Natomiast Skrælingowie są bardziej jak trzciny. Uginają się pod wpływem silnego prądu, ale rosną szybko i wysoko, kiedy woda płynie spokojnie. Taka jest między nami różnica. I chociaż odczuwamy strach jak wszyscy inni ludzie, mógłbyś przede mną postawić wszystkich wrogów i najlepszych wojów Olafa i Ethelreda, a nawet wszystkich bez wyjątku Franków zdolnych do posługiwania się bronią, a ja i tak bym się na nich rzucił, jeśli mogłoby to uratować Sigrid i Ravntora, a teraz jeszcze dziecko w brzuchu Sigrid. Mężczyzna nie powinien obawiać się śmierci, mówił ojciec mnie i Bjørnowi. Przerzącać go powinna myśl o życiu w hańbie i niesławie. Co to by było za życie, gdybym odwrócił się plecami od własnej kobiety i syna? Wolałbym raczej męczyć się aż po Ragnarok w najgłębszych hallach bogini Hel.

Pisano, że Torfinn Karlsevne popłynął do Winlandii czterema knarami, i prawdą jest, że dysponował tylko tymi czterema, których sam był właścicielem. Ale rozmawiał z mieszkańcami Islandii i Grenlandii, a że miał dar przekonywania, ludzie tacy jak Frøydis ładowali statki zapasami jedzenia, beczkami z wodą, owcami i kurami i wypływali razem z nim. Wielu było takich, którzy już spoglądali na zachód, zastanawiając się, czy znajdą tam lepsze życie. To niezwykle oczywiście, że kobieta, opuściwszy męża, sama poprowadziła statki na zachód, ale Frøydis była przecież kimś szczególnym. Mężczyźni na pokładzie tych trzech statków byli przeważnie krewniakami i przyjaciółmi jej ojca, a skusiły ich słowa Torfinna o bogactwie i wolności. Tak jak w młodości Eryk popłynął na Islandię i zabrał stamtąd ludzi, Torfinn robił to samo na Islandii i na Grenlandii. Na pokładzie miał już ze sobą ludzi, niektórzy towarzyszyli mu aż z Norwegii, bo pogłoski o bogactwach na zachodzie, o drewnie do budowy domów i statków, o ziemi ponoć gotowej do zaorania, rozprzestrzeniły się po wszystkich nordyckich królestwach. Wiem, że Sven Widłobrody dawał ludziom chcącym popłynąć na zachód zapasy i obietnicę

posiadania własnej ziemi, o ile tylko zajmowali ją w jego imieniu. Pod tym względem sam nie byłem wyjątkiem oprócz faktu, że dostałem również statek. Jarl Eirik w Trøndelagu też chętnie posyłał ludzi na zachód, żeby zajmowali ziemię w imieniu jego i brata, bo chociaż po bitwie pod Svolder był najbliższym sprzymierzeńcem Svena, byli też rywalami, a przymierze między nimi, jak to zwykle bywa z możnowładcami, było kruche. Jednak zapanować nad lądem Skrælingów nie udało się ani Svenowi, ani Eirikowi, ponieważ nawet tak potężni władcy jak oni nie mogli panować nad odległymi obszarami. A cokolwiek by mi tacy hovdingowie obiecali, zostało w pewien sposób zmyte podczas przeprawy i wkrótce miało się poczucie, jakby królowie i kraje na wschodzie należały do innego świata i innego życia. Sven Widłobrody dał mi pierścień ze swoim znakiem, ale zaginął on podczas pożaru i prawdę mówiąc, rzadko pamiętałem, że kiedyś byłem jego właścicielem.

Żeglowaliśmy trzy dni i trzy noce, zanim znowu zobaczyliśmy ląd. Po prawej stronie mieliśmy teraz bujny las liściasty, była też rzeka, do której Frøydis wprowadziła statki. Rzucono kotwice i najpierw trzech mężczyzn weszło między klony, szukając śladów i węsząc za Skrælingami i wszystkim innym, co mogło nam zagrażać, a potem reszta ludzi została przeprowiona na ląd. Zaledwie garstka pozostała na statkach. Winabave i ja też popłynęliśmy na ląd. Skræling mamrotał, pokazując na drzewa i paprocie, które wyrosły tu bardzo wysokie. Może mówił coś o pogodzie, bo wiatr zaszumiał w koronach drzew i zaraz potem zaczęło padać. Ludzie Frøydis ustrzelili jelenia w lesie liściastym, kilka rzutów kamieniem od plaży. Pod pokładem jednej z knar mieli słupek ofiarny i znieśli go teraz na ląd. Winabave musiał się dziwować niezwykłym zwyczajom moich pobratymców, pewnie też porządnie go przeraziły. Słupek zaczynał się grubo wyciosaną głową mężczyzny z brodą i młotem, stykającymi się ze sobą, tak jakby młot wyrastał z brody. Było też olbrzymie, stykające się z młotem przyrodzenie, jakie najczęściej widzi się na słupach Freja, ale tutaj to Thor został w nie wyposażony. Ludzie Frøydis oblali słupek krwią i chwytając się za krocze, wykrzykiwali coś o sile i mocy Thora. Pewien siwobrody i brzuchaty mężczyzna na pokładzie jednego ze statków, Ulle Dan, chyba od dawna przyjaźnił się z Torfinnem Karlsevnm. Dziwny nosił zresztą przydomek, bo wcale nie był Danem. Przemawiał

do ludzi nad brzegiem morza, twierdząc, że jeleni jest symbolem szczęścia. Zarówno Wanowie, jak i Asowie chcą, żeby przedsięwzięcie nam się powiodło, znajdziemy tu strzeliste modrzewie, niewolników i złoto. To ostatnie powiedział, wyciągając do mnie rękę, a ja kiwnąłem głową, potwierdzając, że zrabujemy Patuxetom złoto, to mogę im obiecać. Wtedy Ulle Dan, kładąc rękę na przyrodzeniu Thora, dodał, że weźmiemy złoto i niewolników, których sprzedamy za dobrą cenę na wschodzie, bo nikt tam przedtem takich nie widział. A jeśli niektóre z ich kobiet okażą się piękne, a nie małe i brzydkie jak te na północy u Eryka Rudego, zostaną żonami albo nałożnicami i urodzą mężowi, który sobie tego zażyczy, synów i córki. Ja też mogę wziąć taką kobietę, powiedział. O ile nie znajdziemy tej, której szukam, albo jeśli ją tak zhańbiono, że nie będę chciał jej z powrotem, mogę sobie wziąć taką dziewczynę. Żaden mężczyzna niczego by mi nie zarzucił, gdybym tak postąpił.

Nigdy nie lubiłem Ullego Dana. Był głupim i nieokrzesanym mężczyzną.

Pozeglowaliśmy dalej wzdłuż wybrzeża. Najchętniej posłałbym też statek na północ, na wypadek gdyby Patuxetowie płynęli za nami. To wydawało mi się najbardziej prawdopodobne i uważałem, że należy się zacząć i czekać. Jednak Frøydis nie chciała o tym słyszeć. Stała przy wiosle sterowym, pewnie kierując statkiem, i zapytała, czy „mój Skræling” poznaje miejsce, w którym jesteśmy. Winabave nic jednak nie mówił, a kiedy zapytałem go o to, jego zniekształcona twarz zachowała kamienny wyraz.

Za drugim razem, kiedy zeszliśmy na ląd, byliśmy oddaleni od miejsca pierwszego postoju o jakąś dobę żeglugi. Ulle Dan stwierdził, że widzi na lądzie modrzewie, więc Frøydis skierowała knarę do płytkiej zatoki i rzucono tam kotwice. Zrobiło się późno, a wiatr na tyle osłabł, że wkrótce należałoby zasiąść do wiosła. Mężczyźni cieszyli się chyba, że tego unikną, bo wielu zrzuciło ubrania, wyskoczyło za burtę i popłynęło do lądu, jakby obawiając się, że Frøydis zmieni zdanie i będzie chciała kontynuować żeglugę. Sam nie popłynąłem na ląd. Stałem przy nadburciu, dostrzegłem stamtąd płynący wśród modrzewi strumień. Bliżej nas leżała trawiasta łąka usiana żółtymi kwiatami; pamiętam, że było to niezwykle piękne miejsce. Mężczyźni ze statków dotarli wkrótce na ląd i jak nagie, owłosione bestie szli przez łąkę. Wreszcie znaleźli

strumień i legli przy nim, żeby się napić, z tyłkami w górze i brodami oraz włosami zanurzonymi w strumieniu.

Pozostaliśmy na pokładzie, natomiast mężczyźni dotarli już do lasu. Po dobrej chwili wrócili i popłynęli z powrotem na statki. Ulle Dan potwierdził, że widzieli wiele modrzewi. Obliczył, że w tutejszym lesie na pięć drzew liściastych przypada jeden modrzew o prostym pniu. Takiego właśnie lasu potrzebowaliśmy. Być może da się budować statki na łące, stwierdził. Jest sucha, nie znaleźli na niej wodorostów ani muszli, co najprawdopodobniej oznacza, że wody przyływu do niej nie docierają.

Bratanek Ullego Dana imieniem Einar wziął pierwszą wachtę na statku Frøydis tej nocy, ale kiepsko się nadawał do tego zadania, bo kiedy nagle się ocknąłem, chrapał przy nadburciu. O Skrælingach mówi się, że potrafią poruszać się całkowicie bezszelestnie, ale dotyczy to chyba przede wszystkim sytuacji, kiedy przedzierają się przez las albo wiosłują w obciążonych skórą łodziach, bo obudziło mnie skrzywienie desek pokładu. Tej nocy leżałem na dziobie, bo jak już wspominałem, obawiałem się, że ktoś rozpozna we mnie zabójcę z Islandii, więc nie miałem odwagi położyć się pod pokładem. Frøydis pozwoliła mi okryć się kocem z owczych skór pachnącym smołą i piwem. Winabave leżał obok mnie, bał się mężczyzn na pokładzie, co wkrótce miało się okazać całkowicie uzasadnione. Pamiętam, że była gwieździsta noc, światło księżyca padało na maszt i reję położoną wzdłuż nadburcia na podporach z przywiązany do niej ciasno żaglem. Najpierw myślałem, że to Einar chodzi po pokładzie, lecz wkrótce zobaczyłem kilka postaci. W mroku zamajaczyły linie namalowane na nagich ciałach i kamienna maczuga uniesiona nad śpiącym Islandczykiem.

Rzuciłem się w ich stronę. Potrafiłem wtedy szybko się poruszać, w co trudno uwierzyć ludziom znającym mnie jako starego, kulawego człowieka. Byłem tak szybki, że natychmiast udało mi się wyrwać włócznię z rąk jednego ze Skrælingów. Krzyknąłem głośno, że zostaliśmy zaatakowani, i wymierzyłem jednemu z napastników kopniaka w brzuch; zwinął się i upadł twarzą w końską studzienkę. Teraz dobiegły mnie krzyki z kotwiczących obok statków, Skrælingowie wyli jak opętani, skądś dobiegał krzyk strasznego bólu.

Frøydis i jej ludzie natychmiast wylegli na pokład, rzucając się na Skrælingów. Ja zadawałem pchnięcia i ciosy włócznią i jestem pewien, że tej nocy zabiłem co najmniej dwóch. Potem rozległ się plusk wody, kiedy wyskakiwali za burtę. W świetle księżycy zobaczyliśmy, jak odpływają, wiosłując. Naliczyłem dziesięć czy dwanaście skórzanych łodzi, w każdej było siedmiu lub ośmiu mężczyzn.

Zawołałem do załogi, że musimy wciągnąć do góry reję i wysunąć wiosła. Musimy ruszyć za nimi w pościg, może zaprowadzą nas do Sigrid i Ravntora! Ale Frøydis uznała to za niemądry pomysł, mogli nas wciągnąć w zasadzkę. Według niej powinniśmy zostać tam, gdzie jesteśmy.

Zaraz potem okazało się, że nie wyszliśmy z tej potyczki bez strat w ludziach. Bratanek Ullego Dana nawet nie zdążył się podnieść, kiedy maczuga Skrælinga trafiła go w głowę. Teraz leżał w agonii, Ulle siedział, obejmując go, a stopy chłopaka poruszały się w konwulsjach. Jeden z załogi został pchnięty w gardło, pochodził chyba z Brattli i był krewniakiem Tokego, przyjaciela Leifa Erikssona. Czterech mężczyzn odniosło takie obrażenia, że nie można było zatrzymać krwawienia, więc o wschodzie słońca przytrzymano ich i przypalono im rany.

Winabave nie był specjalnie widoczny podczas ataku, a kiedy zrobiło się jasno, nadal siedział na dziobie. Stopy bratanka Ullego uspokoiły się, Ulle wstał i wbił wściekły wzrok w Winabavego. Potem, wskazując na niego palcem, krzyknął głośno, że to jego wina, że ich tutaj ściągnął. Może czekali w lesie, a kiedy załoga zasnęła, dał im sygnał.

Chwycili Winabavego za ręce i nogi, Ulle Dan zrobił pętlę i założył mu na szyję. Następnie przywiązano koniec liny do rei, mężczyźni podnieśli ją z podpór i zaczęli wciągać do góry, aż Winabave stanął na palcach. Ulle uderzył go kilka razy mocno w brzuch. Rzuciłem się w ich stronę, krzyząc, że musimy go oszczędzić, bo tylko on zna drogę do Patuxetu, ale nie udało mi się wedrzeć między nich. Frøydis stała przy wiosle sterowym, przyglądając się wszystkiemu, z jej ust nie padło choćby jedno słowo.

Wtedy zauważyłem Skrælinga na dnie końskiej studzienki, tego, którego przedtem kopnąłem. Twarz miał zalaną krwią, więc mężczyźni uznali go chyba za martwego. Ale teraz wydawał się dochodzić do siebie, przewrócił się na bok i próbował się

podnieść.

– Ten tutaj żyje! – krzyknąłem. – On żyje!

Mężczyźni mnie nie słyszeli. Podciągnęli fał jeszcze na kilka długości ramienia tak, że Winabave zawisł na linie.

– Potrzebujemy go! – krzyknąłem. – On mówi w ich języku!

Frøydis nie była kobietą pozbawioną rozumu. Chociaż jej ludzie tego ranka pałali żądzą zemsty, zrozumiała, że zabicie Winabavego byłoby błędem.

– Puśćcie go! – zabrzmiał jej rozkaz i nawet nie musiała specjalnie podnosić głosu, mężczyźni natychmiast posłuchali. Opuszczono reję, Winabave upadł na pokład, a ja go podniosłem. Kaszłał, z trudem łapiąc powietrze. Natychmiast pociągnąłem go do studzienki, gdzie Patuxet znowu upadł.

– Zapytaj go, czy mają Sigrid. Zmusz go do mówienia. W ten sposób ocalisz życie!

Winabave powiedział coś do Patuxeta, ale odpowiedzią było tylko zduszone chlipnięcie.

– Kobieta – powiedziałem. – I mój syn... I Hilda, ona jest z plemienia Skrælingów, tak jak ty... – mówiłem do Winabavego, który klęczał, masując sobie szyję. – Przekaż mu, co mówię! Powiedz... Jeśli wie, gdzie oni są, darujemy mu życie. Powiedz mu!

Ile Winabave pojmował z tego, co mówiliśmy, trudno zgadnąć. W każdym razie zrozumiał, że musi przekonać załogę, że nadaje się na tłumacza, więc znowu zagadał do Patuxeta, tym razem ostrzej. Pokazał pięść i wskazał na stryczek. Patuxet jęczał i płakał, a Winabave powtórzył swoje słowa, ale nie otrzymał chyba żadnej odpowiedzi. Patuxet tylko jęczał i zawodził.

Poprosiłem Winabavego, żeby przekazał, że Sigrid ma rude włosy. Pokazałem mu rękami wzrost Ravntora i kazałem powiedzieć, że Hilda jest z plemienia Skrælingów jak oni. Winabave znowu zagadał do Patuxeta, ale ten nadal milczał.

Wtedy wyciągnąłem go z końskiej studzienki. Mężczyźni wokół przyglądali mi się, a ja założyłem mu pętlę na szyję.

– Winabave – powiedziałem. – Przekaż mu, że go powieszę, jeśli nie powie, gdzie jest Sigrid i Ravntor.

Winabave przetłumaczył. Ponieważ Patuxet nadal milczał, napiąłem linę. Ulle Dan podszedł, chcąc mi pomóc go podciągnąć. Winabave krzyknął do Skrælinga; brzmiało

to jak błaganie. I wtedy Patuxet w końcu wyjąkał kilka słów.

Puściliśmy linę. Patuxet upadł na pokład niczym kłoda, a Winabave wygramolił się ze studzienki, przyłożył mu ucho do ust i wolno kiwał głową. Skræling coś mamrotał.

– Patuxet mówi... On widzieć twoja kobieta i dziecko... On... mówi... on słyszeć... gdzie... jest... kobieta i dziecko.

Ulle Dan gwałtownie wystąpił do przodu. Splunął Patuxetowi w twarz, ale najwyraźniej uznał, że to nie wystarczy, bo pochylił się i uderzył go w twarz tak mocno, że tamten przewrócił się na bok i tak pozostał.

– Ci Skrælingowie są pełni gówna i szczyn i łąją jak psy!

Torstein Szkutnik nigdy nie był bohaterem w opowieściach Islandczyków o tym, co wydarzyło się na zachodzie. Podobno kiedy spisane zostały relacje o wyprawach dzieci Eryka, zostałem w nich tylko pobieżnie wspomniany, jakby uważano, że mój ród nie zasługuje na upamiętnienie. Zostałem zapamiętany jako Torstein, skutnik i jomswiking, a w historii o potomkach Eryka napisano, że zabiłem jednego Skrælinga koło jakichś szkierów. Ale nie tak się to wydarzyło. Kiedy Ulle Dan uderzył Patuxeta, cios był tak silny, że ten stracił przytomność. To wywołało we mnie wściekłość, ale Winabavemu udało się go odciągnąć i posadzić plecami do nadburcia. Ten wydał jęk i pozostał tak z otwartymi ustami, a potem się zmoczył.

Przez cały dzień Patuxet pozostawał w tej pozycji. Winabave czuwał przy nim, ale nie udało mu się skłonić go do otwarcia oczu. Pomyślałem, że porządnie dostał w kość i potrzebuje czasu, żeby dojść do siebie, albo też udaje, że nadal jest nieprzytomny.

Frøydis poprowadziła statki dalej na południe. Nie upłynęliśmy daleko tego dnia, bo wiatr wiał nam prosto w oczy i były ostre fale. Frøydis i jej ludzie znaleźli zaciszne miejsce za jakimś cyplem i rzucili tam kotwice. Wieczorem zarówno ja, jak i Winabave musieliśmy zasnąć, bo kiedy się ponownie ocknąłem, świtało. Podniosłem się i wyprostowałem ścierpnięte nogi. Winabave stał przy nadburciu ponuro zapatrzony w morze. Patuxet przewrócił się na bok. Leżał z poderżniętym gardłem w kałuży krwi.



17

Patuxet

W sadze o Svenie Widłobrodym napisano, że wysyłał na zachód przez morze ludzi, którzy zajmowali ziemię w jego imieniu. Przeczytano mi te słowa tutaj w mojej halli. Słowa o moich własnych dokonaniach na zachodzie zostały spisane na cielej skórce, słowa o tym, jak Torstein Szkutnik, poganin i jomswiking, zdobył wielkie bogactwo w Winlandii. Niewiele napisano o tym, dlaczego ruszyłem na południe razem z Frøydis Eriksdatter, ani słowem nie wspomniano o dręczącym mnie koszmarnym strachu, że Patuxetowie zgwałcili Sigríð i zabili Ravntora. Wyobrażałem sobie, jak przykładają jej nóż do brzucha, tną i czerwonymi od krwi palcami grzebią we wnętrznościach, aż znajdują dziecko...

Pamiętam, że stałem oparty rękami o krawędź nadburcia, kiedy spuszczałyśmy Patuxeta za burtę. Przypominam sobie skierowane do mnie słowa Frøydis:

– Leif opowiadał mi o tobie. Mówił, że masz w sobie dzikość. Widział to w twoim spojrzeniu. Twierdził, że tacy jak ty nie poradzą sobie tutaj i że powinieneś ze swoimi ludźmi wracać do domu.

Żeglowaliśmy przez cały ten dzień. Wieczorem nie znaleźliśmy dogodnego miejsca do zejścia na ląd, więc Frøydis zdecydowała, że będziemy kontynuować żeglugę w nocy. Dręczyło mnie, że sam nie mogę stanąć przy wiosle sterowym. Nie wydawałem rozkazów za każdym razem, kiedy trzeba było napiąć albo poluzować szoty, i nie decydowałem o kursie, więc nie mogłem sobie nigdzie znaleźć miejsca. Po potyczce przy lesie modrzewiowym nie potrafiłem spokojnie ułożyć się do snu, przez cały czas zrywałem się na nogi, rozglądając się po morzu, jakbym miał wzrok równie dobry jak wzrok Heimdalla i potrafił przejrzeć ciemność i mgłę.

O świcie następnego dnia wiatr ucichł i zaczęło padać. Mężczyźni zasiedli do wiosła, ja też. Pamiętam, że skrzynia, na której siedziałem, była za niska i już po kilku ruchach wiosłami zabolalo mnie w krzyżu. Ale wiosłowałem i nie narzekałem. Frøydis stała z tyłu przy wiosle sterowym, kierując statkiem równie dobrze jak mężczyzna. Miała na sobie lnianą koszulę, która lepiła się jej do ciała. Chociaż miała niemal płaską pierś, było w niej wystarczająco dużo kobiecości, żeby mężczyźni, siedzący przecież z twarzami zwróconymi do rufy, zaczęli się na nią gapić. Sam przyłapałem się na tym, że zatrzymuję na niej wzrok; nienawidziłem siebie za to, nienawidziłem skrzyni pod moim tyłkiem i deszczu, od którego popękały mi zgrubienia na rękach. Ale oto nagle Winabave krzyknął, stał na dziobie, pokazując coś przed sobą.

– Patuxet!

Chyba oczekiwałem, że zobaczę twierdzę nad wodą, a widziałem jedynie niski cypel wyłaniający się przed nami na południu. Do linii brzegowej na zachodzie był jeszcze dobry kawał.

Winabave zaczął rysować na pokładzie kawałkiem węgla. Wzdłuż linii brzegowej naszkicował całe mnóstwo kółek i kresek, zakładałem, że oznaczały ludzi albo budynki. Wskazywał na nie, patrząc natarczywie na mnie, Frøydis i Ullego Dana.

– Patuxet – powiedział. – Patuxet Winabave urodzić. Patuxet Winabave... zabić.

Czy to ostatnie oznaczało, że w Patuxecie uznano go za zmarłego, czy że go zabiją, jeśli się tam pojawi, nie wiem. Zlazł teraz do końskiej studzienki, gdzie przedtem położył swój toból, i przyniósł kamienny topór, łuk i kołczan ze strzałami. Następnie wskazał na zachód, wypowiadając wiele niezrozumiałych słów, po czym dodał:

– Statki na północ, w głąb rzeki. Statki... – Zakrył ręką oczy. – Statki zniknąć.

Samego miasta Patuxetu jeszcze nie widzieliśmy, Skrælingów też nie było widać, ani na cyplu, ani na morzu. Frøydis wzięła mnie na stronę, pytając, czy naprawdę jest tutaj złoto, czy tylko tak mówiłem, żeby ich skusić. Nigdy nie byłem dobrym kłamcą, ale próbowałem najlepiej jak potrafię powtórzyć, że tutaj w mieście Skrælingów jest złoto, srebro i inne bogactwa. Frøydis odpowiedziała, że nie może kazać członkom załóg, a wielu z nich było krewniakami i przyjaciółmi ojca i Torfinna Karsevneho, walczyć ze Skrælingami bez powodu. Musiało być tutaj coś warte chwycenia za broń. W moich oczach pojawiły się chyba błyskawice, bo Frøydis odsunęła się ode mnie.

– Moja kobieta – powiedziałem. – Mój syn. Moje nienarodzone dziecko. I dziewczynka, na którą wołamy Hilda. To wystarczający powód dla mężczyzny, jeśli nie chce uchodzić za nikczemnika.

Tego dnia ja i Frøydis już nie rozmawialiśmy. Popłynęliśmy na północny zachód z dobrym wiatrem wschodnim w żaglach i wkrótce znowu znaleźliśmy się przy wybrzeżu. W tym kierunku pokazywał Winabave, tuż przed nami było ujście rzeki. Wpłynęliśmy tam, rzucając kotwice. Odciągnął mnie potem na stronę, wyjaśniając najlepiej, jak potrafił, że jeśli przepawimy go łódką wiosłową na ląd, pójdzie zasięgnąć języka.

– Zima – powiedział, palcami czyniąc taki ruch, jakby padał na niego śnieg. Zima, zima, zima, wiele zim. Winabave młody. Teraz... Winabave, może oni... nie poznają. Winabave zapyta... o kobieta. O dziecko. Zapyta... gdzie kobieta i dziecko.

Być może próbował mi tego wieczora powiedzieć, że wiele lat minęło, odkąd opuścił to miejsce i że raczej go nie rozpoznają. Nadal było dla mnie niejasne, co się z nim stało i dlaczego skończył jako niewolnik. Przepawiliśmy go na płyciznę, skąd, brodząc, wszedł na ląd.

– Winabave tutaj... – powiedział, wskazując skałę pod swoimi stopami. – Słońce wstanie... Winabave tutaj. – Potem zatknął kamienny toporek za pas i zniknął między pniami drzew. Ulle Dan zamruczał, że pewnie już Skrælinga nie zobaczymy, to tchórz i mięczak jak oni wszyscy.

Znowu zapadł zmrok. W wietrze tego wieczora wyczuwalny był już jesienny chłód.



Winabave nie wrócił o świcie. Słońce wzeszło, znad morza nadciągnął deszcz. Zostałem na dziobie, raz po raz spoglądając na ląd albo na morze na północ i na wschód od nas. Trudno było odgadnąć, czy Skrælingowie już dotarli do Patuxetu, czy też wyprzedziliśmy ich, przecinając zatokę. Trzema knarami na pewno dalibyśmy radę ich tak wystraszyć, że oddaliby Sigrid i Ravntora, i Hildę też. Ale jeśli już dotarli do swojego miasta, niemądrze było czekać tutaj. O ile dobrze zrozumiałem Winabavego, miasto leżało nad wodą. Gdybyśmy ustawili knary przed bramą prowadzącą do niego i zagrozili Skrælingom splądrowaniem miasta i śmiercią mieszkańców, czy wydaliby nam ich? Trzy knary pełne żądnych grabieży mężczyzn mogły wyrządzić wiele szkód. Patuxetowie prawdopodobnie by to rozumieli. Dowiedziawszy się, że unikną ataku, jeśli wydadzą nam trójkę jeńców, raczej to zrobią. Szaleństwem byłoby cokolwiek innego.

Deszcz padał przez cały dzień. Cały wieczór stałem, obserwując okolicę. Frøydis podeszła do mnie z miseczką gęstej zupy rybnej, ale w ogóle nie miałem apetytu. Teraz znowu dręczyły mnie myśli, co Skrælingowie zrobili z Sigrid i Ravntorem. Takie odczucie zawsze pogarsza się z nastaniem ciemności, kiedy nie można na niczym zatrzymać wzroku. Przeklinałem deszcz ciekący strużkami z lin i kapiący na pokład oraz fale z pluskiem uderzające o kadłuby statków. Przy takiej pogodzie Patuxetowie łatwo mogliby nas wyprzedzić, a my byśmy ich nie zobaczyli ani nie usłyszeli.

O świcie deszcz przestał padać. Spędziłem noc na dziobie, bardzo niewygodnie się tam leżało, nogi mi ścierpły i silnie kulałem na moją chorą nogę. Mgła nisko zalegała nad morzem i lasem w głębi lądu. Zawołałem na Winabavego. Wołałem, ile tchu w piersiach. Ulle Dan i jeszcze jeden mężczyzna wleźli na pokład, opuścili portki, wyłuskali członki spod tunik i wysikali się za burtę.

– Mówiłem przecież – dobiegło mnie od Ullego. – Ten twój Skræling to tchórz i łotr.

Mówią, że młody Torstein Tormodson był drażliwy. Potrafił być wybuchowy

i złośliwy. Rzekomo splunął tego ranka na pokład, chwycił topór, łuk i strzały, a potem rzucił się za burtę do wody. Ale o ile pamiętam, to Frøydis przeprowiła mnie na ląd. Najpierw zatrzymaliśmy się na płyciźnie, a ja ponownie zawołałem na Skrælinga. Ponieważ nadal nie było żadnej odpowiedzi, brodząc, poszedłem na ląd.

Wielu mówi, że to, co zrobiłem tego dnia, było nierozsądne. Dlaczego poszedłem szukać Skrælinga, skoro powinienem raczej pozostać na pokładzie i wypatrywać Skrælingów w skórzanych łodziach? Ale Winabave był jedynym spośród nas, który rozumiał ich język. Był jedynym, który znał Patuxet. W razie ataku jego wiedza mogła zdecydować o zwycięstwie. Mądry człowiek nie atakuje wroga, o którym nic nie wie. Często słyszałem to w Jomsborgu.

Znalazłem ślady tuż za pierwszymi drzewami. Załatwił się za zgniłym pniem klonu, zostawiając po sobie wielką kupę, stamtąd poszedł w głąb lasu. Wołałem na niego, mój głos przedzierał się przez ciszę i mgłę.

Skrælingów trudniej jest wytropić niż innych ludzi. Są lżejsi i dlatego zostawiają płytsze ślady w poszyciu leśnym. Zręczniejsi poruszają się też w lesie niż jakikolwiek znany mi lud, więc oprócz kupy niewiele było śladów po Winabavem. Dostrzegłem złamaną gałązkę w odległości trzech pni, kilka liści klonu oderwało się i leżało na ziemi; świadczyły o tym, że przechodził tędy człowiek. Ale potem trop się urywał. Musiałem przykłęknąć, przyglądając się z bliska poszyciu lasu, jednak nawet wtedy nie dostrzegłem śladów zdradzających, którądy szedł.

Zatrzymałem się. Zaledwie kilka długości człowieka za mną las otwierał się na morze, wiedziałem, że powinienem wracać. Jeśli Winabave rzeczywiście zniknął, nie obwiniałbym go po tym, co załoga próbowała z nim zrobić. Przelazłem przez przewrócony przez wiatr stary pień, był całkowicie pokryty mchem i małymi paprociami. Kiedy znalazłem się po drugiej stronie, coś usłyszałem. Śmiech. Jakby śmiał się młody chłopak. Potem usłyszałem głos dziewczynki. To była mowa Skrælingów. Brzmiała, jakby była przestraszona. Jej głos przypominał głos Hildy.

Złożyłem strzałę na cięciwę i podszedłem bliżej. Szedłem boso, często tak robiliśmy, gdy było ciepło, i może nie skradałem się równie cicho jak Skræling, ale

nie łamałem gałązek i nie potrącałem dużych gałęzi. Wkrótce na polanie dostrzegłem jakieś postacie. Stało tam dwóch chłopców, mogli mieć po dwanaście lub trzynaście lat, każdy miał łuk. Byli ubrani w długie do kolan tuniki z pięknej tkaniny, czerwono-niebieskie linie biegły pod kątem prostym z przodu tunik i na rękawach. Chłopcy stali po obydwu stronach polany, między nimi było jakieś osiem czy dziewięć długości włóczni. Na skraju polany, odwrócona plecami do mnie, stała dziewczynka, której głos usłyszałem. Dwa czarne, długie warkocze opadały na plecy. Wyglądała na starszą od Hildy, może była w tym samym wieku co chłopcy.

Wzdrygnąłem się, kiedy jeden z chłopców posłał nagle strzałę w kierunku drugiego. Tamten zawył i chwycił się za brzuch. Myślałem, że upadnie, ale ten wyprostował się i wybuchnął śmiechem. Potem schylił się i podniósł strzałę z ziemi. Założył na cięciwę i posłał z powrotem w kierunku drugiego chłopca, którego trafiła w udo. Chłopak zawył i też zaczął się śmiać. Dziewczynka zawołała na nich, w jej głosie brzmiała jakaś złość i zachwyt, a kiedy tępa strzała znowu została podniesiona z ziemi, zachichotała wyczekująco.

Ukradkiem oddaliłem się stamtąd. Nieopodal znalazłem pokryte korą zadaszanie. Znajdowało się tam palenisko. Zgarnąłem wierzchnią warstwę, popiół był jeszcze suchy.

Wszedłem na co najmniej trzy lub cztery strzały z łuku w głąb klonowego lasu, tutaj podszyt zanikał. Oprócz drzew rosły trawa i kwiaty. Tak otwarty las widywałem tylko tam, gdzie potężne świerki zasłaniają słońce, ale tu, oprócz klonów, widziałem niewiele innych gatunków. Zacząłem się im przyglądać, żeby zobaczyć, czy są wygięte od morskiej bryzy. Poszycie statku można od biedy zrobić z drewna klonowego, o ile drzewa są wystarczająco proste, a kadłub nie ma być zbyt szeroki. Kora była ciemniejsza, niż kiedykolwiek wcześniej widywałem, i nagle uświadomiłem sobie, dlaczego nie ma tu podszytu. W tym lesie szalał pożar. Przeszedł przez sam środek i pochłonął wszystkie krzewy, wrzos i najniżej rosnące gałęzie klonów, ale potem musiał spaść deszcz, bo taki pożar nie oszczędziłby drzew, gdyby mógł szaleć bez przeszkód.

Przeszedłem jeszcze kilka odległości strzału z łuku między drzewami. Nie widziałem ani nie słyszałem Skrælingów. Próbowałem badać ściółkę, ale trawa rosła

tu gęsto i natychmiast się podnosiła po tym, jak się po niej przeszło. Wkrótce zauważyłem nową polanę, a na niej jakiś kopiec. Najpierw pomyślałem, że to kurhan, lecz kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem, że jest wydłużony i skręca na południe, a potem znowu na północ. Wspiąłem się na niego i znalazłem się mniej więcej w połowie wysokości do koron drzew. Kopiec przypominał kształtem takie wijące się wzory, jakie można zobaczyć na krajkach albo wijącego się węża.

Podnóże tego kopca porastały krzewy z czerwonymi jagodami. Byłem głodny i spragniony, ale nie ważyłem się ich tknąć. Już raczej wolałbym zjeść Skrælinga ze skórą i włosami, niż zatruć się jagodami w nieznanym lesie.

Poszedłem wzdłuż kopca na zachód i może nieostrożnie było tak jawnie poruszać się w terenie, ale wkrótce kopiec się skończył, a ja znowu wszedłem w podszyt, który był pełen dziwnych roślin. W cieniu drzew klonowych po ziemi płożyły się łodygi. Wyrastały z nich jakby strąki. Podniosłem jeden i przełamałem, w środku znajdowały się duże bladozielone ziarna. Były też inne rośliny. Najbardziej przypominały podłużne jabłka, tylko że leżały na ziemi, wyrastając bezpośrednio z innych, o wiele grubszych łodyg. Niektóre rośliny wily się do góry po pniach klonów, ale większość po prostu leżała na ściółce leśnej.

O rzut kamieniem stamtąd las klonowy nagle się kończył. Przede mną, zasłaniając cały widok, rosło coś w rodzaju rzecznych trzcin sięgających dobrze nad moją głowę. Również na nich były jakby strąki czy kłosa, pokryte czymś przypominającym łyko. Zdjąłem je z jednego kłosa i nagle zrozumiałem, że znajduję się na polu uprawnym. W środku zobaczyłem ziarno, gęsto upakowane jak na kłosie jęczmienia, ale ziarnka były o wiele większe. Dziwnie to wyglądało, bo miały różne kolory. Niektóre były czarne, inne niemal niebieskie, jeszcze inne czerwone albo białe. Wyglądało to tak, jakby ktoś obrał kłosa z łyka, pomalował ziarna, a potem znowu je przykrył.

Kiedy tak stałem, przyglądając się temu niby-zbożu Skrælingów, poczułem nagle rękę na ramieniu. Obróciłem się z podniesionym toporem i już miałem zadać cios, ale zobaczyłem, że to Winabave. Zasłonił się rękami i zacisnął powieki, pewnie myślał, że już po nim.

– Nie... zabić – wyjąkał. – Coś... słyszałem. O kobieta. O syn.

Powiedział mi, że był w wiosce niedaleko stąd. Tam słyszał pogłoski o kobiecie

z włosami w kolorze zachodzącego słońca, kobiecie z morza, porwanej na północy. Miała ze sobą dziecko, małego chłopca.

Wróciliśmy na statki. Chciałem wyruszyć natychmiast, ale pewnie nie byłem w stanie logicznie myśleć tego ranka. Nic nie wiedzieliśmy o Patuxecie i zamieszkujących go ludziach. Ilu wojowników napotkamy? Jaką mają obronę? Frøydis chyba nie była wojownikiem, ale tego i owego musiała się nauczyć od ojca, bo pytała o to Winabavego i nie dała za wygraną, dopóki czegoś nie wyjąkał o palisadzie i łucznicach; pokazywał obydwie dłonie, wielokrotnie je zaciskając i otwierając.

Gdybym tego poranka miał ze sobą jomswikingów! Nie wahalibyśmy się tak jak Frøydis. Gadanie Winabavego o palisadzie i łucznicach musiało wystraszyć jej załogi, bo przeprowiono kilku ludzi z pozostałych statków na statek Frøydis, a ona zwołała pod masztem ting. Stałem między mężczyznami tego poranka, po raz kolejny próbując skusić ich złotem i srebrem. Nigdy bym przedtem nie przypuszczał, że zdobędę się na coś takiego: wskazując na Winabavego, powiedziałem, że Skrælingowie może i są niskiego wzrostu, ale na pewno nadają się na niewolników. Jeśli ich zaatakujemy, będziemy mogli porwać tylu, ilu się da, bardzo się przydadzą przy karczowaniu terenu i budowaniu domów na zimę.

Może to słowa o możliwych do uprowadzenia niewolnikach sprawiły, że mężczyźni położyli ręce na maszcie i kiwnęli głowami. Frøydis wróciła do wiosła sterowego. Zawołała głośno, żeby podnieść kotwicę, wciągnąć reję, i spojrzała na południe. Uderzyło mnie wtedy, że w rzeczywistości jest niezwykle piękną kobietą. Bardziej dumnego spojrzenia niż spojrzenie jej oczu, kiedy wiatr pochwycił żagiel, a statek ruszył z miejsca, nie widziałem u żadnego króla czy jarla.

– Torsteinie Tormodsonie – powiedziała. – Stań tutaj przy mnie.

Usłuchałem. Frøydis Eriksdatter była kobietą, której trudno było się sprzeciwić. Ale nie dam powiedzieć o niej złego słowa. Może kusilem złotem, srebrem i niewolnikami, może ona, córka niewolnicy, łaknęła bogactw tak samo jak większość mężczyzn, których spotkałem, lecz była w niej jakaś prawość, którą rzadko się spotyka, zwłaszcza u pięknych kobiet. Odplywaliśmy od lądu i wkrótce złapaliśmy

w żagiel dobry wiatr. Nagle Frøydís położyła swoją dłoń na mojej.

– Odtąd ty sterujesz, Torsteinie. Zauważyłam, że masz na to ochotę.

Dobrze było wreszcie położyć rękę na drążku steru. Płynęliśmy teraz z przodu, zawołałem do załogi, że szoty po lewej stronie należy poluzować, bo żagiel jest zbyt napięty. Spojrzeli na Frøydís, a ona skinęła głową, mówiąc:

– Róbcie, co jomswiking każe.

Płynęliśmy wzdłuż północnej części pól Patuxetów. Jeszcze tego nie wiedziałem, ale las klonowy, przez który wędrowałem tego ranka, nie był jak inne lasy. Patuxetowie pielęgnowali go, kształtując od pokoleń. Drzewa klonowe dawały cień, którego potrzebowały rośliny stanowiące pożywienie mieszkańców miasta, a coroczne wypalanie krzewów i zarośli otwierało las, ułatwiając dużej zwierzynie łownej wchodzenie do niego z dzikiego, nieprzystępnego wnętrza łądu.

Wkrótce znaleźliśmy się między stałym łądem a długim cyplem, który już wcześniej widzieliśmy. Wyrastał w kierunku północnym z półwyspu, dobry kawał na południe od pól Patuxetów, tworząc rozciągniętą zatokę z osłoniętym szlakiem wodnym i bogatymi łowiskami. Mężczyźni czynili przygotowania do walki. Spod pokładu przyniesiono pęczki strzał, włócznie i harpuny, kładąc je w gotowości za nadburciem. Tarcz nie mieli, nie widziałem też kolczug czy toporów bojowych. To byli żeglarze, nie wojownicy. Ale jeśli wystarczająco pożądamy bogactw, pewnie sobie poradzą.

Teraz pojąłem, że Frøydís przekazała mi ster prawdopodobnie po to, żeby trzymać się razem z załogami. Jeślibym wprowadził ich w zasadzkę albo ściągnął na statki inne nieszczęście, odpowiedzialność zrzuciliby na mnie, nie na Frøydís. Mimo to pozwoliłem knarze szybko płynąć z dobrze napiętym żaglem, sam nie okazując zwątpienia ani strachu. Wkrótce płynęliśmy na południe wybrzeża, gdzie łagodne fale uderzały o rozciągnięte piaszczyste łąchy; tutaj oddaliłem statek od łądu, żeby nie wpłynąć na mieliznę. Winabave wstał i mamrotał coś do siebie, kołysząc głową. Wtem podniósł rękę i wskazał przed siebie:

– Patuxet.

Z zatoki nie widzieliśmy palisady. Właściwie nie dotarliśmy do miasta. Chociaż

byłem jeszcze młody, wiedziałem, jak wygląda miasto, bo wędrowałem razem z Halvorem ulicami Jorviku i widziałem tamtejsze targi, stary mur i most nad rzeką. Tutaj nie było ulic ani murów; jedynie długie domy świadczyły o tym, że mieszkają tu ludzie. Trudno jest uwierzyć w to, co opowiadam, ale Skrælingowie w Patuxecie nie mieszkali w chatach z kory jak Epe i Rieczny Lud. Mieli długie domy i były to duże budynki. Stały rozrzucone na równinie leżącej nad zatoką. Nad brzegiem wody stali ludzie, pokazując na nas i coś krzycząc.

– Rzucimy tu kotwicę – powiedziała Frøydis. – Ale nie za blisko. Wiatr wieje w kierunku lądu.

Zrobiono tak, jak kazała. Winabave stanął ze mną przy nadburciu. Wymamrotał, że zaraz przyjdą. Możemy tylko czekać.

Najchętniej wziąłbym ze sobą ludzi Frøydis i powiosłowałbym do brzegu. Toporami i łukami zmusilibyśmy Skrælingów do zdradzenia, gdzie trzymają Sigrid, Ravntora i Hildę. Strachem skłonilibyśmy ich do posłuszeństwa. Ulle Dan podszedł do mnie z kilkoma sztukami ubrania. Frøydis kazała mi zrzucić z siebie łachy Skrælingów. Nie chciała słyszeć, żebyśmy spotkali ten lud ubrani tak samo jak oni.

Dobre ubrania mi znaleźli. Wciągnąłem szerokie u góry wełniane spodnie, podobne do tych, jakie miałem w Jomsborgu, i długą do kolan tunikę z obszytym krajką rozcięciem na głowę i rękawami. Zarzuciłem kaptur okrywający ramiona i opadający na plecy. Wokół talii zapiąłem pas, a potem wsunąłem stopy w rzucone mi przez Ullego buty z krowiej skóry.

– Należą do mojego męża – dobiegło mnie od Frøydis. – Posłał tu na pokład swoje ubrania, całą skrzynię. Ale sam się z nami nie zabrał. Został w domu przy ogniu. Niezbyt odważny jest ten mój mąż.

Nic nie odpowiedziałem. Włożyłem na siebie ubrania, nie interesując się, skąd pochodzą. Wzrok miałem skierowany na ląd i Skrælingów gromadzących się nad wodą. Skądś dobiegł nas dźwięk, jakby ktoś zadął w muszlę.

– Jesteś odważny, Torsteinie?

Nie odpowiedziałem.

– Chyba jesteś. Nie sędzę, żebyś miał jakiś wybór.

Co Frøydis chciała przez to powiedzieć, nie zdążyłem jej zapytać. Bo zauważyliśmy orszak, który wyszedł ze skraju lasu za domami. Szło w nim może dwustu lub trzystu mężczyzn. Wszyscy byli ubrani w czerwono-niebieskie tuniki, mieli wymalowane na czerwono, biało i czarno twarze. Poruszali się w dwóch szeregach, jak maszerujące wojsko. Każdy mężczyzna trzymał w jednej ręce maczugę, a w drugiej włócznię.

Ludzie na plaży zeszli na bok, ustępując im miejsca. Te dwa szeregi przyjęły kształt półkola otwartego na wodę. Jeden z wojowników podszedł do brzegu.

– Sachet – rzekł Winabave. – Ten mężczyzna... sachet w Patuxet.

Ponieważ znajdowaliśmy się w odległości kilku strzałów z łuku od plaży, trudno było usłyszeć, co powiedział. Teraz inny Skræling zawołał coś do nas. Winabave słuchał uważnie, a potem przetłumaczył:

– Sachet chce... My mamy... iść do nich.

– Zapytaj, czy mają Sigrid i Ravntora.

Winabave nabrał powietrza, wykrzyczał kilka słów i natychmiast otrzymał odpowiedź. Mężczyzna nad wodą z wściekłością podniósł włócznię do góry. Coś zamigotało na jego czole, miał chyba na głowie jakiś rodzaj hełmu.

– Sachet mówić... My iść do nich.

– Nie. Zapytaj go jeszcze raz. Zapytaj, czy mają Sigrid i Ravntora.

Winabave poruszył się.

– Sachet powiedział...

Chwyciłem go za ramię.

– Zapytaj go jeszcze raz!

Winabave skinął głową i coś krzyknął do wojownika. Skræling znowu dźgnął powietrze włócznią, a jego słowa musiały wystraszyć Winabavego, bo wbił wzrok w deski pokładu.

Frøydis i Ulle Dan stali obok nas. Frøydis położyła mi dłoń na ramieniu.

– Daj mu spokój. Obiecałeś nam złoto, Torsteinie Tormodsonie. Zbyt wiele go w życiu nie widziałam, ale jak się nie mylę, złoto błyszczący na czole tego typu.

Skræling znów coś do nas krzyknął. Winabave próbował uciec, lecz mocno go przytrzymałem.

– Przetłumacz mi to. Mów, co on gada.

– Sachet mówić... Sachet nigdy przedtem... nie widzieć ludzi morza. Sachet chce... my przyjsć... usiąść z sachet.

Narastała we mnie wściekłość. Musiałem mocno ścisnąć ramię Winabavego, bo skulił się, żałośnie jęcząc.

– Zapytaj jeszcze raz – powiedziałem. – Zapytaj, czy ich mają!

– Winabave już zapytać... zapytał...

– Zapytaj jeszcze raz!

Winabave ponowie coś krzyknął, a Skræling w złotym hełmie znowu dźgnął powietrze włócznią i coś odkrzyknął.

– On mówić... Kiedy sachet mówić, ty... słuchać.

Puściłem Winabavego i zmierzyłem wzrokiem stojących wojowników. Gdybyśmy podpłynęli statkami i zaczęli strzelać ukryci za nadburciem, położylibyśmy trupem większość z nich. Resztę moglibyśmy zarąbać w walce wręcz, o ile by nie uciekli. Mężczyznę w złotym hełmie, którego Winabave nazywał sachetem, moglibyśmy wziąć jako jeńca. Gdybyśmy powiesili go na rei i zmusili do krzyku, Patuxetowie w końcu by zrozumieli, czego od nich chcemy.

– Wydaje mi się, że ich mają – dobiegło mnie od Frøydis. – On chyba próbuje negocjować.

– Musimy zaatakować – powiedziałem. Nie mieliśmy nic do zaoferowania Skrælingom, nic, za co mogliśmy wykupić pojmanych. Ale strachem również można negocjować.

Ulle myślał tak jak ja.

– Zawołaj na załogi, Frøydis. Powiedz, że kto odrąbie głowę temu w złotym hełmie, może zatrzymać hełm.

Frøydis się zastanawiała. Położyła dłonie na nadburciu, przechyliła się do przodu i splunęła do wody, prawie jak mężczyzna.

– Jeśli mamy zaatakować, rzecz musi być tego warta. Mówiłeś o złocie, Torsteinie. Ale musi być go więcej niż na głowie tego Skrælinga. I musi być łatwiej je zdobyć. Jeśli zaatakujemy... Oni są może mali, lecz mają nad nami przewagę liczebną. A jeśli jest ich jeszcze więcej w lesie? Jak sądzisz, co zrobią z twoją kobietą i synem, jeśli od

razu nie uda się nam ich wybić?

Do sacheta podszedł jeden z wojowników z wiklinowym koszem. Sachet zanurzył w nim palce i wyciągnął pęk długich, kręconych włosów. Włosy były rude. To były włosy Sigrid.

Niemal wyskoczyłem za burtę. Ogarnęła mnie gwałtowna wściekłość i straszne przecucie, że w koszu są nie tylko jej włosy, ale i cała głowa.

Sachet znowu coś do nas zawołał.

– Sachet mówić... – Winabave się zawahał, częściowo odwrócił i zaczął dygotać na całym ciele.

– Mów, co on gada! Natychmiast!

– Sachet mówić... człowiek morza... i ja ... pójść z sachet.

– Pójść z nim? Dokąd?

– Patuxet. Człowiek morza... gość.

Puściłem Winabavego. Zrozumiałem. Chcą negocjować. Może knary tak ich wystraszyły, że nie czuli się pewni zwycięstwa, gdyby doszło do walki.

– Powiedz, że najpierw muszą oddać Sigrid i Ravntora. I Hildę.

Winabave pokręcił głową.

– Sachet mówić słowo... Słowo sachet prawo. Nie... sprzeciwić się sachet.

– Powiedz mu to!

Winabave podszedł do nadburcia i zawołał w stronę lądu. Nie mam pojęcia, czy miał wystarczająco dużo odwagi, żeby wykrzyknąć moje warunki, w każdym razie sachet ponownie wpadł we wściekłość. Puścił włosy, pozwalając, żeby wiatr je porwał, zaryczał coś do nas, potrząsając włócznią, a potem zrobił gwałtowny zwrot i ruszył w stronę lasu.

– Sachet mówić, teraz on zabić kobieta – powiedział Winabave. – On mówić, on zabić kobieta i dziecko.

Zawołałem na nich znowu. Poprosiłem Winabavego, żeby przetłumaczył, że mają się zatrzymać, że spełnię ich żądanie, jeśli wypuszczą Sigrid i Ravntora na wolność. Sachet szedł jednak dalej i wkrótce on i jego świta zniknęli w lesie. Spuściłem na wodę łódkę i zszedłem do niej. Frøydis wołała za mną, żebym zaczekał, że zabiją mnie, jeśli popłynę do nich sam. Ale nie usłuchałem. Winabavego zabrałem ze sobą,

pamiętam, że dygotał na całym ciele, kiedy wciągnąłem go do łodzi. Powiosłowałem z całych sił, woda pieniała się na dziobie i wkrótce znalazłem się wśród Skrælingów na plaży. Schodzili mi z drogi, pokazując mnie palcami i krzycząc. Niektórzy potrząsali w moim kierunku ościeniami i kijami. Z Winabavem depczącym mi po piętach pobiegłem tak szybko, jak pozwalała mi na to kulawa noga, na przełaj przez łąkę i między drzewa, gdzie widziałem znikającą świątę. Nie pamiętam strachu, tylko obawę, że nie dobiegnę na czas. Wkrótce znaleźliśmy się o dobry rzut kamieniem w głębi lasu, gdzie otoczyli nas wojownicy.

Zostaliśmy poprowadzeni przez las. Rosły tutaj te same łądygi i zielone podłużne owoce, które widziałem na północy. Winabave szedł obok mnie ze spuszczoną głową, mamrotał do siebie, a kąciki jego ust cały czas drgały. Rozumiałem, że jeśli mam skłonić Patuxetów do oddania Sigrid, Ravntora i Hildy, muszę im dać coś w zamian. Dlatego chciałem, żeby Winabave obiecał im w moim imieniu statek. Frøydis będzie musiała oddać jeden ze swoich, a ja obiecuję jej, że zbuduję nowy, większy i bardziej okazały. Może odmówi, ale była przecież córką niewolnicy i musiała dobrze rozumieć, jaki los spotka Sigrid i Ravntora, jeśli się od nas odwróci.

Wkrótce dotarliśmy do skraju lasu. Stąd zostaliśmy poprowadzeni mocno udeptaną, szeroką na dwóch mężczyzn ścieżką wiodącą na pole uprawne. Kłosa zboża wyrastały dobrze ponad moją głowę, słychać było tylko szelest tysięcy liści. Szliśmy w górę łagodnego wzniesienia, a potem w dół, ale pole zdawało się nie kończyć. Domyślałem się, że Patuxetów musi być więcej, niż sądziłem, bo chociaż kiepski był ze mnie rolnik, rozumiałem, że takie pole może wyżywić setki, jeśli nie tysiące ludzi.

Kawałek dalej świta zatrzymała się w polu. Sachet wykrzyczał rozkaz do wojowników, którzy szybko przyłożyli mi włócznie do piersi i pleców. Stałem tak, a sachet gładził mnie po brodzie i policzkach. Eystein i ja obcieliśmy brodę tuż przy skórze, ale od tego czasu trochę już odrosła, więc sachetowi udało się uchwycić kilka włosów i odciąć kamiennym nożem. Potem odciął mi kosmyk włosów z głowy i ze śmiechem pogładził nim złotą płytkę w ozdobie głowy. Nie był to hełm, chociaż ze statków tak wyglądał. Złota płytka okazała się jedynym metalowym elementem. Reszta ozdoby składała się z muszelek, kłów zwierzęcych i piór, zszytych na kształt

czapki. Z przodu tej czapki znajdowała się złota płytką długości dwóch dłoni i szerokości jednej.

Sachet wskazał na mnie nożem i warknął kilka słów. Winabave, który był tuż za mną, wymamrotał, że mam się rozebrać.

Musieli zobaczyć moją wściekłość, bo teraz ukłuły mnie ostrza włócznie. Sachet powtórzył swoje słowa, więc ściągnąłem tunikę i spodnie, stając nagi. Jeden z wojowników przesunął moje ubranie włócznie w kierunku sacheta, a ten podniósł je, pomacał materiał i zrolował ubranie.

Poszliśmy dalej. Moja nagość nie wróżyła nic dobrego. Niewolników prowadzono nagich na targ, jak bydło. Czy wzięli mnie ze sobą tylko po to, żeby mnie sprzedać? Już miałem rozsunąć gwałtownie włócznie i rzucić się w pole, ale zdawałem sobie sprawę, że mnie dogonią. Poza tym, jeśli rzeczywiście trzymali tu Sigrid i Ravntora, musiałem przedstawić swoją propozycję. Statek w zamian za ich wolność.

Wreszcie dotarliśmy do skraju pola i naszym oczom ukazało się Patuxet. Myślicie może, że było to okazałe miasto, z bramami z czystego złota i wieżami, na których wymalowani wojownicy stali na warcie, ale wcale tak nie było. Palisada przed nami przypominała pod wieloma względami Danevirke. Prosta zapora ustawiona w poprzek równiny. Na tej równinie nie widziałem ludzi ani zwierząt, a nad palisadą nie wznosiła się żadna wieża. Ścieżka, którą przyszlismy, rozchodziła się w trzech kierunkach. Jedna odnoga skręcała w lewo, idąc na przełaj pola uprawnego, druga na prawo. Trzecia prowadziła prosto i kończyła się czymś w rodzaju bramy.

Panowała całkowita cisza. Pamiętam, że wrona przeleciała nisko nad równiną, zatrzepotała skrzydłami, wzbijając się do góry, a potem zaskrzeczała i znowu przeleciała nad polem. To jedyny dźwięk, jaki zapamiętałem. Sachet chwycił zawieszoną u pasa muszlę i zadał w nią dwa razy. Następnie wyszczekał jakiś rozkaz i ruszyliśmy dalej. Za palisadą nadal panowała cisza, ale poczułem zapach dymu z ogniska, gnoju i moczu. Mieszkali tutaj ludzie.

Kiedy podeszliśmy bliżej, dostrzegłem twarze ludzi gapiących się przez szpary w palisadzie. Była wzniesiona z drewnianych pali, ale Skraelingowie raczej nie przejmowali się tym, żeby je wyciosać tak równo, jak robiliśmy to my, ludzie Północy. Pale nie przylegały całkowicie do siebie, w niektórych miejscach szpary były

tak duże, że Skrælingowie mogli precyzyjnie przycisnąć przez nie całą twarz.

Sachet zawołał do ludzi w środku i nagle usłyszeliśmy gwar setek głosów. Podniesiono bramę, wysypała się garstka Skrælingów, a wojownicy pchnęli mnie w plecy ostrzami włóczni. Sachet wskazał na mnie, mówiąc coś do gapiów. Zostałem wyprowadzony przed świtę, sachet przycisnął mi kamienne ostrze do boku. Poczułem ukłucie. Chciał pewnie, żebym krzyczał, ale nie dałem mu tej satysfakcji. Pokazał moje odcięte włosy i brodę, a potem trącił mnie w krocze drugą stroną włóczni. To ostatnie wywołało radosne krzyki kobiet, które chichotały, pokazując mnie palcami.

Winabave został wypchnięty przede mnie. Sachet uderzył go w kark drzewcem włóczni, a Winabave skulił się jak upokorzony pies. Sachet zajął miejsce na czele świty, wyprostowany i dumny, i tak poszliśmy dalej przez bramę do środka.

Kiedy opowiadam swoim gościom tutaj, w halli, co zobaczyłem po przekroczeniu bramy Patuxetu, często nachylają się do siebie, coś szepcząc. Potem zerkają na mnie, starego człowieka na siedzisku wodza, nierzadko z uśmiechem pod wąsem. Chętnie wierzą w to, że w krainie Skrælingów było złoto i srebro, że grabiąc ją, wzbogaciłem się o takie dobra. A kiedy im mówię, że Patuxet było przynajmniej takiej samej wielkości jak wszystkie miasta na północ od Miklagardu... pojawia się uśmiech. *Pozwólcie starym opowiadać bajki o czynach młodości, chociaż wcale nie były takie wspaniałe. Wykręcone gośćcem ramię nie może już zrobić tego, co powinno było zrobić ramię młode.* Tak się mówi. Ale Torstein Szkutnik nie kłamie, opowiadając o Patuxecie. To było ogromne miasto. Mogłeś stanąć przy bramie i przebiec wzrokiem wzdłuż palisady i ledwo, ledwo zobaczyłbyś, jak się zakrzywia, otaczając zabudowania.

Najpierw wprowadzili nas na plac zaledwie o rzut kamieniem oddalony od bramy. Tutaj przyszło jeszcze więcej Patuxetów. Gapili się, pokazując mnie palcami, niektórzy się śmiali. Ktoś trafił mnie kamieniem w ramię. Wtedy sachet coś krzyknął, potrząsając włócznią. Nie wiem, co powiedział, ale więcej kamieni już nie rzucono.

Ponad głowami Skrælingów mogłem spojrzeć między długie domy. To były duże budynki, wiele z tych przylegających do placu nie ustępowało halli jarla. Słupy narożne były ozdobione rzeźbami pomalowanymi na biało, czerwono i czarno. Przedstawiły mężczyzn, zwierzęta i potężne wieloryby. Dachy długich domów

pokrywała kora utrzymywana przez długie gałęzie, które były obciążone kamieniami. Z kalenic wystawały żerdzie z wyrzeźbionymi zwierzęcymi głowami o otwartych paszczach, również one były pomalowane. Między budynkami, a także wokół placu, znajdowało się wiele palenisk, wędziły się nad nimi ryby i płaty mięsa. Widziałem skóry łosi rozpięte na ramach, kramy z koszami wypełnionymi orzechami i jagodami, kramy z czarnymi, lśniącymi kamieniami, z których Skrælingowie wytwarzali groty strzał i noże. Pod wieloma względami Patuxet przypominało mi Jorvik, i gdybym nie był prowadzony nago, z ostrzami włóczni przytkniętymi do pleców, raczej nie czułbym się obco. Były tu kramy handlarzy i biegające dookoła dzieciaki. Na ławkach przy domach siedziała starszyzna, kobiety z koszami i dzbanami z wodą przystawały, przyglądając się nam, kiedy przechodziliśmy. Wzrokiem błądziłem między domami, mając nadzieję, że dostrzegę Sigrid i Ravntora albo Hildę. Wkrótce doszliśmy do czegoś w rodzaju centrum miasta, tutaj sachet wprowadził nas na kolejny plac. Był mniejszy niż poprzednie, bez kramów z towarami i palenisk. Otaczało go sześć budynków. Stały zwrócone ścianą szczytową do nas, zwieńczenia kalenic były pomalowane na biało. Z jednego z budynków wychynęli jakaś starucha i siwowłosy Skræling w długim do ziemi płaszczu. Sachet zagadał do tych dwojga, wskazując na mnie i Winabavego. Mężczyzna w płaszczu zrobił kilka kroków do przodu, powęszył w naszym kierunku i najpierw zmierzył wzrokiem mnie, a potem Winabavego, który stał na wpół schowany za mną ze wzrokiem utkwionym w ziemię. Nagle wystąpił jeszcze krok do przodu, chwycił Winabavego za włosy i gapił mu się w twarz. Drgały mu kąciki oczu. Potem chwycił Winabavego za głowę i przycisnął do ziemi. Winabave kwiknął jak prosiak, który poczuł nóż rzeźnika, wykręcił się z uścisku i pobiegł między dwa budynki, ale tłum rzucił się na niego. Znowu ciśnięto go na ziemię, a mężczyźni i kobiety otoczyli go i zaczęli kopać. Sachet, starucha i siwobrody w płaszczu przyglądali się temu całkowicie obojętnie.

Być może powinienem stać spokojnie, aż by go zatłukli na śmierć, ale nie mogłem tylko się przyglądać. Ostrza włóczni Patuxetów skaleczyły mi skórę, kiedy rzuciłem się na tłum z gołymi pięściami. Dwóch mężczyzn wywróciło się tuż przede mną, kilku innych rzuciło się na mnie z kijami. Zmiotłem ich, niemal jakbym odgarniał rój much. Potem uderzyłem jednym z tych kijów któregoś Skrælinga w czaszkę tak mocno, że

kij się złamał. Innego chwyciłem za włosy, odrzucając w bok. Chwyciłem Winabavego za stopę i pociągnąłem za sobą. Ale wojownicy znów mnie dopadli, włócznie kłuły mnie w plecy i brzuch i wkrótce zmusili mnie, żebym uklęknął. Ręce założyli mi z tyłu na plecy i skrępowali nadgarstki. Następnie poprowadzili mnie i Winabavego do jednego z długich domów. Drzwi zamknięto, na zewnątrz zabrzmiało kilka stłumionych słów. Potem zapadła cisza.

Oprócz światła wpadającego przez otwór w dachu budynku było całkowicie ciemno. Ale było tam palenisko, podłużne zagłębienie pod tym otworem. Rozdmuchałem ogień z kilku żarzących się jeszcze węgli, po czym położyłem się plecami blisko paleniska. Miałem wrażenie, że związali mnie sznurem z łyka, a łyko dobrze się pali. Poparzyłem sobie nadgarstki, ale wkrótce wiązania puściły. Teraz położyłem na żarzące się węgle kilka gałęzi. Przeniosłem Winabavego tam, gdzie padał blask ognia, był bardzo poobijany, z czoła i ust sączyła się krew.

Zostawiłem go leżącego przy ognisku i poświeciłem po budynku jedną z płonących gałęzi. Miałem nadzieję znaleźć coś, z czego da się zrobić broń, jakiś kij albo polano, którego mógłbym użyć jako maczugi. Zrozumiałem, że byłem głupcem, idąc tutaj z nimi. Tylko co innego mogłem zrobić? Gdyby ludzie Frøydis zaatakowali miasto, teraz wszyscy bylibyśmy martwi. Za palisadą musiały przebywać setki mężczyzn zdolnych do posługiwania się bronią.

Nic nie znalazłem oprócz kilku kilimów, skór zwierzęcych i zawiniątek z suszonymi liśćmi i łodygami roślin. Najpierw miałem zamiar zdjąć ze ściany jeden z kilimów i owinąć się nim, ale ukrywanie się w ten sposób wydało mi się żalodne, niemal tchórzliwe, wolałem już być nagi. Winabavego otuliłem jednak skórą zwierzęcą, bo cały dygotał.

– Winabave... kiedyś... miał kobieta – wymamrotał. – Winabave kiedyś... mieszkać w Patuxet. Kobieta... Syn... Zima, dużo zim.

Poobijany Skræling, jękając się, opowiedział historię o młodym mężczyźnie i kobiecie. Zrozumiałem, że wychował się na południu i że pracował w polu od czasu, kiedy był chłopcem. Nie rozumiałem, jak spotkał kobietę, bo Winabave nie mógł znaleźć odpowiednich słów i tę część opowiedział w swoim języku. Ale pojąłem tyle,

że zabrał ją ze sobą i że zamieszkali gdzieś na skraju lasu z uprawami. Urodziło im się dziecko, chłopiec, lecz po dwóch latach napadli ich ludzie, których Winabave nazywał Algonkinami. Kobietę i syna uprowadzili, a Winabavemu zmiażdżyli połowę twarzy kamienną maczugą.

Nie powiedział mi, czy kiedykolwiek udał się za nimi w pościg. Rodzina kobiety uważała, że powinien był lepiej strzec ich córki i zażądali dla niego kary. I został ukarany. Młodego Winabavego pojmano i oddano jako niewolnika Rzecznemu Ludowi w zamian za kilku jeńców. Tak właśnie trafił do Epego.

Zostaliśmy w długim domu aż do zapadnięcia zmroku. Nie miałem więcej gałęzi i ogień wygasł. Wkrótce za drzwiami usłyszeliśmy głosy. Stałem obok Winabavego. Kiedy drzwi otwarto, zacisnąłem pięści, ale nikt się na mnie nie rzucił. Sachet i kilku wojowników weszło do środka, świecąc na nas pochodnią, sachet stuknął mnie swoją włócznią, najwyraźniej nie podobało mu się, że oswobodziłem się z więzów. Jeden z mężczyzn podszedł, próbując zmusić mnie do założenia rąk na plecy. Chwyciłem go za gardło i uderzyłem w twarz łokciem, jak nauczył mnie mój stary mistrz i nauczyciel Ulfar Oracz w Jomsborgu. Skræling padł nieprzytomny u moich stóp i może to wystraszyło pozostałych, bo już nie próbowali mnie skępować, tylko skierowali na mnie ostrza włóczni. Potem podnieśli Winabavego i wyprowadzili nas z budynku. Panowała całkowita ciemność. Niebo nad nami było czarne, zupełnie bez gwiazd.

Poprowadzono nas do domu leżącego bardziej w centrum miasta. Miałem wrażenie, że idziemy na zachód, ale bez gwiazd trudno było się zorientować. Przez otwarte drzwi padała złocista poświata, słyszeliśmy rozmawiających w środku Patuxetów. Sachet zagadał groźnie do Winabavego, na co ten się skulił, a tuż przed wejściem położył się i zwinął w kłębek jak zranione zwierzę. Jednak ludzie sacheta chwycili go za ręce i nogi i wnieśli do środka. Potem włócznie trąciły mnie w plecy, schyliłem się pod wymalowaną na biało framugą i wszedłem do domu.

W środku musiała być co najmniej setka Patuxetów. Siedzieli w kucki pod ścianami, stali między belkami podtrzymującymi dach. Palenisko w tym domu miało długość mniej więcej dwóch mężczyzn; u jego szczytu w półkolu siedziało kilkoro starszych. Gdybyś zapytał mnie, czy to byli mężczyźni, czy kobiety, nie potrafiłbym

odpowiedzieć, bo przypominali pozbawionych zarostu, przykurczonych wettów. Siedzieli opatuleni kocami i skórami zwierzęcymi, a długie, siwe włosy zwisały im na zapadnięte ramiona. Była wśród nich starucha, którą widzieliśmy wcześniej tego dnia, trzymała na kolanach mój duński topór. Pomarszczone ręce położyła na głowicy topora, palce ostrożnie gładziły ostrze, podczas gdy stara mówiła do nas. Winabave podczołgał się do moich stóp i chwycił mnie za rękę.

– Tłumacz – powiedziałem, a Winabave pozostał tak przy mnie jak małe, przestraszone dziecko.

Powiedział, że stara kobieta jest w Patuxecie tym, kim u nas jest hovding. Zapytała, czy to mój topór i jak nazywa się kamień, z którego został zrobiony. Odparłem, że to mój topór i że nie jest z kamienia, tylko z żelaza. Kazałem Winabavemu przetłumaczyć, że dam im wiele takich toporów i tyle zwierząt domowych i statków, ile będą chcieli, jeśli puszczą wolno Sigrid, Ravntora i Hildę. Na to starucha nie odpowiedziała. Potem zapytała, czy ludzie, którzy ze mną przybyli, mają zamiar zaatakować miasto.

– Nikt nie zaatakuje – odrzekłem na to – jeśli pozwolicie mi stąd odejść z moją kobietą, z moim synem i z dziewczynką z plemienia Skrælingów.

Kiedy Winabave przetłumaczył, kobieta podniosła wzrok i spojrzała na mnie. Położyła rękę na brzuchu i wymieniła kilka słów ze starcem siedzącym po jej lewej stronie, a ten wykrzyknął jakiś rozkaz, bo dwóch Patuxetów natychmiast się podniosło i wybiegło przez drzwi. Chciałem przekazać przez Winabavego, że jedną z knar dostaną od razu, możemy im ją zostawić, topór też, ale starucha wskazała na niego zakrzywionym palcem, a sachet odciągnął go ode mnie i rzucił na klepisko. Starucha podniosła głos, przemawiając najwyraźniej do wszystkich zgromadzonych, którzy przybliżyli się, żeby go widzieć. Położyli Winabavego plecami do klepiska, każde ramię i każdą nogę trzymało dwóch wojowników. Następnie sachet ściągnął mu portki i chwycił go za członek. Winabave wiał się, błagając chyba, żeby tego nie robili, bo pewnie rozumiał, co się ma wydarzyć. Starucha zgramoliła się z siedzenia i z przygarbionymi plecami obeszała ognisko. W drobnej dłoni trzymała kamienny nóż.

Winabave strasznie krzyczał, kiedy zaczęła ciąć. Krew trysnęła mu na brzuch i uda. Starucha podniosła jego mosznę w blasku ognia, tak żeby wszyscy zobaczyli.

Powiedziała coś do zgromadzonych, wskazując na Winabavego i spluwając na niego, po czym upuściła mosznę w ogień. Powlokła się z powrotem na swoje miejsce u szczytu paleniska, a jeden z ludzi sacheta wziął płonący kij i przypalił Winabavemu ranę. Winabave głośno zawył, po czym całkowicie opadł z sił i tak pozostał, w milczeniu. Wojownicy podnieśli go na nogi, krew kapłała mu z krocza. Stał, patrząc tępym wzrokiem przed siebie. Starucha wskazała na mnie zakrwawioną ręką, mówiąc coś, a ja wystraszyłem się, że teraz moja kolej. Zwróciła się do Winabavego, domyśliłem się, że chce, żeby przetłumaczył. Ale ten milczał. Jego wzrok padł na mosznę w ogniu. Pod wpływem gorąca skóra skurczyła się, jej krwawa zawartość skwierczała w płomieniach.

Nagle Patuxetowie przy drzwiach zaczęli głośno gadać i hałasować. Obróciłem się i zobaczyłem Sigrid z Ravntorem. Obydwoje byli nadzy, jej długie, kręcone włosy obcięto tuż przy ramionach. Była brudna i wychudzona. Jej wzrok już mnie znalazł. Widziałem, że powiedziała coś do Ravntora, którego trzymała na rękach. Dostrzegł mnie, uśmiechnął się i wyciągnął do mnie rączki. Ale nie miałem odwagi się poruszyć, bo kłuły mnie ostrza włóczni. Sachet chciał, żebym odwrócił się do ognia i do starszyny.

Podprowadzono do mnie Sigrid i Ravntora, a pomarszczona starucha wskazała na mnie i wycharkowała kilka słów. Winabavemu sachet przytknął grot włóczni do gardła i ten przetłumaczył. Starucha pytała, dlaczego myślę, że oddadzą mi kobietę i chłopca, skoro mają teraz nas wszystkich. Nie boją się ludzi morza, wypłyną i pozabijają ich, jak tylko zrobi się widno. Zostanę ukarany, a kobietę i chłopca przyprowadzono, żeby się temu przyglądali, bo są moją najbliższą rodziną.

Zapytałem, za co mam zostać ukarany. Starucha wyszczeła kilka słów, spluwając przed siebie. Teraz wydawała mi się bardziej ohydna niż najdzikszemu wett. To za zabójstwa i uprowadzenia. Za spalone wioski i zgwałcone kobiety. Za całe zło, które ludzie tacy jak ja wyrządzili ludowi Patuxet, ich kobietom, dzieciom, przyjacielom i sprzymierzeńcom.

Poprosiłem Winabavego, żeby jej przekazał, że nie popełniłem żadnej z tych podłości. Ale Winabave ledwo zdążył otworzyć usta, kiedy wypchnęli mnie do przodu, do ognia.

Sigrid się rozplakała, gdy rzucili mnie na kolana. Sachet wziął długi kij z kamieniem wielkości pięści przymocowanym do jednego końca i stanął za mną. Zrozumiałem, że mają mnie zatłuc. Jedno uderzenie w tył głowy, może dwa i będzie po wszystkim. Wśród jomswikingów panowało takie prawo, że jeśli zostaną schwytani i poprowadzeni na egzekucję, mają domagać się patrzenia katu w oczy, kiedy spada topór. Klęczeć w budynku Skrælingów na oczach swojej kobiety i syna i dać sobie rozbić czaszkę jak zwierzęciu, to nie jest śmierć dla jomswikinga. Dlatego rzuciłem się do przodu, wpadając prosto do ognia, nago przewaliłem się przez palenisko na drugą stronę. Można boso przejść po rozżarzonych węglach, trzeba tylko szybko się poruszać, ale ból jest dotkliwy. Chwyciłem płonąca gałąź i uderzyłem nią w głowę jednego ze Skrælingów stojących po drugiej stronie, gdyż ból wywołał u mnie szał berserka. Dwóch powaliłem koło paleniska, dwóch kolejnych uderzyłem tak mocno w twarz, że poczułem, jak łamią się kości i zęby. Walczyłem z nimi jak niedźwiedź i niechybnie spotkałbym śmierć tego wieczora, gdybym nie usłyszał krzyku Sigrid. Zobaczyłem, jak sachet podnosi Ravntora za kostki nóg głową w dół i robi nim zamach w kierunku ognia. Natychmiast się zatrzymałem, a Skrælingowie stłoczyli się wokół mnie, przytykając mi włócznie do ciała.

Położyli mnie na klepisku i skrupowali ręce z tyłu. Sachet upuścił Ravntora przed Sigrid, która natychmiast podniosła go i otarła mu łzy z policzków.

– Bierzcie mnie – powiedziałem. – Ale im dajcie odejść.

Winabave stał, chwiejąc się, lecz wyjąkał kilka słów tłumaczenia. Starzy nachylili się ku sobie i zaczęli rozmawiać. W domu panowało zamieszanie, co nie było takie dziwne, bo wynoszono tych, których powaliłem, a wszyscy pozostali pragnęli chyba zobaczyć, jak sachet rozwała mi czaszkę.

– Moja kobieta spodziewa się dziecka – powiedziałem.

Winabave przetłumaczył, starucha zaczęła się Sigrid natarczywie przyglądać. Zagadała do niej, potem zwróciła się też do mnie. Tym razem Winabave nie przetłumaczył. Zwiesił głowę i w końcu chyba ból go zmógł, bo opadł ciężko na kolana, położył ręce na podolku i tak pozostał. Sachet wyszczeakał kilka słów i zamachnął się maczugą, a potem chwycił Sigrid za kark. W ten sposób ją odwrócił, ale wtedy od staruchy dobiegło jeszcze kilka słów. Sachet unieruchomił Sigrid,

oplatając jej szyję ramieniem, a dwóch wojowników podeszło, wyrywając jej z ramion Ravntora.

Nigdy nie zapomnę krzyku Sigrid, kiedy wyciągali ją z domu. Opierała się, lecz chwycili ją za nogi i wynieśli.

Trzymali mnie tam, aż przestałem słyszeć jej krzyk. Próbowałem utrzymać spojrzenie Ravntora, uśmiechając się do niego najlepiej jak potrafię, mimo to nie udało mi się uspokoić jego płaczu. Nie próbowałem pobiec za matką, stałem, zanosząc się płaczem i trąc piąstkami oczy. Poprosiłem Winabavego, żeby przetłumaczył, że chcę przytulić synka, ale Skræling siedział tylko, kiwając się i dygocząc jak w gorączce.

Zamknięto Winabavego i mnie w domu, w którym uprzednio nas trzymali. Pamiętam, że Skræling szlochał i jęczał. Ja leżałem, nasłuchując głosów i kroków na zewnątrz, jednak głosu mojego syna nie słyszałem.



18

Niedźwiedź Iudojad

Nie pamiętam, jak długo nas tam trzymali. Upłynęła jedna doba, może dwie, zanim weszli do środka i postawili na klepisku naczynie z wodą. Podczołgałem się do niego i napiłem się. Winabave nie ruszał się spod ściany, pod którą skulił się poprzedniego dnia. Przez jakiś czas myślałem, że wykrwawił się na śmierć. Potem zasnąłem, a kiedy się ocknąłem, naczynie z wodą było puste, a Winabave przysunął się do paleniska i leżał tak, gapiąc się na otwór w dachu.

Zapytałem go, czy Patuxetowie mówili, gdzie zaprowadzą Ravntora. I czy poprowadzili Sigrid do statków? Winabave odparł cicho, że o chłopcu nic nie wie, ale o ile sachel zrobił tak, jak kazała mu starszyzna, zaprowadził moją kobietę do statków i puścił ją wolno.

Zacząłem teraz przemyśliwać, jak by tu znowu oswobodzić się z więzów i wydostać z domu. Musiałem znaleźć Ravntora i uciec. Czy knary nadal stały na kotwicach? A może już popłynęły na północ? Gdyby tylko udało mi się uzyskać przewagę jednej nocy, może Ravntor i ja zdołalibyśmy uciec. Wziąłbym go na plecy

i pobiegł na północ wzdłuż wybrzeża. Czy uda mi się ukraść łuk i kilka strzał? Gdyby udało mi zabrać trochę jedzenia, mógłbym iść nawet trzy doby bez snu.

Chyba o świcie drugiego dnia zacząłem przecierać więzy. W palenisku nie było żarzących się węgli, więc ustawiłem się plecami do jednej z belek podtrzymujących dach i tarłem o nią sznurem. Trudno było to robić, nie raniąc sobie skóry, ale nie miałem zamiaru rezygnować i wkrótce ten dotkliwy ból stał się dla mnie jakby dziwnym narkotykiem. Kiedy w końcu stanąłem z rękami przed sobą, skóra była pozdzierana przy kciukach i na nadgarstkach i sączyła się z nich krew. Posłałem rany, bo nie ufałem, że dają nam czystą wodę. Potem posmarowałem rany popiołem, tak jak robili w Jomsborgu. To pozostawiało blizny, ale zatrzymywało krwawienie i oprócz przypalenia było najlepszym sposobem na oczyszczenie rany.

Potem macałem ściany, mając nadzieję, że jest gdzieś szpara albo poluzowana deska, przez którą mogę się wydostać i poszukać Ravntora. Lecz ściany w domach Patuxetów nie przypominają naszych. Składają się z pionowych belek splecionych z leżącymi poziomo gałązkami, dodatkowo obwiązanych łykiem. Powiedziałem Winabavemu, że wyjmę kilka gałązek, żebyśmy mogli się wydostać, ale on poprosił mnie, bym tego zaniechał. Znajdowaliśmy się w domu zwanym przez niego domem duchów i mieli nas tam trzymać, aż starszyzna się dowie, jakim jestem człowiekiem i jakie plany mają moi pobratymcy. W domu tym mieszkał potężny Patuxet, który również tutaj zmarł, opowiadał Skræling. Jego duch nadal tu przebywa. Zaczeka, aż stanę się słaby i bezwolny, i wtedy zajrzy w mój umysł. Potem duch zmarłego nawiedzi sacheta i ten dowie się wszystkiego, co zobaczył zmarły.

Pokręciłem głową nad Winabavem. Wszystkie ludy wierzą w jakieś zabobony. Macałem wzdłuż ścian, dotykałem splecionych gałązek, mając nadzieję, że znajdę kilka takich, które nie zostały tak mocno związane jak pozostałe, ale Winabave powiedział, żebym przestał. Jeśli się wydostanę, strażnicy natychmiast mnie zauważą. Kiedy tylko to powiedział, drzwi się otworzyły i sachet z garstką wojowników wszedł do środka. Natychmiast rzucili się na mnie z długimi kijami. Trafiłem jednego z nich zaciśniętą pięścią, ale wkrótce udało im się rzucić mnie na ziemię. Zostałem dotkliwie obity, jeden z ciosów kijem trafił mnie w tył głowy i musiał spowodować utratę przytomności, bo gdy przyszedłem do siebie, Winabavego nie było, a ja nie leżałem

już na klepisku. Przywiązano mnie do jednej z belek podtrzymujących dach. W palenisku rozniecono ogień, w którego pobliżu leżał jakby długi drewniany flet, ale nie mógł to być flet, bo z żarzącego się węgla na jego końcu unosił się dym. Nie znałem zwyczajów Patuxetów, ale pomyślałem, że ten kij z żarzącym się węglem to element jakichś czarów. Wkrótce przestał dymić, ogień zgasł, a ja znowu znalazłem się w całkowitych ciemnościach. Próbowałem oczywiście oswobodzić się z więzów, w końcu jednak musiałem się poddać.

Miałem sen tej nocy. Stałem przed domem, przesuwając ręką po swojej nagiej piersi i w dół po żebrach. Wystawały przez skórę jak u wynędzniałego zwierzęcia. Kiedy zerknąłem na swoje nogi, były cienkie jak u ptaka. I nagle jakbym się przeistoczył niczym Loke albo Freja, bo unosiłem się pod niebem, spoglądając na morze. Widziałem zarys wybrzeża i zakrzywiający się horyzont, zobaczyłem trzy knary płynące na północ z żaglami napiętymi w zachodnim wietrze.

Może to słowa, które później usłyszałem, wkradły się do wspomnień o moim śnie tej nocy. Bo pamiętam, że widziałem Sigrid stojącą przy wiośle sterowym razem z Frøydis. Była ubrana w brązową koszulę, jej ciało otulał płaszcz z owczej skóry. Twarz była czysta, brud i gnój zostały zmyte, ale skóra wokół oczu pociemniała, jak u kogoś kto płakał i płakał, aż skończyły mu się łzy.

Żadna kobieta nie powinna być zmuszona do opuszczenia własnego dziecka.



Patuxetowie trzymali mnie przywiązanego do belki przez wiele dni i nocy. Sikałem po nogach i załatwiałem się, chociaż niezbyt często, bo nie dostawałem jedzenia. Każdego ranka wchodziła kobieta, dając mi się napić wody z dzbana, którą łapczywie łykałem, wiedząc, że jeśli jej natychmiast nie wypiję, spłuczą mi nią mocz z nóg. Potem drzwi się zamykały i zapadała ciemność.

Może było to dziewięć dni. Może było ich więcej. Sznur, którym mnie związano, był zaczepiony o wystający z belki sęk, więc nie mogłem usiąść, a ponieważ nogi po takim czasie odmówiły mi posłuszeństwa, wisiałem jak Odyn na Yggdrasilu. Tyle że nie widziałem przyszłości. W stanie, w jakim się znalazłem, nie było przyszłości. Był

tylko nieustający ból ramion i nóg i doskwierający w żołądku głód. Ludziom odwiedzającym moją hallę mówię, że trzymałem się dzielnie, byłem czujny i cały czas nasłuchiwałem, czy nie usłyszę głosu swego syna. Ale gdybym nie wiem jak chciał, żeby tak było, prawda jest taka, że miałem trudności z odróżnieniem głosów dobiegających z zewnątrz od ciągle nachodzących mnie wspomnień. Widziałem ojca przy naszej chacie na półwyspie tego dnia, kiedy przyszli Ros i jego ludzie, a potem niewolniczą obręcz założoną mi na szyję. Słyszałem ryk towarzyszy walki i szczęk ich tarcz i toporów. Widziałem młodą Sigrid siedzącą z wrzecionem i śpiewającą razem z siostrą; była wtedy zaledwie dzieckiem. Słyszałem skrzyp wiosła i łopot żagli na wietrze, czułem, jak fale uderzają w poszycie statku. Widziałem swojego brata, dumnego i wyprostowanego przy wiosle sterowym; fale wokół niego były ostre i białe od piany.

Może złamali mnie tam, w długim domu. Pamiętam, że wreszcie zostałem wywleczony na światło i poprowadzony ulicami; że zostałem uderzony w plecy i upadłem, ale mnie podnieśli i wyprowadzili przez bramę na pole. Wkrótce potem znowu musiałem upaść, bo następne, co pamiętam, to szum morza i fale, które mnie podnoszą i opuszczają, raz za razem, rytmicznie jak oddech...

Dopiero pierwszego wieczora, kiedy Skrælingowie zatrzymali się na popas, jako tako doszedłem do siebie. Nie jestem tego pewien, ale chyba wiosłowali pierwszej nocy i prawie cały następny dzień. Wreszcie dobili do jakiejś plaży i wynieśli mnie na brzeg. Pamiętam, że morze wyrzuciło tam kilka długich kłębów wodorostów. Chwyciłem jeden z nich zębami i przeżułem kilka kęsów, z piachem, z solą, ze wszystkim, a Skrælingowie pokazywali mi palcami, natrzęsając się ze mnie. Ci ludzie byli o wiele wyżsi, potężnie zbudowani i mieli proste, czarne włosy równo przycięte nad czołem. Kawałek tkaniny zakrywający im pośladki i krocze zawieszony był na cienkim pasku, do paska mieli przymocowane luźne nogawki. Większość nie miała na sobie koszuli ani tuniki, byli za to wymalowani na czarno, czerwono i biało od pępka w górę. Założyłem, że Patuxetowie dokonali jakiegoś handlu czy wymiany z tymi ludźmi, bo nie byli oni mieszkańcami miasta. Ich mowa nie brzmiała jak mowa Patuxetów, nie przypominali ich też wyglądem.

Zabrali również Winabavego. Pamiętam, że o rzut kamieniem od obozu wśród płaskich skał płynął strumień i kiedy dobiliśmy do lądu wieczorem, Winabave został tam wysłany, żeby napełnił bukłaki Skrælingów wodą. Wszyscy mieli przy sobie bukłaki, wielu z nich nawet dwa i on jak posłuszny niewolnik musiał chodzić i je napełniać, po cztery za każdym razem. To zajęło mu dużo czasu, bo w grupie znajdowało się wielu Skrælingów, naliczyłem ich z sześćdziesięciu. Mieli osiem łodzi i chociaż były obciążone skórą i nie miały masztów ani żagli, były o wiele większe niż skórzane łodzie widywane przedtem dalej na północy. Te miały długość byrdinga, były szerokie na wysokość mężczyzny z podniesionymi do góry rękami i wyposażone w poprzeczne ławeczki. Skrælingowie wiosłowali na stojąco i rzadko widywałem ludzi lepiej wyczuwających morze i fale niż oni.

Napełnienie wszystkich bukłaków wodą zajęło Winabavemu cały wieczór. Potem usiadł przy mnie, podsuwając mi kawałek suszonego mięsa. Natychmiast je zjadłem. Winabave skinął w kierunku Skrælingów i powiedział:

– Człowiek tam... Blizna na ramieniu... Nija się nazywa. Ty nigdy nie patrzeć Nija w... – wskazał na swoje oczy. – Nigdy.

Skrælinga, którego pokazał mi Winabave, łatwo dało się rozpoznać. Był zbudowany najpotężniej ze wszystkich i może nie miał tak grubych ramion jak ja i Bjørn, ale miał bardzo umięśniony tułów, a kark tak pochyły i żyłasty, że głowa jakby zapadała się w ramiona. Był siwowłósy, bruzdy biegnące od nosa w dół po obydwu stronach ust miał głębsze niż jakikolwiek inny mężczyzna. Na zewnątrz prawego ramienia widniała blizna ciągnąca się od dłoni do łokcia, najwyraźniej został tam dawno temu zraniony. Towarzyszył mu młodszy mężczyzna i łatwo było zobaczyć, że to jego syn. Widziałem, jak Nija uderzył go w twarz tego wieczora, kiedy ten obrócił się tyłkiem do ogniska i spuścił powietrze. Skrælingowie zawyli z uciechy, ale Niji się to nie spodobało i wymierzył synowi cios w twarz, aż poszła mu krew z nosa.

Winabave i ja czuwaliśmy przez większość nocy. Skræling łamanym językiem opowiedział mi, jaką decyzję podjęto w domu starszyny w Patuxecie. Według niego wystraszyłem Patuxetów. Starucha miała sen, w którym na ląd przypłynął niedźwiedź

ludojad, zabił wszystkich mężczyzn w mieście, a kobietom rozszarpał łona, tak że już nie były w stanie począć dziecka. Potem niedźwiedź znowu wypłynął w morze. Starucha usiadła w domu duchów, kiedy ja wisiałem tam na sznurze, i weszła w trans. Wtedy zamieszkujący dom duch zmarłego wyszeptał jej, że nie wolno zabijać niedźwiedzia, a jego krwi przelać na terenie Patuxetu, bo jej zapach przywabi więcej podobnych do niego ludzi morza żądnych zabijania i grabieży. Jeńcowi należy darować życie, a potomstwo zabrać mu i ujarzmić. Pojmanego człowieka morza trzeba wysłać gdzieś hen daleko.

Według Winabavego ludzie, którzy teraz prowadzili nas na południe, prawdopodobnie pochodzili aż z Cahokii. Tylko tam są tak wysocy mężczyźni. Przepłynęli w dół Wielkiej Rzeki, która przedziela stały ląd, a potem opłynęli południowy skraj Malda Ou, co Winabave przetłumaczył jako Kraina Krwi. To było bardziej na południe, niż ktokolwiek może dotrzeć, o ile nie podąży wzdłuż wybrzeża na zachód od Wielkiej Rzeki albo nie przepłynie Morza Południowego. Winabave słyszał, że człowiek podobny do mnie mieszkał kiedyś po drugiej stronie Morza Południowego i że był jak król dla ludów mieszkających na południu.

Pamiętam, że Winabave i ja siedzieliśmy w milczeniu, podczas gdy mężczyźni, oprócz dwóch strażników niespuszczających z nas oka, położyli się spać pod kocami. Rozpalili trzy ogniska, które już się dopalały, ale nadal rzucały złocistą poświatę na plażę i mężczyzn leżących dookoła. Widzieliśmy, jak jeden z nich tarmosi swój członek. Leżał tuż przy żarzących się węglach, poświęcając tej czynności pewien czas, aż jego sąsiad obudził się i trącił go łokciem w plecy. Winabave siedział w milczeniu przez dłuższą chwilę, a potem powiedział, że wiele lat temu, tuż po tym jak został posłany jako niewolnik do Rzecznego Ludu, miał przedziwny sen. Stał na jakiejś równinie, a wokół niego zebrali się mężczyźni niepodobni do nikogo, kogo znał, bo mieli na twarzy sięgające prawie do oczu futro, tak jak ja i inni przybysze zza morza. Odezwał się wtedy jakiś głos, ale we śnie nie udało mu się zobaczyć, kto mówi. Jednak słowa brzmiały jasno i wyraźnie; nigdy ich nie zapomni: „To jest Kraina Świtu. Tutaj jesteś wolnym człowiekiem”.

To był dziwny sen, Winabave go nie rozumiał. Sen raz na jakiś czas powracał, a kiedy przybyliśmy my, mężczyźni podobni do tych ze snu, zrozumiał, że musi się

z nami związać i nam towarzyszyć.

Przyjacielu, towarzyszu walki. Często zastanawiałem się, czy już w dniu, w którym po raz pierwszy się spotkaliśmy, zrozumiałeś, że nici naszego życia są splecione. Czy już wtedy wiedziałeś, że Torstein Szkutnik nazwie cię niewolnikiem i w ten sposób podaruje ci wolność?

Winabave i ja zostaliśmy posadzeni każdy w swojej łodzi między skórzanymi tobołami, drewnem na łuki, kłami morsów i czterema kłami narwala, każdy długości dwóch mężczyzn. Człowiek posiadający wcześniej własny statek nie może chyba doznać większego upokorzenia, jak bycie przewożonym na pokładzie skórzanej łodzi Skrælingów jako towar. Winabave powiedział mi, że Nija i jego ludzie wyruszyli z jednego z wielu przyczółków Cahokii wczesną wiosną i grabili osady na zachodzie, a potem opłynęli Krainę Krwi i popłynęli dalej na północ wzdłuż wybrzeża. Obozowali właśnie na południe od Patuxetu przy ujściu tamtejszej rzeki, kiedy minęli ich jacyś rybacy, opowiadając o dwóch niewolnikach, których planowano posłać władcy Cahokii jako dar. Świadczyło to dobitnie o chęci zawarcia pokoju i bliższego związania potężnego ludu Cahokii z ludem Patuxet. Sam Winabave był niewiele wart, bo nie był wojownikiem, a teraz jeszcze został wykastrowany, więc cahokiańczycy nie mogli go użyć do rozmnażania niewolników. Winabave podejrzewał, że Patuxetowie posłali go ze mną jako tłumacza, by powiedział cahokiańczykom, że przybyłem zza morza. A co więcej, byli pewni, że zanim umrę, opowiem cahokiańczykom wszystko, co wiem o krainie, gdzie rodzi się słońce.

Na te ostatnie słowa strach ścisnął mi serce. Zanim umrę? Winabave skinął głową. Kiedy dotrzemy do Cahokii, zostanę złożony w ofierze. Takiej zdobyczy jak ja kapłani kontaktujący się z duchami nigdy nie widzieli, będę rzadkim i hojnym darem, który spodoba się bogom cahokiańczyków. Zaprowadzą mnie na miejsce ofiarne w środku miasta, rozetną mi brzuch, a moją zebraną w naczynka krwią skropią pola uprawne.

Świadomość, że jestem w drodze na własną egzekucję, coś we mnie zmieniła. Zrozumiałem, że do Cahokii jest jeszcze daleko, a zaczynało się już robić jesienno.

Niedługo nastanie zima, lód skuje wodę i cahokiańczycy zmuszeni będą do zejścia na ląd. Ale co, jeśli popłyniemy tak daleko na południe, że zima w ogóle nie przyjdzie? Tu, gdzie się znajdowaliśmy, było o wiele cieplej niż w okolicy Wyspy Reniferów. Czy rzeczywiście możemy dopłynąć tak daleko na południe, że zima nigdy nie nastanie, jak w krainie niebieskich ludzi i w krajach wokół Miklagardu? Zacząłem obserwować cahokiańczyków, każdego z osobna, próbując coś z nich wyczytać. Siwowłosi byli nieco powolniejsi, ale wcale nie ociężali. Nosili się z pewnością siebie, którą widuje się u doświadczonych wojowników. Gdybyś odłamał suchą gałąź przy jednym ognisku i rzucił nią w któregoś przy innym ognisku, zapewne złapałby ją jedną ręką. Nie rzucali się niespokojnie we śnie, wiosłowali, stojąc pewnie i stabilnie na ławeczkach. Tych mężczyzn o wiele trudniej byłoby zabić niż wielu młodzików, bardziej chłopięcych i o drobniejszej budowie.

Winabavemu i mnie pozwolono siedzieć razem wieczorami. Niedaleko od Patuxetu zdjęli mi sznur z nadgarstków, obawiając się pewnie, że w rany wda się zakażenie i umrę. Nie dostawaliśmy z Winabavem wiele jedzenia, więc łąpczywie pochłanialiśmy to, co nam rzucali. Był wśród cahokiańczyków syn kobiety, która została kiedyś uprowadzona z Patuxetu; odnosił się do Winabavego nieco łagodniej niż pozostali i chyba wystarczająco dobrze znał język Patuxetów, żeby się z nim porozumieć. Powiedział mi, że oprócz Niji i jego syna imieniem Nivaya jeszcze czterech mężczyzn pochodzi z samego miasta Cahokia. Pozostali urodzili się w wioskach i osadach w głębi dużego obszaru podległego prawom Cahokii i byli postrzegani jako obywatele drugiej kategorii. Pokazał nam tych czterech obywateli miasta. Mieli trudne do zapamiętania imiona, ale zrobiłem wszystko, żeby je zapamiętać. Byli to: Manou, który zgolił włosy, zostawiając tylko kosmyk na czole; Tikahon, pomarszczony chłop z największymi rękami, jakie kiedykolwiek widziałem u Skrælinga, i dwóch braci, obydwaj z nacięciami na uszach, zwali się chyba Nat-Ai i Nat-Au. Wszyscy nosili się jak hovdingowie pozostałych cahokiańczyków, a wieczorem zawsze leżeli najbliżej ognia.

Cahokiańczycy poświęcili pół dnia na przeniesienie skórzanych łodzi przez odcinek lądu w głębi zatoki i stamtąd powiosłowali dalej wzdłuż wybrzeża. Według

Winabavego ucieczka nie miałaby sensu i zrozumiałem, że jak na razie miał rację. Nie znałem lasów w głębi lądu i raczej nie udałoby mi się ująć z życiem. Niektórzy, słysząc to, spluwają w ogień, nadymają się jak małe koguciki i mówią, że daliby radę Skrælingom, nawet setka nie stanęłaby im na przeszkodzie, gdyby to ich syn był trzymany w niewoli. Ale łatwo jest być odważnym, trzymając stopy przy palenisku Torsteina Szkutnika i racząc się jego piwem. Nie myślcie, że nawet przez moment zapomniałem o synu. Świadomość, że jest u Patuxetów „ujarzmiany” jak dzikie zwierzę, była nie do zniesienia. Jedyna nadzieja w tym, że Bjørn wrócił i popłynął na południe. I nie miało już znaczenia, kto mu towarzyszył. Nawet jeśli byłby to Torfinn Karlsevne i jego ludzie, albo ktoś z Wyspy Leifa, i tak dziękowałbym Wszechojcu. Gdyby zaatakowali Patuxet i spalili ich pola; gdyby zabili wystarczająco wielu Skrælingów, ci tak by się przerazili, że oddaliby Ravntora. Ale słaba to była nadzieja. Może Bjørn już nigdy nie wróci. Może już przebywa w halli bogini Ran.

Zdaniem Winabavego ludy zamieszkujące wybrzeże obawiały się cahokiańczyków. Opowiedział mi o waśniach, o trwającej już trzy pokolenia wojnie. Między Patuxetem i ludami na północy panowało zawieszenie broni, lecz było ono kruche i cały czas naruszane. Cahokiańczycy od samego początku brali udział w grabieżach i uprowadzili tylu niewolników do Wielkiej Rzeki i tamtejszych osad, że nie musieli już sami uprawiać pól. Według niego powinienem się cieszyć, że to Patuxetowie porwali mi syna. Cahokiańczycy złożyliby go w ofierze już przy pierwszej równonocy, żeby zapewnić sobie dobre plony i powodzenie w walce.

Nie pamiętam zbyt wiele z podróży na południe wybrzeża Skrælingów. Królowie i jarlowie ślą do mnie ludzi z prośbą o narysowanie tamtejszej linii brzegowej i osad, bo wszyscy wiedzą, że tam grasowałem, i mają nadzieję się dowiedzieć, gdzie jest złoto do zrabowania. Ale nie pamiętam aż tyle, jak wielu sądzi. Cahokiańczycy skatowali mnie pewnego wieczora, przeleżałem wiele dni w gorączce i z opuchniętymi oczami. W tym czasie popłynęli bardzo daleko na równym prądzie przybrzeżnym. Wiele dni podróży uszło mojej uwadze.

O tym skatowaniu mówię zazwyczaj, że pobili mnie, ponieważ nie spuszczałem

wzroku, kiedy patrzyli mi w oczy. Mówiłem to każdemu mężczyźnie i każdej kobiecie, którzy o to pytali, myśląc, że tak będzie najlepiej. Ale Winabave, umierając, poprosił mnie, żebym opowiedział, jak było naprawdę. „Wam, mieszkańcom Północy, nie przystoi kłamstwo”. Pamiętam to dobrze, to jedna z ostatnich rzeczy, które powiedział, zanim odszedł. Więc opowiem, jak to się wydarzyło. O Skrælingach musicie wiedzieć, że wykastrowanego mężczyzny nie uważają za mężczyznę i że są wśród nich ludzie usuwający mosznę swoim niewolnikom, żeby ich gwałcić, tak jak złoczyńca gwałci kobietę. Oddaliliśmy się od Patuxetu o przynajmniej dwanaście dni drogi, kiedy syn Niji, Nivaya, chwycił Winabavego za włosy i pociągnął na skraj lasu. Był już późny wieczór, wszyscy położyli się spać, ale musieli to słyszeć, bo Winabave jęczał, prosząc zapewne, żeby mu tego oszczędzić; jego rana w kroczu jeszcze dobrze się nie zagoiła. Ale cahokiańczyk uderzył go w twarz i nadal ściągał go z płaskich skał, gdzie rozbiliśmy obóz.

Jak już mówiłem, swoim gościom nigdy o tym nie wspominałem. I prawdę mówiąc, nie wiedziałem, na co się zanosi, kiedy cahokiańczyk tak go wlekł. Myślałem, że chce mu spuścić lanie – niektórzy ludzie po prostu lubią bić innych. Zniknęli obydwaj w jesiennych ciemnościach, aż nagle Winabave przybiegł z powrotem. Był całkowicie nagi, rzucił się do wody i pewnie zacząłby płynąć, gdyby cahokiańczyk go nie dogonił. Wywlekł go na skały, siłą powalił na brzuch, po czym położył się na nim.

Nigdy przedtem czegoś takiego nie widziałem. Winabave wiał się, stawiając opór, ale był o wiele mniejszy od cahokiańczyka i w końcu dał za wygraną. Nivaya stanął nad nim okrakiem i ściągnął opaskę biodrową, w blasku żarzących się węgla zobaczyłem jego wielki, nabrzmiały członek. Potem znowu położył się na Winabavem.

Winabave często mówił, że uratowałem mu tego wieczora życie. Wykastrowanie jest już wystarczająco straszne, a teraz miał jeszcze zostać zgwałcony. Rzuciłem się na cahokiańczyka i za włosy ściągnąłem z Winabavego, a potem uderzyłem go w twarz tak mocno, że padł jak ubite zwierzę.

Cahokiańczycy mogli mnie zabić tego wieczora. Ledwo zdążyłem podnieść wzrok, a już się rzucili na mnie. Pobili mnie tak, że szybko straciłem przytomność. Winabave

mówił mi później, że nadal bili mnie i kopali, aż Nija kazał im przestać. Leżałem okrwawiony na skale, Nija splunął na mnie i wycharkał kilka słów, po czym zaciągnęli mnie do ogniska i związali ręce na plecach. W końcu się ocknąłem, ale kiedy próbowałem się podnieść, ktoś postawił mi nogę na karku. Więc pozostałem tak, leżąc twarzą do ziemi, a cahokiańczycy byli dziwnie cicho. Dobiegały mnie tylko stłumione głosy oraz dźwięk noża skrobiącego o coś twardego. Wcześniej cahokiańczycy zabili kilka fok i zachowali kości i skóry. Podobnie jak my, potrafili wycinać z takich kości narzędzia. Wkrótce położyli mnie na plecach, przytrzymując nogi, ręce i głowę, a pobity Nivaya stanął nade mną w rozkroku z hakiem wyciętym z kości barkowej foki. Siłą otworzyli mi usta, a Skræling wbił mi hak w miękką tkankę obok języka. Przebił szczękę tak, że hak wyszedł z dołu brody. Następnie połączyli nicią ze ścięgna tę część haka, która wchodziła do ust, z tą, która wystawała z brody; był tam zadziór, dzięki któremu ścięgno nie ześlizgiwało się. Do tego wiązania przymocowali linę z foczej skóry, którą Nivaya teraz chwycił. Poprowadził mnie wokół obozu, mając całkowitą kontrolę nad moimi ruchami. Jedno szarpnięcie liny i posłusznie za nim szedłem. Mógł chwycić linę zaledwie w odległości stopy od mojej twarzy i odwrócić mi głowę w jedną lub w drugą stronę, mógł też zmusić mnie do kiwania głową albo do rozdziawienia ust. To go bawiło, natrzasał się ze mnie, pokazując ojcu i pozostałym cahokiańczykom.

Tego ranka wysikali się na mnie, a Nivaya wprowadził mnie potem do wody, jak psa, który wytarzał się w brudach.

Sigrid nigdy się nie dowiedziała o upokorzeniu, jakiego doznałem ze strony cahokiańczyków. Powiedziałem, że wbili mi w gębę hak. Ale że tak mną poniewierali, tego jej oszczędziłem.



19

Wolni ludzie

Dwa dni po tym, jak wbili mi hak, dostałem gorączki. Winabave usilnie próbował oczyścić miejsce wokół haka słoną wodą i błagał cahokiańczyków, żeby go wyjęli, ale w odpowiedzi dostał kilka siarczystych policzków. Leżałem w gorączce i nawiedzały mnie potworne sny. Widziałem własną głowę nabitą na pał, z nadal tkwiącym w ustach hakiem. Obok przechodził z wojskiem Vagn Åkeson, mój hovding z Jomsborga; głowa wodziła oczami za dawnymi towarzyszami walki. Widziałem Fenrego kuśtykającego między drzewami klonowymi na Wyspie Reniferów. Widziałem brata stojącego po pas w wodzie, wiatr rozwiewał mu mokre włosy.

– Braciszku – mówił. – Jesteśmy wolnymi ludźmi.

Gorączka trawiła mnie przez sześć dni. Winabave wlewał we mnie wodę i wkładał do ust przeżute przez siebie kawałki mięsa, które nam rzucali, a potem masował mi gardło, pomagając połykać, jak to czynisz, podając psu zioła przeciwko robakom. Ubrał mnie w długą koszulę, jaką zwykle przywdziewają Patuxetowie, bo teraz jesień

nas dogoniła i powietrze było bardzo zimne. Kiedy wreszcie doszedłem do siebie, znajdowaliśmy się u ujścia dużej rzeki. Zapytałem Skrælinga na wpół w gorączce, czy to jest ta duża rzeka prowadząca do Cahokii, o której przedtem mówiłem, ale Winabave odparł, że do Krainy Krwi jeszcze daleko, a stamtąd musimy przez wiele miesięcy kontynuować podróż, żeby dotrzeć do Cahokii. Ta rzeka prowadziła do pewnej algonkińskiej osady. Podejrzywał, że cahokiańczycy będą próbowali nabyć trochę suszonego mięsa i może również tamawa. Był już wieczór, gdy zaczęliśmy podróż w górę rzeki, i nie popłynęliśmy daleko, kiedy Nija kazał załogom zejść na ląd. Rozbiliśmy obóz wśród czterech usypisk kamieni na równinie przy korycie rzeki. W zapadającym zmroku cahokiańczycy weszli do wody i wyciągnęli na ląd z dziesięć pułapek na ryby przytwierdzonych do kilku pali. Były bardzo podobne do pułapek używanych przez nas, długie na chłopa i splecione z gałązek. Opróżnili pułapki z ryb, zostawiając je podskakujące z szeroko otwartymi pyskami.

Niewiele spałem tej nocy. Może i nie dziwota, bo przez hak nie mogłem zamknąć ust, więc jama ustna i język były suche i podrażnione. Cały czas się śliniłem, ślina spływała po zaroście, powodując piekący ból w miejscu, gdzie hak wychodził z podbródka. Mówienie było prawie niemożliwe, ale Winabave zdawał się rozumieć, o czym myślę.

– Syn – powtarzał ciągle. – Syn jest tutaj. – To mówiąc, kładł sobie rękę na piersi, a potem na głowie.

Czy mówił o swoim synu, czy o Ravntorze, nie wiem. Może mówił o obydwu. Miał słowo na takich jak my rodziców, którzy stracili dziecko. Jeszcze je pamiętam. *Mogwa-wenjunu.*

Cahokiańczycy kontynuowali podróż w górę rzeki wczesnym rankiem następnego dnia. Winabavemu pozwolono siedzieć ze mną, może Nija uważał, że w ten sposób łatwiej jest mieć nas obydwu na oku. Powiosłowali w górę rzeki i wkrótce byli osłonięci od bryzy morskiej. Już nie kradli ryb z pułapek, chociaż wiele ich widzieliśmy przy brzegach. Utrzymywali łodzie pośrodku rzeki, jak zwykle wiosłując miarowo i energicznie. Obserwowali południowy brzeg, jakby nie do końca ufając

mieszkającym tam ludziom. Wpłynęliśmy bowiem na zamieszany teren, a tutejsze pola uprawne były równie duże jak pola wokół Patuxetu. Byli tu Skrælingowie z łukami, którzy polując na ryby, pływali tratwami i skórzanymi łodziami, odpychając się od dna. Po północnej stronie widziałem niewielu ludzi, nie było tu też żadnych pól uprawnych. Widzieliśmy za to długie kopce ziemne.

– Starszyzna – powiedział Winabave, skinąwszy głową w stronę wałów. – Przodkowie.

Wkrótce pojawiło się więcej kopców. Z rzeki wyglądały tylko na pokryte trawą. W niektórych miejscach górowały nad ziemią uprawną, w innych leżały oddzielnie albo były ułożone w dwie warstwy: dolna służyła jako platforma dla drugiej, ułożonej na szczycie. Wydawało się, że wzniesli je jako swego rodzaju umocnienia obronne lub może po to, żeby w tym dosyć płaskim terenie obserwować pola i wypatrywać najeźdźców. Ale Skrælingów na tych kopcach nie widziałem.

Chociaż Winabave wyjaśnił mi, że budowniczymi kopców są Algonkinowie, lud zamieszkujący tamtejsze wybrzeże i brzegi rzek, ja nazywałem ich „budowniczymi kopców”. Winabave powiedział mi, że osad takich jak ta jest więcej na południu, a także na północy, nad największymi rzekami, i wszędzie można zobaczyć te kopce. Według Algonkinów wprowadzają się do nich przodkowie.

Musieliśmy popłynąć dobry kawał w górę rzeki. Słońce stało nisko, kiedy wreszcie dotarliśmy na obrzeża osady. Jeśli kiedykolwiek widzieliście na południu w kraju Franków miasta, w których twierdza jest otoczona zabłoconymi ulicami i domami, a te otoczone są torfowymi ziemiankami i na wpół zgniłymi szalasami dla przyjezdnych i biedoty, możecie sobie wyobrazić miejsce, do którego dotarliśmy. Cahokiańczycy zeszli na ląd i poprowadzili mnie i Winabavego w górę między namioty ze skór i szalasy. Musiało tu przedtem padać, bo szliśmy zabłoconą ścieżką. W niektórych miejscach błoto było tak głębokie, że stopy zapadały się po kostki; o rzut kamieniem w górę obok stosu koszy między chatami pojawiło się kilkoro dzieci, które szturchały mnie w biodro kijem. Słabsza noga ugięła się pode mną, a ponieważ ręce miałem związane z tyłu, wylądowałem twarzą w błocie. Hak przekrzywił się, Nivaya dopadł mnie, wymierzając mi kopniaki i razy, ale ojciec odepchnął go.

Centralną część osady budowniczych kopców otaczała palisada podobna do tej, którą widziałem w Patuxecie. Ta była o wiele mniejsza, ale kiedy tylko znaleźliśmy się wewnątrz, odkryłem, że nie ma tu prawie domów. Naliczyłem sześć długich chat, które stały zwrócone szczytową ścianą w kierunku palisady i tworzyły jakby szprychy koła, a kopiec na środku placu stanowił piastę. Nie było tu kramów handlarzy czy kobiet przechodzących z koszami i dzieciakami na plecach. Wyszła nam naprzeciw grupa mężczyzn, mogło ich być z dwunastu czy czternastu. Mieli na sobie sięgające ziemi kolorowe koce spięte klamrą na prawym ramieniu. Szli boso, ale na kostkach mieli bransolety zrobione chyba z muszelek i skorupki ślimaków. Na głowach nosili opaski wysadzane płytkami miedzi i pięknie wypolerowanymi niebieskawymi kamykami. Włosy mieli zgolone oprócz pasma na czubku głowy, zabarwionego na czerwono i żółto i postawionego jak grzebień u koguta.

Jeden z tych mężczyzn zagadał do Niji, a Nija odpowiedział, wskazując na mnie. Wtedy budowniczy kopców podszedł do mnie i pomacał hak w ustach, a potem chwycił mnie za rękę i mocno przesunął dłonią po mięśniach przedramienia. Potem znowu podszedł do Niji, pokazując drogę, którą przyszliśmy. Nija wymamrotał coś niezadowolony, ale najwyraźniej dał za wygraną, bo dziwni ludzie odeszli, a Nija skinął na swoich i opuściliśmy to miejsce.

Spędziliśmy wieczór pod kilkoma zgniłymi zadaszeniami na obrzeżach miasta. Nikogo innego tam nie było. Winabave powiedział, że Nija prawdopodobnie próbował mnie sprzedać, a spotkała się z nami starszyzna osady. Algonkinowie byli znani ze składania ofiar z ludzi i raczej nigdy przedtem nie przelali krwi człowieka morza. Starszyzna miała pewnie się naradzić w ciągu nocy i dać Niji odpowiedź o świcie.

Nie ma gorszego losu, niż zostać straconym jako jeńiec i niewolnik. Gdybym tylko mógł się oswobodzić! Z radością przyjąłbym śmierć, jeśli spotkałbym ją jako wolny człowiek. Ale miałem związane z tyłu ręce, hak wbity w usta i nieczęsto bałem się tak jak wtedy. To, że niektórzy składają ofiary z jeńców, nie było dla mnie nowością. Takie historie ja i Bjørn słyszeliśmy już jako chłopcy. O okrutnych hovdingach w głębi krainy Sweów i o żądnych krwi Danach sprowadzających niewolników na letnie i zimowe uczty ofiarne i smarujących ich krwią wizerunki bogów. Na niewiele

się zdało, że według Winabavego starszyzna nie wyglądała na szczególnie zainteresowaną. Bez przerwy poruszałem rękami w pętach. Gdybym tylko mógł się z nich oswobodzić, gdybym tylko mógł wyjąć ten hak...

Tego wieczora cahokiańczycy nabyli kilka wiązek suszonych liści i żuli je z wielkim zapałem. To na te liście Winabave mówił tamawa. Kazał mi wbić wzrok w ziemię, bo człowiek żujący tamawa może stać się szalony i wybuchowy. Nie minęło wiele czasu, a zachowanie cahokiańczyków zaczęło się zmieniać. Byli trochę jak pijani mężczyźni, ale ich odurzenie miało o wiele gwałtowniejszy charakter. Niektórzy rozebrali się i wirowali w jakimś tańcu. Nija razem z dwoma siwowłosymi też się rozebrali i stanęli nadzy z półotwartymi ustami, ponuro zapatrzeni w ogień, jakby widzieli tam coś, czego nikt inny nie widział. Nivaya znowu okazał się nikczemnikiem. Pod jednym z zadaszeń było gniazdo jaskółek, a jaskółki w krainie Skrælingów, podobnie jak u nas, często mają młode jesienią. Nivaya wspiał się, wyłamał całe gniazdo i zabawiał się wrzucaniem młodych jaskółek do ogniska. Ale to nie koniec jego haniebnych czynów. Kiedy ostatnie młode spłonęło w ogniu, zawył jak obłąkany i pobiegł w mrok.

Nigdy się nie dowiedziałem, jaką decyzję starszyzna wioski podjęła tej nocy. Nija raczej nie chciał tanio mnie sprzedać, dobrze wiedząc, że jego sława i uznanie znacząco wzrosną, jeśli przyprowadzi mnie do Cahokii i odda na ofiarę. Jednak zanim tak się stanie, musieli mnie karmić przez jesień i zimę. Wprawdzie obiecał Patuxetom, że doprowadzi mnie do swojego rodzinnego miasta, ale Skrælingowie nie widzą hańby w złamaniu słowa danego innym ludom niż ich własny. Więc Nija prawdopodobnie bardzo chciał mnie sprzedać budowniczym kopców, lecz do żadnego handlu nie doszło. Wcześniej o świcie powrócił Nivaya, wlokąc za sobą nagą dziewczynę. Miał poobcierane kolana i ręce, a na twarzy ślady zadrapań. Większość cahokiańczyków była teraz bardzo otepiała, bo takie jest działanie tych ich ulubionych liści, więc ledwo zwrócili uwagę na dziewczynę, rozpaczliwie próbującą oswobodzić się z uścisku Nivayi. Młody Skræling rzucił ją na ziemię obok ogniska, a kiedy próbowała uciec, natychmiast jej dopadł, chwycił ją za kostki nóg i pociągnął z powrotem do ognia. Zagadał do ojca i pozostałych przy ognisku, mówiąc pewnie, że

teraz wszyscy mogą zabawić się jego zdobyczą. Nija się podniósł, odpowiedział wściekle synowi, wskazując na dziewczynę, a potem wymierzył mu cios otwartą dłonią, tak że ten padł twarzą na ziemię. Dziewczyna natychmiast zerwała się na nogi i znikła w ciemnościach.

Cahokiańczycy w największym pośpiechu zwinęli obóz i nigdy nie widziałem ich tak szybko wiosłujących jak tego dnia. Winabave i ja znowu zostaliśmy upchnięci razem ze skórzanymi tobołami, drewnem i innymi towarami, ale teraz cahokiańczycy założyli cięciwy na łuki, kołczany trzymali pod ręką i wiosłując, cały czas spoglądali do tyłu. O zmierzchu dotarli do ujścia rzeki i może w nocy kontynuowaliby podróż wybrzeżem na południe, gdyby z morza nie napływały potężne fale.

Rozbili obóz po północnej stronie ujścia rzeki, nie wysyłając tego wieczora młodych chłopców po chrust. Łuku ogniowego i deseczki do wytwarzania żaru też nie użyli. Stłoczyli się za powalonym wiatrem pniem drzewa. Ja też tam usiadłem, Nivaya trzymał mnie na uwięzi jak psa. Jednak tego wieczora nie zabawiał się szarpaniem sznura. Podobnie jak pozostali cahokiańczycy, siedział z łukiem na kolanach i zawieszonym na ramieniu kołczanem. Winabave próbował coś mi powiedzieć, ale Nija natychmiast prasnął go łukiem.

W ciągu nocy wiatr się wzmógł. O świcie Nija stanął ponuro zapatrzony w morze, po czym odwrócił się do reszty mężczyzn i wykrzyczał kilka rozkazów. Cahokiańczycy znieśli skóry, łuki i wszystkie toboły z towarami na ląd, chowając wszystko za pniem, za którym przedtem znaleźli schronienie. Nija był zły i wymyślał mężczyznom, gdy byli tym zajęci. Pomyślałem przez chwilę, że pozostawią mnie tu z towarami jako swego rodzaju zadośćuczynienie za gwałt, ale wkrótce zepchnęli łodzie na wodę, a ja z Winabavem zostaliśmy zagonieni na pokład. Popłynęli o rzut kamieniem w górę rzeki, gdzie fale z morza nie były takie wysokie. Tutaj wpłynęli łodziami na południowy brzeg i zeszli na ląd. Łodziom pozwolili odpłynąć.

Skrælingowie przemieszczają się przez zalesiony teren szybciej niż jakikolwiek znany mi lud, lecz tego dnia poruszali się w specyficzny sposób. Młodym chłopcom kazano

biec przodem. Pozostali cahokiańczycy szli ze strzałami założonymi na łuki, zerkając między pnie drzew za nami i po bokach. Nija, Nivaya, ja i Winabave szliśmy środkiem. Tak oto przemieszczaliśmy się przez las cały ten dzień.

Cahokiańczycy rozbili obóz, dopiero kiedy zrobiło się ciemno. Nija wysłał sześciu mężczyzn między pnie drzew, żeby stanęli na warcie, reszta usiadła za jednym z licznych powalonych przez wiatr pni klonu. Obszar, po którym się poruszaliśmy, był poza tym całkowicie otwarty i płaski. Nie było tu zarośli, uskoków terenu ani wzniesień, więc cahokiańczycy stanowili łatwy cel ataku. Pamiętam, że obsikałem sobie nogi tego wieczora. Nie mogłem tego uniknąć z rękami związanymi z tyłu. Nija rozluźnił mi więzy na rękach i najpierw pomyślałem, że chce mnie oswobodzić, ale zaraz potem związali mi ręce z przodu. Potem Nija i pozostali siedzieli w milczeniu. Myśleli, że budowniczo wie kopców zadowolą się pozostawionymi łodziami i towarami. Nagle usłyszeliśmy krzyk jednego z mężczyzn wysłanych na wartę. Cahokiańczycy założyli strzały na cięciwy, niektórzy podnieśli się, ale Nija wyszczał do nich kilka słów, ściągając ich z powrotem za pień drzewa. Wtedy usłyszeliśmy wycie jeszcze jednego wartownika.

Rzadko kiedy noc wydawała się dłuższa niż wtedy, gdy siedziałem z cahokiańczykami, słuchając krzyku tych mężczyzn. Dźwięk oddalił się od miejsca, gdzie siedzieliśmy, obydwa głosy zlały się jakby w jeden na wschód od nas. Teraz krzyki przeszły w jęk, a potem w wycie tak straszne i głośne, że siedzący z nami najmłodszy chłopcy zaczęli płakać. Nivaya powiedział coś do ojca, ale odpowiedź nie była chyba taka, jakiej sobie życzył, bo wymamrotał coś złe i szarpnął za sznur. Hak przekręcił mi się w ustach, Winabave chwycił mnie za ramię, mówiąc, że mam być cicho.

O świcie krzyk umilkł. Cahokiańczycy wstali, rozpraszając się ostrożnie między klonami. Szedłem za nimi jak pies na smyczy.

Po krótkiej chwili znaleźli tych dwóch, powieszonych za nogi na drzewie. Skórę mieli zdartą od kostek aż po czubek głowy. Z obydwo nadal kapłała krew, a kiedy Skraelingowie stanęli, gapiąc się na nich, jeden z powieszonych wydał jakiś dźwięk.

Przez jego rękę przeszedł skurcz. Ponieważ powieki miał zerwane, a krew zalała mu oczy, niewiele widział. Ale musiał nas usłyszeć i pewnie błagał o zakończenie cierpień, bo Nija chwycił maczugę i roztrzaskał mu czaszkę.

Cahokiańczycy chyba wiedzieli, na co się zanoszą. To, co zrobił Nivaya, nie mogło ujść nam bezkarnie. Szliśmy dalej, podobnie jak poprzedniego dnia, ale kiedy znowu się ściemniło, Nija nie wysłał już nikogo na wartę. Wyszliśmy z lasu klonowego, wokół nas rosły teraz gęsto ciemne krzewy. Takie krzewy widziałem tylko w krainie Skrælingów, mają kolce na liściach, a nie na gałęziach. Cahokiańczycy wdzierali się między te zarośla, jakby im nie przeszkadzało, że kłują i kaleczą, a kiedy weszliśmy w nie wystarczająco głęboko, przykucnęliśmy. Przyszła jeszcze jedna noc. Słyszeliśmy przechodzących obok mężczyzn, dwa razy byli tuż przy zaroślach, ale potem usłyszeliśmy stąpanie po liściach i suchych gałązkach i poszli dalej.

O świcie Nija i jego ludzie wyczołgali się z zarośli. Rzucili kilka szybkich spojrzeń na ziemię, może próbowali z niej wyczytać, ilu ludzi tędy przechodziło. Popatrzyli między pnie drzew, a następnie na ich korony. Klony kołysały się na wietrze. Wiatr się wzmógł.

Są tacy, którzy twierdzą, że Norny ucinają nić twojego życia już w dniu, w którym się rodzisz. Liczba lat, które otrzymasz, jest ustalona w momencie, kiedy otwierasz oczy po raz pierwszy. Sądzony będziesz na podstawie tego, co zrobisz, a czego zaniechasz w czasie, który ci dano. Żyj odważnie i umrzyj bez lęku. Nie pozwól, żeby człowiek albo bóg rzucił cię na kolana. Mój ojciec wypowiedział do mnie te słowa, a ja potem często powtarzałem je swoim synom. Pamiętałem o nich tego dnia, kiedy zaatakowali nas budowniczy kopców. Nie rzucili się na nas i prawdę mówiąc, najpierw ich nie dostrzegliśmy. Jednego z chłopców trafiła strzała, a kolejna utkwiała w udzie jednego z siwowłosych. Ten usiadł, przyciągając chłopaka do siebie na kolana. Zobaczyłem, jak Nija i stary wymieniają spojrzenia. Poszliśmy dalej, zostawiając tych dwóch rannych.

Szliśmy chyba z pół dnia, gdy strzały ponownie zaczęły wbijać się między nas. Trafiły czterech Skrælingów, ale Nija i jego ludzie kontynuowali marsz. Czy miał nadzieję, że dalej będzie się gdzie schronić, czy sądził, że budowniczy kopców

zadowolą się tymi zabójstwami, tego nie wiem. Ale kiedy strzały nadleciały po raz trzeci, wykrzyczał jakiś rozkaz. Cahokiańczycy chwycili łuki, rozpraszając się między drzewami. Nija wziął sznur od syna i szybko przywiązał go do gałęzi. Potem uderzył mnie w czoło końcem swojej maczugi, co niemal pozbawiło mnie przytomności, a następnie chwycił ją obydwojma rękami i spojrzał na moje kolano.

Może miał nadzieję, że budowniczkowie kopców wezmą mnie jako swego rodzaju zadośćuczynienie za czyn syna, jeśli dostaną mnie żywcem. Nie wiem. Zawsze trudno było zrozumieć Skrælingów. Wiem jednak, że Winabave uratował mi życie tego dnia, bo kiedy Nija podniósł maczugę, ten rzucił się na niego. O wiele wyższy cahokiańczyk cisnął nim o ziemię. Wtedy ja związanymi rękami ująłem hak wystający z brody i odłamałem zadziór, po czym chwyciłem hak obok języka i wyciągnąłem go. Zrobiłem to szybko i bez wahania, jednak Nivaya natychmiast mnie dopadł. Ugodził mnie głęboko w pierś kamiennym nożem. Wówczas zaczepiłem o jego krtań złamanym hakiem, wpychając go do środka, i musiałem trafić dużą tętnicę szyjną, bo trysnął strumień jasnoczerwonej krwi. Nija, zobaczywszy osuwającego się na ziemię syna, znowu podniósł maczugę, lecz ponownie zostałem uratowany. W przedramię wbiła mu się strzała, maczuga upadła na ziemię. Teraz budowniczkowie kopców pojawili się między drzewami. Byli nadzy, wymalowani na biało i czarno i wyli jak dzikie zwierzęta. Cahokiańczycy rozpierzchli się we wszystkie strony, a budowniczkowie kopców rozbiegli się w mniejszych grupkach, pewnie żeby ich ścigać. Sześciu mężczyzn zbliżało się do nas, wszyscy uzbrojeni w długie maczugi. Winabave wyciągnął nóż zza pasa umierającego Nivayi i szybko przeciął sznur krępujący mi ręce. Nija schylił się po swoją maczugę, ale Winabave dźgnął go kamiennym nożem prosto w bok szyi. Cios był tak silny, że nóż się złamał. W tym czasie rzuciłem się do przodu i chwyciłem maczugę. Miała mniej więcej długość ramienia i była zrobiona z czerwonego dębu, obciążenie stanowił osadzony na końcu kamień. Kiedy jeden z budowniczych kopców, potężny mężczyzna z dwiema długimi pionowymi bliznami na brzuchu, wskazał na nas i wyszczeakał kilka słów do pozostałych, rzuciłem się na niego. Pierwszy cios puściłem nisko, trafiając go w goleń, która złamała się jak spróchniała gałąź. Drugi cios wymierzyłem w czoło. Nie czekałem, aż upadnie, tylko wyrwałem mu z ręki maczugę, rzuciłem ją

Winabavemu, a potem skoczyłem na pozostałych. Może byłem tego dnia szybszy od Skrælingów, a może dodawała mi sił świadomość, że odzyskam wolność, jeśli będę wystarczająco dobrze walczył. Zabiłem drugiego budowniczego kopców tak samo jak pierwszego, najpierw ciosem w nogę, a później w czoło. Wtedy sam zostałem trafiony. Cios w żebra był tak mocny, że się obróciłem, lecz budowniczy kopców za mną już nie zdążył ponownie podnieść maczugi, bo Winabave przyskoczył z boku i zmiażdżył mu czaszkę potężnym uderzeniem.

Zabiliśmy jeszcze dwóch mężczyzn. Ostatni z sześciu, którzy nas zaatakowali, uciekł. Winabave i ja też rzuciliśmy się do ucieczki, ale kulawa noga bardzo mnie opóźniała, a teraz jeszcze czułem klucie w boku, gdzie zostałem trafiony. Winabave podniósł z ziemi łuk i zabrał kołczan ze strzałami jednemu z zabitych cahokiańczyków. Musiał położyć trupem wielu mężczyzn, podczas gdy ja kuśtykałem przez las, bo kiedy w końcu osunąłem się na ziemię, nie słyszeliśmy nic oprócz wiatru w koronach drzew. Winabave stał nadal z łukiem, zwracając ku mnie zniekształconą twarz.

– My iść – powiedział i wskazał na mnie. – My iść... do nocy. I... i przez noc.

Wkrótce dotarliśmy do jakiegoś strumienia, tutaj Winabave przemył mi rany. Z rozciętej piersi i z ust nadal płynęła krew. Winabave obawiał się, że nie utrzymam się długo na nogach, jeśli nie uda mu się zatrzymać krwawienia. Nie był wysoki i na pewno niewystarczająco silny, żeby mnie nieść. Wyjąkał, że mamy noc, by zdobyć przewagę. Budowniczowie kopców najpierw wytropią cahokiańczyków i pozabijają ich, bo mają do nich zadawnioną urazę. Ale zaraz potem ruszą za nami.

Winabave przemył mi rany, opatrzył je kilkoma skrawkami materiału oderwanymi z mojej koszuli i ruszyliśmy dalej. Szliśmy pod kołyszącymi się koronami drzew prosto w noc, gałęzie spadały na ziemię wokół nas, wiatr wył jak udręczone dusze Niflheimu. Winabave podpierał mnie, a kiedy o najciemniejszej porze nocy przechodziliśmy przez jakąś rzekę i pochwycił mnie prąd, szybko przeciągnął mnie na drugą stronę.

Wy wszyscy, którzy stroiliście sobie żarty z Winabavego, wiedzcie, że nic nie rozumiecie. Głupcy, którzy nazywaliście go niebieskim człowiekiem i niewolnikiem. Głupcy, którzy osądzaliście go tylko po szerokości ramion, natrzęsając się z niego, bo

upijał się zaledwie jednym kuflem piwa. W mojej halli nauczyliście siłować się na ręce, ale jak myślicie, kto jak nie Winabave nauczył mnie tej zabawy? Musiał znieść wiele drwin z waszej strony, gdy byliście pijani i ogłupiali, raz za razem kładąc jego ramię na stole. Lecz on nigdy nie odwrócił się od żadnego wyzwania. Nigdy nie dał za wygraną. Więc podnieście kufle na jego cześć, przyjaciele. Zapamiętajcie go. Zobaczcie go takim, jakim ja go widziałem tego ranka obok korzenia sosny. Zapamiętałem tylko, że w pewnym momencie w nocy pomógł mi położyć się na ziemi, mamrocząc, że muszę wypocząć. Musiałem natychmiast zasnąć, bo kiedy się ocknąłem, był już ranek. Winabave zdjął z siebie ubranie i okrył mnie, żebym nie marzł. O świcie zrobił dwie strzały, potem stanął, przeżuwając jakieś cienkie korzenie, a ja patrzyłem prosto w jasnoczerwoną, błyszczącą bliznę pod jego członkiem. Znalazł kilka prostych gałązek i przyciął je kamiennym nożem. Z noża odłamał kilka kawałków, tak że ten znowu stał się ostry. Z tych kawałków zrobił groty do strzał. Zorientowawszy się, że się obudziłem, włożył na siebie ubranie. Potem kontynuowaliśmy wędrówkę w głąb lasu.

Długo szliśmy tego dnia. Winabave uważał, że musimy iść w stronę stałego lądu, bo budowniczy kopców nie lubili oddalać się zbyt od wybrzeża. Wyjaśnił mi, że na terenach od Patuxetu na północy do Krainy Krwi na południu trwają waśnie, ale nie mieliśmy wyboru. Musieliśmy wydostać się z terenów łowieckich budowniczych kopców.

Winabave kontynuował pracę nad strzałami, kiedy się ściemniało. Poszukaliśmy zacisznego miejsca w dole przy strumieniu, wśród wysokiego sitowia. Tej nocy zrobiło się zimno, a w sitowiu były tysiące małych muszek. Każde ich ugryzienie bolało, a gryzły nas przez całą noc. Mimo to Winabave znowu zdjął ubranie i okrył mnie nim.

O świcie miał już gotowe kolejne dwie strzały. Przeżuł i rozszczępił korzenie, przymocował kamienne drzazgi żywicą i skreślił cięciwę z nici z mojej koszuli. W liściu klonowym przyniósł mi wody ze strumienia, a kiedy piłem, gładził mnie po włosach, jak matka gładzi chore dziecko.

– Dzisiaj chyba przyjdą – powiedział.

Opuściwszy legowisko w sitowiu, poszliśmy wzdłuż strumienia pod prąd. To był mój pomysł. Mieliśmy wschodzące słońce za plecami, więc wiedziałem, że nadal poruszamy się na zachód. Winabave mamrotał łamanym językiem, że w ten sposób nie oszukamy budowniczych kopców. Zobaczą, gdzie spaliśmy, a nie znalazłszy więcej śladów, domyślą się, że poszliśmy dalej strumieniem. Na to nic nie odpowiedziałem, lecz chociaż nie byłem Skrælingiem, wiedziałem to i owo na temat tropienia, tak jak wszyscy wolni ludzie. Budowniczo wie w żaden sposób nie mogli się domyślić, czy poszliśmy w górę, czy w dół strumienia. Byli zmuszeni podzielić się.

Podążając strumieniem, wyszliśmy z lasu klonowego i weszliśmy w teren, który bardzo przypominał nadbrzeżny las w Vingulmorku. Między potężnymi świerkami, dającymi cień wysokim prawie na chłopa paprociom, wystawały skaliste zręby. Rosły na nich krzewy jałowca i powykrzywiane sosny, tutaj teren zaczynał się wznosić. Strumień skurczył się i wkrótce zniknął między kępami mchu, a Winabave i ja zostaliśmy zmuszeni do ponownego wejścia na suchy grunt. Mój towarzysz pogłaskał się po zniekształconej, pozbawionej zarostu twarzy i rozkręcił cięciwę, którą wcześniej zrobił. Przechylił głowę, wstrzymując oddech. Zrozumiałem, że nasłuchuje. Nagle popędził do jednej z sosen, na której odłamała się gałąź. Przejechał cięciwą po żywicy, potem ściął krzew jałowca kamiennym nożem. Mój brat i ja też robiliśmy takie łuki, kiedy byliśmy mali. Z zielonego drewna nie będzie dobrego łuku, mówił nam zawsze ojciec, ale Winabave szybko przyciął drewno na długość, ostrugał gruby koniec i zrobił na nim hak na cięciwę, którą szybko założył i napiął. Wskazał na maczugę w moim ręku i na kij, na którym się wspierałem, a potem, położywszy rękę na lewej stronie piersi, pobiegł przed siebie.

Nie ruszałem się z miejsca. Winabave pobiegł najpierw wzdłuż strumienia w dół. Tam się zatrzymał i rzucił mi spojrzenie do tyłu, po czym wbiegł między świerki i zniknął.

Skræling mnie opuszcza, pomyślałem. Nie miałem do niego o to żalu, bo wtedy jeszcze nie znałem go tak dobrze i nie sądziłem, że ma takie samo pojęcie o honorze jak mój własny lud. Dziwne było właściwie to, że tak długo przy mnie wytrwał. Szedłem dalej pośród kęp mchu i wkrótce znalazłem się na szczycie jednego

z licznych niewielkich wzniesień. Czułem ból w żebrach za każdym razem, kiedy nabierałem powietrza.

Nie mogłem stać tam długo. Opierałem się na kiju i czułem ból w bosych stopach. Już przedtem były poranione cierniami i małymi gałązkami, ale teraz jeszcze skaleczyłem się w spód prawej stopy, chyba podczas brodzenia w strumieniu. Widziałem spływającą na mech krew, a gdy podniosłem wzrok, zobaczyłem Skrælingów idących między świerkami. Naliczyłem ich siedmiu, czterech na dole przy strumieniu i trzech w lesie. Byli wymalowani i nadzy, u ich pasów wisały maczugi, w rękach mieli łuki. Jeden z czwórki idącej wzdłuż strumienia nagle się zatrzymał. Zauważył mnie. Zawołał do pozostałych, wyciągając strzałę z kołczana na plecach. Wtedy jeden z pozostałych coś mu odpowiedział. Odczepił maczugę od pasa, podniósł w górę, krzyknął do pozostałych i zaczął wyć. Pozostali Skrælingowie odpowiedzieli w ten sam sposób i ruszyli biegiem w moją stronę.

Nie wiem, dlaczego nie posłali w moim kierunku strzał tego dnia, ale pamiętam, że strach nagle mnie chwycił, podobnie jak wtedy, kiedy stałem na pokładzie statku Olafa Tryggvasona, szykując się do swojej pierwszej bitwy morskiej. Widziałem szybko biegnących pod górę wymalowanych Skrælingów z maczugami w garści i zrozumiałem, że zaraz będzie po mnie. Może dziwnie wam teraz słuchać moich słów, bo słyszeliście historie o Torsteinie Szkutniku, jomswikingu i nadmorskim hovdingu i myślicie pewnie, że mógł zmiażdżyć Skrælingów tam, na zachodzie, równie łatwo jak inny mężczyzna zgniata opitego krwią komara. Ale prawda jest taka, że nie czułem nic poza zimnymi palcami Hel, kiedy Skrælingowie biegiem wspinali się pod górę. Widziałem wierzchołki sosen kołyszące się na wietrze i przepełniał mnie żal. Nigdy nie powinienem był opuszczać Orkadów. Nigdy nie powinienem był dać się skusić myślą o bogactwie i własnej ziemi. Tęskniłem za Sigrid, za nocami spędzonymi z nią pod baranicami, z ramieniem obejmującym jej szczupłą talię i twarzą zanurzoną w kręconych włosach. Tęskniłem za Ravntorem. Tęskniłem za tym, żeby go przytulić, tęskniłem za zapachem jego włosów i skóry. Zawiodłem go i zawiodłem Sigrid. A teraz czekała mnie śmierć.

Wzgórze, na które się wdrapałem, nie było zbyt wysokie, dało się je przerzucić kamieniem. Pamiętam, że było strome po wschodniej stronie, skąd przyszliśmy ja

i Winabave. Po stronie północnej było łagodniejsze, dlatego po nim wspinali się Skrælingowie. Wymalowani mężczyźni zbliżali się z maczugami, a ja stałem, mając za plecami skalny uskoki. Biegący z przodu zdjął kołczan i położył łuk na ziemi, cały czas nie spuszcżając mnie z oka. Warknął kilka słów do pozostałych, którzy natychmiast zrobili to samo.

Ponieważ Skrælingowie mieli wymalowane ciała, trudno było ich odróżnić od siebie. Nie byli wysocy i potężnie zbudowani jak cahokiańczycy, ale ściężna i mięśnie zagrały pod skórą, kiedy podnieśli maczugi. Pamiętam, że białka oczu ostro odcinały się od skóry posmarowanej czarną farbą od czoła do kości policzkowych. Zatrzymali się, gdy ten, który pierwszy odłożył łuk i kołczan, wystąpił naprzód. Może myślał, że będę łatwym łupem, bo kiedy ruszył w moim kierunku, nie podniosłem maczugi. Nadal opierałem się na kiju i nie przyzywałem przodków, Asów ani Wanów. Ale wiedżcie, przyjaciele, że jeśli ścigacie zranionego niedźwiedzia i zastaniecie go stojącego ze zwieszonym łbem, musicie się mieć na bacżności, bo zwróci się przeciwko wam w ostatniej chwili i z okrutną siłą rozerwie na strzępy.

Pierwsze uderzenie maczugi trafiło mnie w prawe udo, prosto w starą bliznę po uderzeniu, jakie otrzymałem, będąc niewolnikiem w Skiringssalen, tym, które mnie okulało. Zawsze tak było, że jeśli się uderzyłem w to miejsce, dygoczący ból przeszywał mi biodro i nogę, wywołując gwałtowną wściekłość. Skræling znowu mnie uderzył maczugą, tym razem prosto w brzuch. Upadłem na kolana, nie mogąc zaczerpnąć oddechu. Wtedy zamachnął się, chcąc pewnie rozbić mi czaszkę, ale chwyciłem go nagle z tyłu za kolana, zwałając z nóg. Skræling upadł na plecy, a ja najpierw uderzyłem go pięścią w krocze, a potem usiadłem na nim okrakiem i chwyciłem za gardło.

Wymalowani mężczyźni widzieli, jak go duszę. Uderzył mnie jeszcze raz maczugą, lecz znajdowałem się zbyt blisko, żeby uderzenie było wystarczająco silne. Przez chwilę rzucał ramionami, wijąc się z jednej strony na drugą, aż wreszcie znieruchomiał.

Podniosłem się. Nie padły żadne słowa. Skrælingowie nie rzucili się na mnie wściekle z maczugami, tylko rozproszyli się, jakby chcąc mnie okrążyć. Cofnąłem się, aż dotarłem do krawędzi uskoku. Podnosząc maczugę, poczułem ukłucie w żebrach.

Skrælingowie zbliżyli się, byli teraz o kilka susów ode mnie. Gdybym mógł, rzuciłbym się na nich, kończąc wszystko. Lepiej umrzeć, szturmując przeciwnika, niż będąc przyciśniętym do muru obronnego, mówią. Ale słabsza noga ledwie mnie dźwigała i w momencie, kiedy tych sześciu miało się na mnie rzucić, jeden z nich wydał z siebie bolesny jęk. Obrócił się, zobaczyłem w jego plecach strzałę. Nie upadł, strzala nie wbiła się zbyt głęboko, ale teraz nadleciało ich więcej, dwie trafiły Skrælingów. Jeden straszliwie krzyczał, strzala wbiła mu się w oko. Wtedy zobaczyłem Winabavego. Pojawił się na wzgórzu. Rzucił łuk z jałowca i podniósł góry długi kij. Nadbiegając, wył jak zwierzę.

Walka, która się wywiązała, szybko się skończyła. Kiedy Skrælingowie obrócili się, żeby zobaczyć, kto strzela, zaatakowałem. Dwóch uderzyłem w głowę maczugą, ale sam zostałem trafiony w ramię, a potem otrzymałem kolejny cios w brzuch. Ziemia uciekła mi spod stóp, przewróciłem się do tyłu i potoczyłem w dół uskoku, aż stopa utkwiała między kamieniami. Dziwnie było poczuć, jak łamie się goleń, bo nie zabolalo od razu. Widziałem swoją bosą stopę tkwiącą między porośniętymi mchem kamieniami. Widziałem goleń złamaną mniej więcej pośrodku. Dopiero wtedy poczułem gwałtowny, ostry ból. Zobaczyłem Winabavego na wzgórzu, walczył z jednym z budowniczych kopców. Każdy z nich trzymał nóż, próbując jednocześnie przytrzymać rękę przeciwnika z nożem. Mój wybawca musiał być słabszy, bo budowniczy wałów przycisnął mu teraz kamienne ostrze do piersi. Winabave kopniakiem podciął mu nogi i obydwaj upadli w dół uskoku, lądując zaledwie w odległości ramienia ode mnie. Winabave dźgnął przeciwnika najpierw w ramię, a potem w pierś. Później usiadł na nim, położył mu rękę na ustach i podciął gardło.

Nie spuszczał ze mnie oka, kiedy ze Skrælinga uchodziło życie. Gdy jego wytrzeszczone oczy w końcu się zamknęły, Winabave wetknął dwa palce w ziejącą ranę. Namalował sobie krwią dwie smugi na policzkach, a następnie w ten sam sposób pomalował moje policzki.



20

Sebik

Istnieją takie słowa, których ojciec nigdy nie powinien mówić swoim dzieciom. Słowa o utraconej nadziei i dniach, kiedy czarne myśli takim ciężarem kładą się na twoich barkach, że jedyna nadzieja to zasnąć i obudzić się w innym świecie. I niech już nawet tak będzie, że po przebudzeniu spojrzysz w pół twarzy Hel, a nie w twarz walkirii. Bo gdyby tylko żywi o tobie zapomnieli, gdyby wszystko, czym byłeś i czego dokonałeś, pozostało nieopowiedziane, mógłbyś obrócić się w proch, który porwie wiatr.

Leżąc tam, tak właśnie myślałem. Taką miałem nadzieję, widząc wierzchołki świerków głaszczące niebo, podczas gdy żerdzie pode mną sprawiały mi ból przy każdej nierówności terenu. *Nigdy nie straciłem nadziei, Ravntorze. Wiedziałem, że znowu się podniosę, bo bogowie tego chcieli...*

Kłamstwa. Nic tylko kłamstwa. Leżałem zrozpaczony na noszach i płakałem. Złamałem lewą goleń, a żebra po prawej stronie sprawiały mi ostry ból przy każdym oddechu. Winabave zrobił nosze z kilku żerdzi związanych korzeniami świerka, na nich położył część ubrań napastników, po czym wziął łuki, strzały, maczugi

i kamienne noże i zawinął je w resztę ubrań. Położył mnie pośród tego wszystkiego, a całe nosze obwiązał pasami i rzemieniami od kołczanów Skrælingów, bo nie byłem w stanie się na tych noszach utrzymać, a wchodziliśmy na bardzo nierówny teren. O ile pamiętam, pierwszego dnia zobaczyłem słońce migoczące między świerkami po mojej lewej stronie, co oznaczało, że szliśmy na północ. Potem Winabave położył nosze, stanął przy mnie z nałożoną na łuk cięciwą i pozostał tak aż do nocy. Kiedy zbudziłem się następnego ranka, byliśmy już w drodze. Opuściliśmy las świerkowy i znowu weszliśmy w las liściasty. Tutaj Winabave znalazł strumień, przy którym zatrzymaliśmy się na postój. Dał mi się napić z ręki, zerkając przy tym na mnie.

– Ty może umrzeć – powiedział.

Jeden dzień drogi przez las klonowy. Jeszcze jedna noc, zasnąłem z Winabavem stojącym przy noszach. Jeszcze jeden ranek, obudziłem się w momencie, gdy nosze zaczęły ocierać się o ziemię. Wierny Winabave, wojownik z krainy Skrælingów.

Przez pięć dni Winabave włókł mnie przez las. Zdzierał nożem wewnętrzną warstwę kory sosnowej i przeżuwał na masę, którą potem mnie karmił. Była gorzka i trudna do przełknięcia. Zeskrobał też wewnętrzną warstwę kory wierzby, obok której przechodziliśmy, i zrobił z nią to samo, co z korą sosny. Kora złagodziła nieco ból.

Szóstego dnia weszliśmy w zniszczony pożarem las. Popiół nadal unosił się nad ziemią, od pożaru nie upłynęło raczej dużo czasu. Winabave znalazł szeroką na trzy pięści dziurę w ziemi, jedną z maczug powiększył ją na tyle, żeby się do niej wczłgać.

W norze znalazł cztery lisy, trzy z nich były podrośniętymi szczeniakami. Popiół i spalona ziemia zachowały ciała na tyle dobrze, że mięso jeszcze nie zgniło. Teraz Winabave rozpalił ognisko po raz pierwszy od początku naszej wędrówki. W zaciszu wywróconej starej sosny zebrał spalone gałązki i popiół i na modłę Skrælingów zrobił łuk do rozniecania ognia z gałązki i jednej z cięciw. Włożył pionowo na wpół spalony prosty patyczek w cięciwę łuku, tak że patyczek obracał się jak używane przez kobiety wrzeciono, kiedy on poruszał łukiem. Nie pierwszy raz coś takiego widziałem, również Eystein pokazał mi tę sztuczkę i dał nawet popróbować. Ale podczas gdy Eystein i ja niezgrabnie i mozolnie wytwarzaliśmy żar, Winabave opanował tę sztukę

po mistrzowsku. Użył kawałka czaszki jednego z lisków, żeby przytrzymać jeden koniec patyczka w garści, a drugim końcem pocierał mocno o kawałek spalonego drzewa liściastego. W ten sposób wytworzył dymiącą kupkę żaru, którą włożył potem w zebrany po drodze wiecheć suchej trawy.

Pokroił lisie mięso na wąskie paski i powiesił je nad ogniem. Doleciał nas smród. Może dziwicie się, że mieliśmy odwagę jeść zepsute mięso, ale każde mięso da się zjeść, jeśli tylko powisi nad ogniem wystarczająco długo, obficie przechodząc dymem. Winabave zaczął je wędzić, kiedy słońce stało trzy dłonie nad horyzontem i pozostawił je nad ogniskiem na całą noc i cały następny dzień. Dopiero wieczorem, po upływie ponad doby, zaczęliśmy jeść. Zapach zgnilizny zniknął, mięso smakowało teraz jedynie dymem i popiołem.

Znajdowaliśmy się na łagodnym grzbiecie zbocza, skąd mieliśmy dobry widok na okolicę. Winabave wypróbował łuki budowniczych kopców. Grzbiet jednego z nich oklejony był zwierzęcymi ścięgami. Widziałem, że uznał go za najlepszy. Zebrał pasujące do niego strzały, zbadał pozostałe, znajdując kilka tej samej długości i równie elastycznych, i włożył wszystkie do jednego kołczanu. Dobrze zapamiętałem ten kołczan, bo był zrobiony ze zdartej w całości skóry wydry, pamiętam osmalone palce Winabavego gładzące lśniąca sierść.

Obozowaliśmy przez trzy noce. Jeśli Skrælingowie nadal nas ścigali, nie było chyba lepszego miejsca na spotkanie ich niż tutaj, w spustoszonej przez ogień lesie, gdzie mieliśmy dobrą widoczność. Winabave wygrzebywał korzenie ze spalonej ziemi i dawał mi do przeżucia, ale nie pomagały na ból jak kora. Żebra już mi tak strasznie nie dokuczały, jednak goleń spuchła i była niemal tej samej grubości co udo. Winabave opowiedział mi, jak to jest z takimi złamaniami, widział już podobne, a któregoś razu brał udział w odcinaniu nogi pewnej dziewczynce, co uratowało jej życie.

O świcie czwartego dnia ruszyliśmy dalej. Było mi strasznie zimno, a kiedy zatrzymaliśmy się tego wieczora na nocleg, Winabave dotknął mojego czoła. Nie powiedział ani słowa, ale zrozumiałem, co to jest. Gorączka spowodowana ranami. W goleń wdało się zakażenie.

Winabave rozniecił ogień łukiem ogniowym i wrzecionem, tak jak przedtem w wypalonym lesie. Potem ułożył ognisko długości mojego ciała i umieścił mnie tuż przy nim. Zrobiło się zimno, więc położył się za mną, obejmując mnie, tak jak mężczyzna kładzie się ze swoją kobietą w zimowy wieczór. Pamiętam, że płakałem, bo tęskniłem za Sigrid i Ravntorem i czułem już we krwi śmierć. Napływała ze złamanej nogi, tak jakbym tą nogą był już w zimnej sali tronowej bogini Hel.

– Nie bać się – powiedział Winabave. – Nie bać się.

Jeszcze jeden dzień na noszach. Znowu widziałem czubki świerków drapiące przepływające nade mną chmury. Gorączka szalała we mnie i to nawet lepiej, bo coraz to osuwałem się w gorączkowy sen. O dziwo, nie czułem lęku przed utratą nogi. W Jomsborgu był mężczyzna, któremu odcięto nogę pod kolanem. Stary siwobrody, zawsze siedział na przystani i grał z innymi starcami w pionki. Uśmiechał się, kiedy przechodziliśmy obok, Halvor znał go od dawna i często zasiadał z nim do partyjki „stołu królewskiego”, ale stary chyba zawsze wygrywał. Odurzony gorączką widziałem siebie siedzącego tam. Teraz to ja byłem starym, a Halvor siedział przy mnie z szyderczym uśmieszkiem, również on się postarzał, włosy i broda mu posiwiały.

Niewielu moich krewnych wie, że Winabave pełnił funkcję kogoś w rodzaju seidmana u Rzecznego Ludu, bo rzadko się o tym wspomina. Posiadał rozległą wiedzę o roślinach rosnących w krainie Skrælingów, cały czas wmuszał we mnie korzenie, które najpierw przeżuwał na gęstą papkę. Przyswoił sobie ponoć całą tę wiedzę u Rzecznego Ludu, bo jakiś starzec wziął go do siebie jak syna i nauczył wszystkiego. To uratowało nie tylko mnie, ale również samego Winabavego. O tym, że został wykastrowany, rzadko kiedy mówił i nigdy nie słyszałem, żeby się na to skarżył. Któregoś poranka zobaczyłem, jak nagi podmywa się wodą nabraną do stożka z kory. Myślał pewnie, że śpię, podniósł członek, myjąc się. Między nogami miał paskudną bliznę. Była nierówna, poszarpana po bokach, ale całkowicie gładka i jasnoczerwona w środku. Później zmagął się z dolegliwościami typowymi dla mężczyzn, którzy utracili tę część ciała. Barki stały się węższe i opuściły go męskie siły.

Wkrótce wyszliśmy na bardziej otwarty teren. Tutaj mocno wiał północny wiatr, a wraz z wiatrem przyszła deszczowa pogoda. Gwałtownie dygotałem, rzadko kiedy

było mi tak zimno. Winabave przykrył mnie ubraniami zdjętymi z budowniczych kopców, ale nie przypominam sobie, żebym z tego powodu mniej marzył. Znaleźliśmy zaciszne miejsce w brzozowych zaroślach i Winabave znowu położył się blisko mnie.

– Jutro – powiedział. – Jutro... odciąć nogę.

Tej nocy znowu widziałem ojca. Siedział przy długim stole Odyna w Valhalli. Stół był tak długi, że nie mogłem dojrzeć jego końca. Dziwnie było zobaczyć usadowionych przy nim wojowników, wszyscy, milcząc, siedzieli ze wzrokiem utkwionym w stole, tak jakby spali. Ale ojciec podniósł wzrok. Obok niego na ławie było wolne miejsce.

– Torsteinie – powiedział. – Tak wcześnie przybywasz?

Sigrid pytała mnie, czy zasiadłbym przy stole Odyna tej nocy, gdyby Bjørn już tam był. A ja odpowiedziałem, że chociaż wszystko we mnie pragnęło uniknąć tego, co teraz miało nastąpić, odwróciłbym się do obydwu plecami. Dopóki oddychałem, chwytaliśmy się życia. Jeszcze była we mnie nadzieja. O ile tylko dane mi będzie dalej żyć, chciałem wrócić do Sigrid i pozostałych... Nawet z jedną nogą poprowadziłbym statek na południe wybrzeża Skrælingów. Gdyby tylko udało mi się zebrać ludzi... Być może nakłoniłbym Frøydis Eriksdatter i jej załogę, żeby mi towarzyszyli.

Winabave zaczął operację o świcie. Zaciągnął mnie w dół do strumienia, gdzie znalazł miejsce między młodym dębem a dwiema brzozami. Prowadził od niego mały uskok, nie wyższy niż długość ramienia, w dół do strumienia gęsto porośniętego sitowiem. Już nie padało, więc Winabave zdołał rozniecić ogień i zagotować wodę, wkładając gorące kamienie do naczynia, które sam zrobił z kory brzozowej. Kamienny nóż oczyścił, trzymając go w płomieniach. Potem szybko naciął mi mięsień po zewnętrznej stronie goleni. Pamiętam, że czułem każdą nierówność ostrza i że krzyknąłem. A kiedy ciął dalej, kamień otarł się o mokrą od krwi kość; zakręciło mi się w głowie i nagle zwymiotowałem. Winabave ścisnął nogę po obydwu stronach nacięcia, co wydawało się zmniejszać ból. Pamiętam, że chciałem go zapytać, czy obydwie kości goleni są złamane i chyba wolałbym, żeby tak było, bo wtedy nie musiałby łamać którejs z nich, żeby odciąć nogę. Oparł mi stopę o krocze i chwycił moją stopę. Kiedy pociągnął, poczułem, jak kości poruszają się w goleni. Z bólu

musiałem stracić przytomność, bo następne, co pamiętam, to Skræling stojący w strumieniu i splukujący sobie krew z rąk.

Nie spojrzałem od razu w dół, na goleń. Nie miałem odwagi. Leżałem tylko, patrząc na złociste korony drzew nade mną, słyszałem szum wiatru w sitowiu i Winabavego mamroczącego w swoim Skrælingowym języku. Kiedy w końcu zebrałem się na odwagę, oparłem się na łokciu i spojrzałem w dół.

Ale stopy nie brakowało. Nadal miałem całą nogę. Winabave podszedł do mnie, wyjaśniając najlepiej jak potrafił, że udało mu się złożyć złamaną kość. Nie naruszył dużych tętnic, jednak ranę trzeba będzie zszyć. Do tego celu chciał użyć ścięgna, więc musiał zapolować. Potem rozniecił ogień za pomocą łuku i wrzeciona. Zebrał duży stos opału, układając go w zasięgu noszy, a następnie wetknął wszystkie strzały zabrane budowniczym kopców, oprócz trzech, w ziemię tuż obok mnie. Założył cięciwę na jeden z łuków i położył go razem z ubraniami tuż obok noszy. Powiedział, że ubraniami mam się przykryć, jeśli w nocy zrobi się zimno, po czym chwycił łuk i trzy ostatnie strzały i ruszył przed siebie.

Ludzie, którym krwawienie oczyściło ranę z ropy, mogą czuć swego rodzaju odurzenie, jak po opróżnieniu trzeciego kufła piwa w dobrej kompanii w gospodarstwie przyjaciela. Wszystkie dziewczki w halli uśmiechają się do ciebie. Towarzysze walki są pełni słów uznania dla twoich czynów i nawet bogowie wydają się szeptać z góry, że dobry i śmiały z ciebie mąż i że zostaniesz na zawsze zapamiętany. Tak właśnie czułem się tamtego popołudnia przy strumieniu. Chociaż rana nadal bolała i widziałem krew przesiąkającą kawałki tkaniny, którymi Winabave obwiązał mi goleń, czułem, że złamana kość jest na swoim miejscu, i to dodawało mi odwagi. Jeśli tylko zrośnie się, zanim ostatnie liście opadną z drzew i jeśli tylko moglibyśmy dotrzeć na północ, do domu, na Wyspę Reniferów... Namówiłbym tę walkirię, tę Frøydis z Grenlandii, żeby popłynęła ze mną do Patuxetu, które zaatakowalibyśmy, pustosząc, paląc i grabiąc, i odzyskalibyśmy Ravntora.

Wreszcie udało mi się na tyle odczołgać, że usiadłem oparty plecami o młody dąb. Obłożyłem się ubraniami budowniczych kopców i przyciągnąłem ognisko z palącym się chrustem i całą resztą bliżej siebie, bo już zaczynało się ściemniać, a wraz

z mrokiem przyszło zimno.

Była bezchmurna noc i zapanował taki ziąb, że niemal słyszałem, jak ziemia pod mną zamarza. Pojawiła się dziwna wizja. Kiedy tak siedziałem, zobaczyłem ojca wychodzącego z czarnego lasu. Pozdrowił mnie otwartą ręką, jak wędrowiec. Był owinięty włochatą, szarą wełnianą opończą, miał też wysokie do kolan buty ze skóry łośia i dzierganą igłą czapkę. Zdjął z pleców wiklinowy kosz. „Teraz coś zjemy”, powiedział, siadając przy ognisku. Z kosza wyciągnął zająca. Rozciął go od gardzieli do tylnych nóg nożem, pięknie wykutym saksem z ułamanym czubkiem. Pamiętałem ten saks. To ja odłamałem czubek. Tego dnia śnieg prószył z szarego nieba, była późna jesień, a ojciec wcześniej wstał, chwycił łuk i strzały i poszedł na polowanie. Poprzedniego wieczora Bjørn dostał swój pierwszy nóż, ja byłem jeszcze za mały. Wyszliśmy na dwór i Bjørn zaczął rzucać nożem w drzewo, bo chciał mi pokazać, że podobnie jak najstarszy syn gospodarza potrafi tak rzucić, że nóż wbije się w korę. I od razu mu się udało, bo z Bjørnem było tak, że wszystko mu wychodziło. Nie chciał mi pożyczyć noża. Powiedział, tak jak ojciec, że jestem za mały. Zatem wróciłem do chaty, pogrzebałem w skrzyni ojca i znalazłem jego saks, ten, którego nie wolno nam było ruszać. Na rogowej rękojeści wyryte były runy, a ojciec powiedział nam kiedyś, że dostał ten saks w prezencie od potężnego męża, hovdinga. Bjørn próbował mi go odebrać, powtarzając, że jestem za mały. Wtedy zezłoszczony rzuciłem nożem ojca w drzewo, ale zamiast w drzewo, trafiłem w kamień. I czubek się odłamał.

– Myślałeś, że cię stłukę – rzekł ojciec, ściągając teraz skórę z tylnej części tuszki.

– Bjørn tak mówił.

Ojciec się zaśmiał.

– Twój brat lubił cię straszyć. Ale czy kiedykolwiek was uderzyłem?

– Nie.

Ojciec chwycił zająca za łeb i ściągnął skórę aż do karku.

– Nie wolno mężczyźnie bić tych, których jego kobieta wydała na świat, tak zawsze mówił mój ojciec. To już lepiej, żebyście byli dzikusami.

– Byliśmy dzikusami?

Ojciec próbował zdjąć skórę z maleńkiej okrwawionej czaszki.

– Ty i Bjørn byliście nie do poskromienia. Twój brat uwielbiał się bić. A ty byłeś

takim dzieciakiem, który musi wysoko się wspinać i daleko wypływać. Przez ciebie nabawiłem się siwych włosów, Torsteinie. Bałem się, że strasznie się potłuczysz i połamiesz sobie nogi.

– Teraz złamałem sobie nogę.

Ojciec nie odpowiedział. Podniósł się i dołożył do ogniska, a potem przykucnął obok mnie.

– Torsteinie – rzekł, kładąc mi rękę na policzku. – Mój synku.

Pachniał wełną, zwierzęcym tłuszczem i potem. To był ciepły i bezpieczny zapach. Przytulił mnie i trochę potarł, jak miał w zwyczaju, kiedy byłem mały. Zacząłem płakać, a ojciec gładził mnie po policzku wierzchem dłoni.

– Wypłacz się u mnie, Torsteinie. Płacz, ile chcesz. Ale nie uroń choćby jednej łzy przy obcych. Tam musisz być twardy. Tam nie zaznasz od innych litości i sam dla nikogo nie będziesz jej miał.

Kiedy się ocknąłem, ojca już nie było. Zniknął jak sen, ognisko dopaliło się i zgasło. Było już jasno, leżałem twarzą na zmarzniętej ziemi. Stamtąd dostrzegłem kogoś między drzewami. Był ubrany w wysokie do kolan buty ze skóry jelenia i miał na sobie zwierzęcą skórę, która wyglądała na skórę grzbietową łosia. Długie czarne włosy opadały mu na piersi. W jednej ręce trzymał łuk i dwie strzały, w drugiej kamienny nóż.

Kiedy usiadłem, opuścił płaszcz z łosiej skóry na ziemię. Zagadał w swoim języku, odłożył łuk i strzały i szybko podszedł do mnie z nożem.

Stoczyłem z nim walkę tam, przy strumieniu. Usiadł mi okrakiem na piersi i przycisnął nóż do gardła. Jakoś udało mi się go z siebie zrzucić, przetoczyliśmy się aż do brzegu strumienia, on wylądował na górze i uderzył mnie dwa razy w twarz. Na wpół oślepiony po omacku odnalazłem jego twarz, udało mi się wcisnąć palce do ust, chwyciłem za dolną szczękę i obróciłem całego na bok, wpychając do strumienia. Przytrzymałem mu głowę pod wodą, aż utonął.

Winabave wrócił pod wieczór. W garści trzymał zająca. Najpierw stanął, przyglądając się martwemu napastnikowi, a potem podszedł do mnie i dotknął mojego czoła.

– Sebik – powiedział. – Ty... trudno zabić.

Rozpalił ogień i znowu mnie ogrzał. Później stanął na dole przy zabitym, mamrocząc tak, jakby we mgle napływającej nad poszycie leśne były duchy, z którymi musiał się poradzić. Coś chwycił przed sobą, przez jego zniekształconą twarz przechodziły skurcze, po czym usiadł przy trupie i zaczął rozcinać mu udo. Jeśli widzieliście kiedykolwiek człowieka trafionego toporem w zewnętrzną część uda, wiecie, że jest tam długie i szerokie ścięgno, które biegnie na całej długości od biodra do kolana. To właśnie ścięgno wycinał teraz Winabave. Następnie zagotował wodę w naczyniu z kory brzozonej, ścięgno włożył do wrzątku i dał mu tam poleżeć przez dłuższy czas. Zwinęło się, tak jak ścięgna zwijają się w gorącej wodzie, i po jakimś czasie stało się miękkie jak oskrobana rybia skóra. Winabave oczyścił je z tłuszczu i skrawków mięśni, a na koniec rozszczeplił na pasemka grubości nici.

Pozszywał mnie tymi nićmi ze ścięgna. Najpierw zapytał, czy sobie tego życzę, mówiąc, że jeśli już włoży mi ścięgno człowieka, będzie za późno, żeby żałować. Ale ścięgno miało mi przekazać trochę siły życiowej zabitego, a to mogło mi uratować życie.

Nie pamiętam, żebym coś mu odpowiedział. Winabave mamrotał i znowu dostał skurczów na twarzy, jakby ogarniało go jakieś szaleństwo. Potem zaczął mnie zszywać. Zszył zarówno ranę w piersi, jak i goleń. Nie miał igły, więc robił otwory kamiennym nożem i przewlekał przez nie nici ze ścięgna. Nie opierałem się i nie skarżyłem, a on pochwalił mnie za to. Lecz to nie odwaga sprawiła, że siedziałem tak cicho nad strumieniem tego wieczora. Nie czułem też żadnego strachu, że byłem zszywany ścięgnem wyjętym z martwego człowieka. Nie pamiętam nic oprócz wyczerpania. Kiedy Skræling skończył szyć, okrył mnie płaszczem z łosiej skóry, który miał na sobie napastnik, i pogładził po włosach, a ja czułem, jakby ojciec wrócił i siedział teraz przy mnie.

– Śpij – powiedział. – Śpij, Torsteinie.



21

Matanuga

Słyszałem, że gdy człowiek jest bliski śmierci, Odyn zsyła mu sny dające odpowiedź na dręczące go pytania. Raz po raz zapadałem w malignę, ale w momentach przytomności widziałem, że Winabave siedzi przy mnie, cicho podśpiewując, albo widziałem nagie gałęzie wyciągające się w kierunku szarego, zimnego nieba. Raz po raz czułem też pokład pod stopami i widziałem Bjørna przy wiosle sterowym płynącego knarą przez wzburzone morze. Potem stał w halli oświetlonej niezliczonymi pochodniami, w której siedzieli wojownicy słoczeni przy długich stołach, wszyscy jak jeden mąż odziani w niebiesko-czerwone tuniki bogaczy. Przed nim siedział jakiś mężczyzna na siedzisku wodza, był bez brody i całkowicie łysy, ramiona okrywała mu skóra wilka.

Widziałem padający z nieba śnieg. Czułem, jak płatki topią się na mojej skórze. Słyszałem głos Winabavego. Co wieczór szeptał mi, że mam jeść, a potem spać i że nie wolno mi umierać, bo on szeptem prosił obecnego we wszystkim ducha, żebym

przeżył. Słyszałem, jak pociera wrzecionem o deseczkę, i czułem zapach dymu. Słyszałem, jak rozdmuchuje ognisko, i czułem jego ciało przy swoim.

– Nie umierać... Nie umierać...

Trzydzieści dni. Jeden dzień na każdy miesiąc w roku. Tak długo trzymała mnie gorączka. Kiedy w końcu puściła, była już zima. Winabave znalazł w jakimś jarze jaskinię, ile dni tam spędziliśmy, nie wiem. Rozpalał ognisko, a w starym zagłębieniu w jaskini gotował wodę za pomocą kamieni z ogniska i przemywał mi rany. W okolicznym lesie zastawiał sidła wyplecione z łyka, a pewnego dnia, niedługo po tym, jak gorączka mnie opuściła, znalazł tropy stada wilków. Te doprowadziły go do dopiero co upolowanego młodego łosia, który wybiegł na pokryte lodem jezioro i tam został dogoniony przez watahę. Głośnym krzykiem i płonącymi kijami Winabave odstraszył wilki, żeby oskórować łosia i wykroić mięso. Leżałem przy wejściu do jaskini okryty łosią skórą, podczas gdy Skræling wieszał mięso do wędzenia. Ponieważ do tego celu używał wilgotnego drewna, jaskinia wypełniła się dymem. Pamiętam milczenie i ciszę tego dnia. Winabave nadziewał mięso na żerdki, które wbite wokół ogniska przypominały szkielet Skrælingowej chaty z kory, ja nadal byłem bez sił po przebytej gorączce. Tego wieczora pomacał mi szwy na goleni i wymamrotał, że musimy je usunąć, jak tylko skóra się zablizni.

Następnego ranka zaczął zakrywać wejście do jaskini. Jeśli oczami wyobraźni widzicie ten rodzaj jaskini, do której udają się seidmeni, gdzie na ścianach wyrte są znaki przodków, a wąskie korytarze mogą cię zawieść do królestwa samej Hel, musicie wiedzieć, że jaskinia, w jakiej znajdowaliśmy się teraz z Winabavem, taka nie była. Głęboka na zaledwie dwóch chłopa i mniej więcej tak samo szeroka bardziej przypominała schronienie pod nawisem skalnym niż prawdziwą jaskinią. Stając przy wejściu i zaglądną do środka, widziało się korzenie wystające przez szparę po prawej stronie, jakby dzielące jaskinię na dwie części. Za te korzenie można się było wczłogać. Według Winabavego zimował tam młody niedźwiedź, bo na korzeniach została sierść.

Również ten dzień spędziłem przy wejściu do jaskini. Winabave sklecił sobie ramy

na stopy, których Skrælingowie używają do poruszania się po głębokim śniegu.

– *Akumk* – powiedział, wskazując na nie, a potem poczłapał do jaru, żeby zajrzeć do sideł.

Tego dnia nie trafiła się żadna zdobycz, ale nadal mieliśmy dużo łosiowego mięsa. Wieczorem wymamrotał, że pójdzie do martwego łosia i wykroi więcej mięsa, o ile jeszcze coś zostało. Ale następnego ranka śnieg padał tak gęsto, że ledwo widać było rękę przed sobą, więc pozostaliśmy w jaskini.

Moja trzecia zima w krainie Skrælingów. Latem mijałby trzeci rok spędzony na zachód od morza. Musiałem przyznać, że z moich szeroko zakrojonych planów nic nie wyjdzie. Nawet gdyby mój brat, Hutten i inni, którzy mu towarzyszyli, powrócili, było nas o wiele za mało. Dom dalibyśmy pewnie radę zbudować i może moglibyśmy pędzić smołę, produkować żelazo i próbować wymienić je u Grenlandczyków na zwierzęta. Lecz plany pozyskiwania drewna i budowania łodzi musiały spalić na panewce. Było nas zaledwie tylu, żeby jakoś chronić się przed głodem.

Winabave nie odnalazł już łosiowego truchła. Wilki w krainie Skrælingów są większe niż nasze i stado z łatwością może powlec za sobą młodego łosia. Jednak na razie mieliśmy co jeść, a w sidła zaczęły łapać się zajęce; Skræling każdego ranka znajdował kolejne. Jar był dobrym miejscem do zastawiania sideł, bo po zachodniej stronie jego zbocze wspinano się stromo, w kierunku prawie pozbawionego roślinności wzniesienia. Po wschodniej stronie było urwisko, skąd spadły potężne bloki skalne, a dwa ułożyły się jeden obok drugiego o dobry strzał z łuku od jaskini, tworząc jakby bramę, przez którą musiałeś przejść, chcąc dalej podążać jarem. Winabave umieścił sidła w bramie, a także na górze na zachodnim zboczu, i wkrótce uszył sobie z zajęczych skórek wysokie do kolan buty i tunikę.

Mój towarzysz pozostawił mi szwy na osiemnaście dni. Kiedy je usuwał, rany na piersi i na goleni już się zabiły. Na goleni nadal miałem opuchliznę, a kość wewnątrz była przecież złamana, więc rozumiałem, że długo jeszcze potrwa, zanim stanę na nogi. Jednak Winabave mówił do mnie swoim łamanym językiem, obiecując, że utrzyma nas przy życiu. Będzie polował. Będzie zastawiał sidła. Będzie zbierał opał

i mnie nie opuści.

Kilka dni po tym, jak usunął mi szwy, zaczęło wiać. Skræling musiał przeczuwać, co się zbliża, bo natychmiast przypiął sobie akumki i poczłapał przed siebie w śnieżną zamieć. Wrócił z pełnym naręczem gałęzi. Wrzucił je do jaskini, po czym znowu zniknął w bieli. Ponieważ jaskinia była płytka i odsłonięta, ułożył ścianę z gałęzi od ziemi do sklepienia jaskini. Kiedy przebywało się wewnątrz, miało się otwór drzwiowy po prawej stronie, tylko o odległość ramienia od mojego legowiska, gdzie mogłem na leżąco obserwować jar. Winabave wrócił wkrótce z gałęziami świerkowymi, które wplótł w szczeliny, a z kory i lepkich od żywicy gałązek zrobił drzwi, które ustawił w wejściu do jaskini.

Wichura szalała przez całą noc i cały dzień. Winabave siedział przy mnie, opowiadając, jak to się stało, że zima w ogóle pojawiła się za czasów pierwszych ludzi. Najpierw nie było zimna ani głodu. Trwało wieczne lato, drzewa ugiwały się pod ciężarem owoców, a poszycie leśne było niebieskie i czerwone od słodkich jagód. Aż któregoś dnia pewien młody mężczyzna zobaczył spadający z nieba ogień i zapragnął go mieć. Zapytał więc ogień, czy może go posiadać na własność. Ogień odpowiedział, że jeśli człowiek ma go posiadać, musi też wiedzieć, czym jest zimno. Młody mężczyzna uznał to za rozsądną i korzystną umowę, więc pochwycił ogień, i w momencie, kiedy to zrobił, z nieba zaczął padać śnieg.

Opowiedziałem Winabavemu o Wielkiej Zimie, Finbulvinter, tak samo jak ojciec opowiadał to mnie i Bjørnowi. Kiedy skończy się Ragnarok, kiedy bogowie stoczą walkę, a wilk Fenris nasyci się mięsem trupów, spadnie śnieg, a zima skuje wszystkie lądy na trzy lata. Przez te trzy lata będzie tylko ciemność i zimno i tylko ten, kto jest silny i ma ze sobą ród i dobrych przyjaciół, przeżyje.

– Wznoście dobre słupy narożne – mawiał ojciec. Gdy opowiadał tę historię, wyciągał rękę, głaszcząc sosnowe bale stanowiące zręby naszej małej chaty. – Mądry człowiek buduje małą hallę, ale wkłada dużo pracy w jej szkielet. Mądry człowiek umieszcza mocne belki pod dachem. Głupcowi chodzi tylko o to, żeby mieć wysoko pod kalenicą.

Winabave uważnie słuchał, kiedy mówiłem; zawsze tak robił. I chyba nawet uczeni w piśmie, mówiący dwoma czy trzema językami mnisi nie nauczyliby się szybciej

mojej mowy niż on. Powtarzał słowa, a jeśli nie rozumiał ich znaczenia, pytał. Opowiadał mi też o ludach zamieszkujących krainy Skrælingów, chociaż miałem trudności z wymówieniem nazw różnych plemion i rodów. Opowiedział mi o swoim ojcu, który stracił wszystkie palce u stóp oprócz wielkiego palca prawej nogi, kiedy w młodości łód się pod nim załamał podczas polowania. Ojciec miał podobny chód do mojego, twierdził Winabave, powłóczył prawą nogą i matka nie chciała go najpierw z tego powodu, bo myślała, że nie nadaje się na myśliwego. Wtedy ojciec zniknął i ludzie przypuszczali, że ze wstydu nie chce się już nikomu pokazywać na oczy. Aż pewnego dnia stanął w wiosce ze skórą jelenia na ramionach i ozdobą głowy zrobioną z czaszki jelenia, z której wyrastało wspaniałe poroże z osiemnastoma odnogami.

Po wichurze przyszły tak gęste opady śniegu, że nie można było wyjść na zewnątrz. Przeczekaliśmy jeszcze jeden dzień, chociaż tak naprawdę nie wiedzieliśmy, czy jest dzień, czy noc, bo w jaskini panowała całkowita ciemność. Wkrótce miał nam się skończyć opał i zaczęło się robić zimno. Winabave położył się blisko mnie pod łosiową skórą i chociaż wiem, że wielu się z tego podśmiewa, nazywając go półmężczyzną, bo był wykastrowany, chyba nie przeżylibyśmy, gdybyśmy nie leżeli w ten sposób. Bo zimno, które teraz chwyciło, było gorsze niż wszystko, czego wcześniej doświadczyłem. Pamiętam, że narzekałem na ziąb w kraju Wendów, gdy Sigrid i ja uciekaliśmy przed ludźmi Olafa, ale mróz w krainie Skrælingów był gorszy. Kiedy Winabavemu w końcu udało się wygrzebać na zewnątrz, śnieg leżał w jarze na wysokość chłopa, a trzy świerki wywróciły się i spadły między kamienne bloki. Winabave chwycił akumki, łuk i kołczan ze strzałami, wyczołgał się na zewnątrz i tyle go widziałem.

Nie było go przez cały dzień. Udało mi się podnieść na kolana i za pomocą gałęzi zrobić otwory wysoko między ścianą a sklepieniem jaskini, żeby dym mógł wydostawać się na zewnątrz. Rozpaliłem następnie ognisko tak małe, że musiałem się zgiąć w pół i położyć wokół niego, żeby utrzymać ciepło.

Widziałem światło dnia wpadające przez otwór na dym i przez tunel wygrzebany przez Winabavego. Widziałem, jak światło znika, a wraz z ciemnością przyszły ponure myśli. Były ciężkie od tęsknoty. Straciłem tyle osób, że czasem wydawało mi

się, że nie mogę pamiętać o nich wszystkich. Sigrid zawsze była obecna w moich myślach i nikt nie był tak blisko jak ona. Kiedy zamykałem oczy, czułem niemal zapach jej włosów i szczupłe, wiotkie ciało tuż przy moim. Był tam Ravntor, tak bardzo blisko mnie, że niemal czułem jego rączkę w mojej ręce i słyszałem jego głos wołający na Fenrego, żeby się pobawić, i śmiech, kiedy ciągnął mężczyznę za brodę. Tęsknota potrafiła też zanieść mnie z powrotem do ojca, do wieczorów przy palenisku, do zapachu słonego morza, dymu z ogniska i natłuszczonej wełny, a w blasku padającym od ognia ręce ojca zawsze były czymś zajęte: skręcał wędy na ryby, wycinał haczyki z kości, skrobał hubkę i wystrugiwał drzazgi na rozpałkę gotowe do użytku następnego ranka. Również Bjørn był często w moich myślach, widziałem go przy wiośle sterowym na wietrze i przy wzburzonym morzu wokół, jakby nadal walczył ze sztormem.

Tylu ich straciłem... Zbyt wielu. Ale gdyby Odyn pojawił się w jaskini, mówiąc, że jedno z nich mogę odzyskać, wybrałbym syna. Obiecałbym Wszechojcu, że nigdy już nie będę martwił się znamieniem, i złożyłbym ofiary, gdyby tylko dał mi siłę i odwagę, żeby zebrać wojowników i ruszyć przeciwko Patuxetom. Z radością przyjąłbym śmierć w walce, gdyby tylko Ravntor mógł powrócić do matki.

O świcie rozdmuchałem żar i przeżułem kawałek wędzonego mięsa łosia. Jak co rano pomacałem językiem ranę po haku i przeciągnąłem dłonią po goleni. Zarówno rana po haku, jak i skaleczenie na goleni zabiły się. Goleń nie była już spuchnięta, ale czułem, jak na kości tworzy się zgrubienie. Winabave żartował, że nic nie szkodzi, że okuleję na tę nogę, bo skoro już kulałem na jedną, wszystko w pewien sposób się wyrówna. Ale chyba raczej miałem stać się ledwo trzymającym się na nogach nieszczęśnikiem, takim, który potrzebuje laski w obydwu rękach. Ta perspektywa z każdym dniem coraz bardziej mnie przerażała. Jeszcze nie podniosłem się na nogi, lecz kiedy wreszcie śnieg się stopi, czeka nas długa wędrówka do Wyspy Reniferów.

Winabave wrócił po południu. Miałem już wtedy tylko dwie suche gałązki opału. Skræling przyniósł całe naręcze suchych gałęzi z przewróconego przez wiatr drzewa wiązu, które owinął kilkoma pasmami kory i dotargał na plecach.

Za to nie poszczęściło mu się na polowaniu. Siedział w milczeniu tego wieczora,

skręcając sznur z łyka, z jednym końcem między przednimi zębami, drugim zaś między palcami, które obracały się i skręcały, obracały i skręcały, raz za razem; taka praca może wprowadzić człowieka w trans.

Po skręceniu sznurów usiadł przy małym ognisku, a ogień rzucał cienie na jego zniekształconą twarz. Rękę trzymał w kroczu, w spodniach z jeleniej skóry, często tak siedział. Rzadko widziałem u niego bardziej ponury wzrok niż tego wieczora. Powiedział mi, że śnieg i niepogoda musiały wypłoszyć całą dziczyznę w głąb lądu albo może na południe, bo nie znalazł ani jednego tropu, a na niebie nie było wron i kruków. To ostatnie było według niego bardzo złym znakiem, ponieważ oznaczało, że śnieg nie tylko przepędził dziczyznę, ale też pokrył wszelką padlinę. I to nie koniec. Był całkiem pewien, że wkroczyliśmy na teren Matanuga, krainy, do której udawali się mężczyźni, żeby walczyć.

Komuś, kto nigdy nie przepłynął morza na zachodzie, trudno to pojąć. Może wy i wasze rody walczyliście o ziemię, którą nazywacie swoją, o gospodarstwo i okoliczne tereny, prawo do połowu ryb na płytkich łowiskach. Wasi ojcowie mówili wam być może o leidangu i obowiązku ciążącym na każdym wolnym mężu, żeby bronić ziemi należącej do jarla i króla. Niektórzy z nas podróżowali do wielu miejsc, walczyli na ziemi należącej do innych i zawłaszczali takie ziemie, ale nikt chyba nie słyszał o krainie, do której mężczyźni przybywają nie po to, żeby ją zdobyć, tylko po to, żeby walczyć. Zrozumcie, że Skrælingowie pod wieloma względami są tacy jak my, lecz jeśli chodzi o pojmowanie honoru, bardzo się różnimy. Oczywiście, że walczyli w obronie swojej ziemi i pól uprawnych, oczywiście, że grasowali, pustoszyli i plądrowali ziemie innych, tak jak my wszyscy. Jednak potrafili też wyruszyć w podróż, nie mając innego celu niż walka i zdobycie sławy.

Nie miałem o tym pojęcia, dopóki Winabave mi o tym nie opowiedział tamtego wieczora. I rzadko kiedy coś mnie tak wystraszyło. Mężczyzna, który walczy o sławę i nie przejmuje się ani łupem, ani słowami, jakie będą wyrzeźbione po jego śmierci, jest bardzo niebezpieczny. A teraz Winabave powiedział mi, że weszliśmy na teren w głąbi lądu, gdzie nikt nie zawłaszczal lasu ani terenów łowieckich i gdzie udawali się tylko ci, którym zależało na zdobyciu sławy. Skrælingowie wierzą, że istnieje moc obecna we wszystkim, w zwierzętach, drzewach i w ziemi pod naszymi stopami. Tego

Winabavemu nigdy nie udało się do końca mi wytłumaczyć, ale każdy Skræling wie, że wszystko, co robimy, jest przez tę moc postrzegane. W Matanuga walczyli ze sobą najodważniejsi, zabijali się wzajemnie maczugami, pozwalając krwi przeciwnika wsiąkać w ziemię. Żeby zasłużyć na dobrą kobietę, młody mężczyzna często ściągał skórę z głowy zabitego przeciwnika i przynosił ją swojemu klanowi, czasami wypełniał ją suchą trawą i zawieszał pod belką dachową. Jednak zazwyczaj zabójstwo pozostawało tajemnicą między nim a obecnym we wszystkim duchem.

Zdaniem Winabavego powinniśmy się spodziewać, że wielu przyjdzie tu po nas. Zabicie takiego jak ja mężczyzny, który uśmiercił tylu ludzi i w dodatku był człowiekiem z morza, dałoby zabójcy, który przyniesie skórę z mojej głowy jako łup, tak wielką sławę, że zyskałby prawo do bogactw i kobiet z najlepszego rodu.

Winabave opuścił jaskinię następnego ranka. Najpierw wyczołgał się, żeby przynieść opał. Słyszałem przytłumione odgłosy, kiedy odłamywał gałęzie z drzew rosnących w głębi jaru. Trzykrotnie wracał z całym naręczem, a potem rozdmuchał żar. Siedział na kolanach przy tym małym płomieniu, tak jakby postanowił jednak zostać, ale nagle podniósł się, wypchnął łuk, kołczan, zawiniątko z mięsem łośia i akumki przez dziurę w śniegu i poszedł.



22

Wendigo

O Torsteinie Szkutniku mówi się, że widział więcej ziem Skrælingów niż Torfinn Karlsevne i potomkowie Eryka. Przychodzili do mojej halli ludzie, niektórzy z nich byli wysłannikami królów i jarłów, tylko po to, żeby wysłuchać opowieści o wyspach na zachodzie, o rodach i klanach Skrælingów. Ale trudno im wyjaśnić, że ląd na zachodzie to wcale nie wyspy, a sam koniec najbardziej na wschód wysuniętej części Gardarike. Gdyby potomkowie Ruryka wystarczająco długo jechali konno na wschód, wjechaliby na ziemie Skrælingów, lecz nigdy nie słyszałem, aby ktoś się odważył na taką podróż. Być może wyprawa trwałaby za długo, być może zbyt wiele niebezpieczeństw czyhałoby po drodze.

Możnowładcy i królowie dobrze mi płacili za narysowanie mapy. Naszkicowałem linię brzegową tam, na zachodzie, narysowałem wyspę, na której byłem hovdingiem, Patuxet i te obszary oraz wybrzeże aż na północ do wiecznego lodu nazwałem Ziemią Skrælingów, bo to jest nazwa, którą ludzie rozumieją. Wszystko na południe od tego nazwałem Ziemią Śmierci, ale kiedy ludzie pytali dlaczego, milczałem. I długo

milczałem przed Sigrid i moimi synami, i Bjørnem, i wszystkimi tymi, którzy są mi bliscy, ponieważ to, co się wydarzyło w Matanuga, co zmuszeni byliśmy tam zrobić, miało pozostać między mną a bogami. W końcu jednak stało się ciężarem i pewnego wieczora wyrzuciłem to z siebie. Myślę, że moje słowa rozeszły się, bo Halvor powiedział wszystko jednej ze swoich kochanek pewnego wieczora, kiedy piwo lało się strumieniami i potem już żaden wódz na północy nie był bardziej osławiony niż Torstein Szkutnik.

Zaraz potem, jak Winabave wyruszył, znowu zaczął padać śnieg. Sypało przez cały dzień i całą noc. Ponownie musiałem przebić otwór przy sklepieniu jaskini, żeby dym mógł wydostawać się na zewnątrz. Zjadłem resztkę łosiowego mięsa i to uchroniło mnie przed głodem jeszcze przez dobę. Ale drugiego wieczora skończył się też opał i do jaskini wkradło się zimno. Jeśliby Winabave nie wrócił przed świtem, byłbym zmuszony wyczołgać się i znaleźć jakiś opał. Nawet gdybym miał iść na czworakach, musiałbym wyjść na zewnątrz. W przeciwnym razie zamarzęłbym.

Tej nocy śnił mi się Ravntor. Siedział przy ognisku, trzymając ręce blisko płomieni. We śnie był starszy, miał może z dziesięć lat. Włosy okalały twarz, wzrok miał utkwiony w ogniu, ale widziałem blask ognia migoczący na jego znamieniu na brodzie i szyi.

– Rozpalę ogień – powiedział. – Nie dam ci zmarznąć.

Następnego ranka obudziłem się z rzadko spotykaną jasnością umysłu. Skuliłem się w nocy jak płód w łonie matki i szczelnie owinąłem skórą łosia. Ubraniemi, które Winabave zabrał budowniczym kopców, też się przykryłem, ale one kiepsko nadawały się na ochronę przed zimowym chłodem i teraz byłem przemarznięty do szpiku kości. Mimo to nie czułem żadnej rozpacz i o dziwo, nie tylko umysł miałem jasny. Przepęniała mnie też odwaga. Później się dowiedziałem, że głód może coś takiego zrobić z człowiekiem, napełniając go chęcią działania i zapalem. Ma on wtedy do dyspozycji dzień albo dwa, zanim głód znowu chwyci go na poważnie i zrezygnowanego pociągnie w dół.

Próbowałem najpierw rozniecić ogień za pomocą ostatnich kawałków opału, ale

zostały tylko spalone drzazgi. Nie znalazłem takiego kawałka drewna, o które mógłbym oprzeć wrzeczono i łuk ogniowy. Chociaż pewnie i tak nie udałoby mi się rozniecić nim ognia. Dlatego zacząłem przedzierać się przez zawiany śniegiem tunel, rozumiejąc, że raczej nie mam szans na przeżycie, jeśli nie znajdę więcej opału. Kiedy wreszcie wyszedłem na zewnątrz, najpierw klęknąłem, osłaniając oczy rękami. Światło całkowicie mnie oślepiło.

Dopiero gdy udało mi się przejrzeć na oczy, odkryłem, że teren wokół całkowicie się zmienił. Śnieg sięgał wysoko do pni drzew, a gałęzie świerków były przygięte pod jego ciężarem. Leżące w jarze głązy, przedtem tak ostre i kanciaste, były teraz miękkimi, okrągłymi pagórkami. Przejście między dwoma opierającymi się o siebie blokami, gdzie Winabave zastawiał sidła, niemal doszczętnie zawaiało. Ślady Skrælinga oczywiście zawaiało już dawno temu. Zawołałem na niego, ale skończyło się na jednym wołaniu, bo mój głos jakby coś zakłócał tam, w jarze. Może tego ducha, o którym mówili Skrælingowie, obecnego we wszystkim. Wołanie odbiło się od przepaści, z kilku świerkowych gałęzi spadło nieco śniegu. Potem znowu zapanowała cisza, zalegała nad okolicą, równie ciężka i zimna jak śnieg.

Długo zastanawiałem się, co począć. Powlokłem się na czworakach do najbliższych drzew i przyniosłem trochę suchych gałęzi, a potem próbowałem je podpalić za pomocą łuku ogniowego, jak robił to Winabave. Udało mi się uzyskać dym i żar, ale bez suchej trawy, z której można by rozdmuchać ogień, na tym się skończyło. To mnie całkowicie zniechęciło i odczuwany przedtem zapach ustąpił miejsca rezygnacji. Położyłem się w jaskini i musiałem tak spędzić resztę dnia, bo wkrótce znikły cienkie smugi światła dziennego wpadającego przez otwór na dym i przez tunel. Ponownie pogrążyłem się w ciemnościach. Marzłem tej nocy, marzłem tak, że cały dygotałem. Przyznałem przed sobą, że jestem bardziej wycieńczony, niż myślałem.

O świcie znowu wyczołgałem się z jaskini w śnieg, z mocnym postanowieniem znalezienia opału, przede wszystkim chrustu. Powinienem też zdobyć jakieś pożywienie, ale nie wiedziałem, jak tego dokonać.

Ludzie uśmialiby się, zobaczywszy mnie tego poranka. Ponieważ nie miałem odwagi opierać ciężaru ciała na stopie, wymyśliłem dziwaczny sposób poruszania się.

Łuk i strzały zatknąłem z tyłu za pasem, a ręce owinąłem kilkoma pasami skóry łosia. Odciąłem cztery gałęzie świerka, przywiązałem po jednej do każdego kolana, a dwie chwyciłem rękami. W ten sposób mogłem iść na czworakach, nie zapadając się w śniegu, i tak pokonałem wzniesienie. Założyłem, że Winabave poszedł tą drogą. Pewnie próbował wejść tak wysoko, jak się da, żeby wypatrzeć ptaki żywiące się padliną.

Zrobiłem to samo, kiedy wreszcie udało mi się wspiąć na wzniesienie. Niebo nade mną było niebieskie i całkowicie bezchmurne, wszędzie panowała ogłuszająca cisza.

Ponieważ wzniesienie, na którym się znalazłem, było niemal całkowicie pozbawione drzew, miałem dobry widok na okolicę i długo stałem na kolanach, próbując wyobrazić sobie, jak Winabave widział ją okiem Skrælinga. Po drugiej stronie wzgórza teren znowu się obniżał. Z drogi słońca po nieboskłonie wywnioskowałem, że jar i jaskinia są na wschód ode mnie, a las w dole znajduje się na zachodzie. Teren po zachodniej stronie leżał o wiele niżej niż jar, las był chyba liściasty. Domyślałem się, że śnieg na dole jest co najmniej tak głęboki jak na górze. Poszycie wyglądało na całkiem płaskie i nie było tam krzewów i podszytu, w każdym razie nic nie wystawało ponad śnieg. Ten płaski teren, nie licząc wzgórza, rozciągał się na szerokość i długość dobry kawał w kierunku zachodnim. Gdybym wybrał się tam na polowanie, poszedłbym w kierunku wzgórza, choćby po to, żeby mieć punkt orientacyjny w terenie i się nie zgubić.

Zszedłem dobry kawał w dół zbocza, kiedy zaczęły mnie piec kolana, zimno przenikało do nich przez nogawki. Pamiętam, że usiadłem przy pniu drzewa i pocierałem kolana. Głaskałem też złamaną goleń, myśląc, że muszę wracać do jaskini. Ale bez suchej trawy, z której można by rozdmuchać ogień, i bez opału raczej nie dożyłbym poranka.

– Winabave! – zawołałem.

Mój głos przerwał ciszę, teren nie był zupełnie pozbawiony życia. Dwie wrony z trzepotem skrzydeł wzleciały nad drzewa. Obserwowałem, jak mozolnie wzbijają się do zimnego, niebieskiego nieba ciężkimi uderzeniami skrzydeł. Kiedy już były wystarczająco wysoko, zatoczyły dwa koła, jakby lepiej przyglądając się terenowi pod nimi, po czym poszybowały w dół w kierunku lasu.

Najpierw nie zastanawiałem się nad tym. Być może byłem zbyt wyczerpany. Nadal szedłem na czworakach w głąb lasu. I wtedy znowu usłyszałem wrony. Teraz do mnie dotarło. Musiała tu gdzieś leżeć padlina.

Gdy wreszcie dotarłem w dół do lasu, szybko straciłem z oczu miejsce, z którego wrony wzbiły się w powietrze. Jednak jeszcze przez jakiś czas poruszałem się do przodu w ten sam sposób, aż w końcu byłem zmuszony się zatrzymać, bo ból kolan stał się nieznośny. Zrozumiałem, że albo muszę wstać na nogi, albo wrócić do jaskini, ale zimno niemal paraliżowało mi ręce i kolana. Usiadłem plecami do pnia dębu, położyłem ręce na podołku, nawet nie próbując ogrzać ich pod pachami. Mokre na kolanach spodnie przymarzły do skóry, ale tego prawie nie zauważyłem. Czułem niemal ciepło i było to cudowne uczucie. Zamknąłem oczy, nie zwracając już uwagi na ból złamanej goleni i na głód w żołądku.

Jak długo tak siedziałem, nie pamiętam. Ale przypominam sobie, że zamknąłem oczy i prawie zobaczyłem długie stoły w Valhalli i wolne miejsce na ławie obok ojca. Usłyszałem nawoływanie dwóch kruków i pomyślałem, że to Hugin i Munin, siedzące na belkach pod powalą halli. Nagle spadło na mnie trochę śniegu, uczucie ciepła zniknęło, podobnie halla Odyna, a ja nadal siedziałem pod pniem drzewa. Znowu usłyszałem wrony. Ruszyłem na czworakach i wkrótce je zobaczyłem. Siedziały na gałęziach zaledwie o rzut kamieniem ode mnie. Jedna z nich skoczyła w śnieg i zaczęła coś dziobać.

Podszedłem bliżej i nagle dostrzegłem wystającą ze śniegu rękę. Była rozdziobana przez wrony aż do kości. Winabave! – Nie wiem, dlaczego krzyknąłem. Nie mógł mnie już przecież usłyszeć. Zbliżyłem się, wziąłem go za rękę, pottrzymałem za te zamarznięte, rozdziobane palce i poczułem się straszliwie samotny. Zacząłem zgarniać śnieg z ramienia, a potem z głowy. Leżał twarzą w dół. Nagle poczułem gołą, zamarzniętą skórę tam, gdzie powinien mieć włosy, i odkryłem, że trup ma ogoloną głowę po jednej stronie.

Udało mi się wykopać ze śniegu zamarznięte, sztywne ciało i odwrócić na plecy. Wyglądał na budowniczego kopców. Był ubrany w długą do kolan tunikę ze skóry łosia obróconej sierścią do środka, w spodnie i długie buty z foczej skóry. Tuż pod mostkiem miał głęboką ranę kłutą, wiedziałem, że człowiek dźgnięty w tym miejscu

szybko się wykrwawia. Ściągnąłem z niego spodnie, tunikę i buty. Zarówno buty, jak i ubrania zostały zszyte nićmi ze ścięgien i wyglądały na ciepłe. Ściągnąłem swoje buty, bo chociaż jego, rzecz jasna, były zimne, nie były mokre. Do butów miał przymocowane akumki, które również zabrałem. W tobole na plecach znalazłem kilka skór renifera, zapakował w nie większość swojego dobytku. Miał kilka zwierzęcych żołądków wypełnionych zmarzniętą na kość masą, która wyglądała na mieszaninę tłuszczu, mięsa i zboża nazywaną przez cahokiańczyków pemmikanem. Była tam też deseczka wielkości dłoni, wrzeciono, łuk ogniowy i zawiniątko ze skóry wypełnione suchą trawą i czymś, co przypominało wełniankę, a w śniegu znalazłem łuk i strzały, które wypadły z kołczana. U pasa zwisała linka skręcona z foczej skóry, cztery białe muszle, płytka wielkości dłoni z czegoś przypominającego miedź i pusta pochwa na nóż. Przeżułem kilka kęsów pemmikanu, a potem usiadłem na jednej z akumek. Smak tłuszczu i mięsa musiał dodać mi nadmiernej odwagi, bo wkrótce podniosłem się na jedną nogę i odłamałem gałęzie z najbliższego drzewa, dwie krótkie i jedną długą. Krótkie gałęzie przyłożyłem do goleni i obwiązałem linką z foczej skóry. Przypiąłem sobie akumki, powiesiłem toból i kołczan na plecach i podpierając się długą gałęzią, wstałem. Poczulem ukłucie bólu w złamanej goleni, ale wiedziałem, że jeśli znowu upadnę na kolana, to już po mnie. Poszedłem dalej w głąb lasu. Mając nadzieję, że to Winabave zabił Skrælinga, zawołałem na niego jeszcze raz. Ale las nadal był niemy.

O dobry strzał z łuku od trupa przechodził przez las wąwóz będący korytem strumienia. Usłyszałem dźwięk płynącej wody, więc poszedłem w jego kierunku i wkrótce znalazłem uskok z płynącą między kilkoma kamieniami wodą, która nieco dalej zbierała się w niecce; najwyraźniej ruch wody utrzymywał to miejsce w niezamarzniętym stanie. Na dole, przy niecce, zobaczyłem ślady akumek. Jakiś człowiek tędy się wspinał. Podążyłem wzrokiem za śladami idącymi w górę wąwozu, w głąb między pnie drzew. Przy trupie nie było żadnych śladów, ten człowiek musiał zginąć przed ostatnimi opadami śniegu. Widziane przeze mnie ślady pozostawiono już po zabójstwie. Czy to Winabave tu był?

Już miałem pójść śladami w głąb, między drzewa, ale zawahałem się. Skrælingów mogło być więcej. I kiedy stanąłem, przyglądając się tropom, poczułem coś za

plecami.

Obróciłem się. Po drugiej stronie niecki wystawał ze śniegu krzew jałowca, a za nim zauważyłem więcej śladów akumek. Wychodziły z lasu, były już niemal zatarte, tak jakby ktoś próbował je ukryć, i prowadziły w jałowcowe zarośla.

Ostrożnie okrążyłem nieckę i wetknąłem koniec łuku w jałowiec. Czy tam w środku ktoś leży? Może ma ze sobą jedzenie i strzały. Wetknąłem łuk głębiej, pomacałem wokół i natrafiłem na coś miękkiego. Wszedłem w zarośla i odkopałem najpierw jedną stopę, nadal z przypiętą do niej akumką, potem drugą, również z akumką. Resztę ciała owijało futro, jakiego nigdy przedtem nie widziałem. Było ciemne i włochate. Wyglądało na zmarznięte na kość, Skræling musiał się nim ciasno owinąć, zanim umarł. To futro na pewno nas w nocy ogrzeje, pomyślałem, pociągając za nie. Wtedy Skræling się poruszył. Domacałem się kamiennego noża, zrobiłem krok do przodu i zerwałem futro. Chciałem dostać się do głowy Skrælinga i go zabić. Ale to nie był budowniczy kopców. To był Winabave.

Resztę dnia spędziłem na przeciąganiu go na futrze do jaskini. Trzy razy się potknąłem, za każdym razem czując gwałtowny ból w złamanej goleni. Przez całą drogę milczał, dopiero kiedy wciągnąłem go przez otwór w śniegu do jaskini, wydał z siebie dźwięk. Zobaczył ubrania, łuk i inne rzeczy zabrane martwemu Skrælingowi i zapytał, gdzie to wszystko znalazłem. Odparłem, że znalazłem trupa niedaleko niecki, a on kiwnął głową, mamrocząc, że tak jak myślał, tamten daleko nie uszedł. Potem spytał, czy mam suchą trawę do rozdmuchania ognia. Jeśli tak, to mam rozpalic ogień.

Zmagałem się z łukiem i deseczką ogniową, a Winabave powiedział, że widział się z rodzicami, pokazali mu swój obóz. Mieszkali na łące tuż przy odnodze łososiowej rzeki, dębowe drzewa wyciągały długie gałęzie nad chatami, dając im cień. Panowało tam wieczne lato, ale nigdy nie było za gorąco. Ojciec stanął z nim nad brzegiem rzeki, wskazując na wiatr marszczący powierzchnię wody, bo w pobliżu obozu zawsze wiał lekki wietrzyk.

Wytworzyłem żar za pomocą wrzeciona, deseczki i łuku, włożyłem go w pęk suchej trawy, którą budowniczy kopców miał przy sobie, i rozdmuchałem ogień.

Wreszcie udało mi się rozpalić ognisko w jaskini. Rozeszło się ciepło i ze sklepienia zaczęła kapać woda. Winabave macał ręką przed sobą, raz po raz obracając się w kierunku ognia i tańczących na ścianie cieni. Położyłem pemmikan w ciepłe, żeby się rozmroził, i dopiero teraz zrozumiałem, że z Winabavem jest źle. Miał dziurę w futrzanej tunice na środku brzucha, była tak mała, że wcześniej jej nie zauważyłem. Na nosie i policzkach pojawiły się ciemne plamy. Domyśliłem się, że to odmrożenia, a kiedy wygładziłem tunikę, potwierdziły się moje obawy. W brzuchu tkwiła strzała. Promień był odłamany tuż przy skórze, Winabave musiał na nią upaść. Zatomowała to krew, której wypłynęła ledwie kropla, ale skóra wokół strzały była twarda i niebieskawa.

Zdjąłem mu buty. Palce u stóp zaczęły puchnąć.

Winabave wkrótce zapadł w gorączkowy sen. Leżał, wijąc się, macał przed sobą ręką i płakał. W nocy się obudził, był spokojny i opanowany. Poprosił, żebym zmieszał popiół ze stopionym śniegiem, posmarował mu dłoń i przycisnął ją do ściany jaskini po jego śmierci. Ciało mam wynieść z jaskini i jeśli dam radę, umieścić na jakimś wzgórzu, gdzie drapieżne ptaki będą mogły oczyścić kości.

Ja jednak nie zamierzałem pozwolić śmierci go zabrać. Może to przede wszystkim o sobie myślałem, ogrzewając kamienny nóż w płomieniach. Nie przeżyłbym tej zimy, gdybym został sam.

Nie powiedziałem Winabavemu, co teraz nastąpi, ale zobaczył nóż i odgadł moje zamiary.

– Winabave kroić ciebie – powiedział. – Teraz... ty kroić mnie.

Chwycił mnie za ramię, opowiadając o dwóch mężczyznach, na których się natknął. Wracał z polowania, stracił tylko strzałę, próbując trafić wiewiórkę, kiedy ci się pojawili. Dorosły mężczyzna i chłopiec, mniej więcej pół dnia wędrówki na zachód od miejsca, w którym go znalazłem. Wdał się w walkę z dorosłym, a chłopak tylko patrzył. Pchnął przeciwnika nożem i uderzył w kark, tak że tamten upadł. Ale kiedy Winabave kucnął przy powalonym przeciwniku, żeby zdjąć mu skórę z głowy, chłopiec uderzył go w plecy maczugą. Wtedy mężczyzna wstał i zaczął się pościg. Winabave biegł z przodu, a ci dwaj za nim, jak wilki ścigające zranioną zdobycz.

Starli się znowu tam, gdzie znalazłem martwego Skrælinga. Winabavemu udało się śmiertelnie ranić mężczyznę i skaleczyć chłopca w ramię. Wtedy chłopak uciekł.

Jak doszło do tego, że Winabave został postrzelony w brzuch strzałą, a potem schował się w jałowcowych zaroślach, nigdy się nie dowiedziałem. Puścił moje ramię i wciągnął powietrze, a potem powiedział:

– Teraz... ciąć.

Człowiek może krzyczeć, kiedy wycinają mu strzałę z ciała. Nie jest to żaden wstyd. Winabave krzyczał tego wieczora boleśnie i ochryple, myślałem, że serce mu stanie. Musiałem rozciąć powłoki brzuszne pokrywające trzewia. Kiedy strzała go trafiła, napiął chyba mięśnie brzucha, bo grot nie przeszedł przez błonę otaczającą jelita. Jednak rana była duża i obficie krwawiła.

Skończyłem ciąć, a potem drzazgą z ogniska poświeciłem na palce u jego stóp. Ciemnoniebieska barwa przeszła w czarną. Już miałem mu je wszystkie odciąć, ale przypomniałem sobie, co mi kiedyś opowiadał ojciec. Pewnego razu zobaczył mężczyznę z bardzo dziwnymi, cienkimi palcami u stóp. Pod tym mężczyzną załamał się lód podczas polowania w głębi lądu, palce u jego stóp zostały uszkodzone, ale wokół kości odrosło na tyle dużo mięśni i skóry, że przynajmniej nie musieli mu ich odcinać. Dlatego na razie zostawiłem palce Winabavego w spokoju.

Krew z rany na brzuchu przesiąkała przez wszystko, co do niej przykładałem. O świcie Skræling szepnął, że mam wyjść i odnaleźć martwego mężczyznę. Muszę wydobyć ścięgno z uda, zrobić z niego nici, wygotować i zszyć nimi ranę. Ja wolałbym użyć wygotowanych i oczyszczonych nici z ubrań zabranych budowniczym kopców, ale Winabave zaprotestował. Mam go zszyć ludzkim ścięgnem i koniec.

Tego ranka padał śnieg. Poszedłem w akumkach, najpierw w górę wzniesienia, a potem w dół między drzewa. Złamana goleń zaboląła, kiedy zacząłem iść, ale ból, o dziwo, zaraz ustąpił, nic też już prawie nie czułem w lewej stopie. Dwie wrony poderwały się z tego samego trupa leżącego w śniegu. Ponieważ teraz był nagi, rozdziobały skórę na szyi i na brzuchu, jednak ciało zamarzło, prawdopodobnie zanim się do niego dostały, bo nie udało im się dostać do wnętrza.

Rozmroziłem ścięgno w udzie wodą i wyciąłem kamiennym nożem. To była ciężka

praca, lecz nie pamiętam, żebym się specjalnie przejmował tym, że oprawiam martwego człowieka, tak jak się oprawia ustrzelone albo złapane w sidła zwierzę. Może było już we mnie to, co Skrælingowie nazywają *eluvavemk*, szaleństwo.

Wygotowałem ścięgno w zagłębieniu w jaskini i zszyłem ranę na brzuchu Winabavego. Nie krzyczał, tylko leżał, wpatrując się w sklepienie jaskini, mamrocząc w swoim języku i chwytając coś przed sobą, tak samo jak przy strumieniu, kiedy to on zszywał mnie. Potem otuliłem go futrem i dołożyłem drewna do ogniska.

Nadeszła kolejna noc. I jeszcze jeden dzień. Siedziałem z Winabavem, pozwalając ognisku się dopalić, aż było zaledwie wielkości ludzkiej głowy, bo chciałem, żeby opału wystarczyło na dzień i na następną noc. Byłem strasznie głodny, takim rodzajem głodu, który nie pozwala myśleć o niczym innym. Rozmroziłem nad ogniskiem pemmikan i najpierw zjadłem go tylko garść, ale smak tłuszczu coś ze mną zrobił. Nigdy nie byłem jak Halvor, Hutten i inni ludzie, których kusiła słonina, ja zawsze wolałem mięso. Ale w tamtej jaskini jakbym pożądał tego tłuszczu bardziej niż życia i wkrótce przełknąłem kolejne dwie czy trzy garści, chociaż wiedziałem, że powinienem go zostawić na później. Wciąż panowała wczesna zima, a o ile mi było wiadomo, śnieg potrafił leżeć tutaj, na południu, równie długo jak na północy. Miało to coś wspólnego z prądami morskimi. Dlatego zawsze było więcej śniegu nad jeziorami w krainie Sweów niż na północnym wybrzeżu Norwegii. Chociaż, prawdę mówiąc, już zupełnie straciłem rachubę miesięcy, nie używałem kija runicznego i w żaden inny sposób nie kontrolowałem upływu dni. Nie było to mądre. Człowiek tracący rachubę czasu szybko może stracić samego siebie.

Kiedy światło wpadające przez otwór dymny i przez tunel znikło, siedziałem jeszcze chwilę, pilnując ognia. Musiałem zapaść w sen, bo pamiętam wizję, która mi się wtedy pojawiła. Stałem na równinie, wokół mnie mężczyźni walczyli włóczniami i toporami. Przed sobą zobaczyłem jednego z nich, upadł do tyłu na głaz, a ja rzuciłem się do przodu, tnąc go w udo, aż trysnęła krew. Potem widziałem już tylko szare niebo, na którym zbierały się chmury, jakby przed deszczem. Dwóch poplamionych krwią, barczystych mężczyzn patrzyło na mnie z góry. Na szyi jednego z nich,

w miejscu, gdzie zaczyna się zarost, dostrzegłem znamię wielkości dłoni.

Kiedy się ocknąłem, ogień dawno się dopalił. Leżałem na boku, z góry przez otwór dymny wpadało światło.

– Słyszysz? – dobiegło mnie od Winabavego.

Na zewnątrz słychać było śpiew. Ten ktoś śpiewał dość wysokim głosem, ale nie był to głos kobiety.

– On chce walczyć – powiedział Winabave. – To jest Matanuga.

Wkrótce usłyszałem blisko skrzyp akumek na śniegu i nagle zobaczyliśmy twarz Skrælinga w otworze dymnym. To był młodziutki chłopak, pewnie ten, z którym bił się Winabave. Winabave chwycił mnie za rękę, mówiąc, że nie mamy wyboru, muszę wyjść na zewnątrz i go zabić.

To mi się nie spodobało. Chłopak stoi w pobliżu tunelu i roztrzaska mi głowę, jak tylko ją wystawię. Znowu był przy otworze dymnym, tym razem wsadził do środka całe ramię. Potem coś powiedział, a Winabave, wsłuchawszy się, ponownie poprosił, żebym wyszedł na zewnątrz i walczył. Kiedy siedziałem bez ruchu, mając nadzieję, że chłopak sobie pójdzie, tamten wyciągnął ramię. Akumki zaskrzypiały na śniegu i zrobiło się cicho.

Przez dłuższy czas myślałem, że sobie poszedł. Jeśli to nagie ciało jego ojca leżało zamrożone w lesie, próbował prawdopodobnie obłożyć je kamieniami, których trochę pewnie było w niecce strumienia. Dołożyłem do ognia i usiadłem przy Winabavem, obejmując jego odmrożone palce u nóg. Widziałem nabiegłe krwią pęcherze na nosie i u góry policzków. Będzie miał tam wielkie blizny.

Wtedy na śniegu znowu zaskrzypiały akumki. Chłopak wrócił.

– Musisz wyjść – powiedział Winabave. – Zabiłem jego ojca. On nie może opuścić tego miejsca.

Teraz w otworze dymnym pojawiła się włócznia, a potem znowu jego młoda, pozbawiona zarostu twarz.

Nie ma nic chwalebego w tym, co wtedy zrobiłem. Ale nigdy nie twierdziłem, że w Matanuga zdobyłem jakąś chwałę. Kiedy chłopak ponownie zajrzał przez otwór, rzuciłem się do przodu, łapiąc go za głowę. Z całych sił wciągnąłem go do środka,

czołem uderzył prosto o skaliste dno jaskini. Chwyciłem długie, czarne włosy i uderzałem głową o skałę, raz za razem, aż w końcu znieruchomiał.

Odczołgałem się od niego. Widziałem, jak stopy chłopaka dygocą w skurczach. Jedno ramię odrzucił w bok. Winabave włożył swoją dłoń w dłoń chłopca, jakby chcąc go pocieszyć, gdy uchodziły zeń resztki życia.

Tego samego wieczora nadciągnęła śnieżycą. Zrobiło się cieplej, a śnieg padał tak gęsto, że pokrył cały tunel i oblepił otwór dymny. Pozwoliłem zwłokom leżeć, nie troszcząc się o pozbycie się ich. Cały ten dzień spędziłem w głębi jaskini pogrążony w ponurym nastroju. Nie rozpałem ogniska i nie zajrzałem do Winabavego. Potem zasnąłem twardym snem.

Pamiętam, że księżyc przybierał i stał w pełni tuż nad jarem. Doglądałem ognia, cały czas wychodząc, żeby obłamać z drzew gałęzie, krążyłem też po dolinie, szukając śladów, ale nic nie znalazłem. Zwłoki wyciągnąłem na zewnątrz, mając nadzieję, że zwabią zwierzęta. Siedziałem długo ukryty w jamie w śniegu z łukiem gotowym do strzału, ale teren był nadal opustoszały.

Chociaż moja goleń jeszcze nie wydobrzała, zrozumiałem, że muszę wyruszyć na polowanie, zanim głód zbyt mnie osłabi. Winabave za pomocą rysunków w popiele wyjaśniał mi, jak mam iść. O jeden dzień wędrówki na zachód teren się wznosił, widziałem to już ze wzgórza koło jaru. Wzniesienie doprowadzi mnie do lasu graniczącego z rzeką, przez którą mam przejść. Winabave słyszał, że wzdłuż koryta rzeki przemieszczają się wielkie stada reniferów. Powinienem znaleźć tam szczątki młodych zwierząt, bo to była ciężka wędrówka i cielaki nieraz osuwały się na ziemię martwe z wyczerpania.

Winabave nie był skory do narzekania, leżąc, niewiele dawał o sobie znać. Ale poprosił mnie o jedno, zanim go opuszczę. Muszę obciąć mu palce u stóp.

Kiedy to robiłem, zagryzał patyk. Dzielny był Skræling, niemal nie wydał z siebie dźwięku. Powiedział tylko, że mam obciąć wszystkie palce, bo jeśli dane mu będzie przeżyć ranę w brzuchu, nie chce potem umrzeć na gangrenę. Jednak palce nie były w tak złym stanie, jak myślałem. Oprócz dużych paluchów zostawiłem mu jeden palec na jednej stopie i dwa na drugiej. To prawdopodobnie wystarczy, żeby później mógł

się poruszać jak zwykli ludzie. Kiedy było po wszystkim, poprosił mnie, żebym pozwolił kikutom krwawić jeszcze przez chwilę, według niego oczyszczało to rany.

Siedziałem z nim, pozwalając ranom krwawić, a on opowiedział mi o swej tajemnicy. Wcześniej mówił, że został pojmany w niewolę i sprzedany, bo nie potrafił obronić rodziny przed atakiem Algonkinów, ale nie była to cała prawda. Winabave podążył za nimi i wytropił napastników daleko w głębi lądu. Zabijał ich jednego po drugim, ścigał aż do nastania zimy. Niestety łowna zwierzyna wkrótce znikła, musiały ją wypłoszyć zimno i opady śniegu i głód zajął w oczy zarówno Winabavemu, jak i nielicznym pozostałym przy życiu Algonkinom.

Nie powiedział mi, czy zabił ich wszystkich i czy głód w końcu stłumił w nim pragnienie zemsty. Jadł korę i wykopane z ziemi korzenie, wędrując z powrotem do Patuxetu, ale wkrótce był tak osłabiony, że kiedy pewnego wieczora natknął się na zwłoki jednego z zabitych przez siebie Algonkinów, zrobił coś, co na zawsze miało go przekląć. Jadł zwłoki. Ku jego wielkiemu zaskoczeniu dało mu to moc niepodobną do niczego, czego przedtem doświadczył, więc odciął jedno ramię i zabrał w dalszą wędrowkę. Nadal miał je przy sobie, gdy kilka dni później został znaleziony przez jakichś Patuxetów. Pochwycili go i z rękami związanymi na plecach poprowadzili do sacheta Patuxetu, a ten nazwał go wendigo i kazał zesłać gdzieś daleko.



O mojej wędrowce przez Matanuga nie da się wiele powiedzieć. Opowiadając swoją historię tutaj, w halli, wspominałem tylko, że wędrowałem na zachód przez pięć dni i doszedłem do rzeki, a tam zobaczyłem Skrælinga łowiącego ryby w przerębli. Głód robi coś z człowiekiem i gdybym miał odwagę, strzeliłbym do niego z łuku. Byłem jednak bardzo osłabiony i myśl o tym, że mogę nie trafić i wtedy on rzuci się na mnie, zbyt mnie przerażała. Wszedłem więc na lód i zacząłem błagać go o jedzenie, ale on wymachiwał łukiem i mówił do mnie szorstkim i gniewnym głosem. Wycofałem się zatem z powrotem między drzewa, a Skræling pospiesznie pozbierał rzeczy i pobiegł co sił w nogach na drugą stronę lodu.

Przez dwa dni szukałem padliny w pobliżu rzeki. Grzebałem w śniegu pod brzozaami licznie porastającymi brzeg w nadziei na znalezienie jadalnych roślin.

Niestety nie znalazłem niczego oprócz wrzosu. Próbowałem go żuć, lecz wrzos w krainie Skrælingów jest gorzki i powoduje paskudne uczucie w żołądku.

W tych dniach myślałem dużo o Ravntorze. Myślałem też o Sigrid i o Bjørnie, choć myśli najintensywniej krążyły wokół Ravntora i może to las, wzgórze i wiecznie szepczący wiatr sprawiały, że czułem się winny bardziej niż kiedykolwiek. Zawiodłem wszystkich, którzy byli mi bliscy. Zawiodłem moich ludzi jako hovding. Gdzie jest bogactwo, które im obiecałem? Mój własny brat wyruszył w drogę, żeby sprzedać statek, za który byłem odpowiedzialny, ale ten zatonął w czasie sztormu. Musiał zatonąć, skoro Bjørn nie wrócił. Zawiodłem Sigrid, i to w najgorszy możliwy sposób: nie potrafiłem jej obronić. Co ona sobie o mnie myśli? Gdyby mnie znienawidziła, nie winiłbym jej za to.

Co wieczór rozpalałem ogień w Matanuga i chociaż było bardzo zimno, nie marzłem. Miałem ze sobą łuk ogniowy i deseczkę, a w tobole zabitego znalazłem kostkę z nogi jelenia; w niej umieszczałem wrzeciono i udawało mi się wytworzyć żar, który wrzucałem w wiązkę gładzi brzozonej i dmuchałem, aż pojawił się płomień. Ubrania, które ściągnąłem z ciała Skrælinga, były ciepłe, buty też, ale wolałbym zмагаć się z zimnem, niż mieć świadomość tego, że zawiodłem. Winabave mówił, że Patuxetowie fizycznie raczej nie skrzywdzą Ravntora. Mieli zwyczaj uprowadzać dzieci, a także kobiety. Jako młody mężczyzna uczestniczył w grabieżach, widział to wszystko na własne oczy. Wychowają chłopaka na Skrælinga, choć wolny nigdy nie będzie. Dorośnie jako niewolnik i całe życie nim pozostanie.

Padął gęsty śnieg, kiedy dotarłem z powrotem. Gdy człapałem w dół jaru, była późna pora, a ja obawiałem się, że leży tutaj już nie jeden trup, a dwa.

Otwór dymny i tunel znowu były zawiane. Dotarłem do jaskini i po omacku szukałem Winabavego. Panowała całkowita ciemność, w palenisku nie żarzył się choćby mały węgielek. Ale Skræling żył. Chwycił mnie za rękę, mamrocząc coś niezrozumiałe.

Pozbierałem i wyrzuciłem w śnieg zmarznięte odchody, które Winabave zostawił pod moją nieobecność. Stałem przed jaskinią i patrząc na niebieskawę, długie

cienie, rozmyślałem o tym, jak podobny do losu Winabavego stał się teraz mój los. Tak jak on zawiodłem, kiedy zaatakowano moją rodzinę. I tak jak on zostałem zmuszony do zrobienia czegoś nie do pomyślenia. Nie miałem wyboru. Nie można było znaleźć zwierzyny. Jeśli miałem przeżyć, musiałem zrobić to samo co on.

Zamarznięty na kość trup młodego Skrælinga miał jedno ramię wyciągnięte w bok. Próbowałem je odłamać, ale byłem zbyt słaby. Poszerzyłem więc tunel i wciągnąłem ciało do jaskini.

Prawdy o tym, co zrobiłem tej nocy, nikt nigdy nie miał poznać. Lecz jak wiedzą wszyscy, którzy odwiedzili moją hallę, Winabave lubił wypić, a kiedy ktoś go spił miodem lub winem z południa, język mu się rozwiązywał. Za to, co zrobiłem, zostałem przez mnichów nazwany szatanem. Pokazywali na mnie, mówiąc, że muszę się oczyścić cierpieniem i błagać Białego Chrysta o przebaczenie. Tylko co oni wiedzą, ci nikczemnicy. Wielu rzeczy żałuję, ale nigdy nie żałowałem tego, że zjadłem Skrælinga. Najpierw ogrzałem to wyciągnięte ramię i zeskrawałem mięśnie kamiennym nożem. Rozciąłem je na cienkie pasemka, włożyłem do zagłębienia ze stopionym śniegiem i zagotowałem za pomocą gorących kamieni. Potem zacząłem jeść. Pożerałem to mięso jak pies, nie myśląc o niczym innym. Zwymiotowałem, ale nie z obrzydzenia, po prostu po tak długim okresie głodowania nie potrafiłem utrzymać połkniętych kęsów. Zgarnąłem palcami to, co zwymiotowałem, wepchnąłem z powrotem do ust i przełknąłem.

Winabave milczał, kiedy jadłem. Leżał tylko, patrząc na mnie. W końcu poprosił o przecięcie trupowi skóry na czole i ściągnięcie skóry głowy. Dzięki temu duch zmarłego nie wyciągnie ze mnie oddechu i być może moja przemiana nie dojdzie do skutku. Bo według niego ten, kto spróbował ludzkiego mięsa, pewnego dnia przebudzi się ze strasznym pragnieniem zjedzenia go więcej. Wtedy nie zazna już spokoju, zacznie włóczyć się po okolicy, nie myśląc o niczym innym.

Nie przypominam sobie, żeby jego słowa mnie przeraziły, lecz zrobiłem, jak powiedział. Potem wyszedłem i rozpałem ognisko przy ojcu chłopca, ogrzewając głowę tak, żeby również z niej dało się zedrzeć skórę. Winabave poprosił, żebyśmy ugotowali trochę mięsa również dla niego, więc zrobiłem to.

Mówią, że skóry z głów Skrælingów, których zabiłem w Matanuga, leżą schowane

w moich skrzyniach. To dało mi sławę wśród wojowników i z tego powodu moi wrogowie obawiają się mnie. Dlatego nigdy nie zaprzeczałem tym pogłoskom.



Jeszcze czterech Skrælingów pojawiło się u nas przed nadejściem wiosny. Dwóch zabiłem w jarze, a dwóch na dole w lesie. Powoli, lecz systematycznie stan Winabavego się poprawiał, rana na brzuchu się zagoiła i wydawał się całkiem zdrowy, ale ponieważ utracił palce u stóp, mocno się chwiało, chodząc, nie potrafił też używać akumek. Ustaliliśmy więc, że będzie zostawał w jaskini i doglądał ognia. Trzech Skrælingów zabiłem strzałami, oprócz jednego, który upadł, kiedy się zbliżyłem, i akumka odczepiła mu się od stopy, a ja zadźgałem go włócznią zabitego chłopca. Zdarłem skórę z głowy jego i pozostałych i zaniósłem Winabavemu razem ze skórzanymi tunikami, strzałami i tobołami z jedzeniem, o ile takowe mieli. Czytał te strzały i wyszyte na tunikach wzory, jak uczonego w piśmie czyta księgę i nie miał wątpliwości. Ci mężczyźni przyszli tu, żeby zdobyć sławę. Może słyszeli o nas od budowniczych kopców. Człowiek morza i zbiegły niewolnik z Patuxetu... Ten, który powróciłby ze skórą ściągniętą z naszych głów, zostałby uznany za wielkiego wojownika.

Wywlokłem trzewia zabitych na wzgórze. Były dobrym żerem na przynętę, dzięki czemu ustrzeliłem dziewięć wron. Winabave oskubał je z piór przy ognisku, mamrocząc do wielkiego ducha obecnego we wszystkim. Prawdopodobnie dziękował wronom i ziemi pod naszymi stopami. Pewnie, że byliśmy już skazani na przemianę w wendigo, ale dobrze było poczuć smak innego mięsa niż ludzkie.

Winabave chyba nigdy nie zdołał całkowicie pozbyć się strachu przed przemianą. Obawa czyhała w jego głowie jak bolesne wspomnienie. Kiedy się upił, często miał takie dziwne spojrzenie. Nie słyszał wtedy, co się do niego mówiło, a jeśli się go szturchnęło, potrafił przerażony spojrzeć na ciebie i wyszeptać: Wendigo... Wendigo...



23

Nowy hovding

Wiosna przysłała nagle do Matanuga. Jednego dnia padał gęsty śnieg, a gdy obudziliśmy się następnego, była odwilż i na dnie jaskini pojawiła się woda ze stopionego śniegu. Najpierw pomyślałem, że mróz ponownie wszystko zetnie, i cieszyłem się, że będę mógł wygodnie iść po zamrożonej skorupie, ale ze wschodu napływał ciepły wiatr i wkrótce zobaczyliśmy pierwsze kamienie wyłaniające się ze śniegu. Chciałem natychmiast wyruszyć w drogę, zacząłem zastawiać sidła, gromadzić i suszyć trawę i żywiczne gałązki, które Winabave nazywał tłustym opałem. Zapakowałem je w toból zrobiony z tuniki jednego z zabitych.

Wyruszyliśmy o świcie po pełni księżyca. Zanim opuściliśmy jaskinię, zmieszaliśmy popiół z krwią i zostawiliśmy odciski dłoni na ścianie. Mieliśmy przed sobą długą podróż. Gdyby coś nam się przytrafiło, wizerunki dłoni w jaskini byłyby świadectwem o zimie, którą w niej spędziliśmy.

Szliśmy przez cały pierwszy dzień. Śnieg był mokry i brudny. W niektórych

miejskach był płytki, więc zdejmowaliśmy akumki, ale w innych musieliśmy je przypinać, żeby nie zapaść się po kolana. Zatrzymaliśmy się dopiero tuż przed zapadnięciem zmroku w zacisznym miejscu pod nawisem skalnym. Winabave usprawiedliwiał się, obiecując, że będzie próbował iść szybciej; musiał opierać się na dwóch kijach, a brak palców u nóg powodował dziwny chód, w którym podnosił stopy wysoko i stawiał je płasko przed sobą, nie mogąc opierać się na przedniej części stopy. Dlatego zostawał w tyle i musiałem ciągle zatrzymywać się i czekać.

Mój wzrok był skierowany na wschód, ciągle na wschód, i nie uszliśmy daleko drugiego dnia, kiedy na śniegu tuż przed sobą zobaczyłem coś zielonego. Podniosłem wzrok i odkryłem, że to światło słoneczne. Brzozy w Matanuga wypuszczały liście, jeszcze zanim stopił się ostatni śnieg. Zieleń na śniegu była światłem słonecznym przeświecającym przez brzozowe listowie. Wtedy poczułem się tak, jakby Idunn dała mi jedno ze swoich złotych jabłek. Wypełniło mnie potężne poczucie mocy, nadzieja, jakiej już od dawna nie miałem. Nabrałem tchu w płuca i czując wiosnę, krzyknąłem z całych sił: „Ravntor!”. Wtedy Winabave zbliżył się chwiejnym krokiem i uciszył mnie. Bądź co bądź byliśmy jeszcze w Matanuga.

Nie szliśmy tą samą drogą, którą uciekaliśmy z cahokiańczykami, bo ta zaprowadziłaby nas do krainy budowniczych kopców. Podążaliśmy na północny wschód, tutaj weszliśmy w brzozowy las, który w tamtym czasie rozciągał się na południe od Patuxetu. Wędrówka przez las brzozowy ma na człowieka dobry wpływ, a wśród Ludu Rzecznego Winlandii panuje przekonanie, że za każdym razem, kiedy wiatr przemyka przez brzozowe listowie, z umysłu znika jedna ponura myśl. Może i tak jest. Bo chociaż nadal wypełniała mnie tęsknota, chociaż wiedziałem, że jeszcze daleko do domu, ani jeden dzień tej wędrówki nie był pozbawiony nadziei. Winabave i ja rozmawialiśmy, jak dotrzeć do wybrzeża, gdy tylko znajdziemy się na północ od krainy budowniczych kopców. Zrobimy łódź z brzozowej kory. Winabave nauczył się tego od swojego ojca. Wiosłując, opłyniemy Patuxet i inne ludzkie sadyby pod osłoną nocy. Według niego mogliśmy tak niepostrzeżenie poruszać się wybrzeżem na północ.

Skræling i ja musieliśmy przedstawiać sobą przedziwny widok, idąc tak przez las. Jeśli kiedykolwiek widziałeś nietoperza chodzącego po strychu, wiesz, jak poruszał

się Winabave. Wprawdzie nie czołgał się, ale jak już mówiłem, nie mógł opierać ciężaru ciała na przedniej części stopy. Szedł więc wygięty w biodrach, z górną częścią ciała opartą na kijach, ale nie słyszałem, żeby się uskarżał. Ja sam miałem teraz dwie niesprawne nogi i mocno się zastanawiałem, czy jest jakiś sens w tym, że przydarzyło się to właśnie mnie, czy bogowie mieli w tym jakiś zamysł. Prawa noga już przedtem była osłabiona przy biodrze, tam gdzie kiedyś zostałem trafiony obuchem topora. Lewa goleń nadal nie odzyskała sprawności po złamaniu, a stopa od czasu do czasu drętwiała. Mimo to nie padały żadne ponure słowa, kiedy wieczorem rozbijaliśmy obóz. Leżeliśmy obok siebie pod skórami zwierzęcymi, patrząc, jak gwiazdy wędrują nad nieustannie szepczącymi brzozi. Czwartego wieczora po opuszczeniu jaskini Winabave powiedział mi, że wsłuchał się w ziemię, a ta mu nakazała towarzyszyć mi, gdziekolwiek się udam, nawet jeśli wrócę do swojej ojczyzny.

Skræling odrzucił po jakimś czasie kije, uważając, że zbyt nas opóźniają; jakoś udało mu się wrócić do poprzedniego chodu, chociaż niewiele teraz było trzeba, żeby się przewrócił. Piętnastego dnia zaczęliśmy zdzierać korę z odpowiednich brzozi, czyli takich o grubym pniu, na których zewnętrzna warstwa nie była popękana. Będziemy potrzebowali wielu płatów takiej gładzi, twierdził Winabave. Będziemy też potrzebować żywicy ze świerka albo sosny, a na każdy płat gładzi brzoziowej trzeba nam giętkich korzeni młodej brzozy o długości dwóch ramion. Mieliśmy zbudować łódź, którą Skrælingowie nazywają kvedunem, a także zrobić dwa dobre wiosła z uschniętego świerka.

Znowu rozmyślałem o dziecku w łonie Sigrid. Chociaż byłem niemal pewny, że musiała już je urodzić. To bardzo mnie dręczyło zimą, ale zawsze udawało mi się odsunąć od siebie te myśli; mówiłem sobie, że wokół niej są ludzie, którzy pomogą przy porodzie. Sigrid była silna i zdrowa i chociaż miała szczupłe ciało, mówiła mi, że jej biodra nadają się do rodzenia. Zaczął mnie jednak dręczyć strach: a co, jeśli poród nie poszedł pomyślnie? Co jeśli dziecko jest chore?

Dotarliśmy do morza późną porą osiemnastego dnia i rozbiliśmy obóz w wąskiej zatoczce. Według Winabavego nikt nas tutaj nie mógł znaleźć. Rozpaliliśmy ogień

i zjedliśmy jakieś korzenie, które Skræling wykopał wcześniej tego dnia, owinął mchem i ugotował w żarze.

Pamiętam, że obudziłem się tej nocy. Miałem złe sny, widziałem martwą, nagą Sigrid z krwią między nogami. Ci, którzy są mi najbliżsi, wiedzą, że później w życiu dręczyły mnie koszmary. Często zastają mnie rano, kiedy do halli wchodzi dziewczki służebne, w siedzisku wódka z kuflem piwa w ręku i wtedy nie wolno nikomu zagadać do Torsteina Szkutnika, bo może w ciebie wbić złe spojrzenie. Jest też trochę prawdy w pogłoskach, że jeśli ktoś zakłóci mu spokój, gdy tak siedzi, może nagle się ocknąć, cisnąć kuflem przed siebie i zaryczeć w takiej wściekłości, że nawet najbardziej pijani mężczyźni obudzą się i czym prędzej wytoczą z halli. Nie przeczę, że tak bywało. Nie zawsze byłem takim człowiekiem, jak tego pragnął mój ojciec, a kiedy później zostałem wciągnięty w spór o władzę królewską i prawo do pobierania daniny od wolnych ludzi i kupców, trudno było o to, co skaldowie nazywają „ścieżką prawego męża”.

Ludzie mówią o Winabavem, że był głupcem, który szybko upijał się piwem. Jeśli nałało mu się go dosyć, zataczał się i zawodził w swoim języku. Może i tak bywało. Ale głupcem nie był. Nie licząc mojego ojca, był najmądrzejszym człowiekiem, jakiego znałem. Pierwszego ranka tam, w zatoczce, usiadł przy mnie. Nie padło żadne słowo, bo słowa nie były potrzebne. Położył mi rękę na ramieniu i tak siedzieliśmy, patrząc, jak słońce wynurza się z morza. Płakałem wtedy. Płakałem za utraconym synem. A Winabave, trzymając rękę na moim ramieniu, dał mi się wypłakać. Nie kazał milczeć, nie mówił o bogach, przodkach i męskiej sile. Pozwolił mi ronić łzy, które należało uronić, i dał mi na to czas. Potem przejechał mi palcem pod oczami i wetknął go sobie w usta.

– Słone są twoje łzy – powiedział. – Smakują jak morze. Czas już wracać do domu.

Poświęciliśmy dwanaście dni na zbudowanie kveduna i trzy dni na zrobienie wiosła. Dobrze było znowu pracować w drewnie; okazało się też, że Winabave potrafi budować łodzie. Razem z ojcem zbudował aż dwanaście kvedunów, a potem jeszcze dwa, po tym jak się ożenił i urodziło mu się dziecko. Najpierw weszliśmy do lasu i znaleźliśmy wystarczająco grubą brzozę, na której kora jeszcze nie popękała. Takie brzozy można znaleźć tylko w kraju Skrælingów, u nas nigdy ich nie widziałem.

Zrobiliśmy nacięcie, zdjęliśmy cały płat kory i zanieśliśmy do obozu. Winabave znalazł kawałek płaskiego terenu i zrobił swego rodzaju ramę w kształcie wąskiego kadłuba z żerdzi powbijanych w ziemię. Włożyliśmy brzożową korę do środka i okryliśmy gałęziami i świerkowym igliwem. Taka osłona była według Winabavego konieczna, żeby kora nie wyschła na słońcu. Górną listwę nadburcia zrobiliśmy z *kakskuse* rozszczepionego drewnianymi klinami. Nigdy nie pracowałem z bardziej podatnym drewnem. Gdybym miał teraz popłynąć z powrotem, wziąłbym ze sobą dwa takie drzewa z korzeniami i ziemią i zasadził u siebie na polu. Z dużego płata kory powstało dno i stewy łodzi, a zbieranymi po drodze mniejszymi kawałkami kory wypełniliśmy pozostałe miejsca. Łączyliśmy je rozszczepionymi wzdłuż korzeniami świerka, to była praca, którą już dobrze znałem. Jak wspominałem, z dwóch długich, cienkich kawałków drewna zrobiliśmy górną listwę nadburcia, a potem włożyliśmy do środka drewniane żebra, ogrzawszy je najpierw nad ogniskiem, żeby dawały się formować. Dno łodzi wzmocniliśmy też podłużnie wieloma długimi, cienkimi kawałkami *kakskuse*, żeby łódź wytrzymywała ciągłe uderzenia fal morskich. O ile zrozumiałem, ojciec Winabavego był śmiałym rybakiem, potrafił wypłynąć łodzią tak daleko w morze, że nie było widać lądu. Zdatny do morskiej żeglugi kvedun musi mieć wysokie stewy z przodu i z tyłu, więc zrobiliśmy je z wielu cieniutkich, łukowato wygiętych warstw drewna, które związaliśmy i obszyliśmy korą.

Dwunastego dnia obróciliśmy kvedun, a Winabave wyjął sześć skór ściągniętych z głów Skrælingów. Zimą pozszywał je ścięgnami zabitych i wypełnił tłuszczem zeskrobanym ze skóry na brzuchach. Robił to bardzo starannie, a ja o nic nie pytałem, myśląc, że to jeden ze zwyczajów Skrælingów. Teraz Winabave poprosił mnie o zrobienie kilku stożków z kory brzożowej, w których zmieszaliśmy świerkową żywicę z ludzkim tłuszczem. Z tych składników wytopił szczeliwo, którym posmarował wszystkie miejsca połączeń i pęknięcia w korze. Żywica miała jego zdaniem spoić płaty kory, a tłuszcz zapobiec przeciekowi w miejscach połączeń. Najlepiej nadawał się do tego celu tłuszcz niedźwiedzi, ale ponieważ żaden z nas nie był w stanie upolować niedźwiedzia, musiało nam wystarczyć to, co mieliśmy. Powiedziawszy to, Skræling wybuchnął śmiechem.

Padało tego ranka, kiedy wypłynęliśmy. Z kory wycięliśmy kilka stożków do wybierania wody na wypadek, gdyby kvedun jednak przeciekał. Wiosła zrobiliśmy z wyschniętego pnia świerka, który powaliliśmy, rozpalając ogień u podnóża drzewa, a potem rozszczepiliśmy klinami. Ognia użyliśmy też do nadania wiosłom odpowiedniego kształtu i dobre wiosła nam wyszły, nie powiem. Mieliśmy sprzyjający prąd i przez cały pierwszy dzień nie wiał wiatr, a deszcz nie zdołał ugasić odczuwanej przeze mnie intensywnej radości. Każdy ruch wiosel przybliżał mnie do Sigrid. Ale jak odzyskać Ravntora, tego nie wiedziałem.

Przez dwa dni wiosłowaliśmy w deszczowej pogodzie. Kiedy trzeciego dnia wiatr rozwał chmury, wnieśliśmy kvedun na ląd i opróżniliśmy z wody deszczowej, a potem znowu położyliśmy go na wodzie. Smakowaliśmy wodę po drodze i okazała się słodka, ale teraz kvedun zaczął przeciekać w miejscu połączenia na środku. Znowu byliśmy zmuszeni zejść na ląd i pójść do lasu naskrobać żywicy. Tam gdzie zesliśmy na brzeg, nie było świerków, więc musieliśmy przejść dobry kawał przez las liściasty, w którym drzewa otoczone były tymi dziwacznymi kolczastymi zaroślami, jakie widzieliśmy poprzedniej jesieni, tymi, które mają kolce na liściach. Winabave potknął się o jakiś korzeń i upadł w te zarośla, drapiąc sobie policzek. Ale stanął z powrotem i nie usłyszałem ani słowa skargi.

Uszczelniliśmy łódź żywicą zmieszaną z popiołem. Tłuszczu już nie mieliśmy, ale według Winabavego to powinno wystarczyć. Naszyliśmy płat kory na łączenie i spędziliśmy resztę dnia w zaciszu za głazem, obok płaskich skałek nadbrzeżnych, a wieczorem zobaczyliśmy cztery kveduny o strzał łuku od nas. Na początku nie rozumiałem, jak to możliwe, że tak szybko płyną, jeden za drugim, wiosła ledwo dotykały wody. Ale Winabave wskazał ręką, mówiąc tylko: „Butup”. Wieloryb przed kvedunami wydmuchał fontannę wody, a ja pojąłem, że wbili w zwierzę harpun i wieloryb ich teraz ciągnie. Skræling na dziobie łodzi płynącej z przodu rzucił oszczepem w czarny, lśniący grzbiet wieloryba, potem jeszcze jednym i w końcu się zatrzymali.

Przyglądaliśmy się, jak dobijają wieloryba. Z początku obawiałem się, że wciągną go na ląd, gdzie się schroniliśmy, ale kiedy zwierzę było już martwe, Skrælingowie

przywiązali linę do płetw i powlekli je na południe. Nad morzem zapadła ciemność, a oni zniknęli.

Kontynuowaliśmy podróż wzdłuż wybrzeża. Gdybyśmy wyruszyli miesiąc później, obszar nadmorski byłby naszpikowany osadami, w porannej mgle unosiłby się dym z palenisk. Lecz panowała jeszcze wczesna wiosna i oprócz nielicznych drużyn wypływających na połów młodych wielorybów pojawiających się w okolicach wybrzeża o tej porze roku prawie nie widzieliśmy ludzi. Winabave opowiadał, jak będąc małym chłopakiem, siedział w łodzi ojca z wędą w rękach i zastawiał pułapki na ryby w ujściach rzek. Wciąż pamiętał zapach dymu z ogniska zmieszany z zapachem mokrego lasu, wodorostów i odpływu. Ojciec ustrzelił jelenia w jeden z takich poranków, zwierzę podeszło do rzeki, na której cumowali, zbliżając się do kvedunu, tak jakby byli niewidzialni. Z kawałka poroża ojciec zrobił bloczek na łuk ogniowy, wycinając w nim szparkę, w której mogło kręcić się wrzeciono. Winabave nosił ten bloczek na sznurku na szyi, a potem podarował własnemu synowi.

– Ale teraz go nie ma – powiedział. – Nic już nie ma.

Przenieśliśmy kvedun przez ląd w tym samym miejscu, gdzie przynosili łodzie cahokiańscy, ale zrobiliśmy to w nocy. Mgła zalegała nisko i były to dla nas bardzo sprzyjające okoliczności, bo znajdowaliśmy się w pobliżu Patuxetu. Pamiętam, że zahamowałem, wkładając wiosło do wody. Czy dałbym radę wśliznąć się do miasta Skrælingów pod osłoną mgły i nocy? Czy potrafiłbym dostać się za palisadę? Gdybym tylko go odnalazł, gdybym tylko zdołał wziąć go na ręce, żaden Patuxet nie zdołałby stanąć mi na drodze.

Lecz popłynęliśmy dalej. Winabave pochwalił mnie, kiedy o świcie zeszliśmy na ląd, wciągnęliśmy kvedun w zarośla i zamaskowaliśmy łódź i siebie samych gałązkami i liśćmi.

– Mądry byłeś dziś w nocy – powiedział. – Zabiliby nas.

Mężczyznom, którzy przyszli zapytać o Winlandię i prosić o rady, zanim wyruszą na szlak zachodni, powiedziałem, że Winlandia wcale nie nazywa się tak dlatego, że

rośnie tam winorośl, a pogłoski, że można znaleźć w tej krainie winogrona jak w krajach południowych, to wierutne kłamstwo. Zawdzięcza swoją nazwę temu, że zobaczysz tam własną krew płynącą jak wino. Może uznasz ją za łagodną i żyzną, żeglując tamtejszym wybrzeżem na południe. Ale ta kraina na zachodzie jest jak pies myśliwski, który nie warczy, tylko mierzy cię wzrokiem i wbija w ciebie zęby, gdy tylko okażesz słabość. Zaledwie trzy dni drogi na północ od Patuxetu przypomniła nam o tym. Ponieważ nadal byliśmy blisko miasta Skrælingów, płynęliśmy nocą, a za dnia leżeliśmy w ukryciu, i dlatego zauważyliśmy maszt dopiero wtedy, kiedy niemal się z nim zderzyliśmy. Leżał na szkiele, zaklinowany między kamieniami. Najpierw myślałem, że to pień drzewa, ale potem dostrzegłem zwisające z niego liny. Była już późna noc, więc zeszliliśmy na ląd. Jednak o świcie powiosłowałem z powrotem do szkiele. Wiał słaby wiatr, a za szkielem woda była całkowicie spokojna. Dzięki temu zobaczyłem, że na dnie pod mną leży reszta statku. Był mniejszy od tego, którym popłynął Bjørn. Wyglądał na nisko zabudowany karw. Kamienie przy belce stępki sprawiły, że wrak osiadł na piaszczystym dnie. Mogliśmy się tylko domyślać, co się stało z załogą.

Dwa dni później nadciągnęła od morza gwałtowna ulewa i utknęliśmy z Winabavem w miejscu. Pamiętam, że znaleźliśmy schronienie pod kamiennym nawisem, gdzie leżało kilka mewich kości, które Skræling oszlifował i zrobił coś w rodzaju piszczałki. Wywiercił w niej dwa otwory i zagrał. To była żalosna melodia, później często słyszałem, jak gra ją w mojej halli. Zapytał, jak odbuduję długi dom, skoro straciłem wszystkich ludzi oprócz Eysteina. Odpowiedziałem chyba, że Bjørn i jego załoga wkrótce wrócą, a może nawet już są na Wyspie Reniferów. Może spędzili tam całą zimę.

Przez pięć dni nie mogliśmy ruszyć dalej z powodu złej pogody. Po ulewie o wybrzeże zaczęły uderzać potężne fale, aż do poranka, kiedy obudziliśmy się i zobaczyliśmy całkowicie spokojne lustro wody. Znowu wypłynęliśmy i teraz po raz pierwszy poczułem w powietrzu ciepły powiew, świadczący o tym, że wiosna przyszła na dobre. Nie mieliśmy już wprawdzie zimnych nocy, odkąd ruszyliśmy na morze, bo

choć pływaliśmy na północ, Winabave twierdził, że wiosna podążała o wiele szybciej od nas. Kiedy wreszcie dotrzemy do krainy Rzecznego Ludu, na klonach już od dawna będą liście.

Później okazało się, że miał rację. Kvedun był tak mały, że nie mogliśmy przecinać zatok i zatoczek większych niż te, w których widzieliśmy ląd po przeciwnej stronie. Wiatr szybko wzmacniał się na wybrzeżu Skrælingów, więc byliśmy zmuszeni trzymać się blisko lądu. To czyniło podróż na północ przedsięwzięciem zupełnie innym, niż kiedy płynaliśmy pod żaglem w przeciwnym kierunku. Gdybyś zapytał mnie, ile dni trwała podróż moja i Winabavego, nie potrafiłbym odpowiedzieć, ale potrafiłbym narysować linię brzegową w krainie Skrælingów, tak jak ją zapamiętałem: poszarpaną, pełną szkieł i płycizn. Gdy dotarliśmy wystarczająco daleko na północ od Patuxetu, znowu odważyliśmy się wiosłować za dnia i chociaż mogliśmy płynąć od rana do wieczora, nie widząc ludzi, nie byliśmy sami. Widzieliśmy z oddali łodzie na horyzoncie, kveduny takie jak nasz, tylko o wiele większe. To przede wszystkim młodzi mężczyźni, pragnący zdobyć sławę i zgromadzić wiano, wyruszali o tej porze na połów wielorybów. Śluby odbywały się zazwyczaj latem, mówił Winabave. Wtedy kobiety są najbardziej płodne, a dziecko poczęte w tym okresie rodzi się wczesną wiosną, kiedy kosze z ziarnem są już wyskrobane do cna. Według niego to najlepsza pora, żeby się urodzić. Jego własne dziecko przyszło na świat o tej porze. O ile matka miała pokarm w piersiach, dziecko nie uszczuplało małych ilości jedzenia, które jeszcze zostało, nie stanowiąc dla plemienia żadnego ciężaru.

Pamiętam, że zacząłem wtedy myśleć o Sigrid i dziecku, które już musiało przyjść na świat. I jak zwykle martwiłem się. Co jeśli nie będzie miała mleka, żeby je wykarmić? To dręczyło mnie przez wiele dni, ale potem myśli o Ravntorze znowu przeważały. Często tak ze mną było, że jedno zmartwienie zastępowało drugie.

Winabave łowił ryby wędą, którą skręcił z łyka wiązu, jako haczyka użył ciernia. Sam często tak robiłem, będąc dzieckiem. Wykradał też ryby z pułapek i żaków, których wiele było w mijanych przez nas ujściach rzek. Dwa razy jacyś ludzie atakowali nas strzałami z łuku, ale szybko wypłynęliśmy na otwarte wody, pozostając tam przez całą

noc. Jedliśmy małże i wodorosty, a kiedy uznawaliśmy, że jesteśmy wystarczająco daleko od siedlisk ludzkich, wchodziliśmy do lasu na odległość kilku rzutów kamieniem i spaliśmy pod osłoną drzew.

Wpłynęliśmy do cieśniny po wschodniej stronie Krainy Świtu i dotarliśmy w końcu do miejsca, w którym Rieczny Lud przebywał latem. Ale nikogo tam nie było. Z chat zdjęto korę, zostały tylko ramy z gałęzi. Winabave stwierdził, że tym razem musieli wybrać inne miejsce na letni pobyt, może okazało się, że połowy ryb były tu zbyt słabe. Niewiele mnie to obeszło i wkrótce znowu byliśmy na wodzie w kvedunie. Miałem poczucie, że ktoś na mnie czeka na Wyspie Reniferów. Stawało się coraz silniejsze, tak jakby bogowie szeptali do mnie w snach, że mój długi dom jest odbudowany, mój brat powrócił, a Sigrid wyjdzie mi na spotkanie z niemowlęciem na rękach. Tak wyraźnie to przed sobą widziałem, że kiedy wpłynęliśmy na ostatni otwarty odcinek przecinający Zatokę Wielką, widziałem niemal dym unoszący się nad tamtejszym półwyspem. Czułem zapach zwierzęcego gnoju i gotowanej smoły, a w połowie drogi przez zatokę zacząłem słyszeć głosy. Słowa wypowiedano w moim własnym języku, dobiegły nas też dźwięki młota i żelaza.

– Tam są ludzie – powiedział Winabave. – Mówią jak twój lud.

Mój lud. To nie był sen. Te głosy, te odgłosy z kuźni były rzeczywiste. Mój brat żyje. Wrócił do domu. Zawołałem go. Zawołałem Sigrid, ale jeszcze byliśmy zbyt daleko od brzegu, żeby mogli nas usłyszeć. Wiosłowałem jak nigdy przedtem. Wkrótce znaleźliśmy się w ujściu osłoniętej zatoki zwanej przez nas Przystanią i wreszcie zobaczyliśmy, że stał tam nowy długi dom. Nad naszą kuźnią pobudowano zadaszenie, a z żerdzi i gałęzi wzniesiono oborę. Po podwórku chodzili brodaci, masywni mężczyźni, były tam też kobiety, a nad wodą bawiło się kilkoro dzieci. W zatoce kotwiczyło pięć łodzi, na jednej z nich stało dwóch mężczyzn, smarując smołą górne klepki.

Zauważyli nas. Ktoś wskazał na nas palcem. Kowal odłożył młot. Jakiś mężczyzna przy długim domu upuścił niesioną naręcz opału i wpadł do budynku, a zaraz potem wyszedł z długim łukiem.

Pozwoliliśmy kvedunowi dryfować. To nie byli moi ludzie. Teraz zeszli na plażę,

wielu z łukami w rękach. Jeden z nich wystrzelił strzałę. Wylądowała w wodzie o długość statku od nas. Jeden z pozostałych, siwobrody brzuchacz, stanąwszy nad wodą na szeroko rozstawionych nogach, zawołał do nas:

– Zabierajcie się stąd, przekłęci Skrælingowie!

Mgła unosiła się nad morzem tego dnia. Taka, która kładzie się nisko nad wodą. Może to z jej powodu mężczyźni na brzegu nie widzieli, że wcale nie jestem Skrælingiem, miałem przecież brodę i byłem wysokim mężczyzną. Jeszcze jedna strzała wpadła do wody, tym razem bliżej nas. Wtedy zawołałem do nich:

– To ja, Torstein Tormodson!

Siwobrody na brzegu gapił się na nas zmrużonymi oczami. Teraz go rozpoznałem. To był Ulle Dan, ordynarny, głupi mężczyzna, którego poznałem na pokładzie statku Frøydis. Rozpoznałem też dwa ze statków, które tam kotwiczyły. To były knary Frøydis. W ludziach zgromadzonych na brzegu też było coś znajomego, spotkałem ich na statkach płynących z nami do Patuxetu.

– Sigrid! – Podniosłem się w kvedunie, który niemal się wywrócił, ale nie przejmowałem się tym. – Sigrid! Wróciłem!

– Nie ma jej tutaj! – zawołał Ulle. – Są na stałym lądzie. Musicie zejść na brzeg!

Podpłynęliśmy bliżej. Łuki opuszczono, ale mimo to zawołałem do nich, że towarzyszący mi Skræling ma na imię Winabave i mówi naszym językiem. Ulle odparł, że rozpoznaje Skrælinga, a potem zwrócił się do pozostałych, wyjaśniając, że Skræling jest moim niewolnikiem. Już miałem krzyknąć, że na mojej wyspie nikt nie jest niewolnikiem, lecz nagle przyszło mi do głowy, że Winabave będzie chroniony, jeśli powiem, że jest moją własnością. Pochyliłem się do przodu nad jego plecami i szepnąłem:

– Niech myślą, że tak jest. Wtedy się nie ważą cię tknąć.

Ulle skinął na nas. Kvedun zbliżał się bokiem do plaży, Winabave podniósł się i wszedł na ląd. Ulle podparł się pod boki. Najpierw spojrzał na Winabavego, potem jego wzrok spoczął na mnie.

– Torsteinie Szkutniku – powiedział. – Chodź, wejdź do środka. Weź ze sobą niewolnika. Musisz nam wszystko opowiedzieć. Torfinn chce na pewno usłyszeć o Skrælingach z południa.

– Torfinn jest tutaj? – zapytałem.

– Nie, jest na stałym łądzie, dogląda wyrębu drzew. Pewnie wróca za kilka dni.

Poprowadzili nas do długiego domu. Od razu zauważyłem, że jest większy niż ten, który stał tu przedtem. Grube belki podtrzymywały dach, teraz nieco łukowato sklepiony. W dachu nad paleniskiem był otwór, podobnie jak przy kalenicach w obydwu końcach domu.

– Przykro ci na to patrzeć – powiedział Ulle, pokazując baranicę przy palenisku. – To przecież twój dom tutaj stał. Ale musisz wiedzieć, że twojej kobiecie niczego nie brakowało i...

– Jak poszedł poród? – zapytałem.

Ulle skinął głową.

– Poród, tak... Urodziła tutaj, albo... – Wskazał na koniec podłużnego paleniska. – Tam. Frøydis i inne kobiety jej pomagały. A chłopak jest silny i zdrowy.

Poczułem rękę Winabavego na ramieniu.

Ulle schylił się nad paleniskiem, wygrzebując kijem kilka żarzących się głowni.

– Nie chciała dać mu imienia. Powiedziała, że zrobi to ojciec, kiedy wróci. Nic na to nie powiedzieliśmy, ale według Frøydis powinien dostać twoje imię, skoro ty... Myśleliśmy przecież, że już nie wrócisz.

Weszła młoda kobieta z zawiniątkiem z lnu przerzuconym przez ramię. W długim domu stał stół za podwyższonym siedziskiem, znajdującym się przy końcu paleniska. Kobieta położyła zawiniątko na stole, wyjęła kilka kawałków czegoś, co wyglądało na mięso łosia, i zaczęła krajać je na plastry. Musiałem się gapić głównie na siedzisko, na węże wyrzeźbione na podłokietnikach i na nogach, bo Ulle odchrząknął i zapytał, czy sprawia mi przykrość, że teraz ktoś inny zasiada tu jako hovding.

– Torfinn myślał, że nie żyjesz – dodał. – Wszyscy tak myśleliśmy.

Nie odpowiedziałem. Obróciłem się tylko w jego stronę, pytając, czy widział mojego brata, czy on i jego załoga wrócili. Ulle pokręcił włochatą głową.

– Nikogo nie widzieliśmy – powiedział. – Ale może wiedzą coś więcej na Wyspie Leifa. Możesz zapytać Frøydis, jak wróci.

– To jej też tutaj nie ma?

– Frøydis popłynęła na Wyspę Leifa – odparł Ulle.

Dostałem piwo w grubo wyciosanym naczyniu. Ulle zapytał, czy niewolnikowi pozwalam pić, a kiedy skinąłem głową, nalano też Winabavemu. Pokrojone mięso nabito na rożen. Ulle pytał o Skrælingów na południu, o wszystko, co wiem na ich temat. Teraz pozostali mężczyźni schodzili się do domu.

– Musisz zostać na noc – powiedział Ulle i obrócił się do ludzi, wskazując na mnie.
– To jest dopiero ktoś! Schwytyany przez Skrælingów, uznany już za martwego, ale głupcami byliśmy, myśląc tak!

Potem znowu obrócił się do mnie. Nie muszę się kłopotać o Sigrid, oznajmił, bo są przy niej ludzie. W lesie zbudowano szałas, pewnie tam spędzą noc.

Podniosłem się.

– Kiedy wrócę, będę potrzebował ludzi. Będę potrzebował statku albo kilku statków. Muszę odzyskać syna.

– O tym musisz chyba porozmawiać z Torfinnem – rzekł Ulle. – Ale jeśli masz teraz zamiar szukać Sigrid, raczej zostań tutaj. Późno się robi.

Spojrzałem na otwór pod kalenicą. Miał rację. Powoli zapadała ciemność, jednak ja nie mogłem usiedzieć na miejscu. Musiałem znaleźć Sigrid.

– Dokąd poszli? – spytałem. – Pójdę jej na spotkanie.

– Przez piaszczysty pomost, na północ wzdłuż wybrzeża. To niedaleko. Ledwo pół dnia drogi. Mamy tam kilka dołów do pędzenia smoły i sidła na zające. Ale zostań. Mgła nadchodzi.

Zerknąłem na Winabavego, który palcem wskazującym zbierał ostatnie krople piwa z dna naczynia.

– Spójrz na Skrælinga. – Ulle wyszczerzył zęby. – Spragniony jak pies. Polej jeszcze niewolnikowi, Aslaug!

Dziewczyna, która przyniosła mięso, wzięła ze stołu dzban z piwem, podeszła i nalała Winabavemu. Natychmiast przytknął naczynie do ust i zaczął pić.

Winabave przyniósł mi wstyd tego wieczora. Opróżnił naczynie kilkoma potężnymi haustami i siedział z pustką w oczach. Ulle chciał mu nalać jeszcze raz, ale pociągnąłem Skrælinga za ramię, zmuszając, żeby poszedł za mną. Kiedy doszliśmy do piaszczystego pomostu, piwo musiało dotrzeć do głowy Winabavego, bo zrzucił

spodnie i chwycił się za członek. Ale ponieważ był wykastrowany, ten zwisał bezwładnie. Winabave uderzył go wtedy i – nie znam wprawdzie przekleństw w języku Skrælingów – ale brzmiało to tak, jakby strasznie przeklinał. Stałem, patrząc na morze, ale było szare, niebo zachmurzone, a statku mojego brata nigdzie nie mogłem dostrzec. Podniosłem z ziemi spodnie Winabavego i pociągnąłem go ze sobą, a on obsikał sobie nogi, głupio się przy tym uśmiechając. W końcu uśmieszek przeszedł w bolesne łkanie. Przez całą zimę dusił w sobie żalobę i ból i dopiero teraz, z brzuchem pełnym piwa, stracił panowanie nad sobą. Dobry był z niego przyjaciel, zawdzięczałem mu życie. Powinienem go objąć tam na pomoście i pocieszyć, tak jak on przedtem pocieszał mnie. Ale ja tylko pociągnąłem go za sobą, jak surowy ojciec ciągnie nieposłuszne dziecko.



24

Zawłaszczenie statku

Po opuszczeniu długiego domu nie uszliśmy z Winabavem daleko, a już ciemność i mgła zmusiły nas do rozbicia obozu. Położyliśmy się za kępą mchu niedaleko mostu. Całą tę noc Winabave przespał, chrapiąc. Kiedy nadszedł poranek, był przepity i drżały mu ręce, uskarżał się też na gorączkę. Mimo to szedł za mną posłusznie jak pies. Niedaleko znaleźliśmy kilka złamanych gałęzi, maskowane torfem puste sidła i plamy krwi. W mchu widniały jakieś ślady. Winabave jakoś się pozbierał i poszedł tymi śladami.

Znaleźliśmy szałas, ale nikogo tam nie było. Wyczerpany Winabave zwinął się w kłębek wokół wygasłego paleniska pod dachem z żerdzi. Szałas ustawiony był otworem w stronę morza. Między wypaczonymi od wiatru sosnami połyskiwały fale.

Kiedy tak stałem, usłyszałem warczenie. Za szałasem rosło kilka małych brzoź, a między nimi stał mały pies o skołtunionej sierści. To był Fenre.

Podszedłem do niego całkiem blisko i dopiero wtedy przestał warczeć. Postawił uszy, a gdy go zawołałem, pognął do mnie tak szybko, że uderzył łbem w moje

kolano. Podniosłem go i objąłem. Poczułem, że pierś i kark ma wychudzone, chociaż wyglądał na dobrze odżywionego i miał czystą sierść. Posiwał też bardziej wokół pyska.

Zaniosłem psa do lasu. Trzymałem go w ramionach, a on leżał w nich jak małe dziecko. Wtedy usłyszałem jej głos:

– Fenre! Fenre!

Winabave został w szałasie, a ja postawiłem Fenrego na ziemi i wszedłem między niskie brzozy. Mój mały, trójnogi piesek prowadził mnie w głąb lasu, o rzut kamieniem od szałasu zaczynał się las brzozowy. Przed nami leżała łąka. Pamiętam, że rosły na niej kępy żółtych i białych kwiatów, a na samym środku stał szary i wyschnięty pień brzozy złamany o kilka długości człowieka nad ziemią. Zobaczyłem postać między drzewami po drugiej stronie łąki. Najpierw nie poznałem jej, bo miała kaptur na głowie i była ubrana w długą do kostek, brązową koszulę. Na plecach niosła kosz, chyba z przymocowanym do niego łukiem i plecionym kołczanem. Zdjęła z głowy kaptur, rude kręcone włosy opadły.

– Fenre! – zawołała. – Fenre!

Dziwne, że nie znalazłem lepszych słów niż te, które wymknęły mi się z ust owego ranka.

–Tutaj jest – powiedziałem.

Może pomyślała, że zostałem wysłany z Asgardu za pozwoleniem Odyna albo z podziemnej halli bogini Hel, bo kiedy pojawiła się między brzozami, wzrok miała tak przerażony, jakby wzięła mnie za upiora.

– To ja – rzekłem.

Zdjęła kosz i postawiła go w trawie. To był szeroki i płytki kosz, jakiego kobiety używają do zbierania wikliny i łodyg roślin. Ostrożnie wyjęła z niego dziecko. Było zawinięte w pled. Sigrid, moja kochana Sigrid, nie pobiegła mi na spotkanie tam na łące. Równie ostrożnie, jak wyjęła dziecko z kosza, podeszła teraz do mnie. Widziałem, że płacze, ale szła odważnie niczym walkiria i wreszcie stanęła w odległości ramienia ode mnie.

– Torsteinie Tormodsonie – powiedziała. – Urodziłam ci drugiego syna. To zdrowy i silny chłopak.

Włożyła mi go w ramiona, a ja po raz pierwszy spojrzałem w twarz tego, którego najpierw nazwaliśmy Bjørnem po moim bracie, ale kilka dni później otrzymał imię Bjørnar, niedźwiedzi wojownik. Miał okrągłą twarz, niebieskie oczy i włoski o rudawym odcieniu.

Pamiętam, że wyciągnąłem do niej rękę. Ujęła ją, przyciskając sobie do policzka. Objąłem Sigrid ramieniem, a ona przywarła do mnie, drżąc.

– Ravntor...

– Nie udało mi się przywieźć go ze sobą. Ale żyje. Jestem pewien, że żyje.

Długo staliśmy, obejmując się. Nie wymieniliśmy więcej słów. Wdychałem zapach jej włosów, przytulałem dziecko do siebie. Wreszcie poszliśmy do szałas, gdzie Fenre warczał na Winabavego, a ja powiedziałem Sigrid, że pomogliśmy sobie wzajemnie przetrwać zimę i że bez niego bym sobie nie poradził.

– Tak śniłam – rzekła. – We śnie wróciłeś do mnie, ale bez Ravntora.

– Odzyskam go, Sigrid. Obiecuję ci to.

Razem z Sigrid byli w lesie ludzie, którzy poszli zajrzeć do zastawionych sideł, a teraz pojawili się między drzewami; niemal nie mogli uwierzyć, że żyją. Poszliśmy wszyscy na Wyspę Reniferów, gdzie Ulle Dan zaprosił nas do długiego domu. Upieczono świeżo złowione w Zatoce Wielkiej ryby – rodzaj suma – jakich nigdy przedtem nie widziałem.

Sigrid spała mocno przytulona do mnie tej nocy. Obudziłem się tuż przed świtem, leżeliśmy na ławie do spania, rzędem ze wszystkimi ludźmi, a Ulle Dan chrapał głośniejsz niż jakikolwiek znany mi mężczyzna. Ale to nie chrapanie Ullego mnie zbudziło, tylko złe sny. Widziałem w nich brata na dnie morza, wśród wodorostów i muszli, twarz miał nabrzmiałą i prawie nie do rozpoznania.

Wstałem i wyszedłem z długiego domu. Winabave dostał piwo poprzedniego wieczora, ludzi bawiło chyba upijanie go, a potem zasnął twardym snem. Towarzyszył mi Fenre. Szedłem przez las klonowy, wschodni wiatr szumiał w koronach drzew, wkrótce dotarłem na plażę i stanąłem, spoglądając na morze. Doleciał mnie zapach wodorostów i słonego morza, który zazwyczaj napełniał mnie spokojem, ale nie czułem spokoju ani razu od czasu, gdy odebrano mi syna, teraz też nie. Znowu

rozmyślałem, jak go odzyskać. Bez własnego statku nie uda mi się dostać na południe, więc niezależnie od wszystkiego musiałem najpierw zdobyć statek. Zbyt wiele czasu zajęłoby zbudowanie go, ale Frøydis, będąc przecież kobietą, musiała zrozumieć. Jeśli dysponowała tymi trzema knarami, które ojciec jej podarował, mogła mi chyba jedną pożyczyć. Ale to musiało się wydarzyć przed powrotem Torfinna Karlsevneho. Jeśli podejrzewał, że zabiłem tamtego mężczyznę na Islandii, nie byłem bezpieczny tu na wyspie. Naszła mnie też obawa, że ten bogacz, który odebrał mi wyspę i wybudował dom na zrębach mojego domu, zabił Eysteina, bo nie widziano ani jego, ani Onejun. Sigrid pytała Frøydis o Eysteina, lecz ona tylko skinęła w kierunku Zatoki Wielkiej, mówiąc, że pewnie popłynął ze swoją kobietą i dzieckiem do jej ludu, o ile dzieciak nie zmarł od gorączki. Jeśli gorączka zabrała dziecko, trudno przewidzieć, co zrobił Eystein, pomyślałem. Może zniknął gdzieś w głębi łądu. Może przedostał się na północ do Wyspy Leifa, mając nadzieję, że znajdzie miejsce na statku, który go zabierze na Grenlandię, skąd mógł podążyć na wschód, z powrotem do życia, jakie zna. Może próbowałby dostać się do Svena Widłobrodego. Wojownicy byli zawsze mile widziani w hallach możnowładców, tam nie brakowało nigdy piwa i nałożnic, mogących dać mężczyźnie zapomnienie. A może myślałem przede wszystkim o sobie i zaczynałem rozumieć, do jakiego życia byłem stworzony i co mam zrobić. Siedząc na piachu z Fenrem na kolanach, widziałem, że przez zimę się postarzał i że zaczął go nękać gościec. Stawy opuchły, grzbiet miał zapadnięty. Sigrid mówiła, że źle widzi i słyszy. Kilku myśliwych z ludu Epego znalazło go w lesie jakiś miesiąc po moim i Eysteina wyjeździe. To cud, że poradził sobie tak długo sam. Zaopiekowali się nim, a kiedy ludzie Torfinna zajęli Wyspę Reniferów, przyплыnęli z nim tutaj. Zmęczony był mój stary pies, może niewiele mu życia zostało. Ale teraz znowu przy nim byłem.

Pogrążyłem się w rozmyślaniach i na nic nie zwracałem uwagi. Nie słyszałem, jak Sigrid wyszła z lasu klonowego. Dopiero gdy usiadła koło mnie, wzdrygnąłem się.

– Tak myślałam, że tu jesteś – powiedziała. – Widzę to.

– Co widzisz?

Wskazała na morze. Podniosłem wzrok. Zobaczyłem statek. Z żaglem ukośnie napiętym płynął w naszym kierunku. Wschodzące słońce migotało na fali dziobowej. Podniosłem się. Zawołałem na niego. Krzyczałem pod wiatr i fale. Chociaż

rozumiałem, że na razie są zbyt daleko, żeby mnie usłyszeć, nie przestawałem krzyczeć i może ktoś mnie dostrzegł, bo na dziobie pojawiła się jakaś postać i zaczęła wymachiwać rękami. Nie był to Bjørn, ten ktoś był o wiele szczuplejszy. Dopiero teraz dostrzegłem, że knara na morzu przed nami wcale nie jest tą, którą zbudowaliśmy.

– To Frøydis – powiedziała Sigrid. – Wróciła.

Sigrid miała rację. Jak zawsze. Kiedy ludzie zebrali się na plaży, stanęliśmy wśród nich, a załoga Frøydis rzuciła kotwicę na środku zatoki, spuściła na wodę łódkę, a następnie zaczęła przeprować na ląd towary zabrane z Wyspy Leifa: wysmołowane beczki i lniane worki, drewniane klatki z kurami, cztery owce, barana i cztery małe prosiaki. Ulle Dan zawołał do Frøydis, że Torstein Szkutnik wrócił i ma ze sobą Skrælinga, ale nic nie odpowiedziała. Pozostała na pokładzie, podczas gdy jej ludzie kursowali łodzią.

Frøydis zwlekała z zejściem na ląd, jakby się czegoś obawiała. Ulle Dan zawołał do niej, że ludzie chcą usłyszeć wieści z Wyspy Leifa, jeśli ma coś do opowiedzenia, i wreszcie weszła do łódki. Siedziała z ponurym wyrazem twarzy. Zresztą ludzie, których już przeprowiono na ląd, też byli dziwnie milczący. W końcu zeszła na ląd, była ubrana w męskie spodnie i krótką tunikę, włosy miała zebrane w ciasny warkocz.

– Mam wieści z Wyspy Leifa – powiedziała. – Zbierz ludzi, Ulle, wszystko opowiem. – Potem spojrzała na mnie, podeszła i położyła Sigrid rękę na ramieniu. – Cieszę się, że twój mąż wrócił. Bogowie tego chcieli.

Zrobiła krok w tył i zmierzyła wzrokiem mnie i Winabavego.

– Słyszałam, że jesteś twardym człowiekiem, Torsteinie, i że cieszysz się przychylnością króla Danów. Torfinnowi jednak nie spodoba się, że wróciłeś. Mówi, że jeden z twoich ludzi zabił człowieka na Islandii i że powinieneś być zapłacić grzywnę, a nie zwyczajnie odpłynąć. Ale Torfinn jest sprawiedliwym hovdingiem. Nie musisz obawiać się o życie.

Nagle ogarnęła mnie wściekłość. Ci, którzy mnie znają, wiedzą, że to mi się zdarza. To szal berserka. Dar od Odyńa, mówili w Jomsborgu, choć Sigrid nazywała to przekleństwem. Nie powinno się do mnie tak mówić na mojej własnej wyspie.

– Jestem Torstein, syn Tormoda – rzekłem. – Ten, kto pragnie zemsty, może

chwycić za broń i... – Wskazałem na wschodni cypel. – Tam. Wyzwę na holmgang każdego tutejszego mężczyznę, jeśli będzie trzeba. A jeśli nie, ty i twoi ludzie macie zamknąć gęby!

Nie miałem prawa tak się odzywać do Frøydis. Wiedziałem o tym, zanim skończyłem, lecz słowa już padły z moich ust. Wzrok Frøydis spochmurniał, ale nie spuściła oczu. To była kobieta o silnej woli, nie dała się zastraszyć żadnemu mężczyźnie. Sigrid odeszła ode mnie, dziecko zaczęło płakać.

Zrobiło mi się wstyd, że tak hardo przemówiłem do Frøydis. Chciałem jej raczej podziękować za zabranie Sigrid od Skrælingów i udzielenie schronienia, mimo że było to schronienie w domu wzniesionym na zgliszczach mojego. Ulle zwołał ludzi do długiego domu. Sigrid z dzieckiem, Winabave i ja też tam poszliśmy i usiedliśmy na ławie. Na moich kolanach spoczywał Fenre.

Frøydis stanęła obok paleniska, patrzyła w żar, podczas gdy ludzie się uciszali. Podparła się pod boki, co nadało jej raczej chłopięcy wygląd, bo miała szczupłe ciało i dumnie się nosiła. Przesunęła wzrokiem po siedzących mężczyznach, kobietach i dzieciach.

– Stało się to, czego się obawialiśmy. Zboże i zwierzęta zostały do nas przeprowadzone drogą wodną. Nie wazyliśmy się zejść na ląd.

Po rzędach ław przeszedł szmer. Matki przygarnęły do siebie dzieci. Mężczyźni kręcili głowami, a Ulle wstał.

– To już po nich? Tak właśnie jest, Frøydis?

Spojrzała na niego, w jej wzroku nadal była stanowczość.

– Tak, Ulle. Zaraza, która zabrała ojca, dotarła też do wyspy mojego brata.

– A on sam?

– Mówią, że popłynął na Islandię. Tyrke i kilku innych popłynęło z nim.

Ulle zwrócił się do ludzi siedzących na ławach.

– Opłuczemy zboże. A jeśli przybędzie jakiś statek z północy, nie pozwolimy załodze zejść na ląd. I musimy złożyć ofiary. Musimy się zwrócić do Frigg. Ona nie da nam zachorować.

Z ław pokiwano na to głowami. Frøydis próbowała powiedzieć, że składanie ofiar raczej nie pomoże, jak nie pomogło ludziom na Wyspie Leifa, ale Ulle wyciągnął nóż

zza pasa i pokazał go ludziom, po czym wybiegł z domu, a za nim reszta mężczyzn.

Winabave, ja i Sigrid z chłopczykiem stanęliśmy na dole przy wodzie, kiedy Ulle krępował barana dopiero co zniesionego przez Frøydis i jej załogę na ląd. Według niego w ofierze należało złożyć najdorodniejsze zwierzę. Zrobił baranowi nacięcie na karku, ale jeszcze go nie zabił, tylko podniósł nóż do góry, rycząc, że kiedy dzień się skończy, wszyscy mężczyźni i kobiety na wyspie muszą się tutaj znowu zebrać, a wtedy on złoży ofiarę.

Zawsze jest tak, że najwięksi głupcy najbardziej się rwą do składania ofiar. Frøydis była zła, stała wśród mężczyzn z ręką na toporku u pasa. Przez chwilę myślałem, że chwyci go i wbije w czaszkę Ullemu, ale odeszła i znikła w lesie. Pewnie chodziła po nim wściekła, bo zobaczyliśmy ją ponownie dopiero późnym wieczorem. Tak jak obiecał Ulle, baran został złożony w ofierze po zapadnięciu ciemności i strasznie beczał, kiedy Ulle podrzynał mu gardziel. Sigrid, Winabave i ja trzymaliśmy się z daleka, pozwalając ludziom robić, co chcą.

Ludzie Torfinna wypili dużo piwa tego wieczora. Dziwiłem się, skąd mają tyle piwa, ale potem przypomniałem sobie, że Torfinn jest ponoć bardzo bogaty. Kiedy Ulle i pozostali siedzieli przy palenisku, pijąc, gadając głupoty i bekając, Frøydis podeszła do mnie i zapytała, jak udało mi się wyrwać Skrælingom i przetrwać zimę.

– Uciekliśmy – powiedziałem tylko. – W głąb lądu. I polowaliśmy.

Nic więcej na ten temat nie dodałem, ale coś we mnie chciało wykrzyczeć do wszystkich w halli, że zabijałem i zjadałem ludzi. Obgryzałem mięso z ludzkich kości. Miażdżyłem je, wyskrobywałem szpik i gotowałem na nim oślizłą zupę w zagłębieniu skalnym w jaskini. Jestem teraz potworem, wendigo.

Milczałem jednak. Siedziałem z Fenrem na kolanach i Sigrid obok mnie, patrząc, jak ten głupiec Ulle i jego ludzie piją; tak spili Winabavego, że posikał się w spodnie. Zwłaszcza mężczyzna imieniem Magnar bez przerwy dolewał mu piwa tego wieczora; był to wysoki, żylasty chłop z rzadką brodą i wklęsłym nosem. Później miałem z nim więcej do czynienia, ale tego wieczora myślałem tylko, że głupio robi, upijając Winabavego. Magnar zerkał na mnie, ale nic sobie z tego nie robiłem, bo

postanowiłem, że kiedy słońce wzejdzie, wezmę Sigrid i odejdziemy stąd. Mogliśmy pójść do obozu Rzecznego Ludu. Eystein pewnie tam był. Nagle ktoś mi włożył do rąk głębokie naczynie z piwem i chociaż powinienem odmówić, podniosłem je do ust i wypilem. Zobaczyłem runy wyryte na wewnętrznej stronie wzdłuż krawędzi naczynia i poczułem się jak głupiec. Ojciec wstydziłby się za mnie, bo znałem tylko kilka z nich.

– Rozum ma panować nad mężczyzną – szepnęła Sigrid. Znała pismo o wiele lepiej ode mnie.

Skinałem głową. Bo czyż to nie żądze mężczyzn kierują naszymi wyborami? Rzadko widziałem, żeby rozum przeważał nad pożądaniem bogactw i kobiet. Najczęściej tylko u siwobrodych starców rozsądek panował nad żądzą.

Sigrid zaczekała, aż wypiję piwo, a potem opowiedziała mi o Hildzie. Może myślała, że napitek złagodzi we mnie wściekłość i żalobę. Właściwie to już się pogodziłem z myślą, że nigdy się nie dowiem, co się stało z małą niewolnicą, ale Sigrid nie miała odwagi powiedzieć mi tego od razu, bo to był zbyt bolesny temat. Hilda została pojmana razem z nią i Ravntorem i poprowadzona na południe. Skrælingowie bili ją i poniewierali, a pewnego wieczora o kilka dni drogi od Wyspy Reniferów rozebrali ją do naga i posyłali wokół ogniska od mężczyzny do mężczyzny, jakby to była jakaś zabawa. Hilda zdołała im uciec i pobiegła do lasu nieopodal obozowiska. Jeden z Patuxetów pobiegł za nią i długo nie wracał. Kiedy wrócił, miał krew na kostkach rąk i na twarzy. Po tym wieczorze nigdy już Hildy nie zobaczyła.

Te słowa wywołały mrok w moim umyśle. Najpierw siedziałem wściekły, ale potem wypilem tyle piwa, że wściekłość jakby w nim utonęła. Piwo Torfinna było mocne. Później dowiedziałem się, że kupował tylko piwo uwarzone z najlepszego zboża i poddane tak długiej fermentacji, że nawet najtwardszym wojownikom dudniło po nim w głowie następnego dnia.

Wypilem chyba ze dwa lub trzy naczynia, kiedy Ulle przyszedł do mnie, mówiąc, że nie powinienem sądzić samego siebie tak surowo, że teraz muszę wziąć się w garść, bo żadna noc nie nadaje się lepiej do rytuału knesetting, posadzenia dziecka na kolanie, niż noc uczyty ofiarnej. Pomogli mi usiąść na jednej z ław, Sigrid podeszła z dzieckiem i posadziła mi je na kolanie, ale nie puszczając. Chyba nie miała odwagi.

– Musisz dać imię swojemu dziecku – rzekł Ulle i spojrzał na Sigrid, której nie udało się nic powiedzieć, bo z moich ust natychmiast padły słowa:

– Bjørn mu będzie na imię. Tak jak było mojemu bratu, który zaginął na morzu.

Następnego ranka obudziłem się nad brzegiem morza. Jak to się stało, że tu leżałem, nie pamiętam, ale byłem przykryty kocem, Sigrid pewnie tu do mnie zajrzała. Chyba nadal byłem pijany. Leżałem obolały i odurzony piwem i przypomniałem sobie to, co się stało z Hildą. Tęskniłem za Ravntorem, myślałem też o Vingurze, który był u Rzecznego Ludu. Czy Eystein przebywał tam z nim, dbając, żeby mojemu koniowi nie działo się krzywda? Zwymiotowałem i wszystko jakby ze mnie spłynęło, ale wtedy myśli zaczęły krążyć wokół tego, co Frøydis mówiła o zarazie. Straciła przez nią ojca, a teraz choroba dotarła do Wyspy Leifa. Przykro mi się zrobiło, kiedy pomyślałem o ludziach, których tam zostawiliśmy, i o ich dzieciach. Syn Vidara miał ledwie pięć lat, jak wyruszaliśmy z Orkadów. Może i zawiedli mnie mężczyźni, którzy tam zostali, ale dzieciaki nie zasłużyły na taki los. Słyszałem, że ta zaraza najpierw zabiera dzieci. Ręka Hel, tak nazywał ją ojciec. Bez litości dawała dzieciom umrzeć na oczach rodziców, a potem również ich zabierała. Niektórym robiły się wrzody. Inni wymiotowali krwią. To była straszna śmierć.

I kiedy tak leżałem na plaży, jakiś statek wpłynął do zatoki. Stojący przy wiosle sterowym Torfinn Karlsevne kazał rzucić kotwicę.

Torfinn miał wielu mężczyzn na pokładzie, dlatego łódka wiosłowa musiała odbyć wiele kursów. On sam pozostał na statku do ostatniej przeprawy; miał ze sobą młodą kobietę, która trzymała w ramionach dziecko, około dwuletniego chłopczyka. Sigrid przyszła na plażę, ja jakoś wstałem, a i Winabave przywłókł się do nas. Stanął w połowie schowany za naszymi plecami jak przestraszony pies. Kiedy kobieta zeszła ze statku do łódki, a Torfinn podał jej chłopczyka, Sigrid powiedziała, że ma na imię Gudrid i że jest żoną Torfinna. Chłopczyk nazywa się Snorre, to ich pierworodny. Nic nie powiedziałem, ale poczułem ukłucie: nie dość, że ten bogacz w błękitnym płaszczu zabrał mi wyspę i ścinał drzewa w moim lesie, to jeszcze przyplłynął tu z kobietą i małym dzieckiem. A kobieta była piękna jak mało która, co dostrzegłem,

jak łódka zbliżała się skosem do plaży. Szczupła, ubrana w czerwoną wełnianą koszulę z jedwabnymi obszyciami na rękawach, miała obfite piersi i krągłe biodra, do których sięgały gęste, falujące jasne włosy, teraz unoszone przez wiatr. Chyba stałem tak, gapiąc się, przepity i z głupawym wyrazem twarzy, gdy Frøydis podeszła i przywitała się z Torfinnem. Położyła mu rękę na ramieniu, miała takie męskie gesty. Następnie zamienili kilka słów o wyrębie drzew i Torfinn wskazał na knarę, na której pokładzie leżały powiązane ze sobą, długie, nieobrobione jeszcze klepki. Lecz jego wzrok spoczywał na mnie, a kiedy Frøydis mówiła, kiwał głową w zamyśleniu.

Torfinn nie odezwał się wtedy do mnie. Przyglądał mi się tylko, po czym wskazał na Winabavego. Frøydis wyjaśniła, że to mój niewolnik. Na to też nic nie powiedział. Objął ramieniem jasnowłosą kobietę i poszli razem w górę do długiego domu.

Sigrid, Winabave i ja zostaliśmy na brzegu. Torfinn wyszedł na podwórko, szybko zbliżając się do słupa ofiarnego, zwykłego kija, który Ulle wbił w torf przed poderżnięciem gardła baranowi. Fenre wcisnął się za mnie, jakby przeczuwał, na co się zanoszi. Torfinn stanął najpierw przy słupie z ramionami luźno opuszczonymi wzdłuż ciała, a potem wyrwał go z ziemi i cisnął w las. Zamaszystymi krokami poszedł do długiego domu. Słyszeliśmy, jak wymyśla siedzącym wewnątrz. Co to za głupcy i nikczemnicy złożyli w ofierze barana? Jak pozyskać teraz jagnięta? Usłyszeliśmy szcęk kubków i naczyń, na zewnątrz wyszły kobiety z dziećmi, a za nimi Ulle i kilku mężczyzn. Stali tak, gdy Torfinn im wymyślał; dorośli mężczyźni stali potulnie ze wzrokiem wbitym w ziemię, jak niegrzeczne dzieci dostające burę od ojca. Wreszcie Ulle musiał pójść między klony po słup ofiarny i podać go Torfinnowi, który zrobił krok w tył i walnął go nim w głowę tak mocno, że Ulle upadł na kolana, a potem na twarz. Pomyślałbym, że jest martwy, gdyby zaraz się nie podniósł. Zaklął, skarżąc się na swoją krzywdę, a potem zabrał się do przycinania klepki statku pod zadaszeniem, jak gdyby nic się nie stało, z krwią spływającą z czoła.

To, że Torfinn nagle okazał się surowym i gwałtownym mężczyzną, nie zrobiło na mnie wielkiego wrażenia. Spotkałem już wielu możnowładców, wszyscy oni byli tacy. Kiedy wszedłem do wody tego ranka, żeby zmyć z siebie przepicie, taki właśnie

człowiek patrzył na mnie z lustra wody. Ale teraz policzki mu się zapadły, spojrzenie stało się bardziej gniewne i natarczywe, między brwiami tkwiła głęboka bruzda. Taką bruzdę widywałem już u brata i nagle znowu zaczęły mnie dręczyć myśli. Gdybym tylko lepiej się postarał przy budowie knary, gdybym lepiej uszczelnił miejsca połączeń i zrobił mocniejsze żebra... Brat nadal by żył. Bo wreszcie zrozumiałem, że już nie wróci. Zrozumiałem, że morze go zabrało. Ale mogłem jeszcze uratować Ravntora.

Wiatr wzmógł się tego dnia. Poszedłem do lasu z Winabavem. Sigrid nie chciała iść z nami, trzymała się blisko Frøydis. Te dwie kobiety tak się różniły od siebie, jak tylko kobiety mogą się różnić. Sigrid była wiotka, kobieca i – jeśli sama chciała – miękka i uległa. Frøydis była dumna i harda, ramiona miała kanciaste, biodra wąskie. Dowiedziałem się później, że już jako dziewczynka nauczyła się bić i pod tym względem nie ustępowała żadnemu mężczyźnie. Pogłoski, jakoby Frøydis sypiała z kobietami tak jak mężczyzna, plotki, które miały jej towarzyszyć przez całe życie, zaczęły się na Wyspie Reniferów. A stało się to w następujący sposób: Magnar, wysoki, żyłasty mężczyzna, który tak ochoczo nalewał piwa Winabavemu, próbował zaciągnąć ją do łóżka, ale ona była wobec niego opryskliwa i niechętna. Spała obok Sigrid przez całą zimę, żeby chronić ją przed chucią chwytającą mężczyzn, wystarczająco długo przebywających pod jednym dachem z samotną kobietą. Dlatego Magnar zaczął rozsiewać plotki, że te dwie kobiety sypiają ze sobą. To, że Sigrid była tej zimy brzemienna, a potem urodziła synka i leżała z dzieckiem przy piersi, nie przeszkadzało ludziom Torfinna dawać wiarę tym plotkom.

Winabave i ja byliśmy tego dnia sami w lesie. Fenre trzymał się z Sigrid, a mężczyźni obrabiali klepki przywiezione przez Torfinna. Dźwięk siekier niósł się w południowym wietrze, musieliśmy wyjść na piaszczysty pomost, żeby od niego uciec. A tego dnia najbardziej pragnąłem uciec i gdzieś się schować. Nie dość, że ktoś mi ukradł ziemię i dobytek, to jeszcze zobaczyłem, jak złodziej gospodaruje na mojej ziemi. Gdybym miał statek, natychmiast bym stamtąd odpłynął. Niechby już Torfinn zabrał wyspę i zatokę i prowadził działalność, która mnie miała uczynić bogatym człowiekiem, a Sigrid kobietą z kluczami do wspaniałego długiego domu przy pasie.

Ale bez statku byłem równie ubogi i żałosny jak wtedy, gdy przypląnąłem na Orkady jako młody chłopak; jeśli nie gorzej. Wtedy miałem przynajmniej łódź.

Winabave i ja wróciliśmy dopiero wieczorem. Byliśmy na stałym lądzie i wyruszylibym w drogę, żeby znaleźć Eysteina i gdyby na wyspie nie została moja kobieta i dziecko. Musiałem przyjmować jedzenie od Torfinna, widząc, jak w długim domu zajmuje miejsce w siedzisku u szczytu paleniska jako hovding. Sigrid wiedziała, że to mnie dręczy. Ścisła mi rękę, obawiając się pewnie, że wybuchnę gniewem, bo zdawała sobie sprawę, że to potrafię, ale ja zatrzymałem wzrok na ogniu i na zawieszonym nad nim garze, potężnym, z pięknie rzeźbionymi uchwytyami. Z tym garem było tak, jak ze wszystkim, co należało do Torfinna: był wspaniały i kunsztownie wykonany. Zerknąłem na jasnowłosą kobietę, która zajęła miejsce obok niego na mniejszym i niższym krześle. Dziecko bawiło się obok przegrody oddzielającej część dla zwierząt od części mieszkalnej, tak jak przedtem bawił się Ravntor.

Jedliśmy i piliśmy. Można też było tego wieczora dostać piwo, choć tylko po kuflu na męczyznę. Załoga Torfinna nałowiła dosyć ryb po drodze, ugotowano je razem z kaszą jęczmienną i rzepą. Kiedy zjedliśmy, Torfinn powiedział, że został wykarczowany kolejny kawałek pola. Usunęli korzenie, ale ponieważ siedziały głęboko i trudno je było wyciągnąć, pole nie jest jeszcze gotowe do zaorania. Dobrze było to usłyszeć. Torfinn przynajmniej nie miał konia, a ja miałem.

Po posiłku Torfinn wskazał nagle na mnie kuflem, mówiąc, że wszyscy mieszkańcy wyspy uznali mnie za martwego.

– Według nas byłeś bardzo odważny – dodał. – Frøydis mówiła, że dałeś Skrælingom pojmać się w niewolę, żeby Sigrid puścili wolno. Nie każdy mężczyzna by się na to odważył.

Nie odpowiedziałem.

– Powinniśmy wznieść toast na twoją cześć – ciągnął dalej. – Ale zaoszczędzimy sobie tego piwa.

To nie zabrzmiało dla mnie dobrze. Wstrzymuje toast tylko ten, kto oczekuje czegoś więcej od człowieka, za którego ma być wzniesiony. Torfinn wyciągnął rękę

i poglądził kobietę po długich kędziorach.

– Torsteinie Szkutniku – rzekł, znowu patrząc na mnie. – Czy skłamię, jeśli powiem, że zabiłeś człowieka na Islandii?

Po tych słowach wszystkie rozmowy umilkły. Sigrid ścisnęła mi rękę, lecz ją strząsnąłem.

– Mężczyźnie nie przystoi kłamstwo – odrzekłem.

Torfinn przyspilił mnie wzrokiem i zastukał dnem kufła w podłokietnik siedziska, po czym jedna z kobiet natychmiast podeszła z beczką piwa i nalała mu. Piwo może i należało oszczędzać, ale najwyraźniej nie dotyczyło to hovdinga. Torfinn wypił, otarł pianę z wąsów i znowu położył rękę, teraz z piwną pianą, na kędziorach kobiety.

– Słyszałem o tobie, Torsteinie Szkutniku. Mówią, że zostałeś wyszkolony w Jomsborgu jako berserk. Widziano cię, jak szedłeś za Halvorem Przyjaznym tej nocy. Nie zamierzam cię prosić, żebyś przyznał się do zabójstwa. Choć musisz wiedzieć, że należał do mojej załogi i niektórzy tutaj uważają, że powinieneś zapłacić grzywnę za to, co zrobiłeś. Ale jak długo ja jestem hovdingiem tutaj na wyspie...

– Moim hovdingiem nie jesteś. – Słowa wyszły same, jednak do dziś pamiętam, jak dobrze mi zrobiło wypowiedzenie ich. I jakby sam Tyr napełnił mnie odwagą, bo stanąłem przy palenisku, spojrzałem bogaczowi na siedzisku w oczy, dodając: – To ja pierwszy wzięłem tę wyspę w posiadanie. Może twoi ludzie zwą cię hovdingiem, ale dla mnie hovdingiem nigdy nie będziesz.

Torfinn pociągnął łyk z kufła.

– To wielkie słowa jak na kogoś, kto nic nie posiada. Powinien być wdzięczny, bo przez całą zimę karmiłem jego kobietę. Zadbalem, żeby mogła urodzić, mając dach nad głową. Miała opiekę, na niczym nie oszczędzano. Pozwoliłem nawet jego kalekiemu psu jeść tu w domu i spać pod moimi baranicami. – Torfinn wstał ze swojego siedziska. – Nie możesz obwiniać mnie o wzniesienie gospodarstwa na podwórzu, nad którym ty wcześniej panowałeś, Torsteinie. Już wcześniej wycięto tu drzewa, a przystań utworzona przez tutejsze cyple umożliwia statkom bezpieczne kotwiczenie niezależnie od kierunku wiatru. Myślałem, że jeśli kiedykolwiek wrócisz, poproszę cię, żebyś pracował dla mnie jako skutnik. O zabójstwie byśmy już nie wspominali, byłbyś jednym z nas, wartym tyle, co każdy wolny człowiek. Niewolnika

byś zachował, a twojej kobiety nikt by nie dotknął.

Ruszyłem w stronę drzwi. Sigrid i Winabave poszli za mną, Sigrid z dzieckiem w ramionach, a Winabave z Fenrem. Stałem na dole nad wodą, złość się we mnie gotowała, a wtedy podeszła Sigrid, robiąc to, co tylko ona potrafiła. Położyła mi rękę na policzku i przytuliła mnie do siebie. Szepnęła, że rozumie, co czuję, tylko jaki mamy wybór? Nieszczęście nam się przydarzyło. Powinniśmy być szczęśliwi, że nie wygonili nas z wyspy. Teraz mam pójść z powrotem do domu i posiedzieć z ludźmi. Będziemy potrzebowali przychylności Torfinna, jeśli kiedykolwiek mamy popłynąć na południe i odzyskać Ravntora.

Tej nocy nie mogłem zasnąć. Znowu byłem po północnej stronie wyspy. Wiatr się zmienił i wiał od morza. Jeszcze miałem nadzieję, że pojawi się tam statek, że mój brat powróci. Może tak jest ze wszystkimi, którzy stracili kogoś na morzu. Nigdy nie tracą nadziei.

Kiedy tak stałem, podeszła do mnie Frøydis. Owinęła się kocem i najpierw nie wyrzekła ani słowa, stanęła tylko obok, też wpatrując się w czarne jak noc morze. Wreszcie powiedziała, że znalazła trochę ubrań dla mnie i dla Skrælinga. Spodnie i tuniki z gęsto tkanej wełny, a także opończe; zostały po mężczyźnie, który zachorował i zmarł tej zimy. Potem powiedziała jeszcze, że chce mi podziękować.

– Za to, że zabiłeś tamtego mężczyznę – dodała. – Wiem, co z niego był za człowiek. Wszyscy wiedzieli, po co trzyma tę małą. Kiedy byłem dzieckiem... przydarzyło mi się to samo. Zatem dziękuję ci. Oby Hel dręczyła go aż do Ragnaroku.



Zacząłem planować wyprawę do Rzecznego Ludu i Eysteina. Chociaż wielu stwierdziłoby, że zawiódł nas, opuszczając dla chorego dziecka, miałem nadzieję, że pomoże mi odzyskać Ravntora. Na Wyspie Reniferów nie mogłem zostać, pobyt tutaj był dla mnie nie do zniesienia.

Winabave uważał, że ponieważ Rzecznego Ludu nie zastaliśmy tam, gdzie zwykle rozbijali letni obóz, mogli pociągnąć na północ. Czasami tak robili, jeśli było ciepło. Tak jak my, mieszkańcy Północy, przemieszczamy się za ławicami ryb i najchętniej

osiedlamy się tam, gdzie można łowić dorsza, Skrælingowie przemieszczają się za stadami reniferów i wędrującym łososiem. Zdaniem Winabavego mogli wpaść na pomysł przeniesienia całego obozu tylko po to, żeby młodym mężczyznom umożliwić wypłynięcie w morze i zapolowanie na wieloryby, by okazali się dobrymi kandydatami na mężów.

Skleciłem trzy ramy do niesienia bagażu na plecach, po jednej dla każdego. Ponieważ nie chciałem wspominać o tym Torfinnowi i jego ludziom, całą pracę wykonałem na stałym lądzie. Do zrobienia ram użyłem wikliny i sznura ukreconego z łądyg roślin przypominających pokrzywy. Fenre nie odstępował mnie na krok i przytulał się za każdym razem, kiedy siadałem na odpoczynek. Łowiłem ryby własnoręcznie skręconą wędą. Haczyk zrobiłem z ciernia, a zdobycz wędziłem nad ogniskiem w uplecionej z gałązek klatce, żeby ptaki i drapieżniki nie mogły się do nich dostać. Sigrid wiedziała o tych przygotowaniach, zdawała się rozumieć, że nie możemy tu pozostać.

– To by się skończyło waśnią – stwierdziła, gdy powiedziałem jej, że nie mogę mieszkać w gospodarstwie człowieka, który zabrał mi ziemię.

Wspominając te dni i lata, kiedy byłem młodym mężczyzną, odczuwam żal. Nie byłem tak blisko Sigrid, jak powinienem, a jako ojciec byłem nieobecny. Teraz nosiła na rękach niemowlę, ale ono rzadko pojawiało się w moich myślach. Przepęłniała mnie wściekłość, że zabrali mi wyspę, a wściekłość jakby mieszała się z tęsknotą za Ravntorem. Moje myśli bez przerwy krążyły wokół tego, jak go odzyskać, cały czas planowałem, że wśliznę się niepostrzeżenie do Patuxetu i go wykradnę, ale uznałem, że to się nigdy nie uda. Patuxetom należało zagrozić przemocą i grabieżą albo zaproponować wykup. A ja nie miałem już ludzi, statków ani bogactw.

W desperacji poszedłem pewnego wieczora do Torfinna i zapytałem, czy może mi pomóc. Nie błagałem go, na to nie mogłem się zdobyć. Powiedziałem, że widziałem w Patuxecie dużo złota i że jego mieszkańcy są mali i żałośnie słabi; dysponując kilkoma dobrymi ludźmi, można by ich z łatwością ograbić. Torfinn wymamrotał tylko w kufel, że nie jest głupi, wie, co zamierzam, i nie da się nabrać. Wtedy podszedł do mnie Magnar, stanął przy ogniu, mówiąc, że mam przestać męczyć

hovdinga. Gładząc się po rzadkiej brodzie, opowiedział, jak to przed zarazą rozmawiał z ludźmi z Wyspy Leifa, tymi, którzy ze mną przyплыnęli. Nic dobrego nie mieli o mnie do powiedzenia, a jeden z nich imieniem Skjalm twierdził, że kawał dzikusa ze mnie, nawet jak na jomswikinga.

Te słowa wywołały we mnie wściekłość i rzuciłbym się na Magnara z gołymi pięściami, gdyby Brók Stary nie stanął między nami. Pamiętałem go z Islandii, był jednookim pomarszczonym dziadem, cuchnącym wieloletnim męskim potem. Pogroził mi palcem.

– Odpowiedz obelgą, jeśli chcesz – powiedział. – Ale nie pięściami.

Tylko że rzucanie obelgami nigdy nie leżało w mojej naturze. Usiadłem obok Sigrid, nic już tego wieczora nie mówiąc. Magnar dostał burę najpierw od Torfinna, który nie chciał słyszeć takiego gadania, a potem od starego. Odpowiedział jednak bezczelnie, że zupełnie nie rozumie, jak hovding może karmić kogoś tak bezużytecznego. Przecież ani nie pomagam w pracy przy łodziach, ani na morzu w połowach.

Następnego ranka Frøydis powiedziała mi, że ojciec Magnara zginął w bitwie pod Svolder i że walczył po stronie Olafa. Tego, że jestem jomswikingiem, Magnar dowiedział się dopiero zimą. Był uważany za człowieka wybuchowego i niezłego zabijakę, więc dopiero gdy uznali, że już nie wrócę, powiedzieli mu, że Torstein Szkutnik walczył po stronie Svena Widłobrodego i synów jarla Håkona. Kiedy Winabave i ja szliśmy do lasu tego ranka, wołał za mną, że jestem tchórzem i nikczemnikiem, bo wszyscy wiedzą, że pod Svolder przypadało dziesięć naszych statków na każdy statek Olafa.

Winabave i ja poświęciliśmy większość tego dnia na wykopywanie korzeni. Skræling przeżuł je na gęstą masę i podzielił na kilka kawałków, które spłaszczył rękami. Po drodze będziemy je piec nad ogniskiem, powiedział. Korzenie były też dobre na muchy i komary. Pomagały na wiele rodzajów schorzeń, na czarne myśli, ból głowy i na zawodzącą męskość, jeśli nimi posmarować krocze. To ostatnie powiedział z dziwnym, smutnym śmiechem, a potem szturchnął mnie w ramię pięścią, dodając, że

akurat tego nie potrzebuję; w końcu zrobiłem mojej kobiecie dwójkę dzieci.

Kiedy słońce chyliło się ku zachodowi, poszliśmy z powrotem w kierunku Wyspy Reniferów, ale postój na jedzenie zrobiliśmy przy pomoście. Usiedliśmy, spoglądając w stronę morza na północy. Pamiętam, że było bezwietrznie i duszno, a tylko o parę odległości strzału z łuku na morzu zalegała gęsta mgła.

Sigrid i Frøydis wyszły nam naprzeciw na podwórzu. Sigrid szybko podeszła do mnie, otaczając dziecko ramieniem i chwytając mnie wolną ręką.

– Daj spokój – powiedziała. – Nic... Nic nie rób.

Natychmiast zrozumiałem, że coś się święci. Wszedłem na podwórze, ale tam nic się nie zmieniło. Mężczyźni przycinali klepki pod zadaszeniem, po podwórzu kręciło się kilka kur, a knary leżały na całkowicie spokojnym lustrze wody. Nagle dotarło do mnie, że nie widzę kveduna, małej łódeczki z gładzi brzozonej, którą tutaj przypłynęliśmy.

Znalezienie jej nie zajęło mi dużo czasu. Magnar, który stał na skraju lasu, uśmiechając się złośliwie, zawołał do mnie, czy nie mam ochoty pójść za potrzebą.

– Wy jomswikingowie macie pełno gówna w środku – dodał – więc pomyślałem sobie, że zechcesz usiąść na czymś lepszym niż nasza stara żerdź do fajdania!

Ludzie Torfinna urządzili dół z nieczystościami w tym samym miejscu co my, była już tam przecież wykopana głęboka rynna w ziemi. Nad rynną umieściliśmy prosto wyciosaną i ostruganą z drzazg żerdź, na której siadaliśmy za potrzebą. Ale Magnar wniósł tam kvedun i położył go nad dołem z odchodami. Wyciął w korze dwa otwory, tak że mogło tam usiąść dwóch ludzi jednocześnie.

– Ty i Skræling wszystko robicie razem – powiedział. – Więc pomyślałem, że fajdać też razem możecie.

Stałem, patrząc na kveduna i wycięte w nim dziury, czułem dobiegający z dołu smród odchodów i słyszałem głośny, ordynarny śmiech Magnara.

Nie byłem głupcem. Zrozumiałem, że zrobił to, żeby mnie sprowokować. Torfinn raczej nie wybaczyłby bezpośredniego ataku na ludzi, którym udzielał schronienia w domu, i o tym Magnar dobrze wiedział. Ponieważ jednak nie rzuciłem się na niego, pomyślał, że trzeba czegoś więcej, żeby wpadł we wściekłość, i dlatego uderzył

mnie w twarz. Uderzenie było silne, zatoczyłem się do tyłu. Teraz nie miałem już wyboru. Nie tylko pochwyciła mnie wściekłość; nikt, komu zależy na sławie po śmierci, nie zostawi uderzenia bez odpowiedzi. Trafiłem go pięścią w szczękę i pięść była chyba twardsza, niż sądził, bo zatoczył się, zawadził piętą o leżącą na ziemi gałąź i ciężko upadł na ziemię. Schyliłem się po tę gałąź, żeby rozbić mu czaszkę, lecz złapał mnie za włosy i kopnął w brzuch. Upadając, musiałem się skaleczyć w czoło, bo kiedy się podniosłem, poczułem spływającą krew. Magnar pobiegł co sił między pniami drzew, ale nie uciekł. Jak tylko znalazł się na podwórku, znowu zwrócił się przeciwko mnie. Stał na szeroko rozstawionych nogach, z długimi ramionami wyciągniętymi na boki, gotów do ponownego zwania.

Osiągnął swój cel. Wszyscy widzieli, jak rozwścieczony wyszedłem ze skraju lasu. Najpierw rzuciłem w niego gałęzią, mocno uderzając go w brzuch, bo usłyszałem jęk. Torfinn wyszedł na zewnątrz i krzyczał, że mamy natychmiast przestać. Zobaczyłem, jak Sigrid stojąca z moim synkiem przestraszona kręci głową. Wtedy opamiętałem się i może dałbym radę zdusić w sobie wściekłość, zostawiając krzywdę bez odpowiedzi, gdyby Magnar nie powiedział czegoś, co wywoła wściekłość każdego mężczyzny.

– Twoja kobieta sama do mnie przyszła. Ten dzieciak jest mój.

Zapomniałem, że Sigrid spodziewała się dziecka, zanim wróciła na Wyspę Reniferów. Nie słyszałem też, że zaczęła wściekle wrzeszczeć na Magnara, przeklinając go imieniem Hel i nazywając kłamcą. Rzuciłem się na niego. Najpierw uderzyłem go w bok i mogę przysiąc, że poczułem, jak coś się w środku łamie. Potem wbiłem mu łokieć w nos – sztuczka, której nauczył mnie Ulfar Oracz w Jomsborgu. Kopnąłem go w kolano, a kiedy upadł, obydwoma rękami złapałem go za gardło. Uderzył mnie w skroń, to było mocne uderzenie i wszystko wokół mnie pociemniało, ale trzymałem go mocno, nie puszczając, a teraz i Fenre pojawił się koło nas. Stary Fenre, który nigdy nie był wielkim wojownikiem, chwycił Magnara zębami za policzek i ciągnął. Magnar próbował po omacku złapać mnie za kark, ale mu się nie udało. Z gardła wydobył się gulgot, wreszcie musiał dać za wygraną, ramiona bezwładnie opadły na ziemię.

Wtedy rozległ się okrzyk.

– Statek!

Bjørn uratował mnie przed popełnieniem zabójstwa tego dnia. Bo kiedy zwróciłem wzrok na zatokę i zobaczyłem wpływający statek, brat stał przy stewie dziobowej. Puściłem Magnara, pobiegłem w kierunku wody i wskoczyłbym do niej, gdyby ludzie Torfinna mnie nie pochwycili.

Bjørn i ja staliśmy, gapiąc się na siebie, on na długim statku, ja na brzegu. Był z nim Halvor, Valp, Hutten i ludzie, których zabrał ze sobą. Zobaczyłem, że są wychudzeni. Rozpoznałem też innych żeglarzy na pokładzie, poznałem również statek. To był ten sam statek i ci sami islandzcy żeglarze, na których natknęliśmy się, wpływając między Wyspy Owcze. Pokazali nam wtedy skórę niemowlęcia i spodnie zrobione ze skóry pochodzącej z dolnej części kobiecego ciała.

Torfinn stanął na szeroko rozstawionych nogach na podwórzu i zawołał do nich, czy byli na Grenlandii, Wyspie Leifa albo w innym miejscu, które dotknęła zaraza. Jeden z Islandczyków odparł, że nie schodzili na ląd na Grenlandii ani na Wyspie Leifa. Ludzie tam wołali do nich, tak jak teraz Torfinn, że panuje zaraza i że nikt, komu życie miłe, nie powinien u nich stawiać stopy. Ale przyплыnęli tu z mężczyznami, którzy obiecali zapłacić srebrem i zbożem i tych mężczyzn chcą wysadzić tu na ląd, a zapłatę otrzymać od razu.

Torfinn odpowiedział, że pewnie zostali oszukani. Tutaj nie dostaną żadnej zapłaty. Ale mogą rzucić kotwicę w zatoce, o ile nie będą schodzić na ląd. W to, że nie byli w pobliżu zarazy, nie uwierzył.

Nad wyspę napłynęła mgła i wkrótce statek zupełnie w niej zniknął. Krzyknąłem do brata, musiałem go usłyszeć, musiało do mnie dotrzeć, że to rzeczywiście on tam stał.

– Długo was nie było! – zawołałem. To jedyne, co mi przyszło do głowy.

– Tak – odrzekł tylko, a potem podniósł rękę i wskazał na nas. – Kim są ci ludzie?

Nie odpowiedziałem. Mgła połknęła statek i wytłumiła wszystkie dźwięki. Torfinn zawołał, że wyda rozkaz, żeby ich wyciąć w pień, jeśli tylko ośmielą się zejść na ląd. Ale nie jest nieprawym człowiekiem. Jeśli nie będą opuszczać pokładu, zadba o to, żeby wysłano im jedzenie i wodę, jak tylko opadnie mgła.

Sigrid, Winabave, mały Fenre i ja poszliśmy na zachodni cypel, skąd bliżej było do

statku. Tam kontynuowałem rozmowę z Bjørnem, Valpem, Huttenem i Halvorem. Wydarzyło się to, czego się obawiałem. Knara nie poradziła sobie w czasie sztormu. Pokład był dobry, miejsca połączeń nie przeciekały, ale porwał się żagiel i pękło kilka lin. Sztorm najpierw wypchnął ich daleko na morze, a potem na północ. Wreszcie knara została rzucona na mieliznę. Cała czwórka uczepliła się resztek wraku i tak trwała, aż zrobiło się jasno. Wtedy odkryli, że są zaledwie kilka strzałów z łuku od lądu, więc popłynęli tam wpław.

Ostre fale brzegowe mocno ich poturbowały, pokaleczyli się o muszle i pąkle. Najgorzej dostało się Valpowi, któremu rozerwało całą rękę.

Bjørn opowiadał dalej, jak użyli klepek z wraku, żeby zbudować schronienie. Ogień udało się rozpałcić dopiero kilka dni później, kiedy znaleźli porosty, które wysuszyli na własnym ciele i które wreszcie zajęły się od iskry z krzesiwa. W ranę na ręce Valpa wdało się zakażenie i byli przekonani, że będą ją musieli odrąbać, ale Hutten zrobił w niej nacięcie, wycisnął ropę i wtedy zakażenie ustąpiło.

Według brata zdryfowali na ląd niedaleko Szkierów Torbjørna, bo znaleźli resztki chaty o pół dnia wędrówki na południe tamtejszego wybrzeża. Leżały tam jeszcze kości dwóch mężczyzn.

Bjørn opowiedział też o łodzi, którą zbudowali z resztek wraku i która zaczęła tonąć zaledwie o kilka rzutów kamieniem od brzegu. Opowiedział o opadach śniegu, które zaskoczyły ich w środku Miesiąca Żęcia Zboża, i o głodzie, który zajrzał im w oczy. Podczas gdy mówił, słyszałem głosy i uderzenia siekier na podwórzu. Słyszałem również głos Torfinna, brzmiał ostrzej niż przedtem; był zły z jakiegoś powodu, przeklinał i złorzeczył. Zanim nadpłynęła mgła, naliczyłem na statku siedmiu mężczyzn oprócz Bjørna, Huttena, Valpa i Halvora. Teraz stawało się dla mnie jasne, co mam zrobić. Poprosiłem Sigrid, żeby wróciła do długiego domu i przyniosła kilka koców i skór zwierzęcych, ale nie więcej, niż może zabrać, nie budząc podejrzeń. Zrozumiała, co zamierzam, i raczej jej się to nie spodobało, ale Sigrid była mądrą kobietą.

– Zrób to dla Ravntora – powiedziałem tylko, zanim odeszła.

Winabave i ja zeszliśmy w dół między kamienie przy brzegu i popłynęliśmy, najciszej jak się dało, do statku. Brat i pozostali wyciągnęli ręce i wciągnęli nas na

pokład. Bjørn objął mnie, a Valp pokazał na rękę bliznę; przebiegała od palca wskazującego do nadgarstka.

Islandczycy zrozumieli, że coś jest nie tak. Pamiętam tych dwóch mężczyzn, którzy wzięli nas na pokład na Wyspach Owczych, stojących w brudnych tunikach, z długimi brodami w kolorze zboża. Jeden pogroził nam pięścią i kazał wyskoczyć za burtę.

– Nie będziemy wyskakiwać za burtę – odpowiedziałem. – Jeśli ktoś ma wylądować za burtą, to wy.

Nie myślałem wtedy o tym, ale kostki u rąk miałem zakrwawione, a wszyscy na pokładzie widzieli, że brałem udział w bójce, kiedy statek wpływał do zatoki.

– Potrzebuję statku – rzekłem. Oczy tego, który pokazał nam pięść, rozszerzyły się z wściekłości. Ale jeden z pozostałych chwycił go za ramię, mężczyźni pochylili głowy i coś szeptali. Wyglądało na to, że doszli do porozumienia, bo pokiwali głowami, a ten, który pokazał nam pięść, odchrząknął, występując nieco przed innymi.

– Nie podoba nam się to – powiedział. – Ale twoi ludzie mówią, że znasz tutejsze wybrzeże i że są tu skarby i bogactwa dla odważnych ludzi. Jeśli podzielisz się bogactwami, które zdobędziemy, pozwolimy ci poprowadzić statek.

– Są tu bogactwa – odparłem. – Złoto i srebro. Na południu, tam napełnicie skrzynie łupami.

Islandczyk podszedł do nas z wyciągniętą ręką, a ja ją pochwyciłem. Potem wzięłem ze sobą Bjørna i popłynęliśmy do plaży, gdzie łódka Torfinna stała przycumowana do kamienia. Ostrożnie wiosłując, popłynęliśmy nią na cypel, skąd wzięłem na pokład Fenrego. Potem stanęliśmy, żeby poczekać na Sigrid. Dopiero teraz Bjørn się odezwał.

– Co zamierzasz? Jakie masz plany?

– Ravntor – odparłem. – Skrælingowie go porwali. Muszę go odzyskać.

Usłyszawszy to, Bjørn spochmurniał. Zerknął na mgłę, a potem siedział w milczeniu z pochyloną głową. Wtedy nadeszła Sigrid, z dzieckiem w zawiniątku na plecach i naręczem pełnym koców i skór zwierzęcych, zabrała też wiązkę suszonego mięsa. Wszystko to umieściliśmy na pokładzie statku. Sigrid wzięła dziecko w ramiona, a ja pomogłem jej wejść.

– To jest Bjørn – powiedziała cicho, pokazując dziecko mojemu bratu. –

Myśleliśmy, że już nie wrócisz, więc daliśmy mu twoje imię.

Nagle mój brat wydał z siebie szloch i zaczął płakać. Sigrid pogłaskała go po plecach, a ten wyprostował się i wziął się w garść.

Wiem, że mówią o Torsteinie Szkutniku, że tego dnia zachował się nieuczciwie. Ukraść statek pokojowym kupcom to haniebny czyn i znaczniejsi ode mnie byli za taki czyn wieszani. Powinienem raczej ukraść statek Torfinnowi Karlsevnemu, skoro to on wyrządził mi krzywdę. Ale tak się nie stało. Pomyślałem, że gdybym ukradł mu statek, rozgłosiłby to wszędzie, gdzie by się udał. Więc kiedy Bjørn i ja poszliśmy na rufę, a ja położyłem ręce na drążku steru, nie miałem żadnych wątpliwości. Jeszcze nie wiedziałem, jak odzyskać Ravntora, ale na pewno potrzebowałem statku. I teraz go miałem. Islandczycy wystawili swoje skrzynie wiosłarskie, wysunęli wiosła i nie usłyszałem od nich jednego złego słowa. Potem podnieśliśmy kotwicę, wiosła chwyciły wodę, a ja wyprowadziłem statek z zatoki.



25

Naglfar

Nazwijcie mnie rabusiem statków za to, co zrobiłem. Ale nikczemnikiem niech żaden człowiek nie odważy się mnie nazwać, a każdy, komu życie miłe, potwierdzi, że myślałem wyłącznie o odzyskaniu Ravntora. Po tym, jak chwyciłem drążek steru, spędziłem przy sterze resztę tego dnia i całą noc, a kiedy Islandczycy zaczęli mamrotać, że to ich statek, nie mój, Bjørn powiedział: „Mój brat bierze sobie statek, kiedy tylko przyjdzie mu ochota”, po czym dodał, że wszyscy jesteśmy jomswikingami. Nie była to do końca prawda, bo ani Valp, ani Hutten nie służyli w Jomsborgu, ale Islandczycy skulili się na sam dźwięk tego słowa. Mamrotali coś, że nieładnie jest okazywać wdzięczność w ten sposób, w końcu to oni uratowali Bjørna i pozostałych od śmierci w lodach na północy. Ale potem pochyłili się nad wiosłami, nic już więcej nie mówiąc.

Sterowałem na wschód, w kierunku cieśniny, która miała nas przeprowadzić obok Krainy Świtu. Dobre to było uczucie objąć w posiadanie długi statek i uciec z wyspy przejętej przez Torfinna i od związanego z tym wstydu. Wkrótce jednak znowu

zacząłem rozmyślać, jak wydostać Ravntora z miasta Skrælingów, i z każdym ruchem wiosł wydawało się to coraz bardziej niemożliwe. Początkowo chciałem zawrócić i poprosić Torfinna i jego ludzi o obsadzenie knar załogami, żebyśmy razem mogli pozełgować do Skrælingów i zagrozić im, ale oni nie dali się przecież zastraszyć, kiedy byłem tam razem z Frøydis. Nie miałem też nic, za co mógłbym wykupić Ravntora. A tego już się nauczyłem, że ten, kto nie ma na sprzedaż umiejętności czy towarów albo nie ma czym zagrozić, nie doczeka się spełnienia swoich żądań. Ponownie zastanawiałem się, czy możliwe jest wśliźnięcie się pod osłoną ciemności do miasta i odszukanie syna tak, żeby Skrælingowie tego nie zauważyli. Może Winabave mógłby to zrobić? Był przecież Skrælingiem tak jak oni i nie zwracałby na siebie uwagi. Gdyby go jednak rozpoznali, zostałyby poddany długim torturom, żeby mogli się dowiedzieć o powód jego powrotu. Wtedy pewnie ukryliby Ravntora jeszcze lepiej, jeśli dotychczas tego nie zrobili. Może wysłaliby go gdzieś, tak jak zrobili to ze mną i z Winabavem, albo pozbyliby się go w inny sposób. Ta ostatnia myśl budziła we mnie grozę. Za każdym razem, kiedy nachodziły mnie takie myśli, dostawałem skurczów prawego oka i ogarniało mnie przedziwne poczucie, że wszystko wokół jest nierzeczywiste jak sen. Nie rozumiałem tego wtedy, ale później dowiedziałem się, że to sam Odyn rzucił na wszystkich ludzi urok, który sprawiał, że trudno nam było przyjąć do wiadomości najokrutniejsze wydarzenia w życiu.

Po południu przysłała Sigrid i usiadła ze mną na rufie, opierając się plecami o nadburcie, z małym Bjørnem przy piersi. Wiosłujący Islandczycy gapili się na jej obnażoną pierś.

– Nie przejmuj się nimi – powiedziała. – Potrzebujesz mężczyzn przy wiosłach.

Już chyba wtedy wiedziała, co będziemy zmuszeni zrobić.

Zeszliśmy na ląd wieczorem. Wpłynęliśmy statkiem na piaszczystą plażę i brodząc, weszliśmy na ląd; wpływał tam do morza strumień, w którym napełniliśmy beczki okrętowe. Teraz musimy iść na polowanie, stwierdziła Sigrid. Potrzebny nam porządny zapas jedzenia na pokładzie, a wszystkie beczki i bukłaki musimy napełnić słodką wodą, więc tym się teraz zajęliśmy. Według Halvora na Islandczykach nie można było polegać. Nie wolno im dać łuków i nie mogą uczestniczyć w polowaniu.

Wysłałem ich na jakiś szkier z wędami na ryby, a Valp i Halvor poszli w las, żeby zapolować. Zaczęło do mnie docierać, co planuje Sigrid, ale odrzuciłem te myśli i cały następny dzień spędziłem na przeglądzie statku. Islandczycy mieli ze sobą smołę i wełnę, więc użyłem tych materiałów do uszczelnienia szpary z przodu na dziobie. Statek był może niski, wąski i nie nadawał się na dłuższą podróż morską, ale wyglądał na solidnie zbudowany i żadnych uszkodzeń, oprócz tego na dziobie, na nim nie znalazłem.

Pod wieczór Valpa i Halvora jeszcze nie było, a Hutten i Bjørn stwierdzili, że musimy pójść za nimi, jak tylko się rozjaśni. Ale nadciągnęła ulewa, nagle w zatoce zrobiło się zimno i wietrznie. Pamiętam, że wszyscy pokotem położyliśmy się na statku pod starym, porwanym żaglem i że jeden z Islandczyków nagle zaczął krzyczeć we śnie. Miał ślady po niewolniczej obręczy na karku, zobaczyłem je, kiedy powiew wiatru podniósł mu włosy. Była tam kiedyś żelazna obręcz, która, tak jak mnie, naznaczyła go na całe życie. Mój brat siedział przez większą część nocy na skrzyni wioślarskiej i tylko opończa, którą się owinął, chroniła go przed deszczem i wiatrem. Obudziłem się, gdy krzesał iskry krzesiwem, usiłując zapalić pochodnię. Zapytałem go, po co mu światło w środku nocy. Odpowiedział, że nadciągnęła mgła, a potem wymamrotał coś o Hel i jej nieboszczykach, osłaniając najlepiej jak potrafił płomień opończą. Ogień rzucił blask na jego twarz i uderzyło mnie, że nie ma już na niej śladu młodości. Został poważnie ranny podczas bitwy o Jomsborg, strzała trafiła go w bok szczęki, wybijając większość zębów trzonowych, a po zimie na Grenlandii był wychudzony i miał ciemne kręgi wokół oczu. W tych oczach często pojawiał się ból, spojrzenie jakby czegoś szukające i niemogące tego znaleźć.

Znowu zasnąłem i, o dziwo, przespałem twardo resztę nocy. Obudził mnie dopiero płacz dziecka. Sigrid przystawiła je do piersi. Kiedy wstałem, większość mężczyzn już poszła na ląd, słońce świeciło, z płachty żagla parowało. Bjørn stał przy wiosle sterowym, kiwnął na mnie. Podszedłem, a on powiedział, że mój syn musi dostać inne imię.

– Ale on ma na imię Ravntor – powiedziałem.

Bjørn skinął głową w kierunku Sigrid.

– Masz dwóch synów, braciszku. Zapomniałeś?

Na te słowa poczułem ukłucie w sercu.

– Nie może mieć na imię Bjørn – powiedział mój brat. – Gdybym nie żył, to co innego... Ale teraz Bjørn nie jest dla niego dobrym imieniem.

Miał rację. I chyba już rozmawiał o tym z Sigrid, bo z miejsca, gdzie siedziała z głową niemowlęcia przy piersi, dobiegło, że już mu dała nowe imię.

– Bjørnar mu będzie. – Pogładziła synka po włosach.

– Bjørnar, niedźwiedzi wojownik.

Bjørnar Torsteinson. Zasłużył sobie później na to imię.

Halvor i Valp wrócili nocą. Ustrzelili młodego łosia ze złamaną nogą, ale kiedy go rozciąliśmy, w jamie brzusznej roiło się od robaków. Zdaniem Islandczyków mogliśmy go zjeść, o ile ugotujemy mięso. Mieli na pokładzie duży gar i już przedtem jedli takie mięso. My jednak wyrzuciliśmy truchło, a wczesnym świtem zaczęliśmy robić pułapki na ryby, zarówno żaki, jak i układane przy brzegu kręgi z kamieni, do których ryby wpływają z wodami przyływu i których nie potrafią opuścić, kiedy woda się wycofuje. Niestety nie udało nam się złowić zbyt wielu ryb w zatoce. Martwiłem się również o świeżą wodę. Islandczycy mieli tylko kilka beczek. Sigrid musiała zrozumieć, o czym myślę. Przygarnęła mnie do siebie, mówiąc, że jeśli woda się skończy, muszę zostawić ich na jakimś szkierze na północy albo u wybrzeży Islandii, żeby zmniejszyć liczbę osób potrzebujących wody. Ale na razie potrzebuję ich przy wiosłach.

Wielu kręci głową, słysząc o decyzji, którą wtedy podjąłem. Opuściłem syna, a także mojego towarzysza walki Eysteina, w krainie Skrælingów. Czy nie powinienem był pożeglować raczej do Patuxetu, teraz, kiedy brat, Halvor i pozostali wrócili? Powinniśmy palić i plądrować, żeby Patuxetowie nie śmieli zatrzymać Ravntora. Wiedziałem jednak, że to bezcelowe, było nas po prostu za mało. Poza tym teraz jeszcze mieliśmy Bjørnara. Co by się z nim stało, gdybyśmy wyruszyli do Patuxetu, zaatakowali, a potem zginęli z rąk Skrælingów? Musiałem umieścić go w bezpiecznym miejscu, a potem zdobyć ludzi, wielu ludzi. I statki, całą flotyllę. I już wiedziałem, dokąd się po nie udać.

Nigdy nie czułem się tak udręczony jak tego dnia. Kiedy mówiłem wszystkim o decyzji, którą podjąłem, Sigrid stała obok mnie przy wiosle sterowym, ale kiedy tylko przestałem mówić, usiadła z dzieckiem na kolanach, rozplakała się i kiwała w nieutulonym żalu. Islandczycy jęczeli i narzekali, twierdząc, że złamałem umowę, bo czyż nie byliśmy w drodze do Skrælingów, żeby ich ograbić?

– Grabić będziemy – odparłem. – Ale najpierw popłyniemy do domu.

Wybrzeże, do którego chciałem skierować statki, chyba dla żadnego z nas nie było domem. Chciałem bowiem obrać kurs na wyspy duńskie. Sven Widłobrody dał mi statek za zabójstwo Olafa Tryggvasona i poprosił, żebym zajmował ziemię w jego imieniu. O tej obietnicy już niemal zapomniałem. Gdybyśmy teraz wrócili, opowiadając Svenowi o bogactwach na zachodzie, o niewolnikach, których można pojmać, o srebrze i lasach pełnych strzelistych modrzewi, pewnie podarowałyby nam jeszcze kilka wypełnionych wojami statków. Natychmiast popłynęlibyśmy na zachód. Poprowadziłbym statki do Patuxetu, pokazując jego mieszkańcom, że czeka ich całkowita zagłada, jeśli nie oddadzą Ravntora.

Pamiętam ciszę panującą na statku w tych dniach. Pamiętam ból wypełniający mnie od szpiku kości do skóry. Nie mogłem zaznać wytchnienia, wielokrotnie byłem bliski zawrócenia statku. Ale Sigrid poprosiła mnie, żebym był silny. Prosiła, żebym trzymał kurs i nie wahał się. Minęliśmy cieśninę w pobliżu Wyspy Leifa, nie dostrzegając dymu między domami, i popłynęliśmy dalej z zachodnim wiatrem, który zaniósł nas aż do północnej Marklandii. Tutaj znowu wpłynęliśmy do zatoki, a Bjørn i Halvor poszli na polowanie. Znowu ustrzelili młodego łosia; ten był zdrowy i nie miał robaków. Spędziliśmy w zatoce dwie doby, ćwiartując i wędząc mięso, napełniliśmy beczki wodą i popłynęliśmy dalej.

Jeszcze kilka dni żeglugi na północ. Dotarliśmy do Hellulandii, a stamtąd obrałem kurs na Grenlandię. Tego wieczora, kiedy patrzyliśmy na znikający za nami ląd, niemal coś we mnie pękło, ręce mi drżały i byłem bliski zawrócenia statku na południe. Ale Bjørn stanął obok mnie, mówiąc, żebym utrzymał kurs. Jeśli mamy zdążyć przepłynąć przez morze i z powrotem przed nastaniem jesiennych sztormów, nie mamy czasu do stracenia.

Mówiono mi, że morze na zachodzie stało się ostatnimi laty bardziej wzburzone i że góry lodowe przemieszczają się bardziej na południe. Nie widzieliśmy takich gór podczas przeprawy do Grenlandii i prawdę mówiąc, powietrze było tam równie ciepłe jak na południu, na wybrzeżu Skrælingów. Bryza popychająca nas na północ utrzymywała się i szybko minęliśmy grenlandzkie wybrzeże. Popłynęliśmy jednak zbyt daleko na południe i tylko traf chciał, że brat dostrzegł ląd na północy.

Wpłynęliśmy do fiordu na południu Grenlandii i napełniliśmy beczki wodą. Tu nie było osad i żadnych śladów bytności człowieka. Zniosłem Fenrego na ląd, bo pomyślałem, że minie dużo czasu, zanim poczuje stały grunt pod łapami. Był w kiepskiej formie. Stanął między nadbrzeżnymi kamieniami, dygocząc, więc zabrałem go z powrotem na pokład.

Wiatr się utrzymywał, dlatego ruszyliśmy w morze zaraz po napełnieniu beczek wodą. Mój brat znowu wydobył kamień słoneczny, ale nie stał się ani odrobinę mądrzejszy, jeśli chodzi o jego użycie. Islandczycy używali tak jak my kompasu słonecznego, teraz wynieśli go na pokład; miał nam pomóc utrzymać kurs podczas przeprawy przez morze. Umieścili go w otworze we wrędze w tylnej części statku, o odległość człowieka przed stewą, gdzie stałem przy sterze, i oznaczyli cień kawałkiem węgla.



Przeprawa na Islandię była ciężka, wiał silny wiatr, ale na szczęście nadal z zachodu, a statek okazał się mocny i bezpieczny. Dopłynęliśmy chyba do połowy drogi, kiedy wiatr się wzmógł, fale wokół nas zrobiły się większe i wkrótce przypominały małe góry. Sigrid była nadal niepokieszona, nocami słyszałem jej płacz i często widziałem, jak spogląda do tyłu, szepcząc imię syna, którego opuściliśmy. Nie zaniedbywała jednak karmienia małego Bjørnara i jadła strawę, którą jej dawaliśmy. Hutten przyszedł do mnie drugiego dnia po opuszczeniu Grenlandii, pytając, co zrobię, jeśli duński król nie da mi statków. Odparłem, że inni możnowładcy z pewnością posła ze mną ludzi i statki, kiedy tylko opowiem im o bogactwach, które można zrabować w krainie Skrælingów. Wtedy Hutten kiwnął głową w kierunku Halvora, mówiąc, że gdy staniemy przed królem Danów, on ma przemawiać. Halvor zawsze miał dar

wymowy.

Bardzo szybko przepłynęliśmy morze między Grenlandią a Islandią. Statek Islandczyków był szybki i miał szczególną zdolność utrzymywania kursu, nawet kiedy puściło się drążek steru. Oni sami byli bardzo dumni z właściwości statku. Powiedzieli, że został zbudowany w Trøndelagu, gdzie nabyli go w drodze wymiany za mniejszą knarę i worek z kłami morsa. Islandczycy opłynęli kawał świata, rozpoznali sposób mówienia Bjørna i mój, zgadując, że pochodzimy z Vingulmorku.

– To bogate wybrzeże – powiedzieli, a ja nie byłem pewny, czy byli tam jako kupcy, czy jako rabusie.

Niektórzy będą się pewnie dziwić, że nie wysadziłem Islandczyków na jakimś szkiecie. Ale prawda jest taka, że nie tylko złe rzeczy mogę o nich powiedzieć. Wprawdzie zabrałem ich tylko dlatego, że potrzebowałem ludzi przy wiosłach, jednak ci, co znają mnie i moje otoczenie, wiedzą, że później było u mnie na służbie wielu Islandczyków. Tyle mogę powiedzieć, że byli uczciwi i nazwałbym ich nawet dobrymi ludźmi, gdyby nie zaproponowali mi onegdaj na Wyspach Owczych spodni ze skóry kobiecej i skóry niemowlęcia. Ich statek był mocny i dobrze zbudowany, a jego właścicielami byli dwaj bracia, którzy próbowali sprzedać mi te budzące grozę przedmioty. Urodzili się i wychowali niedaleko gospodarstwa godego Torgeira Mędrca Torkelzona, byli twardymi, żylastymi mężczyznami i niestrudżonymi wiosłarzami. Nazywali się Ragnar i Rudde-Geir i byli synami Eirikura z Kollefiordu. Towarzyszyli im na pokładzie głównie ich krewniacy i niepokoiło mnie, że godi Mędrzec należy do tego samego rodu, bo to przecież on ogłosił nas wyjętymi spod prawa na Islandii. Czy Ragnar, Rudde-Geir i inni wiedzieli o tym, trudno powiedzieć. Zdaniem Halvora raczej nie odważyliby się na jakąś zemstę na pokładzie statku.

Ponieważ Islandczycy opłynęli kawał świata, dużo wiedzieli o różnych krajach i panujących tam możnowładcach. Wiele się wydarzyło podczas naszej nieobecności. Mówiono, że Ethelred w Anglii przegonił wszystkich Danów i Norwegów ze swojego królestwa. Pewnego wieczora jesienią, w dzień zwany przez Anglików Dniem Świętego Brykcjusza, jego ludzie zaatakowali wszystkich, którzy wyglądali lub mówili jak Danowie albo Norwegowie. Zabijali bez litości dorosłych i dzieci. Ci, którym udało się uciec z życiem, uciekli na północ albo do Irlandii. Sven Widłobrody

nie puścił tego płazem, bo krążyły pogłoski, że jedna z jego sióstr, Gunnhild, została spalona w kościele przez ludzi Ethelreda. Islandczycy słyszeli, że wysłał ludzi do Wessexu i wschodniej Anglii i że dyszy zemstą.

Od Islandczyków dowiedziałem się też, że Jomsborg został odbudowany. Teraz rządził tam jarl Sigvalde, który przysiągł wierność Svenowi Widłobrodemu, i wszyscy uważali Jomsborg po prostu za przyczółek królestwa Danów. A Vagna już dawno nikt nie widział.

Na dzień przedtem, zanim zobaczyliśmy Islandię na horyzoncie, zawarłem umowę z Islandczykami. Powiedziałem, że dostaną równie dużą część łupów jak wszyscy inni na pokładzie, jeśli pozostaną lojalni i będą nazywać mnie hovdingiem. A jeśli nie zechcą, wysadzę ich, kiedy dotrzemy do Islandii, lecz nie będziemy dobijać do brzegu tam, gdzie mieszkają ludzie.

– No to wolimy nazywać cię hovdingiem – odpowiedział Rudde-Geir.

Kotwiczyliśmy przy wybrzeżu Islandii przez dwa dni. Halvor i Bjørn złapali i zarżnęli dwie owce, bo znowu brakowało nam jedzenia. Wody nabraliśmy ze strumienia, a na plaży, gdzie zesliśmy na ląd, znaleźliśmy resztki wraku; oczyściliśmy je z wodorostów i skorupiaków i zabraliśmy na pokład. Nikt nie lubi rozpalać ognia w żelaznej misie na otwartym morzu, najchętniej byśmy poćwiartowali i uwędzili mięso, zanim ruszymy dalej, ale nie było na to czasu. Nie tylko dlatego, że mogliśmy zostać zauważeni i rozpoznani; zdawałem sobie sprawę, że liczy się każdy dzień. Musieliśmy przepłynąć się przez morze i wrócić przed nastaniem jesiennych sztormów.

Z Islandii żeglowaliśmy z wiatrem zachodnim przez dzień i noc. Wiatr wzmógł się rano drugiego dnia, ale kiedy żeglujecie się ze sprzyjającym wiatrem, nie zwraca się na to zbytnej uwagi. Bjørn i ja trzymaliśmy się na rufie, sterując na zmianę, podczas gdy Halvor spoglądał na kompas słoneczny i węszył nad morzem i falami, jakby próbując wyczuć nosem, gdzie się znajdujemy. Powinniśmy kierować się na południowy wschód, a mój brat i ja dyskutowaliśmy z Islandczykami, jak trafić na Wyspy Owcze.

Był pośród nich łyсы, niski mężczyzna ze spiczastą, mysią twarzą, na którego Islandczycy wołali Holmgards-Toke. Ponoć był i w Miklagardzie, i na morzu południowym, wiosłował rzekami, aż do Holmgardu w Gardarike. Według Islandczyków nie było człowieka mającego za sobą więcej żeglugi niż on. Tokemu podobał się mój plan wzięcia statków ze wschodu i splądrowania Skrælingów na zachodzie, bo nie miał dzieci, które nazywałyby go ojcem, i spieszyło mu się ze splądowaniem potomka z jakąś kobietą, a ponieważ był stary i brzydki, musiał najpierw się wzbogacić, jeśli miało do tego dojść.

Stał na dziobie, trzymając się sztagu, i rozglądał się; właśnie zapadał wieczór drugiego dnia, po tym jak opuściliśmy Islandię. Wzmagający się wiatr targał tunikę i brudne portki na jego chudym ciele. Tego wieczora usiadłem na chwilę z Sigrid i Bjørnarem, ale nie zamieniliśmy ani słowa. Co miałbym powiedzieć? Dopóki nie odzyskamy Ravntora, nie mieliśmy o czym rozmawiać.

No i przyszedł sztorm. Wiatr najpierw całkowicie ucichł, fale spłaszczyły się i wygładziły. Niebo za nami ciemniało, widzieliśmy gromadzące się chmury. Rozległ się grzmot, w stronę morza poleciała błyskawica. Dało się słyszeć pomrukiwanie pochodzące jakby z morza pod nami. Nadpłynęły chmury, a wraz z nimi przyszedł wiatr. Islandczycy spuścili reję, odwiązali żagiel, a w jego miejsce założyli inny, nie większy niż dwie, trzy położone obok siebie opończe. Ragnar i Rudde-Geir chcieli chwycić wiosło sterowe, mówiąc, że znają statek lepiej niż my i bezpieczniej nim pokierują w czasie sztormu, ale razem z Bjørnem nie dopuściliśmy ich. Wiedzieliśmy, co nas czeka, i nie miałem zamiaru składać życia Sigrid i Bjørnara w ręce obcych.

Bjørn i ja sterowaliśmy przez noc. Byliśmy przemoczeni i zmarznięci, ale sztorm nie dawał nam wytchnienia. Sztormy są jak kobiety, powiedział kiedyś Halvor. Niektóre najpierw są dla ciebie łagodne i miłe, a potem robią się dzikie i nieokiełznane, sprowadzając wszelkiego rodzaju nieszczęścia. Inne są dzikie i szalone już od pierwszej chwili, kiedy je spotkasz, i zostajesz przez nie wessany jak w morski wir. Sztorm na wschód od Islandii był jak ta dzika i szalona kobieta, trafił nas mocnym podmuchem wiatru w sterburtę. Mężczyźni obwiązali sznurem skrzynie wiosłarskie, ja zrobiłem to samo z Sigrid, Bjørnarem i Fenrem; dziecko i pieska posadziłem żonie na

kolanach, obwiązałem wszystkich liną, a jej koniec przymocowałem do jednego z zaczepów na tarcze tuż przede mną i Bjørnem na rufie; statek miał takie zaczepy na całej długości nadburcia.

I tak pożeglowaliśmy w mrok, w ciemność, w której wszystko, czego doświadczaliśmy nasze zmysły, to nieustanne wlewanie się wody morskiej i wiatr, który nas targał i włókł ze sobą. Mężczyźni wybierali wodę wszystkimi cebrzykami i naczyniami, jakie mieli pod ręką, a gdy nadszedł świt, nadal płynęliśmy pod żaglem. Toke znowu stanął na dziobie, może wypatrywał gór lodowych. Sigrid siedziała z Bjørnarem i Fenrem na kolanach, jej włosy owijały się wokół nich jak mokry szal. Dygotała, a ja okryłbym ją kocem, gdybym miał odwagę puścić wiosło sterowe. Ale wszystko na pokładzie było teraz przemoczone, woda morska pluskała pod klapami na dole statku. Wiatr nadal ryczał.

Ten, kto odwiedził moje gospodarstwo i widział statki na przystani, wie, że statek Islandczyków stał mi się bliski. Chociaż nie był największy i może nawet niewart możnowładcy, często nim podróżowałem i nazwałem go tak samo jak potężny statek z królestwa Muspel, zrobiony z paznokci martwych mężczyzn. Otrzymał taką nazwę na wschód od Islandii, kiedy płynęliśmy na spotkanie drugiej sztormowej nocy. Ragnar i Rudde-Geir przyszli do Bjørna i do mnie, znowu chcąc przejąć wiosło sterowe. Nie widzieli jeszcze, żebyśmy spali, i uważali, zupełnie słusznie, że niebezpiecznie będzie pozwolić nam sterować jeszcze jedną noc. Stali uczepieni nadburcia, przypominając nam, że zabraliśmy ich statek. Ale nie będą nam mieli tego za złe, jeśli tylko przejmą wiosło sterowe i przeprowadzą statek przez noc. Nagle wpadliśmy w dół fali, a niezwykle ostry podmuch wiatru uderzył nas z boku. Statek znowu się podniósł, ale Ragnara już nie było. W nadburciu zostały tylko dwa paznokcie, musiał się nimi z całej siły wczepić w drewno.

Podczas gdy pozostali wylewali wodę, Rudde-Geir stał nad wodą, wołając brata. Nie mogliśmy zawrócić, nie wywracając przy tym statku, a Ragnara nigdzie nie było widać. Podążył prosto do bogini Ran.

– Paznokcie umarłych mężczyzn – powiedział do mnie Holmgards-Toke tego wieczora, wycofując się na rufę, gdzie staliśmy ja i Bjørn.

– Nadaj statkowi imię Naglfar, hovdingu.

Potem znowu zapadła ciemność.



26

Jarl z Lade

Mówią, że kiedy Torstein Szkutnik wkroczył do halli Eirika Håkonsona, Gyda Sveinsdatter, córka Svena Widłobrodego i żona Eirika, wyszła, żeby złożyć ofiarę. Bo jest coś szczególnego w ludziach, którzy oszukali śmierć na morzu. Jest coś w ich spojrzeniu. Jak Odynowi, który wisiał przebity włócznią przez dziewięć dni na Yggdrasilu, również im dane było zajrzeć do innych światów.

Wielu pyta mnie, dlaczego zwróciłem się wtedy o pomoc do jarla Lade. Miałem przecież zamiar popłynąć do Svena Widłobrodego, dla którego walczyłem i zabijałem pod Svolder. Odpowiadam wtedy, że bogowie chcieli, żeby stało się inaczej. Sztorm, który trafił nas koło Islandii, szalał przez trzy doby, sprawiając, że zboczyliśmy z kursu, a kiedy wiatr wreszcie ucichł, odkryliśmy, że do beczek dostała się słona woda. Najpierw próbowaliśmy ją pić, bo można pić słodką wodę zmieszaną z morską, o ile nie jest jeszcze zbyt słona, lecz ludzie zaczęli od niej wymiotować. Mieliśmy jeszcze bukłaki; wody nie było w nich więcej niż na kilka dni. Wciągnęliśmy żagiel i popłynęliśmy dalej na południe, ze wschodem słońca przed stwą dziobową i żarem

zmierzchu za sobą.

Trzeciego dnia po sztormie Bjørn zobaczył przed dziobem coś jakby linię brzegową, która nagle się pojawiła. Ale wkrótce znikła. Toke stwierdził, że to lustrzane odbicie lądu położonego bardziej na wschód, już przedtem widział coś takiego. Njord pomagał żeglarzom w ten sposób, pokazując im, dokąd mają płynąć.

Wkrótce bukłaki były puste i nie mieliśmy innego wyboru, niż pić własny mocz. Według Tokego człowiek może przeżyć w ten sposób przez wiele dni. Sigrid najpierw odmawiała, ale tego dnia zrobiło się bardzo ciepło, słońce prażyło z niemal bezchmurnego nieba, więc wieczorem usiadła i zrobiła to samo co my wszyscy.

– Nie piłabym własnych sików, żeby uratować siebie – powiedziała. – Robię to dla Bjørnara.

Spędziliśmy trzy doby na morzu bez słodkiej wody. Trzecia noc stanowiła prawdziwą torturę, nigdy przedtem nie przypuszczałem, że pragnienie może sprawiać tyle cierpienia. Tylko Fenremu zbytnio to nie przeszkadzało. Dałem mu naczynie, w które uprzednio nasikałem, a on bez wahania zaczął z niego chleptać.

Kiedy zobaczyliśmy ląd rankiem czwartego dnia, mężczyźni ogarnęło szaleństwo, rzucili się do wioseł i powiosłowali, jakby nas ścigały hordy z Niflheimu, a kiedy rzuciliśmy kotwicę, skakali z nadburcia do wody, płynęli do lądu i biegli w tamtejszy las. Wtem dotarło do mnie wołanie Valpa, że znalazł wodę. Potem usłyszałem, jak mężczyźni z hukiem przedzierają się przez podszyt i zapadła cisza.

Nie od razu zszedłem na ląd. Osunąłem się na stewę rufową i tam już zostałem. Bjørn i Valp przeleźli przez nadburcie, chwytając jedną z beczek. Gdy zniknęli, zobaczyłem, że Sigrid siedzi koło masztu, oczy miała zamknięte, dziecko spało w jej ramionach, a obok niej stał jakiś mężczyzna. Był odziany w wełniany płaszcz do kostek, wiatr bawił się jego długimi siwymi włosami. Opierał się na kosturze, patrząc na mnie swym jedynym okiem.

Bjørn i pozostali znaleźli mnie nieprzytomnego w stewie rufowej. Gdybyśmy dotarli do lądu zaledwie pół dnia później, prawdopodobnie bym umarł. Sigrid była w lepszym stanie, co w gruncie rzeczy było dziwne, bo przecież karmiła dziecko piersią. Może to

asynje Frigg i Idunn i inne mądre kobiety z Asgardu czynią swe siostry w świecie ludzi silniejszymi, kiedy te mają oseski przy piersi. Tak przynajmniej słyszałem.

Doszedłem do siebie dopiero w ciągu dnia. Bjørn zadbał, żeby statek został zacumowany dziobem skierowanym do skalnego występu w zatoce, w której się znajdowaliśmy, skrzynie wiosłarskie zostały ustawione pośrodku, pokład posprzątany, a beczki napełnione świeżą wodą. Na łądzie migotało ognisko, mężczyźni nadziali ryby na żerdzie.

Założyliśmy, że dotarliśmy do wybrzeża Norwegii, bo zatoka, do której wpłynęliśmy, była kamienista i głęboka, a pokrzywione sosny porastały brzeg aż do linii wody; o jedną z nich zaczepiliśmy linę dziobową. Na morzu nie widzieliśmy statków, w lesie nie było śladów bytności człowieka. Winabave był zachwycony tym miejscem, powiedział mi, że po drodze trafił go wielki strach i złe sny. Epe twierdził, że tu na wschodzie nie ma lasów, że wszystkie lądy zostały spustoszone przez nasze żelazne siekiery. Więc ulgą było zobaczyć, że nie jest tak źle. Dobrze też było stanąć na łądzie po tak długim czasie spędzonym na morzu.

Winabave był pierwszym Skrælingiem, który postawił stopę na norweskiej ziemi, a ja kazałem to potem zapisać, bo moi wrogowie rozpowszechniali pogłoski, jakoby był on tylko sprzedanym mi niewolnikiem z kraju niebieskich ludzi. Ci sami wrogowie nazywają mnie kłamcą, mówiąc, że nigdy nie byłem na zachód od angielskich królestw, a cały majątek zgromadzony przeze mnie i mojego brata to łupy pochodzące z grabieży.

Opuściwszy zatokę, pożeglowaliśmy na południe. Bjørn i ja rozumowaliśmy, że skoro już kiedyś żeglowaliśmy z Trøndelagu na południowy kraniec wybrzeża norweskiego, powinniśmy rozpoznać to wybrzeże, jeśli to właśnie tutaj wylądowaliśmy. A skoro go nie rozpoznajemy, musieliśmy się znaleźć bardziej na północ. To, że tak znacznie zboczyliśmy z wcześniej obranego kursu, oznaczało też konieczność zmiany planów. Zebrałem Huttena, Bjørna, Halvora, Valpa, Winabavego i Sigrid i przedyskutowaliśmy to. My, którzy walczyliśmy przeciwko Olafowi pod Svolder, mieliśmy jarłów Trøndelagu po naszej stronie. Bjørn i ja staliśmy nawet na statku ulfhednara Eirika Håkonsona. Jeśli odnajdziemy fiord prowadzący do głównej

siedziby jarłów Lade, czy powinniśmy tam popłynąć? Svenowi w Danii nie spodobałoby się to, prosił mnie przecież o zajmowanie w jego imieniu lądu na zachodzie. Ale synowie Håkona nie mniej chyba pożąдали nowych lądów, a jeśli byli tacy jak większość możnowładców, spodobałaby się im wiadomość, że tam, skąd przypłynęliśmy, jest dobry materiał na statki i niewolnicy; może również skarby i kosztowności.

Stanęliśmy, rozmyślając o tym wszystkim. Islandczycy nie brali udziału w naradzie. Pamiętam, że siedzieli na skrzyniach wioślarskich, gapiąc się na nas, a Toke powiedział, że na Trøndelagczykach nie można polegać, lepiej popłynąć do Widłobrodego. Lecz Sigrid podniosła się z małym Bjørnarem w ramionach, mówiąc Islandczykowi, żeby się zamknął.

– Nie popłyniemy do Danii, jeśli możemy dostać ludzi i statki od jarłów Lade – dodała. – Przed powrotem na zachód nie wolno nam stracić ani dnia.

Z Sigrid było tak, że jeśli już podniosła głos, nie można się było jej sprzeciwić. No i wiedzieliśmy przecież, że ma rację. Na brzydkich ustach Tokego pojawił się grymas. Zerwał się, grożąc jej pięścią, a Halvor wymamrotał, że powinien usiąść, jeśli wie, co jest dla niego najlepsze. Może Halvor pomyślał, że zatłukę Islandczyka za przeciwstawianie się mojej kobiecie, bo wiedział, jaki potrafię być porywczy i wybuchowy.

– Słyszeliśmy o jarlach Lade – powiedział Toke wściekłym głosem. – To ulfhednar Eirik złożył w ofierze własnego brata, żeby uzyskać powodzenie w bitwie pod Hjørungavåg. O nas Islandczykach mówicie, że jesteście czarownikami i co tam jeszcze, ale jarlowie Lade...

Więcej nie udało mu się powiedzieć. Sigrid porwała z nadburcia jeden z drążków do przytrzymywania szotów i szybko prasnęła go w twarz, cały czas z małym Bjørnarem na ręku. Toke zatoczył się do tyłu, padając na tyłek, szybko jednak zerwał się na nogi gotowy do skoku, ale wtedy ja rzuciłem się do przodu. To tak wystraszyło Islandczyka, że znowu usiadł. Patrzył na nas spode łba wąskimi szparkami oczu i jakby słowa, które najchętniej by nam posłał, gdyby się na to odważył, wypchnęły się na zewnątrz inną drogą, głośno pierdnął w portki, a potem powłókł się z powrotem do swoich rodaków.

Przez trzy doby płynęliśmy wzdłuż wybrzeża Norwegii na południe, aż wreszcie zaczęliśmy rozpoznawać niektóre wysepki. Najpierw sam nie byłem tego pewien, bo poranek był zachmurzony, a szkiery i uderzające o nie fale jakby zlewały się w jedno, ale Bjørn poszedł na dziób i stał tam przez chwilę, obserwując gęstwinę szkierów, a kiedy wrócił do mnie, nie miał wątpliwości.

– To jest ujście fiordu – powiedział. – Tutaj wpływaliśmy razem z Olafem.

Dziwnie było płynąć tym samym szlakiem co wtedy. Wydało mi się, że cała wieczność upłynęła od czasu, gdy sunęliśmy między tymi wyspami, ale kiedy dojrzałem cieśninę, w której statek Erlenda wypłynął nam na spotkanie, poczułem, jakby wszystko dopiero co się wydarzyło. Ramionami wstrząsnął dreszcz i niemal usłyszałem krzyki, poczułem zapach krwi z okaleczonych ciał i odór kału z rozerwanych jelit i przypomniałem sobie strach, paraliżujący strach, który wtedy mnie wypełniał.

Skierowałem Naglfara do ujścia rzeki, gdzie Olaf zatrzymał wtedy swoje statki. Leżały tam dziesiątki mniejszych łodzi wiosłowych, na konarach drzew suszyły się żaki na ryby, a kilku mężczyzn stało, uważnie się nam przyglądając, aż dopłynęliśmy tak blisko, że niemal byli w zasięgu strzału z łuku. Wówczas puścili naprawiane właśnie wędy i biegiem rzucili się między liściaste drzewa.

Zakotwiczyliśmy tuż koło plaży. Halvor uważał, że najlepiej poczekać, i tak zostaliśmy zauważeni, a jeśli rzeczywiście siedziba jarłów Lade jest w pobliżu, to tam pewnie pobiegli. Nie musieliśmy długo czekać, zanim koło cypla pojawił się wąski karv; wiosłowało nim czterech mężczyzn, łódź miała wspaniale rzeźbione i malowane stewy, nie było wątpliwości, że płynęli do nas ludzie służący jakiemuś możnowładcy.

Zapytali, kim jesteśmy i skąd pochodzimy, więc powiedziałem, dodając, że Eirik i Svein Håkonson znają mnie i mojego brata, walczyliśmy razem pod Svolder. Wtedy wiosłarze zawrócili karv, wołając, że przekażą nasze imiona jarłowi Lade.

Zaczekaliśmy jeszcze chwilę. Karv już nie wrócił, ale w końcu jeden z wiosłarzy pojawił się na plaży. Najpierw przytknął do ust róg i zadał, a potem skinął na nas. Podnieśliśmy kotwicę i wypłynęliśmy statkiem na plażę. Mężczyzna z rogiem przyglądał się, jak cumowaliśmy statek, a potem skinął, żebyśmy za nim poszli.

Był rok 1004 według chrześcijańskiej rachuby czasu, a halla jarłów Lade nigdy nie była wspanialsza niż właśnie w tym okresie. Była większa od wszystkich innych, jakie widziałem, większa nawet od paradnej sali Halfdana Halli koło Jomsborga. Byłem tu już przecież wcześniej jako jeden z ludzi Olafa, ale kiedy zbliżyliśmy się i zobaczyliśmy iglice nad kalenicami i jedwabne proporce powiewające na wietrze, nie miałem wątpliwości, że została rozbudowana; wyglądała na niemal dwukrotnie dłuższą. Wydawało mi się, że dach został podniesiony, bo nie przypominałem sobie, żeby tak wspaniale wyginał się ku niebu, gdy byłem tu pierwszy raz; przypominał kadłub potężnego statku obróconego do góry dnem albo grzbiet ogromnego charta. Od halli dobiegał zapach smoły i byczej krwi. Były nimi natarte wszystkie ściany, a z dymnika w środku halli wydobywał się dym z paleniska, na którym przyrządzano jedzenie.

Halla była otoczona placem, na którym stało w szerokim kręgu trzynaście słupów ofiarnych. Mijając jeden z nich, zobaczyliśmy lubieżną twarz Freja, a kij wystający z jego krocza wysmarowany był świeżą, lśniąca krwią. Bjørn mruknął do mnie, że nigdy nie lubił Freja, a ja skinąłem głową. Ojciec opowiadał pewnego razu, że Frej spał ze swoją siostrą Freją, i nam chłopakom nie spodobało się to, bo Freja od najmłodszych lat była dla nas ideałem kobiety.

Uczeni w piśmie będą teraz twierdzić, że Eirik i Svein dali się ochrzcić, zanim pojawiliśmy się u nich tego lata, ale to kłamstwo. Nie było chyba w tym czasie hovdinga bardziej wiernego naszym bogom niż jarlowie Lade, no chyba że Sven Widłobrody. O dziwo, cały plac był pusty, kiedy tam weszliśmy, a z halli nie dobiegały żadne głosy, ale oto nagle z półotwartych drzwi w dłuższej ścianie wypadł, potykając się, jakiś mężczyzna. Był jednoręki i całkowicie nagi. Chwyciliśmy topory i noże u pasa, wtedy zaczął coś pokrzykiwać, zbliżając się do nas chwiejnym krokiem. Wyprostował kikut ramienia, a jedyną ręką raz po raz uderzał się w pierś i w skroń. Podszedł do nas na niepewnych nogach, zatrzymał się tuż przed nami, popatrzył prosto w oczy najpierw Bjørnowi, a potem mnie.

Mówią, że jarl Eirik miał najlepszych seidmanów. Jednych sprowadził z północnego wybrzeża Norwegii, innych przysłał mu król Danów. Wszyscy bez wyjątku byli szaleńcami. Wysyłał ich na spotkanie nowo przybyłych, co do których

nie był pewien, czy może im zaufać, i kazał im węszyć i obserwować ich, a potem pytał o zdanie. Ciałem jednorękiego zaczęły wstrząsać potężne konwulsje, a ten, który wyszedł nam na spotkanie na plaży, postąpił do przodu, przytrzymując go za plecy. Wtedy seidman wydał z siebie krzyk i popędził z powrotem do budynku.

Kiedy weszliśmy do halli, przywitała nas całkowita cisza. Nikt nie wyszedł nam na spotkanie. Nikt nie zawołał, że oto wchodzi Torstein i Bjørn, jomswikingowie i podróżnicy do Winlandii. Weszliśmy do halli mniej więcej pośrodku, tutaj było otwarte wejście u szczytu podłużnego paleniska. Przez otwory w kalenicach i dymnik wpadało światło dzienne, ale oprócz kilku pochodni migoczących w środku między długimi stołami w halli jarla panowała ciemność. Palenisko żarzyło się, jednak ogień nie płonął, więc zatrzymaliśmy się, przyzwyczajając oczy do półmroku.

Oprócz Svena Widłobrodego niewielu chyba było takich, którzy równie ciężko przyjęliby wiadomość o masakrze zleconej przez Ethelreda w Dniu Świętego Brykcjusza, jak Eirik Håkonson. Spędził wiele dni w swojej halli, rozmyślając i układając plany wyprawy, która wcieliłaby wszystkie angielskie królestwa w ciągle rosnący obszar, nad którym panował razem ze Svenem Widłobrodym. Ci dwaj uważali się w tym czasie za towarzyszy walki, a Eirik chętniej słuchał króla Danów niż jego imiennika, własnego młodszego brata Sveina.

W dniu, w którym się pojawiliśmy u Eirika, nie było brata. Często przebywali w różnych dworzyszczach, żeby w ten sposób nadzorować większy obszar. Jarl siedział na siedzisku u szczytu paleniska, ale my nadal byliśmy oczarowani samą hallą, więc na wpeł przykrytego oponczą Eirika nie od razu zauważyliśmy. Widzieliśmy rzeźby na belkach podtrzymujących dach, przedstawiające mężczyzn z toporami i mieczami w trakcie walki z wielkimi jotunami, a także płonące langskipy. Widzieliśmy czaszki kóz i koni ustawione na palach koło stołów. Przy stołach siedzieli mężczyźni, a był to ten typ mężczyzn, których możesz ubrać w najpiękniejsze jedwabne tuniki i ozdobić srebrnymi łańcuchami z wisiorami z bursztynu i szklanych pereł, ale to i tak niewiele pomoże, ponieważ nadal będą wyglądali na nieokrzesanych i brutalnych. Bjørn i ja natychmiast rozpoznaliśmy wielu z nich, bo spotkaliśmy ich w Jomsborgu. Ulfar Oracz, mój dawny mistrz i nauczyciel, siedział przy stole na prawo od nas z rogiem pitnym w potężnej łapie; kawałek rogu

odłamał się na krawędzi, tak jakby Ulfar go nadgryzł.

Już przedtem ustaliliśmy, że gdybym się jąkał albo nie mógł wydusić z siebie słowa, Halvor wystąpi naprzód i przemówi w moim imieniu. Ale miałem nadzieję, że Eirik rozpozna Bjørna i mnie, bo oto do jego halli wszedł przecież nie kto inny jak zabójca Olafa Tryggvasona. Eirik przesunął się do przodu na swoim siedzisku tak, że oświetlił go blask z żarzących się głowni. Nie rozpoznałem go od razu, bo nie miał włosów ani brody. Głowa była całkowicie łysa i chyba dlatego my, mężczyźni, ale również Sigrid, gapiliśmy się na niego. Łysy mężczyzna wyciągnął rękę w bok, po czym wetknięto w nią kufel. Pociągnął kilka porządných łyków i postawił kufel na podłokietniku. U jego stóp siedziały dwa psy, potężne bestie o szarej sierści będące skrzyżowaniem wilka z psem do polowania na niedźwiedzie. Przy siedzisku wodza stała kobieta ubrana w niebieską jedwabną suknię, z pięknymi wisiorami na piersiach. Sam Eirik miał na sobie prostą czerwoną tunikę i wysokie buty bogacza z wyszywanymi czubami, ale o ile dobrze widzieliśmy, nie miał spodni. Wyglądało to tak, jakby zapomniał je włożyć i nikt nie miał odwagi mu o tym powiedzieć.

Najpierw patrzyliśmy na siebie w milczeniu, Eirik i ja. Potem skinął głową i domyśliłem się, że mnie rozpoznał. Eirik narzucił na ramiona skórę wilka, przypominającą mi tę skórę, którą miał na sobie w bitwie pod Svolder. Jarl Eirik był ulfhednarem, większego wojownika nikt nie spotkał na polu bitwy. Ale niewielu wie, że był też mądrym władcą, bardzo lubianym przez Norwegów. Pisano, że panuje w Norwegii z łaski Svena Widłobrodego, choć to kłamstwo, tak jak wiele innych rzeczy opowiadanych o synach Håkona.

Jarl Eirik chwycił znowu kufel i pociągnął łyk, a potem wskazał na nas.

– Mówiono mi, że Torstein Szkutnik i jego brat są w drodze do nas. Poznaję cię. Walczyliśmy ramię w ramię pod Svolder, ty zabiłeś Olafa Wronią Kość, który zabił mi ojca. Dla ciebie i twojego rodu zawsze będzie miejsce na ławie na dworze w Lade.

Nie od razu odpowiedziałem. Tak już ze mną było, że nie mogłem wydusić z siebie słowa, mając do czynienia z potężnymi możnowładcami.

– Wszy – powiedział Eirik, gładząc się po łysej głowie. – Dostałem ich przez jedną z dziewczek, które posłał mi Widłobrody. Przespałem się z nią, a w podzięce dostałem od niej wszy.

Kobieta stojąca koło siedziska odwróciła się i weszła między stoły. W halli było wiele rzędów długich stołów ustawionych wzdłuż i wszerz. Zobaczyliśmy, że nie siedzi przy nich zbyt wielu wojów. Oprócz Oracza i jomswikingów nie było tam więcej niż pięćdziesięciu, sześćdziesięciu ludzi. Siedziało z nimi trochę kobiet wyglądających na młode nałożnice. Jedna z nich wcisnęła się pośladkami na kolana Oraczowi, ale ten szorstko ją odepchnął. Gapił się na mnie, nie było wątpliwości, że mnie poznał.

– Nie przypominam sobie, żebyś stracił język pod Svolder. Więc mów, Torsteinie Szkutniku.

Halvor wystąpił do przodu obok Bjørna i mnie.

– To przez twoją hallę, jarlu. Jest tak wspaniała, że odjęło nam mowę.

– Piękną i okazałą mam hallę – odparł Eirik. – Ale wiem, że nikt do niej nie przybywa, o ile nie ma jakichś wiadomości do przekazania albo czegoś ode mnie nie chce.

– Mamy wiadomości do przekazania – powiedziałem. – Z odległego ładu.

Jarl spojrzał na mnie.

– Gdzie leży ten ład?

Odchrząknąłem. Oczy wszystkich zwrócone były na mnie, a Halvor zrobił krok w tył, zapewne uważając, że już wystarczająco mi pomógł.

– Na zachód od Grenlandii – odparłem. – Są tam wielkie bogactwa.

Jarl chwycił kufel.

– Bogactwa, powiadasz?

Skinąłem głową.

– Wielkie bogactwa. Modrzewie o prostych pniach, budowaliśmy tam statki i...

Bjørn stanął koło mnie.

– Możemy w twoim imieniu zająć ład na zachodzie, jarlu Eiriku. Możemy przywieźć ci bogate łupy. Ale potrzebujemy statków, a także ludzi.

Jarl pociągnął łyk z kufla i otarł usta.

– Słyszałem, że ludzie, którzy płyną na zachód od Grenlandii, już nie wracają. – Pociągnął jeszcze jeden łyk, rozpierając się wygodnie w siedzisku. – Skoro budowaliście tam statki, dlaczego prosicie o moje?

Na to nie znalazłem odpowiedzi. Gdybym opowiedział jarlowi o swojej porażce i stracie ludzi na rzecz Leifa Eiriksona, a potem doszczętnie spalonym gospodarstwie, raczej nie udzieliliby nam pomocy.

– Nie chcę być nieufny wobec ludzi, którzy pomogli mi zabić Olafa. – Jarl postawił kufel na podłokietniku. – Ale skąd mogę wiedzieć, że nie chcecie wziąć moich statków jako swoich i popłynąć, żeby plądrować i samym się wzbogacić? Skąd mogę wiedzieć, że w ogóle byliście na zachodzie? Są tacy, którzy mówią, że historie o tamtejszym lądzie to bajki. Niektórzy twierdzą, że to Grenlandczycy rozpowszechniają takie kłamstwa, żeby skłonić ludzi do pożeglowania tam, a ci znajdują tylko lód i śnieg.

Na te słowa wielu mężczyzn przy stołach pokiwało głowami, mamrotali, że to prawda, że wcale nie jesteśmy pierwszymi, którzy tu przybywają z prośbą o statki i załogi na wyprawę do Winlandii. To nie spodobało się Oraczowi, bo nagle podniósł się z ławy, potoczył wokół siebie wściekłym wzrokiem i gadanie ucichło. Wtedy wysmarkał się w palce, otarł je o tunikę na piersi, a potem znowu usiadł.

– Jestem jarlem – powiedział Eirik. – Mam pod sobą wielu ludzi. Ale nie poślę ich z wami, o ile sami nie będą tego chcieli. A jeśli w ogóle mam to przemyśleć, muszę najpierw ujrzeć dowody na bogactwo, o którym mówicie. Nie nazwę was kłamcami, bo wiem, że jesteście jomswikingami, a jomswikingowie nie puszczają płazem takich zniewag. Gdyby był tu mój brat, zażądałby dowodów na to, że żeglowaliście tak daleko na zachód i że są tam wielkie bogactwa.

– Są bogactwa – odezwał się Halvor, znowu występując naprzód koło mnie. – Skrælingowie mają złoto i srebro i jak mówił Torstein, są tam lasy pełne strzelistych modrzewi i pola, gdzie można od razu wbić w ziemię pług i...

– Nie potrzebuję więcej ziemi uprawnej – przerwał mu Eirik. – Nie potrzebuję też materiału na statki. Ale złota i srebra człowiekowi nigdy za wiele. Pokaż mi to złoto. I srebro. O ile to nie jest tylko czcza gadanina.

Srebra i złota nie mieliśmy i teraz nawet Halvorowi trudno było znaleźć odpowiednie słowa. Oblizywał wargi, gładził brodę, przenosił ciężar ciała z jednej nogi na drugą, ale potrafił tylko powtórzyć, że mówi prawdę, a złota i srebra nie możemy pokazać, bo nie zabraliśmy go ze sobą. Wzrok jarla stał się ponury,

ponownie odchylił się na siedzisku i pogładził po pozbawionej zarostu szczęce.

– Zatem nie macie ze sobą żadnej z tych rzeczy, o których opowiadacie? Ani złota, ani srebra? A może przynajmniej powiecie, że statek, którym przyплыnęliście, jest zbudowany z modrzewi, o których tak ciepło się wyrażacie? Jeśli zejść na plażę i przejadę ręką po poszyciu, czy poczuję drewno modrzewiowe? Czy tylko słowa mi przynosicie, słowa i nic poza tym?

Wtedy chwyciłem Winabavego, pociągnąłem do przodu i postawiłem przed sobą.

– Tutaj – powiedziałem. – Skræling.

Jarl pochylił się w blask paleniska.

– Na zachodzie jest wielu takich – dodałem.

Eirik wskazał na Winabavego swoim kuflem.

– To ma być Skræling? Jego skóra wcale nie jest czarna.

– To jest Skræling – przytaknąłem. – Pochodzi z miasta Patuxet.

Winabave stał nadal, a jarl zwłókł się ze swojego siedziska. Zobaczyliśmy, że jest kompletnie pijany, czego nie było widać, kiedy siedział. Niektórzy mężczyźni tak mają, nie poznasz tego po ich gadce, ale po chodzie.

– Schwytaliście go? Tam na zachodzie?

– Tak – odparłem.

– Zdejmijcie mu tunikę. I portki. Chcę go obejrzeć.

Zawahałem się, nie wydało mi się to właściwe, ale Winabave sam zrzucił z siebie tunikę, dał portkom opaść do kostek i stanął nagi przy palenisku.

– Co za dziwaczny człowiek. – Jarl chwycił go za ramię, obrócił i dotknął palcem linii i kół na jego skórze. – Niezbyt wysoki. I chudy. Nadaje się do pracy?

– Potrafi pracować – powiedziałem. – I zna ląd na zachodzie.

Winabave stał z rękami w kroczu, ale Eirik odsunął je kuflem i zerknął na jego członek.

– Wykastrowany?

– Tak – potwierdziłem.

– Czy to było konieczne? Przydałoby się, żeby zrobił dziecko jednej z moich niewolnic.

Wtedy Winabave zabrał głos.

– Torstein tego nie zrobił, wodzu. Zrobili to moi wrogowie w Patuxecie.

Przez hallę przeszedł szmer. Jarl zrobił krok w tył.

– Skræling mówi?

– Nauczył się naszego języka – wtrącił Halvor. – Mądry jest ten Skræling. I dużo wie o ludach na zachodzie i...

Jarl podniósł rękę w jego kierunku i Halvor natychmiast zamilkł.

– Ty. – Wskazał na Winabavego kuflem. – Powiedz coś jeszcze.

Winabave odchrząknął i rozejrzał się wokół siebie, a potem znowu zwrócił się do jarla.

– Torstein nie kłamie – rzekł. – Tam, skąd pochodzę, można zdobyć bogactwa. Znajdziecie je w Patuxecie. Złoto i srebro. I niewolników.

Nigdy bym nie pomyślał, że to Winabave zjedna nam przychylność jarla Eirika. Skræling wyjaśnił mi później, że niczego bardziej nie pragnie, niż zobaczyć, jak płonie Patuxet. A w jarlu Eiriku dostrzegł człowieka, który mógł to sprawić.

– Daj mojemu hovdingowi statki i ludzi – powiedział. – Był ze mną w Matanuga i tam zabijał, a teraz będzie ponownie zabijał w Patuxecie.

Jarl wyciągnął rękę.

– Dajcie mi nowy kufel – wymamrotał, więc jedna z dziewczek chwyciła kufel z najbliższego stołu, nalała piwa z beczułki i podała mu. Jarl pociągnął dobrych kilka łyków i cofnął się parę kroków, jakby chcąc się lepiej przyjrzeć Winabavemu. Oczy mu się zwężyły i znowu się zamyślił.

– Torstein jest wojownikiem – ciągnął Winabave. – Przybył na mój ląd, żeby ścinać drzewa i uprawiać ziemię, ale na tym się nie zna. Zna się na wojnie i zabijaniu. Nie widziałem nikogo, kto by tak umiał zabijać jak on. Daj mu statki i ludzi. Powróci z bogatymi łupami, królu.

Jarl uśmiechnął się i przejechał wierzchem dłoni po ustach; może uśmiechnął się, bo Winabave nazwał go królem albo uznał za niezwykle, że Skræling jest tak wygadany.

Halvor odchrząknął.

– On wsłuchiwał się w naszą mowę, ten Skræling. Torstein i on spędzili całą zimę w kraju Skrælingów. Nazywają ją Matanuga i...

– Niech Skræling mówi. – Jarl wskazał na Halvora. W jednej chwili jego wzrok zrobił się ostry. Halvor zrobił dwa kroki w tył i pochylił głowę. Bał się jarla, tak jak my wszyscy. Mówiono, że ulfhednar potrafi wybuchnąć gniewem i zarąbać człowieka, jeśli przyjdzie mu ochota.

– Matanuga... – Winabave zrobił półobrót w moją stronę i położył mi rękę na ramieniu. Poczulem, że drży. – Cała zima. My... przeżyliśmy.

Jarl przeszedł się i postawił kufel na najbliższym długim stole. Kiedy wrócił, podparł się pod boki i dziwacznie zaśmiał. Kopnął wiązkę słomy z klepiska w ogień, nieco się pokiwał, a potem nagle chwycił Winabavego za ramię i siłą zmusił, żeby uklęknął.

– Skoro nazywasz mnie królem, niewolniku, to uklęknij przede mną! A ty... – teraz zwrócił się do mnie – Torsteinie Szkutniku, nie myśl, że o tobie zapomniałem. Zadałeś Olafowi śmiertelny cios. Słyszałem, że jacyś ludzie zaczęli nastawać na twoje życie i musiałeś uciekać z Danii. Dlaczego nie przybyłeś do Trøndelagu? Powinieneś wiedzieć, że mój brat i ja udzielilibyśmy ci schronienia.

Nie miałem na to dobrej odpowiedzi. Zrozumiałem, że decyzja o popłynięciu na zachód, i to dalej niż ktokolwiek inny, nie była najlepsza. Ale skusiło mnie marzenie o zdobyciu bogactw, podobnie jak ludzi, którzy mi towarzyszyli. Wyobrażaliśmy sobie, że tam na zachodzie będziemy wolni. To wyobrażenie teraz wydało mi się głupie.

– Stoisz w mojej halli, pozwalając, żeby niewolnik mówił za ciebie. Zakotwiczyłeś tu statek, masz na pokładzie Islandczyków, ludzi z rodów, które wystąpiły przeciwko mojemu ojcu. I prosisz mnie o statki i ludzi. Czy to Widłobrody przysłał cię tutaj? Dlatego tutaj jesteś? Czy chce odzyskać swoich jomswikingów?

Pokręciłem głową.

– Nie byłem u Svena... Od czasu gdy popłynęliśmy na zachód. Ja...

– Oni są jak zaraza – powiedział jarl. W końcu puścił Winabavego, który szybko wrócił między moich ludzi. – Piją moje piwo, żrą jak konie, leżą pijani w mojej halli, pierdząc w koce. Zabierz ich ze sobą, kiedy będziesz wypływał. Ale jeśli mam dać ci statki i załogi, musisz mówić prawdę. Bo mam takie przeczucie, że nie tylko z chęci grabieży przybywasz tutaj, prosząc o to wszystko. Widzę... – Wbił we mnie wzrok.

To prawda, co o nim mówiono, że mógł rzucać ludzi na kolana tym spojrzeniem. – Widzę ból, Torsteinie Tormodsonie. Coś straciłeś tam na zachodzie. Kogoś straciłeś.

Zanim poszliśmy do dworu w Lade, ja i Sigrid odbyliśmy rozmowę. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu kazała mi obiecać, że nie wspomnę o Ravntorze. Synowie Håkona raczej nie poślą statków z nami, podejrzewając, że mam inne niż grabież powody, żeby znowu popłynąć na zachód.

– Tacy ludzie nie mają serca – powiedziała. – Zależy im tylko na bogactwie.

Ale to Sigrid, która stała dwa kroki za mną z niemowlęciem w ramionach, zdradziła nas. W momencie, kiedy jarl zapytał, czy kogoś nie straciłem, zaszłochła. Próbowwała to natychmiast ukryć, chrząkając i chowając się za Huttenem i Valpem, lecz jarl ją dostrzegł.

– Straciłeś... dziecko? – Nieco przekrzywił głowę, patrząc na mnie. – A teraz... chcesz zemsty. Tak?

Mówi się o jarlu Eiriku, że znał sztukę seid i potrafił czytać w ludzkich myślach. Nie potrzeba było jednak żadnych czarów, żeby zrozumieć, w jakiej żałobie jesteśmy pogrążeni ja i Sigrid.

– Straciliśmy... – Musiałem zebrać się w sobie, żeby wypowiedzieć kolejne słowa. – Straciliśmy syna.

Eirik przesunął rękę po łysej czaszce i zatrzymał ją na karku, jakby odczuwał tam ból. Jego wzrok spoczął na żarzących się węglach, jarl był zamyślony i milczący. Nagle odezwała się Sigrid. Miała zduszony płaczem i drżący głos, ale w halli było całkowicie cicho, więc wszyscy słyszeli, co mówi:

– Pomóż nam. Błagam cię. Daj mojemu mężowi statki. I wojowników. Będzie dla ciebie grabił. Uczyni cię bogatym. A kiedy wróci... Będzie miał wobec ciebie dług wdzięczności, jarlu. Będzie ci służył jako hovding i stał przy tobie, walcząc z twoimi wrogami.

Może jarl nigdy przedtem nie słyszał, jak kobieta podnosi głos w jego halli. Obrócił się nagle w jej stronę, oczy otworzyły mu się szeroko, jakby w nagłym gniewie, który równie nagle spłynął z niego, i jarl znów zapatrzył się w palenisko.

– Nie powinieneś pozwolić niewolnikom i kobietom przemawiać w twoim imieniu, Torsteinie Tormodsonie. Nie powinieneś na to pozwalać, jeśli chcesz pozyskać moją

przyjaźń.

To, że jarl użył takiego słowa, zaskoczyło mnie. Ale skinął przy tym głową, jakby je smakując.

– Przyjaźń – powtórzył. – Przyjaźń jarla Lade. Wielu jej pragnie. – Teraz ponownie zwrócił się do mnie. Uśmiechnął się całą pozbawioną zarostu twarzą. – Pozyskasz moją przyjaźń, Torsteinie Tormodsonie. Jeśli znowu pojawią się ludzie tacy jak Tryggvason, chcący nam zabrać ziemię i wybrzeże, myślę, że dobrze będzie mieć podobnych do ciebie po swojej stronie. Więc kobieta, która jest tu z tobą, ma rację, chociaż powinna zachować milczenie; jeśli dam ci statki i ludzi, będziesz miał wobec mnie dług wdzięczności. To chyba pojmujesz, Torsteinie Tormodsonie?

– Tak – odparłem.

Jarl chwycił pogrzebacz i włożył go w żarzące się węgle.

– Przygotowanie takiej wyprawy zajmie trochę czasu. A jest już późne lato. Lecz jeśli sobie życzysz, Torsteinie Szkutniku, dam ci wszystko, czego potrzebujesz. Złożymy ofiary za pomyślność wyprawy i za to, żeby łupy były bogate.

Björn wysunął się teraz do przodu, stając obok mnie.

– Zatem chcesz posłać razem z nami statki i ludzi?

– Tak. Ale nie daję wam tych statków w prezencie. Macie je przyprowadzić z powrotem do mnie z ładowniami pełnymi bogactw, o których opowiadaliście. Jeśli będziecie próbowali ukraść mi statki... – Pchnął pogrzebaczem w naszym kierunku, jakby przebijał nas mieczem. – Nikt nie waży się niczego ukraść jarlom Lade...

Wrócił na swoje siedzisko i się rozsiadł. W jego wyciągniętą rękę znowu wetknięto kufel i jarl zaczął pić. Prawdę mówią o jarlu Eiriku, że mógł wypić więcej piwa niż większość ludzi. Jednak nagle oczy zrobiły się zmęczone, szczęka opadła, ciężko westchnął, zrzucając buty. Stopą trącił jednego z psów, który natychmiast zaczął mu lizać palce.

Wyprowadzono nas z halli, przez chwilę staliśmy na podwórzu. Sigrid płakała przytulona do mnie, nie wiem, czy z powodu ulgi, czy raczej strachu, że była zmuszona przemawiać w halli jarla. Björn stwierdził, że teraz znowu jest nadzieja. Jeśli będzie trzeba, spalimy całe wybrzeże Skrælingów, zmusimy ich do oddania Ravntora. Oracz, mój stary mistrz i nauczyciel, wyszedł, kulejąc, przez drzwi

z duńskim toporem w garści, a za nim wszyscy pozostali jomswikingowie, którzy siedzieli w halli; było ich chyba ze dwudziestu. Tego, kto nigdy wcześniej nie spotkał Oracza, zawsze przerażał jego wygląd. Był wysokim, barczystym mężczyzną o bardzo długich rękach, a w dodatku zapuścił dziko rosnącą, niesforną brodę, która okalając mu twarz, sztywno sterczała we wszystkie strony. Jedno oko miał zielone, drugie niebieskie. Utykał, miał przekrzywioną szczękę od otrzymanego kiedyś uderzenia, co utrudniało mu uśmiechanie się. Najpierw szeroko otwierał usta jak ryba wyjęta z wody, a potem wykręcał twarz w swego rodzaju uśmiechu i wydawał z siebie dziwaczny, szczekliwy rechot. Teraz spojrzał spode łba na mnie, na Bjørna, Halvora i pozostałych, po czym kiwnął głową i wymamrotał, że Vagnowi spodobałoby się to. Następnie dodał, że krążyły pogłoski, jakobym został zabity razem z bratem, że ludzie lojalni wobec Olafa pomścili jego śmierć.

– Ale jeśli to sam Wszechojciec cię tu przysłał, dziękuję mu za to. Już od dawna wycieram ławy u jarla Lade, strasznie mi się tu nudzi. Ruszymy z wami, dokądkolwiek się udacie.

I tak się stało. Pozostali jomswikingowie pokiwali głowami, zgadzając się ze słowami Oracza. Niektórzy już zebrali pospiesznie łuki i kołczany, skóry zwierzęce, kubki i naczynia i byli gotowi do drogi.

Resztę dnia spędziliśmy na plaży niedaleko Naglfara. Statek nie był wystarczająco duży, żeby pomieścić nas i wszystkich jomswikingów. Oracz siedział na swojej baranicy, wycinając coś w wydrążonym rogu kozła, który miał ze sobą. Powiedział nam, że Jomsborg został odbudowany, ale to Sigvalde tam teraz rządzi, a Vagn nadal jest waregiem Burysława w kraju Wendów. Sigvalde dał grid ⁴⁰ wielu tym, którzy walczyli przeciwko niemu w bitwie o warownię, pod warunkiem że złożą mu przysięgę wierności i położą rękę na nidstangu, czyli palu pogardy, wzniesionym przez Sigvaldego dla Vagna; taki był jego wymóg. Chociaż życie w Jomsborgu kusilo, niewielu z tych, którzy przedtem służyli pod Vagnem, było skłonnych go zdradzić. Dlatego większość została na służbie u Burysława, ale wielu podążyło też na północ i służyło teraz Svenowi Widłobrodemu. Oracza i pozostałych jomswikingów z halli król Danów posłał na północ do jarłów Lade. Sven nazwał to podarunkiem, lecz

wszyscy rozumieli, że Widłobrody w ten sposób próbuje sprawować nadzór nad poczynaniami jarłów Lade. Viken znajdował się teraz pod panowaniem duńskim, przynajmniej z nazwy, chociaż tamtejsi hovdingowie byli równie nieokiełznani, jak przedtem. To, co dało się zebrać jako daninę z wybrzeża Norwegii, było rozdzielane między króla Danów, który pobierał ją z ziem między Skiringssalen i południowym krańcem wybrzeża, a hersira Erlinga Skjalgsona, którego władza rozciągała się od południowego krańca wybrzeża prawie do Trøndelagu. Jemu wolno było zatrzymać połowę tego, co pobrał jako daninę. Na północ od włości Erlinga to jarłowie Lade kierowali handlem i poborem daniny, a ich władza sięgała tak daleko na północ, jak tylko potrafili dotrzeć. Ale według Ulfara Oracza panowanie nad norweskim wybrzeżem nie wystarczało Eirikowi. Jarłowi było bardzo nie w smak, że król Danów ma więcej władzy niż on, zazdrościł mu też zgromadzonych bogactw. Od dawna przemyślał nad zdobyciem Anglii, jednak na razie nie uważał się za wystarczająco silnego, żeby samemu rozpocząć takie przedsięwzięcie, a nie chciał, żeby uczestniczył w tym król Danów, bo łupy z grabieży i daniny znowu przepadłyby na jego rzecz. Potrzebował więc nowej ziemi dostarczającej łupów i bogactw, których można by użyć do kupienia lojalności wojowników i możnowładców. A najlepiej byłoby, rzecz jasna, gdyby jeszcze tam na zachodzie dało się budować statki. Eirik marzył o flocie tak wielkiej, żeby Sven Widłobrody szarpał sobie wąsy z zazdrości. Tą flotą on i jego brat mieli zaatakować Anglię.

Dobrze mi zrobiła rozmowa z Oraczem tego popołudnia. Nigdy bym nie przypuszczał, że zatęsknię za tym nieokrzesanym jomswikingiem, który tak twardo szkolił mnie w Jomsborgu, nie szczędząc razów i kuksańców, jeśli nie robiłem tego, co kazał. Ale było w nim coś szczególnego, podobnie jak w pozostałych jomswikingach, którzy usiedli obok nas. Znowu słuchaliśmy anegdot Halvora i rozlegał się gromki śmiech. Kiedy tak siedzieliśmy na plaży, patrząc na zatokę, miało się poczucie, jakbyśmy nigdy nie opuścili Jomsborga. Siedziałem z Fenrem na kolanach, jak często robiłem w Jomsborgu, a zamknąwszy oczy, słyszałem niemal trzask ognia i czułem zapach wełnianych tunik i tłuszczu kapiącego z kawałków boczku i syczącego w płomieniach. Wszystko było wtedy prostsze. Służyliśmy naszemu wodzowi. Jedliśmy postawioną

przed nami strawę. Spaliśmy na długich ławach pod ciepłymi kocami i baranicami, nie obawiając się nikogo.

Oracz opowiedział nam też o dniu, w którym Ethelred kazał pozabijać Danów w swoim królestwie. Wszystkich uchodzących za Danów mężczyzn, wszystkie kobiety i dzieci wyciągnięto na ulicę i zarąbano albo powieszono na szubienicach i kalenicach dachów. Jeszcze żyjącym wyszarpywano jelita. Niektórym udało się uciec na północ lub do Irlandii, ale nadal żaden Norweg ani Dan nie może się czuć bezpiecznie na tamtejszych wyspach. Więc jeśli popłyniemy tym szlakiem, nie powinniśmy schodzić na ląd, tylko kierować się prosto na Wyspy Owcze, a stamtąd na Islandię.

Sigrid zapewne nie spodobało się to wszystko. Miała nadzieję, że będzie mogła zostać z Bjørnarem u matki i siostry na Orkadach. Ale teraz okazało się to niemożliwe.

Po chwili jednoręki, nagi szaleniec, który przedtem spotkał nas na podwórzu, wyskoczył z zarośli na plaży i zaczął tarzać się w wodzie przy brzegu; wygrzebywał błoto i piasek, smarował się nimi i bez przerwy macał krocze. Oracz wyjaśnił, że to Torgeir, jeden z seidmanów Eirika. Stracił rękę po upadku po pijaku, jak określił to Oracz, bo potknął się, wpadł do rowu i ją złamał. W złamanie wdało się zakażenie, a tej nocy, kiedy mu odrąbali rękę, stracił nie tylko ją, ale i rozum. Mówiono, że zajrzał w tę samą przepaść, w którą patrzył Odyn, przybity swoją włócznią Gungnirem do pnia drzewa świata. Teraz tego mężczyznę nazywano Torgeirem Szalonym. Eirik wykorzystywał Torgeira do wszystkich uctw ofiarnych, ale tylko podczas nieobecności swego brata Sveina, który nie cierpiał tego szaleńca.

Pamiętam, że Sigrid trzymała mnie mocno za ramię, kiedy Torgeir tarzał się w piasku. Nagle stanął sztywno, dziwnie gapiąc się na nas, i tak pozostał, jakby zamarł, podczas gdy ludzie z dworu Lade powoli wylegali na plażę.

Jak już wspominałem, nigdy nie byłem gorliwym ofiarnikiem. Wszyscy, którzy mnie znają, dobrze o tym wiedzą. Na długo zanim mnisi Białego Chrysta nazwali mnie bezbożnikiem, ludzie wyznający starą wiarę zwali mnie niewdzięcznikiem. Skoro nigdy nie oddawałem Asom i Wanom części swojej własności, jak mogłem

oczekiwać od nich pomocy? Ale według mnie bogowie mają wystarczająco dużo. Zasiadają na ławach pod dachem z najlepszych tarcz. Z wymion kozy Heidrun płynie bez przerwy miód słodszy niż jakikolwiek trunek dostępny człowiekowi, a słonina dzika Sahrinnira codziennie syci wszystkich bogów i boginie. A może to tylko bajki, myślałem. Może ze składaniem ofiar jest tak jak z tymi bajkami. Może Odynowi jest całkowicie obojętne, czy jego słupy ofiarne oblewane są krwią. Może Thor daje siłę i moc każdemu, kto go o to poprosi.

O swoich przemyśleniach nigdy nie wspominałem możnowładcom takim jak jarl Eirik. Wszyscy królowie i jarlowie żyją w strachu, tacy ludzie nie śpią spokojnie w nocy, o ile nie są pijani, bo zdają sobie sprawę, że wielu życzy im śmierci i że nie mogą nikomu całkowicie zaufać. Dlatego składają ofiary i zamykając oczy, szepcą imiona dawnych bogów. Na nich mogą polegać.

Oddaliśmy się Naglfarem nieco od plaży i rzuciliśmy kotwicę, a wieczorem ludzie jarla przyплыnęli po nas łódkami wiosłowymi. Powiedziano nam, że jarl zaraz przybędzie i każe złożyć ofiarę za naszą pomyślność. To wywołało złe przeczucia, bo wszyscy przecież słyszeliśmy, że Eirik złożył w ofierze jednego ze swoich braci przed bitwą pod Hjørungavåg i chociaż uważaliśmy to za złośliwe pomówienie, nawet Islandczycy słyszeli, że jarlowie Trøndelagu nie mają sobie równych w składaniu ofiar.

Kiedy pojawił się Eirik, zadęto w kozi róg, a wszyscy obecni na plaży mężczyźni podnieśli pięści i zakrzyknęli jego imię. Eirik stanął na plaży i przesunął po nas wzrokiem. Z pochwy u pasa wyciągnął wspaniały miecz i podniósł go wysoko nad głowę. Wyglądał imponująco ubrany w czerwoną jedwabną tunikę i jak zwykle w skórę wilka na ramionach, miał też pas wysadzany srebrnymi płytkami, a na szyi łańcuch, również z wypolerowanego srebra.

– Złożymy ofiarę bogini Ran! – zakrzyknął. – Bo ona utoruje Torsteinowi Tormodsonowi i jego ludziom szlak przez morze!

– Za boginię Ran! – zawołali ludzie jarla.

– Złożymy ofiarę wszechojcu Odynowi – kontynuował Eirik. – Bo dzięki niemu poszczęści się im w grabieży!

– Za Odyna! – odpowiedziano.

– Złożymy ofiarę Njordowi! – Eirik skierował teraz miecz w stronę zatoki. – Bo on bezpiecznie przywiedzie żeglarzy z powrotem do nas i będą mieli ze sobą bogate łupy!
– Za Njorda!

Podprowadzono do jarla młodą kobyłę, ten natychmiast przyłożył miecz do piersi zwierzęcia. Szybko ciął o dobrą odległość ramienia nad żebrami, kobyła z rzeniem stanęła dęba. Jarl odsunął się na bok, a do zwierzęcia podszedł jednoręki Torgeir z toporem w ręku. Zamachnął się nim z olbrzymią jak na jednorękiego siłą, trafiając konia w kark. Żyły i krtań zostały przecięte, zwierzę upadło na bok, ciężko wypuszczając powietrze. Potem znieruchomiało.

Później tego wieczora jedliśmy końskie mięso. Zostało upieczone na rożnie nad wielkim ogniskiem, które ludzie jarla rozpalili na plaży; ogłoszono, że ten, kto odmówi jedzenia ofiarnej kobyły, przyniesie wielką hańbę jarlowi. Nie było tak, że nigdy wcześniej nie jedliśmy końskiego mięsa, a teraz dostarczono również kilka ogromnych beczek piwa i według jarla nikczemnikiem będzie ten, kto się z nim nie upije. Sam był człowiekiem, po którym nie widać, że dużo wypił, o ile siedział. Jednak tego wieczora jarl niewiele siedział. Jakby szaleństwo ofiarnika udzieliło się również jemu, krążył wśród swoich ludzi, śmiejąc się, pijąc i bekając, albo stawał ponury i niemy, gapiąc się w ogień. Bjørn, Winabave, Halvor, Valp i ja trzymaliśmy się na uboczu, a w każdym razie próbowaliśmy. Islandczycy jedli z wielkim zapalem i wyglądało na to, że odpowiada im towarzystwo Trøndelagczyków; tylko Rudde-Geir leżał później, szlochając po stracie brata, którego fale morskie zmyły z pokładu.

Sigrid została na statku z Huttenem. Według Halvora ich nieuczestniczenie w uczcie nie było dyshonorem dla jarla, skoro Sigrid miała dziecko przy piersi, a Hutten był Szkotem. Jedynymi kobietami obecnymi na plaży były dziewczki oddające się mężczyznom za kawałek srebra; niektóre chyba dobrze zarabiały, bo cały czas widzieliśmy Trøndelagczyków, a także Islandczyków, jak szli z nimi do góry w krzaki. Wkrótce dla niektórych mężczyzn stało się to zbyt wielkim wysiłkiem, więc kładli się z dziewczętami tuż obok nas.

Pamiętam, że księżyc na niebie był wyraźny i miał czerwonawą barwę, dopiero co była pełnia. Bjørn i ja staliśmy każdy z kuflem piwa w garści koło ogniska i chociaż

jarl oczekiwał, że się upijemy, próbowaliśmy zachować wstrzeźliwość. Widzieliśmy, jak Winabave chodzi z Fenrem na czworakach, widzieliśmy Halvora rozmawiającego z ludźmi jarla i wskazującego na morze – pewnie mówił im o bogactwach, które przywieziemy z zachodu. Widzieliśmy ponurego potężnego Ulfara Oracza, który stał, patrząc spode łba w ogień.

Kiedy zapadła noc, jarl Eirik podszedł do mnie.

– O waszej wyprawie na zachód – zaczął, wytrzeszczył oczy, które zrobiły się całkowicie okrągłe, i potężnie beknął. – O waszej wyprawie na zachód nie każę spisać relacji – kontynuował. – Moi skrybowie nie będą jej opisywać. Nie będzie się też na ten temat mówić. Wiem, że zostaliście wysłani na zachód przez Svena Widłobrodego. Jest dla mnie jak brat, ale... – Wysmarkał się w palce i otarł je o jedwabną tunikę. – Nie chcę, żeby usłyszała, że wysyłam statki z wami na pokładzie... żebyście grabili ład, który mieliście zająć w jego imieniu.

To było wiele słów jak na mnie i ani Bjørn, ani ja nie usłyszeliśmy wszystkiego, ale zrozumieliśmy tyle, że król Danów nie może się o niczym dowiedzieć, i na to przystaliśmy, kiwając głowami. Nie będziemy z nim o tym rozmawiać.

– Jeśli wrócicie z mnóstwem łupów, dam ci ziemię, Torsteinie Tormodsonie. Ta ziemia będzie pod moją ochroną, ale ty i twój ród macie być lojalni wobec mnie i mojego brata, a nie słuchać jakiegoś króla.

Nie przypominam sobie, żebym coś odpowiedział, lecz pamiętam, że stałem przy ognisku, patrząc na mężczyzn łapczywie jedzących koninę, widziałem końskie truchło z wybebeszonymi jelitami i płucami, żebra lśniące od krwi w świetle księżyca; widziałem uniesione gołe nogi jednej z dziewcząt i doszedłem do wniosku, że muszę powiosłować do statku i natychmiast wyruszyć w drogę, nie było czasu do stracenia. Nagle pomyślałem o Ravntorze i poczułem bolesny skurcz w sercu, a morze za mną wydało mi się zbyt wielkie.

Bjørn powiedział mi później, że strasznie nażłopalem się piwa, a potem wymiotowałem na brzegu, co chyba zupełnie pozbawiło mnie sił, bo już tak zostałem, leżąc i nie mogąc się podnieść. Mężczyźni zanieśli mnie z powrotem do ogniska i położyli obok Winabavego, który już dawno zgasł. Usprawiedliwiali mnie przed

jarlem, że niezbyt dobrze znoszę piwo, co oczywiście było kłamstwem, ale jarla nie wydawało się to specjalnie obchodzić. Powiedział tylko, że powinni wlać we mnie jeszcze jeden kufel, bo jemu to zazwyczaj pomaga stanąć na nogi, kiedy jest zbyt pijany. Wlane we mnie piwo jednak wypłułem, więc położyli mnie na boku i zostawili w spokoju.



27

Wyprawa szaleńców

Jarl Eirik dał nam sześć statków. Wśród nich były cztery langskipy, które my, Norwegowie, nazywamy skeidami, oraz dwie knary, co wkrótce okazało się dla nas pewnym problemem, bo skeidy płynęły o wiele szybciej niż knary. Jarl Lade planował zapewne, że skeidy będą odpowiadały za grabieże, a knary będziemy trzymali z tyłu i ładowali na nie łupy i niewolników. Były naprawdę potężne, większe nawet od knary, którą dostałem od króla Danów. Miały wysoką wolną burtę, choć końska studzienka pośrodku była węższa; Vingur nie zdołałby się w niej nawet obrócić.

Przygotowanie wszystkiego do wyprawy zajęło osiemnaście dni. Kiedy wreszcie wyruszyliśmy, wiał pomyślny wiatr od wybrzeża Trøndelagu i dzięki niemu szybko ruszyliśmy na zachód. Tak szybko zostawiliśmy za sobą ląd, że wielu mężczyzn nie zdążyło po raz ostatni rzucić okiem na wybrzeże za nami. Rozproszyliśmy skeidy na morzu, knary płynęły w środku, ale wkrótce wymieniono żagle. Jarl wyposażył skeidy w żagle sztormowe, również Naglfar dostał taki żagiel, i po wciągnięciu ich na maszty okazało się, że knary jakoś nadążają.

Zostawiłem Sigrid i Bjørnara u jarla. Było to dla mnie bolesne, tak samo jak dla niej, ale obydwójce wiedzieliśmy, że to najlepsze rozwiązanie.

– Walczyłabym ramię w ramię z tobą – powiedziała Sigrid, zanim wyruszyłem. – Ale nie mogę.

Stała na plaży z maleńkim Bjørnarem w ramionach, gdy wypływaliśmy. Nie podniosła ręki na pożegnanie. Nie zawołała do mnie. Odwróciłem się do niej plecami, chwytając drążek steru, a jej ostatnie słowa raz za razem brzmiały mi w uszach: „Zrób to, co będzie konieczne, Torsteinie, bylebyś tylko przywiózł mi go z powrotem”.

Z Sigrid został Hutten, który miał doglądać, żeby nie cierpiała biedy, chociaż czułem, że jarl Eirik nie jest człowiekiem cofającym raz dane słowo. Obiecał mi wieczorem przed naszym wypłynięciem, że Sigrid i nasze dziecko będą spać na najcieńszym jedwabiu i że nie będzie im brakować jedzenia ani picia. Jeśli ktokolwiek próbowałby się do niej zbliżyć albo skrzywdzić ją w inny sposób, jarl zadba o surowe ukaranie go.

Fenre również został. Był już stary i smutno mi było go opuszczać. Ktoś może będzie się śmiał, że taki hovding jak ja opowiada o tęsknocie za trójnogim psem, ale on towarzyszył mi od czasu, kiedy jako nieletni niewolnik zostałem sprzedany szkutnikowi w Skiringssalen i nikt nie był mi wierniejszym towarzyszem niż on. Obawiałem się, że kiedy wrócę, jego już nie będzie. Stał obok Sigrid i Huttena, gdy wypływaliśmy, a potem się położył. Zbyt długie stanie chyba sprawiało mu ból.

Mówią, że byliśmy szaleni, wyruszając na wyprawę do Winlandii o tak późnej porze roku. Oprócz knar wszystkie nasze statki były otwarte. Tylko knary miały pod pokładem wystarczająco dużo miejsca, żeby znaleźć tam schronienie przed niepogodą i wodą morską, reszta płynęła langskipami, w których zrezygnowano z pokładu i miejsca pod nim, żeby uczynić je lekkimi i szybkimi. Skeidy jarla były rzeczywiście chyże, budowane tak, by szybko uderzyć we wroga i równie szybko się wycofać. Jarlowie Lade byli w tamtych czasach znani z posiadania najszybszych statków, ale Naglfar, ku wielkiemu zaskoczeniu Trøndelagczyków, zostawiał skeidy w tyle. Nie mam pojęcia dlaczego, bo islandzki statek był krótszy i miał mniejsze ożaglowanie, ale żadnemu ze skeidów nie udawało się mnie wyprzedzić.

Jarl na niczym nie oszczędzał, wyposażając statki. Nie tylko każdy z nich miał po dwa żagle, miały też po jednym wiosle zapasowym na każdą dulkę, a między nimi znajdował się zaczep na tarcze. Beczki z wodą były duże, szczelne i pokryte natartą olejem skórą, każdy statek miał też solidnie wykuty gar. Mężczyźni, którzy pojawili się na pokładzie, byli porządnie odżywieni i ubrani. Każdy z nich miał skrzynię wiosłarską, do niektórych pozwolono mi zajrzeć. Wszyscy mężczyźni mieli u pasa saks, nóż i po dwie wiązki strzał. W jednej z wiązek były strzały zapalające z otworem w grocie. Mężczyźni byli też wyposażeni w podręczne topory, a kilku z nich nawet w miecze o szerokim żeleźcu. Na plecach mieli ekwipunek składający się z dębowej tarczy z rantem z niewyprawionej skóry, dwóch długich łuków, baranicy i wysmołowanej płachty, pod którą można było spać, kiedy padał deszcz, oraz solonego mięsa, suszonej ryby i bukłaka na wodę. W sakwie u pasa trzymali krzemień, krzesiwo, hubkę, grzebień do wyczesywania wszy i olej do smarowania brody, wąsów i włosów; jarl dał też każdemu po kilka sztuk srebra. Może myślał, że jeśli oddalą się od innych i zgubią, będą mogli sobie kupić miejsce na jakimś statku i wrócić do domu do Trøndelagu.

Na każdej jednostce znajdowało się około dwudziestu mężczyzn. Bjørn i ja przeliczyliśmy wszystkich, jarl posłał z nami w sumie stu dwudziestu czterech mężczyzn, w tym dwudziestu dziewięciu jomswikingów. Trzech było na pokładzie Naglfara, jednym z nich był Ulfar Oracz. Miał ze sobą duński topór, miał też piwo, ale wypił wszystko już pierwszego wieczora, co uczyniło go strasznie zrzędlwym i kłótlwym następnego dnia. Kiedy wpłynęliśmy w bezwietrzną strefę, rozebrał się, podobnie jak wielu innych, bo zrobiło się ciepło. Wtedy zobaczyliśmy bliznę na jego plecach. Szła od łopatki w dół do biodra i wyglądała na całkiem świeżą. Później się dowiedzieliśmy, że wdał się w kłótnię z posłańcem Erlinga Skjalgsona i to tak poważną, że jarl posłał ich w końcu na tę samą wysepkę, na której mój brat walczył kiedyś z Rosem, zabójcą naszego ojca. Właśnie tam Ulfar dorobił się tej blizny. Za to on rozplątał posłańcowi czaszkę. Erlingowi Skjalgsonowi szczególnie się to spodobało i Eirik musiał wysłać brata Sveina na południe z grzywną i przeprosinami. Ulfar zapytał mnie, przepity i skwaszony, gdzie się podział mój duński topór, ten, który sobie wykulem w Jomsborgu. Nadałem mu nawet imię, czy nie nazwałem go

przypadkiem Ulfhamem? Zapamiętał, że chyba było to imię po psie, którego miałem w dzieciństwie. Kiedy odparłem, że duna zabrali mi Skrælingowie, wymamrotałem, że przykro to usłyszeć, bo to był dobry topór, w każdym razie jak na broń wykutą przez tak młodego chłopaka.

Dziwne było słyszeć, jak ten potężny, mrukliwy Oracz nazywa mnie chłopakiem. To, co powiedział, przeniosło mnie z powrotem do Jomsborga, do dni spędzonych między wałami i na lodzie, gdzie mnie szkolił. Może aż do tej chwili nie pojmowałem, jaki dar dostałem od Vagna, gdy przyjął mnie do bractwa razem z Bjørnem, chociaż właściwie byłem za młody, a Ulfarowi zlecił nauczanie mnie, jak posługiwać się duńskim toporem. Przypomniałem sobie pewien deszczowy dzień, kiedy Vagn i jego córka Torgunn przechodzili obok, a Ulfar podciął mi sprawną nogę brodą topora i przewrócił mnie na ziemię. Vagn podszedł i spojrzał na mnie. Popatrzył mi głęboko w oczy, pogładził w zamyśleniu brodę i zerknął na Ulfara.

– Wiele zła widział ten chłopak. Jest w nim gniew, dużo gniewu. Musisz poskromić ten gniew, Ulfarze, w przeciwnym razie zaprowadzi go na manowce. Ujarmij jego wściekłość, ale daj jej też pożywkę. Chłopak będzie berserkiem, widzę, że to do niego pasuje.

Ulfar uczynił to, o co poprosił go Vagn. Zrobił ze mnie berserka. I nie jest prawdą, jak twierdzą chrześcijanie, że berserkowie to dzicy mężczyźni idący do walki nago i gryzący krawędź tarczy w bezmyślnej wściekłości. Wściekłość jest w berserku poskromiona. Dajesz jej upust, kiedy sobie życzysz, kiedy tego potrzebujesz. A kiedy to zrobisz... nie wiesz już, co to strach. Albo może to właśnie strach odczuwasz, ale przywdziewa on inny strój i wygląda na coś zupełnie innego. Nie ma wtedy znaczenia, czy na drodze staje ci jeden człowiek, czy całe wojsko. Idziesz do przodu, a po drugiej stronie czeka albo zwycięstwo, albo miejsce przy stole einherjerów w Valhalli.

Tak w każdym razie chcę o tym myśleć. Lecz kiedy spoglądam wstecz na moje młode lata, widzę hovdinga, który często był krnąbrny i skłonny do wpadania w złość. Widzę, że to spowodowało go na manowce i że z powodu jego wściekłości ludzie się od niego odwracali.

Według obliczeń Halvora byliśmy teraz w Miesiącu Sianokosów [41](#), czyli kiedy lato

przechodzi w jesień. Bjørn, Valp i ja czuwaliśmy pewnej nocy przy wiośle sterowym i pamiętam milczenie, które zapadło między nami. Takie milczenie może być bolesne, w każdym razie dla mnie było tej nocy bolesne, bo tęsknota mocno mnie pochwyciła, a morze wydawało się niewiarygodnie wielkie. Znowu pojawiły się wątpliwości. Na jakie przedsięwzięcie się poważyliśmy? O ile w ogóle przeprawimy się przez morze i wrócimy aż na wybrzeże Skrælingów. Jak mogłem sobie wyobrażać, że Patuxetowie oddadzą Ravntora? Raczej użyją go jako zakładnika, żeby odwieść nas od ataku, niż go oddadzą. Dużo o tym rozmyślałem. Ale co innego mógłbym zrobić? Jaki ojciec odwróci się od własnego syna? Nie mógłbym dalej żyć, gdybym po prostu się poddał i zaakceptował to, że już nigdy więcej go nie zobaczę. Jednak mój plan był kruchy, a jego powodzenie lub klęska zależały od tego, czy Patuxetowie na tyle się nas przestraszą, że oddadzą Ravntora, myśląc, że w ten sposób uratują miasto. Obiecałbym im to, choć byłyby to czcze słowa, bo mężczyźni, z którymi teraz żeglowałem na zachód, nie byli z tych, co dają grid.

Mówiłem moim synom, że tej nocy zawarłem pakt z Odynem. Kiedy położyłem się pod kocami, przekazawszy Bjørnowi drążek steru, znowu ukazał mi się Wszechojciec. Siedział na skrzyni wioślarskiej tuż obok mnie, ubrany w złachmaniony płaszcz biedaka. Nie wyrzekł do mnie ani słowa, ale wiedziałem, że to on. Poprosiłem go o powodzenie w odzyskaniu Ravntora. Jeśli sprawi, że tak się stanie, będę składał ofiary i każę wznieść świątynie dla niego i jego synów. Wtedy zwrócił się do mnie, a światło księżyca padło na jego oblicze, oświetlając pusty oczodół. Zajrzałem w ten oczodół i w okamgnieniu zobaczyłem przepaść, a na jej dnie runy, takie jak zostały wyryte na korzeniach Yggdrasilu.



Niewiele mam zapisanych słów o tamtej podróży na zachód. Posłuchaliśmy rady jarla i nie zesliśmy na ląd na żadnej wyspie Orkadów, tylko dobiliśmy do Szetlandów i uzupełniliśmy tam zapasy wody. Pomyślna południowa bryza zaniósła nas aż do Islandii, zesliśmy na ląd na wschodnim wybrzeżu, znowu napęlniając beczki i bukłaki. Tutaj ludzie jarla po kryjomu zaszlachtowali dwanaście owiec. Sprawilo mi to przykrość, bo ojciec zawsze mawiał, że zabieranie bydła innym to jak zabieranie

jedzenia ich dzieciom. Ale natychmiast ruszyliśmy w dalszą podróż, spędzając na islandzkich szlakach wodnych tylko jedną noc i jeden dzień. Wiatr południowy, który tak szybko przeniósł nas przez morze, towarzyszył nam jeszcze przez dwie doby i wielu uważało, że to ofiara złożona przez jarla Lade dała nam takie pomyślne wiatry.

Niestety nie trwało to długo. Kiedy wiatr południowy osłabł, wpłynęliśmy w strefę deszczu i prądów morskich. Wysunęliśmy wiosła, dwa skeidy zaczęły ciągnąć knary za sobą, ale prądy były tak silne, że spychały nas na północ.

Dryfowaliśmy przez jeden dzień i jedną noc. Następnie wiatr powrócił, tym razem wiejąc ze wschodu. Wciągnęliśmy reje i żagle i obraliśmy kurs na – jak się nam wydawało – południowy zachód.

Może tak mi zależało, żeby jak najszybciej wrócić po Ravntora, że zupełnie zapomniałem o niebezpieczeństwie grożącym nam już za pierwszym razem, kiedy płynęliśmy tym szlakiem. Bjørn i ja staliśmy na zmianę przy wiosle sterowym, pilnując się wzajemnie, żeby nie zasnąć przez całą pierwszą noc, i byliśmy zmęczeni, gdy to się stało. Od jednej z knar płynącej tuż na północ od nas nagle dobiegł głośny trzask. Kadłub obrócił się, przecinając linię wiatru, reja uderzyła w maszt, a żagiel owinął się wokół niego. Ludzie na pokładzie przerażeni krzyczeli i wymachiwali rękami, wołając o pomoc.

My na szybszych langskipach zrzuciliśmy żagle i reje i wysunęliśmy wiosła. Jeszcze był świt, ale wszyscy zobaczyliśmy, jak woda morska z pluskiem uderza o górę lodową przy dziobie knary. Cała lewa burta z przodu została zmiażdżona i zrozumieliśmy, że niewiele się da zrobić oprócz ewakuowania załogi na pozostałe statki.

Knara nie pójdzie na dno, o ile nie obciążysz jej kamieniami. Ale często kładzie się na boku i może się to stać bardzo szybko. Załoga na pokładzie knary ledwo zdążyła przerzucić lekką łódź wiosłową nad nadburciem, kiedy podmuch wiatru chwycił żagiel, i nie trzeba było niczego więcej. Kadłub przechylił się, maszt się położył i wszyscy spadli z pokładu do wody.

Tego dnia straciliśmy dwóch ludzi. Powiedziano mi, że znaleźli się pod żaglem, gdy knara przewróciła się na bok. Woda w morzu była zimna, a ci dwaj byli Finami [42](#)

z głębi łądu na północy i kiepsko pływali. Jarl posłał ich razem z nami jako seidmanów, wielu Finów sprowadził w tym celu. Teraz musieliśmy sobie radzić bez ich sztuki seid.

Może już wtedy moje serce było twarde i nieczułe. Bo nie przypominam sobie, żebym odczuwał jakąkolwiek żalobę po tych dwóch, którzy utonęli. Bjørn i ja rozmawialiśmy o nich tego dnia, kiedy usiedliśmy, żeby się przespać; owinęliśmy się kocami, a Bjørn wymamrotał, że na Finach nie ma co polegać, oni są bardziej czarownikami niż seidmanami. Kiwnąłem głową.

– Ale straciliśmy knarę – powiedziałem.

I to najbardziej mnie dręczyło, bo ani skeidy, ani Naglfar nie miały zbyt dużej powierzchni ładunkowej. Jarl oczekiwał łupów i niewolników. Teraz nie mieliśmy dużo miejsca na załadowanie takiej zdobyczy.



Cztery doby po utracie knary zobaczyliśmy na zachodzie łąd. My, którzy już tutaj żeglowaliśmy, natychmiast go rozpoznaliśmy. To był południowy kraniec Grenlandii. Ukazał się nam wcześniej rano i rzadko chyba był piękniejszy niż teraz. Niebo tego poranka było bezchmurne, szkiery połyskiwały w słońcu. Mieliśmy sprzyjającą lekką bryzę i wybrzeże szybko znalazło się na północ od nas. Zrobiliśmy zwrot, obierając kurs na fiord, w który wpłynęliśmy za pierwszym razem, gdy tutaj byliśmy.

Ponieważ nie wiedzieliśmy, czy na Grenlandii nadal szaleje zaraza, nie mieliśmy odwagi popłynąć na północ do osad ludzkich, gdzie moglibyśmy w drodze wymiany nabyć trochę zapasów. Zakotwiczyliśmy więc w jednej z zatok osłoniętych od otwartego morza i mężczyźni powiosłowali do brzegu. Najpierw podreptali trochę we wrzosach, rozglądając się zmrużonymi oczami dookoła, jakby nie dowierzając, że ten łąd rzeczywiście istnieje. Potem zaczęli się przechadzać po okolicy, a niektórzy zrzucili ubranie, wskakując do wody, ale równie szybko z niej wyskoczyli, bo chociaż słońce świeciło i grzało, na Grenlandii panowała już jesień. Wkrótce śnieg miał pokryć cały łąd, który widzieliśmy, a lód skuć fiordy.

Ludzie jarla złowili kilka fok, które pojawiły się na szkiecach tuż koło nas. Zostały

zaszlachtowane w skeidach, a ich stopionym tłuszczem posmarowano żagle i liny. Mężczyźni poświęcili na to cały dzień, co mi się nie podobało. W wietrze i w zapachu napływającym z głębi Grenlandii czuć już było czyste tchnienie mrozu i zimy. Musieliśmy płynąć dalej, należało się spieszyć.

Z Grenlandii popłynęliśmy na zachód, tak prosto jak tylko się dało, ale chyba nie mogliśmy z Bjørnem uniknąć kierowania się trochę za daleko na południe, za każdym razem kiedy Naglfar wpadał w dół fali i należało skorygować kurs. Sternikiem kierują jego myśli i życzenia, jakby spływające do rąk. A ja niczego bardziej nie pragnąłem, niż dotrzeć z ludźmi jarla do Patuxetu, spalić palisadę i zabić każdego, kto stanie między mną a moim synem. Chciałem zejść na ląd na Wyspie Reniferów i porozmawiać z Torfinnem Karlsevnem. Najchętniej wziąłbym ze sobą jego statki i ludzi, ale chciałbym, żeby to Frøydis nimi dowodziła. Samego Torfinna nie wziąłbym ze sobą. Ten człowiek odebrał mi ziemię.

Pośrodku drogi, między Grenlandią a wybrzeżem Skrælingów, wiatr całkowicie ucichł. I prawdą jest, co mówią żeglarze, że cisza na morzu może być o wiele bardziej niebezpieczna niż sztorm. Ludzie stają się niedbali i nieuważni przy takiej pogodzie. Wody mieliśmy wystarczająco dużo, przynajmniej na razie. Ale trzeciego dnia ciszy na morzu wydarzyło się coś, czego nigdy nie zapomnę. Był środek dnia, pamiętam, że Halvor, Winabave i ja siedzieliśmy na skrzyniach wiosłarskich, grając w kości, czym się rzadko zajmowałem, bo do gier jakoś nigdy nie miałem zacięcia. Naglfar, cztery skeidy i jedyna knara, która nam pozostała, płynęły dość blisko siebie, między nimi nie było więcej niż kilka długości kadłuba. Nagle jeden z mężczyzn na knarze krzyknął. Załoga zebrała się przy nadburciu, pokazując coś w wodzie. Wtem potężny jak włócznia kiel przebił powierzchnię wody, a za nim ukazał się cały wieloryb i zaczął unosić się na wodzie. Leżał na boku, tak jakby chciał nam pokazać uszkodzoną płetwę piersiową albo raczej to, co z niej zostało. Halvor powiedział, że powinniśmy go zabić, narwale mają dużo tłuszczu, a ich kiel jest sporo wart. Ale wtedy wieloryb gwałtownie poruszył cielskiem, woda wokół zakotłowała się i jej powierzchnię przecięły czarne płetwy grzbietowe. Naliczyłem ich sześć. Rudde-Geir

podszedł, wskazując na nie palcem. Na Islandii nazywano je miecznikami. Zaraz będzie po wszystkim.

Ranny wieloryb został pożarty żywcem. Mieczniki najpierw przegryzły płetwę ogonową i to, co zostało z płetwy piersiowej, a potem zaczęły szarpać skórę na brzuchu, aż ją rozerwały i wnętrzności wypłynęły na zewnątrz. Narwał obrócił się na grzbiet i tak już pozostał, z jego pyska kilka razy wydobyło się dziwnie piskliwe wycie. Oszalałe od krwi mieczniki nieustannie szarpały ogromne ciało wieloryba, aż ukazały się żebra. Wtedy narwał zaczął opadać na dno, a mieczniki popłynęły za nim, znikając w głębinie.

To zły znak, orzekł Halvor. Na zachodzie czeka nas nieszczęście. Zbyłem go pogardliwym prychnięciem. Nie damy się przestraszyć śmiercią wieloryba na morzu. Nic nas nie może wystraszyć, dopóki Ravntor nie będzie z powrotem u Sigrid.

Tej nocy Odyn znowu przyszedł do mnie we śnie. Siedział na skrzyni wioślarskiej z przodu na dziobie. Wszeptał:

– Widzisz waśnie, Torsteinie? Widzisz pokój? Widzisz przyszłość synów?

Pogłoski mówią, że straciliśmy kilka statków na rzecz potworów w głębinie. Powiadają, że bogini Ran posłała je w górę z najgłębszych czeluści, bo odmawiając składania ofiar, rozgniewałem ją. Mówią też, że koło Hellulandii dopadł nas sztorm, ale to również kłamstwo. Rzadko widziałem, żeby morze na zachodzie było tak piękne i spokojne, a śmierć wieloryba zdawała się raczej strasznym snem, bo łagodne fale połyskiwały w słońcu i chyba rzadko kiedy moje statki płynęły tak szybko po morzu. Zobaczyliśmy ląd nieco na południe od miejsca, w którym przeprawiliśmy się po raz pierwszy. Rzuciliśmy kotwicę i powiosłowaliśmy na ląd z beczkami na wodę. Z jałowcowego zagajnika wypływał szmerzący strumyk, a woda była tak czysta, jakby pochodziła z górskiego źródła.

Potem wiatr zmienił kierunek i zaczął łagodnie wiać od tyłu. Wciągnęliśmy reję z żaglem i skierowaliśmy się na południe. Morze nadal było spokojne, nie było prądów ani ostrych fal.

Stamtąd żeglowaliśmy z wiatrem północnym przez wiele dni. W nocy nie miałem

marzeń sennych, ogarnął mnie przedziwny spokój, co było dla mnie niezrozumiałe, i zaczęło mi dokuczać sumienie. Jak mogłem odczuwać spokój, skoro Patuxetowie przetrzymywali Ravntora? Halvor, który patrząc na kogoś, często potrafił odgadnąć jego myśli, przyszedł do mnie na rufę pewnego ranka i wymamrotał, że bogowie życzą nam dobrze. Dali nam bezpieczną przeprawę, a teraz ich wiatr pędzi nas prosto do Skrælingów. Wkrótce będzie trzeba zwołać ludzi jarla na naradę.



28

Kobieta dla Bjørna Tormodsona

Odbyliśmy naradę koło masztu na pokładzie Naglfara. Z każdego statku jarla był obecny jeden mężczyzna. To, że przepłynęliśmy morze, aby zdobyć bogactwa dla jarla i chwałę dla siebie samych, już zostało powiedziane i nie było potrzeby tego powtarzać. Ale załogi chciały się dowiedzieć, gdzie mieszkają Skrælingowie i jakie dobra można im zrabować. Na odwrotnej stronie baranicy naszkicowałem linię brzegową i wyspy, tak jak je zapamiętaliśmy. Winabave ochoczo opowiadał o polach zboża, o czarnych kamieniach przywożonych przez kupców z południa, o pięknych miedzianych ozdobach i płytkach złota, które bogaci mężczyźni nosili w ozdobach głowy. Na zboże, miedź i czarne kamienie ludzie jarla kręcili nosem. Za to płytki złota były ich zdaniem warte przeprawy morskiej i walki. Jeden z nich, Tore Kalvson, potężny chłop z czarną, krzaczastą brodą, ponoć jeden z najbardziej zaufanych ludzi jarla, powiedział, że utrata knary była nieszczęściem, bo będziemy mogli przewieźć przez morze o połowę mniej niewolników. Jarl Eirik miał zamiar posłać kilku Skrælingów Svenowi Widłobrodemu, ponieważ król Danów kolekcjonował

niewolników z odległych krajów, tak jak inni zbierają rogi pitne albo zapinki do płaszczy. To, że mamy tylko jeden statek do załadowania niewolników, jest złym znakiem, podobnie jak śmierć wieloryba, której byliśmy świadkiem. Mężczyźni pokiwali głowami, ale wtedy z pomocą przyszedł mi Winabave.

– Skrælingowie są niskiego wzrostu, tak jak ja – powiedział. Siedział na rufie na skrzyni wioślarskiej, ale teraz wstał. – Możecie zmieścić dwóch Skrælingów w miejsce każdego z was.

Wtedy mężczyźni kiwnęli głowami, a Tore Kalvson wymamrotał, że pomocnego mam niewolnika.

– Tak – odparłem, ale jedyne, o czym byłem w stanie pomyśleć, to jak bardzo Winabave nienawidzi własnego ludu.

Mieliśmy sprzyjający wiatr aż do Wyspy Leifa. Tam rzuciliśmy kotwice i stanęliśmy, czekając. Najpierw nikogo nie dostrzegliśmy. Widzieliśmy jedynie opustoszałe budynki i złociste listowie drżące w koronach drzew wokół podwórza.

– Zaraza ich zabrała – powiedział Bjørn. Ale miejsce było opuszczone nie tylko przez ludzi. Brakowało również statków.

Nagle z długiego domu wyszedł mężczyzna, był nagi, wychudzony i zgarbiony. Podniósł ramiona nad głowę i zaczął nimi wymachiwać, chcąc, żebyśmy zeszli na ląd. Brakowało mu jednej dłoni. To był Gunnar Duży.

Rozmawialiśmy z nim na odległość, stojąc przy stewach i krzycząc. Dowiedzieliśmy się, że na Wyspie Leifa nikt już nie mieszka. Wszyscy, którzy byli wystarczająco zdrowi, weszli do langskipów i pozęglowali na północ, zabierając ze sobą bydło i psy.

Sam Gunnar leżał chory, kiedy odpływali. Jak powiedział, zajrzał śmierci w oczy. Najwyraźniej jednak nie dotarł jeszcze do końca nici swego życia, bo wyzdrowiał z zarazy i otrząsnął się z gorączki. Prosił, żebyśmy pozwolili mu wejść na pokład. Błagał nas. Ale my podnieśliśmy kotwicę i odpłynęliśmy, zostawiając go.

Następnego poranka po opuszczeniu Wyspy Leifa nagle dopadła nas niepogoda. Zrobiło się zimno i nieprzyjemnie, potem wiatr zmienił kierunek i teraz wiał

z zachodu. Wypchnął nas na otwarte morze, lecz było to lepsze, niż gdyby nas rzucił na ląd. Nie był to sztorm, tylko porządna wichura, która gnębiła nas przez cały dzień i jeszcze długo w nocy, aż w końcu zaczęła słabnąć. Bjørn i ja sterowaliśmy na zmianę i dopiero rano pozwoliliśmy Valpowi i Halvorowi przejąć ster.

– To jesień – powiedział Bjørn, kiedy usiedliśmy za nadburciem. – Chciała nam obwieścić, że właśnie przybyła.

Po wicherze podróż do Wyspy Reniferów przebiegała już bez złej pogody i niepomyślnych znaków. Płynęliśmy tym samym szlakiem co za pierwszym razem i długo miałem nadzieję, że pogoda będzie tym łagodniejsza, im bardziej na południe dotrzemy. Ale jesienne zimno zdawało się panować teraz na całym wybrzeżu. Skrælingów nie widzieliśmy, nie widzieliśmy obciążniętych skórą łodzi w fiordach i nie czuliśmy zapachu dymu z ognisk. Śledziłem wzrokiem wybrzeże, gdy płynęliśmy, mając wątplą nadzieję, że wypatrzę gdzieś Eysteina, lecz on pewnie był daleko, razem ze swoim Rzecznym Ludem. Co sobie myślał o nas, o tych, którzy go opuścili?

Tore Kalvson krzyknął do mnie, pytając, gdzie są ci wszyscy Skrælingowie, o których opowiadałem. Odparłem, że północ jest słabo zaludniona, musimy popłynąć bardziej na południe, żeby dotrzeć do ludzkich osad. Winabave szepnął mi, że o tak późnej porze roku wiele plemion przenosi się w głąb lądu. Dla nas to i tak nie ma żadnego znaczenia, stwierdził. Patuxetowie zawsze mieszkają w tym samym miejscu.

Dopłynęliśmy do Wyspy Reniferów późną nocą i rzuciliśmy kotwicę w Zatoce Wielkiej. Przypominam sobie, że Bjørn i ja siedzieliśmy na skrzyniach wiosłarskich na rufie, żaden z nas nie zaznał snu tej nocy. Może powinniśmy częściej ze sobą rozmawiać, ja i mój brat, ale jakoś tak było między nami, że rzadko rozmawialiśmy o bolesnych sprawach. Niewiele słów wymieniliśmy o ojcu i o krzywdzie, która mnie spotkała, kiedy byłem chłopcem i założono mi niewolniczą obręcz na kark. Nie rozmawialiśmy o nierozsądnym związku Bjørna z Torgunn w Jomsborgu i o urodzonej przez nią dziewczynce. O bitwie na szlakach morskich króla Danów, o uderzeniu toporem, który omijając głowę Olafa Tryggvasona, zagłębił się w jego

barku, o losie, jaki mnie spotkał, kiedy mój topór trafił króla morskiego, pod którym onegdaj służyliśmy; o żadnej z tych rzeczy nie wymieniliśmy zbyt wielu słów. Ale Bjørn powiedział tego ranka coś, czego nigdy nie zapomniałem.

– Rolnikami to my nie jesteśmy, Torsteinie. Jeśli jednak ujdziemy z tej wyprawy z życiem, przyjmujemy ziemię od jarla, o ile ten dotrzyma słowa. Według mnie jesteś to winien Sigrid. A twoim synom musisz dać dorosnąć na ziemi, którą mogą nazwać swoją.

Twoim synom... Tym słowom pozwoliłem szeptać do siebie wielokrotnie przez następne dni i noce. Nie zapytałem brata, czy używając ich, miał na myśli Bjørnara i synów, których Sigrid jeszcze mi urodzi, czy był też wśród nich Ravntor. Chciałem, żeby Bjørn, mój starszy brat, którego zawsze uważałem za mądrzejszego i rozważniejszego od siebie, widział to jako oczywistość, że my dwaj, teraz w towarzystwie jomswikingów i ludzi jarla, zburzymy palisadę i zarąbimy każdego, kto stanie nam na drodze do Ravntora. Uparcie chwytalem się tej myśli.

Kiedy wiosłowaliśmy do Przystani, Torfinn i jego ludzie wyszli nam na spotkanie z napiętymi łukami. Zatrzymaliśmy się między statkami Torfinna, które w bezwietrznej pogodzie spoczywały na wodzie na luźnych linach kotwicznych. Torfinn kazał ludziom opuścić łuki, pewnie pomyślał, że i tak nie dadzą rady się przed nami obronić, jeśli przyplłynęliśmy tu na grabież.

– Rozpoznaję jeden z tych statków! – zawołał śmiało, stanąwszy przed swoimi ludźmi. – Czy to nie Torstein Szkutnik i jego brat tam stoją? Opowiedzcie mi, co się stało! Zniknęliście tak po prostu! Kogo macie tym razem ze sobą? – Rzucił spojrzenie na podwórze, gdzie stała jasnowłosa kobieta z dzieckiem na ręku, a potem zwrócił się znowu do nas. – Możecie zejść na ląd!

Skoro nadal byliśmy żywi, zrozumiał zapewne, że na statku Islandczyków wbrew jego obawom nie było zarazy. Z knary spuszczone na wodę lekką łódź, kilku mężczyzn popłynęło nią na plażę, gdzie przystanęli, spode łba przyglądając się mieszkańcom wyspy. Magnar, z którym wdałem się w bójkę, zanim wyruszyliśmy, wystąpił przekornie naprzód, stając obok Torfinna, ale chyba został ostro skarcony, bo zaraz się wycofał. Dostrzegłem również Frøydis; stała na skraju lasu w pobliżu kilku

dopiero co ściętych drzew.

– Widzieliście może Eysteina?! – zawołałem.

– Nie – odparł Torfinn. – Nie widzieliśmy.

Wtedy wtrącił się Tore Kalvson.

– Odłóżcie łuki! – Wspiął się na nadburcie w swoim skeidzie i stanął dumnie, opierając się o wantę. – Przypływamy od Eirika, jarla Lade!

Torfinn chyba udał, że nie słyszy tego o łukach, ale powtórzył, że wszyscy bez wyjątku możemy zejść na ląd.

– Pamiętajcie tylko, że to ja rządzę wyspą i dużą częścią tutejszego wybrzeża – dodał, wypinając pierś.

Nie spodobało mi się to gadanie, a teraz, kiedy były ze mną załogi jarla, ludzie Torfinna nie mieli nic do powiedzenia, więc nie widziałem żadnego powodu, żeby się hamować.

– To moja wyspa! Odebrałeś mi ją!

Ludzie Torfinna znowu założyli strzały na cięciwy, Torfinn zrobił kilka kroków w tył, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

Za to Tore Kalvson nie zapomniał języka w gębie.

– Coś mi się wydaje, że teraz to jest wyspa jarla Eirika. To samo dotyczy każdego miejsca, gdzie zejdziemy na ląd. Niemądry jest ten, kto zaprzeczy temu, co mówię! –

Sięgnął do biodra, jakby z przyzwyczajenia, lecz tam wisiał tylko worek z hubką. Jeden z mężczyzn na pokładzie skeida domyślił się, czego szuka, szybko podniósł wieko jednej ze skrzyń wioślarskich i wyciągnął z niej podłużne zawiniątko ze skóry, w którym był miecz o szerokim żeleźcu w drewnianej pochwie. Mężczyzna wyciągnął miecz z pochwy i wręczył Toremu. – Miecza posmakuje ten, kto sprzeciwi się jarlowi Eirikowi! – dodał Tore, tnąc nim powietrze, tak jakby to jeszcze dla nas nie było jasne.

Tego wieczora zjedliśmy posiłek u Torfinna. Ponieważ nie było dla wszystkich miejsca w długim domu, rozpalono ognisko na podwórzu i załogi rozsiadły się wokół niego. Torfinn nie miał mięsa ani piwa. A jeśli miał, to były dobrze ukryte, bo Tore i kilku jego ludzi, Ulfar Oracz, Bjørn, Halvor i Valp, weszli do środka, obwąchując

zapasy wiszące pod belkami dachowymi. Oprócz suszonej ryby, korzeni i ziół nic nie znaleźli.

Tore Kalvson i członkowie załóg ze statków jarla nie ukrywali, w jakim celu przybyliśmy.

– Będziemy plądrować i grabić wybrzeże Skrælingów – powiedział Tore, stając dumnie przy ognisku; zachowywał się tak, jakby był hovdingiem ludzi jarla, moim i mojego brata, a także mieszkańców wyspy. – Ten tutaj Torstein twierdzi, że jest u nich dużo złota, i to złoto jarl Eirik zamierza pojąć na własność!

Torfinn zerknął na mnie spod oka. Podrapał się po głowie, na ustach pojawił się ledwie widoczny uśmiech, zrozumiałem, co sobie pomyślał. Chyba im nakłamałeś, Torsteinie Szkutniku... Pewnie chciał to samo powiedzieć, bo podniósł się, odchrząknął i stanął na szeroko rozstawionych nogach, podparłszy się pod boki, ale kiedy zaczął mówić, usłyszeliśmy głównie wyświechtane pochwały na cześć jarla Trøndelagu: że jego rządy są wspaniałe, że on i jego brat tak rozumnie panują nad zachodnim wybrzeżem Norwegii. Ludzie jarla pokiwali głowami. Tore Kalvson podszedł do Torfinna, kładąc mu na ramieniu swą olbrzymią łapę.

– Chyba jesteś mądrym hovdingiem dla swoich ludzi – powiedział, patrząc na kobiety i mężczyzn stojących wokół. – Synowie Håkona zawsze będą dla was mieli miejsce w swej halli, gdybyście zechcieli ich odwiedzić!

Torfinn odparł, że miło usłyszeć te słowa. Obaj chwycili się za ręce i stali tak, mierząc się wzrokiem, gdyż Torfinn nigdy nie okazywał słabości ani ciała, ani umysłu. I ku zaskoczeniu wszystkich uścisk jego ręki okazał się zbyt mocny dla Torego Kalvsona, bo olbrzymi Trøndelagczyk szybko zwolnił uchwyt i oswobodził rękę; wyszczerzył zęby do swoich ludzi i zaśmiał się w trochę wymuszony sposób.

Mówią, że Torfinn rozmówił się z ludźmi jarla tej nocy, obiecując im ziemię pod swoim zwierzchnictwem, o ile zechcą pozostać. Mówią też, że Tore był dziwnie milczący, kiedy Torfinn przedstawiał tę ofertę. Sam tego ani nie widziałem, ani nie słyszałem, bo poszedłem na skraj lasu, zanurzając się w jesienny mrok i pozostając sam na sam ze swoją nienawiścią. Aż dygotałem z chęci, żeby podejść do Torfinna i zabić go na oczach wszystkich jego ludzi, bo nie mogłem znieść jego gadania. Ale

byli tam też jego kobieta i synek. Za każdym razem, gdy zerkiałem na chłopczyka w objęciach matki, czułem bolesne ukłucie.

Chodziłem wśród tak dobrze mi znanych klonów, raz po raz wyciągając rękę, żeby dotknąć pni, których już nie było, bo zostały ścięte przez ludzi Torfinna. Nie przypuszczałem, że sprawi mi to aż taki ból. Wkrótce usiadłem i łązy, których nie rozumiałem, zapiekły mnie w oczy.

Mówią, że las łagodzi żalobę człowieka. Pnie drzew podeprą cię, jeśli masz upaść. Mech pozwoli ci miękko leżeć, jeśli nie dasz rady stać. Słyszałem, jak szumiące liście szepczą do mnie z koron klonów, a może to sam Odyn w ten sposób do mnie przemawiał. Nie wiem, co mówił, może zapowiadał, że teraz mój los się odmieni, bo nagle usłyszałem, że ktoś idzie. To była Frøydis. Najpierw nic nie mówiła. Usiadła obok mnie, a światło księżyca zamigotało w jej zapince od opończy i w broszach na piersi.

– Sigrid – powiedziała w końcu. – Nie ma jej tutaj z tobą. Została w Norwegii? Z twoim młodszym synem?

Nie odpowiedziałem. Nie wiem dlaczego. Przygnębienie tak mnie przytłoczyło, że ponad moje siły było otworzyć usta i wypowiedzieć jakiegokolwiek słowo. Już od dłuższego czasu nie nachodziły mnie czarne myśli. Niemal o nich zapomniałem. A teraz kilka usłyszanych niegdyś słów wyrwało się z otchłani zapomnienia: siedziałem przy palenisku w naszej chacie razem z ojcem i Bjørnem, fale bez ustanku uderzały o płaskie skały na zewnątrz jak oddech potężnego, gwałtownego boga.

– Odziedziczyłeś to po mnie – powiedział ojciec, który właśnie nadziewał kilka makrel na żerdź. – Nazywają to mrokiem umysłu. Nie musisz się tego wstydzić. Niektórzy nazywają to chorobą Odyna. Bo sam Odyn to ma.

– O czym myślisz? – Frøydis dotknęła mojego ramienia.

Podniosłem się i zakreśliło mi się w głowie. Musiałem oprzeć się o drzewo.

– Czy dobrze się odżywasz? Sigrid powinna być z tobą i pilnować, żebyś wystarczająco dużo jadł...

– Sam potrafię o siebie zadbać.

Wstała i znowu wyciągnęła rękę. Zrobiłem kilka kroków w tył.

– Zostaw mnie.

Frøydis została między klonami, w snopie księżycowego światła padającego w dół przez listowie. Zawsze była piękną kobietą. Długie jasne włosy opadały swobodnie na ramiona i piersi, a wiejący przez las lekki wietrzyk opinał koszulę na ciele. Nie miała aż tak chłopięcego ciała, jak wielu twierdziło. Miała biodra, chociaż wąskie, miała też piersi i zawsze nosiła się z niepokromioną dumą. W czasach przed Białym Chrystem mężczyzn zazwyczaj pociągała taka duma. Zaciągnięcie takiej kobiety do łóżka można było przyrównać do ustrzelenia kozła ze wspaniałym porożem. Nigdy zbyt dobrze nie rozumiałem kobiet, ale we Frøydis było coś szczególnego.

– Przyszłam, żeby powiedzieć, że płynę z wami – powiedziała. – Jeśli mogę pomóc tobie i Sigrid odzyskać Ravntora...

Usłyszeliśmy szelest liści.

– Torsteinie? Jesteś tutaj?

Bjørn pojawił się w tym samym snopie światła, w którym stała Frøydis.

– A ty jesteś córką Eryka z Grenlandii, tak?

Frøydis skinęła w milczeniu głową. Tych dwoje stało blisko siebie, bo Bjørn myślał pewnie, że ona się przesunie, kiedy on się pojawi w snopie światła, lecz Frøydis nie ustąpiła mu miejsca. Stali tak blisko siebie, że Bjørn mógł objąć ją ramieniem w talii.

– Chcę z wami płynąć – powtórzyła. – Na wyprawę, a potem... – Skinęła głową w kierunku morza za mną. – Na wschód przez morze. Do Norwegii.

Bjørn zachnął się.

– Mówią, że jesteś córką niewolnicy, właśnie przed chwilą to usłyszałem. Dlaczego Torfinn miałby pozwolić ci odpłynąć?

Może Frøydis była mądrzejsza od Bjørna i ode mnie. I może nauczyła się ujarzmić wściekłość w sposób, którego ja nigdy się nie nauczyłem, bo w odpowiedzi położyła dłoń na ramieniu Bjørna i uśmiechnęła się do niego.

– Jestem wolna – powiedziała cicho. – Zawdzięczam to mojemu ojcu. Torfinn nie decyduje o mnie, nie jestem ani jego niewolnicą, ani nałożnicą. Statki, które dał mi ojciec, należą do mnie, mam też ludzi z Grenlandii, którzy nadal chcą za mną podążać. Ale jeśli znowu postawię stopę na grenlandzkiej ziemi, tamtejsi ludzie nie zobaczą nic oprócz karku, na którym brakuje niewolniczej obręczy, a ten, za którego zostałam wydana, jest słaby i nie zrobi nic, żeby mnie obronić. Nie mogę też popłynąć na

Islandię, bo tam podąży za mną zła sława mojego ojca. Chcę popłynąć z wami. Obiecuję grabić i plądrować jak mężczyzna, jeśli tylko będę mogła wam towarzyszyć na wschód, kiedy już będzie po wszystkim.

To jakby złagodziło surowe wejrzenie Bjørna, dotknął swojego karku i ciężko odetchnął. Potem zerknął na nią, jakby zaciekała go kobieta tak śmiało i zdecydowanie rozmawiająca z nami. Frøydis nadal dotykała jego ramienia, a jej wzrok był nieustępliwy.

Bjørn i Frøydis zostali w lesie. Ja poszedłem z powrotem na podwórze, bo Halvor zawołał na mnie. Valp wdał się w kłótnię z jednym z ludzi Torfinna, zadziornym kurduplem zwącym się Holmganger-Kåre, który, jak mi później mówiła Frøydis, nigdy nie uczestniczył w holmgangu, a to imię nadał sobie, żeby przstraszyć innych. Valp poczuł się sprowokowany hovdingowymi gestami Torfinna przy ognisku, bo nagle wstał i zaczął grozić mu pięścią. Nikt oprócz Torsteina Szkutnika nie może panować tu jako hovding, a on sam jest synem jarla Orkadów. O tym ostatnim Valp nigdy nie mówił, w dużej mierze dlatego, że ojciec go wydziedziczył i odebrał mu prawo do tytułu jarla, ale teraz wypluł to z siebie razem z obraźliwymi słowami pod adresem Torfinna, energicznie wymachując pięścią. Zabrałem go ze sobą na plażę, powiosłowaliśmy do Naglfara i tam usiedliśmy, niewiele mówiąc. Potem Valp położył się pod kocami, a sen musiał też i do mnie nagle przyjść, bo kiedy się obudziłem, leżałem zmarznięty na rufie.

Może to i prawda, co mówiono o Torsteinie Tormodsonie, skutniku osiadłym nad morzem, że bez przerwy wdawał się z ludźmi w waśnie, ale inni ludzie z jego otoczenia wcale nie byli pod tym względem lepsi. Kiedy się obudziłem, Valp stał przy nadburciu, spoglądając spode łba na puste podwórze. Na pokładach statków wokół nas spali mężczyźni, lecz Bjørna nie zauważyłem. Nie było go między skrzyniami wiosłarskimi i beczkami na pokładzie Naglfara, nie mogłem go też wypatrzeć na żadnym z pozostałych statków. Ale oto ujrzałem dwie postacie na skraju lasu, Bjørna i Frøydis. Całowali się tam między klonami, ona, uśmiechając się, odbiegła od niego, mój brat pobiegł za nią, znowu przytulił ją do siebie i pocałował. Jedną ręką czule

spoczywała na jej karku, a druga pożądlawie chwytła pośladki.

Usiadłem plecami do nadburcia, zanim mnie zobaczył. Valp zrobił to samo.

– Twój brat – powiedział tylko. – I ta kobieta.

Przywołałem Bjørna ruchem ręki na pokład. Mężczyźni korzystali z jednej z łódek, żeby dostać się na statki. Stała teraz przycumowana do knary, więc Bjørn rzucił opończę, spodnie i tunikę i stanął nago nad brzegiem wody. Miał twarde, żylaste, poznaczone bliznami ciało. Niemal czarna broda sięgała mu do piersi, wskazując w dół na włosy w kroczu. Wszedł do wody po pas, a potem zaczął pływać.

Kiedy dostał się na pokład, nie ukrywał tego, co się wydarzyło.

– Frøydis i ja spaliśmy ze sobą dziś w nocy – powiedział, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. – Podoba mi się, bracie. Może być dla mnie dobrą kobietą.

Kilku ludzi na pokładzie zbudziło się. Winabave, Halvor i niektórzy z Islandczyków, Rudde-Geir, Toke i paru innych wstało i podeszło bliżej. Bjørn, nie przejmując się, że wszystko słyszą, podniósł głos.

– No i co, że z nią spałem? Ona nie ma męża.

– Teraz już ma – powiedział Halvor i wysmarkał się w palce.

Mój brat nieco się nad tym zastanowił, zerkając na podwórko. Frøydis weszła do długiego domu, ale znowu wyszła z cebrzykiem i uśmiechnęła się do nas, idąc w stronę wody. Tam przykucnęła przy ubraniach Bjørna, leżących w miejscu, gdzie się rozebrał. Podniosła tunikę do twarzy i powąchała, jakby już tęskniła za jego objęciami.

– Tak, teraz już ma – powtórzył Bjørn. – Ma mnie. – Musiał zobaczyć, że nie jestem zachwycony, bo wzrok mu stwardniał. – Chyba pozwolisz mi się tym cieszyć, Torsteinie?

Zacząłem mamrotać o Jomsborgu, o niebezpieczeństwie, na jakie nas wtedy naraził, i o jego córce, ale Bjørn nie dał mi dokończyć.

– To nie jest tak jak w Jomsborgu, braciszku.

– Ale my dzisiaj ruszamy – powiedziałem.

– Frøydis płynie z nami. Dysponuje trzema z kotwiczących tutaj knar. Popłynie z nami jedną z nich.

To wywołało drwiący uśmiezek u Islandczyków. Oracz wygrzebał się spod koców

ze zmierzwionymi włosami i brodą i przetarł oczy. Czy usłyszał, co się wydarzyło, nie wiem, bo zawsze twardo spał. Pogrzebał w uchu, mamrocząc, że musiało mu się chyba śnić, bo jakby słyszał coś o kobiecie, która ma dowodzić statkiem. Ale Bjørn, który nadal stał nago między nami, owinął się kocem i wszystko powtórzył. Frøydis poprowadzi statek, będzie miała załogę pod swoją komendą i pożegluje z nami. Będzie grabić i plądrować, pomagając nam odzyskać Ravntora, najlepiej jak potrafi.



29

Wilki z morza

Wyruszyliśmy z Wyspy Reniferów, mając dobrą pogodę i sprzyjający wiatr, który towarzyszył nam przez wiele dni. Kiedy opłynęliśmy Krainę Świtu, natknęliśmy się na Skrælingów wiosłujących wzdłuż lądu w swoich skórzanych łodziach. Sternicy na skeidach jarla przywołali ludzi do wiosł. Skrælingowie szybko zostali wyprzedzeni, a jeden z nich wystrzelił z łuku w stronę statku Torego Kalvsona, trafiając jednego z wiosłarzy w ramię. To przypieczętowało los Skrælingów. Skeidy staranowały ich łodzie. Potem załoga wystawiła za nadburcie długie włócznie. W rzezi nie brałem udziału ani ja sam, ani nikt z tych, którzy byli mi bliscy. Naglfar i knara Frøydis stały w miejscu, ludzie jarla najpierw zadźgali włóczniami Skrælingów, a potem wydobyli skórzane toboły i kosze ze zmiażdżonych łodzi. Popłynęliśmy dalej, Bjørn i ja staliśmy na rufie, patrząc na rysujące się na morzu podmuchy wiatru. Miałem pewność, że staliśmy się takimi ludźmi jak ci, którzy zabili ojca. Staliśmy się rabusiami.

Mówiono mi, że żaden mąż nie złupił bardziej żadnego wybrzeża niż Torstein

Szkutnik tam na zachodzie. Kiedy przyjezdnym mnichom opowiadano moją historię tutaj w halli, patrzyli na mnie bogobojnymi oczami, mówiąc, że diabeł miał nas w swojej mocy tam na zachodzie. Bo Skrælingowie są ludźmi tak samo jak my, nie są zwierzętami ani potworami i zamiast ich zabijać, powinienem przynieść im słowa Białego Chrysta. Wtedy odpowiadam, że Wszechojciec pogardzałby mną, gdybym nie pomścił wyrządzonej mi krzywdy. A ja pogardzałbym sam sobą. Moi ludzie kiwają wówczas głowami przy stołach, unosząc kufle i piękne rogi pitne w toaście za czyny, których ja i mój brat w młodości dokonaliśmy na zachodzie.

Ale późnymi wieczorami, czuwając na siedzisku wodza, nadal widzę Skrælinga szamoczącego się w wodzie, gdy przepływamy obok. Ciosy ludzi jarla musiały pozbawić go władzy w nogach, bo dolna część ciała zwisała bezwładnie, kiedy rozpaczliwie próbował odplłynąć. Minęliśmy go Naglfarem o włos od sterburty, a potem zniknął w śladzie pozostawionym w wodzie przez statek.

Jarl Eirik wysłał z nami nie tylko statki i ludzi. Zadbął też o porządną zapas suszonej ryby i solonej baraniny. Ta ostatnia była bardzo smaczna, właściwie zbyt smaczna jak na podróż morską. Podczas przeprawy mężczyźni cały czas podchodzili do udźców z nożami, odcinając sobie kawałek, więc teraz został nam już tylko szpik kostny, suszona ryba i kasza jęczmienna. Mimo to nie głodowaliśmy, a na ląd schodziliśmy tylko po to, żeby napełnić wodą beczki. Dzięki temu mogliśmy poruszać się szybko na południe wzdłuż wybrzeża Skrælingów, bez potrzeby polowania czy łowienia ryb. Znowu rozmyślałem nad tym, jak zmusić Patuxetów do oddania Ravntora. Jak już wspomniałem, mój plan polegał na tym, że będziemy tak strasznie grabić i plądrować, że Patuxetowie nie będą mieli odwagi nie spełnić naszego żądania, kiedy otoczymy ich pola. Coraz bardziej się obawiałem, że zechcą użyć Ravntora jako zakładnika, i byłem przekonany, że tylko gruntowne spustoszenie zmusi ich do posłuszeństwa. Musieli nabrać przekonania, że jeśli zabiją Ravntora, potraktujemy ich z bezgranicznym okrucieństwem.

Björn, Valp, Halvor, Islandczycy i ja dostaliśmy broń i kolczugi od jarla Eirika; leżały w okutych żelazem skrzyniach, które każdy z nas otrzymał. Dał nam też tarcze. Były to dobre tarcze z rantem z niewyprawionej skóry z namalowanymi jakby

wilkami, pewnie znakiem ulfhednara jarla Eirika. Oglądaliśmy te przedmioty po drodze, wszyscy na pokładzie uważali, że wspaniale jest jechać na wyprawę z tak dobrą bronią i kolczugami, ale żeby stał nie zardzewiała, włożyliśmy wszystko z powrotem do skrzyń, wtykając bolce w zamki. Tak więc przynajmniej ja przestałem myśleć o broni, a cała moja uwaga skierowała się na horyzont na zachodzie, w kierunku syna, którego chciałem odbić. Jednak drugiego ranka po tym jak ludzie jarla zabili Skrælingów, Bjørn znów otworzył swoją skrzynię. Pamiętam, że od wybrzeża wiał wtedy zimny jesienny wiatr, wiał tak już od najciemniejszej pory nocy.

– Teraz jesteście wojownikami jarłów Trøndelagu – powiedział mój brat, wyjmując ze skrzyni miecz o szerokim żeleźcu. Jarl Eirik dał takie miecze zarówno mnie, jak i Bjørnowi. Na mieczach się nie znałem, to była broń dla królów i bogaczy. Oczywiście było, że jarl Eirik miał zamiar w ten sposób związać nas ze sobą, ale może musiało tak być. Poza Naglfarem żeglowaliśmy przecież jego statkami i z jego ludźmi.

Bjørn włożył teraz ubranie, które jarl nam posłał. Były to spodnie z delikatnie czesanej wełny z jedwabnymi lamówkami, ciemnoniebieskie tuniki i kaptury. Dostaliśmy też po dwie opończe – jedną z jedwabiu i jedną z grubej wełny natartej olejem. Bjørn zapiął w talii najpierw wąski pas, a potem szerszy; na nim zawiesił pochwę miecza. Pochwę zrobiono z cisu, z wyrzeźbionym szeregiem wilków chwytających się wzajemnie za ogon.

Kolczugi od jarla były tak piękne, że mogliby ich używać królowie. Bjørn i ja widywaliśmy podobne w Jomsborgu, chociaż nie aż tak kunsztownie wykonane. Nie potrafiliśmy ich włożyć, więc Halvor podszedł i nam pomógł. Zostały zrobione z grubej skóry i miały po bokach rzemienie, po napięciu których kolczuga dobrze przylegała. Na całej powierzchni naszyto zachodzące na siebie wzajemnie metalowe kółka. Kolczuga nie mogła przebić strzała, grot włóczni czy ostrze miecza. Ale nie byliśmy w nich zupełnie nie do zranienia, bo mógł je przeciąć topór, no i nie chroniła rąk i nóg. Kolczuga kończyła się na dole klinem osłaniającym krocze, na co Halvor skinął głową, mamrocząc, że to by ucieszyło Sigrid, i Frøydis może też, po czym trącił Bjørna w ramię i głośno się zaśmiał.

Mówiono, że jarl Eirik wyposażył braci Tormodsonów w najlepszą odzież bojową i że

kupił sobie ich lojalność dobrze wykutymi mieczami. To prawda, że Bjørn i ja nigdy nie zazналиśmy takiego dobrobytu i uważaliśmy za zaszczyt, że jarl posłał nam tak wspaniałe prezenty, ale miecze i kolczugi odłożyliśmy, jak już wspominałem, z powrotem do skrzyń, a jedwabne opończe były zbyt piękne, żeby ich używać na pokładzie statku, więc zdjeliśmy je i odłożyliśmy razem z mieczami. Bjørn powiedział, że jeśli nie wszystko pójdzie zgodnie z naszymi nadziejami, zawsze możemy wymienić jedwab i miecze na zboże, zwierzęta i inne użyteczne towary; te słowa sprawiły mi ból. Jeśli nie wszystko pójdzie zgodnie z naszymi nadziejami... Jeśli nie odzyskam Ravntora, nie zaznam dnia bez bólu i tęsknoty.



Nie popłynęliśmy w poprzek wielkiej zatoki leżącej na północ od Patuxetu. Odbyliśmy naradę wojenną pod masztem Naglfara, a ja poprosiłem Winabavego, żeby opowiedział o osadach na wybrzeżu na zachód od nas. Według niego większość przebywających tam to ludzie, którzy wywędrowali z Patuxetu na północ. Kiedy Tore Kalvson zapytał, czy da się na nim polegać, mówiąc do pozostałych, że Skrælingowi może przyjść do głowy wciągnąć nas w pułapkę, Winabave splunął na pokład, mówiąc, że nienawidzi swojego ludu, bo zaznał od niego samych krzywd.

– Dajcie mi topór – dodał – a będę ich zabijać na waszych oczach.

Mężczyźni spojrzeli na niego ponurym wzrokiem. Powiedziałem, że lud Winabavego obszedł się z nim okrutnie, bo jako młody mężczyzna został sprzedany w niewolę plemieniu mieszkającemu dalej na północy.

Tore Kalvson uważał, że płynąc wzdłuż wybrzeża, powinniśmy splądrować i spalić wszystkie napotkane osady. Frøydis i pozostali szyprowie zgromadzeni pod masztem nie zaprotestowali, sam kiwnąłem głową, mówiąc, że musimy ich tak wystraszyć, by nie mieli odwagi zatrzymać Ravntora, kiedy rzucimy kotwicę koło Patuxetu. Poczulem rękę Bjørna na ramieniu. Odchrząknął i powiedział, że tak musi być, nie wolno nikomu dać gridu, dopóki jego bratanek nie znajdzie się na pokładzie. W noc po naradzie wojennej stałem sam przy drążku steru. Zazwyczaj Bjørn stał razem ze mną, w czasie naszej wachty zmienialiśmy się wzajemnie przy sterze, ale Bjørn był tej nocy zmęczony i musiał usiąść. Pamiętam, że zerkałem na niego; siedział oparty

plecami o nadburcie, ubrany w piękną, ciemnoniebieską tunikę bogacza i owinięty natartą olejem opończą. Nie byliśmy przyzwyczajeni do posiadania tak ciepłych, dobrze uszytych ubrań z delikatnie wyczesanej wełny, która nie kłuje w skórę i nie drapie. Wkrótce brat przewrócił się na bok i zaczął chrapać, raz po raz wierzgając nogami we śnie jak pies. Tak już miał od dzieciństwa.

Tej nocy przyszła nagła zmiana pogody. Tuż po tym jak Bjørn zasnął, poczułem na karku zimny powiew od wybrzeża. Pachniał jesiennym listowiem i mrozem, zaraz potem wpłynęliśmy w ciszę morską i mgłę.

Mówią, że Norweg jest w stanie przeczuć nadejście zimy. I ja ją poczułem, słyszałem, jak szepcze mi o szronie i opadach śniegu. Jeszcze mamy czas, jeszcze jest jesień. Ale wkrótce... Owinąłem się ciaśniej opończą od jarla i pozwoliłem Naglfarowi płynąć w mgłę, a może nawet zasnąłem oparty plecami o stewę rufową i z rękami na drążku steru, bo to, co zobaczyłem tej nocy, musiało być senną wizją. Może to prawda, że bogini Hel wypuszcza czasami w noc zmarłych z Helheimu, pozwalając im wędrować przez głębokie doliny Niflheimu aż do krainy żywych.

– Oni ostrzegają – mówił mój ojciec. – Zapowiadają to, co się ma wydarzyć.

I zapowiedzieli coś tej nocy. Nie wiem, czy zobaczyłem ich we śnie, czy rzeczywiście ukazali się we mgle. Ale widziałem ich. Stali na lustrze wody uformowani z mgły. To byli Skrælingowie. Mężczyźni, kobiety i dzieci. Naglfar dryfował z prądem i wodami przyływu, żagiel luźno zwisał z rei. A umarli stali w milczeniu, w głębokim milczeniu, gdy statek przepływał obok.

Nie widziałem Eysteina wśród umarłych. Miałem jednak przecucie, że stoi tam z nimi, patrząc, jak dryfujemy po czarnym jak noc morzu.

Dryfowaliśmy przez mgłę cały następny dzień i jeszcze długo w nocy. Wreszcie pojawił się wiatr, rozwał chmury i zobaczyliśmy, że Gwiazda Polarna jest teraz przed dziobem statku. Mgła może zrobić coś takiego z tobą na morzu, że obierzesz całkowicie odwrotny kurs, nawet tego nie zauważając. O dziwo, ani knara Frøydis, ani statki jarla nie zdryfowały zbyt daleko od nas. Były na tyle blisko, że po zapaleniu pochodni odnaleźliśmy się wzajemnie; Frøydis była o kilka strzałów z łuku z tyłu,

a statki jarla tworzyły jedną linię na wschód od nas. Okazało się, że załogi powiązały statki linami biegnącymi od dziobu do rufy. Knarę umieściły na końcu szeregu, ciągnąc ją za sobą.

Przez dwie doby mężczyźni siedzieli przy wiosłach. Rankiem trzeciego dnia po wyjściu z mgły zobaczyliśmy na lądzie dym. Znajdowaliśmy się bardzo blisko zatoki, ląd przy ujściu rzeki porastał gęsty świerkowy las ciągnący się aż do wody. To między świerkami dostrzegliśmy dym. Winabave natychmiast do mnie podszedł. Powiedział, że raczej nie będzie tam więcej niż kilkaset osób. Mieszkają tam rybacy i myśliwi, a o tej porze roku większość mężczyzn ruszyła w głąb lądu na polowanie. Zawsze tak robili, to była ostatnia możliwość upolowania dużej zwierzyny, zanim podąży ona na południe.

Słyszałem od synów Torego Kalvsona, jak odważnie ich ojciec atakował Skrælingów tego ranka. Ci głupcy stali w mojej halli, opowiadając mi tę historię. Tak jakbym sam tam nie był.

Są chwile, w których życzyłbym sobie, żeby mnie tam nie było. Bolesna jest dla mnie myśl o nieszczęściu, jakie sprowadziłem na tamtejszy lud. Wtedy nie myślałem w ten sposób, bo byłem przepełniony nienawiścią; już wiedziałem, jak odzyskać Ravntora. Byłbym kłamcą, twierdząc, że stałem na pokładzie Naglfara i tylko się przyglądałem; że sam nie zszedłem na ląd, by grabić. Statki jarla pierwsze dobiły do brzegu, a jego ludzie wcale nie czekali na jomswikingów, tylko wbiegli między świerki ze strzałami na cięciwach. Przesunęliśmy skrzynie wiosłarskie o kilka długości ramienia do tyłu, żebyśmy szybko mogli się potem wdrapać na pokład i odpłynąć rufą do przodu, po czym wskoczyliśmy w głęboką do bioder wodę. Bjørn i ja mieliśmy na sobie skórzane kolczugi, w garści trzymaliśmy miecze jarla. I już byliśmy pomiędzy świerkami, słyszeliśmy wrzask kobiet i dzieci, i Torego Kalvsona, który krzyczał do swoich ludzi, że mają atakować, nie wahać się, tylko chwycić wszystko, co mogą unieść ze sobą. Usłyszałem też samego siebie, jak wołałem do Oracza, Halvora, Valpa, Islandczyków i pozostałych:

– Brać niewolników!

Upłynęło wiele lat, zanim opowiedziałem Sigrid, co zrobiliśmy tego ranka. Bjørn

twierdził, że to miecze jarla tak na nas podziały. Jakby rzucono na nie czar. Poruszaliśmy się między pniami drzew, pamiętam, że była mgła, ale najpierw zalegała nisko nad ziemią, sięgając nam tylko do kolan. Rozproszyliśmy się między drzewami, słyszałem samego siebie powtarzającego, że mamy brać niewolników, tylu, ilu da się schwytać. Potem usłyszałem jęk Tokego, szedł na prawo od Bjørna i ode mnie. W oku utkwiała mu strzała, ale nadal szedł, jakby nic się nie stało. Schowaliśmy się z Bjørnem za drzewami. Usłyszałem krzyk Torego Kalvsona, że mamy się kryć.

Zaatakowana osada była większa, niż przypuszczaliśmy. Między drzewami pojawiło się ze stu mężczyzn z łukami. Toke nadal szedł w ich kierunku, śpiewając donośnym, przeraźliwym głosem, który nagle umilkł, gdy trafiła go kolejna strzała. Wyciągnął długi nóż i dźgał wokół siebie, chociaż nie było tam żadnych Skrælingów, po czym upadł i skryła go mgła.

Odyn był z nami tego ranka. Życzył nam zwycięstwa i bogatych łupów. Skrælingowie ścigaliby nas i wielu zabiliby strzałami, zanimbyśmy odpłynęli, gdyby mgła nie zgęstniała. Zrobiła się zupełnie nieprzenikniona i to nas uratowało. Przywiał ją wiatr od morza i wkrótce Skrælingowie nie widzieli nas, a my nie widzieliśmy ich. Podeszliśmy bliżej, z bronią w rękę. Bjørn powiedział cicho:

– Trzymaj się blisko mnie, braciszku.

Nie spodobało mi się, że Bjørn nazywa mnie braciszkiem. To wywołało we mnie ukłucie wściekłości i dało siłę przy pierwszym uderzeniu. Jeden Skræling wyłonił się z mgły tuż przede mną. Łuk miał napięty, a strzałę w gotowości, ale ja najpierw zadałem mu cios w rękę trzymającą łuk, a potem z całej siły w kark. Usłyszeliśmy wycie i jęki bólu, dźwięki aż nadto mi znane. Wydawali je Skrælingowie, których ludzie jarla wybijali do nogi.

Wkrótce znaleźliśmy się między chatami. Były takie same jak na północy u ludu Epego, coś w rodzaju szałasów ze ścianami z kory. Jakaś kobieta z dzieckiem w ramionach z krzykiem przebiegła obok nas. Bjørn skoczył pomiędzy wiszące futra i zadał komuś cios, po czym znowu znalazł się przy mnie z mieczem mokrym od krwi. Zawołał na Frøydis, a ona odpowiedziała mu gdzieś z mgły. Szliśmy dalej, atakując każdego, kto nie ustępował nam z drogi, rozsiekałem mieczem jeszcze trzech mężczyzn. Bjørn ponownie znalazł się przy mnie, ciągnąc ze sobą półprzytomnego od

uderzenia chłopca.

– Bierzemy go – powiedział. – Ale potrzebujemy więcej takich.

Pewnie rozumiał, jaki mam plan. Wkrótce również mnie udało się uderzyć rękojeścią miecza w tył głowy jednego Skrælinga, niskiego mężczyznę z twarzą pomalowaną w linie bardzo podobne do tych, które miał Winabave. Pociągnęliśmy obydwu na plażę.

Mgła zalegała gęsto, kiedy wysuwaliśmy wiosła. Dobięły nas okrzyki z pozostałych statków. Bjørn znowu zawołał na Frøydis. Odkrzyknęła, że wróciła na pokład i że musimy odpłynąć. Sternicy wywołali imiona członków załóg i większość odpowiedziała, ale nie wszyscy. Sternicy zawołali wtedy w kierunku lądu i pewnie zeszliby po ludzi, którzy mogli tam leżeć ranni, gdyby nie głos Torego Kalvsona:

– Odwiązać cumy! Wysunąć wiosła! Wiosłować! Wiosłować!

Nie wiem, ilu zabiliśmy tego poranka, sami straciliśmy sześciu mężczyzn. Czy byli martwi, czy pozostali tam ranni, nigdy się nie dowiedziałem. Halvor i Rudde-Geir wzięli na pokład po jednym Skrælingu, tak samo jak Bjørn i ja. Frøydis i jej ludzie nikogo nie schwytali, ale załogi jarła schwytały kobietę i dziewczynkę. Zauważyliśmy je dopiero, kiedy popłynęliśmy dobry kawał na południe i wyszliśmy z mgły. Stały przywiązane do masztu na knarze jarła, ich widok sprawił mi ból. Bjørn powiedział, żebym patrzył w inną stronę, bo nic na to nie poradzę. Ale dręczyło mnie to. Nie zapomniałem dziewczyny pojmanej w niewolę razem ze mną, kiedy Ros i jego ludzie zabili mojego ojca. Nie zapomniałem, jak ją gwałcili, a potem upychali między beczki i skórzane toboły, skąd mogli ją ponownie wywlec i wykorzystać, kiedy tylko przyszła im ochota.

Oracz podszedł i położył mi swą olbrzymią łapę na ramieniu.

– Widzę, że jesteś zły – powiedział i przypomniał mi coś, co często mówił, jeszcze kiedy mnie szkolił w Jomsborgu. – Ten gniew... Wściekłość... Chwyta cię mocniej niż innych. Ale szal berserka to dar od samego Odyna, Torsteinie. Pamiętasz, jak ci to tłumaczyłem? Wszechojcu nie podoba się, jeśli niewłaściwie używamy tego daru.

Jego słowa poszły w zapomnienie jeszcze tego samego dnia, kiedy Rudde-Geir chwiejnym krokiem podszedł do Winabavego, wymierzając mu policzek. Mieliśmy

w żaglu sprzyjającą bryzę, a wiosła były wciągnięte, co zdawało się niezbyt fortunne, bo dopóki mężczyźni siedzieli przy wiosłach, nie bardzo mogli zająć się czymś innym. Islandczyk zaczął krzyczeć, że Skrælingowie zabili biednego Tokego, a wszystko przez Torsteinowego niewolnika, który mówił, że większość mężczyzn będzie w głębi łądu na polowaniu.

Wymierzył mu drugi policzek, zwalając ze skrzyni wiosłarskiej na pokład. Usiadł na Winabavem okrakiem i uderzył go w twarz, a potem chwycił za gardło. Ale nie udało mu się go udusić, bo złapałem Islandczyka za włosy i obróciłem na plecy, zadając kilka porządnych ciosów.

Bjørn, Halvor i Oracz przyskoczyli i odciągnęli mnie od Islandczyka. Oracz oplatał mnie długimi, mocnymi ramionami, obawiając się zapewne, że rzucę się na Rudde-Geira, gdy tylko mnie puści. Dwaj schwytani Skrælingowie siedzieli ze związanymi z tyłu rękami, patrząc na nas z przerażeniem.

Pozeglowaliśmy dalej. Bjørn stał przy wiosle sterowym, Oracz siedział z Islandczykami, nie spuszczając ze mnie wzroku. I dobrze, że pilnował mnie tego wieczora, bo przeżywałem męki. Wstąpiło we mnie jakieś szaleństwo, a Halvor i pozostali chętnie by mnie upili, gdybyśmy mieli piwo. Rozmawiali o tym, kiedy ja nie słyszałem, pytając Bjørna, czy byłem już taki jako chłopiec. Miał odpowiedzieć, że my, bracia Tormodsonowie, musieliśmy znosić wiele drwiących i obraźliwych słów od synów gospodarza, właściciela ziemi, na której mieszkaliśmy, a także od mieszkających w gospodarstwie dorosłych. On ochronił mnie przed większością z nich i groził laniem, jeśli mnie nie zostawią w spokoju. Bo prawdą jest to, co moi ludzie zaczęli podejrzewać: że miałem w sobie wściekłość berserka już od dzieciństwa.

Tej nocy odczuwałem niepokój. Raz po raz szedłem na dziób, a potem wracałem na rufę, przejmując drążek steru od Bjørna. O świcie zastąpił mnie Valp. Wskazałem na knarę jarla, płynącą o dobry strzał łuku na wschód od nas. Valp skierował tam statek i wkrótce podpłynęliśmy tak blisko, że mogłem zawołać do ludzi na pokładzie.

– Przekażcie nam branki!

Tore Kalvson stanął na tym o wiele wyższym od naszego statku, patrząc na nas

spode łba. Przeniósł się tu ze swojego skeida, zapewne chciał mieć branki na oku. Nie raczył odpowiedzieć, pokręcił tylko głową.

– Oddajcie je nam... – powtórzyłem. – Oddajcie, bo...

Wtedy dołączył do mnie Bjørn.

– Damy wam za nie futra!

Mój brat był mądrzejszy ode mnie. I chociaż na polu bitwy był twardym wojownikiem, nie był berserkiem. Dlatego potrafił klarownie myśleć w chwilach, kiedy ja tego nie potrafiłem. Teraz pomyślał, że Tore Kalvson raczej nie odda pojmanych tak po prostu. To zaszkodziłoby zarówno jego renomie, jak i sławie pośmiertnej. Zupełnie inną rzeczą była wymiana branek na futra. I chociaż nasza załoga nie zrabowała tyle futer, żeby ich wartość odpowiadała cenie, za jaką dwie niewolnice można było sprzedać na targu na wschodzie, zrobił tak, jak zaproponowaliśmy. Może tego nie okazywał, ale obawiał się mnie. Jarl opowiedział jemu i wszystkim pozostałym, którzy z nami popłynęli, jak w czasie bitwy przedarłem się naprzód i zadałem Olafowi Tryggvasonowi tak silny cios w ramię, że głowica topora zatrzymała się na klatce piersiowej. Powiedział im, że jeśli dojdzie do bitwy, mają się trzymać ode mnie z daleka, bo może i sam był ulfhednarem i dlatego się go obawiano, ale berserk łatwo może postradać rozsądek, atakując i wrogów, i sprzymierzeńców.

Dwie branki miały związane z tyłu ręce, do których przywiązano teraz długie sznury. Tore kiwnął, żebyśmy podpłynęli bliżej. Valp podpłynął tak blisko, jak się dało, po czym Tore przerzucił do nas sznury. Branki zostały przełożone przez nadburcie. Valp oddalił wtedy nieco statek od knary, żeby ruch morza nie zderzył ze sobą kadłubów, które zmiażdżyłyby kobiety, i zaczęliśmy je przeciągać, kawałek po kawałku, aż znalazły się na naszym pokładzie.

Sigrid powiedziała mi pewnego razu, że uratowałem te dwie. Uratowałem je, tak jak kiedyś uratowałem ją. Była dla mnie taka dobra. Zawsze używała łagodnych słów i nigdy mnie nie osądzała za moje okrucieństwa.

– Potrzebujemy ich więcej – powiedziałem Bjørnowi później tego dnia, a on skinął głową. – Chcę wypełnić nimi statki – dodałem, a Bjørn spojrzał zmrużonymi oczami

na pozostałe jednostki płynące dalej od brzegu niż my.

Nie powiedziałem, co mam zamiar zrobić z pojmanymi, ale mój brat się domyślał. Ponieważ tej nocy czuwaliśmy, usiedliśmy oparci plecami o nadburcie. Ruch morza był tak silny, że zaklinowaliśmy się między dwoma skrzyniami wiosłarskimi. Być może od razu zapadłem w sen, bo kiedy się ocknąłem, usłyszałem dźwięk oselki ocieranej o stal. Oracz siedział obok mnie, ostrząc swojego duna. Bjørn spał pod skórą zwierzęcą.

Przyglądałem się, jak Oracz ostrzy topór. Zdecydowanymi ruchami przeciągał oselką wzdłuż krawędzi, od czasu do czasu spluwał na stal i znowu przeciągał oselką po wygiętym ostrzu.

Opowiedziałem mu o ataku na Wyspę Reniferów, o tym, jak walczyłem ze Skrælingami w szopie na łodzie, i o Kåre Skanijczyk, któremu odrąbano rękę. Walczyłem z nimi toporem, który kazał mi wykuć w Jomsborgu, a potem ocknąłem się w płonącym długim domu. Ulfar Oracz nic nie powiedział, ale nagle zatrzymał oselkę na ostrzu topora, a z jego piersi wydobył się jakby warkot. Potem kontynuował ostrzenie.

Poruszaliśmy się wzdłuż wybrzeża na południe. Znowu wiatr wiał od rufy, fale nie były zbyt wysokie, nawet prądy morskie nam sprzyjały. Bardzo mi było żal jeńców, ale nikomu o tym nie mówiłem. Bratu powiedziałem, że gdy tylko zobaczymy kolejną osadę, zejdziemy na ląd i pojmiemy ich więcej, najchętniej zapełniłbym nimi wszystkie pokłady.

Winabave rozmawiał z dwoma brankami, które przeniesiono z knary do nas. Płakały, bojąc się, że je zgwałcimy, a potem porąbiemy żelaznymi toporami i zjemy ich wnętrzności. Słyszały, że tak robimy. Jesteśmy „wilkami z morza” i polujemy na ludzi, tak jak inne ludy polują na zwierzęta. Poprosiłem Winabavego, by im przekazał, że nie muszą się bać, nie zrobimy im krzywdy. Nie jemy ludzi, powiedziałem. Ale to było przecież kłamstwo.

Wkrótce znowu wiosłowaliśmy w kierunku lądu. Znajdowaliśmy się teraz przy ujściu rzeki, młody brzozowy las ciągnął się aż do wody. Bjørn i ja weszliśmy ramię w ramię

do wioski Skrælingów. Tutaj nie wyszli nam na spotkanie łucznicy, mężczyzn niemal nie było widać. Kobiety rzuciły się do ucieczki, zobaczywszy statki, zostało tylko kilku starców, a oni kiepsko nadawali się na niewolników, stwierdził Tore. Przyjrzał się śladom w błotnistej ziemi i wysłał tym tropem kilku najmłodszych mężczyzn, którzy puścili się biegiem między pnie brzoź.

Ludzie jarła gruntownie splądrowali wioskę. Poprosiłem Torego Kalvsona, żeby zostawili jedzenie i skóry zwierzęce, bo wiedziałem, jak ostra może tu być zima, lecz on się tym nie przejmował. Jego ludzie zebrali wszystkie kosze z zapasami, jakie znaleźli, i postawili na podwórzu na środku wioski, myśląc pewnie, że jest w nich zboże. Ale Skrælingowie zbierali orzechy i suszyli jagody. Ludzie jarła znaleźli takich koszy piętnaście. Zgromadzili też skóry fok i jelenia tak miękkie, że według Torego mogły nawet odziać nałożnice Eirika.

Czekaliśmy na statkach przez resztę dnia i przez noc. Rankiem wrócili ludzie, których Tore posłał po śladach. Mieli ze sobą pięć kobiet i chłopca. Zszedłem na ląd razem z Bjørnem, Halvorem, Oraczem, Valpem i Winabavem. Przybrałem surowy wyraz twarzy, wołając do Torego, że brańcy muszą trafić do mnie. O dziwo, kiwnął głową, odpowiadając, że mogę się z nimi męczyć i ich karmić, jeśli taka moja wola. Wzięliśmy ich na pokład. Jedna z kobiet, tak niskiego wzrostu, że sięgała nam mężczyznom ledwo do piersi, dygotała, a kiedy sadzaliśmy ją przy maszcie razem z innymi, po jej udach spłynął mocz. Rudde-Geir zaśmiał się wtedy, co natychmiast sprowokowało mnie do ciosu i uderzyłem go w czoło. Zrobił dwa kroki w tył, potknął się na jednej ze skrzyń wioślarskich i upadł na plecy. Bjørn chwycił mnie za ramię, mówiąc, żebym dał spokój.

– Posadź ludzi do wiosła – powiedział. – Płynmy dalej.

Dzień po ograbieniu drugiej wioski pogoda się zmieniła. Na morzu panowała cisza, świeciło słońce, a mimo to było zimno. Bjørn spojrzał na mnie z tą dobrze mi znaną zmarszczką między brwiami, przypominającą szczerbę w skórze. Świadczyła o tym, że jest zmartwiony. O kilka strzałów z łuku od nas na brzegu przesuwał się jesienny las, w którym klony miały czerwone i złote liście.

– Zdążymy – usłyszałem, jak mamrocze do siebie. – Musimy zdążyć.

Tego wieczora nie zeszliśmy na ląd. Płynęliśmy dalej. Snu nie zaznałem, a Bjørn zdecydował, że będzie czuwał razem ze mną. W ciemnościach słyszeliśmy płacz chłopca. Najchętniej podszedłbym do niego, obiecując, że wszystko będzie dobrze, ale zamiast tego usłyszałem własne warknięcie, że ma być cicho.

Później tej nocy od lądu zaczęło pełznąć zimno. Kiedy przyszedł ranek, pokład pokrywał szron.

Mówią, że splądrowaliśmy i ograbiliśmy cztery wioski na północ od Patuxetu. Na swój sposób jest to prawda, ale kiedy ponownie zeszliśmy na ląd, również tę wioskę zastaliśmy opuszczoną. Skrælingowie porzucili chaty z kory, paleniska były jeszcze letnie, ale wyłożyli przed jednym z długich domów materiały na łuki, wiązki futer, czarne kamienie i piękne ozdoby zrobione z muszli i pereł. Wiem, że powiadają, że Tore znów chciał posłać ludzi na poszukiwania Skrælingów, a ja mu tego zabroniłem. W chwilach słabości, kiedy moje dzieci pytały mnie o grabieże tam na zachodzie, tak im mówiłem. Jednak w rzeczywistości to ja poprosiłem Torego, żeby wysłał ludzi na połów niewolników, a Tore odmówił. Uważał, że lepiej zabrać ze sobą łupy, natomiast z łowieniem niewolników poczekać. Nie wiemy jeszcze, jakie łupy zdobędziemy na południu we wspaniałym mieście Skrælingów, o którym opowiadałem; najlepiej, żebyśmy teraz zrabowali dużo jedzenia, które da się długo przechować. Tak, poczekajmy z łowieniem kolejnych niewolników, aż będziemy wiedzieli, ile jedzenia zostało nam na podróż powrotną. Wezwałem Torego i Frøydis na swój pokład na naradę, mówiąc im, że ten, kto nie łowi niewolników, nie bierze udziału w podziale łupów. Tore nadął się, stanął z rękami nieco odsuniętymi od ciała, wielka broda opadała mu na klatkę piersiową, z krzywego nosa wydobywał się świst. Nie podobało mu się, kiedy ktoś go pouczał czy przywoływał do porządku.

– Nie wiedziałem, żeś taki chciwy na niewolników – zamruczał. – Ale skoro tak ci się do nich pali, możemy ich trochę nałapać.

Nie wyjawiałem im swoich planów, choć wydaje mi się, że przynajmniej Frøydis je rozumiała. Nie spuszczając ze mnie wzroku, kiwnęła milcząco głową, a potem podeszła do mojego brata, wciskając się mu pod ramię.

Już następnego ranka dotarliśmy do kolejnej osady. Na plaży nie było Skrælingów, panowała całkowita cisza. Szliśmy ze strzałami na cięciwach łuków między pniami klonów, do których nadal tuliły się zwiędłe łodygi fasoli, pod stopami chrzęścił szron i klonowe liście. Znowu towarzyszyła nam mgła, tym razem lodowato zimna, taka, która lepi się do skóry i włosów, zamarzając na lód. Pamiętam, że tak jak przedtem, Bjørn i ja szliśmy obok siebie, ale tym razem była z nami Frøydis. Miała dwie strzały między palcami ręki trzymającej łuk i jedną na cięciwie. Kiedy strzały Skrælingów zaczęły nadlatywać między pnie drzew, podniosła łuk i wystrzeliła obie strzały tak szybko, że Bjørn i ja ledwo posłaliśmy po jednej, a ona już sięgała do kołczana po kolejne.

Dobrze walczyliśmy tego ranka. Wioska, do której przybyliśmy, okazała się o wiele większa od pozostałych, a Skrælingowie nie mieli zamiaru oddać jej bez walki. Po drugiej stronie klonowego lasu było już wykarczowane miejsce na więcej długich domów, gdzie czekała na nas z setka mężczyzn. Natychmiast zabili pięciu ludzi Torego i zranili szóstego, wił się ze strzałą w brzuchu niedaleko Bjørna, Frøydis i mnie. Tore posłał połowę swoich ludzi rozproszonym łukiem wokół wioski; ci skoczyli łucznikom Skrælingów na plecy. Wtedy my chwyciliśmy za miecze i topory, ruszając na nich.

Bjørn, Frøydis i ja zarębaliśmy dwunastu mężczyzn w pobliżu stojących najbardziej na peryferiach długich domów i chociaż często mówię, że wszystko wydarzyło się jak w oszołomieniu, bo pochwycił mnie szal berserka, pamiętam każdą śmierć, jaką zadałem tego dnia.

Jak już wspominałem, mnisi nazwali mnie złym człowiekiem za to, co zrobiłem na zachodzie. Ale ja miałem gotową odpowiedź dla każdego, który wypowiadał te słowa potępienia w mojej halli. Wstawałem z siedziska wodza, pytając mnicha, czy ma dzieci, wiedząc, rzecz jasna, że jest bezdzietny; oni wszyscy są bezdzietni.

– Więc powinieneś się raczej zamknąć – mówiłem. – Bo gdybyś był mężczyzną i ojcem, zrozumiałbyś, że nie ma takiej rzeczy, której byś nie zrobił, żeby odzyskać syna.

I tak było. Kiedy szliśmy na Skrælingów z mieczem jarla w dłoni, ja, mój brat i Frøydis, nie było litości. „Brać jeńców! Brać jeńców!” Słyszałem, jak mój głos,

gruby i ochryply, przedzierał się przez ciszę poranka. Dotarliśmy do długich domów. Wówczas Skrælingowie zrobili coś dziwnego. Puścili swoje łuki i wetknęli pochodnie pod okapy domów. Frøydis, uzbrojona w ręczny topór i długi saks, rzuciła się przed Bjørna i mnie, wbijając topór w ramię wymalowanego Skrælinga, który właśnie miał rzucić w nas włócznią. Potem dźgnęła go saksem w gardło. Bjørn zawołał, że ma iść za nami, ale Frøydis go nie słuchała, więc pospieszyliśmy za nią, weszliśmy na podwórze obok długich domów. Dostrzegliśmy Valpa, który po upadku opierał się na kolanach i łokciach, a nad nim stał Skræling gotowy do zadania ciosu maczugą. Wtedy przyskoczył do nich Oracz, chwycił duna za koniec drzewca i zakręcił nim szerokim łukiem. Głowica topora trafiła Skrælinga w kark, odcinając mu głowę, a ciało upadło na plecy Valpa. Oracz natychmiast je odrzucił na bok i pociągnął Valpa za ramię; syn jarła miał długą ranę tuż pod nasadą włosów, ciekła z niej krew.

W wiosce znajdował się duży plac, długie domy były ustawione wokół w kręgu, ścianami szczytowymi w stronę placu. Tutaj zarabaliśmy kilku Skrælingów, walczyli zwróceniem plecami do siebie, do końca ochraniając kilka kobiet i dwoje dzieci. Podszedłem do nich, zabijając jednego Patuxeta ciosem jarlowego miecza. Kobiety razem z dziećmi zostały przyciśnięte do ziemi, podczas gdy my krępowaliśmy im ręce. Byłem wśród tych, którzy to robili. Pamiętam, że oczy mnie piekły, a Bjørn zapytał, czy jestem ranny, bo płakałem. Wtedy podeszła Frøydis, odciągając go ode mnie.

Oracz, Tore Kalvson, Halvor i ja zajęliśmy się pojmanymi. Żaden z mężczyzn Skrælingów nie przeżył, w każdym razie żadnego nie znaleźliśmy. Mieliśmy za to osiem kobiet i dwoje dzieci. Wszystkie płakały i jęczały, a Tore zamruczał skwaszony, że powinien być tutaj z nami niewolnik Skræling, który powiedziałby im, żeby były cicho. Winabave został na pokładzie Naglfara.

Bjørn, Oracz i ja pilnowaliśmy jeńców, a reszta załóg plądrowała wioskę. Z długich domów i leżących wokół chat wynieśli kosze i dzbany. Znajdowały się w nich suszone korzenie i zioła, orzechy i różnokolorowe ziarna zboża, które przedtem widziałem na olbrzymich kłosach wokół Patuxetu. Według Torego były to cenne łupy, bo nie będzie czasu na polowanie przed podróżą na wschód, jeśli chcemy zdążyć do domu przed

nastaniem zimy.

Halvor zabandażował czoło Valpowi jednym ze swoich owijaczy na nogi. Oracz, klnąc, pomacał głownię topora. Obluzowała się, trzeba będzie wbić nowy klin i to najwyraźniej bardzo zepsuło mu humor. Wzięliśmy ze sobą wszystko, co daliśmy radę unieść, i poprowadziliśmy schwytane kobiety i dzieci tą samą drogą, którą przyszliśmy. Kiedy weszliśmy między klony, jedna z dziewcząt próbowała rzucić się do ucieczki, ale Tore krzyknął, jeden z jego ludzi pobiegł za nią i wkrótce pochwycił, uderzył w twarz i powlókł z powrotem do nas.

Byliśmy mniej więcej w połowie drogi między wioską i plażą, gdy nadbiegł Winabave.

– Statki! Podpalają statki!

Puściliśmy jeńców, ruszyliśmy biegiem i natychmiast się przekonaliśmy, że jest tak, jak mówi. Statki były otoczone skórzanymi łodziami, na pokładach roило się od Skrælingów. Weszli na skeidy i Naglfara, a z wnętrza knar wydobywał się gęsty dym. Kiedy znajdowaliśmy się na skraju lasu, maszt na knarze jarla złamał się, wpadając do morza razem z reją i żaglem, a Skrælingowie podnieśli topory nad głowę, szczekając i wyjąc jak psy.

Tore Kalvson nie wydał żadnych rozkazów swoim ludziom, tylko zaryczał. Skierował miecz w stronę Skrælingów i statków i ruszył biegiem. Wszyscy ludzie jarla rzucili się za nim.

My nie byliśmy gorsi. Skeidy i Naglfara jak zwykle wprowadziliśmy dziobem na ląd, a knary były zakotwiczone o rzut kamieniem dalej. Skraelingowie szyli w nas strzałami i gdybyśmy się opamiętali, pozostałibyśmy między drzewami, robiąc to samo. Jednak oni teraz zabierali się do wypalania dziur w naszych statkach, a myśl o utknięciu w krainie Skrælingów bez statków przerażała nas o wiele bardziej niż strzały. Tore Kalvson stracił sześciu ludzi, zanim dotarł do statków, Rudde-Geir został trafiony w ramię, lecz to go nie zatrzymało. Zawołałem, że musimy strzelać z łuków, osłaniając naszych, aż pierwsi z nich dostaną się na pokład. Sam znajdowałem się wśród tych, którzy stali z łukami, nigdy przecież nie byłem dobrym biegaczem. Bjørn pierwszy wbiegł na pokład Naglfara, a ja uratowałem go przed Patuxetem, który zamierzał zadźgać go włócznią. Moja strzała trafiła Skrælinga prosto w czoło.

Kiedy dotarłem do Naglfara, większość pokładu była już oczyszczona. Trzech martwych Patuxetów leżało na dziobie, czwarty siedział oparty plecami o nadburcie z rękami na brzuchu. Miał ranę, z której wylewały się jelita. Chwyciłem go za ramię i gardło, podniosłem i wrzuciłem do wody, nie mogąc znieść jego widoku. Potem poszedłem na rufę, bo pozostali przy życiu Patuxetowie wycofali się do stewy rufowej, ale Bjørn, Halvor i Valp zarębali ich, zanim zdążyłem tam dotrzeć.



30

Rzeź

Zostawiliśmy knary w pobliżu wioski. Obydwie miały przecięte sztagi i fały, Skrælingowie ścięli maszt na statku Torego i w połowie przerąbali maszt w knarze Frøydis. Pamiętam, że był wczesny ranek, kiedy rzuciliśmy kotwicę, i że Bjørn, Frøydis i Winabave stali ze mną na rufie. Bjørn przeliczył powiązanych jeńców pod masztem. Kobiety i dzieci uprowadzone z wioski uciekły, gdy pobiegliśmy do naszych statków. Udało nam się jednak pochwycić kilku wojowników Patuxetów, teraz na pokładzie mieliśmy ich siedmiu. Kiedy odpływaliśmy, było dziesięciu, ale trzech wykrwawiło się na śmierć pierwszej nocy. Na skeidach mieli razem szesnastu jeńców, również samych mężczyzn. Dobrze, że się tak stało. Byłoby nikczemnością zrobić to, co miałem zrobić, z kobietami. Chociaż i tak bym to zrobił.

Wiosłowaliśmy na południe, na pokładzie panowała cisza, niewiele padało słów. Mężczyźni siedzieli na skrzyniach, kołysząc się w rytm ruchów wiosel. Pamiętam odgłos stukania, kiedy Oracz wbijał żelazny klin u góry w drzewce topora, dźwięk fal ocierających się o dziób statku i wiosel zagarniających wodę. Poza tym było cicho.

Nawet mijany ląd, przesuwał się za burtą złociste lasy klonowe i parujące w jesiennym chłodzie płycizny połyskujące wodorostami i muszlami były nieme.

Z wioski było już niedaleko do Patuxetu. Wiosłowaliśmy przez cały dzień, a na noc wypłynęliśmy nieco dalej w morze, bo według Winabavego znajdowaliśmy się już blisko i istniało niebezpieczeństwo, że będąc w pobliżu brzegu, zostaniemy zauważeni. Dlatego noc spędziliśmy na morzu i pamiętam, że to była noc bez gwiazd. Taka, kiedy morze i niebo zlewają się w jedną wielką ciemność, a ty masz wrażenie unoszenia się w otchłani Ginnungagap. O świcie włożyliśmy wiosła w wodę i popłynęliśmy na południe, mając wybrzeże po prawej stronie, aż do momentu, gdy Winabave stwierdził, że teraz jesteśmy już naprawdę bardzo blisko.

Najchętniej dopłynąłbym statkami do brzegu już tego samego wieczora. Ale nierozsądne było zbliżyć się do wroga o tej porze. Ruszaj do walki rano i podnoś kufle wieczorem, mówią. I chociaż miałem nadzieję, że nie dojdzie do walki, pozwoliłem statkom dryfować przez jeszcze jedną noc w kierunku otwartego morza. Dotarliśmy tak daleko na południe, że rozciągnięty półwysep koło Patuxetu chronił nas przed falami. Mając bezwietrzną pogodę i zachmurzone niebo, znowu unosiliśmy się w wielkiej otchłani Ginnungagap, a ja nie mogłem zaznać spokoju ani wytchnienia. Kazałem, tak jak poprzedniej nocy, zostawić płonąca pochodnię na dziobie, żebym mógł pilnować jeńców. Bez nich wszystko byłoby stracone.

Wreszcie słońce znowu wzeszło i wszyscy wiedzieliśmy, że nadeszła decydująca chwila. Powiosłowaliśmy w kierunku lądu i wkrótce naszym oczom ukazała się równina nad morzem. Ujrzyliśmy długie domy i drewniane rusztowania przeznaczone do suszenia ryb. Rzuciliśmy kotwice w tym samym miejscu co poprzednim razem. Rusztowania były puste, ludzi też nie było widać. Zacząłem pocierać językiem bliznę w ustach, tam gdzie wbito mi hak.

– Zatem wiedzieli, że się tu zjawimy – powiedział Bjørn. – Ale o to chyba chodziło. Teraz się nas boją. Wiedzą, do czego jesteśmy zdolni.

Było jeszcze wcześniej, domy rzucały długie cienie na równinę. Za nimi znajdował się klonowy las. Szumiały liście poruszane lekkim wiatrem od morza.

Oracz zbliżył się do nas, usiadł bokiem na nadburciu, kładąc rękę na głowicy

topora.

– Nie podoba mi się to – stwierdził Halvor. – Jest za cicho. Pewnie stoją między drzewami, gotowi szyc do nas z luków.

– Róg – rzekłem, wskazując głową kozi róg wiszący u pasa Oracza. – Zadmij w róg. – Poszedłem na dziób i zawołałem w stronę skeida Torego, że oni również mają zadać w rogi. Musimy wywabić Patuxetów z tej twierdzy.

– Oni nie są głupi – powiedział Bjørn, kiedy wróciłem do mężczyzn na rufę. – Chcą, żebyśmy zeszli na ląd i znaleźli się na otwartym terenie.

Prawdopodobnie miał rację. Mimo to zadaliśmy w rogi, chociażby po to, żeby wystraszyć Patuxetów chroniących się za drewnianą palisadą. Tore zawołał do nas, czy miasto, o którym tak pięknie opowiadałem, rzeczywiście istnieje, bo on widzi tylko jeszcze jedną wioskę Skrælingów.

Nie odpowiedziałem. Halvor miał rację, w środku było zbyt cicho. Musieliśmy czekać, mając nadzieję, że Skrælingowie zobaczą jeńców i to ich wywabi.

Ale słońce wspinało się coraz wyżej, ranek przeszedł w dzień, a Patuxetowie się nie pokazali. I wtedy usłyszałem swój głos, tak szorstki i pełen złości, że nie mogłem uwierzyć, że to ja.

– Ten. – Wskazałem na jednego z jeńców siedzącego z pochyloną głową obok pozostałych. Na tułowi miał podobne koła i linie co Winabave. – Wciągnijcie go.

Oracz, Halvor i Bjørn chwycili go i obwiązali mu liną klatkę piersiową. Potem podciągnęli go do góry, tak że zawisł nad pokładem. Nie pamiętam, czy kazałem ludziom go torturować, czy oni zrozumieli, że nie mamy innego wyjścia. Skræling musi krzyczeć. Halvor wyciągnął przytroczony do pasa nóż i przyłożył go Patuxetowi do brzucha. Może miał nadzieję, że to wystarczy, ale ten nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Wtedy Halvor ciężko westchnął i zaczął ciąć. Najpierw zrobił nacięcie w poprzek brzucha, potem na plecach, tak jak nacina się skórę foki, żeby zrobić z niej linę; poprowadził nóż wokół całego ciała i wtedy Patuxet zaczął krzyczeć tak głośno, że z kamieni leżących na płyciźnie zerwały się mewa.

Halvor nie ciął głęboko. Ale nóż okrążył ciało Skrælinga dwukrotnie, a Halvor ciął powoli, chcąc, żeby to długo trwało. Nie spuszczaaliśmy oka ze skraju lasu, ale nadal nikogo nie mogliśmy dostrzec.

Opuściliśmy Skrælinga na pokład. Znad morza zaczęła wiać lekka bryza. Statki obróciły się i teraz stały na wodzie rufami zwrócone do lądu, a dziobami skierowane na wschód.

– Chyba nikogo tam nie ma – powiedział Bjørn. – Ta warownia, o której wspominałeś... Myślę, że to do niej się wycofali. Musimy wziąć jeńców na ląd i ich pokazać.

Skinąłem głową. Miał rację. Musieliśmy pokazać Patuxetom, co się stanie, jeśli nie oddadzą Ravntora.

I nagle jakby sam Wszechojciec chciał, żebyśmy podjęli walkę, bo usłyszeliśmy coś przypominającego dęcie w róg. Tyle że płynące w stronę lądu tony rogów były dźwięczne, a ten dźwięk przypominał żalną skargę. Już kiedyś go słyszałem. Oni dęli w muszle, ale dźwięk nie dochodził ze skraju lasu, tylko z miejsca leżącego o wiele dalej z tyłu.

– To nie może zbyt długo trwać – rzekła Frøydis. – Po zmroku nie powinno nas już tutaj być.

Miała rację. Pod osłoną ciemności Skrælingowie mogli wypłynąć łodziami i wdrapać się na nasz pokład. I czy przypadkiem nie wiało coraz bardziej? Tore Kalvson zawołał do nas, że nie lubi atakować wybrzeża przy wietrze wiejącym od morza. Jeśli jeszcze się wzmoże, możemy mieć trudności z szybką ucieczką. Powinniśmy powiosłować trochę bardziej na północ, stwierdził. Tam poczekamy, aż wiatr zmieni kierunek.

Jak to dobrze, że Tore Kalvson był takim chciwym i żądnym łupów człowiekiem, myślałem sobie później. Gdyby był rozsądny, kazałby załogom podnieść kotwice, a sternikom zwrócić dziobnice na północ. Odpowiedziałem mu:

– Nie jesteś chyba tchórzliwym nędznikiem, Tore? Zaatakujmy teraz!

Na jarlowych skeidach nikt mi się nie sprzeciwił. Na pokładzie Naglfara też nie. Możliwe, że byłem zbyt młody, by zrozumieć, że dla mężczyzn na pokładzie jestem nie tylko hovdingiem; stałem się też kimś, komu trudno się sprzeciwić. Byłem Torsteinem Tormodsonem, jomswikingiem i berserkiem, zabójcą Olafa Tryggvasona. Nawet mój brat nie odważyłby się przeszkodzić mi w dokończeniu tego, co zacząłem.

Podnieśliśmy kotwice i obróciliśmy statki rufą do brzegu. O trzy długości kadłuba

od płycizny znowu rzuciliśmy kotwice. Potem poprowadziliśmy napiętą linę od stewy rufowej do kilku kamieni leżących na płyciźnie i brodząc, zesliśmy na ląd. Podziurawiliśmy leżące tam skórzane łodzie, spuściliśmy jeńców z rufy i wprowadziliśmy na plażę. Na każdym statku zostało po pięciu mężczyzn, mieli odciąć cumy, podnieść kotwice i wypłynąć na głęboką wodę, gdyby Skrælingowie przekradli się obok nas i zaatakowali statki. Jeńców pilnowało kilku ludzi Torego, a my szykowaliśmy się do walki; Bjørn i ja założyliśmy sobie wzajemnie kolczugi i zapięliśmy pasy z mieczami, wzięliśmy też tarcze, topory, łuki i pełne kołczany. Tore i jego ludzie chyba przeczuwali, że to nie będzie zwykły grabieżczy atak na wybrzeże. Nie tylko przygotowaliśmy statki do ucieczki i zabraliśmy jeńców na ląd, ale też pewnie po Bjørnie, mnie i innych z mojego bliskiego otoczenia było widać, że przygotowujemy się do walki. Mieliśmy chmurny wzrok i pobielające kostki u rąk, powiedział mi później Winabave, mając na myśli to, że wyglądalibyśmy na zdecydowanych przeprowadzić plan, nic nie mogło stanąć nam na przeszkodzie.

Tore Kalvson podszedł do mnie, pytając, co zrobimy, jeśli Skrælingowie zgodzą się na moje żądania. Nie ma zamiaru oddawać jeńców, zabierze ich do jarla jako niewolników.

– Musisz ich zmusić, żeby najpierw posłali po twojego syna – dodał. – Jak tylko dostaniesz chłopaka, zabieramy jeńców na statki z kilkoma ludźmi. Potem atakujemy.

Skinąłem głową i usłyszałem, jak mówię, że nic Skrælingom nie jestem winien – ani mówienia prawdy, ani dotrzymywania obietnic. Kiedy tylko odzyskam Ravntora, zabiorę go na Naglfara, a Tore i jego ludzie mogą plądrować, grabić i robić z jeńcami, co im się podoba. Tak mu powiedziałem. Ale nie powiedziałem, że sam nie wezmę udziału w grabieży. Chciałem wypłynąć Naglfarem i poczekać w bezpiecznej odległości od lądu, aż ludzie jarla wrócą. Frøydis została na pokładzie, miała utrzymywać statek w gotowości do ucieczki.

Wiatr towarzyszył nam do klonowego lasu. Cały czas obserwowaliśmy drzewa, ze strzałami na cięciwach łuków. Tu nie było Skrælingów, więc szliśmy dalej między drzewami, a jesienne liście wirowały wokół nas. Wkrótce dotarliśmy do pola uprawnego, na którym szeleściły kłosa. Przeszliśmy szeroką ścieżką przez

wzniesienie, tam gdzie przedtem prowadzili mnie jako jeńca, nagiego i upokorzonego, i stąd może zobaczylibyśmy umocnienia, gdyby kłosa zboża, sięgające nam dobrze ponad głowę, nie otaczały nas tak gęsto.

Kiedy wreszcie znaleźliśmy się na skraju pola i weszliśmy na otwarty plac przed palisadą Patuxetu, Tore odwrócił się do mnie.

– Przerąbamy się przez nią. Twierdza jest po drugiej stronie?

Odpowiedziałem, że to, na co teraz patrzy, to właśnie jest twierdza. Miasto jest tak duże, że palisada wygląda jak prosta zaporą postawiona na równinie przed nami, ale jeśli poszłoby się wzdłuż niej, po pewnym czasie odkryłoby się, że tworzy zakole i otacza zabudowania jak każdy inny miejski mur. Tore chwycił się za kark, a jego twarz przybrała zmartwiony wyraz. Nie tak sobie to wyobrażał.

– To duża twierdza – wymamrotał. – Dobrymi wojownikami jesteśmy. Ale to tutaj... Ilu ludzi mają w środku?

Nie odpowiedziałem. Obróciłem się do mężczyzn za mną.

– Dajcie jeńców do przodu – powiedziałem.

Zmusiliśmy ich, żeby uklękli mniej więcej o strzał z łuku od palisady. Teraz dostrzeżliśmy oczy w szparach między palami i usłyszeliśmy głosy. Nagle nad palisadę wychyliła się czyjaś głowa. Rozpoznałem ją. To był sachet. Miał na głowie tę samą ozdobę co ostatnio, ze złotą płytką na czole. Kruszec jasno błyszczał w słońcu. Sachet zawołał coś do nas, a obok niego pojawił się inny mężczyzna i zadał w konchę. Potem zaczął wymachiwać pięścią i wyrzeszczał jeszcze kilka słów. Tore Kalvson podszedł do mnie, pytając, czy to złoto błyszczy na czapce Skrælinga, który tam stoi i się wydziera. Kiwnąłem głową.

– Więc każ swojemu niewolnikowi przekazać żądania – powiedział. – I powiedz im, że mają nam oddać złoto, jeśli nie chcą, żebyśmy zaszlachtowali jeńców na ich oczach.

Teraz do przodu wystąpił Bjørn z Winabavem. Skræling trząsł się, niemal nie mając odwagi podnieść wzroku. Kazałem mu przekazać sachetowi, że ma natychmiast wysłać na zewnątrz Ravntora, w przeciwnym razie zabijemy wszystkich jeńców. Winabave wciągnął powietrze i zamknął oczy, jakby nie miał odwagi patrzeć na sacheta, przedstawiając nasze żądania. Ale jego głos był czysty i donośny, wiatr

poniósł słowa do sacheta i pozostałych wojowników, którzy wychynęli zza przedpiersia.

Sachet zwrócił się do jednego z nich, widziałem, że wymienili kilka słów. Potem podniósł pięść i zaczął wrzeszczeć.

– Mówi, że mamy się stąd zabierać – powiedział Winabave. – Mówi, że... twój syn... jest ich własnością. Mówi, że wszyscy ludzie morza mają płynąć z powrotem tam, skąd przybyli.

Mężczyźni, którzy widzieli mnie tego dnia, twierdzą, że opanował mnie szał berserka, ale to nieprawda. To strach zmusił mnie do zrobienie tego, co zrobiłem. Chwyciłem jednego z jeńców, wywlokłem go przed pozostałych i podniosłem miecz.

– Oddaj mi mojego syna!

Sachet skrzyżował ramiona na piersi i zawołał coś do nas.

– Mówi, że mamy stąd iść – rzekł Winabave. – Mówi, że zabiją twojego syna, jeśli nie odejdziemy.

Upuściłem miecz na kark jeńca. Ostrze wbiło się głęboko, był martwy, zanim upadł na ziemię. Zrobiłem krok do tyłu i znowu podniosłem miecz.

– Oddaj mi go! W przeciwnym razie zarąbiemy was wszystkich bez wyjątku i spalimy wszystkie domy w mieście!

Sachet wymienił kilka słów z innym Patuxetem, starym mężczyzną o siwych, rzadkich włosach powiewających na wietrze. Pojawiła się też na górze starucha, którą zapamiętałem z poprzedniego razu. To ona jest wodzem, mówił mi wtedy Winabave.

Bjørn i Oracz podnieśli jeszcze jednego jeńca.

– Winabave – powiedział Bjørn. – Powiedz im to jeszcze raz. Powiedz, że zabijemy ich wszystkich i doszczętnie spalimy miasto, jeśli nie zrobią, tak jak mówimy. –

Skræling skinął głową, a potem powtórzył słowa Bjørna. Ani sachet, ani kobieta nie raczyli odpowiedzieć.

– Ja im pokażę – mruknął Oracz i rzucił jednego jeńca na ziemię przed nami. Był to bardzo młody chłopak. Postawił stopę na jego brzuchu i toporem szybko odrąbał mu rękę. Skræling, wyjąc, uniósł kikuty nad głowę, ale Oracz znowu podniósł topór i opuścił go najpierw na jedną kostkę, a potem na drugą. Obydwie stopy natychmiast odpadły. Potem uderzył chłopaka toporem w czaszkę, a następnie wybrał sobie nową

ofiare spośród jeńców. Wywłókł przerażonego, wyjącego mężczyznę przed nas i znowu uniósł topór gotowy do zadania ciosu.

– Powtórz nasze żądania, niewolniku!

Winabave powtórzył. Wykrzyczał je donośnym i czystym głosem. Tym razem sachet odpowiedział. Ale że nie była to odpowiedź, której sobie życzyłem, zrozumiałem, jeszcze zanim Winabave ją przetłumaczył. Słowa zostały z wściekłością wyplute w naszym kierunku.

– On mówi nie – powiedział Winabave.

Oracz nadal stał z toporem gotowym do zadania ciosu. Na równinie zrobiło się cicho, dał się tylko słyszeć szelest zwiędłych kłosów. Tore Kalvson podszedł do mnie, mamrocząc, że powinniśmy wrócić na statki.

– Popłynijmy na północ – dodał. – Dzień albo dwa. Tam naradzimy się, co dalej... – Nie zdołał dokończyć zdania, bo nagle przez jego twarz przeszedł skurcz, otworzył szeroko oczy, które zrobiły się okrągłe jak u ryby głębinowej i chwycił się za kark. Zobaczyłem, że utkwiała w nim strzała. Mężczyźni się obrócili. Za nami, wśród kłosów, stali Skrælingowie.

Strzały zaczęły wbijać się między nas. Jomswikingowie szybko nastawili tarcze i kucnęli, chowając się za nimi, ale widziałem, że co najmniej sześciu ludzi jarla padło od razu. Bjørn, Oracz, Halvor, Valp i ja połączyliśmy krawędzie tarcz i kucnęliśmy obok martwych jeńców, tworząc też pewną osłonę dla Winabavego i Torego. Ale Tore wydał z siebie jęk i chwiejnym krokiem wytoczył się przed nas. Odkryłem, że ma przestreloną lewą rękę, jednak strzały nie zdołały zmusić go do ukłęknięcia. Wymachując mieczem, krzyczał do swoich ludzi, że mają atakować, mają przeć do przodu.

Ludzie jarla wahali się. Przezornie trzymali się za tarczami. Teraz strzały nadlatywały również z palisady, a około setki Patuxetów wyległo na równinę po obu naszych stronach. Wkrótce mieliśmy zostać całkowicie otoczeni.

Nie wiem, dlaczego nie przejmowali się losem jeńców. Może sachet był zbyt dumny, żeby ugiąć się przed żądaniami człowieka z morza, a może posłańcy przybyli tu przed nami, opowiadając o naszych grabieżach na północy i dając Patuxetom czas do naradzenia się i przygotowania pułapki, w którą tak ochoczo weszliśmy. My,

jomswikingowie, i ludzie jarla mieliśmy wielkie wyobrażenie o sobie samych, a ci mali Patuxetowie wydawali się nam niemal głupiutkimi dziećmi. Jednak teraz to ich strzały wbijają się między nas i za chwilę będzie po wszystkim, jeśli nie uda nam się wyrwać.

„Mam dług wdzięczności wobec jarla Eirika”, powtarzam często. Ludzie myślą zapewne, że chodzi mi o ziemię, którą pozwolił mi rządzić. Tylko że nie byłoby żadnego rządu, gdyby jarl nie posłał z nami tarcz, bo to one nas uratowały. Sam nigdy nie uczyłem się w Jomsborgu posługiwania tarczą, szkolili mnie w posługiwaniu się duńskim toporem, lecz Bjørn złączył moją tarczę ze swoją, tak żeby pokryta niewyprawioną skórą krawędź zachodziła na tarczę następnego woja. Halvor też tak zrobił. Mając Oracza i Winabavego za sobą, podeszliśmy do reszty załóg, które zrobiły to samo z tarczami. Z tuzin mężczyzn leżało już martwych, ale my, łącząc tarcze jedna z drugą, wkrótce utworzyliśmy doskonały krąg. Tore Kalvson stał w środku tego kręgu. Chyba uważał się za nieśmiertelnego. Jednak wśród kłosów było coraz gęściej od Patuxetów, pojawiło ich się z dwustu albo trzystu. Tore Kalvson został ponownie trafiony strzałą, tym razem w policzek, co uniemożliwiło mu wydawanie rykiem kolejnych rozkazów swoim ludziom. Zawołałem, że już nie ma odwrotu, musimy przeć do przodu i przedrzeć się przez palisadę. Może wydawało się to szaleństwem, ale później mądrzy ludzie mówili mi, że ta decyzja uratowała wielu wojów od śmierci. Przedostawszy się za palisadę i między zabudowania, nie byliśmy tak łatwym celem dla Patuxetów.

Próbowaliśmy pchać jeńców przed sobą, ale Patuxetowie wystrzelili z palisady chmurę strzał, od których padli zarówno jeńcy, jak i wielu ludzi jarla. Znowu połączyliśmy krawędzie tarcz, przykucnęliśmy za nimi i w ten sposób przeszliśmy przez równinę, przedostając się do palisady. Tam uformowaliśmy mur tarcz wokół Oracza, który zaczął ścinać jeden z pali.

Bjørn i ja próbowaliśmy trzymać tarcze nad nim, osłaniając go przed kamieniami zrzuconymi z palisady. Ale Oracz potrzebował miejsca, żeby zamachiwać się toporem, więc zawołał, żebyśmy chronili własne czaszki, nie troszcząc się o jego. Tore rzucił Bjørnowi swój hełm, a ten wcisnął go na głowę Oraczowi. To chyba uratowało mu życie. Ledwo to zrobił, kamień wielkości dwóch pięści trafił w hełm. Oracz zatoczył

się i musiał odrobinę przesunąć się w bok, ale potem doszedł do siebie i znowu zaczął rąbać.

Ulfar Oracz został poważnie ranny tego dnia. Choć ludzie często uważali go za głupią i wybuchową bestię, którą Torstein Szkutnik przywiózł na północ od króla Danów, żeby straszyć ludzi odwiedzających jego halę, nikt nie zaprzeczy, że to on uratował nas w Patuxecie. Czaszka może i była chroniona przez hełm, lecz potężne kamienie trafiały go również w ramiona i plecy. Później dowiedzieliśmy się, że jeden z nich złamał mu kilka kości, a mimo to nie ustawał, dopóki pal się nie złamał, umożliwiając nam wdarcie się do środka.

Choć otwór był wąski, precyzyjnie się przezeń jeden za drugim. W środku znowu utworzyliśmy krąg tarcz. Teraz mniejszy, bo strzały zabiły już wielu wojów, a kolejny z ludzi jarla padł, kiedy tylko znaleźliśmy się wewnątrz; przedostawszy się przez otwór, został natychmiast postrzelony strzałą w kark. Tore Kalvson kazał jednemu ze swych ludzi wyciągnąć sobie strzałę z policzka, po czym zaryczał:

– Rozproszyc się! Podpalać domy! I znaleźć mi to złoto!

Ludzie jarla bez wahania ruszyli do przodu. Krąg tarcz został przerwany, wojowie Torego wpadli do miasta. Bjørn, Halvor, Valp, Winabave i ja wraz z ocalałymi jomswikingami i Islandczykami trzymaliśmy się razem. Zawołałem do Torego, żeby trzymał swoich ludzi blisko nas, ale oni nie słuchali. Patuxetowie byli gęsto ustawieni na palisadzie. Odkryliśmy, że jest ich o wiele więcej niż na początku; dziesiątki łuczników siedziały przykucnięte za przedpiersiem, z kołczanami pełnymi strzał i łukami w gotowości. Teraz wszyscy zwrócili się przeciwko nam. Sachet wymachiwał i pokazywał ręką, wykrzykując rozkazy. Patuxetowie schodzili po drabinach, przyłączając się do nagich, pomalowanych wojowników, którzy już byli na dole. Nie ustawiali się w szeregi i formacje, przeciwko którym my, jomswikingowie, uczyliśmy się walczyć. Tworzyli za to wiele mniejszych grup, od dziesięciu do pięćdziesięciu mężczyzn każda. Łucznicy zrzucili z siebie koszule i stanęli odziani tak jak pozostali, tylko w koła i linie, które większość z nich miała wyryte na skórze.

Schroniliśmy się między długie domy, dźwięk konch wybrzmiewał z palisady. Na placu zbierały się setki mieszkańców.

Przedarłszy się przez zewnętrzny krąg długich domów, wyszliśmy na plac, gdzie

kilku Patuxetów rzuciło się na nas z włóczniami i kamiennymi toporami. Jomswikingowie szybko chwycili za łuki, powalając połowę, zanim do nas dotarli. Nadstawiliśmy tarcze, a ci, którzy mieli włócznie, wysunęli je do przodu w kierunku nadbiegających. Mimo to wielu Patuxetom udało się podbiec na dystans krótszy niż nasze włócznie i zaczęli mierzyć w nasze stopy i golenie, odsłonięte i podatne na cios pod krawędziami tarcz. Dwóch Islandczyków padło, natomiast Oracz dostał cios maczugą prosto w pierś, ale niemal nie zwrócił na to uwagi. Pchnął przeciwnika toporem w krtań, a kopniakiem zmiażdżył mu kolano.

Zabiliśmy Patuxetów na placu i wtargnęliśmy do przylegających do niego domów. Krzyknąłem do mężczyzn, że mają rozglądać się za Ravntorem, lecz znaleźliśmy tylko kilka kobiet z dziećmi. Kiedy wyszliśmy z domów, znowu poleciały w naszym kierunku strzały, trafiając dwóch jomswikingów. Usłyszałem swój ryk, że musimy dalej szukać. Powlekliśmy za sobą rannych mężczyzn w osłonięte miejsce po drugiej stronie podwórka.

Obydwaj jomswikingowie zostali ugodzeni w klatkę piersiową, strzały utkwily głęboko. Przywiązaliśmy im długie noże do rąk, pomagając wstać. Zostali, a my pobiegliśmy dalej. Może zabili jeszcze kilku Patuxetów, zanim sami zginęli. Nie wiem, nigdy ich już nie zobaczyłem.

Torowaliśmy sobie drogę, coraz bardziej zbliżając się do centrum Patuxetu. Najchętniej bym powiedział, że zajrzałem do wszystkich długich domów, ale Patuxetowie ścigali nas, spychając coraz dalej. Domy były ustawione jakby w kręgi, jeden na zewnątrz drugiego, a na podwórkach między nimi nie było żadnej osłony przed strzałami. Co gorsza, im bardziej posuwaliśmy się w głąb miasta, tym gęściej otaczali nas Patuxetowie. Zabijaliśmy tych, którzy stawali nam na drodze, ale większość ustępowała i wnet pojeśliśmy, że nas prowadzą jak owce na miejsce rzezi.

Skrælingowie bez przerwy posyłali w naszym kierunku strzały, które coraz gęściej uderzały w tarcze. Kamienne groty często rozbijały się o deski, dlatego większość strzał trafiających w tarcze spadała na ziemię. Mimo to, kiedy przesuwaliliśmy się przez podwórze z krawędziami tarcz zaczepionymi o siebie nawzajem, tkwiło w nich tak wiele strzał, że nasza formacja przypominała grzbiet knura ze zjeżoną sierścią. Powoli, lecz nieubłagane było nas coraz mniej. Jednak Odyn musiał trzymać swą

dłoń nad Bjørnem i nade mną, nad Halvorem, Valpem i Winabavem, ludźmi, którzy tak długo ze mną byli i stali u mego boku jako przyjaciele i wierni towarzysze walki. Jak na razie mieliśmy tylko szramy i zadrapania. Rozpoznawałem miejsce, w którym już byłem, zbliżaliśmy się wreszcie do centrum miasta. Patuxetowie gęsto się wokół nas stłoczyli, już myśleliśmy, że jest po wszystkim, ale Oracz wyskoczył przed tarcze i zaczął wywijać wokół siebie toporem. Jego ruchy były tak gwałtowne, że chyba ledwo widział tych, których trafiał. Ostrze topora odcinało ręce i nogi, zadawało tak straszne rany nagim Patuxetom, że po chwili wokół Oracza leżało z dziesięciu martwych lub umierających mężczyzn. Oracz ryczał, ślina ciekła mu po brodzie i kiedy nagle strzała trafiła go w plecy, niemal tego nie zauważył, nacierał dalej. Zamachnął się mocno toporem, trafiając w czaszkę kolejnego wymalowanego Patuxeta; ostrze weszło głęboko, zakleszczając się poniżej dolnej szczęki. Oracz musiał oprzeć się stopą o pierś Skrælinga, żeby oswobodzić głowicę topora, a gdy ją wyrwał, były na niej zęby i strzępy skóry.

Wołałem Ravntora. Nie wiem, po co, bo sytuacja wydawała się beznadziejna. Byliśmy otoczeni. Na każdego z nas przypadały dziesiątki, może setki Patuxetów. Bjørn rzucił półgębkiem, że jak będzie zbliżał się koniec, musimy stać plecami do siebie, zaczepieni ze sobą lewym łokciem, żeby żaden z nas nie upadł na ziemię przed drugim.

– Wtedy walkirie zobaczą, że polegliśmy razem i zabiorą nas obydwu – dodał.

To były ostatnie słowa, które Bjørn powiedział do mnie, zanim Patuxetowie stłoczyli się wokół nas tak gęsto, że nie mieliśmy wyjścia, jak tylko znowu uformować mur tarcz. Nie było nas tylu, żeby za każdym tarczownikiem stał mężczyzna z włócznią lub toporem, zostało nas zaledwie dziesięciu czy dwunastu. To ułatwiało ciągłe ataki Patuxetów na nasze stopy i golenie i chociaż powaliliśmy ich więcej, niż byłem w stanie zliczyć, zrozumieliśmy, że przełamanie muru tarcz i zadźganie nas wszystkich to tylko kwestia czasu. Równocześnie ciągle spychali nas dalej między długie domy.

Wkrótce znaleźliśmy się na placu stanowiącym centrum Patuxetu. Zobaczyliśmy Torego Kalvsona i jego wojów. Stracili bardzo wielu ludzi, zostało ich ledwie trzydziestu. Sam Tore walczył nadal, ze strzałami tkwiącymi w karku i w ręce.

Przebiliśmy się do ludzi jarla, tracąc po drodze dwóch swoich. Mimo to pojawiła się nadzieja, bo tamci mieli ludzi z włóczyniami, którzy stali za tarczownikami, i udawało im się trzymać Patuxetów na dystans. Jednak kolejnych trzech mężczyzn z włóczyniami padło, a Torego znowu trafiła strzała, tym razem w ramię, ale nadal był na nogach. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

Bez przerwy wołałem swojego syna. Myślałem, że jeśli teraz zginiemy, będzie przynajmniej wiedział, że po niego wróciłem. Znowu dobiegł nas dźwięk konch. Skrælingowie odsunęli się od nas na kilka kroków, opuszczając kamienne maczugi i włócznie. Czterech mężczyzn odzianych w kolorowe koszule i długie naszyjniki, na których wisiały muszle, kawałki miedzi i perły, wystąpiło naprzód. Trzech z nich dzierżyło kamienne topory na długich drzewcach, bardzo podobne do mojego duna. Czwarty miał duński topór. Oracz, zobaczywszy to, zamruczał niezadowolony, że to przecież mój topór, ten, który wykułem w Jomsborgu. Nie odpowiedziałem, bo teraz tych czterech ustawiło się przed nami na odległość dwóch włóczyni, a potem ustąpiło miejsca sachetowi i starej kobiecie. Ta dwójka trzymała między sobą Ravntora. Na szyi miał pętlę. Był nagi i brudny.

Poczułem, jak Bjørn obejmuje mnie ramieniem i mocno przytrzymuje.

– Winabave – rzekł. – Powiedz im, że pójdziemy stąd, jeśli oddadzą nam Ravntora.

Skræling wystąpił naprzód. Z czoła leciała mu krew, poszarpana na plecach tunika też była zboczona krwią. Zagadał do sacheta i staruchy. Sachet odwarknął coś w odpowiedzi, wyciągnął zza pasa kamienny nóż i chwycił Ravntora za włosy, przykładając mu ostrze do gardła.

– On mówi, że mamy odłożyć broń – poinformował Winabave. – Albo zabije chłopca.

Powiedziałem, że muszą mi go oddać. Błagałem ich, ale sachet wskazał na mnie kamiennym nożem, jego oczy były wąskie i pełne złości, a Winabave znowu przetłumaczył jego słowa. Jeśli nie chcę być świadkiem śmierci swojego syna, mamy odłożyć broń. Darują nam życie, jeśli odłożymy broń, odpłyniemy i nigdy tu nie wrócimy. Ravntor zostanie u nich, a jeśli kiedykolwiek znowu się tu pojawimy, natychmiast go zabiją.

To, co się potem wydarzyło, stało się tak szybko, że nadal trudno mi to pojąć.

Kiedy sachet znowu chciał przyłożyć Ravntorowi nóż do gardła, błyskawicznie pojawił się przy mnie Oracz. Rzucił toporem jak włócznią w sacheta, głowica trafiła Skrælinga prosto w czoło, odrzucając głowę do tyłu, usłyszałem trzask łamanych kości. Upuścił nóż i padł jak ubite zwierzę.

Wyskoczyłem spomiędzy tarczowników. Kobieta chwyciła za sznur, na którym przywiązano Ravntora, ale szarpnąłem ją, odciągając od niego, i wreszcie chwyciłem syna w ramiona. Skrælingowie natychmiast skoczyli na mnie. Otaczając Ravntora ramionami, pochyliłem się nad nim, chroniąc go własnym ciałem. To byłby mój koniec, gdyby Bjørn, Halvor, Valp i Oracz nie rzucili się do przodu. Odparli atak Skrælingów, wciągając mnie ponownie za mur tarcz.

Tak oto Ravntor Torsteinson znowu połączył się ze swoim ojcem. Choć teraz jedyną moją nadzieją było to, że umrzemy tak, jak chciał Wszechojciec. Wyciągnąłem nóż przytroczony do pasa, wciskając go w maleńką, miękką rączkę Ravntora. Poprosiłem, żeby trzymał go mocno i nie puszczał bez względu na to, co się wydarzy. Chrześcijanom wydaje się dziwne moje zachowanie, ale oni nic nie rozumieją, zaślepieni pięknymi słowami mnichów. Chciałem, żeby mój syn znalazł się w Asgardzie razem ze mną. Gdyby w wieku zaledwie trzech lat potrafił podnieść nóż, kiedy Patuxetowie przedrą się przez mur tarcz, może walkirie uznałyby go za godnego. Krucha to była nadzieja, ale innej nie miałem.

Przygotowywaliśmy się na to, co miało nastąpić. Mur tarcz zacieśnił się, a my, stojący w środku, pochyliliśmy się i czekaliśmy. Podniosłem z ziemi tarczę i miecz, ustawiłem Ravntora za tarczą, otaczając go ramieniem i w ten sposób osłaniając, choć widziałem, że marna to obrona. Mur tarcz już długo nie wytrzyma. Taki mur nie jest mocniejszy niż jego najsłabszy wojownik, a kiedy jeden padnie, pozostali natychmiast muszą przysunąć się do siebie, nie dając wrogowi możliwości przedarcia się. Krąg już teraz był bardzo mały i całkowicie otoczony przez Skrælingów. Bjørn stanął obok mnie, ramieniem przy moim ramieniu, powtarzając to, co powiedział wcześniej: że mamy zahaczyć się łokciem o łokieć i trzymać się wzajemnie na nogach do ostatniej chwili. Odpowiedziałem mu, że ma się zająć moim synem i przenieść go w bezpieczne miejsce, jeśli to ja padnę pierwszy.

Nie wiem, dlaczego tak powiedziałem. Nie było przecież żadnej drogi ucieczki.

Została nam krótka walka, zanim będzie po wszystkim. Żal znowu mnie ukłuł, dotkliwszy niż włócznie, które za chwilę miały mnie przebić. Gdybym pozostał na wschodzie, gdybym nie dał ponieść się żądzy bogactwa i zdobycia własnej ziemi.

Patuxetowie nie wydawali się szczególnie poruszeni tym, że ich sachet zginął. Starucha wrzeszczała, wygrażając w swoim Skrælingowym języku. Wyglądała dużo bardziej agresywnie niż sachet. Łucznicy szybko wystąpili do przodu, dwukrotnie posyłając w nas strzały, które powaliły trzech tarczowników, ale na rozkaz Torego Kalvsona wojowie zrobili krok w tył, zacieśnili krąg i ponownie połączyli krawędzie tarcz. Oracz pokręcił głową i coś wściekle wymamrotał. Rzucając się do przodu, chwycił obydwie duńskie topory, po czym upuścił moją broń u moich stóp. Mamrotanie przeszło w cichy śpiew i wszyscy zrozumieliśmy, co właśnie zamierza. Usłyszeliśmy jego pieśń śmierci.

– Przepuście berserka do przodu – dobiegł nas głos Torego. – Dajcie mu umrzeć, tak jak chce.

Jeszcze dwukrotnie posypały się na nas strzały. Jeszcze trzech tarczowników padło. Krąg tarcz znowu się zacieśnił, krawędzie tarcz połączyły się ze sobą. Oracz spojrzał na mnie uśmiechniętymi oczami.

– Zajmę wam miejsce – szepnął. – Nie czekajcie zbyt długo z przybyciem.

Zrzucił kolczugę i tunikę i stanął z toporem półnagi, pokryty bliznami. Jego śpiew stał się głośniejszy. Zbliżył się do tarcz i natychmiast został trafiony strzałą w górną część klatki piersiowej, ale jakby tego w ogóle nie zauważył, obrócił się bokiem i wyszedł przed tarcze. Podniósł topór i zmiotł skierowane w niego włócznie jednym szerokim cięciem. Drugim ciosem zwałił z nóg jednego z Patuxetów. To utworzyło wyrwę między nimi. Oracz chwycił drzewce topora bliżej głowicy i wepchnął się w tę wyrwę, nadal śpiewając.

To spowodowało w nas nagłą przemianę. Tore Kalvson ryknął do swoich ludzi, wskazując mieczem kierunek, z którego przyszliśmy, i chociaż wydawało się, że nie ma nadziei na wywalczenie sobie drogi powrotnej, pozostali przy życiu tarczownicy ścisnęli się tak, że formacja przypominała klin.

– Weź Ravntora na plecy – powiedział Bjørn. – Przypniemy go pasem. Walcz toporem, tak jak cię uczyli. Ja osłaniam ci tył.

Wziąłem Ravntora na plecy, a Bjørn szybko odpiął pas jednemu z poległych i przypiął nim syna do mnie. Upuściłem miecz i tarczę, chwytając swojego duna. Opanował mnie dziwny spokój, pewność, że ciężar, który teraz czuję w rękach, będzie ostatnią rzeczą, jaką poczuję.

Tore podniósł róg. Kiedy w niego zadał, wszyscy wydaliśmy z siebie ryk. Stojący z przodu mężczyźni ruszyli do przodu, napierając tarczami na włócznie Patuxetów, a ja skoczyłem za nimi. Wyprowadzając cios toporem nad tarczami, powaliłem jednego mężczyznę, a potem jeszcze jednego. Oracza nie widziałem, pewnie już go zadźgali. Wiatr zwał nad długie domy gęsty, gryzący w oczy dym. Tore Kalvson i jego ludzie podpalili pewnie kilka długich domów. Czuję ciężar syna na plecach i jego małe rączki na szyi, trzymał się mocno mojej brody.

– Naprzód – zaryczał Tore. – Naprzód, wojownicy!

To, co potem nastąpiło, jest dla mnie jak sen. Pamiętam duński topór w rękach, krzyki mężczyźni wokół i ocierające się o mnie ciała. Głos Bjørna jest cały czas za mną, krzyczy, że mam iść do przodu, nie zatrzymywać się, muszę rąbać, zabijać, przedzierać się dalej. Wkrótce wysuwam się na czoło, bo jestem berserkim z Jomsborga i tak mnie szkolili. I rąbię, pcham drzewcem, kopię w kolana, pozwalając toporowi siać spustoszenie. Powoli posuwamy się przez podwórze, znowu jesteśmy między długimi domami, idziemy dalej, nie wolno nam się zatrzymać. Dym cały czas napływał w naszym kierunku i mniej więcej w połowie drogi między centrum miasta a palisadą zrobił się tak gęsty, że ledwo widzieliśmy własną rękę. To osłoniło nas przed strzałami i włócznie Patuxetów. Szliśmy po omacku między długimi domami, rąbiąc w stronę cieni pojawiających się w dymie, który powoli nas dusił. Ale oto nagle przyszedł podmuch wiatru i zobaczyliśmy palisadę z wyrąbanym przez nas otworem. Usłyszeliśmy trzask płomieni. To nie domy się paliły, tylko pole.

Przedarliśmy się przez otwartą przestrzeń po wewnętrznej stronie palisady i przez otwór przecisnęliśmy się na zewnątrz. Stamtąd ruszyliśmy biegiem między kłosami. Miałem syna na plecach, Bjørn nadal biegł tuż za mną, słyszałem, jak coraz głośniejsze do mnie krzyczy:

– Dalej, Torsteinie! Dalej! Biegnij!

Mógł mnie przegonić tam na polu. Większość, czyli ludzie jarla i Islandczycy, tak

zrobiła. Jednak Valp, Halvor, Winabave i pozostali przy życiu jomswikingowie trzymali się blisko mnie, czego im nigdy nie zapomnę. Wcześniej prawa noga była słabsza od lewej, ale po złamaniu goleni również lewa była osłabiona i wkrótce wiedziałem, co muszę zrobić. Odpiąłem pas, przekazując Ravntora w ramiona mojego brata.

– Musisz go stąd zabrać – powiedziałem, a kiedy Bjørn odpowiedział, że my, bracia, musimy trzymać się razem, pokręciłem głową. – Biegnij z przodu. Zanieś go na statek. Ja przybiegnę za wami.

Bjørn chwycił mnie za ramię, patrząc mi twardo w oczy; później opowiadał, że słowa usłyszane ode mnie wtedy na polu Skrælingów były najboleśniejnymi, jakie kiedykolwiek słyszał. Ale zrozumiał. On i pozostali musieli ocalić Ravntora.

Wziął Ravntora na plecy, a ja przypiąłem go pasem. Wtedy brat znowu złapał mnie za ramię, a potem siłą odwrócił ode mnie wzrok i zaczął biec.

Winabave został ze mną. Kazałem mu biec z innymi, ale został. Znajdowaliśmy się teraz dwa lub trzy strzały z łuku w głębi pola, wokół nas unosił się gęsty dym. Rzuciłem spojrzenie do tyłu. Wyglądało na to, że jesteśmy ostatni.

Pobiegliśmy z całych sił przez dym, Winabave i ja. Najpierw pochyleni, bo jakieś dwa łokcie nad ziemią dym nie był tak gęsty. Ale wkrótce całe powietrze się nim wypełniło, czuliśmy jeszcze żar i słyszeliśmy trzask płomieni. Upadłem na kolana, Winabave zniknął mi z oczu. Dym był wszędzie. Gryzł w oczy i dusił, prawie uniemożliwiając zaczerpnięcie tchu.

Zginałbym na tym polu, gdybym nagle nie poczuł kopniaka w bok. Zabrzmiał gruby głos Oracza.

– Na Hel, masz zamiar tutaj leżeć? Wstawaj, chłopcze!

Trzymał pod pachą Winabavego, a w wolnej ręce topór. Złotą płytkę z ozdoby głowy sacheta zatknął sobie za pas. Kopnął mój topór, który upuściłem na ziemię.

– Nie odkładaj broni, Torsteinie. Tyle razy ci mówiłem.

Nie wiem, jaki urok bogowie rzucili na Oracza tego dnia i jak udało mu się na własną rękę wydrzeć z Patuxetu. Postawił Winabavego na ścieżce, pociągając mnie w górę za ramię. Podał mi mój topór, pchnął nas obydwo w plecy i ruszyliśmy przez pole.

Im dalej biegliśmy, tym gęstszy stawał się dym. Oracz opowiadał później, że tego dnia stoczyliśmy walkę z jotunami ognia, i może to prawda. Bo cały czas słyszałem, jak warczy do mnie, że mam przeć dalej, nie wolno ustępować, musimy się przedrzeć, tak jakbyśmy rzeczywiście biegli przeciwko zastępom wroga, a nie płomieniom. Ulfar Oracz i ja, berserkowie z Jomsborga, chwyciliśmy topory i nikt nie powie, że ustąpiliśmy przed wrogiem, a kiedy pod wpływem płomieni dym wokół nas zaczął się żarzyć, z rykiem rzuciliśmy się do przodu.

Biegliśmy przez ogień, Oracz, Winabave i ja. Wiatr kierował trawiące pole płomienie przeciwko nam. Kłosa były tak duże, że bardziej przypominały krzaki, i otaczające nas płomienie strzelały wyżej, niż wolałbym pamiętać. W środku pola Oracz potknął się o leżące ciało, zakaszłał, próbując złapać oddech. Winabave i ja podnieśliśmy tego potężnego mężczyznę i teraz to ja warczałem, że ma się nie poddawać, nie wolno mu się zatrzymać, dopóki nie znajdziemy się na pokładzie statków.

Ilu ludzi pochłonał ogień i dym, wie tylko Wszechojciec. Na ścieżce zamajaczyło chyba trzech wojów jarla, mogło ich być więcej. Wydostawszy się wreszcie z ognia i dymu, wbiegliśmy do lasu, gdzie znaleźliśmy jeszcze dwóch.

Ulfar Oracz osunął się na ziemię między drzewami, ukląkł, charkając brązową, gęstą śliną. Znów go podnieśliśmy i ruszyliśmy dalej, ale rozumiałem, że z powodu ran zaraz znowu osunie się na kolana. Mamrotał coś o „dobrej śmierci”, mam na niego nie czekać, tylko przedostać się na statki.

Nie zostawiłem Oracza. Kim byłbym, gdybym to zrobił? Kiedy dotarliśmy na skraj lasu i znaleźliśmy się na równinie dzielącej nas od morza, ludzie jarla właśnie wysuwali wiosła na jednym ze skeidów, lina cumownicza zwisała luźno, a Tore, stojąc przy wiosle sterowym, ryczał coś do załogi. Naglfar wypłynął, był teraz zakotwiczony o odległość dobrego strzału z łuku; wzmógł się wiatr, fale uderzały o nadbrzeżne kamienie. Frøydis stała na rufie przy wiosle sterowym. Zobaczyłem Ravntora, stał na skrzyni koło masztu, gapiąc się na ląd. Dostrzegłem też Bjørna na płyciźnie przed statkiem Torego.

– Torstein! – Zamachał podniesioną ręką. – Za wami!

Również długie domy na równinie stały w płomieniach, może dlatego nie

usłyszeliśmy ich od razu. Pojawili się między drzewami z maczugami i włóczyniami. Czy czekali w lesie, czy przybiegli za nami przez ogień, nie wiem. Ale gdyby użyli łuków przeciwko nam, zamiast tak gorliwie próbować zdobyć sławę, zabijając nas w walce wręcz, byłoby po nas. Bjørn minął nas biegiem, rzucając się z mieczem na Patuxetów za nami. Oracz i ja zatrzymaliśmy się, toporami odpierając atak, i ponownie ruszyliśmy w kierunku plaży.

Trzy razy zatrzymywaliśmy się, ścierając się z naszymi prześladowcami. Poruszaliśmy się do przodu plecy w plecy, Bjørn i ja, a Oracz osłaniał Winabavego. Wreszcie dotarliśmy do wody, lecz Tore i ludzie jarla byli już za daleko, ich statek kołysał się na falach. Frøydis wołała coś do nas; odpowiedziałem, że ma trzymać statek tam, gdzie jest.

Zaczęliśmy płynąć. Zatknąłem topór za pas na plecach i rzuciłem się do wody. Zrazu zepchnęło mnie na przybrzeżne kamienie, ale potem morze uniosło mnie, wypychając na głębszą wodę. Wierzgałem nogami z całych sił i zdążyłem ze trzy razy porządnie zagarnąć wodę rękami, kiedy fale ponownie mnie zalały. Kątem oka zobaczyłem Oracza i Bjørna, płynęli na prawo ode mnie. Bjørn, zanim wciągnęło go w dół, krzyknął coś o skórzanej kolczudze i gdy morze mnie wsysało, wyszarpnąłem nóż. Poczekąłem, aż woda znowu mnie podniesie, szybko przeciąłem rzemienie na boku i wyswobodziłem się z kolczugi.

Ja i Bjørn byliśmy dobrymi pływakami. Oracz i Winabave też dawali sobie radę na wzburzonym morzu i wkrótce znaleźliśmy się obok Naglfara, a Halvor i Valp rzucili nam liny i wciągnęli na pokład. Byliśmy poobijani i poobcierani do krwi przez pąkle i muszle, Oracz upadł na deski, krew sączyła się z jego niezliczonych ran. Ale nie było czasu na odpoczynek. Ravntor nadal stał na skrzyni przy maszcie, pospieszyłem do niego, ukrywając go za beczkami. Potem poszedłem na rufę. Frøydis usunęła się, pozwalając mi chwycić drążek steru.

– Za mało ich jest – powiedziała, kiwając głową w kierunku lądu. – Nie mają prawie ludzi do wiosł.

Też to zobaczyłem. Tore i jego pozostali przy życiu ludzie chyba próbowali zebrać się na jednym statku, lecz nawet wtedy było ich za mało, żeby nim wypłynąć na wiosłach. Fale odwróciły kadłub bokiem, rzucając na przybrzeżne kamienie.

Z równiny nadbiegli Patuxetowie. Biegący na czele rzucili się do statku i wspięli na pokład.

Kazałem mężczyznom wysunąć wiosła i podnieść kotwicę. Poprosiłem Frøydis, żeby poszła do Ravntora i usiadła z nim w ukryciu. Wiosła zagarnęły wodę, dziób wbił się w fale i Naglfar nabrał prędkości. Jednak coś nas opóźniało i natychmiast zorientowałem się, co to takiego. Lina cumownicza nadal zwisała z rufy, a na niej uwieszony był Tore Kalvson.



31

Prawo wolnego człowieka

Mając zachód słońca za plecami, pożeglowaliśmy na wschód. W nocy skierowałem Naglfara na otwarte morze. Pamiętam Bjørna stojącego przy mnie na rufie i mówiącego, że wprawdzie fale są duże, ale statek płynie równo. Jeśli będziemy mieli szczęście, wiatr wkrótce zmieni kierunek, a my wciągniemy żagiel i skierujemy się na północ. Potem możemy zejść na ląd i rozpalić ognisko. Musimy powyciągać ludziom strzały i przypalić rany.

O świcie zrobiliśmy tak, jak mówił. Wybrzeże za nami znikło na horyzoncie, a my, starając się utrzymać miejsce, w którym słońce wyłoniło się z morza, po prawej stronie, podnieśliśmy reję i zamocowaliśmy szoty żagla. Kadłub Naglfara zaczął drżeć i tak szybko prześlizgiwać się nad falami, że wkrótce znowu zobaczyliśmy w oddali ląd. Pamiętam potężną radość tego poranka, najchętniej wykrzyczałbym ją w kierunku morza, nieba i dryfujących nad nami chmur; widziałem Ravntora w ramionach Frøydis, siedziała z nim między skrzyniami i beczkami koło masztu, obok stali mój brat, Winabave, Halvor, Valp i Ulfar Oracz. Chociaż Oracz był ciężko ranny, a jego

pólnagie ciało pokrywała zakrzepła krew, miałem przecucie, że przeżyje.

Ledwo natomiast zdawałem sobie sprawę, jaki jest stan pozostałych mężczyzn na pokładzie. Gdyby Bjørn nie wskazał lądu, przypominając, że musimy rozpalić ogień, pewnie kontynuowałbym żeglugę.

– Tore Kalvson – powiedział. – I pięciu czy sześciu jomswikingów... I Rudde-Geir, ma grot strzały w ramieniu. Musimy zejść na ląd, Torsteinie.

To mój brat skierował statek na ląd tego dnia. Ja usiadłem z Frøydis i wziąłem Ravntora w ramiona. Frøydis miała rękę do dzieci, wielu jest zaskoczonych, kiedy o tym mówię. Krążyły pogłoski, że potrafi lepiej walczyć niż większość mężczyzn, ale że umie postępować z dziećmi, o tym rzadko wspominało. Nakarmiła go kaszą i suszoną rybą, którą najpierw przeżuła, żeby była miękka. Dostał też wody. Według niej potrzebował mojej obecności, więc trochę z nim posiedziałem. Leżał z twarzą wtuloną w moją pierś, nic nie mówiąc.

Zeszliśmy na ląd w jakiejś zatoczce, pamiętam, że było to piękne miejsce. Naglfar przybił dziobem do plaży tak białej, że piasek niemal przypominał śnieg. Klony i jesiony porastały ląd aż do plaży, w cieniu ich listowia położyliśmy rannych. Sam nie schodziłem na ląd, przebywając na pokładzie z Ravntorem. Tylko raz przelazłem przez burtę, kiedy był odpływ. Zepchnęliśmy z Bjørnem Naglfara nieco dalej na morze, żeby nie leżał na suchym lądzie.

Rzadko opowiadam o tym, co wydarzyło się tego dnia. Nikomu nie jest przyjemnie o tym słyszeć, a my, którzy widzieliśmy to na własne oczy, najchętniej byśmy zapomnieli. Groty strzał Patuxetów były przeważnie zrobione z kamienia, Winabave powiedział mi, że kościane groty miały tylko strzały używane do polowania. Kamienne groty zazwyczaj pękały, trafiając w cel. Strzałę z żelaznym grotem najczęściej można wyciągnąć albo przeciągnąć na drugą stronę nogi, ramienia czy gdzie tam utkwiała. Ale strzał Skraelingów nie dało się wyciągnąć, trzeba je było wycinać.

Niektórzy mówią, że Tore Kalvson oszalał tego dnia. Ból może tak człowieka zmienić. Oracz i pozostali ranni jęczeli, raz po raz krzyczeli i skomleli. Nie patrzyłem na nich, kiedy trwało wycinanie strzał. Obserwowałem morze, obawiając się, że

Patuxetowie ruszyli za nami w pościg. Chociaż Bjørn twierdził, że znajdujemy się już o dobry kawał na północ od nich i że nie mogli dotrzeć zbyt daleko, wcale nie czułem się bezpiecznie. Utrzymałem statek w gotowości i wolałbym, żeby ranni byli cicho; kiedy myślałem, że już po wszystkim, zaczęli operować Torego. Strzała nie dosięgła krtani, o włos ominęła kręgi szyjne, lecz jej grot utkwiał głęboko w mięśniach karku i tam pękł. Tore tak strasznie wył z bólu, że mój wzrok mimo woli pospieszył do plaży. Trøndelagczyk leżał na boku, mężczyźni przyciskali go siłą do ziemi, a Halvor nacinał kark.

O zmroku popłynęliśmy dalej. Halvor uważał, że powinniśmy dać rannym odpocząć. Odparłem, że równie dobrze mogą wypoczywać na pokładzie statku. Znowu skierowałem statek w morze i dopiero kiedy dobrze już wpłynęliśmy w noc, pozwoliłem Valpowi przejąć drążek steru. Osunąłem się na pokład koło nadburcia i natychmiast zasnąłem.

Tej nocy śniła mi się Sigrid. Leżała obok mnie ciepła i naga. Dlaczego taki właśnie sen przyszedł do mnie tej nocy, nie wiem. Może to Freja uważała, że potrzeba mi widoku mojej kobiety, chociażby we śnie. Gdy się ocknąłem, Bjørn już przejął wiosło sterowe. Na prawo ode mnie zawijano jednego z jomswikingów w jego opończę. Był to Dan imieniem Hogne, nigdy zbyt dobrze go nie poznałem. Strzała Skrælinga trafiła go w oko. W nocy śmierć go zabrała, a teraz ciało zostało wyrzucone za burtę.

Być może dopiero tego ranka naprawdę dotarło do mnie, jakie straty ponieśliśmy. Wszystkie statki, które jarl posłał z nami, łącznie z knarą Frøydis, zatoneły albo zostały porzucone, bo było nas zbyt mało, żeby obsadzić je załogą. Wszyscy ludzie jarla oprócz Tore Kalvsona zginęli, o ile Patuxetowie nie zostawili ich przy życiu, żeby później zamęczyć na śmierć. Nie zrabowaliśmy żadnych bogactw, nie mieliśmy ze sobą niewolników. Jarlowi Eirikowi nie spodoba się to i gdybym nie zostawił u niego Sigrid z maleńkim Bjørnarem i starym trójnogim Fenrem, chyba nie odważyłbym się do niego powrócić. Pożeglowałbym na północ Winlandii, odnalazł Rzeczny Lud, Eysteina, Onejun i Vingura i zacząłbym żyć tak jak oni.

Tak w każdym razie myślałem tego ranka. Oracz z trudem usiadł tyłem do nadburcia i tak trwał, przyglądając się mi z otwartymi ustami okolonymi wielką brodą. Wyglądał, jakby wyzionął ducha, siedział bez życia, ruch morza kołysał jego ciałem i przez chwilę myślałem, że naprawdę nie żyje. Nagle przez ciało przeszedł dreszcz, a on zaczął macać wokół siebie, szukając czegoś. A ponieważ tego nie znalazł, jego wzrok znowu padł na mnie, więc przysunąłem się do niego.

– Widziałeś mój topór? – zapytał. – Chcę go mieć przy sobie, kiedy będę ruszał w drogę. – Zmarszczył czoło, jakby usilnie się nad czymś zastanawiał, po czym dodał: – Myślisz, że pozwolą mi wnieść topór do Valhalli, Torsteinie? Czy mają jakąś zbrojownię na zewnątrz?

Odpowiedziałem, że nie wiem. Oracz chlipnął. Dziwny to był dźwięk jak na niego, siły go opuściły, siedział bezwładnie, dając poruszać się w tył i przód ruchom morza.

Z Islandczyków tylko Rudde-Geirowi i jednemu rudobrodemu, który pochodził chyba z północy wyspy, udało się wydostać z Patuxetu. Nazywał się Gunnar Oddvarson, był cichym i spokojnym mężczyzną; w ciągu nocy wyrzeźbił głowę Odyna na dole drzewca swojego topora i rzadko widziałem rzemieślnika wykonującego piękniejszą pracę. Pokazał mi drzewce i powiedział, że powinniśmy podziękować Odynowi za zwycięstwo, składając ofiarę. Odparłem, że trudno to nazwać zwycięstwem, skoro tak wielu ludzi straciliśmy.

– Ale odzyskałeś syna – rzekł.

Wkrótce chwyciłem wiosło sterowe, każąc napiąć szoty po lewej stronie statku, bo miałem zamiar przeciąć zatokę na północ od Patuxetu i popłynąć na północ do Krainy Świtu. Stamtąd chciałem dotrzeć do Wyspy Reniferów i chociaż się przed tym wzdragałem, zapytać Torfinna, czy da mi trochę zapasów jedzenia. Być może nie udałoby się przepłynąć morza o tak późnej porze roku, ale jeśli mieliśmy przezimować, chciałem popłynąć jak najdalej na północ, żeby Patuxetowie nie mogli nas znaleźć.

Bjørn i ja staliśmy przy wiosle sterowym przez cały dzień. Mój brat, o ile w grę nie wchodziły kobiety, był człowiekiem rozsądniejszym ode mnie. Wmuszał we mnie jedzenie i picie, a w ciągu dnia posadził tyłem do nadburcia, mówiąc, żebym się

przespał.

– Masz pewnie zamiar sterować w nocy – powiedział. – Zatem musisz teraz się przespać. I musisz więcej jeść. Skóra i kości z ciebie.

Skóra i kości... Tych słów używał ojciec, kiedy nie chcieliśmy jeść. Siedział przy palenisku w naszej chacie, piekąc ryby nad ogniskiem, ale już od wczesnego dzieciństwa Bjørn i ja wiedzieliśmy, że pewne ich gatunki były uważane za kiepskie jedzenie, którego nie ruszał gospodarz ani jego domownicy. Mimo to ojciec, stary, złamany życiem wojownik na półwyspie, nie mógł sobie pozwolić na wybrzydzenie. „Jedzcie, chłopcy, bo będzie z was tylko skóra i kości”.

Nadal siedziałem przy nadburciu. Nie spuszczałem wzroku z mojego syna leżącego Frøydis na kolanach. Siedziała koło masztu między beczkami i skrzyniami. Uderzyło mnie, że znamię na szyi i brodzie Ravntora wyblakło, i najpierw mnie to ucieszyło. Ale potem zastanowiłem się nad tym. Jeśli to znamię było podobne do młota Tora albo do jednego z kruków Odyna i wyblakło, może to zły znak, zapowiedź, że będzie się mu źle powodziło? To zaczęło mnie martwić i kiedy zasypiałem, ta myśl nadal mnie dręczyła.



Dopłynęliśmy do Krainy Świtu wczesnym szarym, jesiennym porankiem. Nikt więcej nie umarł podczas żeglugi, ale źle było z Torem i jednym z jomswikingów – mężczyzną imieniem Birka, pochodzącym z Ryge. Nosił takie dziwne imię, bo zawsze miał przytroczoną do pasa piękną sakwę, jakich często używają kupcy w Birce, z mosiężnymi klamrami i z wytłoczonymi w skórze sylwetkami psów i myśliwych. Reszta nie przedstawiała już tak miłego widoku. Nie miał połowy ubrania, był zakrwawiony, a na piersi widniała duża rana, której nie pomogło przypalanie. Z pozostałymi jomswikingami też nie było najlepiej, jednak przynajmniej siedzieli na skrzyniach wioślarskich i z nich nie spadali. Razem z Oraczem i Birką było ich jedenastu. Oprócz nich, mojego brata, Halvora, Valpa, Winabavego, Frøydis, Torego Kalvsona, Islandczyków, Ravntora i mnie nikt nie przeżył. Ale odzyskałem syna.

Bjørn zapytał mnie, czy jestem szczęśliwy, teraz kiedy Ravntor znowu jest ze mną.

To było drugiego ranka po tym, jak dotarliśmy do Krainy Świtu. Pamiętam, że nie wiało, a wszyscy mężczyźni na pokładzie, którzy nie byli zbyt ranni, siedzieli przy wiosłach. Wiosłowali co sił, bo płynęliśmy pod prąd biegnący z północnego wschodu, który zdawał się osiągać sporą prędkość w pobliżu lądu. Prowadziłem statek wzdłuż wybrzeża w odległości dwóch czy trzech strzał z łuku od lądu. Obrąłem kurs na południowo-wschodni kraniec Krainy Świtu, skąd mieliśmy kontynuować żeglugę wzdłuż lądu, przez cieśninę prowadzącą w kierunku Wyspy Reniferów. Bjørn siedział w parze wiosłarskiej z tyłu i między jednym a drugim ruchem wiosła zapytał mnie, czy jestem szczęśliwy. Nie potrafiłem odpowiedzieć. Czy byłem szczęśliwy? Nie czułem szczęścia od momentu, kiedy mi odebrali syna. A teraz znowu zacząłem się zamartwiać. Razem z Frøydis rozebraliśmy Ravntora i obmyliśmy. Był wychudzony, Patuxetowie go głodzili. To wywołało we mnie wściekłość, Ravntor płakał, kiedy dotykałem jego rąk, nóg, żeber i zębów. Frøydis musiała go zabrać, bo macałem zbyt mocno. Nie znalazłem żadnych obrażeń, zgrubień kości, niczego świadczącego o tym, że coś mu złamali. Nie miał blizn ani wszy we włosach. Poprosiłem Frøydis, żeby nie żałowała mu jedzenia i dbała o to, by nie marzł.

Napełniliśmy beczki wodą ze strumienia na południe od cieśniny. Bjørn uważał, że powinniśmy wysłać kilku mężczyzn na polowanie, bo wkrótce będzie krucho z jedzeniem. Nie zgodziłem się, mając nadzieję, że zdążymy przepłynąć morze przed jesiennymi sztormami, ale Bjørn poprosił, żebym to przemyślał. Nie byłoby mądrze zaniechać polowania, skoro i tak zeszliliśmy na ląd. Zatem Valp, Halvor i kilku innych chwyciło łuki i ruszyło w drogę. Powiedziałem im, żeby wrócili najpóźniej następnego ranka.

Poprzedniego wieczora widziałem, jak Frøydis i Bjørn siedzą blisko siebie, szepcząc. Pomyślałem, że prosiła wtedy, by o tym ze mną porozmawiał. Podeszła do mnie tego wieczora, kiedy byliśmy blisko lądu, i włożyła rączkę Ravntora w moją dłoń. Synek stał, zerkając w górę na mnie, i milczał. Gdy zagadnąłem go po imieniu, puścił moją rękę, przytulając się do Frøydis. Zabrała go pod maszt, położyła i okryła skórą zwierzęcą, a potem pogłaskała po włosach.

Długo stałem bez słowa, patrząc na ląd tego wieczora. Między drzewami zalegała mgła. Rosły tu głównie drzewa iglaste, ale gdzieniegdzie z ciemnej zieleni wystawały krzywe dąbczaki i brzozy upstrzone złocistymi plamami ostatnich, uparcie się trzymających jesiennych liści.

Frøydis podeszła do mnie.

– Muszę cię prosić o wybaczenie – powiedziała.

To było dziwne słowo, nie przypominam sobie, żeby ktoś mnie o to wcześniej prosił.

– Chrześcijańskie gadanie – wymamrotałem w odpowiedzi. – Za co niby potrzebujesz wybaczenia?

– Pole uprawne – rzekła.

Skinąłem głową. Już mi mówiła, że to z jej rozkazu ci, którzy pozostali na statkach, zeszli na ląd i podpalili pole i domy na równinie.

– Myśleliśmy, że to ich wystraszy. Pomyślą, że nas jest więcej, że... Ja... Sama nie wiem, co sobie myślałam.

– Nie mówmy o tym – odparłem. – A wybaczenia nie potrzebujesz. Powinienem ci raczej podziękować. Gdybyście nie podpalili pola, nigdy byśmy stamtąd nie uszli z życiem.

Umilkła. Staliśmy jeszcze przez chwilę przy nadburciu, a potem Frøydis usiadła obok Oracza, Torego Kalvsona i Rudde-Geira. Tych trzech miało najgorsze obrażenia. Tore i Rudde-Geir poprosili nas o wyrycie swoich imion na górnej listwie nadburcia. Rudde-Geir poprosił mnie też, żebyśmy zaraz po jego śmierci zeszli na ląd i spalili ciało, bo nie chciał trafić do bogini Ran; nie chciał, żeby Skrælingowie oddawali mocz na jego kości albo w inny sposób bezczęścili szczątki.

Oracz miał mniejsze wymagania. Mieliśmy wznieść za niego toast, to wszystko. Było mu obojętne, co się stanie z jego ciałem po śmierci. Mogło zgnić w słonej wodzie albo w kurhanie. Było to dla niego bez znaczenia.

Bjørn i Frøydis leżeli blisko siebie tej nocy. Nie kochali się, ale i tak byli bardzo blisko. Frøydis leżała z obnażonymi piersiami, obejmując mojego brata ramionami. Słyszałem ich szept, lecz nie wiedziałem, co mówią.

Następnego ranka, kiedy się obudziliśmy, pokład pokrywał szron. Mężczyźni włożyli zimowe tuniki i naciągnęli czapki na głowy. Bjørn mówił, że znajdziemy miejsce gdzieś na północy, może nieopodal Hellulandii, i zbudujemy tam schronienie. Raczej nie zdążymy zbudować długiego domu, zanim spadnie śnieg, ale musimy mieć jakąś ochronę przed zimnem, przynajmniej dach i ściany, jeśli mamy przetrwać zimę; musimy też zacząć suszyć drewno na opał. Zapytałem go, z czego, jego zdaniem, mamy żyć tam na północy. Odparł, że musimy znaleźć zatoczkę, do której przyplływają foki na odpoczynek. Widzieliśmy po drodze sporo takich zatoczek na północy. Foki można zatłuc, ich sadło dobrze się przechowuje.

Nie podobały mi się jego plany. Wzrok cały czas podążał w kierunku wielkiego morza, w kierunku Sigrid i małego Bjørnara na wschodzie. Ludzie nazywali naszą wyprawę szaleństwem, kiedy wypływaliśmy z Trøndelagu o tak późnej porze roku. Co by powiedzieli, gdybym teraz skierował statek na wschód, żeby znowu przepłynąć morze?

– Jesteśmy coraz bliżej – powiedział Halvor, gdy wpływaliśmy do cieśniny.

Najchętniej popłynąłbym okrężną drogą, bo zmuszeni byliśmy płynąć blisko lądu, lecz to oznaczałoby kilka dodatkowych dni podróży. Mieliśmy dobry wiatr południowy, z którym mogliśmy płynąć cieśniną prosto na północ z wciągniętym żaglem. Obserwowałem las na lądzie, wydawało mi się, że widzę Patuxeta za każdym drzewem, chociaż wiedziałem, że nie mogli już tutaj dotrzeć. Rozmyślałem o tym, co mówił mój brat, o czekającej nas zimie. Wyobraziłem sobie schronienie, które mamy wybudować, może powinniśmy rozszczepić kilka pni, a deski ukośnie oprzeć o żerdź, żeby utworzyły coś w rodzaju namiotu. Pod nim moglibyśmy rozpałcić ogień i utrzymać ciepło. A jeśli znowu zostaniemy zaatakowani? Cały czas zerkałem na Ravntora, który otrząsnął się po kilku dniach; teraz wszędzie go było pełno, Frøydis miała trudności, żeby go upilnować. Gdyby Skrælingowie znowu zaatakowali, byłoby nas prawdopodobnie za mało, by się obronić. Zastanawiałem się, czy nie powinniśmy poprosić Torfinna Karlsevneho o zgodę na prezimowanie na Wyspie Reniferów, ale na samą myśl o tym czułem niechęć. Oczywiście rozumiałem, że własna duma nie może być ważniejsza niż bezpieczeństwo syna, jednak gdy spadnie głęboki śnieg, a lód pokryje zatokę koło Przystani, gdy wszyscy będziemy zmuszeni żyć blisko

siebie w długim domu, zostanie wystawiony na ciężką próbę. Ocierać się łokciami o innych mężczyzn to jedno, to byśmy pewnie znieśli, ale znałem przecież własne usposobienie. Był tam także ten Magnar, którego omal nie zabiłem. Był Ulle Dan i sam Torfinn. Ze wszystkimi tymi ludźmi miałem na pieńku i pewnie wystarczyłoby jedno zgryźliwe słowo albo drwiąca uwaga, żeby znów doszło do bójki. Gdybym zabił kogoś w środku zimy i wszyscy ludzie Torfinna zwróciliby się przeciwko mnie, gdzie byśmy się podzieli? Miałbym wziąć Ravntora za rękę, wyjść na zimowe pustkowie i mieć nadzieję na wczesną wiosnę?

Sternik nie powinien zbyt często się zamyślać. Gdybym usłuchał brata, pozwoliłbym mu przejąć drążek steru i położył się spać tego dnia. Na północnym skraju cieśniny mieliśmy sprzyjającą bryzę, Naglfar płynął z wiatrem i taka sytuacja może cię zmylić: nie zauważasz, że statek płynie z dużą prędkością. Po zachodniej stronie cieśniny są mielizny, a ja miałem wzrok utkwiony w morzu na północy i byłem pogrążony w głębokich rozmyślaniach. Nagle usłyszałem krzyk Valpa, a Frøydis, która stała na rufie z Ravntorem, rzuciła się do mnie, przesuwając drążek steru w lewo. Naglfar przemknął górą, ale nie bez uszczerbku. Poszycie statku zatrzęszczało; mielizna znalazła się po lewej stronie, Naglfar stracił cały rozpęd i utknąłby tam, gdyby mój brat błyskawicznie nie zareagował. Całym ciężarem ciała uwiesił się na prawym górnym szocie żagla. To przechyliło kadłub nieco w bok. Potem szybko puścił szot, kadłub szarpnął do przodu, klepki znowu zatrzęszczały, a uwolniony statek prześliznął się górą.

Ponieważ Naglfar nie miał pokładu, można było łatwo dostać się do miejsca uszkodzenia, podnosząc kłapy pod skrzyniami i beczkami. Bałem się najgorszego, ale żadna klepka nie pękła, a miejsca połączeń nadal dobrze przylegały do siebie. Jednak gęste szczeliwo z wełny i tłuszczu, które nakłada się w miejscach połączeń między klepkami, zaczęło przepuszczać wodę. To może się przydarzyć, jeśli wpłynie się kadłubem na mieliznę, woda zaczęła sączyć się do środka. Nie było jej dużo, więc już chciałem wracać do wiosła sterowego, gdy Bjørn mnie chwycił.

– Nie jest tak źle, możemy wybierać wodę – powiedział. – Teraz musisz usiąść, braciszku. Usiądź i odpocznij.

Pamiętam, że siadłem na skrzyni wiosłarskiej przy Oraczu, Torem Kalvsonie i Rudde-Geirze, których położono obok siebie mniej więcej pośrodku statku opartych plecami o nadburcie i przykryto zwierzęcymi skórami. Mój stary mistrz i nauczyciel milczał, spojrzenie miał ponure, od czasu do czasu zerkał w niebo, jakby czekając, że przybędzie stamtąd po niego walkiria na koniu ze stajni w Folkvangu. A może próbował tylko obserwować pogodę. Z Oraczem nigdy do końca nie było wiadomo, o co chodzi. Poczułem się senny, ciało stało się ciężkie i po chwili leżałem na pokładzie. Chyba wymamrotałem, że ktoś musi wybierać wodę, bo ostatnie, co usłyszałem, zanim zapadłem w sen, to dźwięk kubków i naczyń postukujących o klepki dna.

Czy Odyn przyszedł do mnie we śnie również tego dnia? Pamiętam, że widziałem go na pokładzie, znowu stał z przodu, odwrócony plecami do dziobu, a jego jedyne oko patrzyło na mnie. *Kim ty jesteś, Torsteinie? Kim zostaniesz? Krew dwóch królów na twoich rękach...* Te słowa jakby dryfowały wokół mnie. Nie leżałem już na deskach. Stałem na rufie przy wiosle sterowym, ręce mocno trzymały drążek. Odyn nadal stał z przodu. Był ubrany w szeroką, długą do kostek tunikę, opierał się na włócznie. Długie, siwe włosy i broda opadały na ramiona i piersi. Brakujące oko było tylko cieniem w poorly zmarszczkami starczej twarzy, ale drugie zaglądało mi głęboko w duszę. Widziało wszystkie moje słabości, cały mój żal. Widziało wszystkie pragnienia i całe pożądanie. *Kim ty jesteś, Torsteinie?*

Świtało, kiedy się ocknąłem. Leżałem okryty baranicą. Czulem ciała innych tuż obok mnie. Musiało jeszcze być wcześniej, bo niebo było ciemne.

Usiadłem. Valp i Halvor stali przy wiosle sterowym. Obydwaj pozdrowili mnie skinieniem głowy. Halvor wymamrotał, że to była dobra noc, wiał równy wiatr i żaden z rannych nie zmarł. Ale z ręką Rudde-Geira jest źle.

Wkrótce wpłynęliśmy w mgłę. Potrafi gęsto zalegać tam na wybrzeżu Skrälingów, bardziej nieprzenikniona niż w jakimkolwiek innym miejscu, gdzie żeglowałem. Musieliśmy wysunąć wiosła; usiadłem na skrzyni Bjørna i zacząłem wiosłować jak pozostali. Pewnie zdziwiło ludzi, że nie stałem tego ranka przy wiosle sterowym.

Zazwyczaj nie byłem człowiekiem łatwo oddającym ster innym. Może pomyśleli, że to nieuwaga poprzedniego dnia skłoniła mnie do zajęcia miejsca brata. Lecz to nie było tak. Nagle zaczęły mnie dręczyć wyrzuty sumienia: zostałem hovdingiem i właścicielem najpierw Dana, który podarował mi Sven Widłobrody, a teraz Naglfara. Pierwszy statek dostałem, ponieważ zabiłem Olafa Tryggvasona, to mi się należało. Jednak ten statek zabraliśmy Islandczykom i nie miałem bardziej prawa do bycia jego właścicielem niż którykolwiek z towarzyszących mi mężczyzn.

Może wyczułem tego ranka, że to gryzie mojego brata; wydawało mi się, że ciągle rzuca na mnie szybkie spojrzenia, jakby nie wiedział, co sądzić o tym, że zająłem miejsce wioślarza, pozwalając mu sterować. Lecz jego wzrok przede wszystkim szukał Frøydis. Podobnie jak Rudde-Geir, Tore Kalvson i Oracz, nie wiosłowała. Siedziała pośrodku statku z Ravntorem. Grali w kości na wieku jednej z beczek. Wycinała też runy na patyku, wskazywała na nie, a Ravntor wymawiał dźwięki.

Siedziałem przy wiosle przez cały dzień. Późnym popołudniem mgła się rozwiła, zaczął wiać wiatr od lądu i na nim wpłynęliśmy w noc. Nad nami ukazał się księżyc, niebo było rozgwieżdżone, dzięki czemu łatwo się płynęło wyznaczonym kursem. Valp przejął ster. Mężczyźni położyli się spać, ale ja nie byłem zmęczony. Znowu podniosłem kłapy na środku statku, wtykając rękę pod spód; chociaż już od dawna nie wybieraliśmy wody, przy stępce było jej zaledwie na dwie długości dłoni. To przyniosło mi wielką ulgę. Powiedziałem Valpowi, żeby trochę się przespał, i sam przejąłem ster.

Sterowanie w tak gwiazdzistą noc służy mężczyźnie, rozjaśnia umysł, a zdaniem wielu zbliża go do bogów. Czułem, jak długi, wąski kadłub Naglfara drży, podczas gdy żagiel był napięty nad sterburtą, czułem drążek steru, wysłużony i znajomy w moich rękach, i niemal czułem, że statek wybaczył mi wpłynięcie na mieliznę i chce mi pokazać, że stanowimy jedność.

Sterowałem statkiem jeszcze długo w nocy. Jak zwykle, jeszcze jeden mężczyzna czuwał przy sterniku. Tej nocy był to Kolbein, jomswiking jak ja, tylko niemal o dziesięć lat starszy. O Kolbeinie należy powiedzieć, że był bardzo spokojnym mężczyzną, ale miał taki nieprzyjemny zwyczaj, że jeśli się go o coś spytało, zamiast

odpowiedzieć, wbijał w ciebie wzrok, jakby uważając, że potrafisz czytać mu w myślach. Chodził boso niemal do pierwszych opadów śniegu i dlatego zawsze miał brudne nogi. W dodatku golenie porastały mu gęste czarne włosy i stąd wzięło się jego imię⁴³. Mówiąc, brzmiał niemal jak ktoś z Ryge, ale zawsze twierdził, że jest z Vingulmorku.

Powiedziałem Kolbeinowi, żeby poszedł spać. Chciałem tej nocy mieć spokój, spokój duszy i umysłu. Jakbym wyczuwał obecność Odyna na dziobie, teraz stał odwrócony do mnie plecami, przyglądając się morzu. Kolbein przeżuł i połknął kawałek suszonej ryby, a potem położył się, a ja nadal sterowałem, myśląc, że jeśli Odyn znowu ukaże się na dziobie, nawet gdy to będzie tylko sen, wezmę to za znak, że mamy natychmiast ruszyć przez morze, nie czekając do wiosny. I natychmiast zobaczyłem postać z przodu, mężczyznę w długiej do kostek oponczy, na jego długie włosy padało światło księżyca. Stał przy stewie dziobowej, patrząc daleko przed siebie, ale wkrótce obrócił się i zaczął iść w stronę rufy. Szedł wolno, krok za krokiem, bo nie chciał nastąpić na leżących.

Był to Winabave, który stanął przy mnie przy wiośle sterowym i milczał. Dostał wełniany pled od Frøydis, która pod wieloma względami okazała się bardziej kobieca, niż przypuszczałem. Nocami leżała przytulona do mojego brata, opiekowała się moim synem. I zlitowała się nad biednym Winabavem, dając mu jeden ze swych wełnianych pledów.

– Winabave słyszy – powiedział nagle Skræling. Odchrząknął, ścisząc głos. – I... rozumie.

– Wiem o tym – odparłem. Chwycił mnie za ramię i przytrzymał, wciągnął powietrze i już miał coś powiedzieć, ale puścił mnie i znowu umilkł. – Ja... idę spać – wymamrotał i ruszył na przód statku, po czym zatrzymał się gwałtownie i zawrócił. Stanął znowu obok mnie. Czułem, że chce mi coś powiedzieć, lecz nie może znaleźć odpowiednich słów.

– Honor – odezwał się wreszcie. – Wy mówicie na to honor. Honor.

– Honor jest ważny dla każdego mężczyzny – powiedziałem. – Dla kobiety też.

Winabawe odchrząknął.

– Twój brat... Jego kobieta. Może oni zapomnieli, że ja... że ja rozumiem.

Słyszałem ich, Torsteinie. Słyszałem, jak rozmawiają.

– O czym?

Skræling ponownie chwycił mnie za ramię.

– Ty i ja... Ty i ja, Torsteinie. Po Matanuga. My... zawdzięczamy sobie wzajemnie życie.

Skinąłem głową.

– Nikt nie może twierdzić inaczej.

– Więc nie będę miał przed tobą żadnych tajemnic.

Nie spodobało mi się to. Wyswobodziłem ramię z jego chwytu.

– Jeśli coś utrzymują przede mną w tajemnicy, masz mi o tym powiedzieć.

Winabave otulił się szczelniej pledem. Najpierw rzucił spojrzenie w stronę czarnego morza, a potem na śpiących.

– Ta kobieta... Frøydis... Słyszałem, jak szepce twojemu bratu. Twój brat wyjawiał to Halvorowi. Ale chyba nikt inny o tym nie wie.

– Nie wie czego? Co ona powiedziała?

Winabave wił się, przesunął ręką po twarzy bez zarostu, najwyraźniej wahając się.

– Ten człowiek... Ten, co nazywa się prawie tak jak ty.

– Torfinn? Torfinn Karlsevne?

– Tak. Frøydis powiedziała, że namówił ludzi z Patuxetu, żeby zaatakowali twoje gospodarstwo.

Nie pamiętam, żebym coś odpowiedział. Stałem tylko przy wiosle sterowym, myśląc, że słowa właśnie wypowiedziane przez Winabavego są tak samo snem jak Odyn na stewie dziobowej. Skræling usiadł na skrzyni wiosłarskiej tuż przede mną, zerknął na mnie pospiesznie, potem znowu spuścił wzrok i już się nie odezwał.

Stałem nadal, próbując wyobrazić sobie to wszystko. Torfinn Karlsevne, bogacz z Islandii, szybko płynął z Grenlandii z pomyślną bryzą, szukając wzdłuż wybrzeża miejsca, gdzie można zejść na ląd. Nagle zobaczył dym z naszego paleniska, zapragnął wszystkiego, co posiadam, i postanowił mi to zabrać. Ale dlaczego? Czy nie było tu wystarczająco dużo ziemi dla nas obydwu? Chociaż ja sam często sobie życzyłem, żeby nigdy nie płynął tym szlakiem. Od czasu, kiedy po raz pierwszy o nim usłyszałem, życzyłem sobie tego. Czy on myślał w ten sam sposób? Namówić

Patuxetów, żeby nas zaatakowali? Wielu złoczyńców poznałem, królowie i potężni możnowładcy często byli takimi ludźmi. On jednak nie robił na mnie wrażenia kogoś takiego.

Mówią, że wpadłem we wściekłość tej nocy i że natychmiast obrałem kurs na Wyspę Reniferów, z tarczami na nadburciu i duńskim toporem gotowym do zabijania. Ale ja powiedziałem sobie, że to nie może być prawda, i długo stałem w ciemnościach, próbując samego siebie o tym przekonać. Winabawe musiał coś źle zrozumieć. Albo też to, co powiedział, było tylko snem. Może nawet to, że stałem u steru, też było snem.

Wreszcie zbudziłem Bjørna. Spał twardo, z ramieniem Frøydis na piersi. Usiadł, długo przecierając oczy. Spojrzał zmrużonymi oczami na księżyc, a potem na mnie.

– To prawda? – zapytałem.

Wymamrotał, że lepiej by było, gdybym nigdy się o tym nie dowiedział. Po czym jakby się zreflektował i dodał:

– Frøydis tak mówiła, ale... Nie popłyniemy na Wyspę Reniferów, Torsteinie. Jest nas za mało. I twój syn jest tutaj. Jeśli tam popłyniemy, nie skończy się to dobrze.

Znowu stanąłem za wiosłem sterowym. Wściekłość mnie pochwyciła, uderzyłem pięścią w nadburcie, aż zabolalo. To obudziło kilku mężczyzn na pokładzie. Halvor usiadł, zerkając na Bjørna i Frøydis, a potem na mnie. Bjørn zerwał się na nogi, Frøydis nadal siedziała, obejmując ramieniem Ravntora.

– Kiedy zrobi się jasno, chcę, żebyś spojrział na ląd – powiedział mój brat. – Drzewa zrzuciły liście. Zaraz nadejdzie zima. Nie popłyniemy na Wyspę Reniferów, nie z tą sprawą, którą masz zamiar załatwić. Nie możemy stracić jeszcze więcej ludzi. Musimy znaleźć jakieś miejsce, gdzie będziemy mogli przezimować.

Stałem nieporuszony z rękami na drążku steru. Milczałem, bo nie chciałem nic więcej słyszeć na ten temat. Najchętniej nic bym nie mówił, tylko wyrzucił z siebie całą wściekłość. Mocno ścisnąłem drążek steru w rękach, wyobrażałem to sobie: Torfinn Karlsevne pewnie powiosłował na ląd tam na południu koło Patuxetu ze skrzynią pełną srebra, szklanych paciorków, pięknych zapinek do płaszczy i tak dalej, a na plaży stał sachet z ozdobą na głowie, zanurzając chciwe ręce w całym tym bogactwie. Potem Torfinn wskazał na północ, a Patuxetowie podnieśli włócznie,

obiecując, że będą zabijać.

Nie zastanawiałem się, jak on, bez tłumacza, miałby przekazać takie polecenia Skrælingom, i dużo czasu minęło, zanim taka myśl się pojawiła. Pragnąłem natychmiastowej zemsty i tak też powiedziałem Bjørnowi i mężczyznom na pokładzie, wszystkim, którzy się obudzili.

– Chcę zemsty. To jest prawo każdego wolnego człowieka.

Björn milczał. Usiadł na skrzyni wioślarskiej, opierając głowę na rękach.

Rozmawiałem z Frøydis, kiedy się rozjaśniło. Ponuro spoglądając na wybrzeże, opowiedziała mi, jak bardzo niezadowolony był Torfinn, usłyszawszy, że jakiś hovding z całą załogą statku osiedlił się na wybrzeżu Skrælingów. Zanim sam tam popłynął, wysłał najpierw statki, które pożeglowały daleko na południe. Była na takiej zleczonej wyprawie, kiedy spotkała mnie, Eysteina i Winabavego. Według pogłosek, które Torfinn usłyszał na Islandii, ja i wielu moich ludzi byliśmy jomswikingami. Torfinn stwierdził, że ludzie tacy jak my będą powodować waśnie i drażnić Skrælingów. Jeśli jego przedsięwzięcie miało się udać, musiał się nas pozbyć. Frøydis podejrzewała, że pragnął również zagarnąć nasze miejsce dla siebie. Jeden z jego statków podpłynął pewnej nocy do naszego półwyspu, dwóch mężczyzn popłynęło na ląd, wracając z wiadomością, że wykarczowano już całe podwórze, że pobudowano długi dom, szopę na łodzie i oborę, pracowici ludzie się tam osiedlili. Więc Torfinn pewnie myślał, że zabierając nam wyspę, zaoszczędzi sobie osadniczego trudu; dzięki temu mógł od razu zacząć wyrąb drzew i budowę statków. Kiedy później odkrył, że Skrælingowie spalili nam statek i budynki, wpadł we wściekłość, bo obiecał swojej żonie i ludziom ściany za plecami i dach nad głową, jak tylko zejda na ląd.

Nie pamiętam zbyt wiele z żeglugi do Wyspy Reniferów. Szaleństwo zatręło mi krew i miałem poczucie, jakby statek kierował się teraz własną wolą, rozumiejąc mnie o wiele lepiej niż ludzie na pokładzie. Chociaż Winabave jak zwykle stał u mojego boku, nie ruszając się z miejsca.

Valp, Halvor i Björn pragnęli zemsty, również im wyrządzono krzywdę. Byli prawymi ludźmi i dlatego nie próbowali mnie zatrzymać, choć uważali, że

nierozsądne byłoby zaatakowanie Torfinna i jego ludzi akurat teraz, kiedy mieliśmy tak niewielu zdolnych do walki mężczyzn na pokładzie. Ale zaraz usiedli z oselkami, cięciwy łuków zostały nasmarowane żywicą, a strzały przeliczone. Oracz zaczął jęczeć i narzekać, że jest mocno poraniony, jednak obiecał mi, że się zwlecze i stanie przy mnie, kiedy zaatakujemy.

Lecz ja wcale nie miałem zamiaru napadać na Wyspę Reniferów. Chciałem jedynie dopaść i wykończyć Torfinna Karlsevneho. Planowałem wyzwać go na pojedynek na jednym z cypli otaczających tamtejszą zatokę i zabić go w walce wręcz. Inne załatwienie sprawy byłoby niehonorowe. Były tam kobiety i dzieci.

Pamiętam, że gdy stałem przy wiosle sterowym, zaczął padać śnieg. Ravntor wyciągnął rączki, łapiąc śnieżynki, a Frøydis uśmiechała się do niego. Kiedy następnego ranka wpłynęliśmy do zatoki na południe od Wyspy Reniferów, wszystko na lądzie było białe. Bjørn znowu podszedł do mnie, prosząc, żebym poszedł po rozum do głowy.

– Ja też chcę zemsty – powiedział. – Ale nie jesteśmy teraz wystarczająco silni. Jest nas za mało. Znajdźmy jakąś zatokę, Torsteinie. Na północ od tego miejsca. Wrócimy tu na wiosnę i zemścimy się.

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Kazałem ludziom ściągnąć reję i położyć na podporach, bez związywania żagla. Wiał północny wiatr, chciałem przybić Naglfarem burtą do jednego z cypli przy wejściu do Przystani. Na tym samym cyplu chciałem stoczyć walkę z Torfinnem, tak żebyśmy mogli natychmiast odpłynąć, gdy tylko go zabiję.

Dobiliśmy do cypla, tak jak sobie życzyłem. Zwisającą ze stewy rufowej linę z łyka wiązu przymocowaliśmy do jednego z przybrzeżnych kamieni. Nie była to najlepsza lina, więc mogliśmy ją odciąć, odpływając. Bjørn, Halvor, Valp, Winabave i ja zdjeliśmy wszystkie ubrania oprócz spodni i popłynęliśmy na cypel. Nie chciałem mieć ze sobą więcej ludzi; jeśli coś poszłoby źle, Frøydis miała zadbać o to, żeby reszta uciekła, zabierając Ravntora. Woda była lodowato zimna, ale niemal nie zwracałem na to uwagi. Duński topór miałem zatknięty z tyłu za pasem. Halvor miał swój podręczny topór i saks, Valp długi nóż i tarczę, Winabave topór, a mój brat miecz od jarla, a na plecach tarczę. Kiedy weszliśmy na płyciznę, skinął mi głową,

mówiąc, że chociaż nie wspiera mnie w tym przedsięwzięciu, będzie stał u mojego boku do ostatka, gdyby ludziom Torfinna przyszło do głowy chwycić za broń. Potem rzucił spojrzenie na statek, gdzie Frøydis stała za wiosłem sterowym z Ravntorem.

Ludzie Torfinna wyszli nam naprzeciw na podwórzu. Był tam Torfinn, jego kobieta i synek, Ulle Dan, Magnar i pozostali. Zobaczyli statek i pewne się domyślali, w jakiej sprawie przybyliśmy, bo stanęliśmy na śniegu uzbrojeni, półnaczy i bosy. Wystąpiłem naprzód, a Torfinn natychmiast podniósł rękę i do mnie przemówił. Tego ranka ubrany był w wełnianą, niebieską opończę, wysokie buty z foczej skóry, a kiedy mówił, trzymał rękę na ramieniu kobiety.

– Nie wiem, w jakiej sprawie przybywasz – powiedział. – Ale nie wygląda mi ona na pokojową. Musisz wiedzieć, Torsteinie Tormodsonie, że tej zimy jest u nas miejsce zarówno dla ciebie, jak i twoich ludzi. Żaden z moich nie powie ci złego słowa, jeśli ty obiecasz mi to samo.

Nie odpowiedziałem. Stał przede mną człowiek, który zabrał mi wyspę i godność hovdinga i który zapłacił Patuxetom za zaatakowanie mojego gospodarstwa i zabicie moich ludzi, a teraz proponował nam schronienie w swoim domu. Było to tak bezczelne, że niemal nie do uwierzenia.

Halvor wystąpił naprzód.

– Słyszeliśmy, że jesteś bogatym człowiekiem, Torfinnie Karlsevne. Ale nie byłeś chyba równie bogaty, po tym, jak zapłaciłeś Patuxetom za spalenie naszego gospodarstwa i naszego statku, prawda?

Wzrok Torfinna spochmurniał. Ludzie wokół zaczęli mamrotać, niektórzy chwycili za noże i topory u pasa. Piękna, jasnowłosa kobieta Torfinna stała z dzieckiem na rękach, nadal milcząc.

Ulle Dan stanął obok Torfinna na szeroko rozstawionych nogach.

– Gdzie usłyszałeś takie bzdury?

– To... – zacząłem, ale Torfinn mi przerwał.

– Frøydis – powiedział. – To pewnie Frøydis ci powiedziała. Powinieneś być mądrzejszy, a nie polegać na słowach kobiety, Torsteinie Szkutniku. Oferuję ci dach nad głową, a także przystań dla twojego statku. Mądry człowiek przyjąłby taką propozycję, bo Skrælingowie może i wyglądają na małych i żalonych, ale zapewne

nie pogardzą możliwością zaatakowania takiej małej grupki ludzi jak twoja. Ilu was jest na tym statku? – Zatknał kciuki za pas i podszedł do mnie. – Widzieliśmy was z cypla, Torsteinie. Ilu macie ludzi na pokładzie? Moim zdaniem nie jest was aż tylu, żeby odeprzeć atak plemion z południa.

– O tym pewnie wiesz wystarczająco dużo – warknąłem w odpowiedzi. – Ale jesteś nikczemnikiem, skoro nawet nie masz odwagi zaatakować człowieka posiadającego ziemię, której i ty zapragnąłeś, tylko płacisz innym, żeby to zrobili.

Torfinn pokręcił głową, wyglądając niemal na zatroskanego, westchnął głośno i przygarnął do siebie jasnowłosą kobietę.

– Magnar – rzucił tylko.

A Magnar, wysoki żyłasty mężczyzna, z którym się biłem i którego niemal udusiłem, stanął przede mną. Miał podręczny topór w jednej ręce i długi nóż w drugiej.

– Nie nazywaj mojego wodza nikczemnikiem – rzekł. – I nie powtarzaj słów usłyszanych od córki niewolnicy, twierdząc, że są prawdziwe. Poproś o wybaczenie za zniewagę, której się właśnie dopuściłeś, albo zabieraj swojego malowanego Skrælinga i tych ludzi i wynoś się stąd.

Bjørn wyciągnął miecz i stanął obok mnie. Ludzie nieco się cofnęli, bo okazały był to miecz, a wygląd mojego brata mógł budzić przestraszonych.

– Odsuń się – powiedział. – Z twoim hovdingiem rozmawiamy, nie z tobą.

Magnar musiał być takim człowiekiem, który nigdy się nie ukorzy, nie rozumiejąc, co jest dla niego najlepsze. O tym, że nienawidzi jomswikingów i że najchętniej zobaczyłby nas powieszonych i wypatroszonych jak dopiero co złowione rekiny polarne, już wiedzieliśmy. Ale niemal trudno pojąć, że okazał się tak głupi. Zrobił raptowny wypad w stronę mojego brata; zamachnął się toporem na jego twarz, potem próbując dźgnąć go nożem, ale Bjørn uderzył mieczem i trafił go w ramię tuż pod łokciem. Z dobrej i ostrej stali zrobiony był miecz jarla, ostrze zagłębiło się co najmniej do połowy przedramienia, przecinając kości; ręka Magnara upuściła nóż, a przedramię zawisło na skórze i mięśniach. Strasznie zawył, a Bjørn kopnął go w brzuch, powalając na ziemię, po czym rzucił mi szybkie spojrzenie. Jedno moje skiniecie i Magnar byłby martwy. Musiałem jednak pokręcić głową, bo Bjørn wycofał

się, a skowyczącego z bólu Magnara natychmiast odciągnięto do długiego domu.

Torfinn stał bez słowa. Spojrzał w dół na krew, a potem na mnie. Następnie rozpiął zapinkę i podał opończę Ullemu Danowi. Zdjął tunikę, podkoszulek i pas, również podając je Ullemu.

– Żadnej broni – rzekł. – Odłóż topór i nóż, będziesz miał swoją walkę wręcz.

Podąłem duński topór bratu.

– Tam – powiedziałem, wskazując cypel, przy którym przycumowaliśmy statek.

– Nie. Tutaj będziemy walczyć.

Torfinn zrobił krok do przodu i stał tak, z nagim torsem i rękami opuszczonymi wzdłuż tułowia, jakby nie miał zamiaru się bronić. Zaatakowanie takiego mężczyzny może być trudne, a teraz poczułem jeszcze na sobie wzrok jego kobiety. Podchodząc do Torfinna, zawahałem się. Zauważył to, zamachnął się i uderzył mnie pięścią w podbródek. Taki cios może powalić najtwardszego mężczyznę. Stało się dla mnie jasne, że nie doceniłem Torfinna, myśląc, że jest tylko kupcem niemającym pojęcia o walce i bijatyce, bo za pierwszym ciosem poszedł drugi. Ten trafił mnie w brzuch i sprawił, że niemal wymiotując, zgiąłem się wpół, lecz teraz przeciwnik zrobił poważny błąd. Chwycił moją głowę pod pachę i próbował ją przytrzymać w uścisku.

My, jomswikingowie, wszyscy byliśmy szkoleni w zapasach i z takiego chwytu łatwo potrafiliśmy się wyswobodzić. Chwyciłem go za twarz, wsadziłem palce w oczy i pchnąłem głowę do tyłu, tak że musiał mnie puścić. Potem podciąłem mu kolana, przewróciłem na plecy i usiadłem na nim okrakiem. Uderzyłem go w twarz, kolanami przycisnąłem ramiona do ziemi i zacisnąłem ręce na krtani. Słyszałem, jak Bjørn warczy do ludzi zgromadzonych wokół, żeby nie ważyli się przerywać walki. Zacisnąłem mocniej ręce, tak jak przedtem zacisnąłem je na gardle Magnara, prawie go zabijając, ale tym razem nic nie mogło skłonić mnie do poluzowania uścisku. Ten bogacz miał się udać prosto do Helheimu.

Jednak tego dnia nie doszło do zabójstwa. Opamiętanie może przyjść do człowieka na wiele sposobów. Do mnie przyszło tam na podwórzu w postaci spojrzenia małego chłopca. Bo synek Torfinna, ten mały chłopczyk, zaczął płakać. I nic już nie słyszałem oprócz płaczu i nic nie widziałem oprócz łez na jego twarzy. Widziałem, jak próbuje wyrwać się z ramion matki, wyciągał ręce ku ojcu i chciał do niego biec.

Puściłem Torfinna, pozostawiając go leżącego na ziemi. Zatoczyłem się do tyłu, a Halvor wcisnął mi w rękę topór, mamrocząc, że mądrze zrobiłem. Teraz mogę coś powiedzieć do pokonanego i dojść z nim do porozumienia, żebyśmy mogli pozostać na wyspie przez zimę, ale jako wolni ludzie, a nie pod jego władzą.

Ja jednak nie potrafiłem zmusić się do powiedzenia czegokolwiek. Opuściliśmy podwórze i poszliśmy na cypel. Popłynęliśmy do Naglfara, odcięliśmy linę i odpłynęliśmy.



Przysiągłem sobie tego dnia, że będę mądrzejszym człowiekiem. Nigdy więcej nie pozwolę, żeby kierowały mną wściekłość i żądza zemsty. Bjørn stał obok mnie przy wiosle sterowym, reszcie mężczyzn kazałem zasiaść do wiosł i opuszczając zatokę, już obierałem kurs na zachód, kiedy nagle spostrzegłem skórzaną łódź. Wyglądało na to, że płynie od strony rzeki, gdzie dawno temu znaleźliśmy resztki ogniska. W łodzi siedziało dwóch mężczyzn. Bjørn zasłonił ręką oczy od słońca i kiwnął głową.

– Skręć w tamtą stronę, bracie. To Eystein.

Było tak, jak mówił mój brat. Pokierowałem Naglfarem w ten sposób, że niemal się zetknął z maleńką skórzaną łodzią, w której siedzieli Eystein i jakiś Skræling. Ten chwycił koniec liny. Potem obydwaj wdrapali się na pokład, a my podnieśliśmy skórzaną łódź, kładąc ją na śródkręciu. Eystein zmierzył mnie wzrokiem, podszedł i chwycił za przedramię, ja chwyciłem go w tym samym miejscu, taka oznaka przyjaźni, której nie widywałem zbyt często poza Jomsborgiem. Potem usiadł na jednej ze skrzyń wiosłarskich. Kiwnął na Skrælinga, młodego mężczyznę z bardzo długimi włosami, w długiej do kolan tunicy ze skóry jelenia. To kuzyn Onejun, powiedział Eystein, często wypływali razem na połów. Usłyszeli, że wróciłem na Wyspę Reniferów, i szukali mnie tam, ale Torfinn powiedział im, że wyjechałem i nikt nie ma pojęcia, czy kiedykolwiek wrócę. Choć było to wiele dni temu, oni, Eystein i kuzyn, przybili do brzegu koło ujścia rzeki i obserwowali morze. Stamtąd zobaczyli nasz islandzki statek.

Oddaliliśmy się od Wyspy Reniferów i wpłynęliśmy do cieśniny na północ od niej. Eystein stanął razem ze mną i Bjørnem na rufie. Opowiedziałem mu, co się

wydarzyło, odkąd nas opuścił i popłynął na północ do Onejun i chorego dziecka. Nie miałem odwagi zapytać, jak poszło z dzieciakiem, Eystein też nic nie mówił. Ale powiedział mi, że wśród Rzecznego Ludu Winabave miał opinię słabeusza i dlatego wielu będzie zdumionych, usłyszawszy, że nie tylko przeżył wszystko, o czym opowiedziałem, ale nawet uratował mi życie w Matanuga.

Halvor zapytał Eysteina o Onejun, chciał też wiedzieć, czy może od razu zejść po nią na ląd. Eystein nic na to nie odpowiedział. Wspiął się za mną na nadburcie i tak stał, opierając się o stewę rufową i przyglądając się statkowi przed sobą i morzu wokół niego. Wiatr targał jego długie rude włosy na tle wieczornego nieba. Powiedział nam, że oni traktują go jak swojego, a on pod każdym względem żyje teraz jak Skræling i dobrze mu z Onejun, która jest serdeczną, pełną czułości kobietą. Potem zerknął na nas, mówiąc:

– Znowu spodziewa się dziecka. A ja chcę z nią zostać.

Tego wieczora zakotwiczyliśmy statek na jednej z mielizn, nie było wiatru i padał śnieg. Eystein zapytał mnie, gdzie mam zamiar przezimować. Po tym, co zrobiliśmy w Patuxecie, nie jesteśmy bezpieczni i możemy spodziewać się zemsty. Ale wkrótce lód skuje wodę, więc Patuxetowie raczej nie odważą się wypłynąć na północ przed nastaniem wiosny. Halvor odparł, że mamy zamiar znaleźć zatoczkę bardziej na północ. Według Eysteina na podróż na północ mieliśmy coraz mniej czasu. Może szybko napadać dużo śniegu, choć o tym już przecież wiedzieliśmy. Gdyby porozmawiał ze starszyzną plemienia, może moglibyśmy spędzić zimę u nich.

Rozpaliliśmy ogień w żelaznej misie i ugotowaliśmy trochę złowionych przez mężczyzn ryb. Sam nie miałem apetytu, dolna szczęka bolała mnie od ciosu pięścią. Trzymałem się tego wieczora za wiosłem sterowym. Kiedy niebo pociemniało, wiał coraz silniejszy wiatr z południa. Naglfar obrócił się i zaczął szarpać linę kotwiczną. Mężczyźni udali się na spoczynek. Rudde-Geir narzekał na bolące ramię, ale Oracz kazał mu się zamknąć. Cisza zapadła na statku, tylko ja i Valp czuwaliśmy. Syn jarla powiedział mi, żebym się położył, on będzie czuwał nad statkiem. Ja jednak pozostałem na rufie.

Ponownie widziałem Odyna. Stał na dziobie, patrząc na mnie swoim jedynym okiem, i widział, jak kładę ręce na drążku steru. Żagiel się wypełnił, Naglfar ruszył

w przód nad falami.

Ta wizja nadal była we mnie, kiedy się obudziłem. Ale teraz to Ravntor stał nade mną, patrząc w dół. Pamiętam, że wyciągnąłem do niego rękę, wtedy się cofnął i przytulił do koszuli Frøydis. Ona i Bjørn stali niedaleko wiosła sterowego. Bjørn zmrużonymi oczami patrzył na wschodzące słońce.

– Odpłynęli – powiedział. – Eystein obiecał dobrze opiekować się twoim koniem.

Zerwałem się na nogi. Skórzana łódź zniknęła, podobnie jak Eystein i Skræling. Było jeszcze wcześniej, większość mężczyzn nadal leżała pod kocami i baranicami.

– Trudno by było zmieścić konia tutaj na pokładzie – dodała Frøydis.

– I może trudno by było zbudować jakieś dobre schronienie o tak późnej porze roku – odezwał się Bjørn. Rzucił szybkie spojrzenie na maszt. – To jest naprawdę szybki statek.

Czy pozostali mężczyźni na pokładzie wspierali mnie w mojej decyzji tego ranka, nie wiem. W ogóle ich nie pytałem. Kiedy ludzie niemający pojęcia, o czym mówią, nazywają historie o moich wyprawach do Winlandii bajdami, czynią tak, usłyszawszy, że przepłynąłem się przez morze aż trzy razy w ciągu jednego roku. Nazywano nas szaleńcami, gdy jesienią wypływaliśmy z Trøndelagu. Teraz na rei leżał śnieg, a ja miałem na pokładzie swojego syna. Ale morze było naszym żywiołem, moim i moich ludzi. Nigdzie nie czuliśmy się bezpieczniej. Dlatego kiedy przywołałem mężczyzn do fałów i szotów, każąc podnieść kotwicę, nie obawiałem się otwartego morza i zimowych sztormów. Jedyнным wypełniającym mnie uczuciem było żarliwe pragnienie powrotu do Sigrid i maleńkiego Bjørnara i poczucia norweskiej ziemi pod stopami.



32

Ziemia ojca

Bywają dni, w których nasza morska podróż tej zimy wydaje mi się snem. Niekiedy przyłapuję się na tym, że przytakuję plotkom, jakoby to wszystko było kłamstwem, bo tak naprawdę spędziliśmy tę zimę na Grenlandii. Były też chwile, podczas których myślałem, że Sigrid nigdy mi nie wybaczy tego, co zrobiłem. Bo kiedy obraliśmy kurs na wschód, a pokryte śniegiem płaskie skały nadbrzeżne Hellulandii zniknęły za horyzontem, rzuciliśmy wyzwanie samemu morzu. Nikt nie powinien żeglować po tych szlakach o tak późnej porze roku. Ponoć góry lodowe zderzają się wtedy ze sobą, a dosiadające wiatru jotuny wyją i sieją spustoszenie. Usłyszeliśmy je drugiej nocy po tym, jak odbiliśmy od lądu. Było tak ciemno, że nie dało się zobaczyć ręki przed sobą, ale czuło się, że fale są coraz wyższe. Teraz zaczęliśmy żałować i byłem skłonny zawrócić, lecz wiał wiatr z północnego zachodu i jedyne, na co się odważyłem, to nadal utrzymywać statek rufą do kierunku wiatru. Poprosiłem Frøydis, żeby jednym końcem liny owinęła Ravntora w pasie, a drugim owinęła się sama, co natychmiast zrobiła. Kilku mężczyznom kazałem wybierać wodę i obserwować uszkodzenie

w przedniej części statku, innym zaś siedzieć przy szotach żagla i luzować je, jeśli poczują, że nacisk na maszt jest zbyt duży. O świcie byliśmy już na pełnym morzu, na północy naliczyliśmy cztery góry lodowe.

Żeglowaliśmy tak przez trzy doby. Nie było sztormu, ale wiał silny wiatr, a morze było wzburzone i uspokoiło się dopiero późnym wieczorem czwartego dnia. Odbyliśmy naradę na pokładzie, bo wielu chciało zawrócić i dotrzeć do lądu, zanim będzie za późno. Wtedy zwrócił się Rudde-Geir, mówiąc, że możemy zawrócić, jeśli chcemy rozdrażnić boginię Ran. Nie okaże nam łaski, tylko zarzuci sieci na statek, wciągając go w głębinę. Ona gardzi tchórzami, tak samo jak Wszechojciec. Wielu obecnych na pokładzie prychnęło na to z pogardą, nigdy o czymś takim nie słyszeli. Wiatr zmienił kierunek i wiał teraz od północy, co byłoby korzystne, gdybyśmy zawrócili. Rudde-Geir trzymał zranioną rękę pod kocem, a ja pomyślałem, że krople na jego czole to nie bryzgi wody morskiej, tylko pot, i że może bredzi w gorączce. Mimo to nadal utrzymywałem kurs na – jak mi się zdawało – wschód. Mężczyźni znowu skulili się za nadburciem pod kocami i baranicami. Bjørn, Valp, Halvor i ja staliśmy na rufie; jeszcze przez jakiś czas sterowałem, potem ster przejął mój brat.

Zmienialiśmy się przy sterze, wyznaczając sobie krótkie wachty. Tak było bezpieczniej, teraz to zrozumiałem. Może wreszcie zmadrzałem, chociaż żałowałem pośpiesznie podjętej decyzji o przepłynięciu morza tak późną porą. Naglfar płynął szybko i jeśli tylko była łagodna, a nie ostra fala, mogło sobie wiać, ile chce, bo statek miał dobry takielunek, a liny z foczej skóry, utrzymujące maszt w pionie, były jednymi z najlepszych, jakie kiedykolwiek widziałem. Martwiłem się jednak bryzgami wody morskiej cały czas wlewającymi się przez burzę. Nie tylko dlatego, że nawet w skórzanym płaszczu trudno było uniknąć przemoknięcia, również dlatego, że gdyby do beczek z wodą pitną dostała się słona woda, byłoby z nami krucho. Już dawno zwało nas z kursu, Grenlandia znajdowała się pewnie daleko na północ od nas. Jeśli chcieliśmy natrafić na Islandię, musieliśmy mieć więcej szczęścia, niż mógłbym oczekiwać.

Później opowiadałem Sigrid kłamstwa na temat naszej przeprawy. Mówiłem, że bogowie dobrze nam życzyli, że mieliśmy dobrą bryzę i sprzyjające prądy od Hellulandii aż do Trøndelagu. Nic nie wspominałem o strachu, jaki poczułem, kiedy

wiatr znowu się wzmógł. Pamiętam, że marzęm i że Oracz przywłókł się na dziób, stanął i jak szalencie zaczął wyć na fale. Nagle jedna z nich gwałtownie go trafiła, upadł na kolana, a potem wybuchnął śmiechem. Pozostałym nie było do śmiechu. Kiedy znowu nadeszła moja kolej przy wiosle sterowym, Bjørn owinął mnie w pasie liną, a drugi koniec przymocował do stewy rufowej.

– Nie ma mowy, żeby bogini Ran zabrała teraz kogoś z nas. Nie po tym, co żeśmy przeszli.

Nie pierwszy raz sternik został tak owinięty liną. Bjørn wyjął z sakwy u pasa kamień słoneczny i podniósł go pod słońce, ledwo widoczne za chmurami. Mamrotał coś do siebie, soczyście przeklinając, po czym zacisnął maleńki kamyk w ręce i już chciał go wrzucić do morza ze złości, ale powstrzymał go Rudde-Geir. Kiwnął na Bjørna, który usiadł z nim na dłuższą chwilę, a Islandczyk wyjaśniał mu coś, trzymając maleńki kryształ w drżących palcach. Wreszcie Bjørn dostał go z powrotem i podniósł ku niebu, patrząc przezeń jednym okiem. Wolną ręką wskazał przed sobą jakiś cel, który tylko on potrafił zobaczyć. Potem wrócił do mnie, mówiąc, żebym skorygował kurs bardziej w lewo.

Trudno mi było uwierzyć, że mój brat opanował sztukę wyznaczania kursu za pomocą kamienia słonecznego. Kamień ten wpadł mu w ręce, kiedy służyliśmy jako jomswikingowie, sam długo nosiłem go przy sobie, chociaż żaden z nas nie wiedział, jak go używać. Bjørn twierdził jednak, że dzięki kamieniowi może określić, w jakim kierunku żeglujemy. Rudde-Geir utrzymywał w tajemnicy posiadanie takich umiejętności, bo pomyślał sobie, że jeśli będę chciał go zabić albo wyrzucić za burzę, powie o nich, żeby uratować życie. Teraz jednak uznał, że jego ramię już jest w Helheimie i że z każdym dniem coraz większa jego część staje się umarlakiem. Wieczorem Halvor i Valp ściągnęli z niego koc i wszyscy zobaczyliśmy, że ma rację. Ramię trafione strzałą robiło się niebieskie. Dziwny to był widok, niebieska barwa jakby rozchodziła się od żył. Przedramię było opuchnięte. Dłoń przypominała bulwiasty korzeń, wypełnione ciecżą palce były obrzydliwie pogrubiałe.

W nocy odrąbaliśmy mu to ramię. Nie opierał się. Poprosiłem Frøydis, żeby odwróciła Ravntora i zatkała mu uszy, ale Islandczyk nie wyrzekł nawet słowa, kiedy Halvor i Valp wystawili mu ramię za nadburcie. Wydał z siebie tylko na wpół

zduszony jęk, gdy Bjørn mu je odrąbał. Pozwoliliśmy, żeby morze je zabrało. Potem mocno zacisnęliśmy skórzany rzemień wokół kikuta, owijając całość szmatą. Najchętniej przypalilibyśmy ranę, ale nie mieliśmy odwagi rozpalić ognia na pokładzie.

W ciągu następnych dni zwiało nas daleko na południe. Tak przynajmniej twierdził Bjørn. Wiatr osłabł po dwóch dniach, ale morze nadal było wzburzone, fale napływały teraz z północy. Wkrótce zmuszeni byliśmy zwrócić dziobnicę na południe, o ile nie chcieliśmy, żeby morze przewróciło statek. Cały czas nie spuszczałem oka z Ravntora, a co do Frøydis, muszę powiedzieć, że po żegludze tamtej zimy zawsze będę jej dłużnikiem. Nie wypuszczała go z ramion nawet przez moment na otwartym morzu. Pamiętam, że siedziałem sam podczas przeprawy, dużo rozmyślając o Eysteinie, który pozostał u Skrælingów. Myślałem też o moim koniu. Vingur był przecież ze mną od czasu mojego pobytu w Jomsborgu i świadomość, że już nigdy więcej go nie zobaczę, sprawiała mi ból. Winabave powiedział mi, że pytał Skrælinga, którego Eystein miał ze sobą, o Onejun i o chore dziecko. Chyba przeżyło gorączkę.

Minęło dwanaście dni, zanim wreszcie zobaczyliśmy ląd na zachodzie. Mocno się zastanawialiśmy, co to może być za wyspa; Tore Kalvson zwlekł się, twierdząc, że dopłynęliśmy do Islandii, ale zwiało nas za daleko na południe, żeby to była prawda. Wkrótce wyspa wypełniła cały horyzont i zobaczyliśmy zielone równiny. Wtedy Halvor wybuchnął śmiechem i walnął mnie w plecy.

– Irlandia! – Wyszczrzył zęby, a potem położył palec na ustach. – Nikomu nie mówcie, że Halvor z Jomsborga tu jest.

Pamiętałem dobrze dzień, w którym go spotkałem. Jako młody chłopak płynąłem wtedy z Orkadów na południe. Ścigali go jacyś mężczyźni. Płynąc w moim kierunku, został postrzelony w ramię. Nie mieliśmy zamiaru rozmawiać z ludźmi na lądzie. Potrzebowaliśmy wody. Najchętniej wymienilibyśmy też coś na jedzenie, ale już niewiele dni nam zostało do wybrzeża Norwegii, gdybyśmy tylko ruszyli w dalszą podróż, nadal mając sprzyjający wiatr.

Niezbyt długo zabawiliśmy w Irlandii, niecałą dobę. Rudde-Geir mamrotał, że chce

zejść na ląd, żeby umrzeć z twardym gruntem pod nogami. Wówczas Oracz nagle wpadł we wściekłość. Niech się nie waży tak mówić, żeglując z jomswikingami, narzekać może tylko wtedy, kiedy straci drugie ramię.

Z wodą z irlandzkiego strumienia w beczkach i świeżo złowionymi rybami zawieszonymi po wewnętrznej stronie nadburcia pożeglowaliśmy na północ i dalej do wysp leżących na zachód od Szkocji. Tutaj wiatr zmienił kierunek, wkrótce zaczął wiać prosto ze wschodu, więc płynęliśmy przez dzień i noc na północ; udało nam się zawrócić na wschód dopiero następnego dnia, kiedy wiatr wreszcie skręcił na południe. Minęliśmy Orkady, zaraz potem natrafiając na duże fale. Morze jakby nie chciało, żebyśmy dotarli do wybrzeża Norwegii, bo wiatr znowu się wzmógł i był lodowato zimny. Dotąd mieliśmy pod tym względem szczęście, panowała ciepła pogoda, przynajmniej jak na tak późną porę roku. Teraz jednak wpłynęliśmy w tak gęstą zawieję śnieżną, że nie widziałem nawet stewy dziobowej.

Znowu stanąłem przy wiosle sterowym i tym razem nikomu nie pozwoliłem go przejść. Bjørn stał koło mnie, obydwaj wiedzieliśmy, że jeśli zdołamy utrzymać kurs przez noc, która właśnie zapadła, będzie to ostatnia noc spędzona na morzu. Naglfar był tak szybki, że powinniśmy dotrzeć do norweskiego wybrzeża w ciągu następnego dnia.

Hel krzyczała do nas tej nocy. Dwa razy zabrzmiał jej krzyk na wietrze. Mimo to nie czułem strachu. Według mnie jej krzyk oznaczał, że wkrótce dotrzemy do celu. Zejdziemy na ląd u jarłów Lade, a ja oddam Sigrid syna, tak jak jej obiecałem. Na poważnie jednak zacząłem się martwić, co ulfhednar Eirik powie na to, że wróciliśmy bez choćby jednego z jego statków. Straciliśmy wielu mężczyzn, których z nami posłał, oprócz kilku jomswikingów i Torego Kalvsona. I nie przywieźliśmy ani łupów, ani niewolników.

Bjørn pewnie domyślał się, co mnie trapi. Staliśmy w milczeniu przez większą część nocy, on i ja na rufie za drążkiem steru. Rankiem wyciągnął szyję w moją stronę i przekrzykując wiatr, zawołał, że najmądrzejszą rzeczą, którą możemy zrobić, to patrzeć Eirikowi nieustępliwie w oczy. Jeśli nie będziemy mieli odwagi z podniesioną głową opowiadać o stratach, wzgardzi nami, nazywając naszą wyprawę dziełem nikczemnych tchórzy. A dla takich ulfhednar raczej nie będzie miał litości.

Dopłynęliśmy do wybrzeża Norwegii w północnym Trøndelagu, niedaleko miejsca, gdzie zobaczyliśmy ląd poprzednim razem, kiedy tu przy płynęliśmy. Wiatr ucichł. Przez jakiś czas płynęliśmy wzdłuż wybrzeża, mając pokryte śniegiem przybrzeżne skały po wschodniej stronie, a ponieważ cały ląd był w zimowej szacie, nie od razu rozpoznaliśmy, gdzie jesteśmy. O dziwo, to Winabave pierwszy zerwał się na nogi, pokazując coś na lądzie. Rozpoznał zatoczkę i kształt głazu leżącego na płaskiej przybrzeżnej skale tuż przed nami. Bjørn i ja też poznaliśmy to miejsce, a Frøydis przyszła na rufę z Ravntorem i pocałowała Bjørna w usta. Potem wyciągnęła rękę i pogładziła mnie po policzku. To był szczególny gest, ale Frøydis nie była przecież zwykłą kobietą.

– Bogowie są po swojej stronie – powiedziała. – Teraz to wiem.

Pamiętam, że było zimno, kiedy skierowaliśmy statek między wysepki. Nad wodą unosiła się mroźna mgła, a z ust wiosłujących mężczyzn wydobywała się para. Przekazałem wiosło sterowe Bjørnowi i usiadłem obok Ravntora, mając takie poczucie, jakbym prawie w ogóle nie był blisko niego od czasu, gdy go porwałem z Patuxetu. Czułem wyczerpanie, więc podniosłem się i stałem tak, trzymając się sztagu. Bjørn zapytał mnie, czy coś jest nie tak, a kiedy nie odpowiedziałem, wymamrotał, że jeśli synowie Håkona będą mieli złe zamiary, zanim dojdą do mnie, zmuszeni będą przejść obok niego. Wtedy Tore Kalvson z wielkim trudem się podniósł się, zmrużonymi oczyma spoglądając na ląd.

– Wstawię się za tobą u Eirika – obiecał.

Tego wieczora, kiedy płynęliśmy między wysepkami do lądu tuż koło Lade, śnieg znowu unosił się w powietrzu. Słońce wisiało nisko nad wyspami za nami, a gdy wpłynęliśmy Naglfarem na ląd w pobliżu ujścia rzeki, gdzie kotwiliśmy poprzednim razem, na plaży zebrali się ludzie. Sigrid stała z małym Bjørnarem na rękach. Razem z nią byli Hutten i stary trójnogi Fenre.

Nie zawołałem do niej. Wszystko, co planowałem jej powiedzieć, wydało mi się teraz głupie. Kierowałem statek w stronę plaży i kazałem ludziom wciągnąć wiosła dopiero po zobaczeniu dna. Naglfar zbliżył się bokiem do brzegu, a ja zabrałem

Ravntora na dziób statku. Sigrid oddała Bjørnara Huttenowi i rzuciła się do nas, brodząc w wodzie. Wyciągnęła do mnie ramiona; podałem jej naszego synka.

Jeśli moja podróż przez życie z jakiegoś powodu ma być zapamiętana, nie zapamiętajcie jej z powodu waśni, w których brałem udział, i ludzi, którym odebrałem życie. Nie zapamiętajcie jej z powodu królobójstwa. Zapamiętajcie ją z powodu synka, którego przywiozłem z powrotem do mojej ukochanej Sigrid.

Z podniesioną głową poszedłem do dworu Lade, a kiedy zostaliśmy wprowadzeni do halli i stanąłem przed Eirikiem, nie spuściłem wzroku. Nie było we mnie żalu i gdyby mnie o to zapytał, tak bym mu powiedział. Torstein Tormodson nie żałował, że stracił jego statki i ludzi. Lecz jarl Eirik nie zadał takiego pytania. Spojrzał na mnie, pytając, czy jesteśmy głodni i czy chcemy napić się piwa. Bjørn stanął przy mnie, szturchając mnie ręką w plecy, jakby chciał mi przypomnieć, że niemądrze jest teraz pić, bo jesteśmy wyczerpani i szybko byśmy się upili. Odpowiedziałem jarlowi, że mamy za sobą długą drogę i chętnie coś zjemy, ale napitek może poczekać. Jarl wzniósł za to toast, już miał w ręku kufel. Włosy i broda mu odrosły, co powodowało mniej przerażający wygląd, niż kiedy staliśmy przed nim poprzednim razem. Zawołał, żeby wnieść jedzenie, dodając, że mają przynieść najlepszy boczek, ten, który wisi, czekając na noc przesilenia zimowego. Potem usiadł na brzegu swojego siedziska, przyglądając się nam wszystkim.

Cisza, jaka zapadła w halli nad stołami, przy których siedzieli ludzie jarla i nad nami stojącymi przy palenisku i nadal czującymi kołysanie morza, była prawdziwą męką. Eirik podniósł kufel, pociągnął z niego głęboki łyk, po czym jego wzrok spoczął na mnie. I wtedy powiedział to tak cicho, że ledwo go słyszeliśmy.

– Mój brat wpadnie we wściekłość, kiedy to usłyszy, Torsteinie Tormodsonie.

Nagle Tore Kalvson stanął obok mnie. Już chciał się odezwać, ale jarl uniósł rękę i szorstko mruknął, że jeszcze nie skończył.

– Twój pies – powiedział. – Ten bez nogi. Gdzie on jest?

– Mój pies? – Nie wiedziałem, co ma na myśli.

– Tak. Dawać tu tego psa.

Halvor podniósł Fenrego i poszedł z nim do przodu.

– Smucił się, kiedy cię nie było – rzekł jarl. – Ale twoja kobieta opiekowała się

nim.

– To dobrze – odparłem. – Jest już stary.

Jarl pogładził się po brodzie. Był ubrany w szarawą wełnianą tunikę i oprócz pasa wysadzanego srebrnymi płytkami niewiele wskazywało, że jest tym potężniejszym z synów jarla Håkona i że pod wieloma względami jest uważany za jedynowładnego króla całego wybrzeża Norwegii. Wkrótce miał zacząć realizować plany opanowania królestw angielskich i wielu innych obszarów wokół Morza Północnego i Skagerrak, ale o tym jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy.

– Nie będę ci kłamał – powiedział. – Torsteinie Tormodsonie, Torsteinie Szkutniku, berserku z Jomsborga, jesteś człowiekiem, który zabił Olafa Tryggvasona i za to będę ci zawsze wdzięczny. Ale teraz powracasz do domu z wyprawy na zachód z wielkimi stratami. Nie przywozisz mi żadnych skarbów i nie zająłeś żadnego lądu w moim imieniu.

Nie odpowiedziałem. To, co rzekł, było prawdą. Nie spuściłem jednak wzroku. Przypomniałem sobie, co o nim opowiadano: że nienawidzi mężczyzn spuszcających wzrok. Kiwnął głową i zamyślił się na swoim siedzisku. Postawił kufel na podłokietniku, wzrok nadal miał utkwiony we mnie. Jedna ze służebnych podeszła i naląła mu piwa, ale na razie nie pił.

Tore Kalvson znowu pojawił się przy mnie. Opierał się na kosturze, głos miał ochryply, wyprawa bardzo go osłabiła.

– Chcę coś powiedzieć o tym człowieku. – Odchrząknął, kładąc mi rękę na ramieniu.

Jarl skinął głową.

– Może i straciliśmy statki, ale nie obwiniam go o to. Nikt też nie powinien obwiniać go o to, że padło tylu ludzi. Miasto, które zaatakowaliśmy, jest duże. Było w nim wielu Skrælingów. Mogliby wypełnić plac tutaj przed hallą i jeszcze wiele takich placów i nie ustępują żadnemu ludowi pod względem zapaku do walki i woli zabijania.

– Zatem nie powinniście ich atakować. Nie było tam wiosek nadających się do splądrowania?

– Plądrowaliśmy wioski, Eiriku. I wzięliśmy niewolników, lecz musieliśmy ich

wypuścić.

Jarl chwycił kufel i zaczął pić. Słyszałem szept stojących za mną mężczyzn. Wtedy do przodu wysunął się Bjørn, wtykając mi coś do ręki. To była złota płytką z ozdoby głowy sacheta. Na to jarl znowu odstawił kufel, trochę piwa wylało się mu na brodę, ale szybko je wytarł.

– Złoto. – Podniosłem płytkę, żeby wszyscy dookoła zobaczyli.

Jarl wstał ze swojego siedziska. Podszedł do mnie, wyrwał mi płytkę z rąk i przyjrzał się jej w blasku paleniska.

– Złoto – powtórzył i zerknął na mnie. – Ale powinno być go więcej. Jest więcej?

– Nie – odparłem.

– W takim razie zachowaj je. – Podał mi złotą płytkę, zerknął na Fenrego na rękach Halvora, a potem wrócił na swoje siedzisko.

– Możesz złożyć mi w ofierze swojego psa, Torsteinie Tormodsonie. Tak wielu ludzi straciłem, że sprawiedliwie będzie, jeśli również ty coś stracisz.

Stałem bez słowa.

– To chyba niewielka ofiara – rzekł jarl. – Sam mówiłeś, że jest stary. – Wyciągnął przytroczony do pasa nóż i rzucił mi go pod nogi. Halvor nadal stał z Fenrem na rękach, spojrzał na jarla, a potem na mnie i postawił Fenrego na klepisku.

Bjørn powiedział mi później, że wściekłość, która buchnęła we mnie płomieniem tam w halli jarla, była tak gwałtowna, że przeraziła wszystkich jego ludzi, wszystkich oprócz samego jarla, który siedział z głupim uśmiechem na twarzy. Kopnąłem nóż, stając okrakiem nad skołtunionym starym Fenrem.

– Nie złożę w ofierze własnego psa!

Ludzie jarla raczej nie przywykli, żeby ktoś mu się sprzeciwiał. Z tego, co słyszałem, nawet jego brat się na to nie ważył. Eirik zażądał więcej piwa i je dostał.

– Dajcie też kufel Torsteinowi. Dajcie wszystkim po kuflu, bo za to musimy wypić.

Służba zaczęła biegać między stołami z beczułkami piwa. Wszyscy stojący razem ze mną dostali kufle, które zostały napełnione, a jarl wdrapał się na stół, mówiąc, że będziemy pić za Odyna i wszystkich jego synów, za Asów i za Wanów. I porządny toast za nich wypito. Ale Bjørn, Halvor, ja ani nikt z ludzi stojących ze mną nie wypił. Nie mogliśmy tego pojąć. Czy jarl chciał uczcić toastem to, że mu się sprzeciwiałem?

Wybuchnął śmiechem, śmiał się, zlążąc ze stołu i trącając mój kufel swoim.

– Pij, Torsteinie Tormodsonie. Mianuję cię hersirem Vingulmorku.

Nie wierzyłem własnym uszom. Wymknęło mi się, że nie powinien sobie ze mnie kpić, a Halvor podszedł, mówiąc, że jesteśmy wyczerpani po podróży i najchętniej byśmy usiedli, więc jeśli jarl nie potrzebuje nas w halli, pójdziemy z powrotem na statek. Gdyby jarl kazał zaopiekować się naszymi rannymi, a zwłaszcza Islandczykiem, któremu musieliśmy odrąbać ramię, byłibyśmy wdzięczni.

– Zajmiemy się rannymi – odparł Eirik. Wyjął mi z ręki złotą płytkę i usiadł na swoim siedzisku. – Z tym psem to była próba, Torsteinie. Teraz chyba to rozumiesz? Jako hersir będziesz spotykał wielu potężnych ludzi, hovdingów i możnowładców, a niektórzy będą próbowali ci się przeciwstawiać. Ludzie w Vingulmorku są krnąbrni, ale myślę, że z pomocą twojego brata będziesz w stanie ich ujarzmić. Będziesz pobierał daniny w moim imieniu, Torsteinie, i oddawał mi z tego połowę. W ten sposób zapłacisz za utracone statki. Również wtedy, kiedy już spłacisz to, co straciłeś, będziesz oddawał mi połowę tego, co sam zbierzesz, a po twojej śmierci twoi synowie będą hersirami, a po nich – ich synowie.

Jarl odrzucił kufel.

– Przynieście nam rogi – powiedział, po czym w halli zapadła całkowita cisza.

Dwie dziewczki służebne wyszły z półcienia koło ściany, jedna niosła dwa wspaniałe rzeźbione rogi ze srebrnymi podstawami, a druga beczułkę.

Jarl dostał jeden z rogów. Ja dostałem drugi. Zostały napełnione i zobaczyłem, że nie jest to piwo. Z rogu unosił się słodkawy, ciężki aromat, to był miód pitny.

– Torsteinie Tormodsonie – rzekł jarl. – Czy przysięgasz służyć mi jako hersir, rządzić Vingulmorkiem i zbierać tam daniny? Czy przysięgasz dowodzić obroną przeciwko wrogom i złoczyńcom, wydawać wyroki w sporach i nadzorować handel? Czy przysięgasz być lojalny wobec mnie i mojego brata, a kiedy my umrzemy, lojalny wobec tego, kto zostanie jarlem Lade po nas?

Podniósł róg w moim kierunku.

– Tak – powiedziałem. – Przysięgam.

– A więc wypijmy za to!

Wypiliśmy. Miód był słodki, ciepło rozeszło się po całej piersi. Jarl wykrzyknął, że

teraz będziemy jeść, a grajkowie będą grać na lirze i harfie, będziemy pić za tych, którzy padli w krainie Skrælingów, i za nowego hersira.

Zaczęliśmy raczyć się boczkiem pieczonym nad ogniskiem, w wielkim garze ugotowano zupę, na wszystkich stołach położono chleb. Strach, jaki wielu ludzi odczuwało przed osławioną gwałtowną wściekłością jarla, został zapomniany i rzadko kiedy widziałem ludzi tak żarłocznie pochłaniających kawały boczku i kufle piwa.

Przyjęcie u jarla Lade tej zimowej nocy zostało zapamiętane jako uczczenie hersira Torsteina Tormodsona i początku rządów mojego rodu. Bjørn i ja zapytaliśmy jarla, kiedy ma się zacząć nasza służba, a ten odparł, że powinniśmy popłynąć do Vingulmorku i wprowadzić się tam do jakiegoś gospodarstwa, zanim lód skuje zatoczki. Chciał posłać z nami statki i ludzi, wraz z pismem nakazującym zapewnienie nam wikt i zakwaterowania, aż do czasu, gdy zbudujemy własne gospodarstwo. Miał w Vingulmorku lojalnych ludzi, chociaż żaden z nich nie okazał się dobrym kandydatem na hersira.

Wetknął nam złotą płytkę, prosząc, żebyśmy ją zatrzymali. Usiadł przy długim stole, przy którym siedzieliśmy, pił z nami i jadł. Kiedy wróci jego brat, jarl będzie o nas dobrze mówił, a w pierwszym roku zrezygnuje ze swojej części pobranej przez nas daniny. Tego dochodu powinniśmy użyć do zebrania i uzbrojenia ludzi, powinniśmy ich natychmiast zacząć szkolić w sztuce walki wojennej. Svenowi Widłobrodemu nie spodoba się, kiedy usłyszy, że zostałem mianowany na hersira Vingulmorku, obszaru, który on planował wcielić do swojego królestwa.

Jarl wlał w siebie jeszcze jeden róg miodu, po czym wycofał się na swoje siedzisko i siedział tam z ciężkimi powiekami, a do nas podeszły Sigrid i Frøydis. Usadziły mi na kolanach Ravntora i Bjørnara. Sigrid pocałowała mnie i pogładziła po brodzie. Również Frøydis była pełna czułości, stała przytulona do mojego brata, obejmując go. Siedziałem na długiej ławie, z brzuchem pełnym boczku i miodu, ciepło z paleniska grzało mnie w plecy i słyszałem samego siebie opowiadającego o wspaniałym długim domu, który wzniesiemy, i o statkach, które zbudujemy. Będziemy uprawiać ziemię, zbierać zboże, trzymać owce i krowy. Jak tylko nadejdzie wiosna, weźmiemy się do pracy i zanim minie rok, będziemy żyli w dostatku, a wszyscy w Viken będą wiedzieli, że mój brat i ja rządymy Vingulmorkiem.



Osiemnaście dni po tym, jak zostałem mianowany hersirem, znowu wypłynęliśmy. Jarl posłał z nami potężny statek i wielu ludzi. Szybko popłynęliśmy wzdłuż wybrzeża na południe. Mieliśmy pomyślny wiatr, ale zimno było dokuczliwe. Hutten oznaczał nacięciem każdy miniony dzień, a kiedy dotarliśmy do południowego krańca wybrzeża Norwegii i obraliśmy kurs na wschód, podszedł do mnie, mówiąc, że zostały tylko dwa dni do zimowego przesilenia.

Przepłynęliśmy Viken w ciągu następnej nocy. Pamiętam, że Sigrid czuwała razem ze mną. Jarl posłał z nią służącą Alvrun, która pilnowała naszych synów śpiących pod ciepłymi baranicami przy maszcie. Posłał też z nami skrzynię okutą żelazem. Było w niej srebro, którym mieliśmy zapłacić za jedzenie i schronienie przed nadejściem wiosny. Wtedy mieliśmy zacząć wznosić własne gospodarstwo i godną hersira paradną hallę.

Sigrid była blisko tej nocy. Stała przy mnie, trzymając się mego ramienia. Czułem jej zapach poprzez naglfarową woń smoły i soli, czułem, jak jej włosy łaskoczą mnie po policzku. Sigrid. Moja ukochana Sigrid.

Noc była długa, jak na tę porę roku przystało. Ustawiliśmy się tak, żeby dryfować pośrodku fiordu, i dopiero kiedy rozwidniło się na tyle, że można było odróżnić morze od lądu, kontynuowaliśmy żeglugę. Wkrótce pojawił się przed nami ląd, a był to ląd bardzo dobrze znany mojemu bratu i mnie.

Björn sterował statkiem, który jarl posłał z nami. Statek miał być naszą własnością, ale latem jarl chciał wysłać ludzi, żeby sprawdzili, czy jest utrzymywany w należyтым stanie i czy zaczęliśmy budować gospodarstwo i hallę hersira.

Poprosiłem brata, żeby wziął ten statek na własność. Powiedziałem, że razem będziemy rządzić Vingulmorkiem. On i ja będziemy hersirami, dzieląc się władzą, tak samo jak synowie Håkona. Nad lądem przed nami wzeszło słońce, Björn pozwolił Frøydis przejąć ster. Sam poszedł na dziób statku, mijając śpiących wojów, których jarl posłał z nami.

– Tam na lądzie, Torsteinie! Widzę go!

Ja też go zobaczyłem. Zobaczyłem wystający na południe cypel, do czysta

wyszorowane przez wodę płaskie skały i rosnące za nimi powykrzywiane od wiatru sosny. To był półwysep, na którym Bjørn i ja się wychowaliśmy.

Wpłynęliśmy do zatoczki za cyplem. Łód jeszcze nie skuł wody. Jarl posłał z nami lekką łódź wiosłową, którą Bjørn i jego załoga spuścili teraz na wodę. Brat i Frøydis podpłynęli nią do nas. Zszedłem do łodzi razem z Sigrid, Winabavem i Valpem. Potem powiosłowaliśmy do plaży, gdzie ojciec zazwyczaj zbierał małże, zeszliśmy na ląd i poszliśmy w miejsce, gdzie kiedyś stała nasza chata. Chyba nic z niej nie zostało. Sztormy pewnie już dawno rzuciły nadpalone szczątki w morze.

– Ustawimy tu kamień – powiedziałem. – Upamiętnimy to miejsce. Upamiętnimy, co się tu wydarzyło. Jeśli coś jeszcze zostało z ojca, z jego kości... będzie spoczywać pod tym kamieniem.

Wkrótce reszta załóg została przeprowiona na ląd. Minęło ponad dziesięć lat od dnia, w którym zostałem uprowadzony z tego miejsca jako niewolnik. Las w tym czasie rozrósł się i teraz rozciągał się prawie do wody. Bjørn zebrał załogi i poszedł zobaczyć, czy w gospodarstwie są jacyś ludzie. Jeśli tak, chciał im powiedzieć, że zostaniemy tu na zimę i że zapłacimy im srebrem od jarla Eirika.

Sam wziąłem Fenrego i wspiąłem się na kopulaste wzgórze na wschód od zatoczki. Stary trójnogi Fenre był już niedołężny i ledwo się poruszał, więc podniosłem go i wkrótce znaleźliśmy się koło punktu obserwacyjnego ojca. Zbudowane przez niego zadaszanie zawaliło się. Usiadłem tam razem z Fenrem. Przed nami leżało otwarte morze. Widziałem fale toczące się na północ, mijające półwysep i kierujące się do fiordu. Słyszałem szum sosen i starych cisów za sobą i czułem zapach wodorostów na plaży. Wreszcie wróciłem do ziemi mojego ojca. Wreszcie wróciłem do domu.

przypisy końcowe

1. Vinterblot (norw.) – zimowa uczta ofiarna; Analogicznie sommerblot (norw.) letnia uczta ofiarna (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczek). [\[wróć\]](#)
2. Skeid to jedna z klas tak zwanego langskipa, czyli „długiego okrętu”. Langskipy były głównie używane jako statki wojenne. [\[wróć\]](#)
3. Langhus, czyli długi dom (długość budynku była przynajmniej dwukrotnością szerokości) – rodzaj całorocznego budownictwa mieszkalnego, występującego w wielu kulturach; typowe skandynawskie langhusy w czasach wikingów miały około 10–20 metrów długości i około 5–7 metrów szerokości. [\[wróć\]](#)
4. Hovding (staronord. ho, fðingi) – wódz, przywódca militarny; namiestnik króla. [\[wróć\]](#)
5. Knara – handlowy statek wikingów. Knary najczęściej były znacznie mniejsze niż statek подарowany Torsteinowi przez duńskiego króla. [\[wróć\]](#)
6. Hund (norw.) – pies. Valp (norw.) – szczeniak. [\[wróć\]](#)
7. Gotalandia (Götaland) – historyczna kraina w południowej Szwecji. [\[wróć\]](#)
8. Mówiąc o Grenlandczykach, narrator, zgodnie ze staroskandynawską tradycją, ma na myśli tamtejszych skandynawskich osadników, a nie ludność tubylczą. [\[wróć\]](#)
9. W mitologii nordyckiej Ginnungagap (ziewająca pustka) to bezdenna przepaść, która przed powstaniem znanego nam świata istniała między Niflheimem (królestwem lodu) a Muspelheimem (królestwem ognia). [\[wróć\]](#)
10. Byrding – mały statek handlowy przeznaczony do żeglugi przybrzeżnej. [\[wróć\]](#)
11. Ulfhednar – berserk mający zdolność przybierania postaci wilka. [\[wróć\]](#)
12. Drakkar – największy typ langskipów; drakkary należały do wodzów i w czasie bitwy pełniły funkcję okrętu flagowego; ich cechą charakterystyczną były mocowane do dziobnicy rzeźby przedstawiające głowy smoków. [\[wróć\]](#)
13. Hersir – lokalny wódz, przywódca (często bez sprecyzowanego zakresu władzy). [\[wróć\]](#)
14. Valandia (Valland) – w literaturze staroskandynawskiej nazwa ziem w dzisiejszej zachodniej Francji (Poitou, Bretania, Normandia). [\[wróć\]](#)
15. Wadmál (staroskand. vaðmál) – spłśniona gruba tkanina z owczej wełny. [\[wróć\]](#)
16. Wskazuje na to jego imię; godi (staroskand. goði) – lokalny wódz, naczelnik; w czasach przedchrześcijańskich odpowiedzialny również za sprawowanie kultu. Tłumaczki, zgodnie z zalecaną praktyką, zastosowały odmianę bez zmiękczającego „i” przed samogłoską końcówki. [\[wróć\]](#)
17. Angelika – dzięgiel litwor, arcydzięgiel litwor (Angelica archangelica L., Archangelica officinalis) – gatunek rośliny z rodziny selerowatych. Roślina jadalna, również o zastosowaniu

lecniczym, ma wiele nazw zwyczajowych i ludowych, w tym angelika. Może osiągać do trzech metrów wysokości. [\[wróć\]](#)

18. Wölwa – wieszczka; w mitologii staroskandynawskiej jasnowidząca olbrzymka. [\[wróć\]](#)
19. „Nekrospodnie” (staroskand. nábrók) miały według staroislandzkich wierzeń magiczną moc. [\[wróć\]](#)
20. Wetty (staronordyckie vættir, l. poj. vætt/vétr) – w folklorze skandynawskim kolektywne określenie na swego rodzaju „geniusze miejsc”, duchy żyjące w naturalnych elementach krajobrazu (np. lasach, wodospadach, skałach), a także w kurhanach oraz w pobliżu ludzkich sadyb. [\[wróć\]](#)
21. Ravn (staroskand. hrafn) – kruk. [\[wróć\]](#)
22. Emne (norw.) materiał. Przydomek można tłumaczyć jako „materiał na mężczyznę”. [\[wróć\]](#)
23. W Sadze o Grenlandczykach postać ta występuje jako Karlsefni. Przydomek wskazuje na kogoś, kto ma cechy godne mężczyzny. [\[wróć\]](#)
24. Einherjer – wojownik, który poległ w chwale na polu bitwy i został po śmierci sprowadzony przez walkirie do Valhali. [\[wróć\]](#)
25. Niebieski człowiek (blámaðr) było określeniem człowieka ciemnoskórego, stosowanym w średniowiecznej Skandynawii. [\[wróć\]](#)
26. Niedźwiedź – norw. björn. [\[wróć\]](#)
27. Nazwa wyspy znaczy „zielona ziemia”. [\[wróć\]](#)
28. Seid – forma praktyk szamańskich uprawianych w przedchrześcijańskiej Skandynawii. [\[wróć\]](#)
29. Seidkona – kobieta parająca się seid. [\[wróć\]](#)
30. W czasach wikingów Skandynawowie nazywali Skrælingami ludność tubylczą Grenlandii i Ameryki. [\[wróć\]](#)
31. Okres od czternastego grudnia do dwunastego stycznia. [\[wróć\]](#)
32. Przydomek wskazuje, że był to osobnik lubujący się w prawnie usankcjonowanych pojedynkach rozgrywanych na małych wysepkach (holm – wysepka). W piśmiennictwie polskim przydomek ten bywa tłumaczony jako „Szermierz”. [\[wróć\]](#)
33. Haugfolk (haug – pagórek) – w folklorze skandynawskim istoty zamieszkujące wnętrza pagórków, a także kurhanów. [\[wróć\]](#)
34. Okres od 15 sierpnia do 14 września. [\[wróć\]](#)
35. Jul (staronordyckie jól) – u przedchrześcijańskich Germanów święto przesilenia zimowego (odpowiednik słowiańskiego Święta Godowego). We współczesnych językach skandynawskich słowem tym określa się święta Bożego Narodzenia. [\[wróć\]](#)
36. Balder – jeden z synów Odyna; symbol dobra, piękna i mądrości. [\[wróć\]](#)
37. Okres od 14 kwietnia do 15 maja. [\[wróć\]](#)
38. Okres od 12 lutego do 13 marca. Goe (staronord. Góí), córka olbrzyma Torrego (staronord. Porri), personifikacji niszczącego mrozu skuwającego ziemię pozbawioną ochronnej warstwy

śniegu. Jego imieniem nazywano okres od 13 stycznia do 11 lutego. Goe była personifikacją świeżego, zalegającego cienką warstwą śniegu. [\[wróć\]](#)

39. Gładsheim, Dom Radości (staronord. Glǫðsheimr) – część Asgardu; siedziba Odyna, w której znajduje się Valhalla. [\[wróć\]](#)
40. Grid (staroskand. grið) – forma amnestii, darowania kary komuś, kto złamał prawo lub sprzeniewierzył się władcy; ułaskawienie, darowanie życia. [\[wróć\]](#)
41. Okres od 13 lipca do 14 sierpnia. [\[wróć\]](#)
42. W staroskandynawskim piśmiennictwie Finami nazywano Saamów (Lapończyków). [\[wróć\]](#)
43. Kolbein (staronord. Kolbeinn) złożenie rzeczowników „kolr” – węgiel i „beinn” – noga. [\[wróć\]](#)